

ELI ANDERSON

Oskar Pill

DWA KRÓLESTWA



w
ab

Eli Anderson

Oskar Pill

Dwa królestwa

Przełożyła Joanna Wysocka

A stylized, handwritten-style signature or logo consisting of the letters 'MKS' in a bold, cursive font.

Wydanie powieści częściowo sfinansowano dzięki nagrodzie pieniężnej przyznanej za publikację Lotnika Eoina Colfera. Organizatorami konkursu na najlepszą książkę dla dzieci i młodzieży DOBRE STRONY były: Miejska Biblioteka Publiczna we Wrocławiu i Wrocławskie Promocje Dobrych Książek, fundatorem nagrody zaś - Prezydent Miasta Wrocławia.

Spis treści

Wszystko skończone

Brak kontaktu

Co nie?

Układ

Przejście

Właściwa pora

On!

Wypadek

Tsunami

Gorąca nadzieja

Leonid

Ryczące kaniony

Luki w pamięci

Odkrycie Julii

Paloma na czerwonej kanapie

Zakazana broń

Nielojalność

Co się kryje za kanionami

Miasto Mgieł

Teraz albo nigdy

Na arenie

Po trzykroć największy

Mister Out

Upór Alistaira

Dwa obrazy

Spisek wśród gałęzi

Cisza, akcja!

Od drzewa do drzewa

Kiedy Tilla się wtrąca

Szpiedzy wstają wcześniej rano

Tarcza Mitry

Tragiczny dylemat Leonida

Ani minuty dłużej

Sala uderzeń

Druga skóra

Powietrza!

Czwarty filar

Ze wszystkich sił

Przypisy

WSZYSTKO SKOŃCZONE

Przestał biec, zwolnił kroku i zaczął iść, aż w końcu zatrzymał się zdyszany. Przed nim aż po horyzont ciągnęła się bezkresna równina. A przecież biegł już od wielu godzin; olbrzymie jaskinie, w których wciąż się gubił, zostały daleko za nim.

Był wyczerpany i spragniony. Robiło mu się coraz goręcej. Chciał zdjąć pelerynę - miał wrażenie, że nie zniesie tego aksamitnego okrycia ani chwili dłużej. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że peleryna chroni go przed żarem. Pospiesznie zarzucił ją z powrotem na ramiona. Wyjął bidon i wysączył ostatnie krople płynu. Będzie musiał szybko znaleźć jakąś wodę.

Chcąc sobie dodać odwagi, dotknął litery M wyhaftowanej złotą nicią na pelerynie. Popatrzył w dal. Ledwie mógł dostrzec wysokie, zastrzone na czubkach cienie, które sterczały z ziemi jak wypalone pnie drzew. Wolał wyrzucić z pamięci wspomnienie strasznego, nieustającego wichru, od którego pochodziła nazwa tej równiny. Traciło się od niego zmysły.

Pochylił się i wziął do ręki garstkę jasnego piachu, który skrzypiał pod nogami. I wtedy, całkiem blisko, dostrzegł pierwszy ślad.

Był dużo większy niż jego własne ślady; widać było odcisniętą stopę - czy raczej łapę - zakończoną trzema ostrymi czubkami. Pazury? Serce zaczęło mu bić szybciej i mocniej, jak sygnał alarmowy dający znać o zbliżającym się zagrożeniu. Posunął się kilka kroków naprzód i znalazł kolejny ślad. Trzy metry dalej! Jakie rozmiary musiało mieć stworzenie, które robiło tak wielkie kroki? Może poruszało się biegiem?

Wyprostował się. Gdzieś daleko wśród podmuchów wiatru rozległ się przenikliwy dźwięk. Mimo upału poczuł dreszcze. Ten dźwięk przypominał wrzask zwierzęcia zwielokrotniony przez echo. W pierwszym odruchu chciał się cofnąć. Natychmiast jednak poczuł wyrzuty sumienia - pomyślał o ojcu, który w tej sytuacji na pewno by nie

zrezygnował. Westchnął głęboko. Medykus powinien zawsze iść naprzód, bez względu na wszystko. Nikt nie musiał mu tego tłumaczyć, ani pan Brave, ani pani Withers. Nigdzie tego nie przeczytał. Po prostu wiedział, że tak trzeba, nie było innego wyjścia.

Znowu usłyszał ten dziwny hałas - głośniejszy i dużo bliższy. Uparcie posuwał się ku rzadkim zaroślom. Kiedy już mógł rozróżnić te dziwne czarne formy na horyzoncie, zatrzymał się. Podłoże drżało, jak gdyby ktoś walił w bęben - w dziesiątki bębnow. Popatrzył na ziemię: widział te same ślady otaczające go ze wszystkich stron, biegnące we wszystkich kierunkach. Rozejrzał się dookoła zaniepokojony. Zarośla były jedynym miejscem, gdzie mógłby się ukryć i obserwować okolicę. Zaczął biec. W całym ciele czuł wibrowanie ziemi. Ciemne pnie, gęsto rosące obok siebie, były już tylko kilka kroków od niego. Kiedy do nich dotarł, ktoś go dogonił i runął na niego. Upadł i przeturlał się na bok. Wokół niego rozrastał się olbrzymi cień. Przetoczył się i leżał teraz na plecach. Pochylało się nad nim mnóstwo wielkich bezkształtnych bestii. Rozsunęły się i ukazał się wśród nich jakiś człowiek ubrany od stóp do głów na czarno. Tylko kołnierz lśnił czerwienią.

Był otoczony.

Starał się rozpoznać twarz Patologusa, patrzył jednak pod słońce i widział tylko zarys sylwetki. Dostrzegł mgłę wokół jego twarzy. Człowiek ten zniknął jednak po chwili, a wokół niego znowu tłoczyły się potwory. Jak się wydostać z tej matni? Jak się bronić? Przypomniawszy sobie swoją walkę z olbrzymią ośmiornicą w Zakazanym Tunelu, prowadzącym do Sanktuarium Wiedzy Medykusów. I broń, z jakiej wtedy skorzystał: Fiolka Hepatolii i niszczący wszystko Nektar! Zaczął nerwowo szperać pod peleryną, dotknął pierwszej sakiewki na Pasie Trofeów i stwierdził z przerażeniem, że była pusta. Jego pierwsze Trofeum, jego Fiolka - zniknęła...

Bestie otaczały go coraz ciaśniejszym kręgiem. Zamknął oczy, nie chciał patrzeć na ich potwornie skrzywione i zdeformowane pyski ani ociekające śliną kły. Nie chciał słyszeć ich ryków. Owinął się peleryną. Nie czuł już strachu, tylko obezwładniającą

rozpacz. Tak bardzo chciał zdobyć - jedno po drugim - wszystkie Trofea, które uczyniłyby go prawdziwym Medykusem; tak bardzo pragnął zwrócić ojcu i całej rodzinie utracony honor, tymczasem przyjdzie mu zginąć na tej złowrogiej równinie. Umrze samotny pośród tych okrutnych bestii, powalony przez Patologusa... Tak marzył, że osiągnie w końcu swój cel... Poczuł, że płacze z wściekłości. Na zielonej tkaninie peleryny widział przez chwilę twarze matki i siostry.

Zacisnął dłoń na haftowanej złotem literze M, zdążył jeszcze dostrzec wyciągające się w jego stronę potworne szpony. Największy z potworów ruszył do ataku.

BRAK KONTAKTU

Oskar nagle się obudził. Rozejrzał się nieprzytomnie dookoła. Kilka dobrych chwil patrzył zaspany na oświetlone blaskiem księżycy plakaty, piłkę, kij bejsbolowy, biurko, krótko mówiąc - na własny pokój w małym domku przy Kildare Street, w dzielnicy Babylon Heights. W końcu zrozumiał, gdzie się znajduje. Jedyna równina wokół niego zasłana była kołdrą i prześcieradłem - siedział roztrzęsiony na łóżku. Rzucił okiem na budzik - była czwarta trzydzieści siedem rano.

Co za koszmar!

Zamknął oczy i opadł na poduszkę z westchnieniem ulgi. To był tylko zły sen. Żeby się upewnić, jednym susem wyskoczył z łóżka, pomijając drabinkę, i rzucił się w kierunku szafy, choć mógł obudzić matkę i siostrę śpiące na tym samym piętrze. Otworzył gwałtownie drzwi, odgarnął wieszaki z koszulkami i spodniami, pomacał w głębi - poczuł pod palcami aksamit peleryny. Pochylił się i sięgnął po kuferek stojący na najniższej półce. Zamknął szafę, sprawdził rzutem oka, czy drzwi do jego pokoju są na dobrze zamknięte, i otworzył kuferek.

Znowu westchnął - z ulgą, ale też z pewnym rozczarowaniem. Leżała tam Fiolka Hepatolii, jego Trofeum zdobyte w pierwszym Uniwersum ludzkiego ciała. Miał niezbity dowód, że wszystko, co przeżył przed chwilą, było tylko złym snem. Fiolka jednak wciąż wydawała się martwa, podobnie jak przez cały miniony rok: zwykły, kryształowy flakonik napęczniony żółtawym płynem i tyle.

Pamiętał przecież doskonale, jak niezwykle blaskiem lśniło jego Trofeum w pewnych okolicznościach i jak jego Pas Trofeów sam unosił się w powietrzu, owijając się wokół jego bioder. Od tamtej pory nigdy się to już nie wydarzyło. Mnóstwo razy usiłował ożywić swoją Fiolkę, brał ją do ręki, rozgrzewał, przemawiał do niej - wszystko na nic. To samo dotyczyło Pasa Trofeów, który spoczywał w głębi szafy, rozpaczliwie nieruchomy i bez życia.

Przemknęło mu przez głowę, że koszmar miał specjalne znaczenie, jakby ktoś dawał mu znak powrotu do życia: że wszystko, co łączyło go ze światem Medykusów, budzi się z długiego snu. I tym razem jednak czekały go jedynie głębokie rozczarowanie i przygniatająca obawa. Miał wrażenie, że odkąd rok temu pod koniec lata opuścił pośpiesznie Cumides Circle, dom pana Brave'a, przestał być Medykusem.

Wspomnienie tego strasznego dnia - zwłaszcza informacji, które odkrył w Sanktuarium Wiedzy - dławilo go w gardle. Mimo że rozpacz już nieco zelżała, w sercu pozostał przygniatający ciężar. Nigdy nie uwierzył w to, co wtedy ujrzał i usłyszał. Jego ojciec z pewnością nie był zdrajcą na usługach Patologusów, osadzonym w ciemnej celi więziennej, gdzie później spotkała go śmierć. Wiele osób twierdziło, że był zupełnie inny - nie tylko, co zrozumiałe, jego matka, ale także obcy ludzie, godni najwyższego szacunku. Mówili, że Vitali Pill był wspaniałym Medykusem, który obezwładnił i osadził w więzieniu strasznego wroga, Czarnego Księcia - przywódcę Patologusów. W oczach wszystkich - lub prawie wszystkich - jego ojciec był człowiekiem uczciwym i odważnym. Większość sądziła, że potraktowano go niesprawiedliwie. Nie, to niemożliwe, żeby ojciec był skazanym na potępienie zdrajcą!

Oskar określił wtedy swój cel. Chciał zdobyć wszystkie Trofea z pięciu Uniwersów, jedno po drugim, by zostać Medykusem godnym pamięci ojca. W ten sposób przywróciłby mu honor. Powziął takie postanowienie i nie zrezygnował z niego od czasu straszego odkrycia w Sanktuarium. Wiedział, że może liczyć na wsparcie pani Withers, a być może także na pomoc pana Brave'a, Wielkiego Mistrza Medykusów.

Dlaczego jednak nie miał od nich żadnych wiadomości?... Dlaczego jego pierwsze Trofeum i pas nie dawały znaków życia? Od nieskończonej długich, nie do zniesienia długich trzynastu miesięcy trwała cisza. Nikt nie przesłał mu żadnej wiadomości, żadnego listu, nic. Wszystko wyparowało, rozwiało się jak dym, nie zostawiając śladu - poza starym skórzanym pasem z pięcioma sakiewkami i flakonikiem.

Oskar niechętnie wrócił do łóżka. Opadło nań zmęczenie ciężkie jak ołów. Zapadł w męczący sen.

Trzy godziny później głos matki wyrwał go z nocnych majaków.

- Oskar - powiedziała Celia, zaglądając przez uchylone drzwi - budzę cię już drugi raz. Za trzecim razem wrócę z trąbką i wiadrem wody...

Oskar uniósł głowę z poduszki. Wydawała się ważyć kilka ton. Wymamrotał kilka niezrozumiałych słów. Celia uśmiechnęła się, weszła do pokoju i odsunęła zasłony, wpuszczając jasne światło słoneczne kończącego się już lata. Cicho podeszła do łóżka. Patrzyła kochającym wzrokiem na śpiącego syna - trzynastolatka... Czasami bywał taki odpowiedzialny, udowodnił to już przecież nie raz, czasem zaś był wielkim dzieciakiem, którego trzeba było wyciągać z łóżka.

- Jeśli chcesz się spóźnić na rozpoczęcie roku szkolnego - powiedziała, targając jego rudą czuprynę - możesz poleżeć jeszcze kilka minut. A jeśli nie, musisz wstać, umyć się i

zejść na śniadanie.

Oskar bez słowa usiadł na łóżku, przyszło mu to jednak z wielkim trudem. Rozpoczęcie roku szkolnego! To przecież już dzisiaj... Miał wrażenie, że lato minęło z szybkością światła, chociaż każdego dnia spodziewał się jakiegoś znaku ze strony Zakonu - bezskutecznie. W końcu wydobył z siebie głos.

- Już idę...

Celia wyszła z pokoju, Oskar zaś zsunął się z łóżka na podłogę. Nie miał zbyt wielkiej ochoty pójść do szkoły w Babylon Heights. Lubił nawet szkołę i kolegów - przynajmniej niektórych - nie zachwycała go jednak cała reszta, czyli to, co wiązało się ze szkolną dyscypliną. Sztywny rozkład zajęć, równe rzędy i przedmioty, które nudziły go niepomiarowo, a których mimo wszystko musiał się uczyć. Zeszły rok niczego w tej kwestii nie zmienił - zasady i posłuszeństwo pasowały do niego jak pięść do nosa. Lato, wakacje i swoboda, z jakiej korzystał za pozwoleniem matki, wcale tego nie poprawiały.

Ruszył w stronę łazienki, powłócząc nogami, i wyszedł stamtąd kilka minut później, nieco odświeżony. Myśli układały mu się dużo składowiej, ale obawy też były jasne. Świetnie pamiętał, czym grozi mu szkoła. Nie tylko dyscyplina, ale też ktoś dużo gorszy, o kim prawie zapomniał podczas wakacji: Ronan Moss, szkolny tyran, i jego banda. Oskar, inaczej niż pozostali uczniowie, nie bał się go, to jednak wcale nie ułatwiało sytuacji. Przeczynał, że nigdy się z nimi nie dogada, ani z Mossem, ani też z nikim z jego klanu.

No może prawie z nikim. Była też przecież śliczna Tilla, która dobrze wiedziała, że jest śliczna. Kręciła się czasami w towarzystwie Mossa - a raczej to on kręcił się czasem wokół niej. Oskar miał się przed nią na baczności, a zarazem czuł, jak bardzo mu się podoba, co dodatkowo komplikowało sprawę.

Uciął te rozważania i szybko się ubrał. Zbiegł jak strzała po schodach i wpadł do

kuchni, poprawiając koszulkę. Bez słowa usiadł za stołem i zabrał się do sznurowania trampek. Violette, która do tej pory z wielkim skupieniem obserwowała płatek zbożowy, wyrwała się z rozmarzenia. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Oskar, przestań!

- Co mam przestać?

- Zawiązywać tak mocno sznurowadła! Uduszą się, biedactwa!

Oskar zajrzał pod stół: tenisówki Violette zostały starannie pozbawione sznurowadeł. Wyprostował się i popatrzył na nią przeciągle. Nie dało się ukryć, ciężko mu było nadażyć za szalonymi pomysłami siostry, która widocznie rozpoczęła walkę o prawa sznurowadeł... Właśnie wstawała i oczywiście natychmiast zgubiła jeden z butów. Jakby niczego nie zauważyła, otworzyła lodówkę i wyjęła z niej łyżeczkę. Wróciła na miejsce, zakładając po drodze porzucony but, ot tak, po czym usiadła przy stole.

Celia obserwowała tę scenę kątem oka. Od dawna już nie komentowała dziwnych zachowań córki.

- Kochanie, jeśli będziesz odkładać sztucce gdzie indziej niż zwykle, powiedz mi o tym, będzie mi łatwiej - poprosiła tylko.

Oskar zaś, inaczej niż mama, miał jeszcze nadzieję, że rozgryzie, jak funkcjonuje to zastanawiające urządzenie - jego siostra.

- Niby dlaczego właściwie trzymasz łyżeczkę w lodówce? - spytał chłopiec. - Boisz się, że się stopi? Że nagrzej się od słońca, jeśli będzie leżała na stole?

Violette popatrzyła na niego w osłupieniu ślicznymi, fiołkowymi oczami, jakby nagle ujrzała zombie.

- Ależ zastanów się, łyżeczka jest przecież metalowa, nie może się stopić na słońcu.

Wymieniła spojrzenie z matką. Brat zaczynał ją poważnie niepokoić. Celia powstrzymała się, by nie wybuchnąć śmiechem, a Oskar potrząsnął głową: jego siostra była najdziwniejszą istotą na kuli ziemskiej, a do tego udało jej się zrobić z niego idiotę...

Celia rzuciła okiem na zegarek i pospiesznie dopiła kawę.

- No dobrze, synku, zapakuję ci kanapkę, zjesz w drodze, a teraz idźcie na górę po rzeczy i ruszamy. Nie, Violette, tym razem włóż łyżeczkę do zlewu, bardzo cię proszę, doskonale da sobie radę. W drogę!

Celia zostawiła dzieci pod szkolną bramą i pomknęła do pracy. Jej szef, niejaki Geldhof, chyba za krótko był na urlopie: odkąd tydzień temu wrócił z wakacji, był jeszcze bardziej nie do zniesienia niż zwykle. Nie mogła się spóźnić nawet minutę.

Violette poleciała jak motyl w kierunku szkolnego dziedzińca, starając się nie gubić tenisówek; Oskar z dużo mniejszym entuzjazmem ruszył w stronę grupy uczniów. Z daleka zauważył go chudy chłopak z włosami obciętymi na zapałkę i zawołał go:

- Oskar! Tu jesteśmy!

Jeremy O'Maley i jego brat Barth - starszy tylko o rok, ale wyższy o głowę i cięższy o dobre dziesięć kilo - przywitali Oskara z wielkim entuzjazmem.

- Zaczął się rok szkolny, a to znaczy, że interes znowu się rozkręci - cieszył się Jeremy, najlepszy i najbardziej obrotny biznesmen w całej szkole. - Mam całą masę pomysłów, musimy o tym pogadać, Oskar. Teraz na pewno dasz się namówić na spółkę z

nami.

Ktoś się odezwał za ich plecami.

- Cześć, przyjaciele!

Oskar uśmiechnął się do bladego, jasnowłosego chłopaka, który do nich podszedł. Ayden Spencer wciąż jeszcze sprawiał wrażenie nieśmiałego i słabowitego. Wydawało się wręcz, że za chwilę się przewróci pod ciężarem zwykłego tornistra. Jednak rok temu on także odkrył, że podobnie jak Oskar, należy do tajnego Zakonu Medykusów. A potem w groźnych sytuacjach udowodnił kolegom, że stać go na odwagę i determinację. Oskar nie wiedział, gdzie i w jaki sposób Ayden spędził wakacje, wydawał się jednak znacznie bardziej pewny siebie.

- Cześć, Ayden! - rzucili chórem.

- Jak tam wasze wakacje?

- Było fantastycznie! - zawołał Jeremy. - W Bazarze mieliśmy mnóstwo towaru, a Barth miał pełne ręce roboty z dostarczaniem go do domów. Wpadaliśmy też od czasu do czasu na basen, znam dobrze ochroniarza, to mój sąsiad i pomagaliśmy mu opróżnić piwnicę, kiedy organizowaliśmy wyprzedaz w Babylon Heights, a do tego...

- Poprawka - przerwał mu Barth. - Ty robiłeś selekcję, a ja opróżniłem piwnicę.

- Oj tam, niech ci będzie, to szczegół - machnął ręką Jeremy, bagatelizując uwagę Bartha. - To jest właśnie praca zespołowa: ja myślę, a ty działasz. A ty, Oskar, byłeś gdzieś na wakacjach? - zmienił temat Jeremy. - Jakoś nie za często się spotykaliśmy.

Oskar już miał coś na to odpowiedzieć, kiedy usłyszeli kpiący głos.

- A gdzie miał wyjechać z matką i siostrą? Pewnie przez całe lato tańczył i bawił się lalkami!

Ronan Moss przepchnął się obok Aydena, żeby znaleźć się w ich kręgu. On także niespecjalnie się zmienił: ta sama kwadratowa sylwetka, agresywne zachowanie, to samo spojrzenie, ostre jak brzytwa. Miał tylko trochę więcej krost na twarzy. Stojące za nim dziewczyny zaczęły chichotać. Oskar rzucił wzrokiem dookoła i zacisnął pięści. Moss doprowadzał go do wściekłości nawet wtedy, kiedy milczał, a gdy się odzywał, było jeszcze gorzej.

- Normalka - ciągnął Moss ze śmiechem. - Ma same dziewczyny w domu. Racja, co, Pill? Ciągłe nie masz ojca, prawda? No cóż, mam dla ciebie złą nowinę: już się raczej nie pojawi, nie żyje...

Oskar zrobił krok w jego stronę. W oczach Mossa pojawił się błysk: wydawało się, że cieszy się na myśl o bójkę. W tym samym momencie Barth O'Maley podwinął rękawy i zbliżył się do Oskara. Moss skrzywił się: brat Jeremy'ego jako jedyny dorównywał mu siłą; nie lubił go prowokować. Otaczający go trzej kumple, nieciekawe gęby, także cofnęli się odruchowo.

Jeremy skorzystał z tej chwili wahania.

- Ty, jeśli chcesz być cały i zdrowy, znikaj stąd lepiej, inaczej wypuszczę na ciebie mojego ochroniarza - zagroził, klepiąc brata po imponujących mięśniach.

- No, widzę, że tradycja przetrwała wakacje. Pięknie zaczynacie rok szkolny, brawo!...

Wszyscy dobrze znali ten surowy głos. Odwrócili się jednocześnie. Za nimi stał sztywno wyprostowany pan Pingwin w oficjalnym garniturze i niezgrabnych, prostokątnych okularach na nosie. Zbliżył się i obrzucił baczny spojrzeniem Mossa,

potem Oskara. Skrzyżował ręce za plecami.

- Mam dla was świetną wiadomość: w tym roku znowu jestem waszym wychowawcą! I w tym roku także będę was miał na oku - dodał z naciskiem, patrząc znacząco w stronę Mossa. - Dlatego radzę, żebyście szybko podjęli właściwą decyzję.

Moss wzruszył lekko ramionami i ulotnił się bez słowa wraz ze swoją bandą.

- A teraz, Oskarze - ciągnął nauczyciel łagodniejszym tonem - czeka cię największe wyzwanie dzisiejszego dnia. Musisz stanąć razem z kolegami w rzędzie i nie ruszać się, dopóki nie każę wam wejść do klasy.

Pan Pingwin rozpoczął pierwszą lekcję od długiej przemowy na temat koleżeństwa i szacunku dla innych osób.

- Wystarczy, że teraz zastosujecie te zasady we własnym życiu - zakończył, bez wiary we własne słowa.

Oskar odwrócił się dyskretnie. Moss patrzył na niego ze złośliwym błyskiem w oczach. Słowa wychowawcy spłynęły po nim jak woda po kacze. Koleżeńska lojalność była niemożliwa w nowym roku szkolnym i Oskar wątpił, by kiedykolwiek miało się to zmienić.

Na szczęście lekcje upływały szybko jedna za drugą, a nowe zajęcia przyciągały uwagę. Oskar i jego przyjaciele szybko zapomnieli o obecności Mossa i jego kumpli w klasie. Kiedy po zakończeniu ostatniej lekcji odezwał się dzwonek, Oskar zdał sobie sprawę, że dzień minął mu niepostrzeżenie. Była czwarta po południu i przypomniał sobie, co zamierzał zrobić - teraz albo nigdy.

- Ej, no... Oskar, gdzie idziesz, zaczekaj! - zawołał Jeremy. - Gdzie się wybierasz? Jesteście wszyscy zaproszeni do Bazaru Jeremy'ego, żeby uczcić początek roku. Będzie jedzenie, pani Golino zrobiła pizzę!

- Postaram się później do was wpaść, ale teraz muszę... muszę koniecznie coś załatwić, mama mnie prosiła. Pożyczysz mi rower? Oddam potem.

- Dobra - zgodził się Jeremy, rzucając klucz do zabezpieczającej rower kłódki. - Ale pospiesz się i wpadnij zaraz do nas! Słuchaj, nie widzę nigdzie Aydena... A przecież był tutaj cały dzień, widziałem go jeszcze niedawno. Zniknął nie wiadomo kiedy...

Nachylił się w stronę Oskara i powiedział konspiracyjnie:

- Chyba nie wyciągnął swojej peleryny i nie przeniknął cichcem do czyjegoś organizmu, co? Z wami, Medykusami, tak bywa... Trzeba mieć oczy szeroko otwarte, inaczej w mgnieniu oka zaczynacie spacerować po czyjejs wątrobie jak po górze albo nurkować w łodzi podwodnej w podziemnej arterii...

Oskar pospiesznie schował swoje rzeczy do tornistra. Miał do załatwienia coś bardzo ważnego, nie zamierzał przejmować się nieobecnością przyjaciela. Tym bardziej że rozmawiał z nim wcześniej. Ayden, podobnie, jak Oskar, od wielu miesięcy nie czuł swojej mocy.

Już wychodził z klasy, kiedy Barth złapał go za ramię i zaczął mówić, jękając się lekko i przestępując z nogi na nogę:

- A czy... Violette też musi coś załatwić dla mamy? Czy może pójść z nami do Bazaru?

- Nie, Violette nie ma nic specjalnego w planach - zapewnił go Oskar, uśmiechając się lekko. - Idź i zaproś ją, uprzedzę mamę.

Barth uśmiechnął się także i szybko wyszedł z klasy. Oskar skorzystał z chwili nieuwagi Jeremy'ego, który rozśmieszał kilka dziewczyn, zapraszając je na imprezę. Wymknął się cichcem przez bramę prowadzącą na tyły szkoły. Zanim wyszedł, zauważył kątem oka Ronana Mossa stojącego w głębi dziedzińca. Tkwiły przed nim nieruchomo i nieco sztywno dwie dziewczynki, tak jakby on wydawał im jakieś rozkazy, a one słuchały w milczeniu. Oskar rozpoznał dwie młodsze siostry Mossa. Starsza z nich, Lorna, stała ze schyloną głową, poddając się w milczeniu poleceniom. Na moment uciekła spojrzeniem w bok i napotkała wzrok Oskara; potem kiwnęła głową. Młodsza, Carrie, nie miała szans, by sprzeciwić się bratu. Oskar stwierdził, że nie ma sensu dłużej im się przyglądać. Z pewnym trudem znalazł rower swego przyjaciela. Już na niego wsiadał, kiedy zatrzymał go czyjś głos.

- Jedziesz już, Oskarze?

Jeszcze zanim się odwrócił, serce zabiło mu nieco mocniej.

- Tak - odparł. - Trochę się spieszę...

Tilla przyglądała mu się dużymi, złocistymi oczami. Odgarnął nerwowo rudy kosmyk włosów i zauważył, że jej dwie koleżanki, Barbie Glaser i Eleanor Blayne, chichoczą z jakiegoś powodu za jej plecami. Barbie miała tak naprawdę na imię Reese, ale jej niezwykle jasne włosy, zawsze ufryzowane w nader skomplikowany sposób, przywodziły na myśl słynną lalkę i w końcu Jeremy nadał jej to przezwisko. „Pewnie ma także podobny poziom inteligencji” - twierdził. Tymczasem Eleanor naśladowała od rana do wieczora Tillę, przez co często przezywano ją Shadow1, ponieważ na ogół to wystarczało jej do szczęścia. Dzisiaj też była ubrana identycznie jak Tilla, ale kłopot polegał na tym, że nie wyglądała jak ona. Im usilniej próbowała się do niej upodobnić, tym bardziej podkreślała, jak bardzo się od niej różni.

- Ja też muszę już wracać do domu - powiedziała Tilla, bawiąc się kosmykiem

włosów. - Możemy pójść razem, jeśli chcesz... - dorzuciła, patrząc znacząco na przyjaciółki.

Barbie stała bez ruchu, nie pojmując, o co chodzi. Tilla głośno westchnęła. Eleanor zrozumiała przekaz i pociągnęła Barbie za rękę.

- Chodź, Reese, musimy już iść.

- Ale dlaczego?

- Dlatego! - odparła z naciskiem Eleanor-Shadow. - Później ci wyjaśnię.

Oddaliły się. Oskar poczuł, że rumieni się jak piwonia. Z wielkim skupieniem przyglądał się rowerowej dętce.

- Wiesz... to znaczy... nie wracam jeszcze na Kildare Street.

Tilla wpatrywała się w niego przez chwilę. W końcu wzruszyła ramionami.

- Moss ma chyba rację: widocznie wolisz bawić się lalkami ze swoją siostrą! Cześć!

Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem i odeszły. Oskar wsiadł na rower i pedałowal najszybciej, jak tylko mógł, żeby już nie słyszeć tego śmiechu.

Zatrzymał się dopiero po kwadransie.

Zsiadł z roweru i prowadził go, idąc piękną ulicą wzdłuż parku. Wszystkie domy wyglądały tu bardzo zamożnie, jeden prezentował się lepiej od drugiego, Oskar jednak wypatrywał tego, który stał nieco dalej od ulicy. Zbliżył się do ogrodzenia z kutego żelaza; serce biło mu mocno. Pełen nadziei, przeczytał dwa słowa wygrawerowane na niewielkiej tabliczce:

Cumides Circle

Popatrzył na fasadę z jasnego piaskowca, podzieloną dużymi oknami. Okiennice były otwarte, ale w domu nie było widać najmniejszych oznak życia. Jedynie świeżo zagrabiona, wysypana białym żwirem ścieżka prowadząca do drzwi wejściowych świadczyła o tym, że ktoś stale dba o posesję. Czy surowy majordomus Bones chował się za jedną z portier? Czy Cherie kręci się nerwowo po kuchni? Dlaczego ani ona, ani jej mąż Jerry nie odpowiedzieli nigdy na jego listy i wezwania? Oskar zawahał się przez chwilę, a potem powtórzył to, co robił niemal codziennie od wielu miesięcy: wyciągnął spod koszulki łańcuszek z medalionem i przyłożył złocistą literę M do zamka w furtce.

Nic.

Nic się nie wydarzyło, tylko żelastwo skrzypnęło smętnie. Furtka nadal była zamknięta, mimo że przyłożył do niej swoją Literę. Rozczarowany pokręcił głową. Dlaczego myślał, że dziś będzie inaczej niż poprzednio? Może z powodu snu? Czy też dlatego, że wydawało mu się, że początek roku szkolnego oznacza nową epokę w jego życiu Medykusa? Westchnął ciężko, schował medalion i chciał już wsiąść na rower, kiedy poczuł, że ktoś delikatnie dotyka jego ramienia. Odwrócił się szybko: to była gałąź drzewa. Podniósł wzrok, pełen gorącej nadziei.

- Zizou! To ty! To naprawdę ty!

Gdyby tylko mógł przeskoczyć przez kratę, z pewnością uściskałby z całego serca gruby pień olbrzymiego dębu, który jakimś cudem znalazł się tuż przy furtce. Oskar poprosił dziwnego przyjaciela:

- Błagam cię, Zizou, pomóż mi wejść do ogrodu!

Drzewo jednak pogłaskało tylko lekko policzek chłopca i uniosło gałąź z powrotem.

- Nie, zaczekaj, wróć!

Na próżno. Zizou zniknął za domem Winstona Brave'a, Wielkiego Mistrza Medykusów, rozplywając się w bujnej zieleni ogrodu. I znowu nie było widać najmniejszego ruchu, jak gdyby posiadłość była kompletnie opuszczona.

Oskar pocieszał się myślą, że oto znowu ukazał się jego oczom jakiś element tajemnego świata Medykusów. Tak bardzo przecież czekał na tę chwilę! Nie było to może wiele, ale trochę go pocieszyło. Wszystko, co przeżył, nie mogło być jedynie odległym, mętnym wspomnieniem! Może niedługo pojawią się inne znaki?

Oddalił się nieco od ogrodzenia i już miał wsiąść na rower Jeremy'ego, kiedy poczuł, że coś ogrzewa mu serce. Najpierw było to tylko lekkie wrażenie ciepła, potem to coś rozgrzewało się coraz bardziej, aż wreszcie zaczęło niemal parzyć. Bez namysłu rzucił swoją torbę i odstawił rower, a potem nie zważając na to, że stoi na środku chodnika, podciągnął koszulkę. Jego medalion lśnił ognistym blaskiem. Oskar - uszczęśliwiony i zafascynowany tym widokiem - nie śmiał go wziąć do ręki, bo bał się, że może utracić swoją świeżo odzyskaną moc. Podniósł wzrok i spojrzał na okna na pierwszym piętrze: wydawało mu się, że zobaczył tam jakiś drobny ruch, ale potem już nic. Popatrzył na złotą literę M. Minęło zaledwie kilka sekund, a znowu wyglądała normalnie.

Oskar uśmiechnął się. Wskoczył na rower i ruszył jak wiatr w stronę Babylon Heights.

CO NIE?

Oskar starał się jak najprędzej dotrzeć do Jeremy'ego, licząc po cichu na to, że został tam choćby jeden kawałek smakowitej pizzy pani Golino. Nie zawiódł się. Jeremy

zorganizował Bazar w piwnicy domu rodzinnego, który stał nieco dalej na ich wspólnej ulicy. Impreza właśnie rozkręciła się na dobre. Niezliczona gromada dzieci zaśmiewała się do rozpuku, jedząc i pijąc, a także kupując niezliczone gadżety, które Jeremy wynajdywał w ich dzielnicy i nie tylko. Violette, która właśnie wymyśliła sobie, że nie musi już nic pić, właśnie wygłaszała improwizowany wykład na ten temat:

- ... i rozumiecie, jeśli wrośniemy obiema stopami w ziemię jak kwiaty, nie będziemy już musieli pić wody i będziemy mieli śliczne, kolorowe twarze!

Dookoła niej stało kilkoro dzieci patrzących na nią bez słowa. Tylko Carrie Moss, której nie brakowało charakteru, postanowiła dążyć dalej temat.

- Ale jak to? Myślisz może, że z twoich pięt wyrosną korzenie?

Violette kiwnęła głową, uśmiechając się szeroko.

- W każdym razie wszyscy ci, którzy chcieliby sprawdzić, czy to możliwe - zaproponowała - mogą wpaść jutro do mojego ogrodu. Jutro jest sobota, będziemy mieli mnóstwo czasu. Przyjdźcie na bosaka!

Wszyscy zaczęli zerkać na boki z zażenowaniem. Tylko Barth się odezwał:

- Jeśli chcesz, to ja mogę wpaść i sprawdzić...

Carrie wzruszyła ramionami.

- Wiesz co, Violette? Nie wiem, czy naprawdę jesteś kwiatkiem, ale zdecydowanie masz nie po kolei tam, w środku! - powiedziała, wskazując palcem rudą główkę dziewczynki.

Oskar, który często źle znosił szalone pomysły siostry, trzymał się z boku. Zobaczył

Jeremy'ego.

- Co tutaj robi siostra Mossa? - spytał nieufnie młody Medykus.

- Bez obaw, Mossowie nie zostali wcale naszymi najbliższymi przyjaciółmi. Po prostu siostry Ronana są całkiem do rzeczy, a Carrie jest koleżanką mojej kuzynki. Carrie ma dziesięć lat, ale kiedy się odezwie, wydaje się, że ma co najmniej piętnaście! Słyszałem, że zwróciła uwagę profesorowi Pingwinowi, wyobrażasz to sobie? Eleanor Blayne mi opowiadała. Podobno całkiem zapomniał języka w gębie...

- Moss pozwolił młodszej siostrze przyjść tutaj?

- Nie, ale ona ma to gdzieś. Za to Lorna boi się sprzeciwić bratu, spuszcza przy nim wzrok, jakby zaraz miał jej uciąć głowę...

- Wiesz, w pewnym sensie ma rację... - zauważył Oskar.

- Podobno zadręcza te biedaczki. Naśladuje zresztą ojca. Jasne, że zabronił im tu przychodzić. Ale Carrie, dwa lata młodsza od siostry, nie daje sobie w kaszę dmuchać! Coś czuję, że dzisiaj w domu Mossów będzie niezła awantura!

Oskar spojrział na zegarek: była siódma wieczorem! Nagle zdał sobie sprawę, że nie uprzedził mamy o imprezie u Jeremy'ego. Pewnie umiera teraz z niepokoju. Skrzywił się. Nie tylko u Mossów będzie dziś wieczorem awantura... Ruszył pośpiesznie w stronę Violette. Przeszkodził jej wzrastać korzeniami w ziemię i pociągnął ją w stronę wyjścia.

- Ale... Oskar, zaczekaj, muszę im jeszcze pokazać, jak się podlewa stopy!

- Do jutra, spotkamy się w parku! - krzyknął w stronę braci O'Maley, nie zadając sobie trudu, żeby odpowiedzieć siostrze.

Wracali pod numer 6897 przy Kildare Street z duszą na ramieniu. W małym domku panowała absolutna cisza, która nie wróżyła nic dobrego.

- Zapraszam was na rozmowę, NA-TYCH-MIAST. Obydwoje.

Popatrzyli na siebie i Violette schowała się odruchowo za plecami brata, chociaż była nieco wyższa. Ruszyli w stronę kuchni, skąd dobiegał głos mamy.

Celia siedziała na krześle z głową podpartą rękami. Nie zdążyła się nawet przebrać, nadal miała na sobie kostium, który nosiła do pracy, i buty na wysokich obcasach. Westchnęła głęboko i odrzuciła na plecy długie, czarne włosy, po czym podniosła się z miejsca i stanęła naprzeciwko dzieci.

- Dziękuję wam, kochani, naprawdę - wielkie dzięki. Potwornie się nudzę w życiu, wszystko jest zbyt proste i zbyt łatwe, brak mi kłopotów, a przecież nigdy nie zdarza mi się o was martwić, dlatego dziękuję wam serdecznie, że zniknęliście, nie uprzedzając mnie o tym. Dzięki temu miałam zajęcie, postawiłam na nogi całą dzielnicę. Wróciliście odrobinę za wcześnie: właśnie miałam dzwonić na policję.

- Mamo... - spróbował coś powiedzieć Oskar. - Ja...

- Nie odzywaj się. Owszem, chciałam się dowiedzieć, gdzie byliście, ale za bardzo się o was bałam, nie mam siły słuchać żadnych wyjaśnień. Chyba lepiej będzie, jeśli najpierw choć trochę się uspokoję.

Celia rzadko się unosiła. A jeśli już się tak działo, nigdy nie krzyczała. Kiedy była zła lub niespokojna, mówiła bardzo cicho, całą resztę wyrażały jednak bardzo czytelnie jej oczy - te same śliczne, fioletowe oczy, które odziedziczyła po niej Violette. Tego wieczoru Oskar widział w nich jednocześnie złość i strach.

Celia wstała, dzieci zaledwie odważyły się spojrzeć na piękną, zmęczoną twarz matki. Podniosła trzęsącą ręką swoją komórkę i wybrała z pamięci jakiś numer.

- Wszystko w porządku, już są w domu. Dzięki... Jeśli chcesz... Dobrze. Czekam.

Po tych słowach skończyła rozmowę. Ruszyła w stronę drzwi i powiedziała jeszcze, nie odwracając się w ich stronę:

- Kiedy już do was dotrze, że nie jesteście na świecie sami i że są tu ludzie, którzy przejmują się waszym losem, wpadnijcie do państwa Golino, do państwa Orfanoudakis, do Specjałów z Delhi i do pana Tina i powiedzcie im, że wszystko z wami w porządku. Niepokoją się i czekają na tę wiadomość.

U stóp schodów Celia poczuła lekkie zawroty głowy i zatrzymała się na moment. Położyła rękę na poręczy i zamknęła oczy. Gdy już minął straszny lęk o dzieci, które nie wróciły o normalnej porze do domu, i kiedy odpłynęły najczarniejsze myśli, miała wielką ochotę głośno się rozplakać. Powstrzymała się jednak. Na szczęście przez cały czas słyszała cichy, pocieszający ją głos w głębi duszy. Świetnie знаła ten głos i nigdy go nie zapomni. Podobnie jak w wielu innych stresujących sytuacjach, przed jej oczami zjawiała się kojąca twarz męża, który wydawał jej się bardziej żywy niż kiedykolwiek - mimo że minęło trzynaście lat od jego śmierci. Dzięki temu przez cały czas miała nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Czy jako matka mogła stracić zimną krew? Czy mogła się załamać? Nie, z pewnością nie chciała być taka wobec dzieci. Niech zauważą, że jest zła, ale też - że umie zapanować nad złością bez krzyku, a zwłaszcza bez łez. Chciała, żeby zrozumiały konsekwencje swojego zachowania. Otrząsnęła się i poszła na górę do swojego pokoju.

Oskar odwrócił się ku siostrze, szukając wsparcia. Chciał z kimś podzielić poczucie winy. Odbił się jednak od ściany: Violette, która nie była w stanie znieść czyjegokolwiek bólu, zamknęła się w sobie, nucąc jakąś nieznaną piosenkę i wpatrując się nieruchomo w

pas kafelków nad zlewozmywakiem.

Westchnął i postanowił od razu zastosować się do prośby matki. Otworzył drzwi, zszedł po kilku schodkach wiodących w stronę furty i... zatrzymał się jak wryty.

Przed nim stał człowiek, który był dla niego uosobieniem niewiarygodnej tępoty, ociężałości i pretensjonalnych manier: Barry Huxley. Jego największą wadą było to, że krążył bezwstydnie wokół Celi. Co gorsza Oskar podejrzewał, że matka potraktowała go łaskawie i że został jej facetem.

Oskar wychylił się nieco - Barry zaparkował swój wóz niemal na środku ulicy, tak żeby każdy mógł go podziwiać: kabriolet w odlotowym, sportowym wydaniu, z możliwie największą ilością dających po oczach chromów i spojlerów. Gdyby to było możliwe, Barry zainstalowałby sobie automatyczny alarm zwracający uwagę na jego samochód nawet wtedy, kiedy nie siedział za kierownicą.

Mężczyzna pochylił się nad Oskarem z wysokości metra dziewięćdziesięciu i złapał go w niedźwiedzi uścisk.

- No i co powiesz? - spytał, trącając go tak, jakby potrząsał drzewkiem owocowym. - Napędzamy mamie stracha, co? Chodzimy na wagary? Całe szczęście, że wasza matka może na mnie liczyć, kiedy dzieje się coś złego, co nie? Od razu do mnie zadzwoniła i przeczesałem całą dzielnicę samochodem, szukając was. Wiedziałem, że cię znaję.

Oskar wyrwał się z nachalnego uścisku.

- Chyba nie zauważyłeś, jesteśmy już w domu i wcale nas nie znalazłeś, sami wróciliśmy! Mama dzwoniła do ciebie, żeby ci o tym powiedzieć.

Barry wziął się pod boki i zmierzył chłopca wzrokiem od stóp do głów.

- Dobra, powiedz lepiej, gdzie byłeś, rudzielcu? No? Na pewno prowadziłeś się z jakąś panienką, co nie? - zasugerował i puścił do chłopca oko, starając się wprowadzić kumpelski nastrój. - Dalej, przyznaj się, dla nas facetów to normalka...

Wybuchnął głośnym śmiechem, który w żaden sposób nie okazał się zaraźliwy. Oskarowi wcale nie było do śmiechu, najchętniej kopnąłby go w goleń. Nie zamierzał zwierzać się temu typowi. Przezywali go z Violette Panem Co Nie. Każde „Co nie?”, którym okraszał swoje wypowiedzi, budziło w chłopcu bezsilną wściekłość.

- Nie - odparł szybko. - Miałem coś lepszego do roboty, ale to cię nie powinno interesować.

- Miałeś coś lepszego do roboty niż zabawa z panienkami? Masz przecież trzynaście lat, co nie... ? W twoim wieku nie ma nic lepszego do roboty! Tylko zabawa z panienkami, co nie?

Oskar pogardliwie pokręcił głową. Może i nie był całkiem obojętny na wdzięki dziewczyn - a przynajmniej jednej z nich - ale na szczęście miał też inne sprawy na głowie. Choćby kwestie związane z Zakonem Medykusów. Barry był ostatnim człowiekiem, z którym miałby ochotę o tym porozmawiać. I nie był zaskoczony, że dla tego tępaka priorytetem były panienki.

- Ludzie pozbawieni mózgu może i nie mają nic lepszego do roboty - odpalił bez namysłu. - Zajęci są zakładaniem czapek bejsbolowych tył na przód i szpanerskimi samochodami.

Barry nagle przestał się uśmiechać, zmienił się na twarzy. Oskar zrozumiał, że celnie trafił, i był z siebie nawet zadowolony. Głos matki, który rozległ się za jego plecami, przywołał go do porządku.

- Oskar, co tam robisz? - spytała Celia, stojąc na progu domu. - Wracaj w tej chwili

do środka!

Orientowała się w przepychankach pomiędzy Oskarem a Barrym i wołała, żeby nie przebywali ze sobą zbyt długo sam na sam.

To było jednak silniejsze od niego. Oskar wybiegł szybko na ulicę.

- Powiem sąsiadom, że nic się nie stało, i zaraz wracam! - zawołał w stronę matki, udając, że nie słyszy jej krzyków.

Odwiedził zaprzyjaźnione domy i wszędzie przeproszał za zmartwienie, którego był źródłem. Wiedział doskonale, że mieszkańcy Kildare Street byli jak wielka rodzina i wszystkie dzieci traktowane były trochę jak wspólne dobro. Po śmierci taty on i Violette traktowani byli w specjalny, uważny sposób. Sąsiedzi musieli naprawdę mocno się o nich martwić i Oskarowi zależało na tym, żeby ich wszystkich uspokoić.

Z największą chęcią spędziłby wieczór u O'Maleyów, co proponowali mu zarówno Jeremy, Barth, jak i ich rodzice, którzy zapraszali go na kolację. Mógłby zająć się czymkolwiek, byleby tylko nikt nie zmuszał go do spędzenia choćby kilku chwil z Panem Co Nie. Mama jednak nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby uciekł tego wieczoru z domu. Martwiło ją, że nie lubił Barry'ego Huxleya. Nie mógł się zmusić do przyjaźni ani podziwu dla tego człowieka, ale dzisiaj musiał się postarać. Wrócił do domu z duszą na ramieniu.

Przyszedł w samą porę, by usiąść do stołu. Barry nalegał, żeby usiadł koło niego. Matka kątem oka obserwowała jego reakcję, nie mógł się zatem sprzeciwić. Pan Co Nie miał chyba pamięć krótką jak kanarek - jakby zapomniał, co Oskar powiedział pół godziny wcześniej. Weisnął chłopcu na głowę swoją czapkę bejsbolową. Oskar powstrzymał odruchową chęć zerwania jej natychmiast z głowy. Violette, która wróciła

właśnie na ziemię po długiej podróży do innego, niedostępnego innym wymiaru, obserwowała go teraz ze zdumieniem.

- Od kiedy zacząłeś nosić taką czapkę?

Potrząsnęła głową nieco skrzywiona.

- Nie, ściągnij ją, proszę. Nie pasuje ci, wyglądasz jakoś mniej inteligentnie, zupełnie jak... jak...

Jej spojrzenie spoczęło na Barrym, jakby wcześniej nie zdawała sobie sprawy z jego obecności i dopiero co go zauważyła.

- No więc... zupełnie jak on.

Oskar nie wierzył własnym uszom. Miał straszną ochotę się roześmiać, a zarazem miał wrażenie, że Violette na dobre zwariowała. Celia potrząsnęła córką.

- Violette, nie zachowuj się, jak ktoś źle wychowany!

Zaskoczona dziewczynka wyciągnęła rękę i dotknęła owłosionego ramienia Barry'ego czubkiem palca wskazującego.

- No nie, to prawdziwy Barry?

Odwróciła się w stronę brata, było jej bardzo przykro.

- Pomyśleć, że przed chwilą wytarłam go z pamięci! - powiedziała najzupełniej poważnie. - Widać nie do końca to jeszcze dopracowałam.

W odpowiedzi Oskar wybuchnął gromkim śmiechem. Fakt, jego siostra czasem

doprowadzała go do szaleństwa, ale w takich sytuacjach jak ta czuł, że ją po prostu uwielbia.

Celia zdenerwowała się.

- Macie się natychmiast uspokoić, oboje! Co się z wami dzisiaj dzieje? Oszalesiście czy co?

Oskar miał zamiar coś powiedzieć, ale matka przerwała mu w pół słowa.

- Ani słowa więcej! Rozumiesz czy nie?

Barry rozparł się zadowolony na krześle.

- Mówiłem ci już tyle razy, Celia, że pozwalasz im na zbyt wiele. Widzisz, jak tylko trochę przykręcisz śrubę, od razu wszystko lepiej działa...

Celia nic na to nie odpowiedziała. Barry potraktował to jak zachętę i ciągnął dalej.

- Przy tej okazji mogłabyś im od razu powiedzieć o naszych planach...

Spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

- Słuchaj, chciałabym sama decydować, kiedy powiem o tym moim dzieciom i...

- Robisz za dużo zamieszania w tej sprawie, zupełnie bez sensu - skwitował Barry, nie dając jej dokończyć zdania.

Oskar wstrzymał oddech. Mieli jakieś „plany”? Mama i ten tam?... Przez chwilę miał najgorsze podejrzenia, wolał jednak odsunąć je od siebie. Barry zwrócił się w stronę dzieci.

- Wasza mama i ja, my...

- Barry, pozwól, że ja to zrobię - powiedziała Celia.

Pan Co Nie westchnął głęboko i zaczął sobie oglądać paznokcie. Celia wpatrzyła się w swój talerz i odezwała się do dzieci:

- Barry był tak miły i zaproponował mi... eee...

Oskar nie wytrzymał dłużej.

- Co takiego ci zaproponował?!

Krzyknął tak głośno, że Violette podskoczyła na miejscu.

- Wie doskonale, że ciężko pracuję, a to lato z panem Geldhofem było trudne do zniesienia - wyjaśniła Celia. - Zaproponował więc, żebyśmy wyjechali gdzieś na kilka dni, abym mogła choć trochę odpocząć.

Oskarowi wyrwało się głośne westchnienie ulgi. Natychmiast jednak wyobraził sobie, że mama i Barry wyjadą gdzieś jak dwoje zakochanych (ciężko mu było nawet pomyśleć o tym słowie, a co dopiero je wymówić) i ta myśl wydała mu się nie do zniesienia.

Ku zaskoczeniu wszystkich pierwsza zareagowała Violette. Podskoczyła na swoim krześle i rzuciła się w stronę matki.

- Mamo, pojedziecie samochodem Barry'ego?

Celię zaniepokoił dziwny wygląd córki. Odpowiedziała nieskładnie:

- Jeszcze nie podjęliśmy decyzji, najpierw muszę się upewnić, czy pani Orfanoudakis lub państwo O'Maley mogą wziąć was na trochę do siebie, żebyście czuli się dobrze i żeby to nie było dla was wielkim wyrzeczeniem...

- Co ty kombinujesz? - wtrącił się Barry. - Dlaczego dla twoich dzieciaków to miałyby być jakieś wyrzeczenie?

- Mamo - powtórzyła Violette. - Czy pojedziecie jego samochodem?

- Ależ tak - odpowiedział Barry, nie czekając na reakcję Celi. - To przecież superbryka, co nie?... - dodał, dumny, jak paw.

Violette ścisnęła dłonie matki.

- Ależ mamo, nie możesz tak jechać! Ten samochód nie ma dachu!

- Kochanie, co ty znowu wymyśliłaś?!

- Kiedy masz jakieś zmartwienia - ciągnęła Violette - albo kiedy brakuje nam pieniędzy, mawiasz zawsze: „To nic, dzieci, najważniejsza rzecz w życiu to mieć dach nad głową!”. A samochód Pana Co Nie...

- Czyj samochód? - przerwał jej Barry.

- ... nie ma dachu! - dokończyła Violette, bardzo zmartwiona.

Celia przymknęła oczy.

- Ależ to tylko takie powiedzenie, Violette... To ma znaczyć, że masz dom, schronienie, rozumiesz? Nie udawaj dziecka, bardzo cię proszę!

Violette odwróciła się w stronę Barry'ego i przyglądała mu się z wielką uwagą.

- Popatrz tylko: on ma pusto w głowie, jest jak ten jego samochód, brak mu dachu nad głową, to dlatego. Z nim nigdy nie znajdziesz bezpiecznego schronienia. Nigdy - dodała ciszej.

Nie czekając na odpowiedź, Violette wybiegła z kuchni. Oskar cały się gotował, jednak - zupełnie wyjątkowo - nie miał pojęcia, co powiedzieć i jak sprzeciwić się wyjazdowi mamy z tym tępakiem, którego teraz po prostu nienawidził. Zanim się odezwał, Celia próbowała przemówić mu do rozsądku:

- Słuchaj, przecież tu nie chodzi o karę dla was, Barry chce mi po prostu sprawić przyjemność i...

- Ale my już zostaliśmy ukarani jego obecnością! - powiedział Oskar, wskazując ruchem głowy Barry'ego.

Celia nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo w tej samej chwili do kuchni wpadła Violette. Podbiegła do Barry'ego, podniosła rękę z gumką i zaczęła energicznie pocierać jego skórę.

- Hej, co ty wyprawiasz? Wyrzywasz mi włoski!

- O nie! - jęknęła Violette, straszliwie rozczarowana. - Znowu mi nie wyszło, on tu ciągle jeszcze jest!

Nie bardzo wiedziała, co począć, stała przed Barrym, wykonując nieskoordynowane ruchy rękami.

Celia miotła się między nimi ze łzami w oczach.

- Jesteście złośliwi i przynosicie mi wstyd! - powiedziała roztrzęsionym głosem.

Oskar spojrział na Barry'ego ze złością. To z jego powodu mama powiedziała o nich coś, czego nigdy wcześniej nie słyszeli.

Wstał i w milczeniu wyszedł z kuchni, a za nim siostra.

Długą chwilę siedział na podłodze w swoim pokoju, kopiąc futbolówkę. Kiedy już miał dosyć rzucania w myślach gromów na matkę i na tego kretyna, wstał i wyszedł na korytarz. Wolał przejść się jeszcze trochę po ulicy niż natknąć się znowu gdzieś w domu na Barry'ego Huxleya. Było jeszcze jasno, a Celia pozwoliła im wychodzić z domu wieczorem. Wiedziała dobrze, że w okolicy nic im nie grozi.

Przechylił się przez poręcz i sprawdził, czy droga jest wolna. Już miał zejść na dół, zmienił jednak zdanie i zajrzał do pokoju Violette. Serce mu się ścisnęło i zmienił plany. Przeszła mu chęć, żeby wyjść na dwór.

Wszedł do jej pokoju, zamknął bezszelestnie drzwi i usiadł blisko niej, na łóżku.

- Violette! - powiedział, jak gdyby przywoływał ją z jakiejś odległej planety.

Violette siedziała nieruchomo na łóżku z założonymi rękami, wpatrzona w okno i dalej, w czerwieniejące niebo. Jej twarz otaczała gumka, która przytrzymała otwartą książkę pełniącą funkcję nakrycia głowy. W sumie wyglądało to dość zabawnie i Oskar się uśmiechnął. Violette odwróciła się ku niemu i także uśmiechnęła się do niego, co nieco rozpuściło jej smutną twarz.

- Masz rację - powiedział Oskar, patrząc na książkę, rozłożoną na jej głowie. - Dzięki temu zawsze masz jakiś dach nad głową.

Siostra zdjęła gumkę z głowy i pochyliła się w jego stronę.

- Chcesz się tutaj schronić razem ze mną?

Oskar zawahał się przez chwilę, wzruszył ramionami, w końcu przysunął głowę do ucha Violette.

- Niech będzie! - powiedział, chowając się pod daszek z książki. - Pobędziemy tutaj razem.

UKŁAD

Limuzyna wydostała się z zakorkowanych ulic centrum miasta. Mężczyzna wygodnie rozparty na tylnym siedzeniu niecierpliwił się.

- Ależ ty się wleciesz! Nie możesz dodać trochę gazu? Chyba nie będziemy tak jechać do wieczora, co? Nie mam pojęcia, dlaczego właściwie przyjąłem cię do pracy, Silvio. Jesteś fatalnym szoferem... Następnym razem to ja usiądę za kierownicą, na pewno pójdzie dużo szybciej.

Silvio zerknął w lusterko: jego pasażer niemal leżał na siedzeniu. Każdego dnia z coraz większym trudem znosił jego skrzywioną twarz i agresywne spojrzenie. Był tylko szoferem, ale od samego początku gardził tym aroganckim facetem, który w jego oczach nie miał żadnej wartości. Jego pracodawca reprezentował ten rodzaj człowieka, który sądzi, że pieniądze otwierają wszystkie drzwi i pozwalają na wszystko, łącznie z brakiem szacunku. Nie miał jednak większego wyboru: - potrzebował tej pracy. Powściągnął złość, nie odezwał się ani słowem i przyspieszył nieco.

Samochód opuścił miasto i jechał jeszcze dobry kwadrans pustą drogą, wijącą się pośród pól, później przez las. W końcu dojechali do ogrodzenia jakiejś posiadłości. Poruszali się wzdłuż wysokiego i ciemnego, kamiennego muru, najeżonego sterczącymi, ostrymi kawałkami szkła z potłuczonych butelek, tak, by nikt nie mógł przejść górą. Samochód zatrzymał się przed bramą z kutego żelaza.

Facet z tylnego siedzenia otworzył drzwi samochodu wściekłym ruchem i wysiadł. Zapukał w szybę i Silvio otworzył ją, wlepiając wzrok prosto przed siebie.

- Zaczekaj na mnie tutaj - warknął jego szef. - Zrozumiałeś? Jeśli nie zastanę cię tu, kiedy wyjdę, będziesz mógł sobie poszukać innej roboty!

Silvio bez słowa nacisnął guzik i szyba się podniosła.

Człowiek na zewnątrz wymamrotał jeszcze jakieś groźby i zbliżył się do bramy. Zadzwonił i spojrzał w stronę kamery nad wejściem, która wydawała się go obserwować.

W domofonie zabrzmiał nosowy głos:

- Kto tam?

- Jestem umówiony z panem Wormem! - powiedział krótko człowiek przed bramą. - Proszę mi otworzyć.

Minęło kilka chwil, które okazały się dla niego zbyt długie, nacisnął więc znowu dzwonek. Jedno ze skrzydeł bramy uchyliło się, skrzypiąc. Mężczyzna odwrócił się i po raz ostatni spojrzał w kierunku szofera, potem zniknął za bramą.

Rozejrzał się dookoła: za plecami miał ten niezbyt przyjemnie wyglądający mur,

przed nim zaś rozciągały się gęste zarośla o ciemnoczerwonych liściach. Ruszył naprzód wygracowaną alejką. Zauważył na niej ślady opon samochodowych i klął pod nosem:

- Do diabła, mógłby mnie tu wpuścić samochodem, pobrudzę buty i spodnie... Dałem fortunę za ten garnitur!

Pogładził z satysfakcją materiał i poszedł dalej.

Kiedy minął zagajnik, stanął zupełnie zaskoczony. Znajdował się kilka kilometrów za Pleasantville, tymczasem przed nim wyrastał z ziemi prawdziwy szkocki zamek, ozdobiony wieżyczkami, otoczony murem, zwieńczonym blankami, z wąskimi oknami w wyniosłych fasadach! Opowiadano mu wcześniej o „neogotyckiej siedzibie z czasów renesansu”, ale ponieważ nie miał zielonego pojęcia, co to mogło oznaczać - i miał to w głębokim poważaniu - nie spodziewał się, że zobaczy ufortyfikowany zamek. W cieniu lasu, ciemny kamień elewacji porósł mchem, co sprawiało, że budowla wydawała się jeszcze bardziej ponura. Miał wrażenie, że noc zapada tutaj wcześniej niż w całej okolicy.

Wszedł ostrożnie po śliskich, kamiennych stopniach i zbliżył się do drzwi. Wziął do ręki żelazną kołatkę w kształcie dłoni i głośno zastukał kilka razy.

- Proszę zaczekać.

Podskoczył na dźwięk głosu chrypiącego w kolejnym domofonie. Był na siebie zły z tego powodu i miał nadzieję, że nikt inny nie zauważył tego na jakimś kontrolnym monitorze.

Niedługo później - czas ten dłużył mu się jak wieczność - drzwi uchyliły się automatycznie.

Wszedł do środka, drzwi za jego plecami zatrzasnęły się z głuchym hukiem i

pogrążył się w ciemnościach ogromnego hallu. Światło dzienne z trudem przesączało się przez spływające z bardzo wysoka czarne portiery. Zrobił kilka kroków, które odbiły się głośnym echem na - oczywiście czarnym - marmurze posadzki. W tej ponurej siedzibie wszystko chyba było czarne. Przeszedł dalej, by dotrzeć do leżącego pośrodku pomieszczenia dywanu w kolorze ołowiu. Miał nadzieję, że na dywanie skórzane podeszwy jego sztych na miarę butów, z których był taki dumny, przestaną rozpaczliwie skrzypieć. Podniósł głowę - kasetonowy plafon pokryty srebrno-czarnymi malowidłami wydawał się niedosiężny. Tuż pod nim widać było biegnący wzdłuż ścian i nadający charakter całemu wnętrzu bogato rzeźbiony balkon, ozdobiony kolumnami z hebanu. Wydało mu się, że z tyłu, za kolumnami, dostrzega pojawiające się i znikające jak duchy cienie.

Dlaczego panuje tu taka cisza i takie ciemności?

Miał wrażenie, że znalazł się w kościele albo - jeszcze gorzej - w klasztorze. Oględnie mówiąc, mężczyzna nie był specjalnie religijny, ani zainteresowany medytacją. Kiedy tylko się wzbogacił, w pierwszym swoim odruchu starał się, żeby wszyscy to dostrzegli i o tym słyszeli. Zastanawiał się, dlaczego Worm nie mieszkał - podobnie jak on sam - w najlepszej dzielnicy miasta, Worm, który był właścicielem licznych zakładów chemicznych w Europie Wschodniej i z pewnością władał olbrzymią fortuną. Musiała być znacznie większa niż jego własny majątek. Pokręcił głową: co za marnotrawstwo, doprawdy... Nie ma najmniejszych wątpliwości, że on sam wiedziałby, jak wykorzystać taką kasę. Ten idiota mógłby sobie fundnąć najbardziej wypasioną chatę w mieście! - pomyślał.

W hallu panowała niezwykła cisza. Zdawało mu się, że słyszy swój własny oddech. Atmosfera nie była jednak szczególnie miła i przytulna, przeciwnie, wydawało się, że od dawna - ba! od zawsze - wisi tu w powietrzu coś ciężkiego.

W końcu jakiś dźwięk przerwał ciszę - był to szelest materiału, dochodził z góry.

Podniósł wzrok: jakaś kobieta w długiej sukni mijała kolejne kolumny na balkonie. Szła szybkim i lekkim krokiem. Cofnął się nieco, by lepiej się jej przyjrzeć. Widział jednak tylko połyskujący ciemny materiał i dłoń przesuwającą się po balustradzie.

- Hej tam, niech się pani zatrzyma na chwilę! - zawołał do niej, jakby zwracał się do handlarki ryb na targu przy Bond Street. Zapomniał, że był w tym domu gościem.

Kobieta szła dalej, wyprostowana jak świeca, zwolniła tylko trochę kroku i odwróciła głowę. Zagadnął ją znowu.

- Czy mogłaby pani zawołać pana Worma? Ja...

Nie skończył zdania. Kobieta przesunęła się do przodu na tyle, że jej twarz oświetlił nieśmiały promień światła, który przedostał się przez zamknięte okiennice. Zatkąło go, kiedy ujrzał jej oczy - czarne, głębokie i wspaniałe. Było w tym spojrzeniu dużo wdzięku, ale i dużo smutku. Miały dziwnie lodowaty wyraz. Zupełnie jakby kobieta była częściowo martwa.

- Przepraszam bardzo - jękał się. - Ja... byłem umówiony...

Stwierdził, że kobieta ma raczej młode rysy twarzy. Zauważył wysokie kości policzkowe i włosy upięte nisko na karku. Wydała mu się bardzo piękna, mimo że jej twarz także była zgaszona. Mężczyzna dostrzegał jednak tylko ładną kobietę, którą być może da się oczarować. Wypiął szeroki tors i posłał jej nieprzyzwoity uśmiech.

- Jeśli Worma nie ma w domu, może by go pani mogła zastąpić. Jestem pewien, że mielibyśmy sobie mnóstwo do powiedzenia.

- Pan Worm zaraz pana przyjmie.

Głos dochodził z tyłu. Odwrócił się gwałtownie: po środku hallu stała nieruchomo

jakaś kobieta w fartuszku. Znowu spojrzął na balkon. Nie było tam już nikogo, kobieta zniknęła. Bezczelnym ruchem wyciągnął palec w kierunku kolumnady, za którą zniknęła podziwiana przez niego przed chwilą piękna nieznajoma.

- Co to za jedna?

Służąca stała sztywno i bez ruchu. Najchętniej bez cienia litości odprowadziłaby tego źle wychowanego człowieka do drzwi i wyprosiła go z domu. Niestety, gospodarz czekał na niego.

- Pan Worm nie ma żadnych gości! - powiedziała oschłym tonem.

Przez chwilę wpatrywał się jeszcze w balkon, potem zrezygnowany odwrócił się w stronę służącej.

- Dobrze, niech mnie pani prowadzi do szefa! - rzucił pogardliwym tonem.

Minęli drzwi i ruszyli na górę krętymi schodami, które znajdowały się w narożnej wieży. Weszli na trzecie piętro.

Kiedy szli korytarzem, mężczyzna ze złośliwą radością stukał obcasami po parkiecie. W końcu jego przewodniczka zatrzymała się przed wysokimi, lśniącymi drzwiami. Dyskretnie zapukała.

- Niech go pani wpuści! - powiedział ktoś po drugiej stronie.

Kobieta otworzyła drzwi i oddaliła się cichym krokiem, nie odzywając się już ani słowem do gościa.

Ten zaś wszedł do gabinetu, który wydawał się ciągnąć wzdłuż całej fasady zamku. Domyślać się tego można było jednak tylko z układu okien, zasłony były bowiem

zaciągnięte i niczego nie można było dostrzec przez okna. Jedynym źródłem światła była lampka świecąca słabym blaskiem na biurku w głębi mrocznego pomieszczenia.

- Proszę usiąść! - powiedział ktoś lekko nosowym głosem.

- Gdzie pan się podziewa, Worm? Nic nie widzę w tej ciemnicy! Jak pan w ogóle może żyć tutaj i odwalać jakąkolwiek robotę? Niech pan tu trochę przewietrzy, stary, nie można tkwić w takim zamknięciu, zapleśnieje pan!...

Mężczyzna ruszył w kierunku pierwszego z brzegu okna i wyciągnął ręce, żeby odsunąć zasłony.

- Niech pan niczego nie dotyka. Proszę usiąść.

Worm wyłonił się z półcienia. Mimo braku dobrych manier, gość poczuł, że trzeba usłuchać. Bez dyskusji. Obserwował pana tego domu: w żółtawej poświacie lampy odcinał się wyraźnie jego ostry profil. Miał długi nos, będący przedłużeniem linii czoła, przymrużone oczy, rzadkie siwiejące włosy, które gdzieś niedługo zachowały jeszcze brązowy odcień. Nosił marynarkę ze stójką. Fletcher Worm, członek Rady Najwyższej Medykusów, położył dłoń na biurku i gość był zaskoczony, widząc, jak bardzo przezroczysta była jego skóra. Można było dostrzec wszystkie żyłki na jego palcach.

Worm zasiadł za biurkiem w skórzanym fotelu z wysokim oparciem.

Jego gość usiadł na niższym siedzisku. Czyżby był to celowy zabieg, aby ktoś siedzący na tym miejscu poczuł od razu, że jest na słabszej pozycji? Chętnie podniósłby się z powrotem, by zdominować swoją masywną i silną sylwetką szczupłą postać Worma, ale nie odważył się tego zrobić. Członek Rady był ważną osobistością, a jego wpływy sięgały daleko poza granice miasta. Nadal jeszcze nie miał pojęcia, dlaczego został zaproszony na to spotkanie, był jednak przekonany, że może dużo zyskać, dogadując się z Wormem i mając jego poparcie. Mężczyzna wiedział dobrze, że biorąc

pod uwagę jego wątpliwe interesy, każde wsparcie może się okazać cenne, zwłaszcza płynące ze strony Rady Najwyższej... Czekał, aż Worm zacznie rozmowę. Nie trwało to długo.

- Rozumiem dobrze pana reakcję - powiedział Worm. - Wszystko to musi się panu wydawać bardzo... smutne i ponure w porównaniu z pana pięknym domem.

Mężczyzna wyprostował się z dumą, nic nie sprawiało mu większej radości niż możliwość mówienia o sobie samym i przechwalanie się swoimi pieniędzmi.

- No, jeśli już o tym mowa, to faktycznie, mam niezły dom! Musi mnie pan kiedyś odwiedzić, pan i pańska piękna żona.

Na wzmiankę o żonie Worm na krótką chwilę zeszywniał, potem jednak znowu usiadł spokojnie.

- Ale uwaga! Będzie pan musiał zabrać ze sobą okulary słoneczne, bo u mnie jest inaczej, niż tutaj! - dodał, rozglądając się po pokoju. - Smutne obrazy, ponure dywany, bordowe aksamitne fotele, to nie w moim stylu, wie pan. U mnie wszystko jest na błysk!

Wybuchnął głośnym śmiechem, a Worm uśmiechnął się także przelotnie, zanim się znowu odezwał.

- Oczywiście. Wszystko na wielki błysk, tak jest. To musi być cudowna odmiana, dla takich ludzi, jak pan.

Musiało minąć kilka chwil, zanim jego rozmówca zauważył uszczypliwość.

- Za kogo się pan ma, Worm? - wrzasnął, prostując się. - Ludzie, tacy jak ja, jak pan mówi, mają prawie tyle samo kasy, co pan, rozumiano?... Tyle tylko, że my nie tkwimy w ciemnym grobowcu, my umiemy korzystać z tych pieniędzy! U nas w domu jest

więcej lamp niż ta biurkowa żarówczyna!...

Na twarzy Worma nadal widniał lekki uśmiech.

- Może i ma pan tyle samo pieniędzy, jednak nie zarobiliśmy ich w ten sam sposób, ot, cała różnica.

Mężczyzna skoczył na równe nogi i wyciągnął w stronę Worma zaciśniętą pięść.

- Worm, jeśli ściągnął mnie pan tutaj, żeby mnie obrażać, to...

- Niech pan się uspokoi! - uciął Worm. - Zupełnie mnie nie interesuje pochodzenie pańskiej fortuny. Jeśli mówię o różnicy, mam na myśli to, że nikt nie prowadzi śledztwa na temat pochodzenia moich pieniędzy, czego nie da się, niestety, powiedzieć o panu.

Mężczyzna oparł się obiema rękami o biurko i pochylił się w stronę Worma z groźnym, ale i jednocześnie zaniepokojonym wyrazem twarzy.

- Co pan sugeruje? Że toczy się jakieś śledztwo na mój temat? To groźba? Mam to gdzieś!...

- To nie jest groźba, tylko fakt, i nie powinien pan mieć tego gdzieś. Niebawem może się pan obudzić z ręką w nocniku. A ja sprowadziłem pana tutaj z przyjaźni i żeby pana ostrzec. Jest pan jednym z naszych, jeśli mnie pamięć nie myli. Mam kilku wysoko postawionych przyjaciół, którzy mnie ostrzegli, i przekazują to panu. Może się pan uważać za szczęściarza.

Worm pozwolił, aby jego gość przetrawił tę wiadomość. Ten ostatni odwrócił się i obserwował przez chwilę tapety, boazerie i szwajcarski zegar, który tykał uparcie i równomiernie. Gabinet wydał mu się jeszcze bardziej przygnębiający niż w chwili, kiedy tu wchodził. Popatrzył na Worma.

- Czy to wszystko, co mi pan chciał powiedzieć?

- Nie - odparł Worm. - Mam panu więcej do zaoferowania, na mocy naszej przyjaźni i solidarności. Jeśli pan zechce, pomogę panu zrobić porządek z tymi plotkami i z ludźmi, którzy za bardzo wokół pana węszą. Mogę też zaproponować panu ochronę, jeśli ktoś pana zaatakuje.

Mężczyzna walnął mocno pięścią w biurko.

- Oto moja ochrona. Niech mi pan wierzy, nie potrzebuję żadnej innej. To zawsze świetnie działało.

Worm zareagował szybciej niż błysk gromu. Wyciągnął nagle rękę spod biurka, schwycił pięść gościa i ścisnął tak mocno, że ten ostatni krzyknął z bólu. Potem puścił, a mężczyzna cofnął się, zaskoczony. Nigdy nie spodziewałby się takiej siły po szczupłych palcach członka Rady Najwyższej, który musiał być przecież od niego starszy o jakieś trzydzieści lat.

- Widzi pan sam, jak jest - powiedział Worm. - To jednak nie zawsze działa. Tym bardziej w pańskiej sytuacji. Mają na pana dosyć materiałów, żeby wsadzić pana do więzienia na wiele lat.

Mężczyzna oddalił się nieco od biurka, nieufnie masując rękę. Miotła nim chęć zmiżdżenia starego piernika, zarazem jednak podejrzewał, że musi zachować ostrożność, skoro nie docenił jego siły fizycznej.

- Wobec tego w jaki sposób może mi pan pomóc?

- Jest pewien człowiek, który może pana z tego wydobyć jednym ruchem ręki.

Jednym ruchem ręki. Worm popatrzył na obolałą dłoń swojego rozmówcy i uśmiechnął się. Mężczyzna nie zrozumiał jednak subtelnej gry słów.

- W porządku, niech pan sobie ze mnie nie kpi, proszę mówić jaśniej!

- Brave! - rzucił krótko Fletcher Worm.

- Winston Brave? Wielki Mistrz? O nim mogę zapomnieć. Znam go, próbowałem się z nim umówić, żeby bronił mnie w... powiedzmy w innej sprawie, ale wypiął się na mnie.

- To najlepszy adwokat w mieście, potrzebuje pan kogoś takiego. Porozmawiam z nim, przypomnę mu, jakie łączą nas więzy. Nie odmówi pomocy zagrożonemu Medykusowi. Niezależnie od tego, kim jest ten Medykus! - dodał Worm, obrzucając wzrokiem stojącego przed nim mężczyznę.

Ten namyślał się przez kilka minut. W jego oczach zapłonęły złośliwe ogniki.

- No cóż, owszem, ma pan rację - może zrobi tę grzeczność innemu Medykusowi. To pozwoli naprawić nieco błędy, jakie popełnił.

Worm wyprostował się w fotelu i popatrzył na gościa pytająco. Ten wyjaśnił, co miał na myśli:

- Podobno zgodził się wziąć pod swoje skrzydła młodego Pilla. Zdaje pan sobie sprawę? Członka rodziny Pillów! A przecież to nazwisko zostało wytarte, a Trofea ojca zostały...

- Wiem! - uciął Worm.

- Mógłbym to wykorzystać, co? Nie będę o tym nikomu opowiadał, jeśli zgodzi się podjąć mojej obrony!

Worm zbył te słowa ruchem ręki.

- Wszyscy już o tym wiedzą. Winston Brave jest bardzo cenionym Wielkim Mistrzem, wszyscy darzą go zaufaniem i wierzą, że podejmuje słuszne decyzje.

Mężczyzna zachichotał i wyminął biurko, by zbliżyć się do Worma.

- „Bardzo ceniony Wielki Mistrz”... Widzę, że nie sprawia to panu przyjemności, co, Worm? Coś mi się widzi, że niechętnie pan to przyznaje.

Worm podniósł się wolno z miejsca, ale usiadł z powrotem.

- Jeśli o mnie chodzi, mam do niego całkowite zaufanie - powiedział, zachowując zimną krew. - I mam wrażenie, że on także mi ufa. Wiem, że jeśli pomówię z nim o pana sprawie, pomoże panu. Jest lojalny. Niech pan bierze z niego przykład, oszczędzi pan sobie wielu kłopotów. To tyle. Jeśli woli pan radzić sobie z tym problemem samodzielnie, nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Worm ruszył ze swoim gościem w stronę drzwi. Mężczyzna chwycił go za ramię, cofnął jednak szybko rękę pod wpływem spojrzenia członka Rady.

- Zgoda, Worm - skapitulował. - Niech będzie. Czego pan chce w zamian? Bo rozumiem, że to jakaś wymiana, prawda? Pamięta pan chyba, że jest pan moim dłużnikiem? Zrobiłem panu pewną przysługę kilka lat temu... Czy muszę panu odświeżyć pamięć?

Worm poprawił sobie mankiety. Stał sztywno wyprostowany.

- Nic od pana nie chcę w zamian, przeciwnie, to nie koniec mojego wsparcia. Mam dla pana pewną propozycję.

Mężczyzna popatrzył na niego podejrzliwie.

- Chyba nie skorzystam z tego wsparcia. Nie mogę nadużywać pana grzeczności.

- Niech się pan nie obawia. Zresztą, nie chodzi tutaj o pana.

- To o kogo chodzi?

- Tym razem chcę pomóc pańskiemu dziecku.

- Mojemu dziecku? Ależ...

Worm podprowadził go z powrotem w stronę fotela.

- Ma pan jeszcze parę chwil? Mogę panu zaproponować coś do picia?

Kiedy w końcu otworzyły się drzwi i mężczyzna wyszedł z gabinetu, przepełniała go satysfakcja i zarazem wątpliwości.

- Kiedy?

- Jutro - odparł Fletcher Worm. - Im wcześniej, tym lepiej.

Mężczyzna zawahał się, a potem kiwnął głową.

- Nie jestem idiotą, Worm, a w każdym razie nie takim, za jakiego mnie pan ma. Nie

jest pan instytucją charytatywną i podejrzewam, że pana propozycja nie jest wcale bezinteresowna. Zależy mi na moim chłopaku i może pan być pewien, że będę miał pana na oku.

- Proszę się nie obawiać, to może mu przynieść tylko korzyść.

- Ale uwaga! - przypomniał mężczyzna. - Coś za coś.

- Jutro pomówię o panu z Brave'em.

Gość miał już wyjść, cofnął się jednak w ostatniej chwili.

- Worm?

Członek Rady zasiadł już w swoim fotelu. Spojrzał tylko milcząco na mężczyznę. Ten uśmiechnął się jadowniczo.

- Wyrazy szacunku dla pańskiej żony!

PRZEJŚCIE

Oskar uchylił powieki, oślepiało go złociste światło. Pomacał ręką, chcąc znaleźć swój zegarek, który leżał zawsze w pobliżu, razem z niewielkim albumem rodzinnych fotografii, gdzie były zdjęcia ojca. Szósta piętnaście! Odwrócił się w stronę ściany i z głębokim westchnieniem nakrył głowę jaśkiem. Minionej nocy obudził go koszmar senny, a dziś, w sobotni poranek, kiedy mógł spać, jak długo chciał, zapomniał zgasić lampkę przy łóżku... Ostrożnie podniósł róg jaśka. Światło świeciło teraz z innej strony, znowu prosto w oczy! Tym razem całkiem oprzytomniał. Jeszcze nigdy do tej pory nie zdarzyło się, żeby jego lampka samodzielnie przeskoczyła z jednej strony łóżka na drugą!

Usiadł, przetarł oczy i kiedy zrozumiał, co się stało, zakrył dłonią usta, by nie wrzasnąć z radości. Fiolka Hepatolii, jego pierwsze Trofeum, tańczyła w powietrzu przed jego oczami, lśniąc mocniej niż kiedykolwiek!

Wyskoczył z łóżka na podłogę.

Drzwi szafy stały otworem, podobnie jak kuferek, w którym schował wcześniej Fiolkę. Usłyszał jakiś dźwięk i za chwilę ujrzał pas z pięcioma sakiewkami, który frunął przez cały pokój, tak jak kiedyś, jak dawniej! Oskar bez namysłu wskoczył w dzinsy, koszulkę i trampki. Pas owinał się wokół jego bioder, on sam rzucił się tymczasem w stronę szafy, by wyjąć stamtąd pelerynę i zarzucić ją na ramiona. Sprawdził, czy jego Grimoire znajduje się w tylnej kieszeni. Był już w pełnym rynsztunku! Ponownie ożyło wszystko to, co czyniło zeń Medykusa. Z pewnością był to najpiękniejszy dzień w jego życiu od roku.

Chciał schwycić kryształowy flakonik napęczniony Nektarem, ten jednak wymknął mu się i pozęgłował w stronę drzwi.

- Wszyscy jeszcze śpią - uprzedził Oskar. - Z Violette nie ma większego problemu: nawet w ciągu dnia nie zawsze słyszy, co się wokół niej dzieje, ale mama ma lekki sen. Jeśli otworzę drzwi, obudzi się...

Fiolka jakby wahała się przez chwilę, a później skierowała się w stronę okna. Oskar ruszył za nią.

- Co zamierzasz zrobić? - wyszeptał.

Zrozumiał w końcu i otworzył okno. W tej samej chwili poczuł, że pas ciągnie go w stronę parapetu.

- Ale... spadnę przecież! - powiedział, starając się pohamować krzyk.

Zanim zdążył się zorientować, co się z nim dzieje, pas sprawił, że znalazł się po drugiej stronie okna! Złapał obiema rękami poły peleryny, która otworzyła się jak spadochron, dzięki czemu wylądował łagodnie na ogrodowym trawniku. Odetchnął z ulgą. Na szczęście nadal miał umiejętności Medykusa, a peleryna nie utraciła swojej mocy. Rozejrzał się. Ogród wokół niego wydawał się nadal uspiiony, podobnie jak i ten należący do sąsiadki, pani Wing. Ulica budziła się z wolna do życia. Oskar zbliżył się do furtki: jedynie w sklepiku pana Dawesara dostrzegł oznaki życia. Podniósł wzrok i spojrzał na okna swojego domu. Czy powinien wymykać się o świcie? A jeśli mama obudzi się wcześniej niż zwykle i zobaczy jego puste łóżko? Fiolka zdecydowała za niego i popłynęła w stronę ulicy, nie martwiąc się wcale, co będzie, jeśli zobaczą ją sąsiedzi, którzy już się obudzili. Oskar nie namyślał się dłużej. Ruszył jej śladem.

Posuwali się wzdłuż Kildare Street, aż do rogu Pennymore Street, potem skręcili w prawo. Od czasu do czasu Fiolka zwalniała i pozwalała, by zdyszany chłopiec ją dogonił. Kluczyli ulicami Babylon Heights w blasku wschodzącego słońca. Oskar - który znał swoją dzielnicę na pamięć - odkrywał teraz jej zupełnie nowy, poranny obraz i był nim zachwycony. W końcu stracił z oczu Fiolkę - przepadła gdzieś za pocztą, w gęstwinie parku.

Zaczął biec alejką w stronę muszli koncertowej. Park nie wyglądał o tej porze przyjaźnie. Odkąd Fiolka zniknęła z jego pola widzenia, chłopiec poczuł się samotnie i niezbyt pewnie w tej okolicy. Podskoczył, kiedy usłyszał jakiś chrapliwy dźwięk. Pochylił się, by schować się przed niepożądanym wzrokiem za balustradą z kutego żelaza. Tak ukryty posuwał się do przodu, aż na tyły muszli. Hałas nasilał się, przypominał odgłos hipopotama wychodzącego z kąpieli. Przykleił nos do poręczy i z ulgą dostrzegł lśniąca Fiolkę. Wyprostował się powoli. Jego Trofeum zatrzymało się, wisząc w przestrzeni nad jakąś ławką. Oskar zobaczył na niej mężczyznę pogrążonego w głębokim śnie. Rozpoznał go bez trudu: był to Pavarotti, miejscowy kloszard, który z wyboru mieszkał w parku, a konkretnie na tej ławce.

To Jeremy przedstawił Pavarottiego Oskarowi. Wyjaśnił koledze, skąd wzięło się przezwisko tego człowieka. Pocziwiec ów budził się regularnie koło północy i zanim ponownie zapadł w twardy sen, wyśpiewywał gromkim głosem arie operowe, stawiając na nogi całą okolicę. Oskar i jego przyjaciele dokonali Introdukcji do jego ciała bez jego wiedzy, odbyli tam swoją pierwszą walkę z Patologusami, odwiecznymi wrogami Medykusów.

Wszystkie wydarzenia minionego roku powróciły w pamięci chłopca z bolesnym natężeniem. Ten rok, spędzony w zawieszeniu, był dla niego ciężki do zniesienia między innymi dlatego, że nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje z jego przyjaciółmi ze świata wewnętrznego, Valentine i Lawrence'em, towarzyszącymi mu we wcześniejszych przygodach. Połączyła ich prawdziwa przyjaźń i nie pojmował, jak mogli zniknąć - bez uprzedzenia, bez słowa, nie martwiąc się o niego i nie dając mu znaku życia. Kiedy Fiolka ożyła i przesłała mu oczywisty sygnał, że jego moc Medykusa jeszcze nie wygasła, w Oskarze odżyła nieprzytomna nadzieja, że może uda mu się odnaleźć przyjaciół.

Fiolka zatoczyła łuk, podfrunęła do Oskara i zachęcała go, by oddalił się od muszli koncertowej, podchodząc bliżej Pavarottiego. Kiedy młody Medykus zbliżył się do ławki, flakonik delikatnie wsunął się do pierwszej z sakiewek przytroczonych do jego pasa.

A więc to Fiolka doprowadziła go tutaj, jak gdyby miał umówione spotkanie. Niewykluczone, że wewnątrz ciała Pavarottiego. Oskar pochylił się nad mężczyzną i kopnął niechcący pustą butelkę po winie, która poturlała się po ziemi. Pavarotti westchnął głośno, wykonał serię dziwnych min, podrapał się po brodzie, po uchu i po pośladku, a potem przekręcił się na drugi bok i spał smacznie dalej.

Oskar, który wstrzymał wtedy oddech, odetchnął z ulgą. Nie było czasu do stracenia. Skoro jego peleryna, pas i Fiolka odżyły, dlaczego nie miałby potwierdzić swojej

nadzwyczajnej mocy? Przez cały miniony rok, aż do dzisiejszego ranka, wszelkie próby dokonania Introdukcji okazywały się bezowocne. To była właściwa chwila, żeby spróbować po raz ostatni.

Nie zapomniał żadnej z zasad cierpliwie przekazywanych mu przez panią Withers, mentorkę objaśniającą mu świat Medykusów. A ponieważ zdobył na razie Trofeum, Fiolkę Hepatolii, tylko z jednego Uniwersum, mógł wybrać się właśnie tam. Dlatego też jego celem miała być Hepatolia.

Obszedł dookoła ławkę, by skupić się na ustach Pavarottiego, drżących mocno przy każdym kolejnym chrapnięciu. Oskar czuł, że mocno bije mu serce, nie tylko z przejęcia, ale także z radości i ze wzruszenia. Ścisnął w dłoni swój medalion - obwiedzioną złotem literę M - rozpędził się i ruszył szybko w kierunku kloszarda.

W parku załśniło nagle oślepiające światło, w niczym nie zmąciło to jednak snu Pavarottiego.

Oskar zwinął połę peleryny i rozejrzał się dookoła. W chwili kiedy przenikał do organizmu Pavarottiego, nie miał na myśli żadnej konkretnej okolicy z pierwszego Uniwersum. Skoro ktoś przewidział, że przybędzie do tego miejsca, pozwoli się prowadzić. Był przekonany, że dotrze do właściwego celu, skoro Fiolka pokazywała mu drogę. Gdzie zatem go ściągnęła? Wystarczył jeden rzut oka, by rozpoznać ten krajobraz: dolina, ciemne niebo przecinane świetlistymi błyskawicami i grzmiąca rzeka Wrotna, setki metrów niżej... Znajdował się na górze Hepatolii, a dokładnie na jednym z jej dwóch szczytów!

Odetchnął głęboko, jak gdyby właśnie przyjechał na wakacje i miał okazję zażyć świeżego powietrza, opuszczając zanieczyszczone smogiem miasto. Trzeba było teraz odkryć jakąś wskazówkę, ślad obecności innego Medykusa, kogoś, kto go tutaj wezwał. Sprawdził, czy ma nadal Grimoire'a w tylnej kieszeni peleryny. Wiedział, że ta cenna książeczka w razie potrzeby odpowie mu na pytanie.

- Masz coś do oclenia?

Ten głos odezwał się nagle za jego plecami. Oskar odwrócił się gwałtownie i ujrzał wysokiego, puciołowatego mężczyznę w mundurze. Poglądził on swoje podwinięte do góry wąsy, poprawił czapkę na głowie i podszedł bliżej.

- To jest przejście graniczne! - powiedział, dostrzegając, że Oskar jest chłopcem. - Pytam zatem, czy masz coś do oclenia?

- Przejście? Jakie znowu przejście? - spytał Oskar nieco zaskoczony obecnością nieznajomego.

Celnik zdziwił się.

- Jak to, nie wiesz, gdzie jesteś? No, przecież to jest granica między Uniwersami!

Mężczyzna zmarszczył krzaczaste brwi i wyciągnął w jego kierunku marmurową tabliczkę, którą do tej pory trzymał w skrzyżowanych za plecami dłoniach.

- No cóż - rzekł surowszym tonem - pokaż mi swoje dokumenty, chłopcze.

Oskar spojrział na niego zdumiony. Dokumenty?! Odkąd to trzeba przedstawiać jakiegokolwiek papiery wewnątrz ludzkiego ciała? Czy w Uniwersach funkcjonuje jakaś policja? Ani pani Withers, ani pan Brave, ani nikt inny nie wspominał mu o tym.

Mężczyzna upierał się coraz bardziej.

- Chcesz przejść granicę, muszę zatem sprawdzić twoje dokumenty.

Granica, przejście... Oskara nagle olśniło: ależ tak! Fiolka zawiodła go do jednego z

tych słynnych przejść, na granicę między Hepatolią a kolejnym Uniwersum! Uśmiechnął się, dumny z faktu, że w końcu się tu znalazł. Nareszcie pozna Uniwersum Dwóch Królestw, Oddechów i Pompy! Do tego zatem sprowadzało się to tajemnicze spotkanie - nadszedł czas, by kontynuował swoją inicjację w tym punkcie, w którym ją przerwał, by szedł dalej drogą, która miała uczynić zeń prawdziwego Medykusa.

Był tak podekscytowany, że zapomniał niemal o istnieniu celnika. Ten zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- Jeśli dobrze widzę - rzekł nieco łagodniej - jesteś młodym Medykusem, czy tak?

Oskar gwałtownie kiwnął głową. Mężczyzna pogrzebał w torbie i wyciągnął inną marmurową tabliczkę, tym razem zieloną.

- Jestem pewien, że musisz mieć jakiś dowód tożsamości.

Oskar na gwałt starał się zebrać myśli, rzucił okiem na tabliczkę. Kiedy tylko ujrzał wyryty na niej znak, wszystko stało się jasne. Sięgnął nerwowo pod koszulkę i wyciągnął medalion.

- No nareszcie! - westchnął celnik. - Zobaczymy...

Przyłożył literę M do dolnej części tabliczki. Nad nią ukazał się mały ekran, a na nim pojawił się obraz: czyjaś twarz. Celnik musnął palcem ekran i powiększył ją, a potem przyjrzał się uważnie Oskarowi.

- To ty? - zapytał podejrzliwie.

Oskar pochylił się nad interaktywnym ekranem.

- Tak, to ja - potwierdził. - Ale to zdjęcie z zeszłego roku. Podrosłem trochę - dodał,

prostując się. - Mam już trzynaście lat.

Mężczyzna kilka razy zerkał to na zdjęcie, to znowu na Oskara, potem przewrócił stronę.

- Twoje imię i nazwisko?

- Oskar Pilla.

Celnik z zadowoleniem pogładził wąsy.

- W porządku, zgadza się. Urodziłeś się 7 grudnia - dodał. - Twoi rodzice to Celia i Vitali Pi...

Urwał, jak gdyby dopiero po fakcie zrozumiał, co czyta.

- Jesteś synem Vitalego Pilla?

- Tak! - przyznał z dumą Oskar. - A o co chodzi?

Celnik pokręcił głową, podniósł do góry brwi i w końcu oddał medalion chłopcu. Ruszył do przodu i odwrócił się.

- Jesteś gotów, mój chłopcze?

- Gotów? Ale na co?

- Na próbę przejścia. Już czas: nie będziemy tu stać przez cały poranek.

Oskar rozejrzał się dookoła. Zrobił kilka kroków do przodu i wychylił się. Zobaczył, że stoi na skalistej platformie, na czymś w rodzaju balkonu nad przepaścią. Daleko w

dole, na dnie doliny pienią się Wielka Kanalizacja.

Wzruszył ramionami. Czuł się teraz niezbyt pewnie.

- Tak, chyba tak... Jestem gotów!

Celnik uśmiechnął się tylko i wyciągnął przed siebie marmurową tabliczkę, na której nadal widniało zdjęcie Oskara.

Chłopiec poczuł, że ziemia drży pod jego stopami, złapał się skały. Dostrzegł pęknięcie, które pojawiło się w ziemi pomiędzy nim a celnikiem.

Chciał je przeskoczyć, ale mężczyzna go powstrzymał.

- Nie bój się, nic ci nie grozi. W każdym razie, jeszcze nie w tej chwili.

Kamienna platforma, na której stał Oskar, oderwała się od górskiej ściany. Wbrew obawom chłopca nie spadła jednak: unosiła się w powietrzu jak latający dywan i powoli przemieszczała się w kierunku sąsiedniego szczytu góry. Wicher wdzierał się w głąb doliny i wiał z wielką siłą. Przeżony Oskar niemal rozpląszczył się na ziemi.

Celnik, który majaczył jeszcze w oddali, stojąc tuż nad urwiskiem, przyłożył do ust ręce zwinięte w trąbkę.

- Wstań i patrz uważnie, co się pojawi koło ciebie!

Oskar usłyszał wołanie i podniósł się. Wolał się nie wychylać i nie patrzeć w dół. Od doliny dzieliły go setki metrów otchłani. Miał wrażenie, że jest pyłkiem wiszącym ponad całym światem. Skalna platforma mocno się chwiała, starał się jednak rozpaczliwie utrzymać równowagę. Nagły rozbłysk światła sprawił, że podniósł wzrok. Wokół niego zaczęły się pojawiać świetliste symbole i dziwaczne obrazy.

- Policz je! - krzyknął celnik.

Oskar posłusznie zaczął liczyć.

- Jest ich siedem! - odparł, nie spuszczać oka z widziadeł.

Zauważył kociołek wiszący na łańcuchu, wóz, wielkiego ptaka, metalicznie połyskującą postać z polewaczką, zachodzące na siebie bańki, pokrytą falami obręcz, a w końcu trójkąt z zamkniętym wewnątrz kołem. Miał ochotę raz jeszcze im się przyjrzeć, ale celnik gwałtownie domagał się jego uwagi.

- Głośniej! - zawołał. - Nic nie słyszę!

- Jest ich SIEDEM! - wrzasnął Oskar, próbując przekrzyczeć wicher.

- Doskonale! Teraz musisz wybrać jeden z symboli i wskazać go twoim medalionem. Jeśli wybierzesz dobrze, przejdiesz na drugą stronę. Zrozumiałeś...łeś...łeś?

Oskar skupił się, by usłyszeć każdą sylabę, mimo że słowa gubiły się wśród echa, a na dnie doliny grzmiał nurt Wielkiej Kanalizacji.

- W porządku, zrozumiałem. Ale jak wybrać? I co się stanie, jeśli nie wybiorę odpowiedniego symbolu?

- Nic nie słyszę! - krzyknął celnik. - Ach, ten przeklęty wicher! Co powiedziałaś?

- CO SIĘ STANIE, JEŻELI ŹLE WYBIORĘ?

- Dostaniesz drugą szansę! A teraz wyjmij medalion i wsłuchaj się w Głos Dwóch Królestw, da ci wskazówki, jak masz wybierać!

Oskar zdołał usłyszeć większość z tego, co wykrzyczał celnik. Wyjął medalion i trzymał go w wyciągniętej dłoni. Wiatr zaczął wirować wokół chłopca stojącego na ruchomej, skalistej platformie i wokół otaczających go symboli; przywodziło to na myśl trąbę powietrzną. Wycie wiatru przeszło w niski ton, z którego zaczęły wyłaniać się pojedyncze słowa, głos dochodzący jakby z wnętrzości góry.

Oskarze Pillu,

Umknąłeś niegdyś przed ostrzami,

Pokryty byłeś oparzeniami,

Frunąłeś w powietrzu, het

I sunąłeś pod ziemią jak kret,

Płynąłeś przez rozległe oceany,

By zdobyć ogień zza szklanej ściany.

Oskar kręcił się na wszystkie strony jak oszalały. Wicher znowu wył wokół niego, a symbole wirowały, lśniąć jeszcze mocniej niż przedtem. Słowa, które przed chwilą usłyszał, zacierały się już powoli w jego pamięci. Wydawało mu się jednak, że Głos wypowiedział sześć zdań, tymczasem wokół niego było siedem obrazów. W jaki sposób to, co usłyszał, miałyby mu pomóc w wyborze właściwego symbolu, jedyne otwierającego przejście do drugiego Uniwersum? Próbował zebrać myśli i wpadł na

pewien pomysł: skoro było sześć zdań, być może każde z nich odnosi się do jednego obrazu i pozwala go wyeliminować? Na koniec zostałyby tylko jeden symbol: ten, o którym Głos w ogóle nie wspomniał... To mogło być hasło otwierające drzwi do sezamu.

Oskar spojrział zdesperowany w kierunku celnika, który wydawał się już bardzo daleko od niego. Coś wołał, ale jego słowa ginęły w wyjąłym wietrze, Oskar łowił jedynie pojedyncze słowa.

- ... medalion... głos... powtórz!

Chłopiec zrozumiał od razu, w czym rzecz. Wyciągnął ponownie rękę z medalionem. W tej samej chwili znowu usłyszał dochodzący nie wiadomo skąd Głos.

- Powtórzę jeszcze tylko jeden, jedyny raz, Oskarze Pillu!

Młody Medykus próbował skupić się tylko na tym, co miał teraz usłyszeć.

- Umknąłeś niegdyś przed ostrzami...

Przyglądał się po kolei wszystkim symbolom. „Przed ostrzami”. Jego wzrok padł na obraz kociołka. Kociołek... lub kadź! Chodziło prawdopodobnie o kadź z jednostki rozdrabniania pokarmu, z tnącymi ostrzami! Należało zatem odrzucić ten symbol.

- Pokryty byłeś oparzeniami...

Oskar starał się jak najszybciej odszukać coś we wspomnieniach. Co palącego znalazł w Hepatolii? Przyszły mu na myśl słowa Maureen Joubert, zasiadającej w Radzie Najwyższej Medykusów, jego pierwszej przewodniczki w Uniwersum: „Strzeż się, Oskarze, ślina jest mocno skoncentrowana: rozkłada posiłek na czynniki pierwsze!”. W jednej koszulce miał nawet małą dziurkę po tym wydarzeniu... Oskar przyjrzał się pozostałym wizualizacjom; zatrzymał wzrok na dwóch zachodzących na siebie bańkach:

mogły to być Ślinianki, gigantyczne bańki wypełnione śliną... Rozpoznał zatem drugi symbol opisany przez tajemniczy Głos. To nie ten obraz był przepustką na drugą stronę granicy. Zostało jeszcze pięć.

Silny podmuch wiatru zachwiał skałą krążącą nad głęboką otchłanią, symbole wokół niego także zadrgały. Oskar przywarł mocniej do platformy, ciągle jednak trzymał w wyciągniętej dłoni swój medalion.

- Frunąłeś w powietrzu, het...

Odruchowo popatrzył na wielkiego ptaka. Domyślił się nagle, że był to po prostu samolot, nie zaś - jak początkowo sądził - ptak przywodzący na myśl Victora, znieawidzonego kanarka z Cumides Circle, należącego do pana Brave'a... Samolot podobny do tego, którym wydostali się swego czasu z wnętrza góry, on i para jego przyjaciół - Valentine i Lawrence. A zatem i ten obraz odpada.

- I sunąłeś pod ziemią, jak kret

Płynąłeś przez rozległe oceany...

Tym razem Oskar nie miał większych wątpliwości: „sunął pod ziemią, jak kret” w wózku, a obręcz z falami przypominała mu o licznych przeprawach po rzekach i morzach Uniwersum, które odkrył rok wcześniej. Wyeliminował zatem kolejne dwa symbole.

Pozostały już tylko dwa, z których musiał wybrać jeden, ten, o którym mówiło ostatnie zdanie.

Serce zaczęło mu bić szybciej i mocniej.

- By zdobyć ogień zza szklanej ściany - powiedział Głos, zanim rozpląnął się w porywach wyjącego wichru.

Oskar wyprostował się. „By zdobyć ogień zza szklanej ściany”. Nie myślał już o przepaści ziejącej pod platformą, nie słyszał wycia wiatru. Powtarzał w myślach ostatnie zdanie i przyglądał się pozostałym obrazom. Był to czarny trójkąt, zamykający w sobie żółte koło i postać w srebrzystym kombinezonie, trzymająca w ręku coś w rodzaju lancy. Przypominała trochę strażaka... A zatem „ogień zza szklanej ściany” należałoby łączyć ze strażakiem? W takim przypadku jedynym symbolem, o którym Głos nie wspominał, byłby czarny trójkąt: ten właśnie znak powinien wskazać, by przejść na drugą stronę.

Wahał się, zebrał się jeszcze na odwagę. Przypomnił sobie słowa celnika: w razie niepowodzenia można spróbować jeszcze raz, można się pomylić. Był pewien, że bezbłędnie wytypował pięć pierwszych symboli i że odrzucił te właściwe. A zatem wśród dwóch, które pozostały, jeden musi być właściwy, a zdanie o ogniu może dotyczyć strażaka... Oskar musiał podjąć jakąś decyzję.

Podniósł w górę medalion i wyciągnął go w kierunku trójkąta.

Z litery M wystrzelił promień oślepiającego światła, a potem... potem nic się nie wydarzyło.

Oskar rozejrzał się dookoła: nic się nie zmieniło. Nadal stał na płaskiej platformie zawieszanej w przestrzeni pomiędzy dwoma szczytami góry Hepatolii. Nie otworzyło się żadne nowe Uniwersum. Musiał się pomylić, a drogę do Dwóch Królestw otwierał inny symbol.

Już miał zwrócić medalion w kierunku innego obrazu, kiedy coś się zmieniło. Nie była to jednak zmiana, której oczekiwał: ku jego przerażeniu zaczęła pękać skała pod jego stopami.

Usłyszał straszny huk i skała zatrzęsała się mocno. Mało brakowało, a Oskar by spadł. Przewrócił się i trzymał się jej rozpaczliwie, nie wierząc własnym oczom. Platforma

zaczynała się kruszyć i rozpadać. Podniósł wzrok i dostrzegł celnika, który wymachiwał rękami. Oskar krzyknął ze wszystkich sił.

- Skała się rozpada! A przecież mówił pan, że mogę mieć jeszcze jedną szansę!

- Masz dziesięć sekund, żeby wskazać inny symbol! To ostatnia szansa! Pospiesz się, mały, SZYBKO!

Siedem sekund.

Oskar starał się usilnie opanować atak paniki. A jeśli mylił się od samego początku? Jeżeli źle zrozumiał słowa Głosu? Kawałki skały kruszyły się i spadały w przepaść, sekundy mijały bezlitośnie.

Pięć sekund.

Nie, musi odzyskać wiarę we własne siły. Pomylił się tylko raz, na samym końcu, kiedy do wyboru zostały mu dwa symbole, z pewnością właśnie wtedy źle wybrał!

Dwie sekundy.

By zdobyć ogień zza szklanej ściany, powtarzał w myślach Oskar. By zdobyć ogień zza szklanej... Ależ to jasne! Góra, wytwórnia żółci we wnętrzu góry! Chodziło o ogień z góry Hepatolii, płonący w tysiącach wnęk za szybkami, gdzie pod wpływem gorąca wytwarzano słynny Nektar, którego kilka kropli zawierało jego pierwsze Trofeum! To właśnie miał symbolizować czarny trójkąt zamykający w sobie żółty krąg! I ten właśnie obraz należało zatem odrzucić!

Jedna sekunda.

„Medalion! - mówił do siebie w myśli, podczas gdy kawałki skały spadały w dolinę. -

Wskaż medalionem ten drugi obraz przedstawiający strażaka!”

Spadł ostatni kamień. Pod jego stopami ziała otchłań, ciało osunęło się gwałtownie. Nic już teraz nie chroniło go przed zawrotnym upadkiem setki metrów niżej, gdzie można się było roztrzaskać na samym dnie doliny. I jak zawsze, kiedy jakiś Medykus ginął w ludzkim organizmie, nie zostanie po nim żaden ślad - ani martwe ciało, ani dusza, która w przypadku innego rodzaju śmierci mogła szukać schronienia w dowolnym przedmiocie. Jego moc zginie wraz z nim i nie zdoła jej przekazać żadnej innej istocie. Czuł, że nie ma już nic do stracenia, i desperackim ruchem wyciągnął medalion w kierunku obrazu przedstawiającego strażaka. I w tym samym momencie, lecąc już w dół, zniknął w rozbłysku oślepiającego światła.

Oprzytomniał, podniósł się i stwierdził, że jest w nieznanym sobie miejscu. Chociaż nie, skądś je znał, nie umiał jednak określić, skąd. Jakiś błyszczący przedmiot leżący tuż obok przyciągnął jego wzrok. Był to jego medalion; leżał w pyle, na ziemi. Podniósł go z ulgą, zawiesił na łańcuszku na szyi i schował pod koszulką.

Z uwagą przyjrzał się okolicy.

Jak okiem sięgnąć, wokół ciągnęła się bezkresna pustynna równina. Inaczej niż w Hepatolii, tutaj niebo było niezwykle jasne, przejrzyste, słońce paliło niemiłosiernie. Nie było jednak nigdzie widać żadnego schronienia. Dopiero hen, na horyzoncie, majaczyły ciemne, rdzawe pagórki, wyglądające jak skalne wzniesienia wyrastające z piasku. Wiejący bezustannie wiatr osłabł nagle, a później ustał. Nie trwało to długo, kilka minut później wiatr znowu się zerwał. Teraz wiał jednak z całkiem innej strony! Zjawisko to powtarzało się bezustannie, a kierunek, z którego wiał wiatr, za każdym razem się zmieniał. Oskar nie miał już wątpliwości, że zdołał się przedostać do drugiego Uniwersum. Znajdował się najprawdopodobniej w Królestwie Oddechów. Pani Withers wspominała mu nawet o słynnej i niebezpiecznej Równinie Przeciwstawnych Wiatrów...

I właśnie tu był!

Radość z tego powodu nie trwała jednak długo. Rozejrzał się po okolicy i w pewnej odległości zauważył czarne kikuty drzew, takie same jak te, które pojawiły się poprzedniej nocy w jego sennym koszmarze. To na tej pustyni stał wtedy, we śnie... Słusznie przeczuwał, że sen był proroczy i zapowiadał powrót do świata Medykusów. Ale przecież we śnie była też ta straszna scena, kiedy stado potworów atakowało go ze wszystkich stron... Czy one też pojawią się za chwilę na horyzoncie?

Cofnął się niepewnie. Pani Withers go uprzedzała, że Równina Przeciwnych Wiatrów jest bardzo niebezpiecznym miejscem dla początkujących Medykusów. Czasem nawet ci doświadczeni potrzebowali pomocy z zewnątrz. Oskar był odważny, nie miał w sobie jednak zadatków na samobójcę. Uznał, że należy posłuchać dobrych rad osoby dorosłej i zniknąć stąd. Najważniejsze, że udało mu się przedostać do drugiego Uniwersum.

Dzięki zeszłorocznym doświadczeniom i wielu Introdukcjom wiedział dobrze, że istnieje jeden tylko sposób na powrót do świata zewnętrznego. Musiał zatem się skupić, obserwować uważnie pejzaż i nie pominąć nawet najmniejszego szczegółu. Nagle poczuł, że ziemia drży pod jego stopami. Zastygł, zapanowała jednak całkowita cisza. Ruszył do przodu, zrobił czujnie kilka kroków, rozglądając się uważnie dookoła. Ciągle jeszcze nie mógł dostrzec tego, czego szukał, i poczuł się dość niepewnie. Od pewnego czasu coś go niepokoiło, jakiś głos mówił mu, że należy jak najszybciej się stąd ewakuować.

Nagle znowu poczuł, że podłoże drży, i już wiedział, że przecucie go nie myliło. Wisiało nad nim jakieś niebezpieczeństwo, wręcz zapewne właśnie się zbliżało.

W jego śnie najgorsze sceny rozegrały się w pobliżu drzew. Należało się więc od nich jak najszybciej oddalić. Zaczął biec. Grunt drżał coraz mocniej, jakby z daleka nadciągała armia żołnierzy, wybijających nerwowy rytm okutym obuwiem. Na horyzoncie nie mógł jeszcze niczego dostrzec, ale teraz do drżenia ziemi dołączył hałas,

głuche dudnienie. Zarówno pustynia, jak i niebo nad nią zdawały się ciemniejsze, zasnuł je jakiś cień. Spojrzał do tyłu, zdyszany: na horyzoncie widać było czarną linię. W ciągu zaledwie kilku sekund linia ta znacznie się rozszerzyła, stała się dłuższa i zarazem szersza, wyglądało to zupełnie jak wsiąkający w bibułę atrament, tworzący coraz większą plamę. Tyle że ta linia nie była na pewno atramentem...

Rozejrzał się dookoła, przerażony. Przebiegł wzrokiem po dziwnie wygiętych konarach drzew i coś przykuło jego uwagę. Biegąc, zboczył lekko na północ. Pnie drzew z tej perspektywy tworzyły dziwny obraz: był to kielich. Wokół niego wiła się gałąź przypominająca węża. Nad kielichem uschnięte drzewa układały się w jakiś znak, a raczej w literę, która wyglądała jak podpis pomiędzy zaroślami. To była litera M. Kielich z literą M, opleciony przez węża...

Oskar owinał się peleryną, wyciągnął medalion, nie spuszczać Kaduceusza z oczu. Nie czekał ani chwili dłużej, zniknął z niebezpiecznych, pustynnych okolic w mgnieniu oka, w rozbłysku oślepiającego światła.

WŁAŚCIWA PORA

W pierwszej chwili Oskar poczuł ogromną ulgę, że udało mu się zniknąć z groźnych równin drugiego Uniwersum. Raczej nie oczekiwano go tam z otwartymi ramionami. Następnie rozejrzał się wokół siebie. Zrozumiał, gdzie się znajduje, i resztki lęku zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Obrócił się wokół własnej osi, z uśmiechem na twarzy i szeroko otwartymi oczami, jak gdyby zobaczył świętego Mikołaja z wielkim workiem prezentów tylko dla niego.

Wreszcie znowu się tu dostał. Był w bibliotece, w Cumides Circle.

W tej chwili żadne inne miejsce na świecie nie mogło mu się wydać piękniejsze i bardziej upragnione. Znów był w siedzibie pana Brave'a, Wielkiego Mistrza Medykusów, tam, gdzie spędził całe poprzednie lato i gdzie - co najważniejsze - odkrył źródło swojej wyjątkowej mocy. Tak długo zamknięte drzwi stały wreszcie otworem...

Okrzyknął stół Rady, szczególnie ciepło przywitał się z Tytusem, fotelem pani Withers, który w odpowiedzi pochylił lekko oparcie. Pomachał też do Sissi, fotela księżnej Lumpini. Sissi załopotana wszystkimi wstążkami, a cały pokój wypełnił się dusznym zapachem perfum. Tym razem jednak ucieszyło to Oskara; odetchnął pełną piersią, jak gdyby wdychał krystalicznie czyste, górskie powietrze. W końcu zbliżył się do regałów wypełnionych różnymi książkami. Dotykał lekko grzbietów niektórych z nich, aż jego wzrok zatrzymał się na pewnej cienkiej teczce. Pospiesznie wyciągnął ją i położył na stole. Rozplątał związane tasiemki i otworzył teczkę: ukazała się czysta, biała strona.

- Julio! - wykrzyknął uszczęśliwiony. - Przypomina mnie sobie pani? Tak długo mnie tu nie było... Jestem taki szczęśliwy, że nareszcie wróciłem!

Pamiętał oczywiście o dziwnych zdolnościach książek z biblioteki Wielkiego Mistrza. Mieszkali w nich ich nieżyjący już autorzy, którzy mogli rozmawiać i odpowiadać na pytania, pisząc na stronie tytułowej. Julia Jacob była sekretarką pana Brave'a. Po śmierci postanowiła trwać w tej właśnie teczce. W czasie poprzedniego pobytu Oskara w Cumides Circle zawsze bardzo chłopcu pomagała.

Czekał niecierpliwie na jej odpowiedź, niestety kartka cały czas była pusta, nie pojawiło się żadne słowo.

- Julio, słyszy mnie pani? To ja, Oskar, Oskar Pill!

Kartka prawie niedostrzegalnie zadrżała, nic więcej jednak się nie wydarzyło. Młody Medykus odłożył ją na półkę i nerwowo poszukał innej pozycji. Zrzucił z nóg trampki, nie rozwiązując sznurowadeł, i ruszył w kierunku Tytusa.

- Tytusie, pozwolisz?

Fotel zawahał się przez moment, a potem przesunął się bliżej półek z książkami. Oskar wskoczył na niego dosyć gwałtownie. Tytus zachybotał się boleśnie, chcąc zmanifestować swoje niezadowolenie.

- Wybacz mi - powiedział ze skrucą chłopiec. - Wiem, że nie jesteś trampoliną...

Spojrzał w stronę drzwi. Oby tylko Bones, majordomus pana Brave'a, nie wykonał popisowego numeru - lubił wkraczać w kluczowych momentach, udzielając przy tym pouczeń... Oskar ściszył głos o kilka decybeli.

- Po prostu trochę się niecierpliwie - szepnął w stronę fotela, który wykazał się dużą wyrozumiałością i od razu znieruchomiał.

Oskar sięgnął po gruby tom oprawny w skórę, pachnący nieco kurzem. Ściągnął go z półki i położył ostrożnie Niesłychaną epopeję Medykusów od średniowiecza aż po nasze czasy na stole. Otworzył książkę na poźółkłej stronie tytułowej.

- Markizie, kochany markizie, to ja, Oskar Pill - spróbował znowu młody Medykus. - Czy... jest pan tam?

I tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Miał nadzieję, że lada chwila ukaże mu się eleganckie pismo Alphonse'a de Saint-Larynksa, hrabiego de Breviaire i markiza de Carabin, pełne ozdobników i kaligraficznych zawijasów. Markiz był uroczym starszym panem, znanym z pasji do historii Medykusów. Jego jedyną wadą była lekko kulejąca już pamięć... Czy to właśnie było powodem jego milczenia? Oskar tak próbował to sobie tłumaczyć, chociaż Julia, która nie cierpiała na zaniki pamięci, też się nie odezwała. Rozczarowany, przeczcił kilka stron książki. I w tym wypadku autor skorzystał ze swoich praw - z przywileju, którym cieszyli się wszyscy autorzy tej fascynującej

biblioteki. Starł treść książki z jej stron. Tak się działo za każdym razem, gdy czytelnik nie poprosił o zgodę pana Brave'a lub jeśli po prostu autor nie życzył sobie, aby go czytać. W miarę jak Oskar przewracał kolejne kartki, słowa znikły, a stroniczki odzyskiwały dziewiczą biel. Zamknął z powrotem książkę i odstawił ją na miejsce. Najwyraźniej nie wszyscy jeszcze zauważyli jego powrót do Cumides Circle.

W jego pamięci ruszyła lawina rozmaitych wspomnień, pojawiły się obrazy wydarzeń minionego lata. Przypomnił sobie tragiczny koniec, jaki spotkał traktat Estelle Fleetwood i jej ducha w otchłaniach pierwszego Uniwersum. To była przecież jego wina - jak mógł o tym zapomnieć? Jeszcze długo potem w jego snach powracał rozpaczliwy krzyk i zielona poświata unosząca się nad kadzią... Czy pozostałe książki były tego świadome? Popatrzył na poplamioną i zniszczoną okładkę książki stojącej na pobliskiej półce. Odwrócił wzrok: nie ma mowy, nie będzie o nic pytał autora Antologii Patologusów ani nie przywita się z nieznośnym Billym Boydem po tym, co zrobił Oskarowi rok wcześniej.

Chłopiec nie chciał dłużej rozpamiętywać przykrych wydarzeń. Postanowił przypomnieć sobie najmiłsze chwile, jakie przeżył w tym miejscu. Oddalił się od półek z książkami i podszedł do ściany, na której wisiało wiele portretów. Na płótnach byli tu zgromadzeni najważniejsi członkowie Rady Najwyższej Medykusów, słynni i nieśmiertelni. Obrazy pokrywały gęsto ponadczterometrową ścianę. Chyba pierwszy raz widział wszystkie portrety w wyraźnym świetle, mimo że wielkie, kryształowe żyrandole dawały raczej przyćmione światło, a obrazy zwykle tonęły w półmroku. Teraz oczy dawnych Medykusów spoglądały na niego jeszcze surowiej.

Oskar wiedział, co oznaczało to niezwykle oświetlenie.

Stanął wyprostowany przed ścianą, położył lewą dłoń na medalionie, a potem wypowiedział gładko z pamięci słowa, których nauczyła go pani Withers, a które powtarzał bezustannie, tak by nigdy ich nie zapomnieć.

Zjawcie się, o, Przedwieczni, spoza tej ściany,

by nam przepowiedzieć cudowne przemiany.

W tym momencie ściana i obrazy rozplynęły się przed jego oczami, ukazując pokój będący lustrzanym odbiciem tego, w którym Oskar się znajdował: był to pokój Przedwiecznych, sławnych, nieżyjących już Medykusów, których dusze na zawsze mieszkaly w ich portretach. Ich ciała wydawały się przezroczyste, jak z mgły - przywoziły na myśl duchy z zamierzchłych epok. Oskar nie znał wszystkich, daleko mu było do tego! W końcu niektórzy spośród nich żyli kilkadziesiąt, a czasem nawet kilkaset lat wcześniej. Nadal służyli mądrością i doświadczeniem członkom Rady Najwyższej, takim jak pan Brave, pani Withers czy nawet niepokojący Fletcher Worm, którego Oskar dobrze pamiętał. Księżna Lumpini wydała mu się miła, choć może nieco dziwaczna, zapalał też od razu podziwem i sympatią do Maureen Joubert i spontanicznego Alistaira McCooleya. Polubił wszystkich, poza szóstym członkiem Rady, który od pierwszego wejrzenia wzbudził jego nieufność. Jednakże wszyscy, nawet Worm, radzili się często Przedwiecznych i odnosili się do ich opinii z wręcz religijnym szacunkiem. Wygląd portretów na ścianie biblioteki sygnalizował obecność ich duchów: jeżeli jakiś portret był oświetlony, znaczyło to, że przedstawiony na nim Przedwieczny znajduje się w ukrytej sali. Dlatego też Oskar nie był zaskoczony, widząc ich wszystkich razem. Mimo wszystko tak liczne zgromadzenie zrobiło na nim duże wrażenie. Od razu rozpoznał starszego mężczyznę, ubranego w czerń, który stał dumnie wyprostowany przed wszystkimi innymi, trzymając rękę na sercu - był to Sigismond Brave, prapradziadek Winstona Brave'a. On także był Wielkim Mistrzem Medykusów. Teraz też przewodniczył w jakiś sposób tej niecodziennej grupie, nad którą czas nie miał władzy.

Sigismond kiwnął na niego palcem i Oskar ruszył ostrożnym krokiem ku niemu,

mając wrażenie, że przechodzi na drugą stronę lustra. Istniała jednak ważna różnica - w tajemnej sali nie było książek, Przedwieczni ich nie czytali.

Chłopiec przystanął w pobliżu dawnego Wielkiego Mistrza. Sigismund otworzył usta i wydawało się, że wypowiada jakieś słowa, których jednak Oskar nie mógł dosłyszeć. Jego głos brzmiał jak pasmo oddechów i westchnień.

- Przepraszam - rzekł Oskar. - Nie bardzo rozumiem. To znaczy nie bardzo słyszę, co pan do mnie mówi...

Starszy pan pacnął się ręką w czoło, jakby wyleciało mu z pamięci coś oczywistego, a potem wziął skraj peleryny i przyłożył sobie materiał do ust, tworząc coś w rodzaju membrany. Peleryna zaczęła drżeć lekko pod wpływem ruchu jego ust i w pokoju zabrzmiał dziwny, głuchy głos, jakby dochodzący z piwnicy.

- Kim... jesteś?...

Oskar, nieco zaskoczony, obserwował niezwykle zjawisko. Przypomnił sobie zaimprovizowane bębny, które robił czasem w szkole i w domu: wystarczy napiąć mocno materiał, żeby wzmocnić dźwięk. Peleryna Przedwiecznego musiała działać podobnie. Kolejna jej cecha, o której nie miał zielonego pojęcia. Nie da się ukryć, miał przed sobą jeszcze sporo nauki, ale też o niczym innym nie marzył.

Przedwieczny popatrzył na niego surowym wzrokiem; Oskar skupił się, żeby odpowiedzieć na jego pytanie.

- Przepraszam pana... Nazywam się Oskar Pill - odparł, nieco zdziwiony, że Sigismund go nie rozpoznał.

Ten odwrócił się w stronę swoich towarzyszy. Wszyscy pokiwali głowami.

- Skąd... przychodzisz? - pytał dalej.

Jego głos nabrał mocy, rozbrzmiewał w całym pokoju. Oskar, wciąż zaskoczony, udzielił kolejnej odpowiedzi.

- Z drugiego Uniwersum. Z Uniwersum Dwóch Królestw.

Zgromadzenie znowu pokiwało głowami jak jeden mąż. Sigismond zadał kolejne pytanie:

- Gdzie... pójdziesz... teraz?

Oskar zawahał się. Nie miał pojęcia, do czego miały prowadzić te pytania, które przywodziły mu na myśl sekretny rytuał, ceremonię przyjęcia w poczet wtajemniczonych, jaką często widywał w filmach płaszcza i szpady. Budziło to w nim respekt i coś w rodzaju dumy. Sądził, że dumę tę podzielałby także jego ojciec, którego postać niespodziewanie stanęła mu przed oczami.

- Pójdę... wrócę znowu do Dwóch Królestw! A potem dotrę do innych Uniwersów - powiedział już z większą pewnością siebie. - Żeby zostać Medykusem takim jak...

Nie musiał kończyć zdania. Przedwieczni obserwowali go z niemą życzliwością.

- Co... będziesz... robił? - zapytał Sigismond Brave.

- Zdobędę moje Trofea i przyniosę je tutaj. Będę też walczył z Patologusami - oświadczył Oskar. Przez cały ten czas stał wyprostowany jak struna.

Pierwsze Trofeum, które miał już u swego boku, Fiolka Hepatolii, zaczęło lśnić własnym światłem, lekko się rozgrzewając. Patrząc na nią i na szacowne grono, które wydawało mu się przychylnie, Oskar miał wrażenie, że został zaakceptowany.

Dawny Wielki Mistrz opuścił skraj peleryny i zamilkło echo jego ostatnich słów. Uśmiechał się z zadowoleniem, pełen cichej satysfakcji, podobnie jak pozostali. Jego usta poruszyły się po raz ostatni. Oskar usiłował odczytać słowa z ich ruchu, jednak na próżno.

- Witaj, Oskarze, i szczęśliwej drogi! Tego właśnie życzy ci mój przodek, wedle zwyczaju.

Oskar odwrócił się z promiennym uśmiechem. Przed nim stał Winston Brave. Górował nad chłopcem wzrostem. Winston Brave, pan tego domu i Wielki Mistrz Medykusów. Tymczasem na regałach bibliotecznych setki książek zaczęły stukać okładkami o drewniane półki, wyrażając swój podziw. Oskar czuł, jak ogarnia go bezgraniczna radość. Był szczęśliwy, że znalazł się ponownie w Cumides Circle i że znowu widzi starych znajomych. Może już niebawem poniesie dalej tę pochodnię, którą musiał odłożyć na cały rok, a która pomimo to nie zgasła. Ukłonił się i posłał kolejny szeroki uśmiech starszej pani w białej sukni i jedwabnej apaszce - a zwłaszcza w pamiętnych, czerwonych okularach.

- Witaj, Oskarze, kochany, drogi chłopcze! - powiedziała pani Withers, która wydawała się równie uszczęśliwiona jak on.

- Oskarze, możesz być dumny z przyjęcia, jakie zgotowali ci Przedwieczni - odezwał się znowu Winston Brave. - Nie każdy, kto wkracza w drugą fazę nauki, ma do tego prawo... Mam wrażenie, że Sigismond musi cię niezwykle cenić, inni także.

Oskar zarumienił się z radości.

- Wydaje mi się, że są tu znane ci osoby, które od jakiegoś czasu nie mogą się doczekać, żeby się z tobą przywitać. Chyba pozwolimy im wejść?

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadła dziewczynka z czerwonymi włosami związanymi w dwa kucyki i jasnowłosa, pulchny chłopiec w okularach. Rzucili się ku Oskarowi. A więc Valentine i Lawrence byli tutaj, stali przed nim, cali i zdrowi! Kiedy już minęły pierwsze wybuchy śmiechu, Oskar zapytał z żalem, dlaczego od tak dawna nie odezwali się do niego ani słowem.

- Nie mieliśmy wyboru - tłumaczyła rozemocjonowana Valentine. - Nie pozwolono nam wysłać ci odpowiedzi... Próbowaliśmy po kryjomu, nawet Lawrence, wyobrażasz to sobie? On, który zawsze jest tak zestresowany, kiedy choćby przez chwilę robimy coś...

Lawrence dał jej solidną sójkę w bok, patrząc przez cały czas z uśmiechem na pana Brave'a, który z dużym zainteresowaniem słuchał rewelacji Valentine.

- No, co jest? - zawołała dziewczynka. - Co ty wyprawiasz? To boli!

W tym momencie napotkała wzrok pana Brave'a, który stał z boku, z założonymi rękami i przyglądał się jej z uśmiechem. Zaczerwieniła się tak, że jej skóra przybrała tę samą barwę, co jej włosy, i zatrzepotała rzęsami.

- To stara historia, panie Brave. A poza tym zrobiliśmy to tylko jeden, jedyny raz.

Pan Brave z powątpiewaniem uniósł brwi do góry.

- No dobrze - ustąpiła Valentine. - Dwa razy. Dwa razy próbowaliśmy nawiązać kontakt z Oskarem. Nie udało nam się jednak, czyli można powiedzieć, że to się właściwie nie liczy, prawda?

- Ale dlaczego nie mogliście się ze mną kontaktować czy napisać listu? - zdziwił się Oskar.

- Ponieważ musisz trzymać się swojego kalendarza Trofeów, Oskarze! - powiedziała

pani Withers.

- Mój kalendarz Trofeów? Jaki znowu kalendarz?

Valentine zwróciła się z satysfakcją do Lawrence'a:

- A widzisz? Mówiłam ci: ciągle zawracasz mi głowę tymi twoimi kalendarzami, obliczeniami, ustaleniami... To męczące, gdy się ktoś tak spina! Dużo zabawniej jest nie zwracać na to wszystko uwagi!

- Każdy Medykus ma swój wewnętrzny kalendarz, Oskarze - ciągnęła pani Withers. - Popatrz tutaj, łatwiej zrozumiesz, o czym mówimy.

Podeszli do owalnego stołu stojącego na środku pokoju bibliotecznego. Przedwieczni - chcąc być świadkami pokazu - wychylali się ze swojej tajnej sali, nie przekraczając jednak umownej granicy, którą była ściana z ich portretami.

- Podaj mi, proszę, swój medalion! - powiedziała starsza pani.

Oskar zdjął z szyi łańcuszek i podał jej złotą Literę. Pani Withers położyła ją w zagłębieniu, precyzyjnie wyciętym na środku blatu. Litera M idealnie pasowała do wyżłobionej formy. Błat rozsunął się na dwie części, ukazując dużą, szklaną planszę, która obróciła się wokół własnej osi i ustawiła się pionowo na wysokości ich wzroku. Umieszczona pośrodku Litera zaczęła intensywnie świecić, w tej samej chwili pas Trofeów Oskara, jakby odpowiadając na tajemne wezwanie, zsunął się z jego bioder i uniósł w powietrze. Poszybował przez cały pokój i zatrzymał się przed planszą, gdzie rozwinął się na całą długość i znieruchomiał. Pod każdą z jego sakiewek, na szkle planszy, pojawiły się nazwy pięciu Uniwersów.

- Coś podobnego! Nigdy czegoś takiego nie widziałem, nawet w książce markiza! - zawołał zachwycony Lawrence.

Za późno zorientował się, co właśnie powiedział, a raczej - co mu się wyrwało wbrew jego woli. Przyznał się, że zaglądał do książek w bibliotece, za zgodą ich autorów, ale bez pozwolenia Wielkiego Mistrza.

Pan Brave spiorunował Valentine wzrokiem.

- Nie da się ukryć, że niektóre panny mają zły wpływ na najrozsądniejszych chłopców w tym domu! - powiedział. W jego głosie nie było jednak słycać prawdziwej nagany.

Valentine popatrzyła na niego ze swoim najpiękniejszym uśmiechem.

- No cóż, nie da się ukryć, że zajęło to trochę czasu - oświadczyła z dumą. - Ale w końcu udało mi się nauczyć go paru numerów, przyznaję.

- Zachowaj lepiej te numery dla siebie, młoda damo! - zbeształ ją przyjaźnie pan Brave.

Zwrócił się do Oskara:

- Twój kalendarz Trofeów ma dwie ważne cechy: jest dostosowany tylko do twojej drogi Medykusa, a poza tym zmienia się z upływem czasu.

Oskar popatrzył na ekran. W prawym górnym rogu pojawiła się jego twarz i dane dotyczące tożsamości, podobnie jak na tabliczce celnika przy przejściu między Uniwersami. Wszystko tam było: jego data urodzenia, imiona rodziców, adres, szkoła...

- Widzisz to M nad twoim Pasem Trofeów? - ciągnęła pani Withers, której wyjaśnienia były z reguły ściślejsze niż słowa Wielkiego Mistrza i wszystkich innych zresztą także (nie przypadkiem była odpowiedzialna za czwarte Uniwersum, Genetix). -

Ta literka posuwa się wolno, w miarę upływu czasu. W zeszłym roku znajdowała się nad pierwszym Uniwersum, nad Hepatolią. To M zaczęło się przesuwać od dnia, kiedy po raz pierwszy dokonałeś Introdukcji, rozpoczynając długą drogę. Dziś rano dotarło do miejsca nad drugim Uniwersum; jest na poziomie Dwóch Królestw. Oznacza to, że dopiero teraz jesteś gotów do podróży po kolejnym Uniwersum.

Lawrence poprawił okulary na nosie, chcąc jak zawsze uzyskać jak najwięcej informacji.

- A, i Litera będzie się przesuwała, aż dotrze do ostatniego Uniwersum, tego najbardziej tajemniczego... - powiedział. - I wtedy Oskar będzie mógł przeniknąć do tego Uniwersum, by przynieść ostatnie Trofeum, zgadza się, proszę pani?

- Jak najbardziej. Kiedy litera M znajdzie się nad Cerebrą, nauka twojego przyjaciela dobiegnie końca i zostanie prawdziwym Medykusem.

- Jak to?! - zawołał przejęty Oskar. - Czy to znaczy, że przed podróżą do kolejnego Uniwersum będę musiał znowu odczekać rok?

- W pewnym sensie twój kalendarz umie cię odczytać. To on decyduje, jak szybko ma się przesuwać litera M i kiedy nastąpi właściwa chwila. Nie obawiaj się jednak: tym razem będziesz mógł wykonywać Introdukcje przez cały czas, także pomiędzy dwoma kolejnymi etapami wędrówki Litery. Nie wolno ci było tego robić tylko na początku, pomiędzy pierwszym a drugim Uniwersum. Miałeś za mało doświadczenia.

- Rzeczywiście widać, że zaznaczone jest na czerwono - tutaj pod Pasem, widzisz, Oskarze? Dalej nie ma już czerwonego, aż do Cerebry.

- O tym także zadecyduje twój kalendarz - sprostował pan Brave. - Jeśli uzna, że powinieneś wstrzymać się na pewien czas z Introdukcjami, da ci znać.

Valentine wpadła mu w słowo, chciała bowiem koniecznie uzyskać odpowiedź na pewne pytanie.

- Proszę pana, a kalendarz Oskara pokazuje też, czy może udać się do jakiegoś Uniwersum w towarzystwie przyjaciół?

Wielki Mistrz pokręcił głową.

- Nie - odparł. - To nie kalendarz decyduje o takich sprawach.

- A kto może podjąć taką decyzję? - ciągnęła dalej Valentine. - Muszę koniecznie porozmawiać z tą osobą!

Winston Brave pochylił się ku niej - olbrzymi i trochę groźny. Valentine spuściła głowę, nie do końca jednak speszona.

- Proszę cię uprzejmie: to ja podejmuję taką decyzję. A na razie - zarządził Wielki Mistrz - chciałbym, żebyście zostawili nas już samych i poszli sobie z Lawrence'em. Ty, Oskarze, na razie zostań, nie skończyliśmy jeszcze.

Dzieci ze świata wewnętrznego poddały się z pewnym żalem temu nakazowi. Valentine mrugnęła do Oskara.

- Czekamy na ciebie w moim pokoju - powiedziała. - Musimy nareszcie spokojnie pogadać! Jest o czym...

Lawrence już miał posłusznie wyjść, stanął jednak jak wryty. Cały hall wypełnił się donośnym głosem księżnej Lumpini:

- No cóż, mój chłopcze, przesuń się, proszę. Widzisz przecież, że nie mogę przejść!

Zanim pojawiła się księżna we własnej osobie, do pokoju napłynął obłok perfum. Kiedy ona sama weszła do biblioteki, w sukni godnej królowej osiemnastowiecznej Francji, nawet pani Withers wsparła się na najbliższym stojącym krześle.

- Anno-Mario, założyła pani krynolinę na spotkanie Rady? Co za świetny pomysł! - powiedziała, wyjmując z rękawa chusteczkę i przysuwając ją do nosa. - Ten jedwab, perły, wstążki... jakby to powiedzieć... robią doprawdy niezwykle wrażenie, ale czy ten strój jest na pewno wygodny?

- To kwestia przyzwyczajenia, moja droga! - odparła księżna, przytrzymując dłonią niewiarygodną białą perukę, którą właśnie lekko zawadziła o jeden z żyrandoli wiszących na wysokości trzech metrów. - To bardzo prosta sukienka, na co dzień.

Za nią zabrzmiał niezbyt głośny, ale energiczny głos:

- Ja zostanę w dżinsach, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu. Witajcie! Cześć, Oskarze!

Oskar od razu rozpoznał Maureen Joubert, sympatyczną kobietę, która do pewnego momentu oprowadzała go po świecie Hepatolii. Maureen postawiła na prostotę w równym stopniu, co księżna na wyfiokowaną elegancję: miała białą bluzkę, dżinsy i zwyczajne mokasyny. Jasne włosy były krótko przystryżone na karku, z grzecznie odgarniętą na bok grzywką. Próbowwała właśnie sięgnąć wzrokiem do czubka peruki kroczącej przed nią księżnej.

- Nie dam chyba rady - mruknęła w końcu. - Za wysoko...

Błysnęła wesołym spojrzeniem w stronę Oskara, który odpowiedział jej uśmiechem, i usiadła na swoim ulubionym fotelu o imieniu Ginger Rogers, podczas gdy księżna spoczęła na Sissi, przykrywając ją pianą koronek i tiulów, podobnie jak okrywa się ciasto bezą.

Alistair McCooley wpadł do biblioteki jak bomba - jakby wracał z walki z setką Patologusów - jeszcze bardziej rozdygotany niż zwykle. Miał na sobie pogniecioną koszulę, a ciemne włosy sterczały mu na wszystkie strony. Przypominał zwariowanego szczeniaka bardziej niż zwykle.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłem? - spytał zadyszany, rzucając się na swój fotel - Gavroche'a.

- Ależ skąd, może pan być całkiem spokojny - odezwała się uspokajająco pani Withers. - Jeszcze kilku osób nie ma.

- Właśnie wracam ze spotkania z Medykusami z Czeczenii - emocjonował się Alistair. - Muszę wam koniecznie wszystko opowiedzieć, zapowiada się prawdziwa rewolucja!

Jego wzrok zatrzymał się na imponującym zwoju materiałów po drugiej stronie stołu.

- A propos rewolucji - czy nie ścięto przypadkiem Marii Antoniny? Ach, Anno Mario, to pani...

Księżna, zamotana w krynolinie i zatopiona w myślach, zapewne nie mniej ekscentrycznych, w żaden sposób nie zareagowała na tę zaczepkę. Wszyscy zasiedli dookoła stołu, Oskar przycupnął na krześle w głębi biblioteki. Jako pierwszy odezwał się Winston Brave.

- Jesteśmy już niemal w komplecie, możemy zaczynać.

- Jesteśmy już całkiem w komplecie - podkreślił z naciskiem oschły głos za ich plecami.

Fletcher Worm wszedł do pokoju owinięty peleryną Medykusa, podczas gdy wszyscy pozostali ubrani byli w codzienne stroje - choć niekiedy z odległych epok. Przywitał pozostałych członków Rady skinieniem głowy, zignorował obecność Oskara i usiadł na Machiavellim, fotelu, który na jego widok usłużnie odsunął się od stołu. Młody Medykus obserwował Worma przez chwilę. Miał wrażenie, że ten ani trochę się nie zmienił; jak zwykle wydawał się jak z wosku, z zaskakująco bladą cerą i siwiejącymi, przerzedzonymi włosami. Na jego widok radość Oskara nieco przygasła. Wolał nie pamiętać o jego istnieniu, chociaż nie było to łatwe.

Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju wkroczyła Cherie, gadatliwa i pełna wdzięku kucharka z Cumides Circle, trzymając w rękach tacę wypełnioną filiżankami, dzbankiem z herbatą i talerzem. Na tę okazję ściągnęła swoje jasne włosy opaską i założyła śnieżnobiały fartuszek, który powiewał wokół jej szczupłej sylwetki. Kiedy ujrzała Oskara, jej oczy zalśniły radością. Jego powrót do Cumides Circle musiał wprawić ją w doskonały nastrój. Obeszła dookoła cały stół, poruszając się cicho w miękkich pantoflach - obsesyjnie przecież pilnowała porządku, a w jej kuchni wszystko lśniło - i postawiła filiżankę przed każdym z członków Rady. Może nieco zbyt energicznie podała naczynie Wormowi. Nie zaszczyciła go przy tym ani jednym spojrzeniem. Uśmiech znowu pojawił się na jej twarzy, kiedy zatrzymała się przy Oskarze.

- Jak to cudownie, że cię tu znowu widzimy, Oskarze! - zawołała, nic sobie nie robiąc z obecności członków Rady. - Żeby to uczcić, upiekłam ciasto! - dodała, stawiając przed nim talerz, na którym z powodzeniem zmieściłaby się duża pizza.

Oskar popatrzył na to z prawdziwym przerażeniem. Ktokolwiek choć raz spróbował dania przyrządzonego przez Cherie, pamiętał to po wsze czasy. Była najgorszą ze wszystkich złych kucharek świata.

- Ciasto z rzodkiewkami, pomarańczami, oliwą z oliwek i lukrem cytrynowym. Widzę, że musiało ci tego brakować! - dorzuciła pewnym siebie tonem.

- Nie ma pani pojęcia jak bardzo! - potwierdził Oskar, który drżał nieco na myśl, że będzie musiał zjeść ten dziwny pojazd kosmiczny, stojący przed jego nosem.

Pan Brave wyratował go z opresji.

- Dziękuję ci, Cherie, dopilnuję, żeby nikt nie porwał nawet najmniejszej okruszynki z talerza Oskara.

Wszyscy z ożywieniem pokiwali głowami, kucharka wyszła z pokoju, a Wielki Mistrz ciągnął dalej:

- Oskarze, pozwól, że ci pogratuluję: udało ci się przedostać do drugiego Uniwersum, a Przedwieczni zgotowali ci niezwykle przyjęcie - podkreślił, odwracając się w stronę czcigodnych dusz, zgromadzonych w sąsiedniej sali i obserwujących ich zebranie. - Teraz będziesz mógł udać się na wyprawę do tej niebezpiecznej krainy.

Worm popatrzył w końcu na chłopca, nie odezwał się jednak ani słowem. Oskar wytrzymał to spojrzenie bez mrugnięcia okiem. Było oczywiste, że ponury członek Rady nie podzielał ogólnego entuzjazmu.

Winston Brave podniósł nieco głos, chcąc przywołać Oskara do porządku.

- Niebezpiecznej i trudnej. Będziesz musiał bardzo poważnie potraktować wszystko, co usłyszysz na temat drugiego Uniwersum od tego członka naszej Rady, który najlepiej zna Dwa Królestwa.

- Witaj w Królestwie Pompy i w Królestwie Oddechów, staruszkule! - wykrzyknął radośnie Alistair McCooley, który podskoczył na swoim fotelu. - Już niedługo będziemy w jednej drużynie. Jesteś gotów?

Oskar energicznie pokiwał głową. Alistair budził jego zaufanie. Wiedział już

wcześniej, że to on jest odpowiedzialny za Uniwersum Dwóch Królestw. Wydawał się szczerzy, ale też nieco szalony i nie do końca zdyscyplinowany, podobnie jak sam Oskar. Nie było wątpliwości, że się dogadają.

- Jeśli już mowa o drużynie - przerwała pani Withers - chciałam przypomnieć, do jakich ustaleń wczoraj doszliśmy...

- Słusznie! - wpadł jej w słowo młody człowiek. - Ponieważ Dwa Królestwa nie są podobne do pierwszego Uniwersum, pomyśleliśmy, że będzie bezpieczniej, jeśli nie udasz się tam sam.

- Czyli inny Medykus wybierze się tam razem ze mną? - zapytał zdziwiony Oskar.

- Owszem, nawet kilkoro młodych Medykusów, takich jak ty - wyjaśnił Alistair. - Zdobyli już swoje pierwsze Trofeum i udało im się przedostać na drugą stronę. To ma być coś w rodzaju grupowego projektu. Co dwie głowy, to nie jedna! Wiesz, to tak jak w czasie rewolucji...

- Dziękuję panu, Alistairze - przerwała mu pani Withers, w obawie przed kolejną płomienną przemową młodego człowieka. - Może przedstawimy Oskarowi jego towarzyszy?

ON!

Oskar wpatrywał się w drzwi z napięciem i niecierpliwością. Niepokoił się, bo chociaż nie miał problemów w kontaktach z ludźmi, był bardzo niezależny, zwłaszcza jeśli chodziło o taką wyprawę! Obawiał się wyruszyć w nieznane z towarzyszami, których nie mógł być do końca pewien. Drzwi otworzyły się i wkroczył Bones, ponury majordomus Winstona Brave'a, za nim zaś wszedł szczupły, drobny chłopiec o

inteligentnym spojrzeniu, którego Oskar rozpoznał z ulgą: był to Ayden Spencer, jego kolega z klasy, który rok wcześniej odkrył, że jest młodym Medykusem. A zatem to zapewne z tej przyczyny Ayden zniknął tak szybko po lekcjach, dzień wcześniej. Bujał się na skalnej platformie, nad przepaścią, mierzył się z celnikiem i z zagadkami Głosu...

Za nim pojawiła się inna młoda osoba. Oskar dopiero po chwili doszedł do wniosku, że to dziewczyna: miała na sobie dzinsy, niebieską bluzę i czarne trampki, jej ciemne włosy były krótko ostrzyżone. Trzymała ręce w kieszeniach, miała zgrabne, długie nogi i wydawało się, że przerasta Aydena o głowę.

- Oskarze, znasz już Aydena. A to jest Sally Bunker. Jej ojciec jest rzeźnikiem w Babylon Heights.

Oskar przyglądał się dziewczynie, która pomachała do niego. Wydawała się wystarczająco umięśniona, żeby podnieść całego wołu w sklepie ojca!

- No cóż, skoro się już poznaliście, ustalmy pewne sprawy - Alistair zabrał energicznie głos, jak gdyby szykował się na wyprawę na biegun południowy.

Dzieci zbliżyły się odruchowo do stołu, słuchając uważnie. Wiedzieli wszyscy, że drugie Uniwersum może im zgotować rozmaite niespodzianki, każda rada Alistaira była zatem na wagę złota.

- Przede wszystkim wiecie chyba, że Dwa Królestwa są... dwa.

Anna-Maria wynurzyła się ze swoich koronek z głębokim westchnieniem.

- Mój drogi chłopcze, niechże pan przejdzie do rzeczy... Mam wrażenie, że te dzieciaki mają dużo więcej zapału od pana - co w końcu nie jest łatwe, kręci mi się w głowie, kiedy na pana patrzę - i chyba już się tego domyśliły.

Alistair wiercił się jeszcze bardziej nerwowo niż zwykle.

- To jest rzecz dużej wagi: dwa królestwa... to znaczy dwa Trofea! A raczej dwie uzupełniające się części Trofeów.

Dzieci popatrzyły na niego zdumione.

- Trzeba będzie przynieść dwa Trofea z jednego Uniwersum? - spytał z niedowierzaniem Ayden. - Przecież już z przyniesieniem jednego była niezła jazda...

- Jeśli mówi się nam, że mamy przynieść dwa Trofea, będziemy musieli przynieść dwa, koniec, kropka. Kiedy wyruszamy? - ucięła Sally, która nie lubiła dzielić włosa na czworo.

- Będzie nam pan towarzyszył? - zapytał Oskar.

- Tak, będę z wami na początku, żeby pokazać wam właściwą drogę - odparł Alistair.
- Później będziecie już musieli radzić sobie sami. Wyjaśnię wam wszystko, kiedy przyjdzie właściwa pora.

- A co to za Trofea? - ciągnął Oskar, który nie lubił niedopowiedzeń.

- Cierpliwości! - rzucił Alistair, który raczej nie bywał cierpliwy. - Zobaczymy się jeszcze, zanim wyruszymy w drogę. Będziecie potrzebowali różnych rzeczy w tej podróży - dodał zagadkowo.

- To chyba wszystko - podsumował Wielki Mistrz. - Chciałbym, żeby każdy członek Rady wyraził swoją zgodę. Czy nie macie nic przeciwko temu, aby tych troje młodych Medykusów wyruszyło w tę wyprawę?

Cztery osoby zyczliwie pokiwały głowami, Worm zachował milczenie.

- Cóż, skoro nikt nie wyraża sprzeciwu, to znaczy, że wszyscy się zgadzacie - skwitował Winston Brave, patrząc uważnie na Worma. - Wiecie, co to oznacza? Ci młodzi ludzie muszą czuć, że mają w was oparcie, taka jest nasza rola. Zwłaszcza jeśli znajdują się w Uniwersum, za które jesteście odpowiedzialni - ale gdzie indziej także. Czy mogą na was liczyć w tej kwestii? Solidarność to podstawa.

Oskar domyślał się, do czego nawiązuje Wielki Mistrz. Rok wcześniej szeroko rozniosła się wiadomość o tym, że z więziennej celi uciekł Czarny Książę, Laszlo Scarsdale. Nad całą ludzkością zawisło ponownie niebezpieczeństwo. Patologusi mieli bowiem moc wywoływania nieuleczalnych chorób, jedynie Medykusi byli w stanie zwalczać je wewnątrz organizmów. Czyżby do Winstona Brave'a i Rady Medykusów dotarły niepokojące pogłoski? Prędzej czy później musiało się wydarzyć coś złego, Oskar o tym wiedział. Kiedy ratował wraz z przyjaciółmi majordomusa Bonesa, zetknął się już z Patologusami. Mógł być pewien, że nie spoczną na laurach i ruszą niebawem do działania.

Anna Maria Lumpini postanowiła rozluźnić napiętą atmosferę.

- To jasne, że pomożemy dzieciakom, wie pan o tym dobrze, Winstonie. A poza tym wyglądają na niezłych spryciarzy, zwłaszcza ten mały rudzielec - to młody Pill, prawda? Nie uważa pani, Berenice, że jest strasznie podobny do pięknego Vitalego? Po prostu skóra zdarta z ojca!

- Nie tylko z twarzy przypomina ojca - odparła pani Withers z lekkim uśmiechem.

Jej małe, zielone oczka błyszczały wesoło za czerwonymi oprawkami okularów. Oskar dobrze wiedział, że może na nią liczyć w każdej sytuacji.

Maureen Joubert przerwała milczenie:

- Wiesz, Oskarze, że od twojej ostatniej wizyty w Hepatolii zrobiłam duże postępy w prowadzeniu motorówek? Nie mają już teraz dla mnie żadnych tajemnic, daję sobie radę nawet w środku wodospadu! Możecie ruszać zupełnie spokojnie, ty i twoi przyjaciele. Jeśli będziecie potrzebowali mojego wsparcia, w Hepatolii lub poza nią - zawsze możecie na mnie liczyć.

- Doskonale - podsumował Winston Brave, wstając z miejsca. - Zakończyliśmy zatem nasze posiedzenie, nie zatrzymuję was. Berenice, czy mogłaby pani...

- A może zainteresuje pana moja opinia, mój drogi Winstonie?

Worm, który do tej pory przywoził na myśl kamienny posąg, nareszcie przemówił - po raz pierwszy, odkąd wszedł do biblioteki. Wielki Mistrz usiadł z powrotem, a pani Withers wyprostowała się na swoim fotelu i nadstawiła ucha. Worm miał szczególny talent - wkraczał do akcji, kiedy już wszystko wydawało się ostatecznie ustalone i przewracał cały plan do góry nogami.

- Ależ naturalnie - powiedział Wielki Mistrz, starając się ukryć irytację. - Słuchamy, co chciałby nam pan powiedzieć?

Worm milczał przez chwilę, jakby chciał, by zapadła jak najgłębsza cisza, zanim zacznie mówić.

- Wiecie chyba, co myślę o obecności młodego Pilla w naszym gronie - nie mógł sobie darować, by nie powtórzyć tego po raz enty. - Ale cóż, stało się. Nie mam nic przeciwko temu, aby trójka dzieci weszła do drugiego Uniwersum, by zdobyć kolejne Trofeum, a raczej jego dwie części. Uważam jednak, że pomysł młodego McCooleya jest doskonały.

Alistair skrzywił się nieco: Worm z lubością podkreślał zawsze jego młody wiek i traktował go jak nastolatka. Już miał coś powiedzieć, Brave powstrzymał go jednak

znaczącym spojrzeniem, zachęcając Worma, by kontynuował.

- Ci młodzi ludzie nie mają doświadczenia, a w takiej sytuacji nie ma nic lepszego niż wzajemna pomoc i solidarność.

- A to przecież wartości, które pan wyznaje! - dorzucił Alistair, nie mogąc się powstrzymać od drobnej kąśliwości.

Worm skrzywił się na to nieznacznie.

- Kiedy pan postanowił przyspieszyć inicjację młodych Medykusów, Winstonie, zaproponowałem, że będę z panem współdziałał w tej kwestii.

- A ja odpowiedziałem panu na to, że chętnie zwrócę się do pana o pomoc, jeśli uznam, że to konieczne - podkreślił Winston Brave, który podobnie jak inni zastanawiał się nieufnie, do czego zmierza Fletcher Worm.

- Cóż, uznałem za stosowne uprzedzić pańską prośbę - ciągnął Worm lodowatym głosem, przeciągając każdą zgłoskę i wzruszając lekko ramionami.

Nikt inny poza nim nie odważyłby się okazać takiego braku posłuszeństwa wobec Wielkiego Mistrza, nawet jeśli Worm starał się zachować pozory uprzejmości. Tym razem to Wielki Mistrz musiał pohamować swój gniew. Zacisnął pięści i milczał.

- Zrobiłem zatem to samo, co pan - ciągnął Fletcher Worm. - Zacząłem kształcić młodych Medykusów... Wziąłem ich pod swoje skrzydła. Podobnie jak pan postąpił z tym chłopcem. To przecież rola członków Rady, prawda, Winstonie?

Brave wstał z miejsca, odpychając od siebie Karola Wielkiego, swój fotel, nad którego oparciem górowała duża litera M. W środku litery drogocenny, zielony kamień lśnił chłodno, oddając w pełni nastrój Wielkiego Mistrza.

- Porozmawiamy o tym później - odparł. - Jeśli już pan skończył, proponuję, abyśmy pozwolili odejść pozostałym.

- Nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Wszyscy podnieśli się z miejsc. Wszyscy - poza Wormem.

- ... pozostaje mi tylko wam ich przedstawić - dodał Worm, siedząc spokojnie w swoim fotelu, Machiavellim.

- Przedstawić nam ich? - zdziwiła się księżna, która usiłowała okiełznać loki i kosmyki swojej fryzury. - Kogo chce nam pan przedstawiać?

Worm wstał i ruszył bez pośpiechu w stronę drzwi, po czym je otworzył. Na jego znak pojawiła się dziewczyna, mniej więcej w wieku Oskara. Stała wyprostowana w progu, rozglądając się podejrzliwie, jak gdyby nie była przekonana, czy powinna wejść do pokoju. W końcu jednak zrobiła parę kroków. Oskar nie znał jej. Przyjrzał się jej uważnie. Nosila granatową spódnicę i bluzkę koszulową w paski, zapiętą aż po samą szyję, na nogach miała ciemne sandały i niebieskie skarpetki. Nie wyglądała szczególnie sympatycznie i Oskar nie mógł się powstrzymać od myśli, że jej charakter musi być podobny. Miała trójkątną twarz, ani ładną, ani specjalnie brzydką. Mały koczek, zaciśnięte usta i zadarty nos przywodziły na myśl oschłą nauczycielkę.

Worm popchnął ją lekko w kierunku pokoju. Spiorunowała go wzrokiem i odtrąciła stanowczo jego dłoń. Worm nie nalegał zatem.

- Zapropnowałem Iris Flockhart, by do nas dołączyła i poznała towarzyszy swojej wyprawy do drugiego Uniwersum. Podobnie jak pozostali zdobyła pierwsze Trofeum i przedostała się na drugą stronę przejścia granicznego. Sądzę, że jest gotowa.

Pierwsza odezwała się Berenice Withers:

- Fletcher, dlaczego nie powiedział nam pan nic przed posiedzeniem Rady? Stawia nas pan przed faktem dokonanym, tymczasem mamy prawo wyrazić naszą opinię.

- Wydaje mi się, że mieliśmy również to samo prawo, kiedy pani sama zdecydowała o tym, że należy rozpocząć inicjację młodego Pilla, nic nam o tym nie wspominając, a przecież wszyscy wiemy, jak skończył Vitali Pill. Ojciec Iris, którego wszyscy znacie, nie siedział w więzieniu, a jego nazwisko nie zostało wytarte z ksiąg Zakonu. Nie rozumiem więc, dlaczego chce pani odmówić Iris tego, co wydało się pani słuszne w przypadku tego chłopca...

Pani Withers popatrzyła na Winstona Brave'a, a później na pozostałych członków Rady. Wpadli we własne sidła, teraz mogli tylko zaakceptować wejście do grupy podopiecznej Worma.

Maureen podjęła ostatnią próbę oporu:

- Sądzę, że ostateczną decyzję powinien podjąć ten, kto poprowadzi tę grupę do drugiego Uniwersum - Alistair. Uważam, że wszyscy powinniśmy liczyć się z jego opinią w tej kwestii.

Worm zwrócił się do Alistaira, nie dając mu dojść do słowa:

- Jak się wyraziłeś przed chwilą? Co dwie głowy, to nie jedna? Jestem pewien, że mała Flockhart świetnie zgra się z resztą grupy i wybitnie ją wzmocni.

Alistair poszukał wzrokiem Winstona Brave'a. Ten kiwnął głową.

- Cóż, wobec tego Iris także należy do grupy, to postanowione - powiedział krótko Wielki Mistrz.

Zadowolony Worm podszedł znowu do drzwi.

- Zgodzicie się chyba ze mną, że nie możemy tracić ani chwili w obliczu zbliżającej się walki ze złem. Pozwólcie zatem, że przedstawię wam kolejnego nowego ucznia. Jego rodzinę również wszyscy znamy.

Chcąc zapobiec jakiegokolwiek dyskusji, Worm podkreślił stanowczo:

- Mam całkowite zaufanie do tego młodego Medykusa i bardzo liczę na to, że weźmie udział w tej wyprawie, Winstonie.

Drzwi otworzyły się energicznie i w pokoju pojawił się duży, mocno zbudowany chłopak.

Oskar poczuł się, jakby strzelił w niego piorun.

WYPADEK

Moss! Ronan Moss!

Lawrence po raz trzeci powtarzał to, co chwilę wcześniej usłyszał od Oskara. Był w ciężkim szoku.

Valentine prychała ze złości.

- Ten tusty prostak jest Medykusem?! To niemożliwe, nie wierzę! Po prostu Fletcher Worm go popiera, wszystko jasne... Ja w każdym razie nigdy mu nie zaufam, nie ma takiej opcji! Poczekaj tylko, niech no wsiądzie razem ze mną do Kapsuły, będzie inaczej

śpiewał!...

Sam Oskar ciągle jeszcze nie mógł się uspokoić. Wystarczyło mu, że zobaczył nogę Mossa wkraczającego do biblioteki - od razu go poznał i w jednej chwili pojął, że od tej pory wszystko będzie dużo trudniejsze.

- Kiedy sobie pomyślę, że rusza razem z nami na wyprawę do drugiego Uniwersum! Już ta cała Iris wydaje się przy nim lepsza! Moss jest gorszy od wszystkich zagrożeń, jakie na nas czekają w całych Dwóch Królestwach!

- Jakim cudem pan Brave się na to zgodził?

- Nie miał wyboru - powiedział Lawrence, który pomału dochodził do siebie. - Słyszałaś, co im powiedział Worm...

Valentine rzuciła mu spojrzenie pełne wyrzutu. Oskar popatrzył na nią zaskoczony.

- Co powiedział Worm? Ale... przecież wy byliście przez cały czas tutaj, prawda? Zdziwiłoby mnie bardzo, gdyby Bones pozwolił wam podsłuchiwać pod drzwiami...

Valentine uszczypnęła Lawrence'a w ramię.

- Ach, ty zdrajco. No dobrze, pokażę ci - powiedziała, wstając.

Zrobiła kilka kroków w stronę kominka, zanurkowała gdzieś za nim i wyjęła dziwny przedmiot skonstruowany domowym sposobem. Wyciągnęła go w kierunku Oskara.

- Co to za cudo? - zapytał Oskar, zdumiony, obracając w ręku dziwną formę, która wyglądała, jakby ktoś ją wygrzebał w Bazarze Jeremy'ego.

- Odbiornik fal głosowych - wyjaśnił Lawrence, szukając czegoś wokół siebie. - Jak

zapewne dobrze wiesz, metal przewodzi fale. Przytwierdziłem zatem metalowy drut w przewodzie wentylacyjnym, który przechodzi obok biblioteki i salonu, a potem wznosi się aż tutaj, na piętro, owinąłem ten drut wokół puszek po konserwach, żeby wzmocnić efekt, a do tej puski przyłączyłem jeszcze wzmacniacz, żeby ta mała ciekawska mogła usłyszeć wszystko, o czym się mówi na dole. To znaczy, ja wymyśliłem, jak to ma działać, a ona majsterkowała i zrobiła to w warsztacie Jerry'ego... Słuchajcie, widział ktoś moje okulary? - spytał w końcu.

- Pewnie na nich siedzisz jak zwykle - powiedziała Valentine, zabierając swoje cenne urządzenie szpiegowskie. - Dobra, no i co z tego? Trzeba trzymać rękę na pulsie, tak czy nie?

- Ha, brawo! - zaśmiał się Oskar. - Nieźle sobie poradziłeś, Lawrence! Widzę, że przeszedłeś na ciemną stronę mocy...

- No, trochę to trwało, musiałam go namawiać - przyznała Valentine, owijając wokół palca swój czerwony kucyk. - I dobrze się złożyło, bo nasz przyjaciel ciągle siedzi z nosem w książkach, lubi fizykę, matematykę, różne takie... Wszystkie te skomplikowane rzeczy. Alistair ma rację: co dwie głowy, to nie jedna...

Lawrence założył okulary i przybrał znowu swój poważny ton.

- W każdym razie nie poradzisz sobie z Mossem tylko za pomocą tego urządzenia, Oskarze. Zaskakuje mnie - ciągnął z charakterystyczną dla siebie logiką - że Worm naciskał na to, aby tych dwoje uczestniczyło w waszej wyprawie. Niby dlaczego? Przecież mogli równie dobrze wyruszyć we dwoje albo mógł się wybrać z nimi.

- Worm mnie nie znosi - stwierdził Oskar. - To jedno jest pewne. Ma chyba nadzieję, że Moss przeszkodzi mi w zdobyciu mojego Trofeum...

- Chciałeś chyba powiedzieć, że Moss nam przeszkodzi w zdobyciu twojego

Trofeum! - poprawiła go z naciskiem Valentine. - Idziemy przecież z tobą, przekonamy wszystkich, żeby się zgodzili, zajmę się tym! - oświadczyła pewnym siebie tonem.

- To niemożliwe - odparł młody Medykus. - Muszę jak najszybciej znaleźć te Trofea, by móc dostać się do trzeciego Uniwersum. A poza tym to zbyt niebezpieczne.

Valentine podniosła się i stała teraz przed nim, z rękami na biodrach.

- Popatrzcie tylko na tego gogusia! - rzuciła kpiącym tonem. - „Zbyt niebezpieczne”... Chciałabym ci przypomnieć, że rok temu bywało naprawdę kiepsko i bez nas nigdy byś nie zdobył tej swojej Fiolki Hepatolii, mój ty mały Medykusiku!

- W porządku... - ustąpił Oskar, chcąc ją uspokoić.

Popatrzył na zegarek, po raz pierwszy, odkąd rano opuścił swój pokój: była już prawie dziesiąta, mama pewnie zdążyła się obudzić. Przy pewnej dozie szczęścia może postanowiła powylegiwać się trochę dłużej w łóżku i nie zauważyła jeszcze jego nieobecności. Przypomniał sobie wydarzenia z poprzedniego wieczoru - ich spóźnienie, wyrzuty matki, a przede wszystkim sytuację z Barrym Huxleyem, która przysporzyła matce tylu zmartwień. Nie było mowy o tym, żeby jeszcze bardziej się pogrążyć.

Podniósł się z miejsca gwałtownym ruchem.

- Muszę wracać do Babylon Heights - powiedział.

- O nie, proszę cię, dopiero co się spotkaliśmy! - jęknęła Valentine. - Nie możesz zostać do jutra? Jestem pewna, że Cherie wysprzątała cały twój pokój na błysk! Pomyśl, jakie zmiany zaszły od zeszłego roku - teraz już każde z nas ma swój pokój...

- Mieszkaliście tu przez cały rok? - zapytał Oskar zdziwiony.

- Owszem - powiedział Lawrence. - Valentine poprosiła o to pana Brave'a i ja sam chętnie bym się przyłączył do tej prośby, ale dziwnym zbiegiem okoliczności bardzo łatwo się zgodziłem... W tym przypadku wcale nie szukałem naukowych wyjaśnień - wyznał Lawrence, z rękami opartymi na okrągłym brzuchu. - Zostań, Oskarze, szkoła zaczyna się dopiero w poniedziałek! Mamy ci masę rzeczy do opowiedzenia!

Oskar wahał się przez chwilę.

- Mam lepszy pomysł! - powiedział.

Kwadrańs potem limuzyna pana Brave'ea odjechała spod Cumides Circle. W środku znajdował się Oskar, para jego przyjaciół i trochę rzeczy w spakowanej szybko walizce. Na szczęście samochód miał przyciemniane szyby i z zewnątrz nikt nie mógł dostrzec, kto go prowadzi: była to bowiem dwunastoletnia dziewczynka. Trzymała mocno kierownicę, siedząc na kolanach szofera.

- Dalej, Jerry, niech pan doda gazu! Muszę zmienić biegi, nie będziemy całymi godzinami wlec się na dwójce! Proszę przyspieszyć!

Valentine rzucała instrukcje rozczulonemu Jerry'emu. Jej przyjaciele przyglądali się temu jednak z pewnym niepokojem. Oskar, który siedział na tylnym siedzeniu, wychylił się do przodu.

- Valentine, czy jesteś aby pewna...

- Jestem, jestem - zapewniła go. - Jerry często daje mi prowadzić, prawda, proszę pana? Nie dosięgam gazu i sprzęgła, więc siadam mu na kolanach i on jest moimi nogami. Macie dwóch szoferów w jednej osobie, co się martwicie, chłopcy! Trochę zaufania!

Jerry pokiwał głową, bardzo z niej dumny, a Valentine dała mu serdecznego całusa. Jerry i Cherie nie mieli własnych dzieci, dlatego też szofer okazał się zupełnie nieodporny na urok przemiłej panienki. Oskar poddał się i zamilkł, natomiast Lawrence przez całą drogę mamrotał swoje umoralniające przestrogi, dotyczące ostrożnej jazdy. Tymczasem oboje szoferów rozmawiało o motoryzacji. Pisk opon i odgłos uderzenia sprawiły jednak, że Jerry gwałtownie zahamował. Samochód jadący tuż przed nimi musiał w coś uderzyć.

- Zostańcie w wozie, dzieci! - poprosił Jerry.

Wysiadł i podszedł do miejsca wypadku. Kilka sekund później ruszyła za nim Valentine, a potem także obydwaj chłopcy, którzy nie mieli zamiaru siedzieć beczynn timer w limuzynie. Wszyscy byli w szoku, kiedy ujrzeli potrąconego mężczyznę leżącego na asfalcie.

Jerry rzucił się w jego stronę.

- Panie McCoolley!..

Alistair, jeszcze pod wpływem szoku, z trudem odzyskiwał przytomność. Klęczał przy nim kierowca, który go potrącił. Jerry odsunął go i pobieżnie zbadał młodzieńca. Dzieci tłoczyły się wokół niego, zaniepokojone.

- Alistairze! Słyszysz mnie pan? - zawołał Oskar. - To ja, Oskar! Oskar Pill!

Alistair wymruczał coś niewyraźnie. Masował sobie głowę.

- Strasznie mi przykro! - jęknął mężczyzna, który go potrącił. - Nie widziałem go, wybiegł na ulicę, w ostatniej chwili udało mi się zahamować...

Valentine potraktowała go surowo:

- Ma pan w ogóle prawo jazdy?... Gdy się nie umie prowadzić samochodu, lepiej jeździć na rowerze!

Lawrence przewrócił oczami.

- Jak ona może odzywać się tak bezczelnie? - spytał Oskara.

Mężczyzna o twarzy pokrytej bliznami popatrzył wrogo na Valentine.

- Sądziś może, że zrobiłem to specjalnie?

Tymczasem Alistair oprzytomniał. Chciał się podnieść, ale Jerry go powstrzymał.

- Wezwiemy karetkę, panie McCooley, tak będzie bezpieczniej. Niech pan się na razie nie rusza. Jeśli coś pan sobie złamał...

- Nie, nie... - odparł Alistair, siadając na jezdni. - Już wszystko w porządku, nie martwcie się o mnie.

- Jest pan pewien? Mogę pana zawieźć do szpitala... - nalegała Valentine.

- Niech pan jej nie słucha. Jerry ma rację, wezwiemy karetkę, tak będzie rozsądniej! - upierał się Lawrence.

- Nie, nie chcę, nic mi się takiego nie stało! - zapewnił ich Alistair, obmacując po kolei różne części ciała. - Wrócę do domu i odpocznę trochę, wszystko będzie dobrze.

- Ach, ci Medykusi, którym się zawsze wydaje, że nic złego nie może im się przytrafić! - mruknął Lawrence.

Oskar szturchnął go znacząco: kierowca, który potrącił McCooleya, przysłuchiwał się im ze zdziwieniem.

- Może jednak zgodzi się pan pojechać do szpitala, jest tu, całkiem niedaleko - zaproponował niepewnie. - Pana przyjaciele mają rację, byłoby lepiej, gdyby zbadał pana lekarz.

Alistair w końcu się zgodził. Podniósł się, opierając się na silnym ramieniu Jerry'ego. Wszyscy wsiedli do samochodu i odjechali. Zatrzymali się dwie przecznice dalej, przed niewielkim budynkiem. Neon, ciągnący się wzdłuż fasady obwieszczał, iż mieści się tu:

Klinika medyczna i chirurgiczna

Kierowca, który potrącił Alistaira i przyjechał tu razem z nimi, wszedł pierwszy. Kiedy i oni weszli do budynku, zbliżył się w towarzystwie lekarza, człowieka jeszcze niższego niż Jerry, przygarbionego i ruchliwego, który mamrotał coś pod nosem.

- Prosz tu za mną - powiedział do Alistaira, połykając sylaby. - Niech pan idzie zmną, zrobimy pświetlenie.

- Pświetlenie? - zdziwiła się Valentine. - A co to takiego?

Jerry spojrział na nią karcąco, a chłopcy wypchnęli ją do przodu.

- Idziemy razem - stwierdził Oskar, który nie chciał zostawiać Alistaira samego.

Młodzieniec ułożył się na leżance, a pozostali schronili się w przeszklonej kabinie, także Lawrence, który - zafascynowany technologią i nauką - nie chciał stracić ani sekundy z tego cudownego widowiska.

- Dla ochrony przed promieniami - wyjaśnił im lekarz.

Leżanka przesunęła się po szynach i Alistair zniknął w dużej metalowej tubie. W kabinie, na ekranie, widać było serię ujęć całego ciała, jak gdyby krojono je na części i badano, jedna po drugiej. Kilka chwil potem Alistair wysunął się na swojej leżance.

- Jest pan w świetnej formie! - ucieszył się radiolog.

- Wiemy przecież, że jest - niecierpliwiła się Valentine, która nie mogła już wytrzymać.

- Świetnej! - powtórzył wyraźniej lekarz. - Będzie pan miał siniaki, to wszystko. -
Może pan iść do domu.

Uszczęśliwiony Oskar rzucił się, żeby pomóc Alistairowi wstać. Młody człowiek wstał, krzywiąc się lekko, po czym wyszli z kliniki. Alistair był nieco ogłuszony, być może bardziej nawet niż w chwili tuż po wypadku.

- To minie! - tłumaczył zaniepokojonym dzieciom.

Przed kliniką kierowca, który go potrącił, wybąkał jeszcze przeprosiny i ulotnił się w jednej chwili; raczej nie czuł się swobodnie. Teraz, skoro nic złego się nie stało, nikomu nie zależało szczególnie na jego towarzystwie. Wsiedli do limuzyny i Jerry podwiózł Alistaira do domu. Odmówił jednak, kiedy zaproponowali mu pomoc w wejściu do mieszkania.

- Wszystko w porządku, nie martwcie się o mnie, proszę...

Pomachał dzieciom, ale potem zatrzymał się jeszcze na moment. Jerry opuścił przednią szybę, a młody człowiek pochylił się ku niemu.

- Nie warto o tym wspominać panu Brave'owi, prawda, Jerry? Czuję się dobrze, to był tylko głupi wypadek, bez żadnych konsekwencji.

- Dobrze, panie McCooley.

- Do widzenia i do zobaczenia, Oskarze!

- Do zobaczenia niebawem! - ucieszył się Oskar.

Niedługo potem limuzyna dotarła do Babylon Heights i zatrzymała się przed domem Pillów. Dzieci zapomniały już niemal o wypadku i drżały z niecierpliwości. Valentine, która znowu wróciła za kierownicę, wysiadła z samochodu.

- Zastanawiam się, czy nie należałoby zrobić przeglądu silnika; jak pan sądzi, Jerry?

- Nawet o tym nie myśl - ofuknął ją dobrotliwie Jerry, poprawiając swój zielony krawat ozdobiony złotą literą M. - Pan Brave z miejsca by mnie zwolnił!

Na piętrze poruszyła się firanka. W starym drewnianym domu rozległ się okrzyk radości, a kilka chwil potem drzwi otworzyły się z trzaskiem i wypadła z nich Violette. Rzuciła się biegiem w ich kierunku, z rudymi warkoczycami powiewającymi na wietrze, i padła przyjaciółce w ramiona.

- Byłam pewna, że wrócisz! - zawołała.

Odsunęła się i przyjrzała się Valentine, zachwycona.

- Widzę, że cały czas masz te czerwone włosy? Dobry pomysł.

- Nie mam większego wyboru w tej kwestii - odparła Valentine, która zapomniała już, jak dziwne pomysły miewa siostra Oskara. - Mam takie od urodzenia.

- Moje też się nie zmieniają - zapewniła ją serio Violette. - Każdego ranka są tak samo rude... - dodała lekko rozczarowanym tonem, biorąc do ręki jeden z warkoczyków.
- Szkoda, chciałabym, żeby ich kolor czasem się zmieniał, wiesz, żeby pasowały mi do koloru ubrań...

Rozejrzała się i dostrzegła walizkę.

- Zostajecie u nas? Cudownie!

- Czy ja też mogłabym się wypowiedzieć w tej kwestii? - powiedział ktoś za jej plecami.

To Celia wyszła z domu i stanęła na progu z założonymi rękami.

- No proszę, jakbym już gdzieś widziała te twarze! - ciągnęła z uśmiechem. Oparła się o drzwi wejściowe. - Widzę, że mój synek wyruszył z rana polować na przyjaciół! Nie da się ukryć, że ta akcja zakończyła się pełnym sukcesem...

Valentine rzuciła się w jej kierunku, ale Lawrence złapał ją za ramię i przytrzymał. Wystąpił naprzód, poprawił sobie ręką włosy i przyjął postawę klasycznego mówcy konferencyjnego.

- Szanowna pani, to dla nas wielki zaszczyt i przyjemność znowu panią spotkać, eee... i, cóż, Oskar był tak miły, że zaproponował nam... eee... jakby to powiedzieć...

- ... żebyście dali mi parę całusów na powitanie? Witajcie w domu, dzieci! - przerwała mu, rozchylając ramiona, żeby ich uściskać.

Oskar skorzystał z okazji, żeby także uściskać mamę. Nie była wcale zła, nieprzyjemna scena z poprzedniego wieczoru wydawała się tylko złym wspomnieniem.

- Mamo, zgodzisz się, żeby Lawrence i Valentine zostali u nas na weekend?

- Sprawia ci to przyjemność?

Pokiwał głową.

- A zatem jeśli ci to sprawia przyjemność i radość, to najważniejsze. Owszem, zgadzam się.

Oskar znowu się do niej przytulił. Kiedy Celia na niego popatrzyła, odczytał w tym spojrzeniu - jak zawsze do tej pory - całą jej miłość i czułość.

- Widzisz, byłoby miło, gdybyś ty też czasem reagował w ten sam sposób, Oskarze - powiedziała mama. - Chciałabym, żeby do ciebie dotarło, że liczy się także szczęście i radość innych, nie tylko twoje własne... Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Oskar spuścił wzrok. Tak, świetnie rozumiał, co matka chciała przez to powiedzieć, ale wolał o tym nie mówić - w każdym razie jeszcze nie teraz. W jego pamięci pojawiła się znowu twarz Barry'ego i zrobiło mu się nieswojo na samą myśl o tym, że znowu go zobaczy. Wolał na razie ominąć ten temat w rozmowie z mamą.

- Wnieśmy walizkę do mojego pokoju! - zawołał ze sztucznym nieco zaafierowaniem.

Całe towarzystwo zainstalowało się na piętrze: Lawrence miał nocować w pokoju Oskara, a Valentine - u Violette.

Było oczywiste, że w skromnej i raczej niezamożnej dzielnicy Pillów limuzyna, „bentley z 1978 roku, świetnie utrzymany dzięki mnie i Jerry'emu” - jak później

wyjaśniała Valentine - robiła duże wrażenie i nie mogła pozostać niezauważona. Wszyscy sąsiedzi rzucili się do okien. Celia poprosiła Jerry'ego, aby następnym razem wykazał się większą dyskrecją i parkował nieco dalej od ich domu.

- Co ja niby mam teraz powiedzieć sąsiadom?

Zaprosiła Jerry'ego na kawę, a później kierowca pośpiesznie odjechał. Dzieci zgromadziły się w pokoju Oskara - ten ostatni chciał się dowiedzieć, co działo się podczas tego roku, który Valentine i Lawrence spędzili bez niego w Cumides Circle.

- Brakowało mi naszych przygód w ludzkim ciele - wyznała Valentine. - Na szczęście był Jerry i rozmawialiśmy sobie o gaźniku i innych sprawach z dziedziny mechaniki!

- Gdybyś tylko choć trochę lubiła czytać, nigdy byś się nie nudziła - powiedział z wyrzutem Lawrence. - Pan Brave pozwolił mi w końcu korzystać z niektórych książek w bibliotece - dodał z błyskiem w oczach ukrytych za metalowymi oprawkami okularów. - Mógłbym tam spędzić cały wiek...

- No a poza tym kazał nam siedzieć w domu od czwartej po południu, bo wszyscy wiedzieli, że o tej porze przychodziłeś do Cumides Circle. Cherie chowała się w bibliotece za zasłonami. Za każdym razem kiedy cię widziała, chciało jej się płakać. Nie mogliśmy się już doczekać, kiedy nareszcie zacznie się ta cała próba z przejściem granicznym!

W tej samej chwili usłyszeli ostry klakson rozbrzmiewający od strony ulicy. Rzucili się do okna. Jeremy siedział na tylnym siedzeniu tandemu i machał do nich nader energicznie. Jego brat siedzący z przodu ciężko dyszał. Było więcej niż pewne, że Jeremy nie wkładał zbyt wiele wysiłku w pedałowanie.

- No i co? Jaśnie wielmożny pan zajeżdża pod dom limuzyną, a tymczasem my kręcimy się po ulicach Babylon Heights i bezskutecznie cię szukamy? Twoja mama

poprosiła nas o to rano, nie wiedziała, gdzie jesteś...

Przerwał w pół słowa, dostrzegł bowiem czerwone kucyki Valentine i okrągłą twarz Lawrence'a.

- Hej, widzę, że mamy dziś wielki dzień! Pojawili się nasi starzy znajomi!

Klepnął Bartha w ramię.

- W drogę, kierowco! Musimy to uczcić! Moi drodzy, spotkanie w Bazarze Jeremy'ego, za pół godziny!

Alistair dotarł do domu. Od razu rzucił się na łóżko.

Kiedy przebudził się wieczorem, czuł pustkę w głowie, zupełnie jakby otaczała go gęsta mgła. Zapalił niedużą lampkę - nie mógł jeszcze znieść ostrzejszego światła. Zjadł lekki posiłek.

Usiadł w salonie. Pomimo uspokajających wyników badań, pierwszy raz w życiu obawiał się nieco o siebie, o swoje zdrowie. Taki lęk był mu do tej pory całkowicie obcy. Już jako dziecko był niezwykle wprost porywczy i uwielbiał przygody; obojętnie traktował wszelkie skaleczenia. Te same cechy widział u tego chłopca, syna Vitalego Pilla, i budziły one jego sympatię. Oskar przypominał mu jego samego, kiedy był w podobnym wieku. To przede wszystkim dla niego, dla Oskara, musiał szybko odzyskać dobrą formę. Musiał go zaprowadzić - kiedy to tylko będzie możliwe - do drugiego Uniwersum, które on, Alistair, znał lepiej niż jakikolwiek inny Medykus.

Przypomniały mu się słowa kierowcy, który go potrącił. Człowiek ten twierdził, że Alistair wybiegł nagle na ulicę. A tymczasem on sam był niemal zupełnie pewien, że

zachował wszelkie zasady ostrożności. Czy to na pewno był zwykły wypadek? Może jednak rozważniej by było porozmawiać o tym przy okazji z Wielkim Mistrzem.

Pokręcił głową i pomyślał, że być może to oznaki lekkiej manii prześladowczej. Od chwili kiedy Książę Patologusów wymknął się z więzienia, kazano im zachowywać wyjątkową czujność. W końcu zaczął się we wszystkim dopatrywać czegoś podejrzanego. Nie było sensu opowiadać o tym epizodzie ani Winstonowi, ani komukolwiek innemu.

W gruncie rzeczy dobrze wiedział, dlaczego niechętnie myśli o rozmowie na ten temat. Ktoś mógłby sobie znowu przypomnieć, w jaki sposób umarł jego ojciec - a już na pewno znaleźliby się tacy, którzy by o tym pomyśleli. George McCooley u schyłku życia popadł w chorobę psychiczną. Alistair nie cierpiał, kiedy o tym rozmawiano. Nie mógł nawet znieść myśli, że ktoś o tym pamięta, nienawidził zażenowanych spojrzeń innych ludzi. Nigdy nie mógł pogodzić się z tym faktem, tak jak nie pogodził się z wyjaśnieniami lekarzy, którzy badali ojca: „W głowie pańskiego ojca, panie McCooley, są dwie osoby. Jest człowiek inteligentny i poukładany, którego pan dobrze zna, czasami jednak jakby się wyłączał. Wtedy pojawia się inny George, ktoś, kto niezupełnie wie, co się z nim dzieje”.

„Ale kiedy jest ze mną i z moją matką, zachowuje się całkowicie normalnie!” - odparł na to Alistair.

„Niestety, ten człowiek, który jest panu bliski, będzie powoli odchodził, aż całkiem zniknie. Zostanie tylko ten drugi, obcy, którego państwo zupełnie nie znacie. Bardzo mi przykro, młody człowieku”.

Okazało się, że lekarze mieli całkowitą rację. Alistairowi ciężko jednak było się z tym pogodzić. Wolał zachować wspomnienie ojca takiego, jakim był wcześniej: wspaniałego, dobrego człowieka. Nie umiał zaakceptować osoby, jaką stał się ojciec pod koniec życia, kiedy nie rozpoznawał już nawet swojego syna. Unikał też ludzi, którzy

chcieliby z nim o tym rozmawiać, tak jakby w ten sposób mógł uciec przed tym tematem, wypartym przez niego ze świadomości. Obawiał się także, że i jego dotknie ta sama zniechęcona choroba, na którą cierpiał ojciec.

Jest pan szalony, Alistairze McCoolley. Szalony jak pana ojciec.

Oto, co by pomyślano, gdyby opowiedział komukolwiek o wypadku, gdyby zarzekał się, że wcale nie wybiegł na ulicę i że rozejrzał się ostrożnie, zanim zdecydował się przejść na drugą stronę.

Nie, jego ojciec wcale nie był wariatem. Był swego rodzaju oryginałem, i co w tym wielkiego? Matka umarła niedługo po śmierci ojca, być może nie wytrzymała tych opinii szkalujących jej męża.

Wstał, zjadł coś mimochodem, a potem długą chwilę snuł jeszcze ponure rozważania, zanim zapadł znowu w ciężki, głęboki sen.

TSUNAMI

Weekend minął jak sen złoty i kiedy przyszła chwila pożegnania, lamentom nie było końca.

Cała czwórka nie rozstawała się nawet na chwilę, chociaż Violette - zawsze trzymająca się u boku Valentine - nie przestawała zadziwiać Lawrence'a. Dziwny sposób bycia jednej i niezłomna logika drugiej tworzyły zabawny melanz i niekiedy trudno im było się nawzajem porozumieć. Pomimo wszystko ich kwartet funkcjonował bez zarzutu.

Bracia O'Maley także należeli do tej grupy. Barth, niemający może rozległej wiedzy Lawrence'a, bez cienia protestu wprowadzał w życie najdziwsze pomysły Violette,

których jej nigdy nie brakowało. Natomiast Jeremy zasypywał Valentine najbardziej niesamowitymi słodyczami: większości z nich nigdy dotąd nie widziała na oczy i nawet nie przyszłoby jej do głowy, że mogłaby coś takiego włożyć do ust.

- Naprawdę powinnam to zjeść? - spytała dyskretnie Oskara. - Co to jest?

- Pianki - wyjaśnił. - Jeśli nie chcesz jeść, nie zmuszaj się, chętnie ci pomożemy...

Valentine obracała na wszystkie strony różową, gąbczastą kostkę, posyłając lekko zażenowany uśmiech w stronę obserwującego ją kątem oka Jeremy'ego.

- Jest w tym chociaż trochę żelaza? - dopytywała się niespokojnym szeptem. - Wolałabym porządną garść zardzewiałych gwoździ! Boję się, że zmienię kolor po tym czymś...

Lawrence uprzejmie odmówił.

- Dziękuję bardzo - powiedział, wyjmując ze swojego plecaka bidon z piciem, który zaoferowała mu Celia. - Jestem na diecie: mogę pić tylko oliwę.

Ayden zaproponował, żeby Sally, która miała im towarzyszyć w wyprawie Medykusów, spędziła razem z nimi niedzielę.

- A kto to taki? - spytał na jej widok zdumiony Jeremy. - Ktoś z jego osobistej ochrony czy co?...

Sally okazała się sympatycznym i wesołym kompanem, chociaż była dość bezpośrednia, wręcz nieco brutalna. Odpowiedziała na dwa pierwsze pytania Jeremy'ego, który z całego grona odznaczał się największą ciekawością, potem jednak uznała, że wystarczy, i ruszyła prosto w stronę rowerów.

- No dobra, dosyć tego. Ruszamy? - rzuciła, dając chłopcu przyjacielskiego kuksańca, po którym odrzuciło go na środek ogrodu Pillów.

Przejechali przez całą dzielnicę Babylon Heights, którą Sally widywała rzadko, mieszkała bowiem w sąsiedniej, Golden Crown. Kierowała rowerem, wioząc z tyłu Valentine, ale i tak jechała dwa razy szybciej niż pozostali.

Po południu poszli do parku. Lawrence wygrał partię Trivial Pursuit - wygrzebał tę grę z szafy Oskara - zanim ktokolwiek zdążył zdobyć choćby jeden trójkąt. Violette przez pół godziny tłumaczyła Barthowi, że nie sposób jeść „waty cukrowej”, ponieważ wata - nawet lepka i pocukrzona - jest zupełnie niestrawna. Valentine rzuciła się na pudełko z ciasteczkami, odłożyła wszystkie herbatniki na bok i żuła zachłannie aluminium. Jeremy wynegocjował z lodziarzem cenę grupową na lody, a ponadto jeszcze pewien procent dla siebie od każdej kulki sprzedanej dziecku, które powoła się na niego. Sally mocowała się na rękę z Barthem i wygrała, a ten, choć nie ułomek, długo jeszcze miał obolałe ramię.

Zwlekali z zakończeniem zabawy, aż w końcu z wielkim żalem ruszyli w drogę powrotną. Sally musiała być w domu o wyznaczonej godzinie: jej ojciec czekał na nią, by zawiesiła w sklepie mięsne półtusze. Zmiażdżyła im dłonie przy pożegnaniu i ruszyła energicznym truchtem wytrawnego lekkoatlety.

Celia popędzała zgłodniałe dzieci, które stłoczyły się dookoła stołu w kuchni, okupując gigantyczny słój nutelli.

- No już, biegiem, pora się pożegnać! Mieszkańcy naszej dzielnicy mają wrócić do swoich domów, a wy macie być gotowi za pięć minut! - uprzedziła Valentine i Lawrence'a. - W przeciwnym razie przemiły majordomus w Cumides Circle natrze wam uszu...

Pięć minut później cała rodzina Pillów oraz Valentine i Lawrence wskakiwali już do Toni, jak nazywano renault twingo Celi. Oskar i Violette koniecznie chcieli odwieźć

przyjaciół do Cumides Circle.

Kiedy znaleźli się przed pięknym domem Winstona Brave'a, wszyscy wysiedli z samochodu. Oskar rzucił okiem na zegarek: była osiemnasta pięćdziesiąt.

- Czy kolacja nadal jest zawsze o dziewiętnastej?

- Tak - odparł Lawrence. - Dla wszystkich, oczywiście poza Valentine, która wymyśliła sobie, że ma prawo do dziesięciu minut spóźnienia, chyba tylko po to, żeby bardziej zirytować Bonesa. Ale w niedzielny wieczór zwykle jadamy z panem Brave'em i czasem jeszcze z panią Withers, więc...

- Więc macie mniej więcej dziesięć minut, żeby się przygotować do kolacji - ucięła Celia, całując dzieci na pożegnanie. - Wiecie już chyba, gdzie możecie wpaść, w razie gdybyście mieli dosyć eleganckich willi...

- Wpadniesz do nas w tygodniu, Oskarze? - spytał Lawrence. - Będę na pewno siedział w bibliotece. Gdybyś miał problemy z wejściem, rzuć kamyczkiem w okno.

- Dobra, zajrzę po lekcjach. Tak czy inaczej Alistair obiecał, że już niedługo wyruszymy na wyprawę.

- O nie, na śmierć zapomniałam, że dziś niedziela! Mam tylko dziesięć minut, żeby się zrobić na bóstwo dla pana Brave'a, a nie wypłam nawet wywaru z rdzy i mam na pewno matowe włosy... Jak myślisz, Violette, czym mam je spiąć? Spinki różowe czy zielone?

- Po jednej z każdego koloru - poradziła Violette, niezwykle pewna siebie. - Weź jedną taką i jedną taką, będzie świetnie wyglądało. Czy pan Brave jest przystojny?

Valentine udała, że omdlewa.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo... Zupełnie oszalałam na jego punkcie i czasem się zastanawiam, czy on też nie jest we mnie odrobinę zakochany...

Lawrence nerwowo sprawdził godzinę na zegarku Celi: jakiegokolwiek spóźnienie było wbrew jego naturze.

- Przykro mi przerywać wam te zwierzenia, ale w tej chwili zostało nam już tylko osiem minut, żeby dotrzeć do jadalni. Więc jeśli dalej będziesz się głowić nad uczuciami pana Brave'a, masz jak w banku, że odeśle cię ciupasem do Wielkiego Systemu między Uniwersami!

Valentine ucałowała Violette i rzuciła się w stronę furtki.

- Ach, ci Hepatolijczycy, nie mają w sobie za grosz romantyzmu! - jęknęła żałośnie.

W trakcie następnych dwóch tygodni Oskarowi było niezwykle trudno nagiąć się z powrotem do szkolnej dyscypliny, o której zdążył całkowicie zapomnieć w czasie wakacji. Matka musiała go wciąż upominać, nie wracała jednak do drażliwego tematu Barry'ego. Violette natomiast dwukrotnie zapomniała pójść do szkoły. Tłumaczyła to w charakterystyczny dla siebie sposób: za pierwszym razem - wyjaśniła szczerze - przy wejściu do szkoły fruwał czerwony motyl, zabraniając jej iść dalej. Kiedy tylko próbowała zrobić krok do przodu, rozkładał groźnie skrzydła. Według niej był to bardzo wymowny znak w języku motyli. Za drugim razem zatrzymała się, widząc ogłoszenie i słowa „gwóźdź programu” - szukała wszędzie tych gwoździ, chcąc je później dać Valentine, ale oczywiście ich nie znalazła. Celia nie krzyczała na nią, westchnęła tylko i pogłaskała córkę po policzku.

- Wszystko w porządku, mamó?

- Tak, kochanie, wszystko w porządku! - odpowiedziała jej ze zmęczonym uśmiechem. - Jeśli dla ciebie wszystko jest w porządku, to dla mnie też.

Nadszedł piątek. Oskar z ulgą wybierał się rano do szkoły. Ich wychowawca, pan Pingwin, doskonale zdawał sobie sprawę, jak trudno jest im wejść znowu w szkolny rytm zajęć, poprosił zatem nauczyciela WF-u, żeby zorganizował biegi na przełaj w parku, a potem piknik. Oczywiście cała klasa przyjęła ten projekt z głośnym entuzjazmem.

Tym razem Oskar wyjątkowo przyszedł do szkoły punktualnie. Ruszyli w drogę, zaopatrzeni w czapki, kremy z filtrem i drugie śniadania w plecakach. Cały poranek minął im nie wiadomo kiedy.

O jedenastej rano pan Ironman, nauczyciel WF-u, zaproponował nieoczekiwanie nową rozrywkę: w ciągu paru minut cała klasa wbiła się w kamizelki ratunkowe, a przy brzegu jeziora czekało już na nich kilkanaście łodzi.

Bieg w stronę łodzi przypominał z grubsza inwazję barbarzyńców. W całym parku słychać było tylko ogłuszający wrzask dzieci. Ptaki poderwały się przerażone, jak gdyby w pobliżu wybuchła bomba, małe dzieci uciekały z płaczem, starsze panie doznawały masowo palpacji serca i nerwowo szukały pigułek uspokajających, a zwierzęta w pobliskim zoo wpadły w panikę.

Tilla popchnęła swoje dwie przyjaciółki, Reese-Barbie i Eleanor-Shadow, i usiadła na brzegu łodzi znajdującej się najbliżej Oskara.

- Chcesz być moim wiosłarzem, Oskarze?

Młody Medykus zawahał się - o jedną chwilę za długo. Nagle pomiędzy nimi stanął Moss.

- Z tym tutaj nie odbijesz nawet od brzegu! - powiedział, chichocząc. - Wskakuj, będę wiosłował. Zobaczysz zaraz, na co stać naprawdę umięśnionego faceta!

Podwinął rękawy swojej koszulki (skądinąd krótkie) i wymachiwał ramionami, żeby rozgrzać mięśnie. Tilla manewrowała przez chwilę przy włosach, chcąc je jakoś upiąć. Wsiadła w końcu do łódki, posyłając kpiące spojrzenie w kierunku Oskara. Moss wskoczył na pokład nader energicznie, łódź zachybotwała się mocno, a Tilla musiała gwałtownie złapać się burty, żeby nie wypaść do wody. Humor trochę jej się zwarzył.

- Uważaj, wywrócimy się! - powiedziała z wyrzutem w stronę Mossa.

- Nie bój nic! - odparł uspokajającym tonem. - Sytuacja pod kontrolą!

Oskar wsiadł do innej łodzi ze Stellą Fisher, dziewczynką, z którą rozmawiał nie więcej niż dwa razy w ciągu minionego roku szkolnego. Na ogół chowała się po kątach i podjadała słodczyce, nikogo nie częstując. Zajmowała się głównie pisaniem czegoś w notesie. Ayden był w łódce razem z Romanem, wnukiem pani Golino, a Jeremy mianował swojego brata „rodzinnym mistrzem wiosłarstwa”, co znaczyło w skrócie, iż to właśnie on, Barth, będzie wiosłował - ku rozpaczy Eleanor, która straciła pięć bezcennych minut, próbując spiąć włosy tak samo jak Tilla. Teraz patrzyła rozżalona, jak Barth jej się wymyka.

Oskar wolał oddalić się od Tilli i Mossa. Ten ostatni rzadko przejawiał przyjacielskie intencje i - zwłaszcza na wodzie - lepiej było trzymać się od niego z dala, tym bardziej że nie bardzo mógł liczyć na wsparcie ze strony Stelli. Mruczała inwektywy na temat za ciasnej kamizelki ratunkowej, brudnej wody w jeziorze i zbyt silnego słońca; nie cierpiała tego wszystkiego. Poza tym Oskarowi trudno było przyznać się do tego przed sobą, ale widok Tilli i Mossa, sam na sam w łódce, sprawiał mu przykrość. Wkurzył się. Miał sobie teraz za złe, że nie zareagował dostatecznie szybko na pytanie Tilli i nie wsiadł z nią do łódki. Dlaczego musiał najpierw sprawdzić, czy nikt nie słyszy, że zaakceptował jej propozycję? Dlaczego tak bardzo się jej obawiał, niemal tak samo jak

Mossa?

Zatopił się w rozmyślaniach, narzekania współtowarzyszki z powodzeniem zastąpiły odgłosy silnika, kiedy nagle podskoczyli oboje; ich łódka gwałtownie się z czymś zderzyła. Oskar szybko się odwrócił. Uderzyła w nich inna łódź. Zdążyli się oddalić od grupy, byli teraz na samym środku jeziora, ukryci za niewielką, skalistą wysepką. Na środku łódki stał na szeroko rozstawionych nogach Moss, trzymając w obu rękach wiosło. Tilla uśmiechała się. Jak zwykle trudno było wyczuć, co ją tak rozbawiło: atak Mossa? Czekala, jak zareaguje na to Oskar? Młody Medykus wolał odłożyć na później rozważania na temat zagadkowej Tilli. Stella porzuciła tymczasem swoje gorzkie żale i zajęła się innym problemem.

- Co się stało? Hej, Oskar, co się dzieje? - powtarzała raz po raz, zupełnie jakby nie zauważyła zderzenia z łodzią, która pojawiła się tuż za nimi.

- Nic takiego, nie przerywaj sobie jedzenia - odparł Oskar, wiosłując energicznie, chcąc się jak najszybciej oddalić od Mossa.

Moss ciągle się jednak do nich zbliżał. Wydawało się, że Tilla bierze udział w tej grze, słyszeli jak na swój sposób zachęca Mossa do większego wysiłku.

- No i co, Ronan, sądząc po tym, co przed chwilą mówiłeś, mieliśmy przepłynąć przez jezioro z prędkością światła. Widzę, że nie ma na to szans. Popatrz tylko, nawet Oskar płynie szybciej niż ty...

Moss zdwoił wysiłki i nadrobił stratę. Tymczasem Stella życzyła sobie czegoś wręcz przeciwnego.

- Za szybko płyniesz, Oskar! Niedobrze mi, zwolnij!

- Niedobrze ci z powodu tej tony słodyczy, którą pożarłaś, a nie z powodu tego, że

szybko płyniemy! - krzyknął Oskar, mocno zdyszany, oglądając się przez ramię na zbliżający się pościg. - Przesuń się na tył łodzi i zacznij ich obrzucać swoimi batonami, poczujesz się lepiej, a przy okazji zażyjesz trochę ruchu!

Stella namiętnie przytuliła do brzucha torbę ze słodkościami jak kotka tuląca swoje młode.

- Nigdy w życiu!

Łódź Mossa zderzyła się z nimi ponownie i Stella urwała w pół słowa. Odwrócili się i zobaczyli Mossa, który wywijał ramionami. Oskar w ostatniej chwili pochylił się, unikając w uderzenia wiosłem - opadło do wody, wznecając fontannę, która oblała Stellę od stóp do głów. Wydała z siebie okrzyk zarzynanego żywcem prosięcia. Oskar rozejrzał się nerwowo. Kiedy wreszcie po raz pierwszy od pół godziny ta dziewczyna zrobiła coś sensownego, nie było nikogo w zasięgu wzroku, kto by mógł ją usłyszeć. Stella nie zamierzała się jednak uciszyć i Oskar rychło doszedł do wniosku, że być może jej przeraźliwe piski są większym zagrożeniem dla jego bębenków niż wiosło Mossa dla jego czaszki. Tymczasem łódź Oskara i Stelli zaklinowała się między brzegiem wyspy a pniem drzewa i młody Medykus próbował rozpaczliwie wydobyć się z potrzasku. Podniósł wzrok i od razu pojął, że jego szanse są bliskie zeru. Moss ciągle wymachiwał wiosłem, zamierzając znowu zaatakować, wybuchnął przy tym zjadliwym chichotem.

- I co, Pill, nie masz już gdzie zwiewać? Zapędziłem cię jak szczura do kąta! To do ciebie nieźle pasuje - szczur!

Manewrował energicznie wiosłem, to po lewej, to po prawej stronie, stał przy tym na dziobie łodzi, która niebezpiecznie się chybotwała. Tilla trzymała się kurczowo ławki, minę miała niepewną.

Oskar przesunął się na drugi koniec łódki jak najdalej od Mossa, tymczasem przerażona Stella wypychała go do przodu.

- Zabierz mu wiosło! No, zabierz mu to wiosło!

Najchętniej wepchnąłby ją do wody, żeby wreszcie zamilkła, nie mógł jednak spuścić z oka Mossa. Stella znowu rozpaczliwie wrzasnęła i zaczęła płakać. Moss starał się przysunąć jak najbliżej swojego przeciwnika, przestępował z nogi na nogę, przez co łódź kołysała się coraz mocniej.

Ogarnięta paniką Tilla od pewnego czasu wcale się już nie uśmiechała.

- Przestań, Ronan, już dosyć, wystarczy. Ja mam tego powyżej uszu, wracamy!

Moss nie słuchał już teraz nikogo, ogarnięty prawdziwą furią i silniejszą niż wszystko inne chęcią, by rzucić się na upatrzoną ofiarę. Uderzył znowu wiosłem z całej siły, w chwili kiedy Oskar resztką sił zdołał pokonać przeszkody blokujące mu drogę. Wiosło zanurzyło się głęboko w wodę, Moss stracił równowagę i żeby nie upaść, cofnął się odruchowo. Dziób łódki uniósł się raptownie, a tył zanurzył się nagle i Tilla wyleciała przez burtę. Runęła do błotnistej wody z głośnym krzykiem. Próbowwała utrzymać się na powierzchni. Oskar wychylił się gwałtownie w jej kierunku, żeby jej pomóc, a Stella, która krzyczała jeszcze głośniejszym głosem niż Tilla, upadła całym ciężarem na niego. Wiosło z ich łodzi wysunęło się do wody, uderzając Tillę w głowę. Jej brązowe włosy zniknęły z powierzchni wody, tonęła.

Oskar nie namyślając się ani chwili, wskoczył do wody, tymczasem Moss, spanikowany, machał wiosłem przed Stellą i bezskutecznie wzywał pomocy.

Oskar ściągnął z siebie kamizelkę ratunkową, zaczerpnął tchu i zanurkował. Całe to zamieszanie sprawiło, że woda zmętniała jeszcze bardziej. Ledwo mógł dostrzec ciało Tilli, która opadała coraz niżej w stronę dna. Podpłynął do niej, schwycił ją pod ręce i starał się wyciągnąć ją na powierzchnię. Nie był jednak w stanie tego zrobić. Puścił ją, wypłynął, by nabrać powietrza, i znowu zanurkował, tym razem głębiej.

Dotarł do bezwładnego ciała Tilli, zanurkował i zauważył, że coś oplątało się wokół jej kostek u nóg: były to długie, splątane wodorosty. Próbował je zerwać, ciągnął z całej siły, na próżno jednak, zaś muł unoszący się dookoła i ubranie, które miał na sobie, hamowały jego ruchy. Ach, gdyby tylko Barth zanurkował tu razem z nim! Wyrwałby jednym ruchem drzewo z korzeniami!

Czuł, że zaczyna mu brakować powietrza, wiedział, że nie wytrzyma już dłużej. Podpłynął do Tilli i spojrzał na jej twarz: miała zamknięte oczy, ale z jej ust nadal wydobywały się pęcherzyki powietrza. Unosiły się cienkim sznureczkiem do góry, w stronę powierzchni.

Nie wahał się dłużej: skoro nie mógł jej pomóc tutaj, musiał poszukać innego miejsca, gdzie mógłby dla niej coś zrobić i zapobiec katastrofie, nie dopuszczając, by utonęła;. Może ktoś przybędzie na ratunek.

Sięgnął ręką pod koszulkę, poczuł metalowy przedmiot. Ścisnął w prawej dłoni swój medalion, skupił wzrok na nozdrzach Tilli i rzucił się naprzód.

Nie wypuszczając z ręki medalionu, który nadal jeszcze błyszczał własnym światłem, wstał i rozejrzał się dookoła.

Rozpoznawał już okolicę. Była to równina ciągnąca się aż po sam horyzont. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko pustynne połacie pylistej ziemi. Nieopodal dostrzegł grupkę ciemnych drzew. Dostał się do drugiego Uniwersum Tilli. Jeśli mógł jej jakoś pomóc, to było właściwe miejsce - Królestwo Oddechów, czyli po prostu jej płuca. Dziwna była tylko ta cisza wokół, głęboka, przygnębiająca cisza. Od razu zrozumiał, czym różniło się to miejsce od tego, które widział w czasie swojej pierwszej Introdukcji do Królestwa Oddechów: nie było cienia wiatru. Nie czuć było nawet najłżejszego

podmuchu. Wydawało mu się, że sam ma problemy z oddychaniem: Tilla miała już niewielkie zapasy powietrza, trzeba było działać jak najszybciej, aby utrzymać ją przy życiu.

Podniósł wzrok w stronę nieba. Światło słoneczne wydawało się przygasać, zupełnie jakby nadciągał zmierzch, a przecież słońce było w zenicie. Odległy grzmot sprawił, że rozejrzał się bacznie. Nie było to stado galopujących koni ani maszerujące oddziały - to coś pędziło z oszałamiającą prędkością. Kilka chwil później hałas stał się już ogłuszający i Oskar zrozumiał, co się dzieje: otworzył szeroko oczy i usta, sparaliżowany przerażającym widokiem.

Na horyzoncie pojawiła się jasna smuga, która szybko przybrała ciemnozieloną barwę. Błyskawicznie rozrosła się w wysoki mur, który rósł i potężniał, jak gdyby miał za chwilę dosięgnąć nieba i zakryć je całe.

Oskar cofnął się kilka kroków, osłupiały. Kiedy ten koszmar zbliżał się nieubłaganie, chłopiec zrozumiał, z czym ma do czynienia.

To nie był mur, to była gigantyczna ściana wody, taka, jakiej nigdy w życiu nie widział. Może w telewizji, kilka lat wcześniej, kiedy mówiono o wielkiej fali, która zabiła kilkaset tysięcy ludzi; działo się to w Azji.

Przypomniawszy sobie nazwę: tsunami.

Tilla tonęła, woda wdzierała się do jej płuc. Tsunami za chwilę zaleje całe Królestwo Oddechów, zmiatając wszystko na swojej drodze i niszcząc ostatnie resztki powietrza.

„Zachowaj spokój, Oskarze - powiedziała mu któregoś dnia pani Withers. - Możesz przezwyciężyć najcięższe, najbardziej beznadziejne sytuacje, jeśli zachowasz spokój”.

Zamknął oczy i starał się wymazać z pamięci śmiertelne niebezpieczeństwo

nadciągające prosto na niego. Tilla musi żyć dalej i on także. Każde z nich miało w życiu misję do wypełnienia. Oskar wiedział jak wygląda jego cel, Tilla zapewne także miała swój, chociaż nie wszyscy musieli go pochwalać. Szybko przypomniał sobie rozmaite wcześniejsze tarapaty, z których wychodził cało. Nic jednak w najmniejszym nawet stopniu nie przypominało tej powodzi rozlewającej się po równinach Królestwa Oddechów i żadne rozsądne rozwiązanie nie przychodziło mu do głowy. Czuł narastającą panikę, miał wrażenie, że wszystko wymyka mu się spod kontroli. Zdesperowany, zawstydzony i wściekły na siebie wyciągnął swój medalion w kierunku tej ściany wody, tak gigantycznej, że nie było widać jej wierzchołka. Skoncentrował się. Pojawiło się pewne odległe wspomnienie, kiedy to stał z panią Withers u stóp góry, a tymczasem spod jej szczytu nagle zaczął wypływać strumień Żółci. Z Litery wydobyło się wówczas promieniowanie, które niczym laser wycięło olbrzymi kawał skały, ten zaś osunął się i zatkał wylot kanału, którym wypływała Żółć. Oskar wielokrotnie próbował powtórzyć ten wyczyn, jednak bezskutecznie. „Musisz w to bardzo mocno wierzyć, naprawdę tego chcesz!” - tłumaczyła mu starsza pani. Teraz jednak nie miał wyboru - to musiało zadziałać.

Podniósł się i odważnie stawiał czoło nadciągającej, ciemnej fali. Jak ją powstrzymać? Nie było tu żadnej góry ani skał... Wokół była tylko pustynia, która niebawem zostanie całkowicie zalana. Chwycił mocniej swoją literę M i skierował ją w stronę ziemi, zebrał wszystkie siły. M zaśniło słabym światłem, a potem zgasło jak zdmuchnięty płomień świeczki. Oddychanie przychodziło Oskarowi z coraz większym trudem. Powietrze było rozrzedzone, ziemia się trzęsła, światło gasło. Tilla umiera - powiedział do siebie. Jeśli nic nie zrobię, koniec z nią! Chcę ją uratować! Chcę, żeby mój medalion mi pomógł! Wierzę, że się uda!

Nie zdając sobie z tego sprawy, ostatnie dwa zdania wykrzyknął na głos. Nagle litera M zaczęła świecić jasnym światłem. Oskar niemal wypuścił ją z ręki, uchwycił medalion zatem mocniej obiema dłońmi. Poczł, jak pojawia się w nim niezwykły, wewnętrzny ogień, jakaś nadprzyrodzona energia rodząca się gdzieś na wysokości żołądka. Podnosiła się coraz wyżej, aż przez klatkę piersiową i ramiona spłynęła na medalion. Z Litery

wystrzelił oślepiający płomień i uderzył w ziemię.

Oskar trzymał Literę najmocniej jak potrafił, celował nią w różne strony. Jej promień wbijał się w ziemię, unosił jej wielkie bryły, przemieszczał je, fruwały we wszystkich kierunkach. W kilka sekund w ziemi pojawiła się głęboka rozpadlina. Ściana wody nadal się zbliżała, Oskar poczuł, że zaczyna padać gęsty, drobny deszcz, ale nabrał też ufności we własne siły. Poruszał się wzdłuż pewnej linii, najpierw powoli, później biegnąc najszybciej jak tylko mógł. Promień wypływający z medalionu stawał się coraz mocniejszy, w miarę jak młody Medykus umacniał swoją wolę walki. Na jego oczach ziemia ulatniała się dosłownie w powietrzu i powstawała dolina na kształt głębokiej przepaści.

Oskar spojrzał na falę: jej wierzchołek zaczął się pochylać w dół, tworząc jakby gigantyczną paszczę, gotową się na niego rzucić i połknąć go w jednej sekundzie przez zalanie tonami wody. Ruszył jeszcze szybciej, pogłębiając otchłań, która dzieliła go od tsunami.

Potknął się i upadł, medalion potoczył się po ziemi. Udało mu się tylko odwrócić i ujrzeć wielką falę załamującą się i wpadającą do świeżo wydrążonej doliny. Woda spadała z potwornym łoskotem setki metrów, zanim znalazła się na dnie przepaści. Oskar wstał i zaczął uciekać. Może i uratował chwilowo Tillę, a także, przy okazji, własną skórę; było to jednak tylko odroczenie wyroku. Przepaść za chwilę wypełni się całkowicie, a wtedy powódź zaleje całą równinę.

Zdażył odbiec dwieście metrów dalej i brakowało mu już tchu, kiedy pierwsze fale zaczęły się przelewać z otchłani. Tym razem przypominało to przypiływ na brzegu oceanu: jakby gigantyczna kałuża rozlewała się ponad brzegami wąwozu, wypelzała na równinę. Woda zaczynała wsiąkać w popękana ziemię. Oskar rozpaczliwie ścisnął w dłoni medalion, biegł jednak dalej ile sił, nie zwalniając ani przez chwilę. Woda chlupała mu już wokół kostek, a jej poziom nadal niepokojąco się podnosił.

Tym razem był bezsilny. Nie miał pojęcia, co mógłby jeszcze zrobić.

To już był koniec. Wszystko przepadło.

Głośne krzyki Stelli zaalarmowały osoby płynące w łodzi, która także nieco się oddaliła od reszty grupy. Płynęli nią pan Pingwin i pan Ironman. Obydwaj nauczyciele czujnie i bezustannie przeliczali łódki; szybko zorientowali się, że zniknęły im z oczu dwie załogi. I zapewne przez czysty przypadek - nie były to byle jakie załogi... Wszyscy doskonale wiedzieli o wzajemnej niechęci obydwu wioślarzy, Pilla i Mossa, a ponieważ znaleźli się oni sami na wodzie, nie mogło oznaczać niczego dobrego. A wręcz z całą pewnością oznaczało kłopoty...

Wydawało się, że krzyki dochodzą ze wszystkich stron.

Pan Pingwin zawołał Jeremy'ego i Bartha, których łódź śmigąła po jeziorze jak torpeda dzięki wioślarskim wysiłkom starszego z braci.

- Widzieliście może Pilla?

Jeremy wyprostował się gwałtownie i zaczął się czujnie rozglądać po okolicy.

- Musieli popłynąć na drugą stronę - stwierdził. - Barth, popłynijmy za skałę, może są tam z tyłu. Ma na pokładzie taką kulę u nogi jak Stella Fischer, a w takiej sytuacji wszystko jest możliwe, nawet katastrofa morska...

Barth zaczął pospiesznie wiosłować. Pan Ironman z trudem nadażał za łodzią Irlandczyków. Okrążyli wysepkę i ujrzeli Mossa wymachującego rękami i Stellę, skuloną z tyłu łódki, wyjąca jak syrena alarmowa. Kiedy dotarli na tyle blisko, by pomimo nieustających wrzasków Stelli zrozumieć, co do nich krzyczy Moss, pan Ironman bez

wahania wskoczył do wody, zanurkował i zniknął im z oczu. Kilkoma energicznymi ruchami podpłynął do nieruchomego ciała Tilli i - podobnie jak Oskar parę minut wcześniej - on także zauważył algi, oplatające jej nogi. Wypłynął na powierzchnię.

- W mojej torbie jest nóż, szybko!

Pan Pingwin rzucił się w kierunku torby, wyszarpnął nóż i podał koledze. Ten zanurkował po raz kolejny. Po omacku przeszukiwał muł wokół stóp Tilli, trafił na wodorosty, odciął je jednym ruchem. Uwolnił dziewczynę z potrzasku, schwycił ją i pociągnął za sobą na powierzchnię jeziora.

Oskarowi coraz trudniej było iść przez wzbierające fale, woda sięgała mu już do kolan. Potknął się o korzeń. Upadł, a potem wstał z trudem, ociekając mułem. Był zrozpaczony. Czuł, że nie może już nic więcej zrobić dla Tilli, ale czy nie powinien ratować własnego życia? Miał poczucie, że nie jest godzin miana Medykusa, skoro nie był w stanie jej ocalić. Nigdy nie będzie mógł spokojnie spojrzeć w oczy panu Brave'owi czy pani Withers, czy choćby swoim przyjaciółom. Śmierć w organizmie Tilli jednak niczemu nie służyła. Wiedział dobrze, że gdyby poniósł śmierć w trakcie Introdukcji, jego moc zniknęłaby wraz z nim i nie miałby jej komu przekazać. Choćby z tego powodu musiał się wydostać na zewnątrz, a także i dlatego, żeby z godnością ponieść konsekwencje swojej porażki. Rozejrzył się dookoła, szukając wzrokiem drzew, które dostrzegł chwilę wcześniej. Może natknąłby się wśród nich na słynny znak - Kaduceusz Medykusów, pozwalający opuścić Uniwersum Dwóch Królestw? Równina tonęła teraz w półcieniu; zrozumiał, że lasek zniknął, zapewne zniesiony przez tsunami... I w tym właśnie momencie poziom wody zaczął opadać.

Ujrzał, że sięga mu już do bioder, później - do kolan. W końcu tworzyła już tylko rozległą kałużę, nie dosięgając nawet jego kostek. Obawiał się, że lada moment pojawi się kolejna fala, oznaczająca tym razem koniec wszystkiego, tymczasem woda cofała się,

powoli, ale nieustająco.

Poczuł wstrząsy: ktoś nareszcie próbował ratować Tillę! Komuś udało się wyciągnąć ją z jeziora!

Potoczył pełnym nadziei wzrokiem po równinie i natknął się na kształt, jaki uformowała opadająca woda. Wynurzyły się spod niej zarysy kielicha.

Oskar uchwycił mocniej swój medalion, skierował go w stronę Kaduceusza i opuścił Królestwo Oddechów.

Nauczyciele wyłowili dziewczynkę z wody i wciągnęli ją do łodzi. Pan Pingwin pochylił się nad nią, zginał i rozprostowywał rytmicznie jej ramiona, później ułożył ją na boku. Po kilku niepokojąco długich chwilach Tilla zaczęła kasłać, a potem odkrztusiła całą wodę, jaka przemocą wdarła się do jej płuc. Jeremy opadł z ulgą na swoją ławeczkę, a pan Pingwin pomógł Tilli usiąść.

- Otwórz oczy, Tilla! Słyszysz mnie? Już po wszystkim, nie bój się, już wszystko dobrze!... - mówił uspokajająco.

Nie czekając na polecenie, Barth przeskoczył do łódki nauczyciela i zaczął ile sił wiosłować w stronę brzegu, gdzie czekali już pracownicy ochrony, zaalarmowani krzykami pana Pingwina, którzy mieli pomóc Tilli.

Druga łódź zbliżała się powoli, wiosłował pan Ironman, a Stella i Moss siedzieli skuleni na przeciwległych jej krańcach.

Kilka metrów od brzegu, w pobliżu ochroniarzy, dzieci wyciągnęły z wody Oskara. Żył, ale brak mu było sił z powodu niedawnych przeżyć, a także z tej przyczyny, że

musiał pokonać wpraw całe jezioro, aż do samego brzegu. Położył się na plecach i leżał na ziemi z zamkniętymi oczami, bez tchu. Kiedy łódź pana Ironmana dobiła do brzegu, Moss wyskoczył z niej i podbiegł do Oskara.

- To Pill, panie profesorze! - powiedział nagle. - To wszystko wina Pilla! Zaatakował nas wiosłem, łódź się zachybotła i Tilla wpadła do wody!

Odwrócił się w stronę Stelli, która także wysiadła już na ląd. Jedno szybkie spojrzenie wystarczyło, żeby zamilkła.

Bracia O'Maley i Ayden stanęli wokół Oskara.

- Co się naprawdę stało? - zapytał Jeremy, który nie ufał wyjaśnieniom Mossa. - Co z tobą? Dlaczego wskakiwałeś do wody? Myślałeś, że jesteśmy na basenie? Mieliliśmy pływać na łódkach, nie wpraw!

- Daj mu dojść do słowa, Jeremy - przerwał mu Ayden, który zaczynał się już powoli domyślać, co się wydarzyło.

Oskar przez chwilę dochodził do siebie, a później niezbyt składnie starał się opowiedzieć kolegom, co się wydarzyło.

- Wszystko jasne! - krzyknął rozwścieczony Jeremy. - Cały Moss, cały on! Musisz pomówić o tym z Pingwinem...

- Niczego innego bym sobie nie życzył! - usłyszeli głos profesora, który zbliżył się tymczasem do małej grupki.

Oskar był zbyt słaby, by się samodzielnie podnieść. Nie mógł mówić. Nauczyciel spiorunował go wzrokiem.

- Pomóście mu wstać - powiedział pozostałym uczniom. - Powinna go obejrzeć pielęgniarka. Jeśli to, co usłyszałem na temat tej całej historii, jest prawdą, Pill - przekroczyłeś wszelkie granice!

Pan Pingwin zrobił w tył zwrot, nie czekając na odpowiedź. Jeremy był wściekły.

- No jak tak... Chyba nie pozwolisz na to, żeby ten łobuz Moss robił z siebie ofiarę? Dlaczego nie powiedziałeś ani słowa?

Oskar nie odpowiedział. Jak miałby wytłumaczyć swoje zniknięcie pod wodą, kiedy wykonał Introdukcję? Medykusi musieli działać w największej tajemnicy... A nawet gdyby był na tyle nieostrożny, żeby komuś o tym powiedzieć - kto by mu uwierzył?

Oskarowi udało się w końcu podnieść, pomógł mu Barth. Tilla odchodziła z trudem w stronę budynku ochrony, otoczona przez nauczycieli. Moss stał pod ścianą w towarzystwie kumpi i patrzył wyzywająco w stronę Oskara, uśmiechając się przy tym z satysfakcją.

Być może, kiedy Tilla dojdzie już do siebie na tyle, żeby rozmawiać, będzie umiała opowiedzieć, co się stało naprawdę. Tymczasem Oskar będzie uchodził za tego, który próbował ją zabić. A w oczach Tilli będzie także tym, który nie umiał jej przyjąć z pomocą...

Odrzucił do tyłu mokre włosy i westchnął ciężko. Nie ma co, rok szkolny zaczynał się oszałamiająco.

GORĄCA NADZIEJA

W miarę jak mijał tydzień, Oskar, początkowo nieco wstrząśnięty, zapominał o

wydarzeniach w parku. Udawał przed sobą, że Tilla nie zajmuje zbyt wiele miejsca w jego sercu, na pewno zajmowała go jednak sporo w myślach. Nie wszedł przecież jednak do jej drugiego Uniwersum tylko po to, żeby pozować potem na bohatera. Uratował ją i to go bardzo cieszyło, ale był też szczęśliwy, udowodniwszy sobie, że naprawdę ma uzdrawiającą moc Medykusa. To było najważniejsze zadanie Zakonu; był dumny, że udało mu się je wykonać. Po raz pierwszy, odkąd zdecydował się wejść na długą i niełatwą drogę, by zostać Medykusem, miał poczucie, że w końcu udało mu się przejąć pałeczkę od ojca. Kiedyś to sobie po cichu obiecał.

Wspomnienie o przygodzie nad jeziorem nieco przybladło między innymi dlatego, że Oskar codziennie odwiedzał przyjaciół w Cumides Circle. Jeździł tam na rowerze. Czasem widział się z nimi tylko przez kilka krótkich chwil, były to zwyczajne spotkania i rozmowy, odczuwał jednak tę samą przyjemność, z jaką rok wcześniej przeżywał wraz z nimi najbardziej niesamowite przygody. Valentine i Lawrence także czekali niecierpliwie na te popołudniowe odwiedziny. Od czasu do czasu Oskarowi towarzyszył Jeremy lub Ayden. Zwykle wychodzili na dwór, do ogrodu Cumides Circle, i bawili się tam doskonale, unikając jednak podwieczorków w wykonaniu Cherie. Jeremy bardzo lubił nowe doświadczenia kulinarne, a Oskar - zachwycony okazją do niewinnego żartu - nie ostrzegł go przed niebezpieczeństwem. Dlatego nie spodziewając się niczego złego, Jeremy dobrowolnie poddał się zabiegom miłej kucharki. Kiedy wypił ciepłą czekoladę, doprawioną cebulą i wędzonym łososiem, ujrzał obydwu kolegów Medykusów zgiętych w ataku śmiechu. Obiecał sobie raz na zawsze, że będzie unikał Cherie w porze jedzenia.

We czwartek Oskar wyjątkowo sprawnie wymknął się ze szkoły po lekcjach, nie narażając się na spotkanie z Mossem, co na ogół udawało mu się od początku tygodnia. Kiedy w poniedziałek Tilla opowiedziała, co naprawdę stało się na łódkach, Moss został stosownie ukarany. Dostał dwa dni zawieszenia i nakaz wykonania prac społecznych po powrocie. Coś, co być może stanowiłoby karę dla innych, dla Mossa wcale nią nie było - cieszył się dodatkowymi dniami swobody. Mógł bez przeszkód zaczepiać Oskara, kiedy ten wychodził po lekcjach ze szkoły.

- Zobaczmy, czy będziesz sobie tak świetnie radził, kiedy pójdziemy razem na wyprawę do drugiego Uniwersum, Pill - syknął mu pewnego razu do ucha, kiedy zbliżali się już inni uczniowie. - Nie będziesz mógł się tam schować za Pingwinem albo pod spódniczką mamusi.

Oskar wzruszył ramionami.

- Tak, jasne, spotkamy się wewnątrz Uniwersum - o ile zdołasz się tam dostać, Moss.

Z dnia na dzień napięcie rosło i Oskar przeczuwał, że wystarczy jedno słowo, by rozmowa zamieniła się w bójkę. Postanowił do tego nie doprowadzić. Miał już dosyć odsiadki po lekcjach za karę. Minęły dwa tygodnie, odkąd drzwi Cumides Circle stanęły przed nim otworem, Alistair mógł teraz lada chwila dać znak, że nadeszła godzina zero. Nie mógł sobie pozwolić na to, by w takiej właśnie chwili siedzieć po lekcjach za karę w klasie, w towarzystwie pilnującego go jak Cerber pana Pingwina oraz Mossa wymyślającego prowokacje dwie ławki dalej...

Wskoczył na rower i już miał ruszyć w stronę Cumides Circle, kiedy usłyszał, że ktoś go woła.

- Dzień dobry, Oskarze!

Nieopodal o pień drzewa opierał się młody, szczupły człowiek z rozwichrzonymi włosami, sterczącymi na wszystkie strony.

- Alistair! - krzyknął Oskar, nieco zaskoczony, ale zarazem bardzo ucieszony. - Ale... co pan tu robi, w Babylon Heights? Przecież nie mieszka pan w tej dzielnicy?

- Nie, ale przyszedłem, żeby się z tobą spotkać i porozmawiać.

Alistair McCooley źle wyglądał: był blady, miał podkrążone oczy, które wydawały

się przez to ciemniejsze. Był bardzo mizerny. Ale Oskara najbardziej zdziwił jego głos - mechaniczny i monotony. Alistair był na ogół w gorącej wodzie kąpany i taki też miał sposób mówienia. Wydawało się, że jest wyczerpany, prawdopodobnie nie doszedł jeszcze do siebie po wypadku.

- Lepiej się pan czuje? Po tym jak ten facet pana potrącił...

- Tak, czuję się nieco lepiej. Powinienem tylko... powinienem trochę więcej spać - powiedział Alistair, poprawiając koszulę i wsuwając ją w nieco wymięte spodnie. - A co z tobą, jesteś już gotowy na wyprawę do Uniwersum Dwóch Królestw?

- O tak, jak najbardziej! - zawołał Oskar z błyszczącymi oczami. - Mógłbym nawet wyruszyć już zaraz, jeśli pan chce...

Młody człowiek pokręcił głową. Entuzjazm Oskara nieco przygasł. Od pierwszej chwili, kiedy poznał Alistaira McCooleya, bardzo polubił jego energię i pełne pasji wypowiedzi. Tego dnia McCooley nie był w najlepszej formie, łagodnie mówiąc. Wydawał się przygaszony - dosłownie i w przenośni.

- Nie - powiedział Alistair. - Spotkamy się wszyscy za kilka dni i ustalimy datę wyprawy. Ale bardzo się cieszę, że masz w sobie tyle zapału: naprawdę bardzo mi z tego powodu przyjemnie - dodał bez entuzjazmu.

Oskar nie wiedział, co odpowiedzieć. Nic nie wskazywało na to, żeby młodzieniec odczuwał w tym momencie jakąkolwiek przyjemność. Wydawało się, że wszystko jest mu obojętne.

Alistair przerwał w końcu ciszę i powiedział z nieco większym zaangażowaniem:

- Jeśli chcesz, możemy się przejść kawałek razem. Wracasz do domu?

- Wybierałem się do Cumides Circle.

Alistair wydawał się bić z myślami: nie chciał się tam pewnie pokazywać w tym stanie, Oskar domyślił się tego od razu. Być może nawet, wbrew radom Jerry'ego, Alistair nie powiedział Wielkiemu Mistrzowi o wypadku?

- W każdym razie chciałem ci powiedzieć, że bardzo mnie cieszy to, że będziemy niedługo w jednym zespole.

Zawahał się przez chwilę, a później dodał:

- Jeśli jesteś równie dzielny jak twój ojciec, wszystko powinno pójść doskonale.

Oskar poweselał.

- Mam nadzieję, że tak jest - powiedział. - Pan go znał?

Alistair wyprostował się, jakby nagle poczuł przyływ dawnej energii. Oczy mu zabłyśły.

- Niestety nie i bardzo tego żałuję, ale dużo o nim słyszałem. Przede wszystkim dlatego, że był najmłodszym członkiem Rady od początku istnienia naszego Zakonu, a poza tym z powodu jego niezwykłych dokonań. Słyszałeś o tym, prawda?

Oskar kiwnął głową twierdząco.

- Wyobrażam sobie, że tobie musi być jeszcze bardziej żal - dodał Alistair. - To twój ojciec, którego przecież nigdy nie widziałeś.

Oskar nic na to nie powiedział. Nie lubił wspominać śmierci ojca ani przyznawać, że nigdy go nie widział. Miał wtedy zawsze wrażenie, że się od ojca oddala, a przecież za

wszelką cenę starał się do niego zbliżyć - oglądając zdjęcia czy słuchając wspomnień matki. Bardzo się różnił pod tym względem od swojej siostry. Violette miała rok, kiedy ojciec zmarł, i nigdy, od chwili kiedy zaczęła rozumieć, co się do niej mówi, w żadnej rozmowie nie wspomniała o ojcu.

- Ja także straciłem ojca - ciągnął Alistair - i bardzo cierpiałem z tego powodu, dlatego wydaje mi się, że rozumiem, co możesz czuć.

Oskar spojrział na młodego człowieka. Dlaczego toczył z nim rozmowę o takich smutnych sprawach? Wolałby cieszyć się perspektywą rychłego odkrycia nowego Uniwersum lub dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co ich tam może spotkać.

Zatrzymali się na światłach, a kiedy potem przechodzili na drugą stronę, Alistair ledwo zauważał mijające go samochody. Nic dziwnego, że ktoś go potrącił - pomyślał Oskar, zaskoczony. A wydawałoby się, że niedawny wypadek powinien być dla Alistaira pewną nauzką.

- Czasami - mówił Alistair, idąc prosto przed siebie i nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje - czasami chciałbym, żeby odnaleziono nareszcie Szmaragdową Tablicę. I żeby można było przywracać ludziom życie za pomocą słynnego Uniwersalnego Panaceum...

Oskar zatrzymał się jak wryty, zadziwiony tym, co usłyszał.

- Szmaragdowa Tablica? Co to jest?

Alistair potrząsnął głową.

- Wybacz mi, mówię sam do siebie, nie powinienem... Czasami lepiej w ogóle mnie nie słuchać.

- Wręcz przeciwnie, bardzo bym chciał, żeby powiedział mi pan coś więcej na temat tej Tablicy!

Serce biło mu mocno. W ciągu minionego roku dowiedział się tylu ciekawych rzeczy, zwłaszcza zaś - wkraczając do niesamowitego świata Medykusów i badając granice własnej mocy - odkrył, że to, co wydawało mu się zupełnie nieprawdopodobne, mogło zaistnieć naprawdę. Nawet szalone pomysły Violette nie wydawały mu się już tak niewiarygodne jak kiedyś. W tej sytuacji słowa Alistaira nabierały nowego znaczenia. Uparcie drążył temat:

- Czy mógłby pan to jeszcze raz powtórzyć? Bardzo pana proszę!...

Młodzieniec zdenerwował się.

- Mówiłem ci już, że lepiej mnie nie słuchać! Zapomnij o tym i skończmy już tę rozmowę, dobrze?

Oskar ucichł i szedł teraz w milczeniu obok młodego człowieka. Jego sposób bycia wydał się chłopcu nadzwyczaj twardy i nieprzejednany. Zaobserwował to już jakiś czas wcześniej: bywało, że ludzie, którzy chwilę przedtem wydawali się przyjacielscy i uśmiechnięci, zmieniali radykalnie swoje zachowanie. Od dawna znał to zjawisko w gronie swoich rówieśników, teraz przyszła kolej na dorosłych.

Parę przecznic przed Cumides Circle, Alistair zatrzymał się przed jakimś budynkiem. W jego spojrzeniu pojawił się cień niepokoju.

- Nasze drogi tu się rozchodzą - powiedział nieco cieplejszym tonem.

Już miał odejść, ale Oskar jeszcze go zatrzymał.

- Alistairze!

Młody człowiek odwrócił się w jego stronę.

- A kiedy wybierzemy się do...

Ściszył głos.

- ... do drugiego Uniwersum?

- Cierpliwości! - odparł Alistair. - Wyruszamy już niedługo. Naprawdę niedługo.

Niebawem zniknął w tłumie, który o tej popołudniowej porze zapełniał chodniki.

Oskar przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, zatopiony w myślach. „Zapomnij o tym!” - powiedział mu Alistair. Ale jak tu zapomnieć? Wierzył w moc Medykusów nie bez przyczyny!... Jeżeli członek Rady Najwyższej, jeden z najbardziej błyskotliwych Medykusów, opowiada mu o tajemniczej Tablicy, za której pomocą można przywracać życie zmarłym, jak mógłby o tym zapomnieć?

Czuł, że rodzi się w nim szalona nadzieja. I nie, nie zamierzał o tym wszystkim zapominać...

Oskar nie dotarł w końcu do Cumides Circle. Wolał zostać sam, pomyśleć spokojnie. Wrócił do Babylon Heights. W chwilach kiedy potrzebował spokoju i wygodnego miejsca, wiedział, że może liczyć na pralnię pana Tina, gdzie zawsze czekało nań zaciszne schronienie. Pan Tin był najbardziej małym człowiekiem na świecie, a tobołki pełne pachnących czystością powłoczek były wygodniejsze niż niejeden fotel.

Kiedy przyszedł do domu, pogrążony w myślach, mamy jeszcze nie było. Zapewne

jej znienawidzony szef zlecił jej nadliczbową pracę właśnie w chwili, kiedy zamierzała iść do domu. Geldhof był facetem drobnej postury, wiecznie spoconym. Musiał źle się czuć we własnej skórze i odbijał to sobie na swoich podwładnych. Jego ulubionym zajęciem było nękanie biednej Celi, która znosiła te złośliwości bez słowa skargi. Czasem nie wytrzymywała i przeciwstawiała się szefowi, jego riposta była jednak zwykle jeszcze gorsza niż początkowy atak. Poza tym nie chciała stracić pracy, za tę cenę kupowała wolność, swoją i dzieci. Po śmierci Vitalego długo korzystała z pomocy matki. Niestety jej przykre uwagi i chęć kierowania wszystkim były równie ciężkie do zniesienia, co agresja szefa w pracy. Celia postanowiła zatem, że da sobie radę sama, nawet z kłótlwym i uciążliwym szefem.

Oskar wbiegł na schody, przeskakując co drugi stopień, i minął pokój Violette.

Czternastoletnia Violette większość czasu spędzała we własnym świecie. Oskar zapukał, a ponieważ jak zwykle nie usłyszał zaproszenia, po prostu wszedł do pokoju.

Violette była zagłębiona w kontemplacji czystej kartki papieru. Oskar oparł się o ścianę pokoju wypełnionego mnóstwem najdziwniejszych przedmiotów.

- Violette?

- Mhm?

- Przeszkadzam ci?

- Nie. Czytam.

- Ale to pusta kartka - zauważył Oskar.

- Wiem - odparła Violette, składając ją na pół i gdzieś chowając. - W ten sposób czytam wszystkie te historie, które sobie napisałam w głowie. Łatwiej jest to robić, kiedy

mam przed oczami pustą kartkę.

- Dlaczego nie chcesz po prostu zapisać tych historii?

- Są zbyt długie! - odpowiedziała Violette. - Poza tym one się cały czas zmieniają.

Oskar nie upierał się, przerzucił się na temat, o którym cały czas myślał.

- Pamiętasz naszego tatę?

Dziewczynka jakby zawahała się przez chwilę, a potem otworzyła pierwszą lepszą książkę leżącą na stole.

Oskar podszedł bliżej i usiadł po turecku tuż koło niej. Wyjął jej książkę z rąk i starał się pochwycić jej spojrzenie. Mimo wielu prób ze strony Celi, a potem Oskara, Violette nigdy nie chciała z nikim rozmawiać o ojcu. Nigdy. Po raz pierwszy od dawna Oskar nie zrezygnował, widząc, że Violette znowu próbuje się zamknąć w swoim własnym świecie.

- Ty przynajmniej go widziałaś... - powiedział cicho.

Violette spojrzała gdzieś w górę i zaczęła nucić:

Somewhere, over the rainbow,

Skies are blue,

And the dreams that you dare to dream really do come true².

Oskar westchnął i chciał się już podnieść.

- To on - powiedziała nagle Violette. - To tata.

- Kto taki?

- Czarnoksiężnik z Oz! Wiesz, w tym filmie, Dorotka śpiewa, że chciałaby znaleźć cudowny świat. Ona wie, że taki świat istnieje naprawdę, ale nikt jej nie wierzy. I w końcu w tej krainie spotyka czarodzieja, który obiecuje wszystkim, że spełni ich marzenia. Strach na wróble chciałby mieć w głowie coś więcej niż siano, Blaszyński chciałby mieć prawdziwe serce, a Lew marzy o odwadze... I w końcu czarnoksiężnik im tłumaczy, że mają już to wszystko, o czym marzyli - wystarczy tylko popatrzeć uważnie w głąb siebie, bo to, czego szukamy, już tam jest - powiedziała, dotykając swojej głowy i serca.

Popatrzyła przez okno jak gdyby dalszy ciąg zapisany był w chmurach.

- Nie pamiętam twarzy taty - powiedziała bardzo cicho. - Ale przypomina mi tego czarnoksiężnika z Oz. Czasami odwiedza mnie w nocy i tłumaczy, że znajdę to, czego mi brakuje, wewnątrz siebie i tam muszę tego szukać. No więc, szukam, tak często jak tylko mogę. To wszystko.

Odwróciła się i popatrzyła na brata. Jej twarz była bardzo poważna, ale nie smutna. Pierwszy raz wyglądała na więcej niż czternaście lat. Oskar wybiegł do swojego pokoju i wrócił po chwili, z małym albumem ze zdjęciami, który miał zawsze przy sobie albo pod poduszką na łóżku. Odnalazł to zdjęcie, na którym był Vitali, Celia w widocznej już ciąży i mała Violette w wózku, kilka miesięcy po tym, jak się urodziła, a kilka miesięcy przed przyjściem na świat brata. Oskar wyciągnął rękę z fotografią w stronę siostry, ale odsunęła ją delikatnie, nie patrząc nawet na zdjęcie.

- Czarnoksiężnik z Oz pasuje mi, naprawdę - powiedziała. - Nie potrzebuję niczego więcej.

Oskar spuścił głowę. Urodził się po śmierci ojca. I owszem - potrzebował czegoś więcej. A teraz miał taką ochotę podarować siostrze coś więcej niż postać z marzeń...

Wstał i wyszedł z pokoju, nie mówiąc ani słowa.

Gdzieś w tym świecie lub innym istniała Tablica, dzięki której mógłby zdobyć to, na czym mu tak bardzo zależy.

Znajdzie ją.

Celia zamknęła drzwi do swojego pokoju i oparła się o ścianę z zamkniętymi oczami.

Wróciła kilka chwil wcześniej i szukając dzieci, usłyszała niechcący ich rozmowę.

Wierzchem dłoni otarła łzy spływające jej po twarzy; nie mogła ich w żaden sposób powstrzymać. Tymczasem zza ściany dobiegał głos jej córeczki - jej własnej małej czarodziejki, która przeniosła się do innego świata.

Somewhere over the rainbow,

Bluebirds fly,

Birds fly over the rainbow,

Why then, oh why can't I?3

LEONID

Oskar, kochanie, wstawaj, już pora...

Oskar z trudem otworzył oczy. Nie da się ukryć, że ten początek roku szkolnego był wyjątkowo feralny. Była sobota, mimo to nie mógł się spokojnie wyspać. Mama uparcie go budziła.

- Ktoś na ciebie czeka na dole... Wydaje mi się, że ci się to spodoba.

Znał dobrze mamę, zwykle zachowywała się tak wtedy, kiedy miała ku temu ważne powody. Musiał jednak wziąć pod uwagę, że chcąc dopiąć swego, była gotowa na wszystko. Czy można jej zatem wierzyć? Może to tylko zasadzka? Lepiej sprawdzić - zawsze będzie można wrócić do łóżka i znowu zasnąć.

Powtórzył w myśli jej słowa, nie zastanawiając się do końca nad ich sensem - „Ktoś na ciebie czeka na dole”... W końcu wstał, podszedł do okna. I ujrzał coś, co natychmiast go rozbudziło. Odwrócił się do mamy z najradośniejszym ze swoich uśmiechów i popędził do łazienki.

Wyszedł z niej kilka minut później, ociekając wodą, z ręcznikiem owiniętym w pasie, i rzucił się w stronę szafy. Włożył ciuchy w najdzikszych kolorach, takie, jakie zazwyczaj nosiła Violette w chwilach nieprzytomnego rozmarzenia. Zabrał pelerynę, pas i zbiegł po schodach z prędkością trąby powietrznej.

Z hukiem otworzył drzwi. Jerry stał z założonymi rękami przed limuzyną pana Brave'a. Przyjechał po niego, by go zabrać do Cumides Circle, co znaczyło zapewne, że

to właśnie tego dnia odbędzie się wielka wyprawa do drugiego Uniwersum!

Mama podała mu szczelnie wypełnioną torbę.

- Mógłbyś na tym ciągnąć przez cały miesiąc, rzecz jasna! - powiedziała, żartując, żeby uprzedzić żarty syna. - Przyjadę po ciebie jutro wieczorem, dobrze? Szczęśliwej drogi, kochanie!

Nachyliła się, by go pocałować, i szepnęła mu przy okazji do ucha:

- Jestem z ciebie bardzo, bardzo dumna. I on także byłby dumny, jestem tego pewna.

Oskar wypadł jak wicher przez furtkę. Już miał wsiąść do limuzyny, podniósł jednak wzrok: Violette pomachała mu z okna swojego pokoju. Potem wsiadł do samochodu i odjechali.

Kiedy Oskar dotarł do Cumides Circle, nie czekał na Bonesa, by ten zabrał jego torbę. Wbiegł na schody, przeskakując co dwa stopnie. Ostrożnie zwolnił, idąc po leżącym w korytarzu chodniku, który miał nieprzyjemny zwyczaj piętrzyć się w fale grożące upadkiem. Nie zatrzymując się, pozdrowił przelotnie popiersie Selenii i zagłębił się w korytarz po prawej stronie. Dotarł w końcu do ostatnich drzwi. Zobaczył dobrze znaną tabliczkę: Alfred Bowden. Wszedł pewnym siebie krokiem do pokoju, w którym gościł rok wcześniej, i z przyjemnością odkrył, że ktoś go niedawno posprzątał i wywietrzył. Kilka drobiazgów, które tu zostawił, leżało na swoich miejscach, a łóżko było posłane. Przede wszystkim jednak z największą przyjemnością odkrył, że czekali tu na niego przyjaciele.

Po pierwszych radosnych powitaniach, mając w perspektywie kolejny wspólny weekend, który tym razem mieli spędzić w siedzibie Wielkiego Mistrza Medykusów,

Oskar opowiedział Valentine i Lawrence'owi o dziwacznej rozmowie z Alistairem.

- Szmaragdowa Tablica? Jesteś pewien, że tak się nazywa? - spytał Lawrence.

- Tak, jestem pewien - potwierdził Oskar. - Alistair powiedział tylko kilka słów na ten temat, lecz nie sposób się było pomylić.

- Nigdy o tym nie słyszałem - zdziwił się Lawrence, który nie cierpiał takich sytuacji.
- Ale na pewno się czegoś dowiem! - dodał szybko.

- Ja też nigdy nie słyszałam o takiej Tablicy, ani tutaj, ani w Wielkim Systemie między Uniwersami. Czy Alistair mówił coś więcej? - spytała Valentine.

- Użył niezbyt zrozumiałego określenia, coś jakby pana liceum z Uniwersum, czy jakoś tak... Ale nie wiem, o jakim Uniwersum mówił. W każdym razie, o ile dobrze rozumiałem, wiązało się jakoś z tą Tablicą i dzięki temu można by przywracać życie umarłym!

Lawrence masował się po brzuchu, jak zwykle kiedy był przeciwnego zdania. Lubił sprawy, które dawały się wytłumaczyć w jasny sposób, cenił oczywiste, mocne dowody. W tej sytuacji zachwyty Oskara wydawał się chłopcu nieco szalony.

- Wskrzeszanie zmarłych? To zupełnie niepoważne - powiedział. - Chyba tylko Violette mogłaby uwierzyć, że to możliwe.

- Jeszcze rok temu nie uwierzyłbym, że można przeniknąć do wnętrza ludzkiego organizmu - zauważył Oskar. - A tymczasem...

Jednak nawet Valentine, zwykle znacznie bardziej spontaniczna niż Lawrence i rzucająca się z zamkniętymi oczami w każdą przygodę, teraz była znacznie ostrożniejsza.

- Może powinniśmy dowiedzieć się czegoś na ten temat, zanim w to wdepniemy na dobre; jak sądzisz?

Młody Medykus popatrzył na nią zaskoczony. Oczekiwał entuzjazmu, natknął się na nieufność. Spuścił głowę, rozczarowany.

- Wydaje mi się, że wiem, co ci chodzi po głowie - dodała Valentine. - Nie chcielibyśmy, żebyś sobie robił złudzenia i przeżył rozczarowanie, jeżeli to nie działa lub jeśli to tylko legenda... Ale będziemy to badać - dorzuciła energicznie jak zwykle. - Obiecuję!

Ktoś im przerwał. Bones otworzył drzwi.

- Jesteś oczekiwany na dole! - powiedział w stronę Oskara.

Chłopiec natychmiast zapomniał o wszystkim i poderwał się z miejsca. Majordomus powstrzymał go.

- Musisz zabrać pelerynę i pas! - uprzedził.

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na pobrużdżonej twarzy Bonesa. Było to zjawisko tak wyjątkowe, że wszyscy to zauważyli. Valentine zaczęła bić brawo. Bones wzruszył ramionami.

- Ach, proszę pana, uśmiech na pana twarzy - to trzeba uczcić!

Oskar zszedł do hallu, w którym niewielka grupka tłoczyła się już wokół Alistaira. Było tam czworo dzieci - wszystkie, poza Mossem, słuchały uważnie. Tego ranka Alistair był w dobrej formie. Uśmiechał się, wydawał się wypoczęty, przypominał

Oskarowi tego samego entuzjastycznego chłopaka, jakim był w czasie pierwszych spotkań.

- O, proszę, nasz kolejny przyszły Medykus! Witaj, Oskarze! - powiedział Alistair jowialnie. - Jesteś gotów?

Oskar kiwnął głową.

- Doskonale! - ucieszył się Alistair. - Jesteśmy zatem w komplecie. Nie ma sensu, żebym zasypywał was tysiącem informacji. Lepiej będzie, jeśli od razu wyruszymy. Jesteśmy z kimś umówieni!

- Lepiej późno niż wcale! - burknął Moss, oparty o rzeźbę przedstawiającą Sigismonda. - Zaczynaliśmy się już trochę nudzić...

Statua wymierzyła mu solidnego kuksańca, aż podskoczył. Odsunął się, nieco zaskoczony. Oskar, który jako jedyny dostrzegł, co się stało, zachichotał. Moss zbliżył się do niego z groźną miną.

- Masz problem, Pill?

- Ja nie, ale wydaje się, że ty masz problem z Sigismondem...

Alistair musiał ich mieć cały czas na oku. Stał między nimi i poprowadził ich w stronę drzwi.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie na nas!

Wszyscy się odwrócili. Valentine i Lawrence zbiegali pędem po schodach, każde z plecakiem na ramieniu.

- Idziemy z wami! - oświadczyła Valentine, stając przed Alistairem.

- Nie ma mowy - odparł Alistair. - Skompletowałem już grupę, a poza tym to jest wyprawa inicjacyjna dla młodych Medykusów, a nie wakacyjna wycieczka turystyczna z przewodnikiem!

Lawrence przyłączył się do prośby.

- Bardzo proszę, panie McCooley, niech pan nas ze sobą zabierze! Jestem pewien, że okażemy się pomocni!

Alistair pochylił się nad nim rozbawiony.

- Pomocni? A to w jaki sposób?

- Przypominam panu, że pochodzimy ze świata wewnętrznego - zaznaczył Lawrence, z miną starego belfra. - I znamy ten świat jak własną kieszeń.

Spojrzał na Valentine, oczekując od niej poparcia.

- Ależ tak, tak, właśnie, całkiem jak własną kieszeń! - potwierdziła dziewczynka.

- A od kiedy to Hepatolijczycy są ekspertami od drugiego Uniwersum?

- No więc... to dlatego, że... no, dużo czytałem o Dwóch Królestwach - odpowiedział prawdopodobny Lawrence. - Coś takiego może się przydać...

- A ja mam bardzo sympatyczne kuzynki, które kursują po WMUS-ie Dwóch Królestw - dodała pospiesznie Valentine. - Między nami mówiąc, ich Kapsuły nie są pojazdami najnowszej generacji. Mało tego, wydaje mi się, że ciągną jeszcze na benzynie, a to nie jest najlepsze dla środowiska. Mogę je jednak poprosić, żeby

pożyczyły mi swoje Kapsuły, i będziemy mogli szybciej się przemieszczać!

- Dzięki, ale mam inne plany dla naszych młodych Medyków. Nie będziemy zwiedzać zabytków drugiego Uniwersum, bujając się w Kapsułach... No, dobra, dzieciaki, musimy...

Valentine nie czekała, aż skończy zdanie. Padła mu w ramiona z głośnym płaczem.

- Nieee!! - zaszlochała niczym godna naśladowczyni największych gwiazd teatralnych. - Błagam, niech mnie pan nie zostawia, prześladują mnie tutaj! Mężczyzna w czerni, łysiejący na czubku głowy i smutny jak sto nieszczęść, każe mi chodzić po domu w kapciach! A miła, ale maniakalna kucharka zmusza mnie, żebym codziennie sprzątała swój pokój i brała prysznic! Nie wytrzymam tego dłużej! Niech pan mnie ratuje!

Stojący na ostatnim stopniu schodów Bones wznosił oczy do nieba, wydawało się też, że po jego twarzy przemknął kolejny cień uśmiechu. Ayden, Oskar i dziewczynki śmiali się zupełnie otwarcie, tylko Moss nie wydawał się zainteresowany całą sytuacją; z uwagą oglądał swoje paznokcie.

Przez szloch Valentine, która starała się za wszelką cenę wyprodukować łzy, przedarł się niski, poważny głos.

- Bardzo mi przykro, młoda damo, ale te męczarnie, które tutaj znosisz, będą trwały dalej: zostajecie w domu oboje.

Pan Brave podszedł do nich i wszyscy zamilkli pod wrażeniem jego głosu i widoku jego osoby.

- Zatem mówisz, że czujesz się tu bardzo nieszczęśliwa?

Lawrence zeszytniał, przerażony, że grozi im odesłanie do Hepatolii. Szybko zatem

się wtrącił.

- Ależ skąd, skądże znowu, jest tutaj BARDZO szczęśliwa! Prawda, Valentine? Wcale nie myśli tego, co powiedziała. Trzeba przyznać - dodał, obdarzając Valentine ciężkim spojrzeniem - że w ogóle rzadko myśli, takie mam wrażenie... Uwielbia jednak Cumides Circle. Prawda, że uwielbiasz Cumides Circle, Valentine? Zapewniam pana, jest taka szczęśliwa, że aż boi się panu do tego przyznać. I od jutra będzie brała prysznic DWA razy dziennie. W tym jeden zimny, żeby poukładało jej się w głowie...

Valentine posłała Wielkiemu Mistrzowi najbardziej uroczy ze swoich uśmiechów, marszcząc przy tym zabawnie nos.

Wielki Mistrz zatrzymał ich przy sobie, kładąc im ręce na ramionach, i zwrócił się do młodych Medykusów:

- Życzę wam szczęśliwej pierwszej podróży do Królestwa Oddechów. Zwracajcie baczną uwagę na to, co wam powie pan McCooley, każdy szczegół jest ważny. Pamiętajcie też, że tworzycie zespół - każdy musi myśleć o pozostałych, troszczyć się o nich. Tymczasem my zaczekamy tutaj, razem - ciągnął, spoglądając w dół, na Lawrence'a i Valentine.

- O, skoro razem, to ja bardzo chętnie! - zapewniła go Valentine z żarliwym spojrzeniem.

Lawrence uszczypnął ją, czerwony ze wstydu.

- Chyba zwariowałaś, zachowuj się jakoś! - szepnął jej ze złością. - On nie ma dwunastu lat tak jak ty!

- No i co z tego? - spytała rozmarzonym głosem Valentine, bawiąc się jednym ze swoich kucyków. - Zawsze miałam słabość do starszych chłopaków...

- Starszych? Przecież on mógłby być twoim dziadkiem!...

Oskar podszedł do nich.

- Nie zajmie mi to wiele czasu - powiedział uspokajająco.

Pochylił się i wyszeptał im do ucha:

- Wrócę z pięknym Trofeum. A wy tymczasem możecie załatwić ważną sprawę...

Obydwoje wiedzieli, co ma na myśli, pokiwali więc tylko głowami.

- Miej się na baczności - dodał Lawrence, zerkając w stronę Mossa. - Możesz się natknąć na zagrożenie niezwiązane z drugim Uniwersum...

Pięcioro dzieci zniknęło z hallu, w ślad za Alistairem; Valentine i Lawrence zostali sami, z plecakami porzuconymi na podłodze. Pan Brave rzucił im pocieszająco na odchodnym.

- Niedługo wrócą! Wicie przecież, że wasz przyjaciel musi też od czasu do czasu uczyć się radzić sobie samodzielnie.

Wszedł już kilka stopni po schodach, zawahał się i odwrócił się znowu do nich.

- Wybierzcie się z nim jeszcze na wyprawę, i to dalszą, niż sądzicie. A na razie, proszę, odróbcie lekcje. Jeśli chcecie zostać w świecie zewnętrznym, musicie się trochę pomęczyć!

Jerry prowadził limuzynę od dobrego kwadransa. Na tylnym siedzeniu Sally niemal leżała z ugiętymi kolanami; grała na swojej przenośnej konsoli. Iris siedziała

wyprostowana i wyglądała przez okno.

- Ronan, wsiadaj tutaj, będziesz jechać z przodu obok Jerry'ego - zaordynował wcześniej Alistair, usadzając ich w samochodzie. - Dziewczynki pojedą z tyłu, Ayden i Oskar - chodźcie ze mną. Pojedziemy moim samochodem.

Moss skrzywił się.

- Nigdy nie jeżdżę obok szofera w limuzynie mojego ojca.

Jerry rzucił mu pogardliwe spojrzenie i zatrzasnął drzwi samochodu, które wcześniej uprzejmie uchylił. Niech ten źle wychowany chłopak wykaże się odrobiną samodzielności.

- Wsiadasz albo zostajesz tutaj! - uciął Alistair.

Moss wsiadł zrezygnowany do samochodu. Kiedy tylko zajął miejsce, naciągnął na swoją ogoloną głowę kaptur bluzy i przestał zwracać na kogokolwiek uwagę.

Iris pochyliła się do przodu w stronę Jerry'ego, który skoncentrował się już na prowadzeniu samochodu.

- Czy mógłby pan otworzyć szyby z tyłu? - zapytała swoim wysokim, świdrującym głosem. - Nie znoszę jazdy samochodem przy zamkniętych oknach.

Jerry odpowiedział, nie odwracając wzroku:

- Jest przycisk na drzwiach, proszę panienki, niedaleko uchwytu, którym się je otwiera.

- Dziękuję.

Iris otworzyła okno po swojej stronie i zwróciła się z kolei do Sally:

- Okna muszą być otwarte po obu stronach.

- Czekaj, już prawie kończę...

Iris westchnęła, odczekała pięć sekund i wróciła do tematu:

- Czy możesz, proszę, otworzyć swoje okno? Nie znoszę jazdy...

Sally na sekundę podniosła wzrok. Iris zacisnęła usta i spojrzała na nią z góry.

- A może mogłabyś poczekać chwilę, co? - powiedziała Sally. - Nie pali się chyba?...
Dziękuję.

Iris, ugodzona do żywego, wyprostowała się sztywno jak kogut i rzuciła się na przenośną konsolę, po czym wyrwała ją z rąk koleżanki.

- Nie, nie mogę poczekać. Otwierasz czy nie?

Zanim zdążyła pojąć, co się z nią dzieje, czyjeś ramię z żelazną siłą przygniotło ją do oparcia. Straciła oddech i oddała konsolę Sally. Ta pochyliła się w jej stronę:

- Spróbuj jeszcze raz, a otworzę nie okno, tylko drzwi i wylecisz stąd jak z katapulty, Panno Nudziaro! Zrozumiano?!

Zagłębiła się znowu w grze, Iris zaś odzyskiwała powoli przytomność umysłu.

- Poskarżę się panu McCooleyowi, że jesteś agresywna! - powiedziała nieco mniej pewnym tonem. - Zobaczysz jeszcze... Nie masz prawa podnosić na mnie ręki! Nie masz

prawa!

- No cóż, sama sobie takie prawo przyznałam! - odpowiedziała Sally, nie zwracając uwagi na rozbawione spojrzenie Jerry'ego we wstecznym lusterku. - Możesz teraz zamilknąć, proszę? Nie znoszę, gdy ktoś krzyczy w samochodzie, kiedy gram...

Na szczęście samochód zatrzymał się chwilę później na jednej z cichych uliczek przedmieścia. Dzieci stanęły przed furką prowadzącą do niewielkiego, ceglanego domku ze słomianą strzechą, który wyglądał, jakby został żywcem przeniesiony z bajki. Oczywiście Iris natychmiast rzuciła się w stronę Alistaira, opowiadając mu, jak to została „dotkliwie pobita” w samochodzie. Potem stała z założonymi rękami i spoglądała na swoją prześladowczynię, w oczekiwaniu na straszliwą karę, jaka niewątpliwie miała spotkać Sally. Ku jej zaskoczeniu, Alistair zupełnie zbagatelizował jej relację, radząc jej jedynie, żeby się trzymała od Sally z daleka. Zwrócił się do całej grupy:

- Słuchajcie, to tutaj rozpocznie się wasza wyprawa. Przedstawię wam tego, który przyjmie nas w swoim drugim Uniwersum. Proszę was o dwie rzeczy - bądźcie uprzejmi i niczego nie dotykajcie. Ale zobaczycie sami: to uroczy człowiek i...

- A CO TO ZA ZBIOROWISKO PRZED MOIM DOMEM?!...

Pięcioro dzieci odwróciło się jak na komendę w lekkiej panice, słysząc wrzask, który bardziej przypominał ryk lwa niż ludzką mowę.

Kilka metrów dalej, pośrodku trawnika z idealnie równo przystrzyżoną trawą, stał starszy, dosyć tęgi pan, w spodniach z zaszewkami i w kamizelce, podpierając się pod boki. Haczykowaty nos, świdrujące spojrzenie i krzaczaste brwi sprawiały, że wyglądał jeszcze groźniej. Przypominał rozwścieczoną wańkę-wstańkę. Ayden cofnął się o krok, a jegomość zauważył ten ruch.

- Ty tam! - wrzasnął, wskazując na młodego Medykusa trzęsącym się palcem. - Jeśli cofasz się, zanim jeszcze wszedłeś do czyjegoś organizmu, będzie z tobą całkiem krucho! Co pan mi tu przywłókł, McCoooley? Bandę mięczaków? Brawo!...

Alistair ruszył do przodu, przeskoczył ponad drewnianą furtkę i wyciągnął rękę.

- Jakże pan się miewa, drogi Leonidzie?

- Chwila moment, nikt pana nie nauczył otwierać drzwi? Mam nadzieję, że ta hałastra jest lepiej wychowana!

Alistair cofnął się, otworzył furtkę, przeszedł przez nią i przywitał się z Leonidem, który wyciągnął w jego kierunku mięką dłoń.

- To w końcu ile ich jest?

- Pięcioro - odparł Alistair.

- Pięcioro? Chyba mówił pan wcześniej, że będzie ich troje? Przecież pan świetnie wie, że nie lubię, jak ich jest za dużo...

- No cóż, doszło jeszcze dwoje - wyjaśnił młody człowiek. - Ale proszę się nie martwić, to świetne dzieciaki, dadzą sobie radę w pana organizmie.

Leonid omiół ich baczny spojrzeniem, jedno po drugim. Oskar i Ayden popatrzyli na siebie lekko speszeni. Alistair miał zapewne inną wizję „uroczego człowieka” niż oni. Iris wyprostowała się jak świeca, bez wątpienia poczuła, że mają z Leonidem dużo wspólnego. Oboje należeli do tego samego gatunku ludzi marudnych i zarazem lubiących władzę. Moss przyglądał się z pogardą zabudowaniom, a Sally na moment oderwała wzrok od konsoli, żeby zerknąć na starszego pana. Nie zrobił on jednak na niej dużego

wrażenia.

- Dzieci, przedstawiam wam Leonida Smitha. Jego żoną była nieodżałowana pani Lydia Smith, a jego dzieci to Leonella i Leonard Smithowie. Leonard jest bardzo cenionym Medykusem, była nim także jego nieżyjąca matka, natomiast Leonid i jego córka Leonella nie należą do Zakonu. Niemniej jest zwyczajem od wielu lat, że pan Smith, wspierając naszą akcję, zgadza się gościć młodych Medykusów w trakcie nauki. Gości ich u siebie i... w sobie.

- Cicho! - powiedział starszy pan, spoglądając w kierunku żywo płotu oddzielającego jego ogród od sąsiada. - Tutaj ściany mają uszy! Jest pan jeszcze bardziej nieostrożny, niż sądziłem po tym, co mi o panu opowiadał Brave! Wejdźcie, zostawcie buty na zewnątrz, pod markizą...

Nawet Moss nie śmiał sprzeciwić się rozkazom Leonida, bez słowa zdjął buty.

Weszli do salonu, w którym pachniało pastą do podłogi. Cały pokój lśnił jak nowy. Nie było widać nawet cienia kurzu na bibelotach i na myśliwskich trofeach wiszących nad kominkiem i nad drzwiami. Na boku każdej kanapy leżały równiutko złożone pledy. Leonid ruszył w kierunku małego, intarsjowanego stolika na kółkach i nalał sobie whisky, którą wypił duszkiem. Alistair zatrzymał grupkę dzieci w skarpetkach na progu pokoju, czekając ostrożnie na pozwolenie pana domu, by weszli dalej.

Leonid odwrócił się w ich stronę, podniesiony na duchu porannym drinkiem.

- No i co wy tam jeszcze robicie? Długo tak będziecie sterczeć w progu? Uprzedzam, nie zamierzam służyć wam gościnnie w nieskończoność. Musicie opuścić moje ciało przed wieczorem!

Alistair popchnął dzieci w głąb salonu.

- Siadajcie, ale postarajcie się nie wygnieść poduszek! - polecił Leonid. - I starajcie się nie chodzić po dywanie!

Sally wykonała długi skok i przysiadła na brzegu kanapy, która wydawała się całkiem nowa. Nie sprawiała wrażenia, aby często na niej siadano.

Alistair rozlokował wszystkich.

- Jeśli pan pozwoli, Leonidzie, chciałbym dać naszym młodym przyjaciółom kilka wskazówek.

- Ależ proszę, niech pan się nie krępuje! - powiedział starszy pan, poprawiając szelki. Złagodniał po szklaneczce whisky i być może miał zamiar powtórzyć ten zabieg.

Alistair stał po środku salonu, tak by wszyscy dobrze go widzieli. Dzieci spoglądały na niego w skupieniu.

- Moja podstawowa rada jest taka: trzymajcie się w grupie i nie traćcie mnie z oczu. Będę wam towarzyszył w czasie tej pierwszej wyprawy.

- A w czasie następnych już nie? - spytał zaniepokojony Ayden.

- Wszystko w swoim czasie. Ruszymy wszyscy razem - Leonid ma wprawę w przyjmowaniu grup, prawda? Skoncentrujcie się na nozdrzach Leonida - ciągnął, nie dopuszczając do głosu starszego pana, który zaczynał coś cedzić przez zęby. - Startujemy dopiero na mój znak, nie wcześniej. No dobrze, możecie założyć peleryny i pasy, sprawdźcie...

- Jak to, będzie im pan towarzyszył? - obruszył się Leonid, wstając z trudem z fotela, w którym się wcześniej ułożył. - Wczoraj powiedział mi pan, że tylko przyjdzie pan tu z nimi, a dalej będą podróżować samodzielnie!

- Wczoraj? - zdziwił się Alistair. - Chyba się panu pomyliło, Leonidzie, nie byłem u pana wczoraj!

- Robi pan ze mnie idiotę czy co? - wrzasnął pan Smith, czerwieniąc przy każdym krzyku. - Mówię panu przecież, że dyskutowaliśmy tu, w tym salonie, wczoraj po południu! Chyba wiem, co mówię!

- Ależ...

Pan Smith walnął pięścią w mały stolik, który o mało co się nie rozleciał na kawałki.

- Proszę posłuchać, panie McCooley, jestem może starym dziadem, ale z głową u mnie wszystko w porządku, może nawet bardziej niż u pana!... Przypominam panu, że jeśli ktoś z tu obecnych miałby prawo stracić rozum, to nie ja, ale syn biednego George'a McCooleya!

Alistair zbladł jak płótno.

- Cóż... pan... ma pan zapewne rację. Dużo ostatnio pracuję i mam kiepską pamięć. Powiedzmy, że... zmieniłem plany.

Moss zaczął chichotać, a Iris obrzuciła Alistaira podejrzliwym spojrzeniem.

- Zamknij się, Moss! - rzucił szeptem Oskar. - Przez ciebie zaraz nas stąd wyrzucą!

- A od kiedy to wydajesz mi rozkazy, rudzielcu?

- Od czasu, kiedy podróżujesz osobno, bo nie umiesz się zachować! - odpalił bez zastanowienia Oskar. - Wracaj do swojego basenu i zostaw nas w spokoju. Chyba że wolisz wodotryski, takie jak w zeszłym roku?

Ayden zaczął się cicho śmiać. Ronan Moss świetnie wiedział, do czego pije Oskar. W środku nocy Zizou, dąb rosnący w ogrodzie otaczającym Cumides Circle, wyrzucił Mossa i jego kumpli w powietrze; wylądowali na szczycie wodotrysku w basenie przy nowym domu Mossów w Blue Parku. Już miał coś odpowiedzieć, kiedy Alistair nagle się odwrócił, ciągle jeszcze wstrząśnięty upokorzeniem. Oskarowi zrobiło się go żal.

- Jeśli jesteście gotowi - powiedział Alistair, unikając wzroku swoich podopiecznych - możemy zaczynać. Pozwoli pan, Leonidzie...

Leonid wymamrotał coś niezrozumiale, ale usiadł z powrotem w fotelu. Wcześniej ustawił jednak w pobliżu butelkę alkoholu, szklanek i słodycze.

- Wyjmijcie wasze medaliony - trzeba je wziąć w prawą rękę, Iris, w prawą! - dodał z irytacją. - Chyba miałaś dosyć czasu, żeby się tego nauczyć, nie sądzisz?

- Wiem o tym, oczywiście - odpowiedziała Iris. - Polerowałam go tylko.

Sally wzniosła oczy do góry.

- A może byś jeszcze odprasowała spódniczkę? To w sumie właściwa chwila...

Iris wzruszyła ramionami.

- Mocno bym się zdziwiła, gdybyś ty znała się na spódniczkach - powiedziała, obrzucając Sally spojrzeniem od stóp do głów.

- Dostyc tego! - uciął Alistair. - Będziecie miały czas na kłótnie po powrocie. No dobrze, wszyscy koncentrujemy się na Wielkich Równinach Królestwa Oddechów i ruszamy. Kiedy już tam się znajdziecie, trzymajcie się razem i zaczekajcie na mnie. Ja przedostanę się ostatni.

Ustawili się w półokręgu wokół Leonida, który schrupał kilka pralinek i powtórzył ostrzegawczo:

- Pamiętajcie, co wam powiedziałem. Nie wracajcie za późno, bo wylądujecie potem wszyscy w moim łóżku!

Groźba okazała się skuteczna: popatrzyli na siebie nawzajem i widać było, że obiecują sobie punktualny powrót. Nie było wątpliwości, nikt nie marzył o tym, by znaleźć się pod kołdrą Leonida. Nie wydawał się szczególnie wesołym kompanem.

Alistair popatrzył na każdego z nich uważnie.

- Jesteście gotowi?

- Gotowi! - odpowiedziała cała piątka.

- Zatem szczęśliwej podróży - rzucił Alistair, znowu uśmiechnięty. - I do zobaczenia na równinach za kilka chwil!

RYCZĄCE KANIONY

Oskar poprawił pelerynę na ramionach i podszedł do Aydena, który wydawał się nieco zagubiony pośród dziwnych zarośli złożonych ze sporych czarnych prętów.

- Co to może być, jak sądzisz? - spytał Ayden.

- Nie mam zielonego pojęcia. Rośliny? Stare gałęzie?

- Są giętkie, jakby były z gumy. Popatrz, na końcu rozkładają się jak wachlarz.

W pobliżu usłyszeli hałas. Pojawiła się Sally, równie zaintrygowana tajemniczymi pąkami.

- Jak myślicie, gdzie jesteśmy? Wydaje się, jakbyśmy się znaleźli w środku gigantycznej miotły...

Wszyscy troje ruszyli naprzód; dotarli w końcu na skraj zarośli. Oskar wyjął swój medalion, umieścił go na palcu wskazującym i wypowiedział formułkę, której uczyła go pani Withers:

Wierna moja Litero

Obca ci zabłąkania trwoga

Obróć się jak sombrero,

Wskaż, gdzie rozjaśnia się droga.

Medalion zaczął się obracać, aż wreszcie zatrzymał się. Wierzchołki litery M wskazywały kierunek.

- Kaze nam iść na wschód - stwierdził Oskar. - „Tam, gdzie rozjaśnia się droga” - to znaczy tam, gdzie wschodzi słońce. Czyli tam jest północ, a tam kończy się równina.

Ayden był pod wrażeniem, uśmiechnął się.

- Popatrz tylko, musisz mnie nauczyć, jak to się robi! A ty, wiedziałaś, że medalion może służyć jako busola? - spytał Sally.

Kiwnęła głową.

- No tak, wszystko jasne - jęknął załamany. - Jestem beznadziejny. Zawsze na szarym końcu, jeśli idzie o właściwości medalionu i peleryny...

- Daj spokój, po prostu kiedyś potrzebowaliśmy tego zaklęcia, pani Withers i ja, w czasie jednej z Introdukcji. Gdyby nie to, nigdy bym się pewnie o tym nie dowiedział - zapewnił go Oskar. - Zapiszę ci tę formułę, to proste.

Ayden spuścił głowę.

- Tak czy inaczej, pewien jestem, że nie uda mi się przynieść tego Trofeum.

- Przestań, nie popadniesz chyba w depresję z tego powodu, że nie umiesz wskazać, gdzie jest wschód za pomocą medalionu? - zdziwiła się Sally, która nie знаła jeszcze dobrze nadwrażliwego chłopca.

Oskar dał jej kuksańca.

- Słuchaj, Ayden, chcesz, żebym ci przypomniał, kto mi uratował życie rok temu? Gdyby nie ty i twój ognisty dysk, zostałyby ze mnie papka...

Sally zniecierpliwiła się.

- No dobra, może byście już skończyli z tym wzajemnym kadzeniem... Boicie się tego miejsca czy co? Naprzód, musimy znaleźć resztę grupy, a ja chcę się rozruszać! W każdą sobotę zwykle uprawiam sport!

Sally pobiegła truchtem, a chłopcy ruszyli za nią. Ayden szybko się zmęczył, jak zwykle przeszkadzały mu plecy - w dzieciństwie przeszedł wiele operacji kręgosłupa. W czasie kiedy chodził do szkoły, prawie w ogóle nie uprawiał żadnego sportu.

- Akurat! - narzekał, zerkając na wyprzedzającą ich Sally. - Ona z pewnością uprawia sport od poniedziałku do niedzieli włącznie, ot co!

Oskar zwolnił, biegł teraz równo z Aydenem.

- Masz rację, ona chyba ostro trenuje, ja już nie daję rady...

- Gdzie tak biegniecie?

Oskar odwrócił się. Alistair patrzył na nich z szerokim uśmiechem. Nieopodal Moss bawił się kawałkiem czarnego patyka, jakich wokół było mnóstwo, a Iris szukała cienia pod pozbawionymi liści gałęziami drzewa. Sally także zawróciła i wszyscy ucieszyli się, że są w komplecie.

- Zmierzaliście jednak w dobrym kierunku - zauważył Alistair. - Jesteśmy na skraju Równiny Przeciwnych Wiatrów, a u stóp... tego tam!

Wskazał palcem gdzieś daleko. Pięć par oczu otworzyło się szeroko: przed nimi wznosił się gigantyczny kanion z niebotycznymi, skalistymi zboczami, między którymi można się było domyślać wąskiego przesmyku. Z daleka wydawało się, że to olbrzymi, pomarańczowy tort urodzinowy, przecięty na pół.

Oskar przyglądał się górom, zafascynowany, podobnie jak pozostałe dzieci.

- Sceneria zupełnie jak z westernu - powiedział. - Brakuje tylko kaktusów i Indian...

- Czasem bywa tu równie niebezpiecznie jak w westernie - powiedział Alistair, nie wyjaśniając, co ma na myśli. - Będziemy jednak musieli tam dotrzeć i przejść na drugą stronę.

- Na oko pół godzinki biegu i będziemy na miejscu! - ucieszyła się Sally. - Kiedy codziennie wieczorem biegam z tatą, robimy znacznie dłuższe trasy.

- O pomyłkę łatwo - odparł Alistair. - Jesteśmy bardzo daleko od kanionu, który jest znacznie większy, niż się wam teraz wydaje.

- A co jest po drugiej stronie? - spytał Moss, odrzucając patyk, który zdążył rozłupać na drzazgi.

- Co ty zrobiłeś? - spytał Alistair, zbierając drobne kawałki z ziemi. - Wiesz, co to jest?

- Kawałek plastiku czy coś w tym rodzaju - odpowiedział Moss. - Co się takiego stało?

- To włoszek wibrujący, narzędzie, jakim posługują się służby oczyszczające równiny. Zanim wpadniesz na pomysł, żeby zniszczyć coś znowu, spytaj mnie najpierw o zdanie! - powiedział Alistair, jawnie niezadowolony.

- Nie odpowiedział pan na jego pytanie! - naciskała Iris, która źle się czuła w tej sytuacji. - Co takiego jest po drugiej stronie kanionu?

- Cel waszej pierwszej wyprawy do tego Uniwersum: pałac Eola, gdzie znajdziecie część waszego Trofeum. A teraz w drogę!

Ruszyli naprzód, chwiejąc się niekiedy w silnych podmuchach nieustającego wiatru, nie zdążyli jednak przejść nawet pięćdziesięciu metrów, kiedy usłyszeli Iris idącą na

końcu grupy.

- Nie ma mowy, żebyś dalej szła w tym słońcu. To bardzo niezdrowe na skórę, a poza tym strasznie mi gorąco.

- Może powinnaś zdjąć ten babciowaty zakieciak - doradziła życzliwie Sally, nie odwracając głowy. - Jeśli potrzebna ci pomoc, daj znać: chętnie ściągnę ci go jednym ruchem ręki, zobaczysz!

- Dosyć tego! - stwierdziła stanowczo Iris. - Zostaję tutaj i jak tylko...

Nie zdążyła skończyć zdania, gdy w ułamku sekundy znalazł się przed nią Alistair.

- Słyszałaś może, co się działo z rozkapryszonymi pannicami w czasie rewolucji francuskiej?

Iris wzruszyła ramionami. Unikała wzroku Alistaira.

- Przypiekano im stopy od spodu - ciągnął młody człowiek. - I wtedy, cóż, rzeczywiście mogło im być naprawdę gorąco, nie to, co tutaj. A na koniec ścinano im głowy.

Iris cofnęła się przestraszona, ale po chwili jej natura wzięła górę.

- Nie ma pan prawa mi grozić! - pisnęła, prostując się na całą swoją wysokość. - A jeśli mi pan utnie głowę, ja... ja poskarżę się panu Brave'owi!

Dzieci początkowo stały oniemiałe z powodu jej bezczelności, potem jednak wszyscy ryknęli śmiechem.

- Jeśli tak się stanie - mruknął pod nosem Ayden - musiałyby być jak te kury, które

biegają jeszcze po ucięciu im głów... Jestem pewien, że naprawdę mogłaby pójść się poskarżyć do Cumides Circle, nawet gdyby ktoś pozbawił ją głowy!

Przestali na nią zwracać uwagę i grupa znowu ruszyła naprzód. Iris bała się, że zostanie sama na środku tej nieznannej równiny, nie miała zatem innego wyboru, musiała zapomnieć o swoich pretensjach i iść dalej. Alistairowi, który obserwował dzieci kątem oka, zrobiło się jej nieco żal:

- Jeśli jest ci za gorąco, owiń się peleryną. Ma właściwości termoregulacyjne i pomoże ci utrzymać normalną temperaturę.

Moss zarzucił tylko pelerynę na ramiona, rozpiął za to koszulę, mając nadzieję, że zrobi wrażenie na dziewczynach swoimi mięśniami. Sally, która od początku nie zwracała na Mossa najmniejszej uwagi, nawet na niego nie spojrziała. Natomiast Iris rzuciła mu surowo:

- Naprawdę musisz się tak rozpinąć? Uważam, że to po prostu niesmaczne, obrzydliwy widok! Zapnij się z powrotem!

Moss przeżuł tylko trochę bardziej energicznie gumę. Był nieco urażony. Po raz pierwszy Iris i jej kaprysy wydały się Oskarowi niemal sympatyczne.

Alistair miał rację, szli już niemal godzinę, a wydawało się im, że kanion jest równie odległy jak wcześniej. Mieli już teraz jednak pewność, że jest niewyobraźalnie olbrzymi. Ledwo mogli dostrzec boczne krańce, a szczyt wydawał się pożerać niebo. Im bardziej się zbliżali, tym wyżej musieli podnosić głowy. Byli pod tak wielkim wrażeniem, zapanowało wśród nich milczenie. Wydawało im się, że to bezustannie rosnący, kamienny mur, który zapadł się pośrodku. Żeby przejść na drugą stronę, trzeba było zapewne skorzystać ze szczeliny. Nie wyglądała zbyt zachęcająco.

Usłyszeli dziwne dźwięki, które mocno ich zaniepokoiły.

Najpierw było to dalekie pogwizdywanie wiatru, które niebawem zmieniło się w dziki ryk. Wicher wdzierał się do kanionu, szalał między skalistymi ścianami i wydawało się, że umykał potem z wrzaskiem przerażenia.

- Teraz już rozumiecie, skąd się bierze nazwa tego miejsca - powiedział Alistair, który musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć wycie wiatru. - To kanion Tchawicy, inaczej Wielki Kanion, nazywany też często Wyjąłym Kanionem. Robi największe wrażenie, prawda?

- Największe wrażenie? - zdziwił się Oskar. - Dlaczego pan tak mówi, są jeszcze inne?

- Nieco dalej, stary! - zawołał Alistair. - Nieco dalej... No, odwagi, już prawie jesteśmy na miejscu.

Im bardziej się zbliżali, tym więcej plam dostrzegali na powierzchni skał. Wierzchołki szczytów były poszarpane, ściany pocięte szczelinami, a u stóp gór leżało sporo głazów, które musiały się oderwać i spaść.

W końcu stanęli przed wejściem do wąwozu. Dzieci skupiły się wokół swojego przewodnika.

- Przypomina mi to stary łańcuch górski, przez który przeszło trzęsienie ziemi - zauważył Ayden.

- Słuszna uwaga! - powiedział Alistair. - Leonid jest starszym panem, który niespecjalnie dbał o swoje zdrowie.

Iris zrobiła minę, jak gdyby ktoś ją zmuszał, aby włożyła rękę do torby pełnej lepkich ślimaków.

- A dlaczego nie wybrał pan na tę wyprawę kogoś w lepszej formie?

- Dlatego że musicie poznawać również te ciężkie przypadki i uczyć się, jak sobie dawać radę w trudnych sytuacjach. W drogę!

Weszli w wąski przesmyk gęsiego. Jedynie Moss od czasu do czasu wskakiwał na skały i poruszał się inną ścieżką niż reszta grupy. Oskar szedł na samym końcu, mając na oku Aydena, który maszerował tuż przed nim, mocno zdyszany i znużony. Popatrzył w górę - on sam także czuł się przytłoczony, jak gdyby niekończące się, niebotyczne ściany napierały na niego z obu stron i brały go w kleszcze. Na domiar złego w wielu miejscach sączyła się dziwna, biaława substancja, która niekiedy przybierała kolor zielonkawy lub brązowy. Pani Withers mówiła Oskarowi o tych okolicach, wiedział zatem, że pierwsze z Dwóch Królestw to płuca Leonida, które nie były w najlepszym stanie. Nietrudno mu było się domyślić, czym była substancja cieknąca ze ścian Wielkiego Kanionu...

Posuwali się do przodu bardzo powoli. Słońce było w zenicie i żar spływał na ich głowy, ciężki jak ołów. Ściekały z nich wielkie krople potu, mimo że chronili się pod pelerynami. Alistair badał uważnym wzrokiem szczeliny w ścianach kanionu i ostrożnie wybierał drogę, unikając miejsc, gdzie skały wydawały się już zanadto kruche.

Zaliczyli kilka upadków, zadrapań, mało groźne siniaki - wydostali się w końcu z kanionu cali i zdrowi, chociaż zmęczeni i przede wszystkim bardzo spragnieni. Przed nimi widać było niezliczone wąwozy, podobne do tego, z którego właśnie wyszli, ale dużo mniejsze. Co prawda Alistair uprzedzał ich o tym, ale widok był przerażający.

- Będziemy musieli przez nie przejść? - zapytał Oskar bez entuzjazmu.

- Nie przez wszystkie, nie martwcie się! - uspokoił ich Alistair. - Wystarczy nam jeden z nich, wybierzemy najbliższy. I tak wszystkie prowadzą w tym samym kierunku. Odpocznijcie trochę, potrzebujecie tego chyba...

Wszyscy usiedli - a raczej osunęli się na pylistą ziemię, z wyjątkiem Iris, która przycupnęła na ocienionej skale, starannie układając swoją plisowaną spódniczkę - a Alistair puścił w obieg manierkę.

- Mam swoją! - powiedziała Iris. - To niezdrowo, kiedy wiele osób pije po kolei z tej samej manierki! - stwierdziła, obrzucając kolegów podejrzliwym spojrzeniem.

Oskar i Sally już mieli coś na to odpowiedzieć, kiedy wszyscy poczuli wstrząs. Poderwali się na równe nogi. Ayden nieomal upadł, Sally, pozornie mocno się trzymająca na swoich umięśnionych nogach, zatoczyła się i w ostatniej chwili odzyskała równowagę, podobnie jak Moss. Iris wyprostowała się, jak gdyby miała zamontowane resory, i rozejrzała się dookoła. Przypominała czającego się lemura.

- To było jakby trzęsienie ziemi! - zaniepokoił się Ayden.

- Mówiłam panu! - upierała się Iris. - Źle pan wybrał cel naszej wyprawy...

Oskar podszedł bliżej do Alistaira.

- Co to było?

Młody człowiek pokręcił głową.

- Mam niejasne wrażenie, że nasz przyjaciel Leonid traci cierpliwość...

Po godzinie spędzonej w fotelu Leonid poczuł, że czas zaczyna mu się dłużyć. Kiedy zgodził się, by Medykusi dokonywali Introdukcji w jego organizmie, jego syn oznajmił mu bardzo stanowczo:

- Tato, jeśli uważasz, że nie dasz rady usiedzieć spokojnie przez kilka godzin, po prostu o tym powiedz!

- Za kogo mnie masz? - uniósł się Leonid. Chyba wiesz, że jestem wyjątkowo cierpliwym człowiekiem!

Leonard powstrzymał się przed komentarzem, uśmiechnął się tylko.

- A poza tym dałem przecież swoje słowo - wykrzykiwał jego ojciec, miotając się na wszystkie strony na samą myśl o tym, że będzie musiał usiedzieć bez ruchu dłużej niż dziesięć minut. - Powiedziałem wyraźnie, że te dzieciaki będą mogły pospacerować sobie po moim organizmie, w związku z tym zrobią to i basta! I dosyć już, ani słowa o tym!

Jednakże słowa - to jedno, a czyny - to czasem zupełnie co innego. Pomimo całej swojej dobrej woli Leonid miał jednak dosyć krótką pamięć i stracił cierpliwość. Poza tym rozboleły go plecy. Wyjątkowo przyznał rację swemu lekarzowi, który doradzał mu więcej ruchu: „Trochę ćwiczeń, panie Smith - mówił. - Trochę codziennych ćwiczeń, a poczuje się pan jak nowo narodzony. Zwłaszcza jeśli... nie jest pan w stanie porzucić swoich innych codziennych zajęć” - dodał lekarz, zerkając na butelkę whisky i na popielniczkę pełną niedopałków.

Wtedy Leonid wzruszał ramionami. „Panie doktorze, w sporcie bywa podobnie. Nie należy wymieniać członków ekipy, która wygrywa!”.

Jednak tego właśnie dnia Leonid przypomniał sobie, co było dla niego wygodniejsze: dlaczego by nie połączyć przyjemnego z pożytecznym?

Wyszedł rozprostować nogi do ogrodu. Sprawdził, czy na każdym krzaku róż jest taka sama liczba kwiatów (zdążył już zwolnić trzech ogrodników, którzy nie pilnowali tej prawidłowości), na szczęście jednak dla Alistaira i jego podopiecznych szybko wrócił do

domu, mocno zdyszany. Opadł na ten sam fotel, zawahał się przez chwilę, a potem wyprostował się i sięgnął po inkrustowane, drewniane pudełko, stojące w pobliżu na niskim stoliku. Wyjął z niego wielkie cygaro i starannie obciął końcówkę. Podniósł je do ust i zapalił zapałkę.

- Kilka pyknięć doskonałej cohiby - powiedział, a jego spojrzenie błysnęło z rozkoszy - jeszcze nikomu nie zaszkodziło...

Kiedy tylko ustały wstrząsy, Alistair popędził grupę. Znał obyczaje Leonida. Jeśli zaczynał się kręcić, nie zapowiadało to niczego dobrego dla żadnego Medykusa we wnętrzu jego ciała.

- No, dzieci, dalej, nie ociągajcie się! - powiedział nieco nerwowym tonem. - Dobrze by było, gdybyśmy jak najszybciej przeszli na drugą stronę kanionu. Ta droga nie jest już taka trudna, ale dosyć długa.

A jednak chwilę później sam zatrzymał grupę. Podniósł głowę i wciągnął z namysłem powietrze. Cofnął się nieco, a wzrok wbił w północny horyzont. W tym samym momencie nie wiadomo skąd pojawiła się wielka gromada mężczyzn ubranych na niebiesko; przypominali mrówki, które wyłoniły się z podziemnych korytarzy. Mieli na sobie rękawice i trzymali owe dziwaczne pręty. Jeden, wyglądający na dowódcę, rozstawił ich w kilku szeregach. Następnie wsiadł do małego samochodu terenowego i ruszył szybko w stronę ich grupy.

Alistair rzucił w stronę dzieci:

- Nie ruszajcie się, rozumiano?

W jego głosie dawało się wyczuć napięcie. Nikomu nie przyszło do głowy, by

zlekceważyć jego polecenie. Alistair ruszył na spotkanie człowieka jadącego samochodem, który wydawał się mu znajomy.

- Co pan tu robi, Alistairze? I co to za dzieci? - spytał szybko, nie tracąc czasu na powitania, rzuciwszy okiem w stronę dzieci.

- To grupa młodych Medykusów, Gildasie. Przybyli tu, by zdobyć swoje Trofea z Dwóch Królestw. Co się dzieje?

Wycie przeciwstawnych wiatrów w kanionie wzmogło się.

- Pyta pan, co się dzieje? - krzyknął dowódca oddziału.

Odwrócił się w stronę ciemniejącego horyzontu i wskazał na brunatną chmurę, która szybko nadciągała prosto w ich stronę.

- Chyba nie trzeba komentarza, co? - dodał, zawracając swoim samochodem. - Szybko, niech pan znajdzie schronienie dla dzieciaków, jeśli pan chce, żeby przeżyły.

Alistair nie potrzebował szczegółowych wyjaśnień - zbliżające się nad równiną tornado nie budziło najmniejszych wątpliwości co do tego, czym zajmował się teraz Leonid. Już za chwilę chmura dymu sprawi, że nie będzie czym oddychać. Dlaczego nie zadał sobie trudu, żeby przypomnieć podstawowe zasady bezpieczeństwa starszemu panu, który był na bakier z dyscypliną? Wziął nogi za pas i pobiegł w stronę dzieci.

Iris wyszła mu na spotkanie z rękami opartymi na biodrach.

- Nie powinien nas pan tak zostawiać, panie McCooley, to bardzo nierozważne i zupełnie mi się nie podoba, że...

- Ustawcie się w koło! - wrzasnął Alistair, nie poświęcając jej ani chwili uwagi. -

Wszyscy klękajcie! Róbcie szybko, co wam każę, bez dyskusji!

Spojrzał znowu w kierunku wirującej trąby powietrznej, która unosiła ze sobą ziemię i wszystko, co spotkała na swojej drodze. Ludzie z oddziału ustawili się przed kanionem, jak gdyby chcieli go strzec. Nałożyli maski ochronne na twarze i wyjęli swoją broń. Pręty rozłożyły się na kształt wachlarza i zaczęły niezwykle szybko wirować w powietrzu, wzbudzając silny prąd wiatru, przeciwnego w stosunku do zbliżającego się huraganu.

Dzieci wpatrzyły się pytającym wzrokiem w swojego przewodnika. Ich los był w jego rękach i trzeba było działać szybko. Bardzo szybko.

- Niech każde z was weźmie do rąk poły peleryny! Rozłóżcie potem ręce na tyle szeroko, by dotknąć rąk sąsiada.

Przerażone dzieci usłuchały bez słowa protestu. Przestrzeń wokół nich zawładnęła woń smoły, zaczęli kasłać, skupili się jednak na poleceniu Alistaira. Rozłożone peleryny uformowały nad nimi coś w rodzaju namiotu.

- Powtarzajcie za mną:

Peleryny nas kryją

Jak skorupa goła,

Unikamy zagrożeń,

Nie stawiając im czoła.

Mówili jednym głosem, a ich peleryny połączyły się w jedną wielką całość przypominającą szczelne igloo. Dzieci, pogrążone w najgłębszych ciemnościach, czuły, jak przesuwa się nad nimi parząca fala dymu. Wydawało się to trwać w nieskończoność. Oskar, skulony w kłębek podobnie jak jego towarzysze, otworzył oczy i uniosł lekko skrawek peleryny. Do środka wdarł się podmuch nieznośnie smrodliwego powietrza, zaczął się dusić. Przerażony, starał się zasłonić jakoś dziurę, na próżno jednak, i całą grupę chwycił za gardło dławiący smród. Młody Medykus rzucił błagalne spojrzenie w stronę Alistaira.

Ten wyciągnął swój medalion. Wypowiedział zaklęcie, którego nikt nie mógł dosłyszeć poprzez wycie wichru i z powodu wirującego przed nimi tornada dymu. Z jego Litery wydobyła się lekka mgła, przefrunęła pod pelerynami i skupiła się wokół szpary, którą niechcący zrobił Oskar. Poła jego peleryny wciąż się rozwijała, aż zasłoniła ten otwór i dym przestał wlatywać do środka.

Dzieciom wydawało się, że minęło wiele godzin, zanim peleryny zmiękły i opadły im z powrotem na ramiona, a Alistair kazał wszystkim wstać.

Młody człowiek wyprostował się i rozejrzał dookoła. Ziemia wokół zasłana była różnymi odpadkami; przypominało to martwy las. Ziemię pokrywały plamy brunatnego pyłu, a wszędzie pełno było oderwanych od skał kamieni, które wiatr toczył to w jedną, to w drugą stronę. Oddział pracowników był teraz już tylko bezładną grupą śmiertelnie zmęczonych ludzi. Ich pręty były powykręcane, spalone, niektóre połamały się na kawałki. Ich dowódca nakazał im się ustawić w bardziej uporządkowanym szeregu i ruszyli powolnym krokiem, by zniknąć za skalnymi pierzejami Wielkiego Kanionu, za plecami dzieci.

Alistair zwrócił się do grupy podopiecznych, którzy stracili mowę na widok tych zniszczeń.

- Widzicie sami, czasami wcale nie potrzebujemy Patologusa, żeby sobie zrobić krzywdę... Niestety Leonid być może nie poprzestanie na tym jednym cygarze. Dlatego musimy szybko ruszać w dalszą drogę, jeśli jesteśmy w komplecie...

W tym momencie Alistair zamarł.

- Gdzie jest piąty Medykus? Gdzie jest Moss? - zapytał.

Wszyscy zaczęli się rozglądać dookoła, ale nie było widać nawet śladu chłopca.

Alistair mocno się zdenerwował.

- Szlag by to trafił, wiedziałem, że będzie trudno was upilnować! Musimy znaleźć waszego kolegę, i to szybko!

Podniósł głowę. Niebo zasłaniały jeszcze brunatne chmury, jak gdyby wichur miał trudności z ich przegnaniem. Zwrócił się do Oskara:

- Nie mógł odejść zbyt daleko, z pewnością zagłębił się w jeden z tych trzech wąwozów. Pill i Flockhart, wy pójdziecie tym po lewej stronie, Spencer i Bunker - bierzecie ten po prawej, ja - ten po środku. I żeby wszystko było jasne - dodał z naciskiem - macie się nie ROZDZIELAĆ! Jeśli będziecie mieli jakiegokolwiek kłopoty, wycofajcie się i czekajcie na mnie przed wejściem do kanionu. Jeśli nic takiego się nie zdarzy, spotkamy się po drugiej stronie. Zrozumieliście?

Oskar i Iris wymienili spojrzenia, w których z pewnością próżno by szukać entuzjazmu z powodu wspólnej wędrówki. Oskar przerwał ciszę:

- Dobra, idziemy.

Zatrzymała go ruchem ręki.

- Idziesz za mną! - oświadczyła stanowczo.

Oskar miał wątpliwości, czy wytrzyma jej rozkazujący sposób bycia dłużej niż kilka minut. Nie była to jednak właściwa chwila, żeby się czepiać, Iris sprawiała Alistairowi wystarczająco dużo kłopotu - nie zamierzał dokładać do tego swojej z nią kłótni. Pozwolił jej ruszyć przodem i pomachał do Aydena, który także szedł jako drugi, za Sally.

Kiedy tylko Iris weszła nieco głębiej do kanionu, stanęła z założonymi na piersi rękami i zaczęła przeraźliwie głośno krzyczeć:

- Moss, jeśli gdzieś tu jesteś, dosyć tego, wychodź! Nie mamy czasu cię szukać!

Oskar przyjrzał się jej, mocno zaskoczony. Nie wierzył własnym uszom. Musiała być strasznie głupia albo też zupełnie nie znała Mossa. Miał szczerą nadzieję, że w rachubę wchodził raczej ten drugi przypadek. Starał się ją uspokoić:

- Jeśli specjalnie się przed nami schował, mogę cię zapewnić, że nie wyjdzie ze swojej kryjówki...

Odwróciła się do niego, bardzo zdziwiona.

- Naprawdę tak sądzisz? Nawet kiedy usłyszysz moje polecenie?

Zrobiła jeszcze kilka kroków w głąb wąwozu i znalazła niewielkie wzniesienie, na które weszła. Wyprostowała się jeszcze bardziej i zaczęła krzyczeć w najlepsze:

- Moss, jeśli nie pojawisz się w ciągu dziesięciu sekund, powiem o wszystkim Wielkiemu Mistrzowi, uprzedzam cię!

Oskar został nieco w tyle i obserwował ją. Zbierało mu się na śmiech, chociaż sytuacja wcale nie była śmieszna. W pobliżu rozległ się hałas: kamyki spadły ze szczytów wąwozu, potoczyły się po zboczu i znieruchomiały nieopodal na ziemi. Tylko wiatr znowu wiał, to w jedną, to w drugą stronę, zgodnie z nieco zaburzonym rytmem oddechowym Leonida. Kilka chwil później zjawisko się powtórzyło, tym razem ze ściany stoczyły się liczne kamienie różnej wielkości. Oskar przyjrzał się dobrze szczytom wąwozu i dostrzegł kawałek zielonej tkaniny, który szybko zniknął mu z oczu. W tym samym miejscu, wzdłuż skały pojawiła się szybko rosnąca szczelina. Oskar zauważył jeszcze na górze wyciągniętą rękę z zaciśniętym w niej lśniącym medalionem. Z łatwością rozpoznał ten medalion i wtedy zobaczył, że na samej górze odrywa się ogromny blok skalny.

- Iris! - krzyknął chłopiec rozpaczliwie. - Uważaj! IRIS!!

Blok skalny spadał z ogłuszającym hukiem, aż runął na dno wąwozu. Oskar ukrył się w skalnym zagłębieniu, umykając przed gradem odprysków. Kiedy wysunął się z powrotem na ścieżkę, drogę zagrażdzało rumowisko, a Iris nigdzie nie było widać.

Usiłował wdrapać się na leżące na ścieżce skały, okazało się to jednak niemożliwe. Nie mógł przejść na drugą stronę.

Jeszcze wiele razy nawoływał, odpowiadało mu jednak tylko echo. Czy spadający blok zmiażdżył dziewczynkę? A może żyła jeszcze, uwięziona po drugiej stronie? Spojrzał w górę. Nie widział już jednak peleryny ani ręki z medalionem. Nie było widać żywej duszy.

Oskar, nie zwlekając, cofnął się do wyjścia z wąwozu. Zderzył się z Alistairem, który nadbiegł zaalarmowany hukiem spadających głazów.

- Co się stało? - spytał Alistair niespokojnie.

Oskar wyjaśnił mu sytuację w krótkich słowach i obaj zawrócili biegiem na miejsce wypadku.

- Wołałem, ale nie odezwała się... - jęknął Oskar, nie mogąc złapać tchu.

- IRIS! - zawołał Alistair. - Jeżeli mnie słyszysz, zdejmij pelerynę i spraw, by uniosła się w powietrze, wiesz przecież, jak to zrobić!

Obydwaj czekali bez ruchu, aż ponad skałą ukaże się peleryna. Mijały sekundy, które wydawały się nie mieć końca. Alistair już miał znowu krzyknąć, kiedy po drugiej stronie olbrzymiego bloku skalnego ukazał się skrawek zielonej tkaniny. Oskar odetchnął, Iris żyła!

- Ta skała jest za ciężka, żebyśmy ją przenieśli, to jasne... - myślał głośno Alistair, szukając rozwiązania.

- A może podzielimy ją na mniejsze części, używając medalionów? - zaproponował Oskar, pamiętając, w jaki sposób uratował Tillę od utonięcia.

- To zbyt niebezpieczne! - stwierdził Alistair. - Iris ugrzęzła być może pod jakimś głazem, moglibyśmy ją zranić.

Namyślał się przez krótką chwilę, w końcu chwycił Oskara za ramię. Chłopiec tymczasem chował już swój medalion.

- Pod ścianę, Oskarze! Pod ścianę!

Oskar posłał mu pytające spojrzenie, nie miał jednak czasu zapytać głośno.

- Rób to, co ja - zdecydował Alistair.

Wyciągnął swój medalion i posłużył się wysyłanym przezeń promieniem, kierował go jednak w stronę skalnego zbocza i uderzał w wielu punktach w zasięgu wzroku.

- Staraj się nie naruszać skały - powiedział do Oskara. - Potrzebne nam tylko maleńkie odpryski! Jeśli uda nam się odpowiednio podrażnić ten kanion oskrzelowy, Leonid zareaguje i uda nam się skłonić go, by zrobił to, czego potrzebujemy!

Oskar posłusznie zaczął strzelać promieniem ze swojego medalionu w wielu kierunkach, rażąc ścianę wąwozu w wielu miejscach.

- Ale co takiego chcemy osiągnąć i do czego mamy go nakłonić? - spytał chłopiec, chroniąc się przed rozbłyskami, które pojawiały się wszędzie wokół nich.

- Zastanów się, Oskarze: kiedy coś podrażni ci płuca, co wtedy robisz?

Leonid odsunął cygaro i położył dłoń na piersi: od kilku dobrych chwil czuł, że coś go bardzo nieprzyjemnie kłuje, a wręcz pali w piersiach, po przeciwnej stronie niż serce. Popatrzył podejrzliwie na cygaro: czyżby było złej jakości? Rzucił kilka niepochlebnych uwag na temat swojego dostawcy tytoniu i odłożył cohibę do popielniczki. Wciągnął głęboko powietrze, następnie je wypuścił. Nic nie pomagało, nadal czuł, że coś go pali. W końcu zrobił to, co zrobiłby każdy inny człowiek na jego miejscu - zaczerpnął tchu i zakasłał. I kasłał jeszcze długo, kasłał, jakby miał wykrztusić płuca.

Kiedy tylko poczuł wiatr, wpadający do kanionu, Alistair zrozumiał, że jego plan się powiódł.

- Udało się! - krzyknął uszczęśliwiony, podczas gdy tak samo silny wicher zaczął wiać z drugiej strony. - Świetna robota, Oskarze, Leonid nabrał sporo powietrza. Następnym razem uda się na pewno!

- Jak to „następnym razem się uda”?...

- Musisz się schronić - zawołał Alistair. - Kiedy Leonid znowu zakaszle, wiatr zmieni się w tornado i uniesie tę skałę! Szybko, tędy!

Wskazał chłopcu zagłębienie w skalnej ścianie i popchnął go energicznie w tym kierunku. W tym samym momencie do kanionu wpadła niezwykle silna fala wicheru i starła się ze skalnym blokiem zagrażającym drogę - jeden raz, drugi, a końcu trzeci. I za trzecim razem udało się, skalny blok uniósł się niemal w powietrze i opadł przed nimi w dziesiątkach mniejszych odłamków. Olbrzymie głazy toczyły się we wszystkich możliwych kierunkach.

Kiedy przeciwstawne wiatry wiejące zgodnie z rytmem oddechowym Leonida nieco się uspokoiły, obydwaj Medykusi wyszli ze swojego schronienia.

Iris siedziała na głazie wśród roztrzaskanych skał, otoczona chmurą pyłu, i masowała sobie kostkę. Wokół niej widać było także zatrzęsienie kleistej wielobarwnej substancji.

- Mówiłam panu przecież, że to niebezpieczna wyprawa! - wychrypiąca, od stóp do głów pokryta galaretowatą mazią. - Nie mogę zrobić kroku, na pewno złamałam nogę!

- Jaka szkoda, że nie język! - mruknął pod nosem Oskar.

- O nie, moje śliczne ubranie! Kompletnie zniszczone! - jęczała dziewczynka, wygładzając dłonią sweterek i plisowaną spódnicę.

- Śliczne ubranie? - zastanawiał się głośno Oskar. - Jakie „śliczne ubranie”?

- Jak widać, brak ci gustu, więc lepiej się nie odzywaj! - syknęła Iris, której wypadek nie pozbawił chęci rozstawiania wszystkich po kątach.

Alistair podszedł do niej szybko i pobieżnie ją zbadał.

- Nie sędę, żeby noga była złamana - powiedział. - Najwyżej lekko skręcona.
Spróbuj na niej stanąć.

Pomógł jej się bardzo ostrożnie podnieść i wziął ją na ręce.

- Powoli! - łkała Iris. - Nie znoszę, kiedy coś mnie boli!

- A znasz takich, co to lubią?

- Nie wiem, ale na pewno znam takich, którzy lubią, kiedy innych coś boli! -
powiedziała Iris, patrząc krzywo w stronę Alistaira.

Cofnęli się w końcu i spotkali Aydena z Sally, którzy także zawrócili w chwili, gdy
pojawiło się tornado.

- No nareszcie, jesteście w końcu! - powiedział głos za ich plecami.

Wszyscy się odwrócili. Moss stał, znudzony, z miną, jakby czekał na nich od wielu
godzin. Alistair wypuścił z rąk „ciężko ranną” Iris, która opadła na ziemię bezwładnie jak
worek kartofli i nie zwracając uwagi na jej jęki, rzucił się w stronę Mossa.

- Gdzie ty byłeś?! - wrzasnął młody człowiek, łapiąc Mossa za kołnierz. - Kto ci
pozwolił oddalać się od grupy?

Moss gwałtownym ruchem uwolnił się z uścisku. Widać było, że w ostatniej chwili
pohamował się, by nie odpowiedzieć brutalniej, powstrzymało go jednak widoczne
zdenerwowanie Alistaira. Popatrzył na niego z wyższością.

- Nie przestawaliście się trząść pod tymi waszymi pelerynami, kiedy przeszła chmura dymu... Wolałem pójść naprzód.

Oskar stracił cierpliwość i krzyknął z wściekłością:

- Kłamiesz! Wdrapałeś się na szczyt kanionu i posłużyłeś się medalionem, żeby rzucić na Iris i na mnie ten blok skalny!

Moss zaczął chichotać.

- Gadasz bzdury, Pill. Masz na to dowody?

- Tak czy inaczej - uciął Alistair - zabroniłem ci się samodzielnie oddalać!

- Moim opiekunem jest Fletcher Worm, nie pan! - odpowiedział Moss pogardliwym tonem.

Alistair zrobił się czerwony. Wściekłość sprawiła, że zmienił się na twarzy i Moss cofnął się, zaniepokojony.

- Posłuchaj uważnie, Moss, bo już nigdy więcej nie będę ci tego powtarzał: to ja tutaj decyduję o wszystkim i mam prawo zabraniać ci różnych rzeczy, a ty jesteś tylko małym, pretensjonalnym debiutantem, który nie ma nic do powiedzenia! Możesz się tylko słuchać! Zrozumiano?

Moss milczał.

- Powtarzam: zrozumiano?

Moss w końcu pokiwał głową.

- Jeszcze raz powiesz coś złośliwego albo zachowasz się nieodpowiednio, a obiecuję ci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś wrócił do siebie i abyś nigdy więcej nie miał prawa przeniknąć do Uniwersów ludzkiego ciała.

Nikt z grupy nie odezwał się ani słowem w czasie przemowy Alistaira. Nawet Iris przestała się uskarżać. Moss odczekał, aż nawałnica minie, i zbliżył się do Oskara.

- Pomyliłeś się, Pill - powiedział szeptem. - Nie chciałem wcale zabić tej idiotki: to miałeś być ty, ty i nikt inny. Może następnym razem...

Oskar wytrzymał jego jadowite spojrzenie. Wiedział, że chłopak szuka okazji do konfrontacji. Nie miał wyboru, będzie się musiał bić we własnej obronie. Zrozumiał, że wypowiedziano mu wojnę.

W tym czasie ich przewodnik rozglądał się uważnie dookoła, aż wreszcie wskazał palcem w pewnym kierunku. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę - tornado wyłobilo na ścianie najbliższego skalnego kanionu wóz, który był im już teraz dobrze znany. Opleciony węzem kielich, a nad nim duża litera M.

- No cóż - powiedział Alistair, pomagając wstać Iris. - Sądzę, że wszyscy jesteśmy zgodni co do jednego: pora wracać.

LUKI W PAMIĘCI

Oskar! Oskar, gdzie jesteś, chłopcze? Obiad gotowy!

Cherie wyszła do ogrodu, z rękami opartymi o biodra.

- Kurczak stygnie!

Odpowiedziały jej tylko ptaki i delikatny szmer fontanny ukrytej wśród krzewów. Poddała się i wróciła do kuchni.

Dopiero wtedy rosnący w pobliżu olbrzymi dąb rozsunał swoje gałęzie. Młody Medykus, siedzący na jednej z nich, nachylił się w stronę drzewa.

- W porządku, już poszła! - powiedział i dreszcz go przeszył na samą myśl o tym, jakie to danie z kurczaka przyrządziła Cherie. - Mogę już zejść na dół.

Drzewo pochyliło się łagodnie i gałąź dotknęła ziemi. Oskar zeskoczył na trawę.

- Dzięki, Zizou. Uratowałeś mi życie!

- Życie jest nieustającą walką, zawsze i wszędzie!

Podskoczył i rozejrzał się uważnie: skąd dochodził ten znajomy głos?

- Popatrz w górę, Oskarze.

Oskar podniósł wzrok. Na jednej z wyższych gałęzi siedział Alistair i obserwował go z szerokim uśmiechem. Gałąź pochyliła się i młody człowiek wylądował na ziemi.

- Coś mi się wydaje, że mamy wspólnych przyjaciół - powiedział.

Puścił oko do Zizou i przyjaźnie poklepał pień drzewa.

- To moje ulubione miejsce w Cumides Circle. Na szczycie Zizou można się poczuć całkowicie bezpiecznie, a poza tym to świetny, strategiczny punkt obserwacyjny! Wydaje mi się, że niewiele osób cieszy się tym przywilejem.

Podszedł do Oskara i potargał mu włosy. Pomimo dzielących ich lat, łączyły ich podobieństwa: niezbyt pedantyczny wygląd, zamiłowanie do przygód, buntowniczy charakter i podobnie potargane czupryny, chociaż Alistair miał włosy ciemne, a Oskar - rude.

- No cóż, kolego, jak twoje wrażenia po pierwszej wyprawie do drugiego Uniwersum?

Oskar wzruszył ramionami.

- Uniwersum jest w porządku, tylko...

Zawahał się, a Alistair dokończył:

- ... tylko niezbyt cenisz sobie niektórych kolegów, którzy tam się z nami wybrali dziś rano, prawda?

Pochylił się i dodał poufnym tonem:

- Jeśli mam być szczery, wolałbym być na tej wyprawie tylko z tobą. Jestem pewien, że we dwóch już byśmy wrócili z pierwszą partią twojego Trofeum. Ale przyszły ciężkie czasy, bardzo niespokojne. Musicie zdobywać nowe doświadczenia jednocześnie, żebyście już niedługo mogli nam pomagać. Wiesz, niewielu nas zostało, a niektórzy Medykusi nie umieją nawet dokonać Introdukcji Cieleśnej! Szybciej pójdzie, gdy będziecie działać w grupie.

Oskar pokiwał głową. Wiedział oczywiście podobnie jak wszyscy inni, że od czasu gdy Czarny Książę wymknął się z więzienia, Wielki Mistrz Medykusów zarządził stan gotowości bojowej. Zawiadomił Medykusów na całym świecie, że trzeba pilnie zreorganizować się i ćwiczyć. Rodzice mieli też możliwie jak najszybciej zachęcić młodzież do nauki i trenować młodych, niedoświadczonych Medykusów, takich jak on.

Ojciec Oskara nie żył, jego matka nie była Medykusem, w związku z tym zajęła się nim pani Withers. Od tamtej pory Książę Patologusów najprawdopodobniej jeszcze nie dał o sobie znać, jednak zarówno Winston Brave, jak i pozostali członkowie Rady Najwyższej nie mieli żadnych złudzeń. Ich wróg z pewnością prędzej czy później zaatakuje i trzeba się do tego przygotować.

- Hej, przyjacielu, czuję, że w głowie kłębi ci się milion myśli - powiedział Alistair, dotykając czoła Oskara czubkiem palca. - A niektóre z tych myśli nie są specjalnie radosne, nie myślę się?

Wstał i spojrzał w stronę ogrodu.

- Może przespacerujemy się trochę? Co prawda wolę dzikie zakątki od tego trawnika, idealnie wystrzyżonego przez naszego przyjaciela Bonesa, ale w ten sposób będziemy mieli trochę spokoju.

Oskar chętnie się na to zgodził. Jemu także Alistair wydawał się pod każdym względem bardzo bliski, zwłaszcza w takie dni jak ten, kiedy młody człowiek znowu był w świetnej formie, pełen życia i dobrego humoru.

Weszli w alejkę obsadzoną różami i znaleźli ławkę w cieniu altanki.

- Przede wszystkim gratuluję ci odwagi, Oskarze - ciągnął Alistair. - Dzięki tobie Iris wyszła z tej przygody w miarę bez szwanku. Oczywiście na twoim miejscu nie oczekiwałbym, że rzuci ci się na szyję z wdzięczności...

- To nie jest najważniejsze - powiedział szybko Oskar. - Wcale mi na tym tak bardzo nie zależy!

Alistair roześmiał się.

- Rozumiem cię doskonale: prędzej skrzyczałaby cię albo zapowiedziała, że komuś się na ciebie poskarży! Ale wiesz, wydaje mi się, że ona tak naprawdę ma całkiem dobry charakter...

Oskar zastanawiał się przez chwilę. Iris i dobry charakter? Bardzo w to wątpił.

- Powiedzmy, że nie jest gorsza od Mossa - stwierdził w końcu.

- Nie martw się Mossem. Będę go miał na oku, nic ci nie grozi.

- Nie boję się go! - powiedział Oskar z dumą. - Poza tym jestem przyzwyczajony, chodzimy do jednej klasy.

- No to wszystko w porządku! - ucieszył się Alistair. - Jeśli chodzi o ciebie, nie mam obaw, wiem, skąd pochodzisz! - dodał znacząco.

Uśmiechnął się szeroko i trącił chłopca lekko łokciem.

- Mówiono mi, że twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Jestem pewien, że mógł przewietrzyć i odkurzyć cały nasz Zakon! - zapalił się, jak zawsze gotowy do rewolucyjnych czynów.

Oskar nic na to nie odpowiedział. Wsunął tylko rękę do kieszeni i dotknął małego albumu ze zdjęciami, który nosił teraz ze sobą niemal bez przerwy.

- Podziwiam Winstona Brave'a i oczywiście bardzo lubię panią Withers - ciągnął Alistair. - Ale twój ojciec był młody, pełen energii...

Przerwał i zerknął na Oskara. Pojął, że zachował się nieco niezręcznie.

- Wyobrażam sobie, że jeśli brakuje go innym Medykusom, to co dopiero mówić o

tobie. Wybacz mi, Oskarze.

Chłopiec uśmiechnął się do niego z odrobiną smutku; nie miał za złe Alistairowi tego, co powiedział. Wręcz przeciwnie, doceniał, że rozmawiał z nim całkiem szczerze, traktował go jak kogoś dorosłego. A poza tym był szczęśliwy, słysząc, że Medykus mówi z takim podziwem o jego ojcu. Jakże odległe wydawało się miano „zdrajcy”, które przyczepiło się do Vitalego Pilla.

- Wiesz, można dorastać bez ojca i mimo to stać się kimś wartościowym - dodał młody człowiek. - Wiem coś o tym.

Oskar popatrzył na niego.

- A pan znał swojego ojca?

Alistair zawahał się. W jego pamięci przesunęły się ponure obrazy. Starszy pan, którego w ostatniej fazie jego życia widywał w szpitalu dla osób psychicznie chorych i który najczęściej nie rozpoznawał odwiedzającego go syna...

- Tak. Myślę jednak, że w czasach tuż przed jego śmiercią wolałbym widywać go nieco rzadziej... - odparł Alistair.

- Widywać go rzadziej? - zdziwił się Oskar. - Ja chciałbym zobaczyć swojego ojca choćby jeden, jedyny raz.

Alistair uśmiechnął się.

- Masz rację. Mówię głupstwa. Nigdy dosyć spotkań z tymi, których kochamy.

Oskar ścisnął mocniej album ze zdjęciami w kieszeni. Postanowił skorzystać z okazji.

- Odkąd powiedział mi pan o Szmaragdowej Tablicy, pomyślałem, że i mnie mogłoby się to przydarzyć...

Młody człowiek wyprostował się nagle, zaskoczony.

- O czym ty mówisz?

- No jak to? O Szmaragdowej Tablicy i o Uniwersalnym Panaceum, które przywraca ludziom życie! Wierzę, że to możliwe! - zawołał Oskar, pełen nadziei.

- Kto ci o tym opowiadał, Oskarze? - zapytał Alistair. Wydawało się, że obudził się ze snu.

- Ależ... pan sam mi o tym mówił!

Alistair popatrzył na niego przenikliwie. Był zdenerwowany, zdawał się wręcz obrażony.

- Posłuchaj mnie uważnie. Nie wiem, skąd ci się wzięły te historyjki o Tablicy i o Panaceum, ale przede wszystkim chciałbym, żebyś powiedział mi prawdę. Nie można być czyimś przyjacielem, jeśli się tego kogoś okłamuje.

Oskar poderwał się z ławki, czuł się zraniony.

- Mówię prawdę! Nie pamięta pan tej rozmowy? To było tego dnia, kiedy przyszedł pan po mnie do szkoły, w Babylon Heights!

Alistair także się podniósł. Przyłożył na chwilę ręce do skroni, później się otrząsnął.

- Chciałbym wierzyć, że nie kłamiesz, wydaje mi się jednak, że trochę konfabulujesz, opowiadasz sobie bajeczki. Zapomnę, że mi to powiedziałeś, ale ty także o tym zapomnij.

Oskar był rozczarowany. Nie mógł pojąć, dlaczego Alistair nie ma do niego zaufania. Nie śniło mu się to przecież. To on, Alistair i nikt inny, zaczął rozmowę na ten temat, i to on opowiadał chłopcu o Tablicy!

- Zapomnij lepiej o tej całej sprawie z Tablicą i przywoływaniem zmarłych do życia, Oskarze - ciągnął Alistair. - To tajemne, nieprawdopodobne historyjki, które nie dotyczą nas, Medykusów. Opowieści dziwnej treści i tyle. Taka Tablica nigdy nie istniała, koniec, kropka. Ci, którzy uwierzyli w jej istnienie, opalili sobie skrzydła, Oskarze...

Oskar milczał. Czuł, że dalsza dyskusja pogorszy tylko sytuację. Przypomniał sobie wydarzenia ostatnich dni: wypadek, któremu uległ Alistair... Badania nie wykazały niczego niepokojącego, ale jak można mieć pewność, że ten szok nie wpłynął na jego pamięć? W tym samym momencie napłynęło wspomnienie dziwnej sceny, której dzieci były świadkami u Leonida. Czyżby Leonid miał rację? Kto wie? Może Alistair cierpiał na tę samą przypadłość, co jego ojciec, i po prostu zapomniał o całej rozmowie z Oskarem?

Doszedł do wniosku, że lepiej się nie upierać, nie zamierzał jednak rezygnować z tematu. Był zdecydowany, bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Alistair złagodniał i wziął go pod ramię.

- Wiem, co czujesz, czyjaś nieobecność może być bardzo bolesna. Ale teraz masz przecież starszego brata! - dodał z szerokim uśmiechem. - To może nie to samo, co ojciec, ale to już coś, prawda?

Oskar uśmiechnął się i pokiwał głową. Wydawało się, że młody człowiek zapomniał już o niedawnej irytacji.

- Świetnie! - zawołał Alistair, weselszy niż kiedykolwiek. - Nie oddalaj się zanadto,

my dwaj mamy jeszcze to i owo do zrobienia. Muszę ci przedstawić pewną niezwykle ważną osobę - dodał z wesołą i nieco tajemniczą miną.

Oskar śledził go wzrokiem, zaintrygowany jego obietnicą. Nie zapominał jednak o priorytetach. On także miał jeszcze coś do zrobienia i wiedział, czym się zajmie, kiedy tylko znajdzie kilka wolnych chwil...

ODKRYCIE JULII

Bones wszedł na pierwsze piętro. Przejechał dłonią po poręczy, obejrzał ją uważnie, zadowolony, iż nie dojrzał najmniejszego pyłku kurzu na rękawiczce. Chwilę wcześniej młody Pill, McCoolley i cała jego grupa ruszyli na jedną z tych wypraw, których Bones wcale im nie zazdrościł. W domu znowu zapanowały spokój i cisza, które tak sobie cenili.

Odkąd dowiedział się o rychłym powrocie młodego Medykusa do Cumides Circle, był zirytowany. Nie dlatego, że darzył chłopca niechęcią: wręcz przeciwnie, to Oskar uratował go rok wcześniej od niemal pewnej śmierci i Bones był mu za to bardzo wdzięczny. Chłopak był zdolny, pan Brave bardzo go cenił, fakt ten był dla Bonesa najlepszą na świecie rekomendacją. Dobrze jednak pamiętał minione wydarzenia. Wystarczyło tylko, że o nich pomyślał, i już zaczynał się denerwować, a to zdecydowanie przykry stan dla angielskiego majordomusa. Już samo tylko nazwisko chłopaka wywoływało w tym domu niemal huragan, tymczasem on, Bones, starał się za wszelką cenę zachować absolutny spokój. Poza tym warto pamiętać o tym, że ojciec małego, Vitali Pill, też zachowywał się jak prawdziwy bohater, zanim zaczął popierać tę drugą stronę. Któż może przewidzieć, co się stanie w przyszłości i jakie są prawdziwe skłonności chłopca? Nie, nie miał nic konkretnego przeciwko niemu, ale co by się działo, wolał go zawsze mieć na oku.

Tego właśnie poranka, pod nieobecność młodego Medykusa, zamierzał wykorzystać

chwilę spokoju i zrobić obchód domu, upewniając się, że każdy mebel, bibelot, obraz, każdy najmniejszy gwóźdź jest na swoim miejscu w takim stanie, w jakim on je zostawił, w każdym pokoju i w każdym zakamarku. Pragnął się przekonać naocznie, że owo „tornado Pill” nie uczyniło domostwu żadnej szkody. Od dawna tropił ślady tego niszczycielskiego huraganu i był pewien, że trzeba trzymać rękę na pulsie, bez chwili odpoczynku. Znając mocno bałaganiarski charakter Oskara, trudno byłoby mieć w tej kwestii pretensję do Bonesa...

Zanim jednak przystąpił do drobiazgowych badań, uznał, że najpierw unieszkodliwi inne zagrożenie dla domu, tę parę dziwnych dzieci przybyłych z wewnętrznego świata. Wydawały się równie skłonne do sprowadzania na dom rozmaitych zagrożeń, co ich towarzyszą podróży. Bones przeżył całe - lub prawie całe - życie u boku swojego szefa, Wielkiego Mistrza, poznał wielu członków Zakonu i innych ciekawych ludzi. Miał wiedzę - czasami może nawet większą niż pozostali - na temat mocy i tajemnic Medykusów. Jednakże te istoty z wewnętrznych Uniwersów zawsze wydawały mu się dziwaczne, nie do końca pojmował, jak właściwie funkcjonują. Lawrence i Valentine budzili jego podejrzliwość. Było oczywiste, że przez rozmaite doświadczenia z przeszłości przyzwyczał się nie ufać nigdy i nikomu, a był za stary, by się pod tym względem zmienić.

Postanowił zatem przede wszystkim upewnić się, czy para łobuziaków jest tam, gdzie powinna, w miejscu, które wyznaczył im pan Brave. Każde z nich miało siedzieć w swoim pokoju przy biurku, odrabiając lekcje. W pamięci Bonesa brzmiały jeszcze słowa Wielkiego Mistrza, które wypowiedział owego dnia, kiedy to zgodził się - na swoje nieszczęście - by obydwójce zostali na tym świecie, w Cumides Circle.

- Cóż, dobrze - mówił Winston Brave. - Pod jednym jednak warunkiem: macie starannie przestrzegać wszystkich reguł, jakie panują w tym domu. Bones wam je dokładnie wyjaśni.

Dzieci przystały na ten warunek bez najmniejszego wahania.

- Ale to jeszcze nie wszystko - dodał pan Brave. - Jeżeli koniecznie chcecie żyć w obcym świecie, musicie się z nim oswoić: chcę, żebyście nauczyli się wszystkiego, co powinniście o tym świecie wiedzieć, i będziecie się uczyć bez cienia protestu!

Lawrence bardzo się ucieszył z takiego projektu, Valentine była nieco mniej zachwycona. Lawrence uwielbiał nade wszystko wzbogacać swoją wiedzę, Valentine raczej ceniła swoją swobodę i wolała samo życie (a najlepiej sytuacje niebezpieczne i wymagające szybkiego działania). Ona także poddała się jednak wymaganiom Wielkiego Mistrza. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko nie wracać do WMUS-u i nie prowadzić przez całe życie podwodnej kapsuły po naczyniach krwionośnych ludzkiego organizmu. Oboje liczyli po cichu na to, że Oskar znowu się pojawi w ich życiu. Czekali na niego wiernie każdego dnia i każdej nocy. Kiedy Oskar powrócił do Cumides Circle, ich obowiązki wcale się nie zmieniły. Choćby się waliło i paliło, trzy godziny każdego ranka, poza niedzielą, musieli poświęcić na naukę. Bones doskonale zatem wiedział, gdzie ich znajdzie.

Na podeście pierwszego piętra rzucił szybkie spojrzenie w stronę gipsowego popiersia młodej Selenii, która wydawała się trwać nieruchomo. Jej oczy nabrały życia dopiero w chwili, kiedy majordomus ją minął. Bones wychylił się i zajrzał do korytarza po prawej stronie: pusto. Skierował się zatem w stronę korytarza po lewej i zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do niewielkiego przedpokoju, w którym widać było dwoje kolejnych drzwi. Nachylił się w tę stronę, kiedy nagle z pokoju dobiegł krzyk; Bones gwałtownie się wyprostował.

- Dość mam, dosyć, powyżej uszu tych przeklętych ksiąg! - zawołał dziewczęcy głos.

Bones znał Valentine i jej nieszczerne zamiłowanie do nauki. Uspokojony, zaczął nasłuchiwać przy drugich drzwiach - tu z kolei słychać było cichy szelest przewracanych stron. Bones nie miał ochoty stawiać czoło rozzłoszczonej Valentine, wołał porozmawiać

z jej przyjacielem, chociaż jego erudycja sprawiała często, że czuł się niezręcznie. Zapukał i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

Lawrence podniósł głowę znad książek.

- Już koniec nauki? - spytał z prawdziwym rozczarowaniem w głosie. - A wydawało mi się, że dopiero co zaczęliśmy...

- Ależ nie - uspokoił go Bones, obrzucając cały pokój szybkim spojrzeniem. - Masz jeszcze trochę czasu na czytanie.

W sąsiednim pokoju ktoś zaczął znowu krzyczeć.

- Coś mi się zdaje, że Valentine nie przepada za geografią - stwierdził Lawrence. - Moim zdaniem lepiej ją zostawić w spokoju, ale jeśli chciałby pan z nią porozmawiać...

Bones pokręcił głową i z zaniepokojoną miną zerknął na drzwi do pokoju dziewczynki.

- Nie, nie, ja też sądzę, że lepiej ją zostawić w spokoju. Zawołasz ją, gdy już będzie pora na obiad.

- Dobrze - zgodził się Lawrence i zagłębił się z powrotem w podręczniku.

Kiedy tylko upewnił się, że majordomus wystarczająco oddalił się od drzwi, Lawrence przysunął krzesło do okna i wychylił się na zewnątrz: w tym samym momencie wysokie gałęzie Zizou schylały się właśnie, by Valentine mogła się z nich ześliznąć na ziemię.

- Oszalałaś chyba! - wyrzucił z siebie cichym głosem Lawrence. - Zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? Przecież Bones dopiero co słyszał twój głos, jeśli cię teraz

zobaczy...

- Ciii! - powiedziała tylko Valentine z szerokim uśmiechem, po czym ruszyła w kierunku drzwi kuchennych.

Lawrence pokręcił głową, wymknął się ze swojego pokoju i wszedł do pokoju Valentine, który oczywiście był pusty. Podszedł na palcach do jej biurka i wystukał coś na klawiaturze komputera, zamykając plik odtwarzający nagrany głos przyjaciółki.

Wyszedł bezszelestnie z pokoju i zapuścił się na korytarz. Miał nadzieję, że Bones będzie czymś zajęty na piętrze, tymczasem dostrzegł, że powoli zmierza on w kierunku schodów. W tej sytuacji Valentine miała zaledwie kilka sekund na to, by dotrzeć z kuchni do biblioteki, jak to wcześniej ustalili. Zaklął w duchu. W co ona ich tym razem wpakuje? Oboje wiele ryzykowali, a on - w przeciwieństwie do dziewczynki - nie znosił ryzyka. Po co, do diaska, musiała koniecznie iść do biblioteki tego ranka?

- Przecież Oskar prosił nas o to - tłumaczyła mu wcześniej, kiedy ustalali strategię zmylenia Bonesa.

- Ale dlaczego akurat dzisiaj? Nie możesz z tym poczekać?

- Jest sobota, wiesz dobrze, że nie będziemy tam mogli pójść przed poniedziałkiem, a Oskarowi potrzebne są jak najszybciej informacje o tej Szmaragdowej Tablicy. Tak czy owak - powiedziała, choć nie otworzyła jeszcze podręczników - mam dosyć nauki na dzisiaj. Potrzebuję jakiejś przygody! Jeżeli nie możemy mu towarzyszyć w tej wyprawie do drugiego Uniwersum, zróbmy przynajmniej coś tutaj, na miejscu...

Udawiała znużenie nauką przy nagrywaniu, co przyszło jej zresztą bez najmniejszego trudu.

- Będziemy mieli kłopoty - jęczał Lawrence, programując na komputerze odtwarzanie

pliku z nagraniem jej głosu. - Zobaczysz sama...

Valentine roześmiała się serdecznie, niezwykle ubawiona perspektywą złamania zakazu i zagrania majordomusowi na nosie.

- Jakież z ciebie ponurak! Zupełnie, jakbyś był bliskim kuzynem Bonesa! Zresztą jesteście do siebie nawet trochę podobni - dorzuciła, drażniąc się z nim żartobliwie i przesłuchując nagranie.

Lawrence podszedł do lustra i przez chwilę oglądał się z przodu i z profilu, głaszcząc się po zaokrąglonym brzuchu. Przyczesał potem ręką swoje rzadkie, jasne włosy i poprawił na nosie okulary w metalowej oprawce.

- Co ty opowiadasz? Bones jest prawie łysy i strasznie chudy, a tymczasem ja stanowią okaz zdrowia!

- No więc skoro stanowisz okaz zdrowia, nie masz się o co martwić! Wystarczy, że puścisz tylko nagranie, zanim nadejdzie Bones, a później zczekaj grzecznie w swoim pokoju!

Tego ranka Lawrence ciągle jeszcze narzekał, Valentine była natomiast gotowa do czynu: wiedziała przecież, że przyjaciel nie zostawi jej samej na placu boju. Oczekali, aż Oskar i grupa Medykusów wyjdą z domu, potem Valentine otworzyła okno i wyskoczyła na jedną z gałęzi Zizou, ich stałego współnika...

W czasie kiedy Lawrence śledził ruchy Bonesa, Valentine wśliznęła się do kuchni. Otworzyła drzwi do hallu: droga wydawała się wolna. Już miała przebiec dalej, kiedy tuż za nią odezwał się przenikliwy głosik:

- Co tutaj robisz, moje małeństwo?

Przed nią stała Cherie, prosta jak strzała, w białym fartuchu: przypominała latarnię, a jej jasne, rozwiane wokół głowy włosy wyglądały jak aureola światła.

- Wiem - domyśliła się Cherie. - Jesteś głodna i boisz mi się do tego przyznać, ale widzisz, powinnaś mi zawsze o tym mówić szczerze, nie wolno chodzić z pustym brzuchem, bo to nie jest zdrowe dla organizmu, spytaj Jerry'ego, sam ci powie, on nie jest w stanie się oprzeć mojej kuchni, mógłby jeść dzień i noc bez przerwy, uwielbia cię, wiesz o tym, i ja też cię uwielbiam, chociaż nie mam najlepszego zdania o porządku, jaki macie w swoich pokojach, i codziennie walczę o to, żebyście brali prysznic, ale wiesz chyba, że cię kocham jak rodzoną córkę, no dobrze, powiedzmy, że trudno by było uwierzyć, bo masz włosy czerwone jak pomidor, ale to w niczym nie zmienia moich uczuć do ciebie i jeżeli jesteś głodna, wystarczy mi tylko o tym powiedzieć i...

Valentine słuchała tej lawiny słów w milczeniu, wodziła tylko wzrokiem, patrząc to na Cherie, to znowu na schody. Nie było najmniejszej szansy na to, że przerwie potok słów kucharki, nie miała też pojęcia, jak ma się wyrwać przed nadejściem Bonesa, nie raniąc przy tym uczuć Cherie. Każda sekunda się liczyła, czuła, jak rośnie zagrożenie, a zarazem jak nasila się w niej panika. „Co się ze mną dzieje? - powiedziała do siebie w duchu. - Przecież to Lawrence zwykle traci głowę, nie ja! Muszę coś zrobić!”. Znowu wyjrzała przez uchylone drzwi i zrozumiała, że już jest za późno: widać było cień zgarbionej sylwetki na obitej tkaniną haftowaną w litery M ścianie przy schodach. Co też powie Bonesowi, który święcie wierzy, że siedzi ona w swoim pokoju, i jak mu wytłumaczy swoją obecność na parterze? A najgorsze nastąpi później. Była bowiem przekonana, że Lawrence nigdy jej nie wybaczy, iż dała się złapać na gorącym uczynku. Jednego była pewna: jeśli dadzą im karę za tę ustawkę, Lawrence będzie jej to wypominał aż do śmierci...

Starła się wymyślić jakąś mrozącą krew w żyłach historyjkę, nie słuchając paplaniny Cherie, która bez przerwy coś mówiła, kręcąc się po kuchni - kiedy nagle, z wyżyn drugiego piętra zabrzmiał doskonale jej znany głos:

- Bones, potrzebuję pana pomocy.

Bez wątpienia, był to pan Brave, ale ten grzmiący ton był niezwykły: Wielki Mistrz w zasadzie nigdy nie podnosił głosu, nawet kiedy był zdenerwowany. Gdy mówił normalnie, i tak miał niski, dźwięczny, donośny głos. Nawet Cherie zamilkła i zaczęła mrugać jeszcze częściej, niż to miała w zwyczaju. Bones nie wahał się ani chwili, zawrócił. Szybko wszedł na górę, przyspieszając kroku.

Na drugim piętrze nie było nikogo widać. Podniósł wzrok. Wysoko, w niszy, królowało popiersie Rhody. Wydawała się niezadowolona. Czekał chwilę na jej reakcję, ale nic takiego nie nastąpiło. Ruszył zatem korytarzem wiodącym na prawo i zatrzymał się przed wielkimi, bogato rzeźbionymi drzwiami. Pośrodku wydrążono z wielką precyzją literę M, z inkrustowanym, zielonym kamieniem. Kamień ten lśnił intensywnie. Bones wiedział dlaczego: Wielki Mistrz był w swoim gabinecie.

Zapukał i czekał na pozwolenie, by wejść dalej.

- Proszę, Bones.

Pan Brave od razu rozpoznawał, że to on, Bones, stoi za drzwiami, tak było od wielu lat. Majordomus uchylił drzwi i zatrzymał się nieruchomo w progu.

- Wzywał mnie pan, proszę pana?

Winston Brave siedział przy swoim biurku, w głębi przestronnego, prostokątnego pokoju, jasno oświetlonego przez dwa duże okna wychodzące na ogród. Tutaj pracował zazwyczaj, wykonując obowiązki adwokata. Kiedy jednak pan Brave występował jako Wielki Mistrz Medykusów, zajmując się problemami i projektami związanymi z Zakonem, przesiadywał raczej w małym gabinecie, dyskretnie ukrytym w wieżycze przylegającej do budynku. Prowadziło do niej ukryte przejście z salonu, a także schody znane tylko wtajemniczonym. Nie da się jednak ukryć, że w Cumides Circle symbole

Medykusów widniały po trosze wszędzie. Także i w tym pokoju zasłony uszyto z zielonego aksamitu, a przytrzymały je klamry, ozdobione dużą literą M. Podobnie było z dużym dywanem, który na brzegach obwiedziony był szlakiem splecionych ze sobą motywów, a wśród liści bluszczu i mirtu wprawne oko dostrzeżało bez trudu także Litery Medykusów. To samo stylizowane M widniało w nóżkach biurka w stylu art déco. Kanapa obita była takim samym materiałem, jak ta w salonie, a kiedy pan Brave zapalił lampę na biurku - okazało się, że Litery widnieją także na kloszu lampy i na skórzanej podkładce leżącej na blacie.

Pan Brave pracował nad jakąś niełatwą sprawą. Podniósł na chwilę głowę.

- Ależ nie, wcale pana nie wzywałem - powiedział, dając do zrozumienia, że Bones nie powinien mu dłużej przeszkadzać.

Zagłębił się ponownie w lekturze rozłożonych papierów. Próbował się skoncentrować i dawał znak majordomusowi, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko się oddalić. Co też Bones uczynił, był jednak mocno zaniepokojony.

Zamknął drzwi i stał przez chwilę na środku korytarza, nie mogąc dojść do siebie. Nie oszalał przecież ani nie zgłupiał do reszty, chociaż nie był już całkiem młody: dobrze słyszał, że pan Brave go wołał. Pokręcił głową, minął nieruchomą w swojej niszy Rhodę. Czuł się wytrącony z równowagi. W końcu wzruszył ramionami i poszedł.

Lawrence czał się w korytarzu po lewej stronie, przyklejony niemal do drzwi; z czoła spływały mu wielkie krople potu. Przyciskał do piersi przedmiot, który tego właśnie dnia okazał się wyjątkowym skarbem: był to odtwarzacz MP3, który Jeremy wyszperał w swoim Bazarze i podarował w prezencie Valentine rok wcześniej. Lawrence i Valentine zabawiali się nagrywaniem na to urządzenie głosów wszystkich mieszkańców Cumides Circle, posługując się w tym celu mikrofonem, a później zapisali je w formie plików. „W ten sposób możemy nauczyć się naśladować ich wszystkich” - stwierdziła Valentine. „Może któregoś dnia to się okaże przydatne, co?”

Lawrence jednak był równie słaby w naśladowaniu kogokolwiek, co uzdolniony we wszelkich kwestiach związanych z funkcjonowaniem urzędzeń. Kiedy Bones zaczął schodzić ze schodów, rzucił się w stronę empetrójki, włączył odtwarzanie i ustawił maksymalną głośność: głos pana Brave'a zabrzmiał jak grzmot. Lawrence zbladł, przekonany, że ta pomyłka będzie miała fatalne konsekwencje, ale ku jego zaskoczeniu Bones zawrócił w stronę drugiego piętra, niczego nie podejrzewając.

Lawrence wysunął się ze swojej kryjówki cały drżący i - niczym rycerz na królewskim dworze - uklonił się w pas popiersiu Rhody, dziękując jej za zachowanie dyskretnego milczenia, po czym zszedł po cichu na pierwsze piętro i wrócił do swojego pokoju. Mógł się już tylko modlić o to, by ta dywersja pozwoliła jego przyjaciółce dotrzeć do biblioteki.

Tymczasem Valentine nie traciła ani sekundy. Przez chwilę mignęła jej okrągła twarz Lawrence'a za balustradą drugiego piętra. Zrozumiała w lot strategię chłopca, który starał się w ten sposób zapewnić jej kilka dodatkowych chwil na realizację planu. Skorzystała z najskuteczniejszej metody, by przerwać potok słów Cherie: rzuciła się jej na szyję i serdecznie ją ucałowała, co zawsze bezbłędnie działało. Cherie rumieniła się jak piwonia z radości, łzy napływały jej do oczu i musiała umknąć do swojej spiżarni albo też pochylić się nad garnkami, by ukryć wzruszenie. Valentine rzuciła się do hallu i pobiegła aż do drzwi wiodących do biblioteki. Nie tracąc ani na moment zimnej krwi, otworzyła je i zamknęła potem za sobą z największą ostrożnością.

W końcu była sama - w dodatku właśnie tam, gdzie pragnęła się znaleźć. Wiedziała, że być może ma niewiele czasu, dlatego nie zwlekając, podbiegła na palcach do półek z książkami. Odruchowo sprawdziła ścianę z portretami przodków, za swoimi plecami. Tylko jeden portret był rozświetlony: widniała na nim jakaś starsza pani, której nazwisko nic dziewczynce nie mówiło. Suknię miała równie ponurą, co twarz; pochyliła się nad jakąś książką, zapewne także niezbyt wesołą. Tylko ona zatem znajdowała się w Sali Przedwiecznych po drugiej stronie ściany. Wątpliwe jednak, czy w ogóle zauważyła

nadejście Valentine.

Dziewczynka przeglądała przez chwilę zawartość półki, aż wreszcie wyciągnęła książkę, której szukała: gruby tom encyklopedii. Rzuciła się w stronę fotela pani Withers, Tytusa.

- Tytusie, bardzo cię proszę, pomóż mi! Chciałabym zdjąć pewną książkę...

Tytus nie wydawał się chętny do współpracy. Tracąc cierpliwość, Valentine spróbowała samowolnie go przesunąć, fotel jednak zeszywniał i zdawał się przybity gwoździami do podłogi. Dziewczynka nie miała czasu na grzeczności. Zrzuciła z nóg trampki, nie rozwiązując nawet sznurowadeł, podeszła do regałów z książkami i zaczęła się na nie wspinać. Kiedy weszła na drugą z kolei półkę, wszystkie zaczęły się dziwnie chybotać, jak gdyby pływały po wodzie. Valentine złapała się krawędzi półki, poczuła jednak, że kłują ją ostre drzazgi, puściła. Upadła na plecy, osiadła jednak łagodnie na miękkich poduszkach Gavroche'a, fotela Alistaira McCooleya. Gavroche, stojący w pobliżu półek bibliotecznych, prześliznął się bezszelestnie obok Tytusa i przysunął jak najbliżej, żeby zamortyzować upadek dziewczynki. Valentine uniosła się nieco i pogłaskała z czułością aksamitne oparcie.

- Dziękuję ci! - powiedziała z wdzięcznością. - Mało brakowało, a rozplaszczyłabym się jak naleśnik! Bones musiałby pozamiatać to wszystko zmiotką...

Bezradnie popatrzyła w górę, na książki.

- Moje sprawy nie posunęły się ani trochę do przodu - mruknęła. - Jak ja mam się do nich dostać?

Tytus poddał się w końcu i zbliżył się do regału. Dziewczynka wskoczyła na jego siedzenie i wyciągnęła rękę. Udało jej się wydostać książkę i otworzyła ją. Jak jednak można się było spodziewać, tekst natychmiast zniknął. W bibliotece panowały

niezmienne zasady: nie można było przeczytać żadnej książki bez pozwolenia właściciela biblioteki i autora dzieła. Jeżeli nie udzielili takiej zgody, cała zawartość znikła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy tylko otwierało się książkę.

Rzuciła szybko okiem na okładkę, by odczytać wytłoczone i pozłacane nazwisko autora.

- Bardzo pana uprzejmie proszę, panie Beaggle - poprosiła błagalnie. - Pan Brave pozwala mi czytać książki ze swojej biblioteki! Ja... jestem jego bardzo bliską przyjaciółką!

Rozejrzała się szybko: tym razem nawet ona była zażenowana tym straszliwym kłamstwem. Na szczęście na ścianie z portretami nic się nie zmieniło i nie ukazała się Sala Przedwiecznych. Gdyby kobieta, która się tam znajdowała, usłyszała te słowa, chyba dostałaby ataku serca - niezależnie od tego, że była już martwa i bawił tam tylko jej duch...

Nagle na stronie tytułowej książki pojawiło się pierwsze zdanie. Stanislas Beaggle, autor encyklopedii, zdecydował się skontaktować z tą nieznaną sobie czytelniczką.

- Co chciałabyś wiedzieć?

Valentine odetchnęła z głęboką ulgą.

- Gdyby pan był tak miły, chciałabym sprawdzić wszystko, co pan wie o Szmaragdowej Tablicy.

- O... o czym? - zdziwił się pan Beaggle.

- O Szmaragdowej Tablicy! - powtórzyła dziewczynka. Usłyszała hałas w hallu i zaniepokoiła się. - Możliwie jak najszybciej, panie Beaggle, trochę... jakby to rzec, trochę

mi się spieszy! - jęknęła, patrząc w kierunku drzwi.

Pismo autora stało się wyjątkowo chwiejne i nieporządne, jakby ten temat go zdenerwował.

- Nie wiem, o czym mówisz - i jestem przekonany, że ty także nie wiesz, co właściwie masz na myśli. Nie mam ci nic do powiedzenia na ten temat. Zostaw mnie w spokoju i nie przeszkadzaj już żadnej książce w bibliotece, to moja dobra rada!

Valentine zaledwie miała czas, żeby przeczytać szybko znikające słowa. Wkrótce kartka była znowu pusta.

- Hej, chwila, moment! - zawołała Valentine. - To nieprawda, doskonale wiem, o czym mówię! To Tablica, która pomaga przywrócić życie zmarłym, dzięki czemuś tam uniwersalnemu, nie pamiętam teraz, co to było takiego... Proszę wracać! - wrzasnęła, tupiąc w siedzenie Tytusa. - Proszę natychmiast wracać, nieznośny autorze!

Fotel zatrząsł się, chcąc ją przywołać do porządku.

- Ups, przepraszam, Tytus! - szepnęła Valentine. - Mam nadzieję, że nie zniszczyłam twoich sprzężni! Co ja najlepszego zrobiłam? - jęczała dalej. - Nie mogę przecież wrócić z pustymi rękami! Obiecałam Oskarowi, że znajdę mu informacje, a Lawrence godzinami będzie prawil kazania: „I po co tam chodziłaś, a nie mówiłem, ale ty zawsze musisz zrobić wszystko po swojemu i bla, bla, bla, i bla, bla, bla”.

Zeszła z fotela, mocno rozczarowana. Odsunęła delikatnie Tytusa na jego właściwe miejsce przy owalnym stole i już miała wyjść, kiedy powiew przyciągnął jej uwagę. Rozejrzała się zdziwiona i zauważyła, że na pobliskiej półce stoi teczka Julii Jacob, nieżyjącej już sekretarki pana Brave'a, której duch zamieszkał w owym zbiorze zawierającym archiwa Wielkiego Mistrza i Zakonu, między innymi niezliczone wycinki prasowe. Kartonowa okładka znowu otworzyła się i zamknęła, wytwarzając ów lekki

powiew. Teczka nie stała wysoko. Valentine z łatwością wyjęła ją z półki i położyła na stole.

Po otwarciu pojawiły się linijki delikatnego pisma, które musiały odzwierciedlać delikatny i łagodny charakter Julii: litery wyglądały tak, jakby ktoś pisał je jednym włoskiem. Julia musiała być też bardzo nieśmiała, przez co rogi kartki zwiły się lekko.

- Witaj, Valentine! - napisała. - Zdaje się, że jesteś przyjaciółką Oskara, widziałam cię już tutaj, ale nigdy nie śmiałam się do ciebie odezwać.

- Nie śmiała się pani do mnie odezwać? No coś takiego nigdy mi się nie przytrafiło! - roześmiała się Valentine.

- Przepraszam, może wydam ci się wścibska, ale przypuszczam, że szukasz czegoś i nie możesz tego znaleźć...

- Pan Beagle nie chciał odpowiedzieć na moje pytanie i wydaje mi się nawet, że czegoś się wystraszył - wyjaśniła Valentine. - Sądzi pani, że mogłaby mi pani pomóc? - spytała, pełna nadziei.

- W każdym razie zrobię wszystko, co w mojej mocy - odpowiedziała Julia ostrożnie.
- Słucham cię...

Tym razem dziewczynka starała się wyrazić swoje pytanie nieco delikatniej: temat był trudny, nie było potrzeby, żeby wszystkie książki słyszały, co miała do powiedzenia. Zerknęła przelotnie w stronę powyginanej i zniszczonej książki, którą zarówno ona jak Oskar, i Lawrence znali bardzo dobrze. Była to Antologia Patologusów Billy'ego Boyda, autora, obdarzonego ciężkim charakterem. Rok wcześniej Boyd sprawił im wiele kłopotów. Miał sporo wad, pozbawiony był jednak hipokryzji. Gdyby coś usłyszał i miał ochotę to skomentować, na pewno by się nie powstrzymał i już dawno by to zrobił. Uspokojona, Valentine odwróciła się znowu w stronę teczki Julii.

- Czy słyszała pani kiedykolwiek o Szmaragdowej Tablicy, pani Julio?

Julia zastanawiała się przez chwilę, po czym odpisała kilka słów.

- Z tego, co pamiętam, to nie, nie słyszałam o tym. Ale zaraz zajrzę do mojego archiwum. Zaczekasz tu chwilę?

- Ależ tak, nigdzie się stąd nie ruszam! - zawołała dziewczynka, serce zaczęło jej mocno bić z niecierpliwości.

Teczka zamknęła się sama, a kartki i wycinki, które w niej były schowane, zaczęły błyskawicznie przeskakiwać, jak gdyby ktoś je przeglądał z prędkością światła. Tymczasem Valentine usłyszała czyjeś kroki w hallu. Nie umiała określić, czy ktoś zbliżał się do biblioteki, czy też po prostu Cherie, Bones lub może Jerry przechodzili i kierowali się w inną stronę. Czowała jednak, że zostało jej mało czasu - było oczywiste, że ta spokojna chwila samotności w bibliotece nie będzie trwała wiecznie. Powstrzymywała się siłą, żeby nie popędzać Julii.

Po paru minutach, które wydawały się wlec bez końca, teczka Julii znowu się otworzyła i pojawiły się nowe słowa.

- Obawiam się, że muszę cię rozczarować - pisała Julia. - Nie znalazłam niczego ciekawego na temat Szmaragdowej Tablicy. Dziwne, przejrzałam wszystkie artykuły i dzieła, które powstały w ciągu ostatnich stu lat z górą, i nic z tego.

Dziewczynka westchnęła. Cóż, ciężko będzie trafić tutaj na ślad. Już miała zamknąć teczkę i pożegnać się z Julią, kiedy zauważyła nowy wpis...

- Nic... a raczej prawie nic: jest tylko artykuł naukowy na temat regeneracji komórek.

- Co to jest regeneracja? - zapytała Valentine, zagubiona.

- No cóż, nie znam się na tym za bardzo, ale wydaje mi się, że to dotyczy ożywiania i pomnażania najmniejszych cząsteczek ludzkiego organizmu. Ponieważ mówiłaś o przywoływaniu zmarłych do życia, pomyślałam sobie, że warto wspomnieć o tym artykule. Ale może się mylę... - dorzuciła speszona.

- A może mi pani opowiedzieć, co jest w tym artykule? - poprosiła niepewnie Valentine.

Żałowała, że Lawrence okazał się taki niepoprawnie rozsądny i za żadne skarby nie chciał przyjść tu z nią razem. On, który wiedział wszystko o wszystkim, może umiałby połączyć domniemaną moc Szmaragdowej Tablicy z tym artykułem o regeneracji - trudno jej było nawet zapamiętać to słowo - komórek. Zegar wybił jedenastą, była najwyższa pora, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Julia uznała, że może mówić dalej.

- W tym artykule, napisanym przez wielkiego Medykusa, który był biologiem, mówi się o jakimś Hermesie. Nie wiem, czy to może ci jakoś pomóc, ale wolałam ci o tym powiedzieć.

- Hermes - powtórzyła Valentine. - W porządku, zapamiętałam. A czy pani...

Nie zdążyła skończyć zdania: drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Bones, z wyjątkowo surową miną. Jako że wciągnęły go na dłuższą chwilę rozmaite obowiązki domowe, nie znalazł w związku z tym zadowalającej odpowiedzi, która wytłumaczyłaby, co takiego wydarzyło się na schodach. Instynktownie skierował się zatem w stronę miejsca, do którego zmierzał, zanim usłyszał niezrozumiałe wołanie pana Brave'a: do biblioteki.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał, nie mogąc pojąć, co się dzieje. - Przecież byłaś... powinnaś była siedzieć w swoim pokoju i odrabiać lekcje!

Teczka Julii zamknęła się i przesunęła delikatnie po stole, w stronę regału, na którym wcześniej stała. Valentine nie spiesząc się, wstawiła ją na półkę i włożyła z powrotem swoje trampki, pod oburzonym spojrzeniem Bonesa.

- Uprzedzam cię, będę musiał porozmawiać o tym z panem Brave'em! - zagroził majordomus.

Valentine spokojnie przeszła obok niego aż do drzwi, w końcu zatrzymała się tuż obok Bonesa.

- Są dwie minuty po jedenastej - powiedziała z promiennym uśmiechem. - Lekcje skończyły się wobec tego dwie minuty temu i przyszedłam tutaj. Nie widział pan, jak przechodziłam przez hall? Powinien pan nosić okulary, panie Bones.

Minęła go i ruszyła w stronę schodów. Odwróciła się jeszcze raz.

- Lepiej chyba, żeby pan nie pracował w soboty. To pana za bardzo męczy.

PALOMA NA CZERWONEJ KANAPIE

Alistair przeszedł przez cały salon w Cumides Circle i otworzył drzwi w głębi, które wiodły na wychodzący na ogród taras.

Rozmawiał przed chwilą z Wielkim Mistrzem. Zdał mu relację z pierwszej wyprawy młodych Medykusów do kanionów Królestwa Oddechów, w drugim Uniwersum. Dowiadywał się też na bieżąco, w jakim stanie jest Iris. Wydawało się jednak, że jej

zdrowiu nic nie grozi. Dziesięć minut po przybyciu do szpitala wydawała już polecenia, udzielała rad, a także na prawo i lewo zapowiadała, że złoży najrozmaitsze skargi, toteż lekarze starali się jak najprędzej zwolnić ją do domu, wypisując receptę na środki przeciwbólowe, których zresztą wcale nie musiała zażywać. Była już gotowa, by ruszyć na kolejną wędrówkę.

Alistair nie pominął także milczeniem zachowania Mossa.

- Na szczęście młody Pill ma świetny refleks i jest odważny! - dodał na końcu.

- W przyszłości może się okazać, że to za mało - ostrzegł go pan Brave. - Proszę na niego szczególnie uważać. Nie sądzę, by Moss naprawdę był taki zły, na jakiego wygląda...

- Nie wydaje mi się, żeby był aniołkiem.

- Pill także nim nie jest. Prawdziwym problemem jest to, że ci dwaj nie cierpią się nawzajem. I każdy z nich może stanowić dla tego drugiego zagrożenie, dlatego właśnie trzeba mieć na nich oko, bardzo pana o to proszę.

Alistair, nieco zaskoczony tą uwagą Wielkiego Mistrza, nic na to nie powiedział. Brave ciągnął dalej:

- Mam niepokojące wiadomości z Francji, Włoch, bardzo źle dzieje się też w Azji...

- Czarny Książę? - domyślił się Alistair.

- Dziwne choroby - odparł Wielki Mistrz. - Na razie to tylko kilka przypadków i nikt niczego jeszcze nie podejrzewa, ale to dopiero początek. Wiemy o tym i pan, i ja, my wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, co to znaczy. No cóż, niech pan rusza i niech pan się nimi wszystkimi opiekuje. Ci młodzi ludzie będą nam potrzebni, i to niebawem.

Młody człowiek nie prosił o wyjaśnienia. Czasami Winston Brave głośno myślał, nie było zatem sensu pytać go o szczegóły. Na tym skończyli rozmowę, Alistair miał bowiem ważne spotkanie, na które nie chciał się spóźnić. Co więcej, wybierał się na nie w towarzystwie.

Zszedł po kamiennych stopniach i zagłębił się w ogrodowe alejki.

Szedł krętymi ścieżkami, pomiędzy gęsto rosnącymi dębami, brzoźami i eukaliptusami. Mijał krzewy hortensji w najbardziej nieprawdopodobnych kolorach. Księżna Anna Maria Lumpini miała rzadkie wśród Medykusów zdolności, umiała bowiem przeniknąć do wnętrza roślin. Po roślinach w tym ogrodzie widać było wpływ jej odwiedzin, nie tylko bowiem zmieniała ich sposób zachowania, ale jeszcze zaszczepiła niektórym swoje dziwaczne zamiłowanie do pewnych kolorów. Od tej pory kwiaty miały tutaj równie zwariowane odcienie, co makijaż ekstrawaganckiej kobiety będącej przy tym członkiem Rady Najwyższej Medykusów.

Wśród ćwierkania ptaków i szeleszczących na ciepłym wietrze liści usłyszał inne odgłosy. Nadstawił ucha - były to głosy ludzkie, a dokładniej głosy dziecięce. Uśmiechnął się i poszedł w kierunku, skąd zdawały się dobiegać.

Zdołał się przedrzeć przez gęste rododendrony, które usiłowały zagrozić mu drogę do celu, lekko przekroczył faliste bruzdy, które wyrastały na trawniku, przeskakiwał przez zagradzające mu drogę korzenie i w końcu mocno zdyszany, lecz rozbawiony, dotarł do rozarium. Jego własna kiepska kondycja trochę go zdziwiła. Był przecież zupełnie zdrowy, a tymczasem czuł się wykończony. Chodził po ogrodzie w Cumides Circle wiele razy, znał tu każdą zasadzkę, jaką rośliny zastawiały na gości. Skąd zatem wzięło się to zmęczenie? Czyżby to były konsekwencje wypadku? A może to z powodu nocy spędzonej na rojeniach o ojcu? Chyba musiał jak najszybciej załatwić sobie urlop, mimo że nie miał właściwie takiego zwyczaju.

Próbował otrząsnąć się z tych rozważań i wychylił się spomiędzy krzaków róż, które za wszelką cenę chciały się wydawać groźne, na próżno jednak. Głosy dzieci stały się wyraźniejsze.

Oskar, Valentine i Lawrence schronili się w pachnącej altance, którą utworzyły krzaki pnących róż, unoszące się ponad ich głowami i splecione jakby specjalnie po to, żeby osłonić dzieci przed niepożądanymi spojrzeniami. Dwoje nowych lokatorów Cumides Circle zapoznało się już dobrze z wszystkimi licznymi, ogrodowymi kryjówkami, jednak właśnie to miejsce należało do ich ulubionych. Mnogość kwiatów i kolczastych gałęzi odstraszała postronnych. Wtajemniczyli też Oskara i wyjaśnili mu, gdzie się znajduje altanka. Kiedy tylko Oskar wrócił ze swojej grupowej Introdukcji, znalazł karteczkę od przyjaciół z poleceniem, aby szukał ich „pod namiotem”. Dotarłby tu już wcześniej, gdyby nie spotkanie i rozmowa z Alistairem, gdy schronił się wśród gałęzi Zizou przed obiadowymi zakusami Cherie.

Kiedy tylko Alistair odszedł, by porozmawiać z Winstonem Brave'em, Oskar rzucił się w kierunku rozarium. Odnalazł tam swoich przyjaciół, a Valentine powtórzyła mu słowo w słowo to, czego wcześniej dowiedziała się od Julii.

- Mam wrażenie, że ten temat niezbyt się podoba naszym przyjaciółom w bibliotece - dodała dziewczynka. - Pan Beaggle zupełnie stracił głowę! W każdym razie widać było, że marzy tylko o tym, żeby szybko wrócić na półkę.

- To dowód na to, że nie należy przerywać poszukiwań - wywnioskował Oskar. - To znaczy, że Tablica istnieje naprawdę i że jej moc budzi strach. Ale ja się nie boję, wręcz przeciwnie! - stwierdził stanowczo.

- Ja też się nie boję! - zawołała Valentine, której nie trzeba było zachęcać do działania. - Kiedy tam ruszamy?

- Ale gdzie niby mamy ruszać, o czym ty mówisz? - zdziwił się Lawrence, który nie

był wcale przekonany. - Nie wydaje ci się, że jest jeszcze trochę za wcześnie, żeby planować jakąś wyprawę?

- No nie, ale ty potrafisz być nudny!

- A ty powinnaś trochę pomyśleć, zanim coś powiesz! Masz ślad?

- Ależ tak! Mój ślad nazywa się Hermes!

- To trochę za mało - przyznał Oskar. - Coś ci to mówi, Lawrence?

Valentine zamilkła, czekając, aż przyjaciel spokojnie przemyśli sprawę. Sama miałaoby spore trudności, żeby powiedzieć cokolwiek na temat tajemniczego Hermesa. Hepatolijczyk nie potrzebował jednak zbyt wiele czasu do namysłu.

- Oczywiście że mi to coś mówi - odpowiedział poważnym tonem. - Hermes był jednym z bogów w mitologii greckiej. To bóg opiekujący się handlem.

- No tak, to znaczy, że Jeremy jest z pewnością jednym z jego podopiecznych! - rzekł rozbawiony Oskar.

- Hermes był też bogiem sprytu i inteligencji - ciągnął Lawrence. - Wydaje mi się, że ty też musisz być jego podopieczną, Valentine...

- Bardzo śmieszne. Mów dalej.

- Hermes ma brata, to Apollo, słoneczny bóg rozumu, muzyki i sztuki.

- Chyba ci się pomyliło, to przecież pan Brave - powiedziała Valentine, owijając sobie koniec kuczka wokół palca. - On jest taki... taki romantycznyyyczny...

- Daj mi powiedzieć do końca! - skarcił ją Lawrence, który nie lubił, gdy mu ktoś przerywał w pół słowa. - Apollo zamienił się z bratem: dał mu swoją lirę, a wziął jego laskę. Nagle dwa węże owinęły się wokół niej... Coś wam to przypomina?

- Owszem, Kaduceusz Medykusów! - zawołał przejęty Oskar.

- Właśnie tak, jak najbardziej, chociaż w przypadku Hermesa to raczej laska niż kielich. Zresztą Rzymianie zrobili z Hermesa boga lekarzy i w Ameryce jego laska, wokół której owinięte są węże, jest symbolem medycyny.

- Jak na razie nie widzę związku z naszą słynną Tablicą! - niecierpliwiła się Valentine. - Nie posunęliśmy się naprzód!

- To fakt - przyznał jej rację Lawrence. - Chyba że...

- Chyba że co? - naciskał Oskar. - Mów szybko, Alistair już pewnie skończył rozmawiać z panem Brave'em i zacznie mnie szukać. Powiedział, że mamy coś ważnego do zrobienia!

- No więc Hermes był także bogiem w Egipcie - dodał Lawrence, lekko się uśmiechając. - Zwał się tam Tot i pomagał Izydzie przywracać zmarłych do życia...

- Przywracać zmarłych do życia, zmartwychwstanie! - krzyknął Oskar. - Brawo, Lawrence! Sądzisz, że używali do tego Szmaragdowej Tablicy?

- Nic mi nie przychodzi do głowy w tej kwestii - przyznał Lawrence. - Nie widzę związku pomiędzy bogiem Hermesem a jakąkolwiek tablicą, przykro mi bardzo...

- Wydaje mi się, że wiem, kto mógłby nam pomóc w tej kwestii! - powiedział Oskar, który nie chciał tracić nadziei.

- A mi się wydaje, że nikt nie może wam pomóc.

Dzieci podskoczyły i podniosły wzrok. Wśród liści i kwiatów róż dostrzegły trójką twarz i potargane włosy Alistaira McCooleya.

- Bardzo mi przykro, że zakłócam wasze tajne posiedzenie, ale mam wrażenie, że miałem podobną kryjówkę w tym ogrodzie, kiedy byłem w waszym wieku, i podobnych przyjaciół, chociaż teraz chcą za wszelką cenę zagrozić mi drogę.

Krzaki róż rozsunęły się nareszcie i troje przyjaciół wstało z miejsc. Alistair spojrzał na Oskara z wyrzutem.

- Jesteś bardzo uparty, Oskarze. Czasem to duża zaleta, przyznaję, ale czasami - poważna wada. Nic z tego, czego szukasz, nie istnieje naprawdę. Jeśli uwierzysz w to zbyt mocno, zrobisz sobie tylko krzywdę.

Oskar nie odpowiedział, jego przyjaciele także woleli zachować milczenie. Alistair chciał rozluźnić nieco atmosferę.

- Ale skoro tak lubisz przygody, to, co teraz mam ci do zaproponowania, powinno ci się spodobać. W drogę!

Valentine rzuciła się w stronę Alistaira.

- Ja też uwielbiam przygody! I umiem być BARDZO uparta, kiedy zechcę! Błagam, niech mnie pan też zabierze! - prosiła gorąco.

Alistair roześmiał się. Aktorski talent Valentine był powszechnie znany w Cumides Circle.

- Jeśli chodzi o upór, mogę to jak najbardziej potwierdzić - oznajmił Lawrence. -

Może jej pan wierzyć na słowo, absolutnie.

- Bardzo mi przykro - odparł Alistair. - Tylko Oskar został zaproszony na to spotkanie. I w żaden sposób nie mogę dopuścić do tego, żeby się spóźnił - dodał, zerkając na zegarek. - Innym razem, panno Uparta. Oskar, pędź po swoją pelerynę, czekam na ciebie w hallu.

Oskar zbiegł szybko po schodach, przyciskając pelerynę do piersi. Drzwi wejściowe stały otworem. Kiedy wybiegł z domu, zobaczył czekającą limuzynę Winstona Brave'a, z Jerryem za kierownicą. Alistair stał przy otwartych drzwiczkach.

- Pospiesz się, prędko! - popędził chłopca. - Mamy przed sobą dobre dwadzieścia minut drogi, a nie możemy kazać czekać osobie, z którą jesteśmy umówieni!

Młody Medykus wsiadł pospiesznie do samochodu i Jerry, nie zwlekając ani chwili, ruszył z miejsca.

Przejechali przez całe miasto, z południa na północ.

W pewnej chwili Oskar ujrzał różową dzwonnice Babylon Heights, górującą nad jego dzielnicą, przylepioną na zboczu wzgórza. Potem minęli przemysłowe przedmieścia, gdzie pracowała jego mama. Rzadko zdarzało się, żeby Oskar tędy przejeżdżał, za każdym jednak razem obiecywał sobie uroczyście, że niebawem zrobi wszystko, by wyciągnąć Celię z owego ponurego biura mieszczącego się gdzieś wśród tych budynków, zasłoniętych smogiem i dymem, ulatującym z wielkich kominów. Wiedział, że w gruncie rzeczy Celia trzymała się tej pracy tylko i wyłącznie dla Violette i dla niego. Potrzebowała jej, żeby utrzymać całą ich trójkę. Oskar zamierzał pewnego dnia zrobić co

trzeba, żeby nie musiała już znosić kaprysów i złośliwości szefa. Był nawet gotów wejść do organizmu koszmarnego pana Geldhofa i zaprowadzić tam swoje porządki...

Po około dwudziestu minutach, w czasie których Alistair nie chciał puścić pary z ust na temat spotkania, Jerry zwolnił. Dojechali do wysokiego ogrodzenia, a ich oczom ukazała się wartownia przypominająca zabudowania celne na przejściu granicznym. Cały czas jeszcze znajdowali się jednak w obrębie miasta. Szofer pana Brave'a podał plastikową kartę przez okienko, przepuszczono ich, a strażnik podniósł szlaban.

Samochód powoli jechał ulicą, przy której stały rozmaite olbrzymie budowle, wszystkie świetnie znane całemu światu. Kiedy przejeżdżali przed jedną z nich, Oskar wykrzyknął:

- Ależ... to Empire State Building! Taki sam jak w Nowym Jorku!

- Owszem - odparł Alistair. - A tutaj, popatrz tylko! Zapewne rozpoznajesz piramidę Cheopsa, prawda? Tutaj jest Big Ben, obok niego ateński Partenon. A tam po prawej stronie, w głębi - widzisz?...

- To Biały Dom! - wykrzyknął Oskar. - Gdzie my jesteśmy? - zapytał zachwycony.

- W Monument District, na przedmieściach Pleasantville. Mało ludzi zna to miejsce. Żeby tu wejść, trzeba mieć przepustkę. Myślę jednak, że budynek, do którego zmierzamy, spodoba ci się jeszcze bardziej niż pozostałe... Już prawie jesteśmy na miejscu. Popatrz.

Młody Medykus przylepił nos do szyby samochodu. Był tym wszystkim zafascynowany i z niecierpliwością czekał na ciąg dalszy. Podniósł wzrok, otworzył szeroko usta, nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk. Jerry odwrócił się i wymienił rozbawione spojrzenie z Alistairem.

- To coś w twoim guście, prawda? - powiedział z uśmiechem Alistair.

Oskar nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Wpatrywał się we wznoszącą się przed nim wieżę - wspaniałą i olbrzymią.

- Byłeś już kiedyś w Paryżu? - spytał Alistair.

Oskar pokręcił głową.

- Wobec tego witaj u stóp wieży Eiffla, Oskarze!

Samochód zatrzymał się, a szofer wyłączył silnik. Oskar nie zwlekając ani chwili, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Nieopodal stał zaparkowany inny pojazd - długa, czarna limuzyna z przyciemnionymi szybami. Jerry zmarszczył brwi, zaskoczony.

- Ma pan towarzystwo, panie McCooley! - powiedział porozumiewawczym tonem.

Alistair znał właściciela limuzyny i on także skrzywił się lekko.

- No tak, oczywiście! - powiedział niezadowolonym tonem. - Musiał wiedzieć o naszej wizycie. Kto go uprzedził?

- Nie mam pojęcia, proszę pana. Ale zostanę tutaj i zaczekam na was, jeśli pan sobie życzy.

- Dziękuję, Jerry. Wydaje mi się, że to nie powinno trwać zbyt długo.

- Proszę się nie spieszyć - odpowiedział szofer, nie spuszczając wzroku z limuzyny.

Alistair wysiadł z samochodu i podszedł do Oskara, który tymczasem podziwiał koronkową, żelazną budowlę, której wierzchołek, hen, wysoko w chmurach, trudno było

dostrzec gołym okiem.

- Chodź, Oskarze, pojedziemy windą w północnym filarze. To jeszcze nie koniec niespodzianek.

Podeszli do windy, gdzie oczekiwała ich już młoda, uśmiechnięta dziewczyna. Miała króciutkie szorty, białą bluzkę koszulową, przewiązaną w talii i czarne szpilki na wysokich obcasach. Miała karminowe usta w kształcie serduszka, mały, lekko zadarty nosek i ciemne, lśniące loki. Wyglądała po prostu zachwycająco i widać było, że jest bardzo w typie Alistaira. Młody człowiek uśmiechnął się równie promiennie i zaczął przestępować z nogi na nogę.

- Dzień dobry, Fifties! - wyjąkał. - Więc... otóż tak, chciałem... to znaczy... chciałem ci przedstawić... hm, hm...

Oskarowi było blisko do śmiechu, doskonale rozpoznawał ten stan - podobny ogarniał go już wiele razy, kiedy rozmawiał z Tillą. Niemal mu ulżyło, kiedy zorientował się, że nawet młody mężczyzna w wieku Alistaira może być równie zmieszany wobec jakiejś dziewczyny, co trzynastolatek.

Kiedy Alistair odchrząknął po raz dziesiąty, Oskar postanowił załatwić tę sprawę samodzielnie.

- Dzień dobry, mam na imię Oskar, Oskar Pill. Jesteśmy tutaj z kimś umówieni, pan McCooley i ja. Jednak nie wiem jeszcze właściwie z kim - dorzucił, pochylając się w stronę dziewczyny. Alistair tymczasem starał się bezskutecznie ściągnąć z siebie marynarkę, jakby nagle zrobiło mu się bardzo gorąco.

- Bardzo mi miło! - odparła dziewczyna. Jedną ręką opierała się o biodro, a drugą odgięła do tyłu, za głowę, zupełnie jakby brała udział w jakiejś sesji zdjęciowej. - Ja się nazywam Fifties Pinup, zaprowadzę was na miejsce. Proszę bardzo, zapraszam,

wejdźcie! - dodała, wskazując im wejście do windy.

Obydwaj Medykusi weszli do środka, drzwi windy zamknęły się, a Fifties paplała rozkosznie dalej, nie odrywając oczu od Alistaira, który nie wiedział, gdzie ma uciec wzrokiem.

- No cóż, witajcie, ta budowla, jak widać, jest doskonałą repliką wieży Eiffla. Ach, kocham Paryż, a pan, panie McCooley? - spytała, dotykając palcem swoich krągłych usteczek. Paznokcie pomalowane miała na czerwono.

- O, ja też... ja też... pocham Karyż! To znaczy... ja też kocham Paryż jak najbardziej!
- dukał Alistair.

- Po waszej prawej stronie widzicie w dole północne dzielnice Pleasantville - ciągnęła ich urocza przewodniczka. - A po waszej prawej stronie... eee...

Wahała się przez chwilę, a potem dodała:

- ... dzielnice południowe? Ups, sama już nie wiem! - wyznała, wybuchając rozkosznym śmiechem.

Alistair, cały purpurowy, zachichotał, nie bardzo wiadomo, dlaczego. Oskar też się roześmiał, bardziej jednak na widok zachowania Alistaira niż z powodu słów Fifties. Niebawem jednak przestał na nich zwracać uwagę. Zajęli się głęboko filozoficzną dysputą na temat dzielnic południowych i północnych, on zaś podziwiał widoki, wyglądając przez przeszklone ściany windy. Nigdy jeszcze nie widział swojego miasta z takiej wysokości, wydawało mu się piękniejsze niż kiedykolwiek. Dostrzegł swoją dzielnicę, zdawało mu się nawet, że rozpoznaje Kildare Street i dach, pokryty wielobarwnymi dachówkami - niektórych brakowało - należący do jego rodzinnego domu. Wyobraził sobie ten sam widok w nocy, przy bezchmurnym niebie. Przyszło mu na myśl, że Violette na pewno bardzo by się tutaj podobała, gdyby mogła tu teraz być,

bliżej słońca i gwiazd niż ziemi. Głos Fifties wyrwał go z rozmarzenia.

- Dojechaliście na miejsce! - powiedziała takim tonem, jak gdyby zapowiadała wyjście jakiejś gwiazdy na scenę.

Wyszli z windy i ich stopy zagłębiły się w miękkim, puszystym, czarnym dywanie. Oskar rozglądał się dookoła z zapartym tchem. Winda otwierała się wprost na olbrzymi, półokrągły salon, w dużej części przeszklony. Oskar zapomniał o całym świecie i podbiegł szybko do okien, jakby był u siebie w domu. Wydawało mu się, że ma pod stopami całą planetę, a na horyzoncie widać było, że ziemia jest okrągła.

- Dwieście siedemdziesiąt cztery metry! - dodała dla pewności Fifties, pozując z wdziękiem pod ścianą, w głębi pokoju. - Przez chwilę możecie podziwiać widoki, dobrze? Ona za chwilę tu przyjdzie - szepnęła jeszcze do ucha Alistairowi. - Do zobaczenia niebawem!

- ... widzenia! - mruknął młody człowiek, siadając na brzegu olbrzymiej kanapy w kolorze jaskrawej czerwieni. Wzrokiem śledził krągłe krzywizny panny Pinup, która znikwała właśnie za pięknymi schodami z marmuru.

Alistair odłożył marynarkę i wachlował się jakimś kobiecym magazynem mody, który leżał na niskim stoliku. Jego blat opierał się na szklanej kuli, a wazon z purpurowymi amarylisami był jego jedyną ozdobą. Oskar nadal stał z nosem przylepionym do okna, zafascynowany widokiem w dole. Podskoczył nagle, kiedy za jego plecami rozległ się głos śpiewaczki operowej.

- Alistair, kochanie, jak miło pana widzieeeeć! Cóż to za radość! Niechże mnie pan ucałuje...

Oskar natychmiast się odwrócił.

Na szczycie schodów stała wysoka kobieta o bardzo ciemnych, równo przystrzyżonych włosach. Nosiła długą, powłóczystą, czarną suknię, mocno wydekoltowaną. Rozcięcie z boku sukni ukazywało zgrabne nogi. Kobieta miała na rękach długie, sięgające łokci rękawiczki. Opierała się lekko na złoconej poręczy, w drugiej dłoni zaś trzymała cygarniczkę z papierosem.

Posłała swoim gościom nieco sztywny, acz nader wystudiowany uśmiech i zaczęła schodzić ze schodów krokiem przywodzącym na myśl gwiazdy musicalowe. Jej pantofle miały obcasy jeszcze wyższe niż szpilki Fifties. Dama posuwała się mimo to niezwykle zgrabnie, widać było, że musi mieć sporą wprawę. Kiedy już dotarła na sam dół, wyciągnęła dłoń w kierunku Alistaira, a on ujął ją z wdziękiem. Dało się zauważyć, że już odzyskał zwykłą swobodę.

- Cudownie pani wygląda! - rzekł z promiennym uśmiechem.

- A pan, mój skarbie, wygląda jak strach na wróble, jak zwykle! - powiedziała, obrzucając go szybkim spojrzeniem od stóp do głów. - Jaka szkoda! Gdyby pan o siebie zadbał, byłby pan taki interesujący... Mógłby pan mi się niemal spodobać!...

- Byłbym zachwycony! - odparł Alistair. - Ale chyba jednak poddam się w tej kwestii.

Dama posłała mu gorące spojrzenie spod uczernionych powiek, ozdobionych sztucznymi rzęsami. Podeszła do kanapy, okręciła się na swoich niebotycznych obcasach i usiadła z wdziękiem. Założyła nogę na nogę, pogłaskała aksamitne obicie i oparła się, przybierając pozycję prawdziwej gwiazdy filmowej.

- Lubię czerrwoony i czaarrny! - powiedziała, przeciągając każdą zgłoskę jak Greta Garbo. - Ta zieleń Medykusów przyprawia mnie o dreszcze, zostawiam to mojej rodzinie...

Od chwili, kiedy się pojawiła, Oskar nie spuszczał z niej oczu. Przypominała mu bohaterki starych filmów, które jego mama czasem oglądała wieczorami, roniąc łzy i twierdząc stanowczo, że współczesne kino nie jest już nawet w połowie tak romantyczne. Oskar nie bardzo odróżniał Elizabeth Taylor od Avy Gardner, tymczasem Celia mówiła o nich wszystkich z takim przejęciem... Ta kobieta przywodziła mu je teraz na myśl. Tyle tylko, że aktorki grające w filmach były bardzo młode i piękne, tymczasem dama siedząca na kanapie nie była już pierwszej młodości. Uważniejsze spojrzenie odkrywało siateczkę drobnych zmarszczek wokół ust, oczu, a także na szyi. Tylko jej śliczne, zielone oczy - które Oskarowi kogoś przypominały, nie mógł sobie jednak przypomnieć, kogo - zachowały blask i temperament młodej dziewczyny. W każdym razie, jeśli naprawdę była to gwiazda filmowa, musiała grać w wielu filmach...

Kobieta spojrzała na Oskara. Alistair postanowił go przedstawić.

- Palomo, chciałbym pani przedstawić młodego, niezwykle obiecującego Medykusa. Jeden z tych śmiałków, którzy nie dają sobie w kaszę dmuchać, wie pani, że lubię takich... Oskarze, masz zaszczyt poznać słynną panią Palomę.

- Proszę milczeć, sama poznam się z tym młodzieńcem, niechże mi pan pozwoli... A zatem przybył pan tutaj z jego powodu, a nie po to, żeby mnie odwiedzić, podły pochlebco! Wiedziałam, nie było pana tutaj od dawien dawna!

- Nie będzie pani zainteresowana moją skromną osobą, kiedy powiem pani, kim on jest. To Oskar Pill.

Paloma wyprostowała się nagle. Odłożyła cygarniczkę do kryształowej popielniczki - nigdy nie paliła papierosów, tytoń fatalnie wpływa na cerę, poza tym nie znosiła dymu - i nie spuszczać Oskara z oczu, zaczęła dyskretnie szukać czegoś pod jedną z poduszek na kanapie. Znalazła w końcu małą torebkę, czarną kopertę, wyszywaną brylancikami. Wyjęła z niej okulary, które trzymała ukryte za plecami.

- Alistair, czy mógłby pan obejrzeć sobie widok za oknem, w czasie kiedy będę rozmawiać z naszym młodym gościem?

Alistair ruszył w stronę szklanej ściany swoim szybkim, nierównym krokiem, a pani Paloma dyskretnie włożyła okulary i poddała Oskara dokładnej obserwacji, jakby był jakimś okazem na targu. Zdjęła je jednak równie szybko i niezwykle teatralnym gestem położyła dłoń na sercu.

- Ależ to prawdziwy szok, Alistairze! Ten chłopiec z pewnością jest synem Vitalego Pilla, jego twarz to mówi!

- Winston Brave pani nie uprzedził?

- Uprzedzał mnie, to prawda, sądziłam jednak, że żartuje!

Pochyliła się i po raz kolejny przyjrzała się uważnie Oskarowi, mrużąc oczy. Później odchyliła się do tyłu i wróciła do swojej eleganckiej pozycji. Uśmiechała się przebiegle.

- Jest zresztą równie piękny jak jego ojciec. Jakie to szczęście, że nie jest dziesięć lat starszy, doprowadziłby mnie do szaleństwa...

- On zapewne także straciłby głowę dla pani! - odparł Alistair, usiłując poprawić swoją fryzurę i marynarkę, która krzywo leżała na ramionach. - Jak my wszyscy zresztą!
- dorzucił, w ramach niezbyt zgrabnego komplementu.

Paloma jednak była zadowolona.

- Niech mi pan wybaczy, skarbie, ale prawdę powiedziawszy, nie jest pan wcale w moim typie. Ulegam za to bezwolnie mężczyznom takim jak Vitali Pill - dodała rozmarzonym tonem.

Oskar nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Trudno mu było wyobrazić sobie mężczyznę, którego znał ze zdjęć w albumie, z tą damą, która mogłaby odegrać znaczącą rolę w czasie jakiejś gali w Hollywood.

- Co cię tak bawi, chłopcze? - spytała Paloma, nagle jakby bardziej pochmurna.

Alistair spojrział na swojego podopiecznego i zrobił wielkie oczy.

- Nic takiego, proszę pani - powiedział przepaszającym tonem Oskar. - Cóż, moja mama trochę jest do pani podobna, to prawda, pomyślałem w związku z tym, że mojemu ojcu... pani także musiała się bardzo podobać.

Alistair dyskretnie westchnął z ulgą, a Palomie znacznie poprawił się nastrój.

- Jest po prostu uroczy! - powiedziała, muskając podbródek chłopca. - Jest śliczny i umie rozmawiać z kobietami, będzie z niego wspaniały mężczyzna. Powinien pan brać z niego przykład, Alistairze.

Nie dała dojść do słowa młodemu człowiekowi. Wstała gwałtownie, jak gdyby nagle zaczęło jej się gdzieś spieszyć.

- No cóż, Wielki Mistrz Medykusów nie dzwoniłby przecież do mnie tylko po to, bym mogła sobie obejrzyć tego uroczonego chłopca, a pan także nie przybył tutaj, by mnie uwodzić... Idziemy, kochani!

Ruszyła naprzód, trzymając się prosto, i wysuwając brodę do przodu, gestykulowała bezustannie, a jej dłonie przypominały fruujące ptaki. Sunęła w stronę schodów i zaczęła na nie wchodzić, kołysząc się lekko w biodrach. Jej goście szli za nią.

Przeszli przez długi korytarz, gdzie Oskar mógł do woli podziwiać niezliczone portrety i zdjęcia Palomy z mężczyznami w różnym wieku i o najrozmaitszym

wyglądzie. Przechodząc, dotknęła delikatnie pewnej fotografii.

- Ach, ten kochany Brad... Mój Boże, jakże Angelina miała mi to za złe rok temu!... Nie macie pojęcia, jaka jest zazdrosna! Za to ten tutaj - ciągnęła, wskazując na zdjęcie George'a Clooneya - straszliwie mnie rozczarował. Nadaje się wyłącznie do tego, by parzyć kawę!

Dotarli nareszcie do innej windy znajdującej się na drugim końcu apartamentu. Fifties oczekiwała ich już na stanowisku.

- Ta mała to skarb, prawda? - zawołała Paloma na jej widok i pogłaskała ją po policzku. Następnie dorzuciła, patrząc na usta dziewczyny:

- Kochanie, nie psuj mi humoru i zrób coś natychmiast z tą szminką. Za mocno się umalowałaś, to tak pospolicie wygląda!... I popraw tę bluzkę, widzisz sama, jak powiewa i dziwnie się układa, ktoś mógłby pomyśleć, że wzięłaś jedną z koszul ojca. Nie pracujesz przecież w klasztorze ani dla mojej siostry - chociaż trzeba przyznać, że są tacy, którzy uważają, że to jedno i to samo. Ależ nie, nie przebieraj się tutaj, w tej windzie! - dodała Paloma, przewracając oczami.

Fifties, rozwiązując już radośnie mały skrawek materiału, który zresztą w żadnym miejscu nie powiewał, zamrugła zdziwiona.

- Ale przecież... powiedziała pani „natychmiast”.

- Miałam na myśli szminkę, a poza tym tylko tak się mówi, rozumiesz. Zwieź nas najpierw na dół, a potem znajdziesz ustronne miejsce, gdzie będziesz się mogła zająć tymi sprawami.

Odwróciła się do Alistaira i Oskara.

- Zresztą... to miłe dziewczątko tym się właśnie zajmuje przez większość czasu. Rozkoszna, to prawda, ale zorientowaliście się już chyba, że jest przy tym trochę niemądra.

- No... sam nie wiem, nie... to znaczy, jeśli pani tak uważa... - wyjąkał Alistair, starając się możliwie najdyskretniej zerkać w stronę Fifties.

Paloma popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Ach, widzę... no cóż, jest pan prawdziwym mężczyzną. Nie bierz z niego przykładu, kochanie, pamiętaj! - dodała, zwracając się do Oskara, w chwili kiedy zjechali już na dół i drzwi windy się rozsunęły.

Paloma wyszła z windy, a goście ruszyli jej śladem.

Weszli do prostokątnego, białego pomieszczenia, pozbawionego okien. Kilka osób w zielonych bluzach krążyło energicznie, choć bezszelestnie po idealnie czystej posadzce. Młoda kobieta w kombinezonie i rękawiczkach podeszła do nich i wręczyła taką samą zieloną bluzę Palomie, która niechętnie ją założyła.

- Ta zieleń do czarnej sukienki, koszmar... Ale trudno, trzeba czasem ustąpić wobec praw Zakonu.

- Gdzie my jesteśmy? - spytał Oskar, zaintrygowany.

- W piwnicach pod wieżą - odparł Alistair.

Paloma majestatycznym ruchem odsunęła Alistaira, stojącego między nią a Oskarem i wyrecytowała tonem diwy:

- Oskarze, witaj w jednostce PALOMA: Preparaty i Akcesoria Lokalizacyjno-

Obronne dla Medykusów w Ataku.

Oskar zrobił kilka kroków, oniemiały. Pośrodku sali stało dziesięć stołów, przy każdym z nich ktoś pracował przed ekranem komputera, przy mikroskopie lub przy hermetycznych pojemnikach ze wzmocnionego tworzywa, wewnątrz których manipulowano w bardzo grubych rękawicach dziwnymi przedmiotami. Pod ścianami ciągnęły się oszklone boksy.

- Zaraz się przekonasz, Oskarze, co ci możemy zaoferować, gdybyś musiał się bronić przed jakimś napastnikiem, ale także po to, byś stał się znakomitym Medykusem. Znajdziesz tutaj każdy rodzaj broni i innych narzędzi wyprodukowanych przez nas dla członków Zakonu. Twój ojciec bywał u nas w swoim czasie - dorzuciła Paloma nieco ciszej. - Mam nadzieję, że będziesz umiał równie dobrze jak on korzystać z naszych produktów.

Ta sama młoda kobieta znowu podeszła do nich z dwiema bluzami - tym razem dla Alistaira i Oskara; włożyli je. Oskar zauważył Literę wyhaftowaną na kieszonce z przodu.

Paloma poprowadziła ich w stronę pierwszego boksu. Oskar wszedł za nią do środka, Alistair zaś został na zewnątrz, dyskutując zawzięcie z jakimś badaczem.

W głębi boksu była wnęka oddzielona od reszty pomieszczenia szklaną ścianką. Stał tam drobny, jasnowłosy mężczyzna, przyodziany tak, jakby wybierał się w podróż na Księżyc. Od stóp do głów okryty był kombinezonem z dziwnego materiału. Paloma podeszła do blatu i nacisnęła guzik mikrofonu.

- Dzień dobry, Hugo!

- Dzień dobry pani! - odparł.

Jego głos rozbrzmiewał w głośnikach wiszących nad ich głowami.

- Jakże się miewa pana podopieczny? - spytała Paloma.

- Świetnie, niestety! Ale dzięki nowej formule Viradormiksu mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Oskar także podszedł bliżej i zauważył w głębi salki, nieopodal Hugona, poskręcaną, czarną masę. Kiedy Hugo rzucił na podłogę zieloną kulkę, rozległo się dziwne pochrząkiwanie.

Kłębek rozwinął się i Oskar rozpoznał potwora z sennego koszmaru, który nawiedził go kilka dni wcześniej. Oskoczył do tyłu.

- No proszę! Czyżbyś spotkał się już z tym uroczym osobnikiem? - spytała Paloma.

- Nie do końca - widziałem go we śnie, ale wystarczyło...

- Widzisz, powinieneś się temu przyjrzeć: to wirus. Wirusy są wszędzie, jest ich coraz więcej, i to we wszystkich Uniwersach. Ten tutaj pochodzi z drugiego Uniwersum - to zdaje się tam właśnie masz się znowu udać niebawem, prawda?

Oskar kiwnął głową i przyglądał się koszarnej bestii, nie czuł się przy tym zbyt pewnie. Jeśli w trakcie wypraw do wewnętrznych Uniwersów miał napotkać na swojej drodze coś takiego, oznaczało to, że Introdukcje mogą się okazać znacznie bardziej niebezpieczne, niż mu się kiedykolwiek wydawało. Miał wrażenie, że jego wymarzony cel oddala się z prędkością Formuły 1. Zdobyć wszystkich pięciu Trofeów i sięgnięcie po tytuł doświadczonego Medykusa nie przyjdzie mu tak łatwo, jak sądził. Odsunął od siebie te czarne myśli; wolał posłuchać tego, co mówiła Paloma.

- Schwytaliśmy go rok temu, wszczepiliśmy mu czip pod skórę, a na czubku ucha

zamontowaliśmy mikrokamerę. Potem wypuściliśmy go na wolność. Później go znowu odnaleźliśmy, co pozwoliło nam zdobyć wiele informacji na temat tego wirusa i jego kolegów: znamy teraz ich obyczaje, wiemy, czym się karmią, jak żyją, w jaki sposób zatruwają Uniwersum i jak je niszczą. Pomogło nam to też zrozumieć działania Patologusów, którzy modyfikują wirusy i sprawiają, niestety, że stają się one odporniejsze. Tutaj specjalistą od wirusów jest Hugo Denlamer.

Znowu włączyła mikrofon.

- Hugo, kochanie, pospiesz się trochę i pokaż nam działanie tej nowej formuły Viradormiksu, bardzo cię proszę. Mam ważne spotkanie z uroczym mężczyzną, ale ma zaledwie dwadzieścia pięć lat i w głowie się nie mieści, do jakiego stopnia brakuje cierrpliwości, kiedy człowiek jest taki młody...

Hugo wyjął z kieszeni medalion, taki sam jak ten, który miał na szyi Oskar: duża litera M otoczona złotym kręgiem. Skierował medalion w stronę zielonej kulki. Promień zmienił barwę substancji; najpierw stała się złocista, a później - czerwona. Potwór rzucił się na kulkę i pochłonął ją.

- Hugo wynalazł doskonały preparat: pod wpływem promienia pochodzącego z medalionu przybiera barwę krwi i staje się wyjątkowo apetyczny dla wirusów, uwielbiają to. Tymczasem po kilku chwilach...

Oskar obserwował bestię. Olbrzymi czarny kłęb początkowo zataczał się lekko, a w końcu opadł na cztery łapy i zaczął cicho szczekać jak niegroźny szczeniaczek. Chwilę później rozpląszczył się na posadzce, ogłuszająco chrapiąc.

Hugo odwrócił się do nich z uśmiechem:

- Niestety nie wiem jeszcze, jak długo ten środek będzie działał.

- Cóż, ja i Oskar już pana zostawiamy, skarbie, na pewno pan to sobie obliczy. Do widzenia! - powiedziała, odciągając chłopca za pomocą swojej nieodłącznej cygarniczki w stronę wyjścia z boksu. - Idziemy, chłopcze, muszę ci jeszcze pokazać parę prze-cu-dow-nych rzeczy!

Paloma ominęła wejście do następnego boksu i otworzyła drzwi do trzeciego, po czym wkroczyła do środka królewskim krokiem, a jej czarna suknia powiewała za nią jak welon panny młodej.

- Livio, kochanie, co pani tu dla nas przygotowała? Chciałabym pani kogoś przedstawić: oto nasz uroczy Oskar Pill, który pewnego dnia stanie się z pewnością mężczyzną ze wszech miar wspaniałym, silnym, przystojnym, odważnym i...

Młoda kobieta z długimi, ciemnymi włosami, zwiniętymi w węzeł na karku podniosła głowę z uśmiechem. Zdjęła okulary ochronne i przerwała ten potok komplementów na temat przyszłych zalet młodego Medykusa.

- Co by powiedział ten obiecujący młodzieniec, gdybym zaproponowała mu wykonanie próby z moim ostatnim laserem gamma? - zapytała.

- Ależ to świetny pomysł, kochanie!

Równie zachwycony Oskar włożył okulary, które podała mu Livia, i wziął do ręki swój medalion. Livia pokazała mu półkulisty przedmiot z kryształu, oszlifowanego tak, że jego powierzchnia tworzyła wiele płytek.

- Kąt załamania płytek został bardzo precyzyjnie, komputerowo wyliczony w taki sposób, by maksymalnie skoncentrować promień wydostający się z medalionu. Promień dzięki temu działa jak bardzo cienkie ostrze. Zdołasz tym przeciąć wszystko, co zechcesz wewnątrz organizmu. Wszystko. Możesz przeprowadzić test na tym betonowym bloku.

Chłopiec wsunął swój medalion do wnętrza półkulistego kryształu.

- Wyceluj medalionem w przedmiot, który chcesz rozciąć - powiedziała Livia. - I powiedz „laser gamma”.

- Laser gamma! - krzyknął Oskar.

Litera M przekształciła się nagle w ognisty krąg. Wystrzelił z niej zielony promień, uderzył w kryształową powierzchnię, rozszepił się, a następnie połączył i przeniknął dalej w formie wspaniałego, niezwykle jasnego strumienia światła o grubości włosa. Zagłębił się w betonowej powierzchni, jakby była bryłą masła. Oskar rozciął blok jednym ruchem, dwie części rozpadły się na boki.

- Doskonale! - pochwaliła go Paloma, bijąc lekko brawo. - Tej broni ulegnie każde ciało obce, w każdym Uniwersum. Dziękuję ci, moja droga, zostawimy cię już teraz w spokoju, możesz kontynuować próby, a my ruszamy dalej.

Wyszli z boksu: Alistair gdzieś zniknął, Fifties także.

- Co widzę, nikogo już nie ma? - spytała Paloma, nieco zdziwiona. - Ale przecież jeszcze daleko do końca. Musisz jeszcze zrozumieć, jak działa Dezintegrator, Surventex, Tonivax, a Fabien zaprezentuje nam, jakie efekty osiąga się z pomocą Muraliny i...

- Muralina? Palomo, chyba straciłaś rozum.

Oskar gwałtownie się odwrócił. Rozpoznałby ten głos pomiędzy setkami innych głosów.

Paloma westchnęła głęboko i odwróciła tylko głowę.

- Berenice, jak miło cię widzieć. Brakowało nam tu kogoś bardziej serio, by nasz

seans zyskał nieco powagi.

Berenice Withers rozejrzała się dookoła, jak gdyby kogoś szukała.

- Nie widzę tu ani jednej kamery, brak też fleszy paparazzich. Możesz zetrzeć ten makijaż i założyć bardziej stosowny strój, Palomo.

Oskarowi chciało się śmiać. Z przyjemnością obserwował panią Withers, z jej ciętym językiem i talentem do szybkiej riposty. Pod pozorami delikatnej, starszej pani z siwymi loczkami, przyodzianej w kostium, który nawet królowa Anglii uznałaby za zbyt staroświecki, pani Withers była niczym wulkan gotowy w każdej chwili wybuchnąć. Kim w rzeczywistości była Paloma, skoro wystawiała się na takie niebezpieczeństwo?

Pani Withers zbliżyła się do rywalki. Paloma także się do niej uśmiechnęła i serdecznie się ucałowały.

- Dzień dobry, moja droga, kochana siostró!

ZAKAZANA BRONŃ

Oskar mało się nie przewrócił ze zdziwienia.

- To panie... panie są siostrami?

- O tak, wiem, wiem - odezwała się Paloma tonem bohaterki antycznej tragedii. - Niczym nie zasłużyłam na taki los! A poza tym, czy ona nie wygląda raczej jak moja matka albo wręcz - jak moja babka? Powiedz sam, mój kochany Oskarze...

Oskar powstrzymał się od jakiegokolwiek odpowiedzi. Nie zamierzał obrażać ani

jednej, ani drugiej. W sumie Paloma wyglądała jak starsza pani przebrana za młodą dziewczynę, a pani Withers - mimo wyglądu babuni - miała temperament żywszy od niejednej nastolatki. Łączyła je jednak pewna cecha wspólna - podobne zielone oczy błyszczące złościwością, chociaż oczy Palomy, podkreślone ciemnym tuszem, wydawały się nieco jaśniejsze.

Berenice odpowiedziała za chłopca:

- Cóż, zobaczymy, jak to będzie wyglądało za jakiś czas, po dziesięciu operacjach plastycznych. Ale póki co - syknęła ciszej, poważniejąc - wiesz przecież, że chłopiec ma trzynaście lat, nie mogłaś włożyć czegoś z mniejszym dekoltem?

- Po pierwsze, Oskar nie przyszedł tu sam - powiedziała Paloma, głaszcząc chłopca po policzku. - Po drugie, chłopiec trzynastoletni też kiedyś przecież dorasta. No i niedługo mam randkę. Tłumaczyłam ci kiedyś - trzeba zachować gotowość o każdej porze dnia i nocy, Berenice.

- Gotowość? Ale do czego? - zapytał Oskar, zapominając o tym, że miał zachować dyskretne milczenie.

- Do spotkania, kochanie! Nie wiemy, co takiego los nam szykuje. Gdybyś mnie tylko posłuchała... - ciągnęła, zdejmując z miną pełną niechęci cytrynową apaszkę z szyi siostry. - Gdybyś tylko częściej mnie słuchała, gdybyś brała pod uwagę moje rady dotyczące ubioru, być może wyszłabyś za mąż, może nawet i teraz miałabyś u swych stóp licznych wielbicieli...

- A gdybyś ty mnie słuchała - powiedziała pani Withers - może nie wychodziłabyś pięciokrotnie za mąż, nie rozwiodłabyś się tyle samo razy i może dałoby się policzyć twoich niezliczonych kochanków.

Paloma potraktowała te słowa jak komplement. Zerknęła na wysadzany brylantami

zegarek z białego złota i nagle bardzo się zdenerwowała.

- Ach, mój Boże, jestem już pół godziny spóźniona! Oczywiście zwykle warto kazać komuś na siebie czekać, ale bez przesady! Pamiętaj o tym, kochanie, zanotuj to sobie - zwróciła się do młodego Medykusa. - I nie bierz z niej przykładu. Słuchaj moich rad, jestem w tej kwestii wybitnym ekspertem!

- To akurat jest więcej niż pewne - skwitowała pani Withers.

- Lecę, kochani!

Jej siostra próbowała ją zatrzymać:

- Ja też przed chwilą spotkałam się z kimś, chociaż to wcale nie była randka, i chciałabym ci o tym opowiedzieć. To ważne! - dodała, rzucając szybkie spojrzenie w stronę Oskara.

- Nie-moż-li-we, moja droga! Może dziś wieczorem, po moim powrocie, albo jutro rano. Przypominam ci, że żyjemy pod jednym dachem!

Oskar był w coraz większym szoku. Pani Withers mieszkała tutaj w wieży! Chętnie rzuciłby okiem na jej mieszkanie... Mógł się założyć o wszystko, że jej dom w niczym nie przypominał salonów jej siostry, musiał być zupełnie odmienny, podobnie jak ich stroje i wygląd.

Paloma przebiegła przez pomieszczenie jednostki noszącej jej imię, nie pilnując wcale kołyszącego się kroku i manier gwiazdy kroczącej powoli po czerwonym dywanie. Zatrzymała się i wzięła do ręki jakąś sakwę, którą wręczyła Oskarowi.

- Mamy tutaj wszystko, młody człowieku - powiedziała. - Moja ekipa przygotowała tę torbę specjalnie dla ciebie, starannie i uważnie, znajdziesz tu wszystko, czego ci

trzeba, na każdą okazję. Życzę ci szczęścia i uważaj, nie zepsuj ani nie stłucz niczego, każda z tych rzeczy jest warta fortunę! Gdzie jest Alistair? Kto cię odwiezie do Cumides Circle?

- Alistair jest na górze, sama go tam posłałam - powiedziała pani Withers. - Stara się zatrzymać tam pewnego niepożądanego gościa. O nim właśnie chciałam porozmawiać, Palomo. Na osobności. To nam zajmie dosłownie kilka minut...

- No proszę, można powiedzieć, że przychodzę we właściwej chwili...

Ten zimny, uszczypliwy ton sprawił, że wszyscy zamilkli.

Pani Withers zerknęła na Alistaira stojącego w głębi, w pobliżu windy. Wzruszył bezradnie ramionami. Robiłem, co w mojej mocy, ale nie byłem w stanie go powstrzymać - wyczytała z ruchu warg młodzieńca.

Fletcher Worm ruszył wolno w kierunku damy mającej tu pełnię władzy. Paloma uśmiechnęła się chłodno - wśród wielu umiejętności ćwiczyła między innymi talent do ukrywania wszelkiego zaskoczenia. Uniosła do ust cygarniczkę i wyciągnęła w kierunku Worma dłoń... która zawisała w próżni. Worm nie miał zamiaru jej ucałować ani dziś, ani kiedy indziej. Rysy jego twarzy były napięte bardziej niż kiedykolwiek, a zwężone oczy wydawały się już tylko dwiema błyskającymi szparkami. Popatrzył uważnie na wszystkich, aż natknął się na Oskara, któremu posłał ciężkie jak głaz spojrzenie.

Paloma opuściła w końcu rękę i spiorunowała Worma wzrokiem.

- Czemu zawdzięczam tę przyjemność spotkania pana tutaj tak nagle i bez zapowiedzi, Fletcher? - spytała lodowato, kładąc szczególny nacisk na słowa „bez zapowiedzi”.

Było oczywiste, że nie musi specjalnie odgrywać pogardy, przychodziło jej to łatwo i

naturalnie. Worm niemal nie zwrócił na nią uwagi. Długo i uważnie przyglądał się pracy w laboratorium, później znowu spojrzął na Palomę.

- Rozmawiałem właśnie na ten temat z pani siostrą, która powiadomiła mnie, że pani laboratorium będzie na razie niedostępne dla młodych Medykusów. I kogóż tu widzę? Młodego Pilla. Co za niespodzianka, doprawdy, co za wielka i przykra niespodzianka... Zwłaszcza że ci sami młodzi Medykusi dawali do tej pory dowody braku doświadczenia i słabych umiejętności! - dorzucił, patrząc na Oskara. - Ale nie dziwi nas to wcale, kiedy zna się historię rodziny Pilla...

Młody Medykus nie mógł się pohamować.

- Zabraniam panu mówić o mojej rodzinie! - krzyknął. - I nie ma pan zielonego pojęcia o tym, co umiem zrobić w Uniwersum...

- Zabraniasz mi? - powtórzył Worm.

Zaśmiał się krótko i ciągnął dalej:

- Tymczasem z tego, co wiem, podczas tej pierwszej Introdukcji do drugiego Uniwersum niewiele brakowało, a Iris Flockhart zostałaaby ciężko ranna. I zapewne zupełnie przypadkowo była akurat w twoim towarzystwie, młody człowieku.

- To była wina Mossa! Sam pan powiedział, że się nim pan opiekuje, wobec tego proszę go spytać, dlaczego użył swojego medalionu, by spuścić na nas blok skalny!

Pani Withers wtrąciła się, by zakończyć tę kłótnię.

- Oskar, bardzo cię proszę! - powiedziała tonem, który nie dopuszczał jakiegokolwiek sprzeciwu.

Młody Medykus posłusznie ucichł. Worm podszedł do niego bliżej.

- No, proszę, jaki bezczelny. Ale to także wcale mnie nie dziwi - ma to po ojcu. I wiemy, do czego to doprowadziło.

Alistair i pani Withers stanęli szybko między Wormem a chłopcem. Znali dobrze ich obu i wiedzieli, czego się można spodziewać. Worm nie musiał się specjalnie starać, żeby objawić swoje okrucieństwo i zrzeczność, wystarczyło kilka słów, by wyprowadzić Oskara z równowagi. Tymczasem chłopiec miał wiele do stracenia.

Worm wyprostował się.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że mnie okłamałaś, Berenice, wniosek nasuwa się zatem sam - podejrzewam, że po raz kolejny Winston Brave zmienił plany i nie powiadomił nas o tym. A wizyta Oskara w PALOMIE była od dawna zaplanowana.

- Może pan sobie podejrzewać, co się panu żywnie podoba, i na tym poprzestańmy.

- Na pewno na tym nie poprzestaniemy!

- Szczerze panu radzę, Fletcher, niech pan rozważy raz jeszcze swoją odpowiedź - i bardzo proszę, niech pan nie przekracza pewnych granic!

Berenice Withers podniosła głos i jego niezwykła siła oszołomiła wszystkich dookoła. Tak się zresztą działo za każdym razem, kiedy jej się to przytrafiało. Zmieniał się cały jej wygląd, nie była już delikatną starszą panią, ale lwicą gotową w każdej chwili do ataku. W laboratorium zapadła cisza jak makiem zasiał, nawet laboranci na chwilę zamarli w pół ruchu. Oskar miał nadzieję, że rozpęta się awantura, ale Worm zdecydował się zachować ostrożność. Pani Withers była szanowana i wpływowa, miała wielką siłę, wiedział o tym. Nie powinien zadzierać z nią w obecności innych członków Zakonu i Rady Najwyższej.

- Chciałem powiedzieć tylko tyle - oznajmił Worm głosem jeszcze bardziej świszczącym niż zwykle - że inne dzieci powinny także móc korzystać z geniuszu Palomy Withers i jej pracowników. Tak byłoby sprawiedliwie. Każde z nich powinno dostać taką torbę z wyposażeniem - dodał, wskazując swoim cienkim, pajęczym palcem na sakwę leżącą na stole.

- To śmieszne! - ucięła Paloma, po raz pierwszy odkładając swoją cygarniczkę na stolik. - Po pierwsze, moje laboratorium nie jest supermarketem z bronią dla Medykusów, po drugie - nie każdy Medykus potrzebuje broni.

- A zatem powiedzmy, że powinna być przynajmniej jedna taka torba na grupę.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - spytała pani Withers tylko odrobinę łagodniejszym tonem. - Czy pana zdaniem dzieci nie stanowią jednej grupy? Wszystkich nas łączy walka z tym samym wrogiem, mam nadzieję, że pan o tym nie zapomniał. I w tym właśnie celu postanowiliśmy kształcić zastępy młodych Medykusów, żeby przynieśli swoje Trofea z drugiego Uniwersum. Chciałabym, żeby nasza walka ich połączyła i żebyśmy przekazywali im wspólne wartości, a nie przeciwstawiali jednych drugim.

Worm wiedział oczywiście doskonale, podobnie jak wszyscy pozostali, że dzieci faktycznie podzielone były na dwie grupy: jego własną i grupę pani Withers. Nie dał się jednak złapać w zasadzkę.

- Ależ zgadzam się jak najbardziej! Alistair McCooley podzielił jednak dzieci na dwa zespoły, nawet jeśli to nie do końca dobry pomysł.

Alistair przyjął ten ledwo zawołany zarzut, a pani Withers zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała. Worm bardzo zgrabnie odbijał wszystkie argumenty, nie miała więc wyboru.

- Dobrze, będą zatem dwie takie torby, skoro panu tak bardzo na tym zależy - skapitulowała.

Worm uśmiechnął się i uklonił lekko Palomie.

- Wizyta u pani jest dla mnie zawsze przyjemnością, moja droga... Zatem do zobaczenia niebawem. Wrócę tu niedługo i to w towarzystwie. Będzie ze mną młody Moss.

Wszyscy odczekali, aż Worm zniknie za drzwiami windy, w towarzystwie jakby mniej roześmianej Fifties, i dopiero potem wrócili do swoich zajęć.

- Jakież z niego prostak! - rzuciła wściekłym tonem Paloma. - Znam takich, którzy daliby się zabić za to, żeby móc ucałować mój mały palec u nogi, a ten przychodzi tutaj i zachowuje się jak brutal!

Westchnęła głęboko i przysiadła z przygarbionymi plecami na brzegu stołu, wyciągając daleko nogi.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytała pani Withers.

- No dostanie tę swoją torbę z bronią... - odparła Paloma, podnosząc do ust cygarniczkę i zaciągając się nieistniejącym dymem. - Zaufaj mi!

- Palomo, mam nadzieję, że nie ma pani zamiaru narażać tych dzieciaków na niebezpieczeństwo, dając im jakąś popsutą broń! - zaniepokoił się Alistair. - Jestem za nich odpowiedzialny, przypominam pani...

- Ależ za kogo mnie pan bierze?! Proszę o odrobinę zaufania. Tej broni nie może używać każdy, kto ma takie życzenie!

Oskar odsunął się nieco od dyskutującej grupki, był poruszony. Dlaczego nikt go nie poparł, kiedy powiedział Wormowi o odpowiedzialności Mossa za wypadki w Wielkim Kanionie? Jeżeli teraz Moss dostanie do ręki broń z laboratorium Palomy, przyszłość będzie się malowała w bardzo ponurych barwach. Wszystko wskazywało na to, że wyprawa do drugiego Uniwersum i poszukiwanie Trofeów w niczym nie będą przypominały miłej wycieczki, teraz Oskar był o tym przekonany i przeczuwał, że będzie jeszcze gorzej. Zostawił rozdyskutowanych dorosłych i dla zabicia czasu zaczął obserwować pracowników laboratorium i ich badania.

Dotarł do boksu znajdującego się na końcu sali, nieco ukrytego przed niepowołanymi spojrzeniami. Zaslaniała go ściana z odblaskowego szkła i trudno było dostrzec, co się dzieje w środku. Przykleił nos do szyby, widział jednak tylko mgliste zarysy jakiejś sylwetki. Rozejrzał się - nikt się nim nie interesował i nie próbował przywołać go do porządku. Nie wahając się dłużej, spróbował otworzyć drzwi. Inaczej niż pozostałe, te były zamknięte. Rozpoznał charakterystyczne wyżłobienie w metalu przy zamku, wyjął swój medalion i przyłożył go w tym miejscu. Litera rozbłysła dziwnym światłem, które widział do tej pory tylko raz: rok wcześniej, tego dnia, kiedy Wielki Mistrz połączył swoją Literę z medalionem Oskara. Zamek natychmiast ustąpił i drzwi się uchyliły. Oskar wśliznął się bezszelestnie do środka.

W tym boksie nie było ścianki dzielącej pokój na dwie części. Tuż przed nim, odwrócona plecami, stała osoba - mężczyzna lub kobieta - cała osłonięta srebrzystym kombinezonem ochronnym. Przed nią Oskar dostrzegł stół. Osobnik w kombinezonie trzymał w wyciągniętej ręce medalion, zagłębiając go w czymś w rodzaju lśniącej skrzyneczki. Chłopiec wychylił się nieco i zauważył, że do stołu przymocowane jest coś podłużnego i czerwonego jak kawałek mięsa. Był bardzo duży, zasłaniał niemal cały blat. Przymocowano go na dwóch końcach do stołu. Oskar nie bardzo rozumiał, czym zajmuje się pracownik laboratorium, bał się jednak zbliżyć z obawy, że zostanie zauważony lub że zakłóci przebieg eksperymentu.

W tej samej chwili pracownik wysunął medalion ze skrzyneczki: świecił pulsującym,

czerwonym światłem, jak gdyby światełko wewnątrz Litery na przemian zapalało się i gasło. Pracownik podniósł medalion wysoko w górę i wypowiedział słowa zaklęcia:

Bijące serce

Posłuchaj Litery,

Zatrzymaj się na trzy cztery.

Oskar znieruchomiał w oczekiwaniu na jakąś reakcję, nic się jednak wokół nich nie wydarzyło. Człowiek znowu zagłębił swój medalion w tajemniczej skrzyneczce, po czym starannie ją zamknął, cofnął się o krok i wypowiedział nową formułę:

Bijące serce

Posłuchaj Litery,

Wracaj do życia,

Bij na trzy cztery.

Gwałtowny wstrząs szarpnął stołem, potem drugi i trzeci, każdy następny silniejszy od poprzedniego. Oskar przytulił się przerażony do ściany, a laborant cofnął się po raz

kolejny. Przy czwartym, wyjątkowo mocnym wstrząsie stół wyleciał w powietrze, strzelając okruchami drewna i metalu na wszystkie strony. W ostatniej chwili Oskar zasłonił sobie twarz - fruwały pocisk uderzył go w głowę i chłopiec upadł jak długi. Pracownik laboratorium odwrócił się gwałtownie, zaalarmowany hałasem.

- Kim jesteś? - spytał, chowając skrzyneczkę za plecami. - Co ty tutaj robisz?

- Przepraszam - jękał się Oskar. - Ja... ja...

Zamiast dokończyć zdanie, rzucił się w stronę drzwi, otworzył je raptownie i wymknął się na korytarz, masując sobie głowę. Na szczęście nie był ranny.

Laborant wyszedł tuż za nim i Oskar dostał się w dwa ognie, naprzeciwko siebie dostrzegł bowiem grupę Medykusów. Paloma, usłyszawszy odgłosy eksplozji, zaczęła biec, nie zważając na swoje wysokie obcasy.

- Co robiłeś w tym boksie, Oskarze? Nikt cię tam nie zapraszał! - zdenerwowała się. - To nie do wiary, chyba dzisiaj wszyscy źle wychowani ludzie z tego miasta umówili się, żeby wpaść do mojego laboratorium! - dodała, trzymając się za serce, jak gdyby zrobiło się jej słabo. - Co za koszmar!

Oskar zaczerwienił się aż po czubki uszu. Spojrzał na panią Withers, ta patrzyła jednak na niego surowym wzrokiem. Nie był to jego najlepszy dzień, nie da się ukryć. Nawet jego najwierniejsza protektorka nie zamierzała go bronić.

- Naprawdę bardzo panią przepraszam! - powiedział z miną pełną skruchy. - Rozmawialiście, nie chciałem wam przeszkadzać, sądziłem, że wolno mi zwiedzić pozostałe boksy...

- Tak, ale tylko w moim towarzystwie, zrozumiałeś, młody człowieku? Wyłącznie ze mną!

Popatrzyła na niego przez chwilę, w końcu uśmiechnęła się i odezwała już dużo spokojniejszym głosem:

- Dzięki Bogu, masz taką urooczą twarz, oszczędzi ci to kar - i teraz, i później... Ale nie wykorzystuj tego zbyt często: nie wszystkie kobiety są równie romantyczne, co ja.

Oskar poczuł, że ciekawość zwycięża. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać.

- Proszę pani...

Wzniosła oczy do nieba.

- Ach, proszę cię, mów mi po imieniu, to słowo „pani” tak mnie postarza! Zostawmy je dla mojej siostry, zgoda, kochanie?

- Palomo - poprawił się Oskar. - Co to było?

- Co takiego?

- Nic - odpowiedziała za nią pani Withers, która dobrze знаła Oskara. - Nic, co by cię mogło dotyczyć, przynajmniej na razie.

Oskar spojrzał błagalnie na Palomę, ale była ona równie stanowcza jak jej siostra.

- Tym razem akurat zgadzam się całkowicie z Berenice. Nie musisz wiedzieć nic więcej na temat tej broni. Trudno nią władać, widziałeś to sam, nawet moi pracownicy mają z tym kłopoty! No, dosyć tego, kończymy!

Ruszyła z uśmiechem w kierunku wyjścia. Dotknęła torby przeznaczonej dla Oskara z taką czułością, jak gdyby gładziła klejnoty. Chłopiec szedł za nią z żalem, rzucając

jeszcze wzrokiem do tyłu. Pracownik laboratorium zniknął właśnie w owym tajemniczym boksie.

- Wierz mi, tutaj jest wszystko, czego potrzebujesz - zapewniła go Paloma. - Cóż, tym razem już naprawdę was porzucam, to koniec - dodała, posyłając swoim laborantom liczne pocałunki jak gwiazda operetki po zakończonym recitalu.

Odwróciła się jeszcze do nich na chwilę, zanim zniknęła w windzie.

- I nie próbujcie mnie zatrzymać, nie ma szans, żeby wam się udało.

NIELOJALNOŚĆ

Ronan Moss znalazł nareszcie schody prowadzące na galerię.

Czekał już od ponad pół godziny w tym ponurym hallu, a nic tak go nie denerwowało jak czekanie na coś. Był równie niecierpliwy jak jego ojciec. Przejazd z Blue Parku do rezydencji Wormów wystarczył, by wprawić go w zły humor.

Poza tym było ciemno. Jego ojciec stał na głowie, by wykorzenić te dziecinne lęki, pomimo to Ronan straszliwie bał się ciemności. Ojciec najczęściej stosował dwa swoje ulubione argumenty: bicie i przymus. Rezultat był opłakany. Młody Moss całymi dniami i nocami siedział zamknięty w ciemnych szafach i w pokojach pozbawionych choćby odrobiny światła. Rufus Moss doszedł do wniosku, że „trzeba zwalczać ból bólem”.

W efekcie Ronan - zamiast się oswoić z ciemnością - bał się jeszcze bardziej. Lęk przerodził się w prawdziwą fobię, która towarzyszyła mu stale. Starał się ją ukryć, oszukując ojca, by uniknąć kolejnych tortur. Dlatego kiedy wszedł do owego pozbawionego światła domostwa, gęsto dekorowanego ciemnymi kotarami i zasłonami,

miał ochotę natychmiast uciec.

Początkowo krążył jak tygrys w klatce, tak długo, że w końcu nie mógł już tego znieść, później zauważył galerię, balkon z kolumnami biegnący na pierwszym piętrze powyżej hallu. Wiele drzwi prowadziło stamtąd do różnych pomieszczeń: wśród nich musiały być także pokoje, a w nich okna - w końcu nawet w tym domu musiało być gdzieś przeklęte okno, choćby jedno!

Wszedł na górę po schodach, nie starając się zachowywać cicho, wręcz przeciwnie. Ruszył wzdłuż galerii, próbując otworzyć wszystkie drzwi po kolei, bez skutku. Były pozamykane na klucz. Podeszedł do balustrady i rzucił okiem na hall w dole - nikogo, absolutnie nikogo. Przynajmniej miał pełną swobodę działania. W ostateczności odejdzcie stąd, nie spotkawszy się z panem Wormem, trudno. Jego masywna sylwetka przesuwała się za kolumnami. Sprawdzał kolejne drzwi, naciskał wszystkie klamki. Już miał zawrócić, kiedy ostatnia klamka ustąpiła i otworzył drzwi.

Wszedł do dusznego, kwadratowego pokoju. Był zagracony meblami, ściany obite były bordowym aksamitem, a co gorsza, nie było widać okna. Moss kopnął z wściekłością krzesło i już miał wyjść. Zatrzymał go dźwięk.

Odgłos ten musiał wydawać człowiek, było to coś w rodzaju głębokiego oddechu.

Westchnienie.

Odwrócił się i rozejrzył po pokoju.

- Ktoś tu jest w tym bajzlu?

Zamiast odpowiedzi usłyszał kolejne westchnienie. Tym razem zauważył, skąd dochodziło - zza purpurowej zasłony, rozciągniętej od ściany, do ściany i spływającej ciężko na podłogę. Podeszedł bliżej, zawahał się przez krótką tylko chwilę i wyciągnął

rękę, by podnieść zasłonę..

- Nie! - krzyknęła jakaś kobieta za jego plecami.

Podskoczył zdziwiony, odwrócił się i ujrzał bladą jak płótno pokojówkę, która stała w drzwiach.

- Co pani tu robi? - spytał wściekły, mimo że sam wszedł do pokoju bez pozwolenia.

Kobieta osłupiała, szybko jednak odzyskała przytomność umysłu i nie poddała się agresywnemu zachowaniu Mossa. Stała między nim a zasłoną i zaczęła go odpychać w stronę drzwi.

- Proszę wyjść, proszę... proszę natychmiast wyjść - powtarzała jak zacięta płyta. Jeszcze chwila, a Moss popełniłby straszny czyn.

Widać było, że bardzo jej zależy na tym, aby chłopiec nie odsłaniał kotary, co oczywiście tylko wzmogło jego chorobliwą ciekawość.

- Niech się pani natychmiast odsunie! - wrzasnął Moss. - I niech pani stąd wyjdzie! Chcę zobaczyć, co jest za tą zasłoną!

- Pan Worm czeka.

Tym razem głos był stanowczy i chłodny.

Moss odwrócił głowę i rozpoznał gospodynię, która otworzyła mu wcześniej drzwi domu. Wysoka i mocno zbudowana, stała na progu pokoju nieruchomo jak skała. Widać było, że za nic ma wściekle miny Mossa. Pokojówka posłała jej błagalne spojrzenie.

- Bardzo mi przykro, pani Gibbs, kiedy zobaczyłam tego młodego człowieka przed

pokojami pani Worm, przybiegłam od razu, ale wszedł tu i...

Pani Gibbs przerwała jej w pół słowa stanowczym ruchem dłoni. W ułamku sekundy Moss znalazł się za drzwiami, wyciągnięty za rękaw. Wyszła też pokojówka i pomieszczenie zostało zamknięte na klucz. Pani Gibbs wsunęła pęk kluczy między fałdy swej spódnicy i ruszyła wzdłuż kolumnady.

- Proszę za mną - rzuciła w stronę Mossa. - Pan Worm oczekuje pana w swoim gabinecie.

Moss obejrzał się: pokojówka zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pokój był zamknięty, a na galerii chyba ciemniej niż przedtem. Nie miał wielkiego wyboru - mógł tylko posłuchać tego uprzejmego rozkazu, który jednak pozostawał rozkazem...

Proszę się rozgościć - powiedziała, zanim oddaliła się na dobre. - Pan Worm nadejdzie lada chwila.

Przekaz był jasny: nie opłaca mu się grzebać po kątach, może go bowiem ktoś na tym przyłapać, a tym razem mogło się to dla niego źle skończyć. Nie chciał usiąść, odczekał jednak, aż gospodyni wyjdzie i zamknie za sobą drzwi gabinetu. Podszedł wtedy szybko do okien.

W końcu znalazł okna!

Już miał odsłonić zasłony, by wpuścić trochę światła, kiedy zatrzymał go mocny uchwyt czyjejs ręki.

- Jaki ojciec, taki syn... Mam nadzieję, że dotyczy to tylko zamięłowania do

słonecznego światła - powiedział Worm, puszcżając rękę chłopca.

Cofnął się i przyjrzał się młodzieńcowi. Miał on trzynaście lat, ale każdy dałby mu trzy lata więcej. Był wzrostu Worma, znacznie bardziej niż on umięśniony - chociaż Worm nie był pod tym względem ideałem. Niebawem Ronan będzie zapewne dużo potężniejszej budowy niż jego ojciec. Worm jednak nigdy - lub prawie nigdy - nie używał siły: wystarczył jego wzrok, sama jego obecność. Promieniowało z niego coś, co zmuszało do posłuszeństwa, zwłaszcza tak prostackie osoby jak Moss.

Worm poprawił marynarkę ze stójką i odszedł w kierunku biurka.

- Nie znoszę, kiedy ktoś szpera w moim domu - powiedział. - Nie cierpię tego. Na przyszłość proszę, żebyś zaczekał w hallu, aż ktoś po ciebie przyjdzie.

- Mogłoby tu być trochę weselej - powiedział bezczelnie Moss. - Ale jest tak ciemno! Przypomina to piwnicę... Nudziłem się, nie chciało mi się stać w tym hallu i czekać...

Worm odwrócił się w jego kierunku i wbił w niego ołowiane spojrzenie.

- To ja będę decydował o tym, co możesz robić w tym domu. I gdzie indziej także. Warto by było, żeby to do ciebie dotarło.

- Nie boję się pana... Ojciec mi powiedział, że mnie pan potrzebuje, tak czy inaczej - odpowiedział Moss zjadliwie, dumny z tego, że stawia czoło Wormowi.

Twarz Worma przybrała lodowaty wyraz. Wszystkie mięśnie napięły się i poruszały pod skórą. Po raz pierwszy od dawna Ronan Moss poczuł przed kimś strach.

- Jeżeli z nas dwóch ktoś kogoś potrzebuje, to raczej ty mnie, nędzny smarkaczu. Powinieneś być szczęśliwy, że poświęcam ci odrobinę czasu, ponieważ kiedy nadejdzie dzień, w którym przestaniesz mnie interesować i nie będę już z tobą wiązał żadnych

planów, będziesz nikim. Nigdy nie byłeś szczególnie ważny, podobnie jak twój ojciec, ale możesz stać się po prostu nikim. Kimś jeszcze słabszym od twojego ojca. Czy dobrze się rozumiemy?

Na koniec Worm uśmiechnął się - uśmiechem, który powaliłby gladiatora. Moss milczał, unikał wzroku Worma. Nigdy w życiu nie czuł się taki upokorzony.

Worm podszedł do ściany, na której wisiał portret mężczyzny. Nie było między nimi cienia podobieństwa - mężczyzna siedział na wspaniałym wierzchołku, był wysoki, potężny, miał gęste, ciemne, kręcone włosy, a lśniąca zbroja nadawała mu pełen godności wygląd. Worm nie patrzył jednak na to dzieło sztuki. Przywołał ruchem ręki chłopca.

Kiedy Moss posłusznie się zbliżył, Worm wyjął spod marynarki swój medalion i przysunął go do strzemięcia na portrecie. Część ściany, na której wisiał portret, odsunęła się i schowała się pod boazerią, ujrzeli kręte schodki, które powoli rozsunęły się i zbliżyły do nich, po czym znieruchomiały. Moss spojrzał z podziwem w górę: część sufitu nad ich głowami zniknęła.

- Chodź za mną - rzucił Worm.

Weszli po schodach na górę i stanęli na progu ciemnej przestrzeni - dużo ciemniejszej niż reszta zamku. Worm przyłożył medalion do czegoś, co przypominało totem. Pojawiła się posadzka. Chłopcu krew zaczęła mocno pulsować w skroniach, poczuł narastającą panikę. Na szczęście wokół nich widać było drobne punkty świecące w ciemności.

Znajdowali się w długiej sali, tuż pod sklepieniem, pokrytej w całości dziwną substancją, która przypominała gładki i czarny plastik. Wszędzie stały wielkie, szklane pojemniki i słoje wypełnione kawałkami... kamieni? Ziemi? Czy może mięsa? Trudno było powiedzieć. Pod ścianami tłoczyły się przeszklone szafy z książkami. Moss podszedł do jednej z nich i przeczytał tytuły: W sercu Cerebry, Neuronidy, Wskazówki jak przeżyć w piątym Uniwersum...

- Nic byś z tego nie zrozumiał! - powiedział Worm.

Moss skrzywił się i posłał w stronę Worma spojrzenie pełne złości. Ten usiadł pod taflą z czarnego, błyszczącego kryształu, przed drewnianą bryłą pełną szuflad, przykrytą marmurowym blatem. Moss zbliżył się do tego dziwnego biurka. Błat pokryty był niezwykleymi znakami, symbolami, formułami i mapami - wydawało mu się, że rozpoznaje góry otoczone pustynią. Worm zasłonił symbole płachtą tkaniny i na środku blatu położył skórzaną torbę.

- Dziś wieczorem, kiedy wrócisz do waszej... pięknej posiadłości w Blue Parku, znajdziesz torbę z narzędziami, które będą ci bardzo przydatne w czasie twoich wypraw do drugiego Uniwersum.

- Wiem, wiem! - powiedział Moss zniecierpliwionym tonem. - Z bronią. A jutro rano jakaś kobieta o idiotycznym imieniu wyjaśni mi ich działanie.

Worm odczekał kilka chwil, by odpowiedzieć, nie tracąc zimnej krwi.

- Nie lubię sposobu, w jaki się do mnie odzywasz - powiedział spokojnie. - Wobec tego chciałbym, żebyś milczał i odzywał się tylko wtedy, kiedy cię do tego upoważnię. Zrozumiałeś?

Moss podniósł oczy do nieba. Worm wymamrotał kilka niedosłyszalnych słów i gwałtownym ruchem uniósł w górę swój medalion. Medalion Mossa, wiszący na jego szyi, uniósł się w tym samym kierunku, pociągając za sobą chłopaka. Chwilę potem Moss wisiał w powietrzu.

- Niech... niech pan... mnie postawi z powrotem na ziemi! - bełkotał chłopak. Łańcuch go dławił. - Niech... pan mnie... postawi!

Fletcher Worm opuścił rękę i Moss runął ciężko na posadzkę. Doczołgał się do pobliskiego krzesła i usiadł na nim, dysząc ciężko i masując szyję. Nie śmiał jednak podnieść wzroku. Gdyby to zrobił, Worm mógłby w nim dostrzec mieszaninę przerażenia i nienawiści.

- Muszę coś powtórzyć, czy zrozumiałeś mnie dobrze?

Tym razem Moss kiwnął tylko głową. Worm rozluźnił się.

- Paloma Withers istotnie wyjaśni ci, w jaki sposób masz korzystać z broni, którą ci przekaże. Jeśli zaś chodzi o tę tutaj - powiedział, popychając w stronę Mossa skórzaną torbę - tylko ja mogę ją uruchomić. Ponieważ tylko ja ją znam. A ty, Ronanie, jako jedyny będziesz się tą bronią posługiwał, jutro - i później także.

CO SIĘ KRYJE ZA KANIONAMI

Oskar obudził się w swoim pokoju, w Cumides Circle. W jego pamięci zderzały się wydarzenia z poprzedniego dnia - wyprawa do drugiego Uniwersum, spotkanie z ekstrawagancką Palomą Withers, tak bardzo się różniącą od swojej siostry, a w końcu laboratorium broni. Zarówno on, jak i para jego przyjaciół odczuwali potrzebę opowiedzenia sobie nawzajem wszystkiego, co wydarzyło się tego dnia. Gadali całą noc, przechodząc po kryjomu z pokoju do pokoju, mimo że majordomus miał o to do nich pretensję. Nie mógł ich jednak upilnować. Niestety Bones szybko zrozumiał, na czym polega pułapka z nagrany wcześniej głosem, i nie dał się już drugi raz nabrać.

- Jeżeli nie wrócicie natychmiast do swoich pokoi - przemawiał do nich zdenerwowany majordomus, otulony szlafrokiem - będę zmuszony obudzić pana Brave'a!

Posłuchali go wreszcie i położyli się spać, nie za wiele im jednak zostało czasu na sen.

Pomimo tego Oskar wstał wcześniej rano, szybko umył się i ubrał, a potem zszedł na dół.

W kuchni czekali na niego Valentine i Lawrence, nieco niewyspani, ale szczęśliwi. Siedzieli za stołem, nad talerzami z gwoździami, cukrem i chlebem nasączonym olejem.

- Cześć, Oskar! - zawołała Valentine. - Powiedz, nie mógłbyś tu zostać jeszcze parę dni dłużej? Kiedy macie najbliższe ferie?

Valentine nigdy nie chodziła do szkoły i nie bardzo rozumiała, na czym polega zjawisko szkolnych wakacji. Sądziła, że każdy wybiera sobie dni wolne zgodnie ze swoim widzimisię.

- O, nie! Oskar wcale nie będzie tu dziś nocował, dzięki Bogu! - wykrzyknęła Cherie, mrugając jeszcze szybciej niż zwykle, jak zawsze, kiedy była zdenerwowana lub zmęczona. - Oskarku, wiesz dobrze, że jestem szczęśliwa, kiedy u nas jesteś, wiesz o tym, prawda?... Ale to było nie do zniesienia, jeszcze jedna taka noc, z tym całym rozgardiaszem, który wyprawialiście wszyscy troje, i chyba nie wstałabym rano z łóżka! Bogowie, wydawało się, że to cały pułk kawalerii galopuje po pierwszym piętrze, raz w jedną, raz w drugą stronę, z pokoju do pokoju, to było absolutnie nie do zniesienia, ale nie mogłam wyjść i sprawdzić, co się dzieje, bo miałam całą głowę w papilotach, a przecież mogłam się natknąć na pana Brave'a, mój Boże, to dopiero byłby wstyd! Och, nie jestem głupia, wiem, że staraliście się ukryć przed Bonesem, rozumiem was doskonale! - ciągnęła, przyglądając ręką włosy słomkowego koloru, rozwichrzone i całkowicie proste, mimo tych niezliczonych papilotów. - No ale mimo wszystko wyobraźcie sobie, że mój mąż, Jerry, ma siostrę, która mieszka w Gloucester - wiesz, Oskarze, o kim mówię? A wy, dzieci, znacie ją może? No, więc, wyobraźcie sobie tylko, właśnie ta siostra długi czas nie mogła spać i...

Nic już nie mogło zatrzymać Cherie. Dzieci rozmawiały ze sobą dalej półgłosem, nie przejmując się jej obecnością. Tak czy inaczej, kiedy Cherie się rozgadała, wcale nie trzeba było z nią rozmawiać.

- A co tam dzisiaj masz w planach, jakie nowe rozrywki? - spytał Lawrence, który nie miał zaufania do pomysłów Alistaira. - Jakaś kolejna gwiazda filmowa fabrykująca broń? Agent specjalny, który jest tancerzem baletowym?

- Coś dużo lepszego! - powiedział Oskar, dyskretnie zanurzając łyżeczkę w słoiku nutelli, który matka wsunęła mu do torby, zanim wyszedł z domu, i który trzymał po kryjomu pod stołem.

Celia wiedziała, że szczególne zdolności kulinarne Cherie objawiają się już w porze śniadania i wołała zapewnić swojemu dziecku żelazną rację żywności. Okazała się przezorna, ponieważ tego ranka na samym środku stołu stał wielki pudding, w odblaskowym, różowym kolorze, usiany ciemniejszymi kawałkami jakiejś substancji. Dygotał lekko na półmisku. Valentine umyślnie upuściła nawet na to danie swoją serwetkę, chcąc oszczędzić przyjaciółom tego widoku, Cherie jednak ją wyciągnęła.

- Grzyby, pianki, cukier trzcinowy i seler. Nie krępujcie się, dzieci, jedzcie, ile wlezie, zwłaszcza ty, Oskarku. Musisz mieć coś solidnego i rozgrzewającego w żołądku przy tych wszystkich wyprawach!

- No, jeśli mowa o czymś solidnym, to ten pudding z pewnością solidnie zalega w żołądku! - skomentował Lawrence, wpatrując się osłupiałym wzrokiem w dzieło sztuki kulinarnej Cherie. - Może nawet zalegnie już na zawsze i nigdy go nie opuści...

Odwrócił się w stronę Oskara, który siedział sparalizowany przed swoim talerzem.

- Odwagi, przyjacielu! - mruknął, mocno skonsternowany. - Jestem z tobą, wspieram

cię ze wszystkich sił!

- Cherie - powiedział niepewnie Oskar - prawdę mówiąc, chyba trochę źle się czuję już od rana...

- Znowu? - zdziwiła się Cherie. - Przecież to samo mówiłeś mi wczoraj! Powinien cię zbadać lekarz! Kto to wie, czym się można zarazić podczas tych wypraw do wnętrza ludzkiego ciała! - mruknęła, zabierając pudding i chowając go do lodówki.

- Tak, ma pani rację - powiedział Oskar z wielką ulgą. - Kto to wie, czym się można zarazić. Ale nie jestem specjalnie głodny.

Valentine pomachała do niego swoją serwetką, która po wrzuceniu w pudding nabrała wielu ciekawych barw. Oskar po chwili zrozumiał, o co jej chodzi, i wytarł sobie dokładnie usta, nieco umazane kremem czekoladowo-orzechowym...

- No cóż - powiedział, zakręcając słoik i przekazując go pod stołem Valentine - muszę się chyba szykować. Z tego, co mi mówiła pani Withers i inni, dzisiaj będzie nowa Introdukcja, o ile dobrze zrozumiałem. Nic więcej na razie nie wiem, Alistair wyjaśni nam resztę dopiero, kiedy przejdziemy przez kaniony.

Nagle usłyszeli, że sporo osób wkracza do hallu, robiąc przy tym hałas zagłuszający ich rozmowę. Nie rozumieli nawet tego, co mówiła Cherie.

Kiedy usłyszeli głos Alistaira, rozbrzmiewający głośniejsze niż inne, wybiegli z kuchni, a potem rzucili się schodami na górę, przeskakując co trzeci stopień. Oskar wpadł do swojego pokoju.

Valentine i Lawrence obserwowali w milczeniu i z zazdrością, jak ubiera się w pelerynę i starannie chowa do niej Grimoire'a, jak zabiera mały, skórzany chlebak kryjący cenną broń Medykusów. Obejrzał go uważniej i odkrył z tyłu szlufkę,

pozwalającą przytroczyć go do pasa, podobnie jak sakiewki z Trofeami. Przyczepił zatem chlebak do pasa, opuścił poły peleryny. Był gotowy.

- No idźcie już, zaraz do was przyjdę - powiedział do przyjaciół.

Kiedy tylko wyszli z pokoju, rzucił się na łóżko i po krótkich poszukiwaniach znalazł pod poduszką to, czego szukał - mały album z rodzinnymi fotografiami. Wsunął go do jednej z dużych kieszeni peleryny i wyszedł na korytarz do Valentine i Lawrence'a.

- Dobra, muszę już lecieć - powiedział, unikając nieco ich wzroku.

Wiedział dobrze, jak bardzo oboje chcieliby pójść na tę wyprawę, nawet Lawrence. Przede wszystkim dlatego, że chcieli być razem z nim, a także zaczęli się już trochę nudzić zamknięci w wielkim domostwie. Poza tym pochodzili przecież ze świata wewnętrznego: Lawrence był Hepatolijczykiem, a Valentine należała do mieszkańców niepodległej Republiki Szpiku Kostnego. Nie żalowali może tego, że opuścili swoje ojczyste strony, niemniej na pewno chętnie odwiedziliby je w ramach wyprawy z przyjacielem.

- Porozmawiam z panią Withers - powiedział Oskar, mimo że tych dwoje nie odezwało się ani słowem. - A jeżeli to nie wystarczy, porozmawiam także z panem Brave'em. Jestem pewien, że w końcu zgodzą się i pozwolą wam na wspólną wyprawę.

Przyjaciele pokiwali głowami, starając się ukryć rozczarowanie, które jednak malowało się bardzo wyraźnie na ich twarzach.

- Obiecujesz? - spytała Valentine.

- Obiecuję!

- No dobrze, wobec tego czekamy na ciebie! - powiedział Lawrence. - Wpadnij i

opowiedz nam potem o wszystkim, zanim jeszcze wrócisz do Babylon Heights, dobrze? I uważaj na Mossa - dodał z niepokojem w głosie.

- A jeśli będziesz potrzebował wsparcia, gwizdnij albo zastukaj w jelito Leonida. Będziemy wiedzieli, że to twój sygnał! - powiedziała z naciskiem Valentine.

Oskar uśmiechnął się i zbiegł na dół.

W hallu byli już wszyscy - Alistair, Ayden, który rozpromienił się na widok Oskara, i Sally, która przyjaźnie pomachała mu ręką. Moss opierał się o ścianę i patrzył na Oskara z grymasem niezapowiadającym niczego dobrego. Może Lawrence słusznie go przed nim przestrzegal? Zresztą w obecności Mossa zawsze należało zachować czujność, niezależnie od sytuacji... Oskar zdziwił się, widząc, że brakuje piątej uczestniczki wyprawy.

Z drugiego końca hallu, od strony wstawionej specjalnie w tym celu sofy, dobiegł głos:

- Mógłbyś się pospieszyć? Jesteśmy już spóźnieni! W towarzystwie pana McCooleya sprawy zawsze toczą się inaczej, niż to było w planie, dlatego lepiej wyruszyć jak najwcześniej.

Oskar odetchnął. Niepokoił się - „niepokoił” to może za mocno powiedziane - zastanawiał się raczej, co się dzieje z Iris, tymczasem ona sama dała znak życia. Była tutaj i okazało się, że wypadek ani na jotę nie zmienił jej trudnego charakteru. Leżała na sofie, a obok niej siedziała ciemnowłosa kobieta, podobna do niej jak dwie krople wody: takie same włosy, zebrane w kok, granatowa plisowana spódnica i biała bluzka. Nerwowo bawiła się paskiem torebki, a jej wyraz twarzy sugerował, że za chwilę wybuchnie płaczem.

- Jesteś... jesteś pewna, że wszystko w porządku, kochanie? Naprawdę chcesz tam

ić? Jesteś jeszcze taka słaba po tym strasznym wypadku!

- Chcę mieć to Trofeum, mamó, i będę je miała, mimo że zostałam prawie ranna...

- Chciałabym, żebyś wytłumaczyła mi, co to znaczy „prawie ranna” - wtrąciła się Sally, która krążyła wokół sofy z rękami w kieszeniach, podziwiając posąg Sigismunda Brave’a, przodka Winstona i zarazem jego poprzednika w roli Wielkiego Mistrza.

- Prawie ranny jest człowiek, którego o włos mija wielkie niebezpieczeństwo i który przeżywa w związku z tym poważny szok nerwowy. Poza tym mam ranę na nodze! - powiedziała, wskazując na stopę.

Ayden zbliżył się także, zaintrygowany. Spędził sporo czasu w szpitalu i przeżył tyle poważnych operacji kręgosłupa, że teraz bardzo był wyczulony na wszelkie problemy ze zdrowiem u innych. „To właśnie pewnego dnia uczyni z niego świetnego Medykusa - wie, czym jest choroba i cierpienie, będzie zatem wiedział przed Introdukcją, co czują chorzy ludzie!” - powiedziała pewnego dnia pani Withers, kiedy Oskar niepokoił się o przyjaciela z uwagi na jego słabą wytrzymałość fizyczną. Od tamtego czasu Ayden nabrał trochę ciała, trzymał się bardziej prosto, a przede wszystkim zaczął wierzyć we własne siły mimo sporadycznych wątpliwości.

- Eee... no i gdzie ta rana? - zapytał, uważnie przyglądając się nodze Iris.

- Tutaj! - wskazała Iris. - Co z tobą, ślepy jesteś?

- Masz na myśli ten mały plasterek? Co jest pod spodem?

- Lekarz niczego przede mną nie ukrywał - dodała Iris. - Gdyby rana uległa zakażeniu, być może trzeba by amputować nogę!

Pani Flockhart zaszlochała głośniej, zasłaniając twarz chusteczką. Dzieci, skupione

wokół Iris, rozeszły się bez żadnego komentarza.

- No cóż - powiedział Alistair, którego kolejna Introdukcja cieszyła, jakby sam był nastolatkiem. - Skoro już się wszyscy zebraliśmy, proponuję nie tracić ani chwili. Ruszamy!

Wszyscy skierowali się w stronę wyjścia.

- Przypominam panu, panie McCooley, że jestem prawie ranna i nie mogę biec! - zawołała z głębi swojej sofy Iris.

Dzieci przepychały się, by zająć miejsca w dwóch samochodach - w limuzynie pana Brave'a, którą prowadził Jerry, i w terenowym pickupie Alistaira. Nie dało się ukryć, że nikogo specjalnie nie obchodziło, czy Iris pojedzie z nimi, czy też zostanie. Mama pomogła jej się podnieść.

- Powolutku, kochanie, o taaak, postaw jedną nogę, teraz drugą... Myślisz, że dasz radę?

Iris wychyliła się, by przyjrzeć się przez otwarte drzwi wejściowe zbierającej się do drogi grupie. Wyrwała się niecierpliwie z ramion matki, skoczyła na równe nogi i wybiegła z domu.

- Zaczekajcie! - wołała w biegu. - Zaczekajcie na mnie i niech nikt nie ośmiela się usiąść z przodu, JA siadam z przodu, jestem prawie ranna, słyszycie? Miejsce z przodu jest dla MNIE!

I żeby wszystko było jasne: jeśli jeszcze raz się zdarzy, że będę miał ataki kaszlu, albo jeśli pojawi się to okropne uczucie, że mam zatkane oskrzela, to będzie ostatnia

Introdukcja! Do diaska, o mało się wczoraj nie udusiłem!

Leonid stał na środku swojego salonu i wpatrywał się w nich przeszywająco jednym okiem (drugie było szklane). Dzieci ukryły się za plecami Alistaira, który się z nim konfrontował. Przewidział, że może być głośno, i starał się uspokoić gospodarza.

- Ależ oczywiście drogi Leonidzie, jasne. Nie z naszej winy nastąpiła ta niedrożność oskrzelowa, a ci młodzi ludzie zrobili dużo, żeby pana od niej uwolnić. Na przykład młody Pill bardzo dzielnie sobie radził.

- O tak, rzeczywiście nieźle sobie poradził! - krzyknęła Iris, podpierając się pod boki.
- To przecież on...

Nie skończyła, bo Sally złapała ją za kucyk i wciągnęła z powrotem do rzędu za Alistairem. Iris szarpnęła się i spiorunowała koleżankę wzrokiem.

- Zabraniam ci...

- Jeszcze jedno słowo i ja też sobie z tobą poradzę, staruszko! - zagroziła Sally, zaciskając pięści.

Oskar wysunął się na czoło grupy, z nieśmiałym uśmiechem. Leonid nie dał się jednak rozchmurzyć. Włożył okulary i przyglądał się chłopcu bez wielkiego przekonania.

- Taaa... cóż, pamiętajcie jak mnie coś przydusi albo zacznie dławić w płucach, popamiętajcie mnie, słowo Leonida Smitha!

Alistair uśmiechnął się i odwrócił w stronę dzieci.

- Jesteście gotowi? - zapytał, wyciągając swój medalion. - Spotykamy się przy wyjściu z Wielkiego Kanionu, przed małymi kanionami. Wszyscy! - dodał, patrząc w

stronę Mossa.

Ronan Moss spojrział na niego hardo, wycelował medalion i ruszył pierwszy.

Chwilę później pięcioro dzieci otrzepywało swoje peleryny. Wszyscy znaleźli się w tym samym miejscu, które wyznaczył im wcześniej Alistair.

- Zaczynamy mieć niezłą wprawę - powiedział Ayden, dumny, choć nieco też zaskoczony.

- Wszyscy świetnie sobie radzicie z Introdukcją ukierunkowaną, brawo! - pochwalił ich Alistair.

Podnieśli wzrok - Alistair obserwował ich z uśmiechem znad jakiejś skały na zboczu. Za jego plecami wznosił się Wielki Kanion jak olbrzymie, pęknięte pośrodku mury obronne.

- Nie najgorzej być już po drugiej stronie - ucieszył się Oskar, mając w pamięci ciężkie przejścia w czasie poprzedniej wyprawy.

Wydawało się, że Moss także nie tęskni za kanionami. Odezwał się po raz pierwszy.

- Musimy znowu przechodzić przez te wszystkie kaniony? - spytał z miną człowieka ciężko znudzonego.

- Nie macie innego wyboru - powiedział Alistair. - Przechodząc przez ten największy kanion, weszliście do płuc Leonida przez tchawicę. Teraz musicie przedostać się przez jego oskrzela - to te mniejsze wąwozy. To część waszej drogi Medykusa, z dwóch powodów.

- Jakich? - zainteresował się Oskar.

- Przede wszystkim musicie nauczyć się rozpoznawać te miejsca, żeby się orientować na przyszłość. Poza tym te okolice muszą także was poznać.

- Ale przecież... to są zwykłe skały! - zdziwił się chłopiec.

Alistair pokręcił głową.

- Mylisz się. W czasie kiedy posuwacie się naprzód, obserwują was setki oczu. Tyle tylko, że w przeciwieństwie do was umieją zachowywać się cicho i dyskretnie, ot co!

Minęli Wielki Kanion i stawili czoło mniejszym i niższym wąwozom. Ayden przyjrzał im się z wahaniem.

- Którędy mamy iść?

- Nie możemy iść każdy innym? Byłoby zabawnie! - spytała Sally, która marzyła o porządnej wycieczce.

- Nie wiem, co w tym miałyby być zabawnego - ucięła Iris. - Wolałabym pójść najkrótszą drogą i tyle...

- Tym razem akurat wyjątkowo zgadzam się z Iris! - powiedział Ayden.

- Pójdziemy środkowym wąwozem! - uciął Alistair. - Tak czy inaczej, nie macie się co martwić, wszystkie prowadzą do tego samego punktu.

- Jakiego punktu?

- Serca królestwa, dzieci. Prowadzą do serca królestwa... i waszej misji.

Weszli w wąwóz, tworzący przejście między dwiema skalnymi ścianami, węższe od Wielkiego Kanionu. Było tu cieplej. Oddychali z trudem, powietrze było gęste i ciężkie.

- To normalne - tłumaczył im Alistair. - Powietrze, które wpływa do wąwozu, jest stopniowo ogrzewane do temperatury trzydziestu siedmiu stopni. I to jeszcze nie wszystko. Popatrzcie dla odmiany tam wysoko, zamiast patrzeć w ziemię. Widzicie to?

Wszyscy stanęli, mocno zdyszani, i przyglądali się skałom. Oskar pierwszy zauważył, że w pewnym miejscu ze skały wydobywa się strumień pary.

- Wydaje się, jakby w skale wydrążono dziury i leci z nich para! - powiedział.

- Owszem - zgodził się Alistair. - Nawet więcej, za tymi dziurami, jak to określiłeś, wewnątrz skalnej ściany jest cały system kanalizacji: rury, którymi przepływa letnia woda nawilżająca wchodzące i wypływające powietrze. Mieszkańcy Królestwa Oddechów są niezwykle pomysłowi, a ich technika stoi na bardzo wysokim poziomie, zobaczycie jeszcze.

Moss się roześmiał. Było to tak niezwykle, że wszyscy odwrócili się w jego stronę.

- Nie zbliżaj się za bardzo do tych skał, Spencer - chichotał zwałisty mięśniak. - Jeszcze zardzewiejesz z taką ilością metalu, jaką masz w kościach!

Ayden zaczerwienił się po czubki uszu i udał, że niczego nie słyszał. Oskar umierał z chęci, żeby odpowiedzieć Mossowi za kolegę, ale pamiętał ostatnie rady, które przekazała mu pani Withers. Nie może ulegać prowokacjom Mossa. Położył rękę na chlebaku z bronią od Palomy, żeby się uspokoić. Lepiej by było dla Mossa, żeby nie rozkręcał się za bardzo, istniało bowiem ryzyko, że Oskar nie wytrzyma tego dłużej i przetestuje swoją broń na wrogu.

Oczywiście Iris musiała się wtrącić.

- Co to za historia z metalem w kościach? - spytała Aydena.

- To nie twoja sprawa - przerwał jej gwałtownie Oskar. - To sprawa wyłącznie Aydena i nikogo innego.

Iris popatrzyła podejrzliwie na Aydena, który tymczasem wysforował się na czoło grupy i siedł obok Alistaira. Mógł w ten sposób uniknąć męczących pytań, udowadniając, że nie spowalnia marszu całej ekipy.

- Jak nazywają się ci mieszkańcy Królestwa, o których pan wspominał, Alistairze? - spytał Oskar, chcąc zmienić temat.

- To Eolczycy i Eolki.

- A gdzie mieszkają? - zapytała Sally.

- Odpowiedź na to pytanie jest już bardzo blisko - odparł Alistair. - Za najbliższym zakrętem.

Dzieci - zmęczone, ale i zaciekawione - przyspieszyły kroku. Minęli skalisty zakręt i wyszli wreszcie z kanionu. Oskar zamykał pochód. Wpadł nagle na spoconą Iris, mającą na sobie swój galowy strój.

- Idź do przodu, Iris, chyba...

Widok, jaki ukazał się jego oczom, zapierał dech w piersi. Oskar zrozumiał teraz, dlaczego wszyscy stanęli jak wryci.

Przed nimi rozciągała się w nieskończoność kolejna równina, lekko obniżająca się ku horyzontowi, który zasłaniała ogromna chmura mgły. Wiatr, który wiał akurat w ich stronę, przysunął ku nim obłoczek pary wodnej. Kilka chwil później wiatr zmienił kierunek, jak to się działo na co dzień na równinach Królestwa Oddechów. Mgła odsunęła się i rozwiła się gdzieś w oddali. Dostrzegli wówczas daleko brzeg ciemnoczerwonego oceanu, który wydawał się oblewać całe Uniwersum, aż po horyzont.

Oskar, nadal osłupiały ze zdumienia, zrobił kilka kroków i wyprzedził nieco resztę grupy, chcąc się dokładniej przyjrzeć nieprawdopodobnej scenarii.

Na powierzchni oceanu jak ogromny okręt wznosiła się gigantyczna budowla. Nigdy takiej nie widział w świecie zewnętrznym. Przypominała raczej stację kosmiczną, żywcem wyjętą z jednej z gier komputerowych. Była w kształcie kuli, na którą składała się niezliczona ilość białych, przezrzystych trójkątów, przytwierdzonych metalowymi umocnieniami. Wokół tej największej kuli unosiły się w powietrzu mniejsze kule, jak planety wokół Słońca. Były połączone ze sobą i z kulą przezroczystymi tunelami, w których można było dostrzec poruszające się drobne, czarne figurki. Żywe istoty. Być może byli to właśnie Eolczycy. Moss, który nie zamierzał zostać z tyłu, podszedł także i przepchnął się do pierwszego rzędu.

- Co to za dziwo? Zupełnie, jakbyśmy wylądowali na księżycu...

- To dziwo, jak mówisz, to siedziba króla Eola i jego podwładnych. Serce jego królestwa. Tam się właśnie udacie.

- Mamy się tam dostać? - zdziwiła się Iris. - W jaki sposób?

- Przyjrzyj się dobrze, Iris.

Iris popatrzyła na przedziwną budowlę, która zadziwiała swoim ogromem. Silny wiatr przewiał ostatnie opary i przed nimi pojawił się most. Nieprawdopodobny most,

który docierał do brzegu i kończył się w sporej odległości od pierwszych fal. Wznosił się łagodnym łukiem nad dziwnym czerwonym oceanem, zawieszony między gigantycznymi przęsłami. Oskar widział zdjęcia mostów z Nowego Jorku i San Francisco - ale przy tym, który widniał przed jego oczami, tamte wydawały się dziecinnymi zabawkami.

- Czy... tamtędy właśnie przejdziemy? - zapytał młody Medykus. - Mamy przejść przez ten most, żeby dotrzeć do siedziby Eola?

Alistair uśmiechnął się tylko i kiwnął głową. Zmrużył oczy i wpatrywał się w horyzont.

- I to już chyba niedługo. Ale wcześniej zostaniecie powitani z wielką pompą. Przygotujcie się, dzieci.

Na moście, w odległości - jak im się wydawało - wielu kilometrów, pojawiły się ciemne formy, które drżały lekko w mgiełce unoszącej się nad oceanem. Chwilę później widać już było lepiej liczne postaci jadące kilkoma pojazdami. Zmierzały prosto w ich stronę.

Oskar odruchowo sięgnął do medalionu, później do pasa, gdzie miał przytroczoną sakwę od Palomy. Alistair zauważył to zachowanie. Nawet Moss nerwowo zacisnął rękę na tkaninie peleryny. Nie było wątpliwości, że za chwilę Iris zacznie narzekać na nieprzewidziane okoliczności i niebezpieczeństwo, na które jest stale narażona w trakcie ekspedycji, a przecież nie zamierza aż tak ryzykować, i w końcu zagrozi, że poskarży się na to wszystko, odwołując się do najwyższych instancji. Alistair postanowił zatem uspokoić dzieci.

- Nie macie się czego obawiać! - powiedział. - Wiem dobrze, kto jedzie na nasze spotkanie. Nie musicie się lękać tych osób, przeciwnie.

Ayden, którego słowa Alistaira nie do końca uspokoiły, ruszył odważnie do przodu i

zbliżył się do Oskara. Wymienili niepewne uśmiechy.

Komitet powitalny był coraz bliżej. Kiedy mogli już rozróżnić kontury, zauważyli, że w samochodzie, który jechał na czele - był to rodzaj terenowego wozu, z odsłoniętym dachem - stał człowiek, trzymając się metalowego relingu. Dzieliła ich co prawda jeszcze pewna odległość, ale już mogli zauważyć, że mężczyzna ten jest potężny i wysoki. Robił jeszcze większe wrażenie niż Winston Brave.

Trzy samochody zjechały w końcu z mostu i ruszyły dalej z dużą prędkością, wzbijając tumany piasku, by zatrzymać się w końcu tuż przed grupą. Dzieci kręciły się, obserwując przybyłych. Mężczyzna z samochodu, który jechał jako pierwszy, zeskoczył na ziemię i skierował się prosto w stronę Alistaira. Nosił wysokie, skórzane buty, cienki golf i kamizelkę, która przypominała kamizelki kuloodporne policjantów. Jego długie ciemne włosy fruwały wokół twarzy w podmuchach wiatru. Widocznie wszyscy Eolczycy mieli długie włosy. Obaj młodzi ludzie wymienili serdeczny uścisk dłoni.

- Dzięki, że po nas wyjechałeś, Gael.

- Winston Brave uprzedził naszego króla o waszej wizycie. Czeka na dzieci i podda je próbom.

Dzieci wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Próby? Jakie próby? I dlaczego?

Alistair nie zostawił im zbyt wiele czasu do namysłu.

- Pozwólcie, że wam kogoś przedstawię, młodzi przyjaciele: oto Gael Łysy, kapitan drugiego oddziału Fagocytów, królewskiej armii Eola. Pojedzie z nami do samego miasta.

Sally patrzyła na kapitana rozbawionym wzrokiem. Nachyliła się w stronę Oskara i Aydena.

- Gael Łysy, z taką ilością włosów? - powiedziała, gładząc się po króciutko obciętej czuprynie. - Całe szczęście, że się nie nazywa Gael Owłosiony, bo chyba musiałby mieć loki do ziemi!

Spokój Sally udzielił się chłopcom - rozluźnili się i uśmiechnęli. Ayden przy okazji zapytał:

- A pan nie pojedzie z nami, panie McCooley?

- Nie, powiedziałem wam już, teraz wasza kolej. Gael i król Eol pomogą wam i pokierują wami, i jestem pewien, że wrócicie z waszym pierwszym Trofeum z tego Uniwersum. Ale musicie poradzić sobie bez mojej pomocy.

- Bez pana pomocy? - krzyknęła Iris. - A jeśli coś pójdzie źle, panie McCooley? Przewidział pan to?

Nie czekała na odpowiedź, odwróciła się w stronę Gaela, który stał bez ruchu, z założonymi rękami. Pozostałych dwóch mężczyzn i kobieta także wysiedli z samochodu i zbliżyli się do grupy. Wszyscy mieli podobne sylwetki - kobieta była tylko nieco drobniejsza - i dosyć urodziwe twarze o trójkątnym owalu. Nosili proste spodnie, golfy i kamizelki ochronne jak ich przywódca. Wszyscy mieli także długie włosy, sięgające do ramion albo jeszcze dłuższe. Patrzyli na dziewczynkę, która stała przed nimi z założonymi ramionami i zadartym podbródkiem.

Iris odezwała się pierwsza.

- Czy pan pomyślał o naszym bezpieczeństwie? Przez tego tu chłopaka - dodała, wskazując palcem Oskara - o mało nie zginęłam, wie pan...

- Przeze mnie? - wrzasnął Oskar. - Ależ było wręcz przeciwnie, gdyby nie moja

pomoc, zmiądzłyby cię skalne bloki!

Gael popatrzył na niego i uśmiechnął się. Miał białe, niezwykle równe zęby. Jego kły przypominały dobrze naostrzone groty.

- Sądzisz, że nie można się czuć bezpiecznie w moim towarzystwie?

Dziewczynka spojrzała na Gaela - na jego biały uśmiech, intensywnie niebieskie oczy, kwadratową szczękę, bliznę na policzku. W końcu cofnęła się niepewnie.

- Hm, przeciwnie, myślę, że... - jąkała się, poprawiając sobie włosy. - Myślę, że możemy być spokojni. Przynajmniej na początku.

Gael wyprostował się i objął spojrzeniem całą grupkę dzieci.

- Macie jeszcze pytania?

Odpowiedziała mu cisza, kilka osób pokręciło przecząco głowami.

- A ty, Alistair, masz dla mnie jakieś wskazówki na temat twoich podopiecznych?

- Tylko jedną: chciałbym, żebyś ich dostarczył z powrotem całych i zdrowych. Bardzo ich potrzebujemy.

Gael popatrzył w górę. Chmury gromadziły się na niebie jak gdyby chciało ono potwierdzić słowa Alistaira.

- Wszystkie dzieci wrócą tutaj, nie zabraknie ani jednego! Wiem, że przyszłość nie rysuje się różowo. Moim zdaniem może się okazać jeszcze trudniejsza, niż się nam wydaje. No dobrze, wy dwie - rzekł, wskazując Sally i Iris - wsiadajcie do mojego samochodu. Ty, chudy - do samochodu Kimi, a wy dwaj wskakujcie do trzeciego

samochodu. W waszym przypadku trudności zaczną się pewnie już dzisiaj.

Wszystkie dzieci, poza Mossem, odwróciły się w stronę Alistaira, który pomachał im tylko ręką i odszedł. Oskar i Moss zerknęli na siebie, a potem wsiedli do samochodu.

MIASTO MGIEŁ

Samochód gwałtownie ruszył z miejsca. Chłopcy na polecenie kierowcy usiedli z tyłu. Był to mężczyzna starszy od Gaela, nieco przy kości, małowówny. Patrzył na nich kątem oka. Chłopcy siedzieli przy oknach, starając się trzymać jak najdalej od siebie i odwracając się do siebie plecami. Chwilowo nie mieli ochoty na kłótnie. Znajdowali się w nieznanym, zadziwiającym Uniwersum, a kapitan Fagocytów wspominał o czekających ich próbach. Rozsądniej byłoby zatem zakopać topór wojenny, przynajmniej chwilowo...

Moss odezwał się pierwszy. Nachylił się w stronę kierowcy.

- Gdzie jedziemy?

- Za komendantem! - powiedział krótko mężczyzna.

Przyspieszył, by dogonić pierwszy samochód, i pojazd zaczął podskakiwać na piaszczystych wydmach jak gumowa piłka. Moss złapał się przedniego siedzenia i skulił, by nie upaść. Kierowca obserwował go we wstecznym lusterku. Uśmiechnął się półgębkiem. Oskarowi od razu wydał się bardzo sympatyczny. Nie zwracał uwagi na wstrząsy jeepa, starał się za to ogarnąć jakoś swoje kręcone włosy, rozwiewające się na wszystkie strony na wietrze. Oglądał okolicę, zafascynowany widokami. Konwój wjeżdżał właśnie na most. Oskar dostrzegł, że w oddali, na brzegu morza, stoją wielkie słupy wysokie jak wieżowce. Każdy z nich miał na wierzchołku coś w rodzaju

gigantycznego wentylatora. Oskar spróbował zapytać o nie kierowcę.

- Co to za kominy, tam daleko? Wie pan może?

Miał nadzieję, że odpowiedź będzie trochę dłuższa niż ta, którą kierowca dał Mossowi.

Mężczyzna rzucił okiem w kierunku wskazanym przez chłopca.

- To nie kominy, to wieże ZEFIR. Przez kilka chwil napędzają wiatr, a potem go zasysają. Jakby to rzec, to one wytwarzają te wiatry przeciwstawne.

- Chce pan przez to powiedzieć, że to te ZEFIRY pomagają Leonidowi oddychać?

Mężczyzna pokiwał głową. W tym samym momencie usłyszeli z oddali dziwne zgrzyty, jak gdyby motor jednego z wentylatorów zakrzuszył się i rzeził. Później wszystko wróciło do normy i wiatr wiał raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Te urządzenia są już mocno przestarzałe, a na domiar złego Leonid bardzo je zanieczyścił dymem z cygar. Dlatego czasem trochę szwankują - wyjaśniał kierowca. - A wtedy stary, poczciwy Leonid ma atak kaszlu.

Oskarowi przyszła w owej chwili na myśl mama, a także Violette, Jeremy, Barth. Zdarzało się to dosyć często, odkąd odkrył, że ma nadzwyczajną moc. Oni także mieli pięć wewnętrznych Uniwersów, a w nich morza i oceany, gigantyczne mosty i kominy. Czy któregoś dnia będzie musiał dokonać Introdukcji do jednego z tych Uniwersów w ciele bliskich, żeby ich ratować? Żeby ułatwić im oddychanie, rozwalając blok skalny w kanionie? Czy wieże ZEFIRY pani Golino będą zawsze działać bez usterki? Czy wszystko będzie dobrze działało u ludzi, których kochał? Nie mógł sobie wyobrazić, że jego matce lub siostrze dzieje się coś złego. Wiedział jednak, że w razie czego może dostać się do ich Uniwersów i zaradzić złu. Ta myśl sprawiała mu niewymowną ulgę i

dlatego właśnie świadomość, że jest Medykusem, dawała mu wielką satysfakcję. Nie był odpowiedzialny za śmierć ojca, który odszedł jeszcze przed jego przyjściem na świat. Jego brak doskwierał mu jednak bardzo boleśnie, codziennie. Teraz nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby stracił te istoty, które były mu najbliższe, czuł bowiem, że ma odpowiednią wiedzę i moc, by je chronić.

Często zadawał sobie to pytanie - czy mógłby jako Medykus, naprawić każde zło w wewnętrznych Uniwersach, sprawiając, żeby nikt nigdy nie umierał? Znowu przyszedł mu na myśl ojciec. Vitali był Medykusem. Niestety nikt nie mógł wejść do jego organizmu i uratować go przed śmiercią. Dlatego właśnie nie był w stanie zapomnieć tego, co powiedział wcześniej Alistair. Jeśli istnieje Szmaragdowa Tablica i jeśli byłoby można za jej pomocą przywołać ojca do życia, musiał taką Tablicę znaleźć.

I znajdzie ją, na pewno.

Kiedy ocknął się z zamyślenia, trzy samochody przemierzały już most i znajdowały się w jego połowie. Oskar popatrzył w górę, na stalowe liny, które biegnęły od przęsła do przęsła. Przeplatając się ze sobą, tworzyły ściśle geometryczną sieć przypominającą pajęczynę. Wychylił się i spojrział w dół: setki metrów niżej widać było czerwony ocean, przez który regularnie przebiegała fala, zupełnie jakby gdzieś w głębinie zachodziły bezustanne drgania. Przede wszystkim jednak Oskar nie mógł oderwać wzroku od zbliżającego się miasta.

Z bliska wydawało się jeszcze bardziej niesamowite.

Z tej odległości mógł już dostrzec tysiące małych postaci krzątających się i pracujących za przejrzystymi płytami gigantycznej kuli. Widać było także innych mieszkańców, poruszających się w tunelach łączących główną kulę z licznymi mniejszymi kulami, gdzie funkcjonowały windy lub ruchome schody, zależnie od potrzeb. Oskar zadawał sobie pytanie, na czym opierała się główna konstrukcja i jakim cudem unosiła się na powierzchni oceanu. Już miał o to spytać kierowcę, kiedy

samochód znacznie zwolnił. Dojeżdżali do bram miasta.

Wiatr znowu zmienił kierunek, wokół nich ponownie zagęściła się mgła w temperaturze 37 stopni Celsjusza, która unosiła się nad falami. Ledwie było widać pozostałe pojazdy i kiedy wysiedli ze swojego jeepa, musieli odczekać chwilę, aż się rozwieje, żeby zobaczyć stojących nieopodal kolegów. Dopiero wtedy zauważyli także, że otwarto wielkie bramy wjazdowe do miasta.

- Chodźcie ze mną! - zawołał Gael. - Zostawimy tutaj samochody, te zawalidrogę... Zwykle wyjeżdżamy nimi tylko po naszych gości na plażę. Zajmiemy się teraz poważniejszymi sprawami.

Grupa młodych Medykusów weszła za nim gęsiego przez bramę. Znaleźli się na ogromnym, nowoczesnym placu miejskim. Była tylko jedna różnica - nie widzieli tu ani jednego sklepu, restauracji czy baru. Wszystkie pomieszczenia miały biurowy wygląd. Można było pomyśleć, że całe to miasto, zamknięte w kulistej budowlu, zajęte było pracą. Wszędzie kręciły się tłumy rozgorączkowanych ludzi. Oskara nieco zaskoczył fakt, że wszyscy ubrani byli w zwyczajne ubrania, dżinsy, sukienki, garnitury, trampki. Wszystkie były jednak w tym samym, jasnobłękitnym, niemal przezrystym kolorze. Stroje te zdawały się miękko poddawać ruchom ludzi, jak gdyby poruszał nimi wiatr, chyba prawdziwy pan i władca tej krainy...

Na środku placu stała wysoka, lśniąca kolumna, która przenikała przez dach i sięgała zapewne gdzieś wyżej.

Ayden chwycił pod rękę Oskara i Sally. Popatrzyli w tym samym kierunku i wszyscy troje stanęli jak wryci.

Miasto zostało wzniesione na wzór sali teatralnej. Pod zewnętrznymi ścianami ciągnęły się kolidacje i na różnych poziomach wielkie balkony. Na każdym piętrze było mnóstwo mniejszych i większych budynków. Były tam prawdziwe ulice i całe arterie,

które zbiegały się na dolnym placu. W wielu różnych punktach placu wyrastały obszerne szyby, które prowadziły w górę, pod szklanymi ścianami i miały otwory wejściowe na każdym poziomie i na każdym balkonie.

W najwyższej partii kuli, ponad olbrzymimi balkonami, widać było krzyżujące się tunele, łączące miasto z licznymi mniejszymi kulami, widocznymi dookoła.

Nawet Moss zamilkł i stał osłupiały, podziwiając otoczenie. Podobnie Iris - z wrażenia zapomniała nawet o udzielaniu Eolczykom dobrych rad. Wszyscy podziwiali miasto, pogrążeni w zachwycie. W końcu Gael przywrócił ich do rzeczywistości, mając na uwadze ich zobowiązania.

Nie wdając się w wyjaśnienia, lekko ich popchnął w kierunku schodów, nad którymi widać było świetlistą lampę z trzema literami: SET.

Sally odwróciła się do Kimi, młodej i ładnej Eolki, która musiała należeć do oddziału Gaela. Miała długie, ciemne włosy, spięte z tyłu i duże, migdałowe oczy koloru orzechów. Wydawała się bardzo kobieca, a jednocześnie śmiała i wysportowana. Wyglądało na to, że dorównuje mężczyznom z oddziału pod względem świetnej formy i zapału do działania. Od razu spodobała się Sally, dziewczynka marzyła bowiem o wstąpieniu w przyszłości do wojska.

- Do jednostki specjalnej! - zwierzyła się Aydenowi. Popatrzył na nią, jakby była kosmitką.

Działo się to nieco wcześniej, kiedy jechali jeszcze samochodem Gaela. Sally wychyliła się nieco i z nieskrywanym podziwem obserwowała młodą kobietę jadącą za nimi.

- Do jednostki specjalnej? - powtórzył Ayden. - A na czym polega specjalność takiej jednostki?

Sally wzruszyła ramionami.

- Wojskowe jednostki specjalne służą do przeprowadzania szczególnie trudnych i niebezpiecznych akcji - odparła, zaciskając pięść. - Chcę pracować w terenie. Sam powiedz, widzisz mnie przy pracy biurowej?

Ayden energicznie pokręcił głową.

- O nie, nie widzę cię w biurze. Zresztą możesz być spokojna - chyba nikt nie wyobraża sobie ciebie w biurze.

Sally potraktowała to jako komplement i uśmiechnęła się. Do chwili, kiedy stanęli przed bramą miasta, nie spuściła wzroku ze swojej nowej idolki, odzianej w militarny strój i jadącej w następnym samochodzie. W prywatnym rankingu Sally Kimi zdetronizowała nawet Larę Croft.

- Co znaczą te trzy litery? - spytała Sally swoją bohaterkę, kiedy w tym samym tempie schodziły schodami, oznaczonymi napisem SET, przeskakując po kilka stopni naraz.

- Szybki Eolski Transfer - odparła Eolka. - Musimy się teraz pospieszyć. Jesteście umówieni z kimś, komu nie wolno kazać na siebie czekać.

Dotarli do miejsca, które przypominało nieco bramki w przejściu na stację metra. Każdy włożył magnetyczną kartę, którą dostał od Kimi. Przeszli przez punkt kontrolny, słysząc za każdym razem cichy dźwięk. Nie było jednak metalowych bramek, zastępowały je błękitne promienie światła. Wyszli na peron, przy którym nie dostrzegli jednak żadnych torów. Widać było dwie duże tuby, szerokie jak tor bobslejowy. Gael dał znak pracownikowi SET siedzącemu w szklanej kabinie. Ten wystukał coś na ekranie swojego komputera i w tubie otworzyło się szerokie przejście. Wewnątrz widać było coś

w rodzaju wagonika z ławką.

- Kto wsiada pierwszy?

Oskar chciał się zgłosić, kiedy nagle Moss bezceremonialnie przepchnął się do przodu.

- Mężczyźni przodem! - rzucił ze swoją zwykłą agresją w głosie.

Gael popatrzył na niego twardym wzrokiem, nie było jednak czasu na dyskusje reprimendę dla Medykusa. Pomógł mu zejść do wagonika.

- Połóż się i przypnij się pasem. Gotowy?

Moss pokiwał głową, nagle poczuł się dużo mniej pewny siebie.

- Co się teraz stanie? - zapytał z niepokojem w głosie.

- Boisz się? - spytał Oskar, wykorzystując okazję, by zakpić ze swojego odwiecznego wroga. - Bo jeśli masz stracha, puść przodem prawdziwych mężczyzn! - dodał, wskazując na siebie i swoich przyjaciół.

Moss czuł się upokorzony, spojrzał na Oskara złym wzrokiem, nie mógł mu jednak odpowiedzieć. Zastanawiał się, co się stanie, kiedy zamknie się przejście w tubie. Czy zrobi się całkiem ciemno? Chwilowo mógł myśleć tylko o tym. Pill może poczekać, później się nim zajmie.

- Czy... czy światło zgaśnie, kiedy to się zamknie? - spytał Gaela najciszej jak mógł.

Odpowiedziała mu Iris, która stała z boku, a której nie zauważył wcześniej.

- Boisz się ciemności? - zdziwiła się głośno, co pozwoliło się zorientować innym, którzy nie dosłyszeli cichego pytania Mossa. - Ile ty masz właściwie lat?

Gdyby Moss nie był przypięty pasem, rzuciłby się na Iris i z pewnością by ją udusił. Pomiął jednak jej pytanie milczeniem, skamieniały ze strachu i z upokorzenia.

Drzwi się zasunęły. Gael nacisnął guzik przy skraju peronu i wagonik pomknął jak strzała, znikając w oddali. Dzieci popatrzyły na siebie niepewnie.

Gael wskazał na Iris.

- Ponieważ lubisz wszystkim dawać dobre rady, masz prawo do następnego miejsca w kolejce. Wsiadaj do kolejnego wagonika.

- Ale byłoby lepiej, gdyby inni pojechali przede mną. Kiepsko sobie radzą, warto by było zatem dopilnować, czy... AAAACH!!

Gael chwycił dziewczynkę za ramię i wsunął ją do kolejnego wagonika, który zatrzymał się przy peronie. Zasunęła się płyta zamykająca wejście i pojazd ruszył za poprzednim.

Oskar z własnej woli podszedł do brzegu peronu i wsiadł do następnego wagonika, po czym zapiął pasy. Zanim odjechał, Gael pochylił się nad nim na krótko. Po raz pierwszy Oskarowi wydało się, że dostrzega jakąś miękkość w spojrzeniu kapitana.

- Mój chłopcze, jestem szczęśliwy, że mogę przyczynić się do tego, aby młody Pill stał się prawdziwym Medykusem! - powiedział cichym tonem. - Bardzo szczęśliwy. Życzę ci powodzenia...

Wyprostował się i nacisnął guzik.

- W drogę!

Przedział zamknął się.

Oskar usłyszał, jak motor budzi się i warczy, a później - wyje głośnym rykiem. Jakaś siła odrzuciła jego ciało, które wydawało się gwałtownie wykręcać ósemki. Rzuciło nim na wszystkie strony, obracał się wielokrotnie dookoła własnej osi i już myślał, że głowa mu pęknie na pół, kiedy pojazd nagle się zatrzymał. Płyta odsunęła się i zobaczył towarzyszy wyprawy. Moss był błydy jak papier, opierał się o ścianę. Iris siedziała po prostu na ziemi, nie zważając na swoją schludną garderobę. Zasłaniała usta ręką.

Kilka chwil potem z kolejnych wagoników wyłonili się, lekko się zataczając, Ayden i Sally. Widać było, że siłą powstrzymują nudności. Dotarli też do nich Gael i Kimi.

- Za pierwszym razem zawsze robi takie wrażenie - przyznał Gael. - Ale później człowiek się przyzwyczaja, zobaczycie sami.

Wyszli ze stacji SET i wydostali się na piękny plac górujący nad miastem. Widać stąd było most, kaniony, równinę i ocean rozciągający się aż po horyzont.

- Jesteśmy na dachu miasta - wyjaśniła im Kimi.

- Dlaczego tu jesteśmy? - zapytała Iris. - Kręci mi się w głowie. Możemy zejść na dół?

- Nie - odparła młoda kobieta, cofając się nieco. - Przeciwnie, wejdziemy jeszcze wyżej.

Dzieci odwróciły się i podniosły wzrok. Nad kopułą eolskiego miasta wznosił się dumnie wśród mgieł świetlisty pałac królewski.

Gael już ich popędzał.

- Pospieszcie się, słońce zachodzi, a wy jeszcze nie zostaliście przedstawieni!

Wszyscy przebiegli przez plac i przeszli przez bramki ochrony, gdzie ich dokładnie sprawdzono i przeszukano. Minęli hall i weszli na szerokie schody, u których szczytu widać było potężne drzwi.

- Komu niby mamy być przedstawieni? - niecierpliwiła się Sally. - Sądziłam, że mamy tu zdobyć nasze Trofeum!

Kimi uśmiechnęła się do niej.

- Coś mi się zdaje, że jesteśmy do siebie podobne - powiedziała, mimowolnie sprawiając Sally wielką przyjemność. - Obie wolimy raczej działanie niż światowe życie, prawda? Tym razem jednak musicie się zdobyć na odrobinę cierpliwości. Zostaniecie przedstawieni królowi.

Nie wiadomo skąd w pałacu zerwał się wiatr, poruszając metalowe przewody, które zadzwoniły dźwięcznie. Drzwi otworzyły się, dwoje Eolczyków i towarzysząca im grupa Medykusów weszli do środka.

Nad salą audiencyjną rozciągało się sklepienie ozdobione witrażami, w których przeplatały się wszystkie odcienie niebieskiego. Przed kolumnadą stali rzędem strażnicy, uzbrojeni i wyposażeni w znane już Medykusom włoski wibrujące. Zaskoczony Oskar popatrzył na nich uważnie i pochylił się w stronę Aydena.

- Widzisz to? - szepnął mu do ucha. - Nie wyglądają za dobrze...

- Nie są też zbyt młodzi - zgodził się jego przyjaciel. - Wydają się całkowicie wykończeni. Ten tutaj w ogóle się już nie rusza. Myślisz, że on...

Nie miał odwagi skończyć zdania. Oskar poczuł jednak, że musi tę sprawę wyjaśnić do końca. Oddalił się od grupy Gaela i Kimi. Zbliżył się do najbardziej przygarbionego strażnika.

- Proszę pana... - szepnął chłopiec. - Czy pan... dobrze się pan czuje?

Mężczyzna podniósł głowę i Oskar ujrzał jego pobrużdżoną, starą twarz. Broda mu się trzęsła, a powieki zamykały się wbrew jego woli. Nie był w stanie wydusić z siebie żadnej odpowiedzi i chłopiec doszedł do wniosku, że gdyby ktoś usunął kolumnę, o którą się opierał, człowiek ten z pewnością runąłby na ziemię.

- Nie ma już nawet siły mówić. Jak wielu mieszkańców mojego miasta - powiedział nagle ktoś za kolumną trzęsącym się głosem.

Oskar podskoczył. Z cienia wyłonił się wysoki mężczyzna. Jego siwiejąca broda drżała na wietrze, który wiał przez całą salę, hulał między kolumnami, gwizdał pod ścianami i wciskał się do każdego najmniejszego kąta. Człowiek ten nosił długą tunikę w błękitnawym odcieniu bieli. Ozdabiał ją wizerunek kuli, na tle której krzyżowały się dwie flagi. Nad jego głową widniała niezwykła korona z poruszającej się bezustannie mgły. Wyglądało to tak, jakby wokół jego gęstych, oprószonych siwizną włosów krążył stale podmuch wiatru.

Król Eol zbliżył się do Oskara, a reszta grupy ruszyła w ich kierunku.

- Leonid Smith jest starym człowiekiem, który w dodatku zupełnie nie dba o swoje zdrowie. My zestarzeliliśmy się wraz z nim.

Monarcha, który w przeciwieństwie do innych, wydawał się być w doskonałej formie jak na swój wiek, skierował się w stronę podwójnych drzwi i wyszedł na taras, z którego zwykle przemawiał do ludu zgromadzonego na placu poniżej, u stóp pałacu. Z tego

miejsca widział całe swoje królestwo. Oskar wyszedł za nim. Eol błędnął wzrokiem po dalekim horyzoncie i zaczął mówić z nostalgią w głosie.

- Wieże ZEFIR nie działają już jak należy, skały w kanionach pękają i blokują przejście. Leonid pali tytoń, który wszystko tu niszczy i brudzi, Eolczycy starzeją się i znikają... Leonid jest starszym panem, a my towarzyszymy mu u schyłku życia - jego i nas wszystkich. Gdyby jeszcze bardziej dbał o siebie...

Westchnął i opuścił rozgrzany taras. Wrócił do chłodnej sali.

- Jesteście zapewne jednymi z ostatnich ludzi, którzy dokonują tu Introdukcji i goszczą w moim pałacu.

Gael i Kimi popatrzyli na siebie, a później na grupkę dzieci. Kimi nachyliła się w stronę Oskara, Sally i Aydena, którzy, w miarę jak król do nich mówił, zbliżyli się do siebie.

- Może trudno wam w to uwierzyć - szepnęła - ale myśli optymistycznie i jest w świetnej formie.

Eol odwrócił się do dzieci. Nagle jakby zrozumiał, że jego słowa mogły się dla nich okazać zbyt poruszające. Ciągnął zatem dalej weselszym tonem:

- Bardzo mi zależy na tym, żeby wszystko się wam udało. Dobrze wam życzę, cenię też bardzo Winstona Brave'a. Musicie bowiem szybko stać się doświadczonymi Medykusami! Każdy liczy się w tych trudnych czasach, które niebawem nadejdą...

Oskar zerknął na młodą Eolkę.

- „Myśli optymistycznie”? Jest pani pewna?

Gael podszedł do króla, chcąc przerwać tę nieco zbyt ponurą przemowę.

- Ma pan rację, wasza wysokość. Najwyższa pora, żeby ci młodzi zdobyli swoje Trofeum.

- Trofeum? Ich Trofeum... - powtórzył król, zatopiony w swoich rozmyślaniach.

Otrząsnął się w końcu, jakby obudził się z sennego koszmaru.

- Ależ tak, rzecz jasna! - wykrzyknął, aż wszyscy podskoczyli. - Skoro znaleźli się tu zatem w celu zdobycia Trofeum, niech pokażą, ile są warci, niech tu i teraz udowodnią, że są tego godni. Niech złączą się próby, na Oddech Eola Wielkiego!

Na te słowa drzwi otworzyły się na oścież i wdarł się przez nie straszliwy wicher. Dzieci schroniły się za kolumnami. Do sali wkroczył oddział wojska, żołnierze stanęli na baczność.

Król Eol zwrócił się do młodych Medykusów:

- Nie będziecie poszukiwać waszych Trofeów we wnętrzu jakiejś góry. Musicie zwalczyć pewne zagrożenia, na które będziecie się natykać w różnych Uniwersach. Nie brakuje ich niestety także w Królestwie Oddechów. Powinniście nauczyć się, jak z tymi niebezpieczeństwami walczyć i jak zwyciężać naszych wrogów. Większość z nich już niedługo zapewne stanie u boku Czarnego Księcia. Może nawet już się to stało... Jesteście gotowi?

- Jesteśmy! - zawołali chórem Oskar i Sally, chociaż poczuli się przygnębieni, słysząc te okropne nowiny.

Ayden odważnie pokiwał głową. Iris czekała na dalszy ciąg. Natomiast Moss nagle odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, nie czekając na dalsze polecenia.

Gael zastąpił mu drogę.

- Gdzie się wybierasz?

- Wychodzę - odparł krótko Moss. - Gdzie się odbędą te próby? Skończmy już z tym.

Moss sięgnął do pasa. Oskar zauważył ten ruch i zobaczył też dziwny kształt pod jego peleryną. Gael schwycił chłopaka za ramię, poły peleryny odwinęły się i Oskar rozpoznał sakwę, taką samą jak ta, którą i on nosił przy pasie. Widniały na niej inicjały JP - Jednostka PALOMA. A zatem Ronan miał tę samą broń, co on, Oskar. I także zabrał ją ze sobą.

- Chwilowo jeszcze musisz zostać tutaj, bo to ja zdecyduję o tym, gdzie i kiedy odbędą się próby.

Moss skapitulował co prawda, ale wyrwał się z uchwytu kapitana ze skrzywioną miną.

Gael odwrócił się do reszty dzieci.

- Jak się nazywacie?

Dzieci po kolei się przedstawiły.

- Świetnie - powiedział Gael. - Sally, Iris i Ayden, pojedziecie z Kimi. Ja zostaję z wami dwoma - dorzucił, zerkając na Mossa i Oskara, jakby wyczuł, że żywią do siebie wyjątkową niechęć.

Zachwycona Sally ustawiła się tuż obok młodej Eolki, która stała pośrodku sali między kolumnami. Ayden także szybko do nich podszedł, Iris natomiast stanęła przed

Kimi, podpierając się pod boki.

- Gdzie się niby wybieramy? - spytała impertynencko.

Król nacisnął przycisk.

- Popatrz w górę! - powiedział. - Po prostu popatrz w górę.

Dzieci podniosły wzrok. W sklepieniu nad salą ukazała się rysa i rozsunęło się ono na dwie strony. Na krótką chwilę musieli zamknąć oczy, oślepiło ich bowiem jasne światło, które wpadło do środka jak biały deszcz. W tym momencie rozległ się ryk zbliżającego się silnika. Nad salą widać było teraz otwarte niebo i kiedy znowu zdołali w nie spojrzeć, dostrzegli w rozświetlonym słońcem powietrzu zbliżającego się, niebieskawego owada olbrzymich rozmiarów. Iris spojrzała spanikowana na króla, który jednak nadal miał na twarzy lekko złośliwy uśmiezek. Ayden w pierwszej chwili miał ochotę uciec. Wyprostował się jednak i zasłonił Sally, chwytając za medalion, gotów do obrony. Huk silnika był coraz potężniejszy i dzieci zorientowały się wreszcie, czym był zbliżający się owad. Był to ogromny helikopter noszący emblematy Królestwa Oddechów - dwie skrzyżowane, rozwiane na wietrze flagi.

Drzwi po prawej stronie helikoptera otworzyły się i spuszczone na zewnątrz sznurkową drabinkę. Przeznaczona była dla małej grupki dzieci skupionych wokół Kimi. Eolka nie musiała pomagać szczęśliwej i podnieconej Sally, która rzuciła się pierwsza i wdrapała po drabinie w sportowym stylu na samą górę, do kabiny. Ayden ruszył za nią, był nieco mniej sprawny i wejście do helikoptera zajęło mu więcej czasu. Kiedy przyszła kolej na Iris, Kimi musiała złapać ją w tali, zmuszając do tego, by wspięła się na drabinkę, gdy tymczasem dziewczynka wymachiwała oskarżycielsko palcem. Na szczęście huk silnika zagłuszał jej słowa.

Oskar podbiegł bliżej do helikoptera i odpiął od pasa chlebak z bronią Palomy.

- Ayden!

Chłopiec wychylił się z kabiny helikoptera. Oskar rzucił mu torbę, ale Ayden nie zdołał jej złapać. Czyjaś ręka schwyciła jednak frunącą sakwę, była to Kimi, która z uśmiechem podała ją Aydenowi. Chłopak uśmiechał się dzielnie do przyjaciela, który został na ziemi. Pilot zamknął szybko drzwi i twarz Aydena zniknęła za lśniąco lustrzaną szybą.

Oskar zbliżył się do Gaela, chwycił go za ramię.

- Gdzie oni lecą? - zawołał, ściskając poły peleryny, by nie odleciała z wiatrem.

Zamiast odpowiedzieć Gael pociągnął za sobą obu chłopców w stronę drzwi. Tymczasem helikopter nabierał wysokości. Dach nad salą audiencyjną się zamknął. Oskar odwrócił się po raz ostatni. Eol siedział w fotelu, pogrążony w głębokim zamyśleniu, wydawało się, że przestał zwracać uwagę na otaczający go świat.

Zeszli w dół potężnymi schodami, minęli rozległy hall pałacowy i znaleźli się na placu. Podnieśli wzrok: helikopter, który zabrał młodych Medykusów, wznosił się przez chwilę prosto w niebo nad Królestwem Oddechów, potem skręcił nagle i skierował się w stronę mostu łączącego miasto z równiną i kanionami.

Oskar podbiegł aż do balustrady. Znajdowali się setki metrów nad powierzchnią oceanu i mieli doskonałą widoczność. Ujrzeni, jak maszyna skręca i kieruje się na zachód od mostu. Prosto w kierunku wież ZEFIR.

TERAZ ALBO NIGDY

Dzieci w kokpicie helikoptera były mocno niespokojne. Jednocześnie fascynowały

się nieprawdopodobnymi widokami. Lot był upajającym przeżyciem. Eolair One wylądował na brzegu oceanu, u stóp wieży ZEFIR, a dzieci wysiadły z kabiny. Nad ich głowami kręciły się jazgotliwie śmigła, ale inny dźwięk przeszkadzał im dużo bardziej. Było to dochodzące z pobliskich kanionów ogłuszające wycie wichru, który wdzierał się między skalne progi. Ten hałas był nie do zniesienia. Dzieci popatrzyły na Kimi, która została na pokładzie helikoptera. Stała w otwartych drzwiach kabiny pilota.

Tym razem Ayden zareagował pierwszy.

- Co to za hałas? Co się dzieje w kanionach?

- Stały się zbyt ciasne! - krzyknęła Kimi, otaczając usta dłońmi, żeby lepiej ją słyszeli. - Nie ma już dosyć miejsca, by powietrze mogło normalnie przepływać, a wieże ZEFIR nie pracują z właściwą mocą i nie zasysają powietrza odpowiednio intensywnie! Teraz wasza kolej!

- Ale co my z tym możemy zrobić? - krzyknął Ayden bezradnie.

- Macie mało czasu! - zawołała jeszcze Kimi, nie odpowiadając właściwie na jego pytanie. Tymczasem helikopter startował już, zostawiając ich na brzegu. - Później zaczną się turbulencje i nie będziemy mogli po was przylecieć! Życzę wam powodzenia!

Zanim zdolali cokolwiek powiedzieć czy wykonać jakikolwiek ruch, Kimi była już daleko.

Iris odwróciła się do swoich towarzyszy.

- No i proszę bardzo! - wrzasnęła. - Wiedziałam, Leonid jest chory i wyprawa do jego organizmu nie była bezpieczna! McCooley mnie nie słuchał, nikt mnie nie słucha!

- No więc tym razem słuchamy cię, i owszem. Masz może pomysł, co z tym począć?

- spytała Sally, kręcąc się w kółko w poszukiwaniu rozwiązania. - Nie wiem, czy dobrze zrozumiałaś, co nam powiedziała Kimi - nie mamy do dyspozycji całego dnia!

- Wydaje mi się, że wiem, co robić - stwierdził Ayden. - Mój młodszy brat ma podobny problem, choruje na astmę.

- Na astmę? - zdenerwowała się Iris. - Możliwe, że coś od niego przyniosłeś, mogę się zarazić!

Sally przewróciła oczami.

- A co lekarze radzą w przypadku tej astmy twojego brata? - spytała Aydena, nie zwracając już uwagi na Iris. - Moglibyśmy spróbować tego samego w przypadku Leonida.

Rzuciła okiem na zegarek.

- To znaczy moglibyśmy, gdyby dało się to zrobić w miarę szybko...

- Owszem musimy coś zrobić szybko, inaczej Leonid zacznie kasłać, żeby udrożnić swoje oskrzela, i będzie po ptakach!

Sięgnął po niewielki, skórzany chlebak, który Oskar rzucił mu tuż przed startem helikoptera. Próbował sobie gorączkowo przypomnieć wszystko to, co przyjaciel mówił mu na temat znajdującej się tam broni. Grzebał w środku. Trudno mu było zebrać myśli, żaden ze zgromadzonych w torbie przedmiotów nie nasuwał mu konkretnego pomysłu. Już miał zrezygnować, kiedy coś zalśniło na dnie torby. Sięgnął i wyciągnął gwiazdkę o trzech ramionach, z literą M wyłobioną pośrodku. W jego oczach pojawiło się światelko nadziei.

- Może nam się uda... Wyjmijcie wasze medaliony! - powiedział stanowczym głosem.

Dziewczynki nigdy jeszcze nie sływały, żeby mówił takim tonem. - Jeśli chcemy pomóc jakoś Leonidowi, trzeba przede wszystkim ułatwić mu oddychanie!

Sally posłuchała bez dyskusji, nawet Iris powstrzymała się od protestu, chociaż trzymała się nadal nieco z boku. Popatrzeli na kaniony, potem na wieże, które z trudem zasysały i wydmuchiwały powietrze w stronę zbyt ciasnych wąwozów.

Sally i Ayden wymienili spojrzenia.

- Zdaje mi się, że mam pomysł - powiedział chłopiec.

- Zdaje mi się, że ja mam ten sam pomysł - dodała Sally.

Odwrócili się w stronę Iris.

- Za kogo wy mnie macie? - oburzyła się. - Sądzicie może, że wpadliście na coś, czego ja bym nie wymyśliła przed wami?

Rozłożyli szeroko peleryny, chcąc się dowiedzieć, skąd wieje wiatr, zanim jednak cokolwiek stwierdzili, plaża i most zatrzęsły się, a na powierzchni oceanu pojawiły się wzburzone fale.

- Stało się! - zdenerwował się Ayden. - Leonid zaczął kasłać. Wstańmy, szybko!

Podnieśli się, a wiatr uniósł poły ich peleryn w stronę morza. Oczekali kilka sekund. Silniki w wielkich wieżach skierowały powietrze z powrotem w stronę kanionów jak gigantyczne suszarki do włosów.

- Teraz uważajcie! - zawołał Ayden, rzucając gwiazdkę w górę.

Dziewczynki patrzyły na niego pytająco, nie za bardzo rozumiejąc jego zamiary.

- Ale...

- Teraz! - krzyknął Ayden, wyciągając swój medalion w górę. - Skupcie się na gwiazdce!

Wieże znowu się lekko zacięły i kolejny wstrząs sprawił, że całe królestwo zadrżało w posadach. Sally i Iris, nie zwlekając, wyciągnęły swoje medaliony. Każda Litera rozjarzyła się, ze wszystkich trzech wystrzeliły promienie w kierunku spadającej już gwiazdy. Zawisła w powietrzu i zaczęła się znowu wznosić.

- Nie opuszczajcie ramion! - wołał Ayden, chcąc im dodać odwagi. - Gwiazda nie może spaść na ziemię, musi dolecieć do wierzchołka wieży!

- Ale właściwie dlaczego? - zapytała Iris, zdając sobie nagle sprawę, że po raz pierwszy w życiu usłuchała czyjegokolwiek rozkazu - a było to polecenie Aydena.

Zbuntowała się i opuściła medalion.

- Musicie mi najpierw wyjaśnić, co...

Trzeci wstrząs, znacznie gwałtowniejszy od poprzednich, przerwał jej w pół słowa. Iris zachwiała się i upadła do tyłu, podpierając się rękami.

- Mój medalion! - zawołała, podczas gdy wiatr znowu wył w najlepsze wokół nich, gwiżdżąc w kanionach.

Jej towarzysze popatrzyli przerażeni - złota Litera Iris potoczyła się po ziemi i nagle, jakby jakimś cudem, zniknęła im z oczu. Iris przypadła do ziemi.

- Jest! Jest tutaj, wpadł w tę szparę!

- No to wyciągnij go! - zawołał Ayden.

- Nie mogę! - zdenerwowała się Iris. - Jest za głęboko, nie dam rady! A poza tym nie znoszę grzebać rękami w piachu!

Ayden odwrócił się do Sally.

- Dasz radę przez chwilę sama? Jeśli gwiazda spadnie na ziemię, to koniec, straci swoją moc.

Sally kiwnęła głową i skoncentrowała się na gwiazdce, starając się utrzymać ją na odpowiedniej wysokości za pomocą jednego tylko medalionu. Ayden podbiegł do Iris, która klęczała obok szczeliny, jaka powstała na skutek wstrząsów. Dostrzegł w głębi złote światło, jakim świeciła Litera. Ayden spróbował spuścić w szczelinę swój medalion, trzymając go mocno za łańcuszek.

Iris odważyła się go zbesztać.

- To na nic, bez sensu. Nasze medaliony nie są ze sobą powiązane, jeden nie przyciągnie zatem drugiego.

- Staram się naprawić twoje głupstwa, bo przez ciebie polegniemy na całej linii! Zachowaj dla siebie te komentarze...

Tym razem Iris wyjątkowo nie odezwała się ani słowem i starała się znaleźć rozwiązanie sytuacji.

- Może masz magnes w tej twojej torbie?

- To nie jest żelazo! - odparł Ayden, gorączkowo zastanawiając się, jak wyciągnąć

medalion.

Podniósł wzrok i popatrzył na helikopter, który kołował w oddali i nie mógł się do nich zbliżyć, kiedy Leonid miał ataki kaszlu. Spojrzał w kierunku miasta i wydawało mu się, że widzi maleńkie sylwetki na placu u stóp pałacu. Myśl, że może Oskar obserwuje go i podtrzymuje na duchu, dodała mu odwagi. Zmrużył oczy i zobaczył fruującą na wietrze pelerynę wokół sylwetki Oskara.

Peleryna. Magnes.

Popchnął szybko Iris i zaczął rozwiązywać jej pelerynę.

- Co robisz? - zawołała, ściskając poły tkaniny. - Nie znoszę jak ktoś dotyka moich rzeczy!

Ayden pociągnął mocno, ale Iris nie puszczała.

- Twoja peleryna rozpozna medalion! Daj mi ją natychmiast!

- Pospieszcie się! - jęknęła Sally, której mocne ramię zaczynało słabnąć. - Gwiazda zaczyna się zniżyć, nie mam dość siły, żeby ją utrzymać w powietrzu!

Iris puściła wreszcie pelerynę. Ayden zwinął ją i zaczął wsuwać w szczelinę, trzymając mocno drugi koniec tkaniny. Kiedy tylko peleryna zbliżyła się do medalionu, ten przylepił się do niej i Litera zaśniła mocniejszym blaskiem. Ayden zaczął ostrożnie wyciągać pelerynę ze szpary.

- Pomóżcie mi wreszcie! - wrzasnęła Sally.

Ayden i Iris odwrócili się w jej stronę. Gwiazda wisiała już zaledwie dwa metry nad ziemią. Za chwilę upadnie i nie starczy im już czasu, by dobrać do końca próby. Wiatr

przyniósł warkot motoru. Ujrzeni w dali zbliżającą się motorówkę, która płynęła w ich stronę po wzburzonym oceanie.

- Helikopter nie może do nas dolecieć, wysłali łódź - jęknął Ayden. - Nigdy nam się nie uda...

- Tym lepiej! - ucięła Iris. - Nie cierpię tego miejsca. Wracajmy, zdobędziemy Trofeum innym razem.

- Nie ma mowy! - wrzasnęła Sally. - Nie poddajemy się! Zabierajcie ten medalion i chodźcie tu, pomóżcie mi! Jeszcze mamy szansę!

Ayden pociągnął za pelerynę i medalion wysunął się ze szczeliny.

Wstali i podbiegli do Sally. Wycelowali trzema medalionami w gwiazdę, która pod wpływem świetlistych promieni z Liter znowu zaczęła się unosić do góry. Ayden odzyskał nadzieję, że uda im się zdobyć Trofeum.

- Wyżej! Jeszcze wyżej!

Gwiazdka wznosiła się teraz coraz szybciej i w końcu sięgnęła szczytu starych wież ZEFIR Leonida.

- Poczekajmy, aż wiatr zmieni kierunek... Teraz! Znowu wieje w stronę kanionów! Musimy popchnąć jeszcze trochę, ostatni raz!

Dzieci postarały się ze wszystkich sił i udało im się unieść gwiazdę o jeszcze jeden metr w górę. Znalazła się dokładnie na drodze wiejącego wichru. Dzięki jego podmuchom i pod wpływem energii z trzech medalionów gwiazda rozciągnęła się i znacznie powiększyła. Stała się w końcu olbrzymim śmigłem o trzech ramionach, które zaczęło się błyskawicznie obracać. Wicher owinął się wokół niego, tworząc trąbę

powietrzną, wyższą niż wieże ZEFIR. Trąba zaczęła się przesuwać, porywając po drodze ziemię. Troje Medykusów rozpląsało się na brzegu oceanu, chowając się pod peleryny.

Sally w końcu wysunęła głowę. Była mocno zaskoczona.

- Niewiarygodne! Ta twoja gwiazdka zmieniła zwyczajny wiatr w...

- ... w potężny cyklon! - dokończył Ayden, wstając z ziemi, cały zakurzony. - Takie działanie ma Surventex. Spójrzcie, idzie prosto na kaniony!

Cyklon niszczył wszystko po drodze. Wkrótce runął w pierwszy kanion. Skalne odpryski blokujące przejście rozleciały się na boki jak pierze, a huragan przeszedł przez kanion jak nóż krojący masło. I zaraz potem zaczął przecierać szlak w sąsiednim kanionie. Wiatr wiał w końcu swobodnie w oczyszczonych przejściach.

- Udało się nam! - ucieszył się Ayden. - Leonidowi minął atak astmy, znowu może normalnie oddychać!

W tym samym momencie motorówka dobiła do brzegu i wyskoczyła z niej Kimi.

- Brawo! - zawołała, rzucając okiem na wieże, a potem na oczyszczone kaniony. - Świetnie sobie poradziliście!

- Dziękuję - powiedziała Iris. - To prawdziwe szczęście, że tu byłam, inaczej tych dwoje nigdy by sobie nie dało rady z podniesieniem gwiazdy!

Jej towarzysze najpierw wybałuszyli oczy, nie wiedząc jak zareagować na taką bezczelność, a w końcu wybuchnęli śmiechem.

- Teraz pozostaje wam tylko odebrać nagrodę - powiedziała Kimi.

Popatrzyli w tę samą stronę, co ona i ujrzeli kilka metrów dalej czekający na nich samochód.

- Zostaje pani tutaj? - spytała Sally z żalem, zmartwiona, że rozstanie się ze swoją idolką. - Nie jedzie pani z nami?

- Kolej na waszych kolegów, będą musieli zmierzyć się z następnym wyzwaniem. Muszę po nich polecieć.

Ayden podszedł do niej i podał jej skórzany chlebak z bronią.

- Mogłaby pani oddać to Oskarowi? Na pewno mu się przyda.

Kimi wzięła torbę i ruszyła w stronę motorówki.

- Zawsze będziecie mile widziani w Królestwie Eola! Życzę wam szczęścia i do widzenia!

Ayden i Iris siedzieli już w samochodzie, na tylnym siedzeniu. Sally, chcąc nie chcąc, także wskoczyła do jeepa i usiadła z przodu, obok kierowcy. Samochód ruszył z dużą szybkością w stronę pierwszego kanionu, odblokowanego przez huragan.

- Gdzie jedziemy?

Szofer nacisnął pedał gazu.

- Ja tylko prowadzę, a wy kierujecie.

Dzieci popatrzyły na siebie zaskoczone. Jakim cudem miały pokazać drogę kierowcy, skoro nie miały zielonego pojęcia, czego właściwie szukają, ani też nie wiedziały, jak

znaleźć miejsce, gdzie odgadłyby, czego szukają...

- Nie da się ukryć, że to wszystko jest bardzo źle zorganizowane! - stwierdziła Iris, która szykowała się do przyznawania czerwonych kartek.

Sally zauważyła to pierwsza.

- Patrzcie tam, na górze! - krzyknęła. - Ta skała!

- Skała, skała... - powtórzyła Iris bezradnie. - Przecież tu wszędzie są skały!

Sally zniecierpliwiła się, złapała Iris za kocyk i wskazała jej coś palcem.

- Popatrz tam, na tę skałę wysoko. Nie przypomina ci czegoś?

- To Kaduceusz! - ucieszył się Ayden. - Ta skała ma kształt Kaduceusza Medykusów!

- Doskonale - sapnęła z ulgą Iris, poprawiając sobie włosy. - Zawiezie nas pan tam, i to zaraz! - powiedziała do szofera.

- Tylko że... nie możemy jeszcze wrócić! - zauważył Ayden. - Nie zdobyliśmy Trofeum. Nawet nie wiemy, co to w ogóle jest!

- Tak czy inaczej, nie widać żadnego innego znaku, wobec tego powinniśmy pojechać w kierunku Kaduceusza - ucięła Sally. - Przepraszam pana, czy pan może zna drogę, którą dałoby się dojechać tam, na szczyt kanionu?

- Będziemy tam za pięć minut! - zapewnił ją mężczyzna, któremu chyba dużo bardziej odpowiadał sposób bycia Sally.

Dotarli pod skaliste zbocze i kierowca skierował samochód na krętą drogę

prowadzącą w górę. Zgodnie z obietnicą, kilka minut później znaleźli się na szczycie płaskowyżu. Daleko w dole widzieli Miasto Mgieł, które było już teraz tylko odległą kulą, otoczoną licznymi, mniejszymi satelitami. Aydenowi przyszedł na myśl Oskar, który został tam z Mossem. Będą teraz musieli rozwiązać zadanie, które wymyślili dla nich Gael i Kimi. Jeżeli nawet on, Ayden, cierpiał z powodu Iris, to co miał powiedzieć Oskar, który na swojej drodze do Trofeum miał Mossa? Wierzył jednak w swojego przyjaciela. Wyszli z samochodu.

Sally pierwsza wypatrzyła skałę w kształcie Kaduceusza.

- Tam! Ale... to dziwne, co to za błyszczące trzy punkty w skale?

Podbiegli do kamienistej formy. U stóp Kaduceusza i w górnych rogach kielicha czekały na nich trzy małe, szklane pudełeczka. Iris bez dalszych ceremonii wzięła jedno z nich.

- Otwierają się z dwóch stron, dziwne...

Kiedy tylko otworzyła pudełko z jednej strony, uniósł się znad niego głos:

W otchłań z góry

Leć, to twa rola,

Pochwyć oddech

Z królestwa Eola.

- Oddech? - powiedziała sceptycznie Iris, zaglądając do wnętrza pudełka. -
Pochwyć oddech? Niby w jaki sposób?

- Nie słyszałaś? To pewnie właśnie połowa naszego Trofeum.

- To logiczne - dodał Ayden. - To istota tego królestwa.

Zbliżył się do skraju przepaści i popatrzył w otchłań. W wąwozie wicher hulał,
gwiżdżąc głośno.

Odwrócił się do dziewczynek i z bijącym sercem otworzył pudełko.

- Sądzę, że nie mamy innego wyjścia - powiedział, nie wierząc, że to naprawdę mówi.
- Trzeba skoczyć w dół, nabrać wiatru do tego małego pudełeczka i jeszcze odwrócić się,
żeby dojrzeć Kaduceusz. Powinniśmy się raczej starać ze wszystkich sił, żeby nam się to
udało...

- A jeśli się nie uda, to co? - spytała Iris.

- To roztrzaskasz się na dnie kanionu, bez wiatru, z pustym i rozbitym pudełeczkiem.
No i nie wrócisz do naszego świata, chyba że w drobnych kawałkach, jeśli komuś będzie
się chciało je zbierać.

- Dobra, zaczynamy! - rzuciła Sally, odważniejsza od pozostałych dwojga.

Wszyscy troje stanęli na skraju przepaści.

- Gotowi? - zapytał Ayden niepewnym głosem.

- Tak! - zawołała Sally, podniecona bliskim zakończeniem przygody.

Iris także potwierdziła gotowość, była jednak mniej pewna siebie niż zazwyczaj.

- No to skaczemy!

Wszyscy popatrzyli na siebie po raz ostatni, otworzyli pudełeczka z jednej strony, nabrali powietrza i skoczyli w pustkę.

Ayden poczuł jak jego stopy oderwały się od ziemi i nic już nie powstrzymywało upadku ciała. Usłyszał jedynie przenikliwy krzyk obydwu dziewczynek i - co go nieco zaskoczyło - swój własny, wyrwający mu się bezwiednie z gardła.

Słyszał, jak wiatr gwizdze i wyje wokół niego, rozbijając się o urwiste zbocza. Wyciągnął rękę z pojemnikiem. Ożywczy powiew wtargnął do przejrzystego pudełeczka. Nagle zamknęło się samo, widać było, że rozjaśniło się intensywnym światłem. W ułamku sekundy dostrzegł, że to samo stało się z pudełkami, które trzymały dziewczynki - całej trójce udało się zatem pochwycić oddech królestwa Eola. Obydwie dziewczynki podniosły wzrok i skierowały swoje medaliony w stronę Kaduceusza, z którego mogły jeszcze dojrzeć głowę węża oplatającego kielich. Rozbłysło mocne światło i obydwie zniknęły. Ayden spadał samotnie na dno kanionu.

Obrócił się wokół własnej osi i spojrzał w stronę szczytu płaskowyżu. Nie zdążył wycelować medalionu, spadł parę metrów za nisko i nie widział już Kaduceusza. To znaczy, że koniec z nim, za parę sekund rozbije się na skałach. Pomyślał o swoich najbliższych, o przyjaciółach i z jego gardła wyrwał się kolejny krzyk - tym razem wściekłości i strachu. W jakimś rozpaczliwym odruchu rozpostarł poły swej peleryny: tkanina natychmiast utworzyła coś w rodzaju lotni. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, chłopiec przestał spadać, uniósł go silniejszy podmuch wiatru. Wzniósł się kilka metrów w górę jak zielony nietoperz, z dużą literą M wyhaftowaną na plecach. Starł się sięgnąć wzrokiem szczytów płaskowyżu tak wysoko, jak to tylko było możliwe. I w czasie gdy unosił się podtrzymywany podmuchami wichru, dostrzegł Kaduceusza na tle nieba jak

jawę senną w oddali. Puścił poły peleryny i z nową nadzieją skierował swój medalion w stronę kielicha ze skały.

Sekundę później pomiędzy dwoma zboczami kanionu zostały tylko gwałtowne podmuchy wiatru.

NA ARENIE

Oskar stał tuż przy balustradzie otaczającej plac u stóp pałacu króla i obserwował próbę, jakiej została poddana trójka jego towarzyszy.

Niepokoił się o Aydena, to jasne. Elektroniczna lornetka, którą otrzymał od Gaela, pozwalała mu oglądać całą akcję. Wiedział dobrze o słabościach fizycznych Aydena i o jego braku wiary w siebie. To, co zobaczył przez lornetkę, bardzo go ucieszyło. Nie tylko kolejny raz Ayden świetnie sobie poradził, ale jeszcze umożliwił dziewczynom pomyślne zaliczenie próby i zdobycie Trofeum. Tak przynajmniej powiedziała im Kimi, kiedy wróciła motorówką spod wieży. Oskar dostrzegł bowiem tylko, że powstał huragan i że trójka dzieci odjechała gdzieś samochodem.

- Wspaniale im się udało, zaliczyli tę próbę bez pudła! - powiedziała Kimi. - Opuścili już nasze królestwo. Teraz wasza kolej! - dodała, przekazując Oskarowi sakwę z bronią z laboratorium PALOMA.

Chłopiec podszedł do Gaela.

- Czy my też polecimy helikopterem? - spytał podekscytowany.

- Chodźcie ze mną! - odparł krótko kapitan straży, nie wdając się w żadne wyjaśnienia.

Moss, który w najmniejszym stopniu nie zainteresował się losem swoich towarzyszy, siedział rozwalony na ławce w cieniu, wśród gazonów, obsadzonych białymi kwiatami. Wstał, dając wszystkim do zrozumienia, że jest ciężko znudzony, i ruszył bez pośpiechu za Eolczykami i Oskarem.

Wrócili do pałacu. Zbliżyli się do połyskującej kolumny widniejącej w głębi hallu za schodami. Stanęli przed drzwiami, których zarys było widać na jej gładkiej powierzchni; rozsunęły się, otwierając im wejście do kabiny.

Kiedy znaleźli się w środku, Gael nacisnął przycisk i kabina - która okazała się windą - zaczęła zjeżdżać na dół. Mogli obserwować świat zewnętrzny, ściany kolumny od wewnątrz okazały się bowiem przezroczyste.

- Nas nikt jednak nie widzi - podkreślił Gael. - Jest zarezerwowana dla króla i jego gości, kiedy trzeba zjechać na plac królewski lub niżej... gdzie właśnie się teraz udajemy.

Jadąc windą, minęli pomieszczenia piwniczne pałacu, a następnie przejechali przez wierzchołek kuli, na którym pałac był osadzony. Z góry miasto wyglądało fascynująco. Widać było właśnie wielki plac na dole i Oskar przyglądał się z zachwytem budynkom postawionym na tarasach biegnących pod ścianami kuli. Zjeżdżali w stronę tłumu mieszkańców miasta, którzy nie mogli ich dostrzec. Minęli plac i zatrzymali się wiele poziomów niżej. Drzwi windy otworzyły się, wszyscy czworo wysiedli.

Oskar i Ronan rozglądali się dookoła nieufnie. Byli na placu, równie wielkim i okrągłym jak ten zatłoczony i barwny, miejski plac nad nimi. Tutaj nie było jednak widać żadnych budowli. Dookoła placu biegło jedynie wiele rzędów stopni wykonanych z białej substancji przypominającej plastik. Plac wysypany był jasnym piaskiem. Postawiono też trybunę, ozdobioną królewskim godłem. Oskar dojrzał otwarte drzwi, przez które można było się przedostać do rzędów stopni.

Oddalił się od grupy i zaczął się wspinać po stopniach. Na samej górze zatrzymał się jak wryty i rozglądał się z zachwytem dookoła. Byli na samym dnie kuli, w której mieściło się miasto. Na tym poziomie jej ściany były całkowicie przejrzyste. Młody Medykus ujrzał, że ze wszystkich stron otacza ich woda. Kula z miastem pływała po falach oceanu jak gigantyczna bańka powietrza! Przykleił nos do wyjątkowo grubej szyby i obserwował fantastyczne akwarium, rozciągające się przed jego oczami. Po drugiej stronie zamiast ryb pojawiały się najrozmaitsze urządzenia i istoty, niektóre z nich zderzały się z kulą. Oskar rozpoznawał większość z nich. Widywał je w trakcie wypraw z Valentine, jej podwodną Kapsułą D5 rzekami Hepatolii. Wtedy także natykali się na podobne zjawiska. Tym razem jednak widowisko za gigantyczną, szklaną ścianą zrobiło na nim dużo większe wrażenie. Zauważył także, że wokół było wiele mniejszych podwodnych kul. Między nimi kursowały liczne Kapsuły. To, co istniało ponad powierzchnią oceanu - a przecież wydawało im się olbrzymie - musiało być tylko małą częścią miasta.

- W tych kulach dokonuje się wymiana gazowa - wyjaśnił Gael, który do niego podszedł. - Przejmujemy w nich powietrze z dwutlenkiem węgla, wieże ZEFIR wydmuchują je w stronę kanionów, a Leonid wydycha je na zewnątrz. Wtedy wieże zasysają świeże powietrze, oddzielamy od niego tlen i ładujemy go do Kapsuł.

- A Kapsuły rozwożą tlen po całym organizmie, tam, gdzie jest potrzebny - uzupełnił Oskar. - Moja przyjaciółka Valentine jest Erytrocytem i cała jej rodzina pracuje przy transporcie tlenu!

- Skończyłeś już te igraszki z rybkami, rudzielcu? - wtrącił się Moss. - Schodź już, zaczynamy wreszcie tę próbę!

Oskar zignorował go, podszedł niespiesznie do reszty grupy stojącej w głębi areny. Rozejrzał się jeszcze raz dookoła, miejsce wyglądało jak teatr rzymski. Oskar przypomniał sobie filmy o gladiatorach. Brakowało tylko cezara i publiczności. No i dzikich zwierząt...

Odwrócił się do Gaela.

- A teraz co będziemy...

Nie dokończył. Spostrzegł, że zostali z Mossem sami na arenie.

Zerwał się wiatr i zaczął wirować wokół nich, po arenie, wznosząc się do góry. Nagle rozległ się dźwięk trąbek, a zaraz potem straszliwy zgiełk wdarł się w panującą do tej pory ciszę. Oskar podniósł wzrok. Wysoko, pod sklepieniem, umocowano instrumenty. Wiejący wiatr grał na nich tę dziwną, ogłuszającą muzykę. Kakofonia dźwięków musiała być zapewne jakimś sygnałem, bo w tym samym momencie otwarto drzwi na szczycie górnego rzędu stopni i na salę zaczęły napływać tłumy Eolczyków i Eolek. Rozchodzili się po widowni, siadając na stopniach. Przypominali barwną plamę rozlewającej się coraz szerzej po tkaninie farby.

Oskar i Moss popatrzyli na siebie zaskoczeni. Coś im mówiło, że skończyło się już dla nich zwiedzanie w roli turystów, i że będą musieli przejść do kolejnego etapu, znacznie poważniejszego - i znacznie bardziej niepokojącego, chociaż nie za bardzo wiedzieli, co ich niepokoi. Spojrzeli na trybunę i ujrzeli Gaela i Kimi, którzy siedzieli po dwóch stronach stojącego na podwyższeniu fotela. Otaczały ich inne, nieznanne im osoby. Wszyscy patrzyli wyczekująco w stronę dwóch młodych Medykusów.

Wiatr zmienił kierunek i znowu zabrzmiały trąbki. Wszyscy siedzący na widowni powstali jak jeden mąż. Na trybunę wszedł król Eol. Jego poddani oddali mu hołd, bijąc brawo przez długie minuty, które Oskarowi ciągnęły się w nieskończoność. Męczyła go niepewność co do planu, jaki dla nich przygotowano. Ronan, podobnie zdesperowany, stracił cierpliwość.

- Czy te cyrki nigdy się nie skończą?! - wrzasnął. - Mam powyżej uszu waszego miasta i waszego starego króla, chcę wreszcie zmierzyć się z tą próbą i zdobyć moje

Trofeum!

Publiczność zamilkła, wyczuwało się, że ludzie są zaskoczeni i jednocześnie wściekli. Po krótkiej ciszy z wielu stron dobiegły gwizdy. Król podniósł rękę. Znowu zapadła cisza. Nawet wiatr się uspokoił. Nad najwyższym rzędem stopni rozwinęły się flagi.

- Chłopak ma rację - powiedział król z lekkim uśmiechem. - Już pora pokazać tym młodym Medykusom, z czym muszą się zmierzyć, jakie jest ich zadanie. Jeśli im się uda, będą nam mogli pomóc w naszej walce z wrogami, zwłaszcza tymi, których wspierają Patologusi.

Na dźwięk tego słowa znowu rozległy się głośne gwizdy.

- Widzisz, wywołujesz ten sam efekt, co Patologusi - rzucił Oskar w stronę Mossa.

- A ja mam nadzieję, że potraktuję cię tak samo jak Patologusów - powiedział zagadkowo Moss, nie spuszczając publiczności z oka.

Oskar już żałował swojej prowokacji. Nie da się ukryć, powinien pomyśleć dwa razy, zanim coś powie, zwłaszcza w chwili, kiedy znajdował się na samym środku areny, na której zapewne niebawem spotka się z jakimś nieznanym wrogiem. Nie warto było tworzyć sobie kolejnego wroga, tym bardziej jeśli miał nim być Moss, który powinien stać się w tym momencie jego sojusznikiem. Miał przecież taką samą broń jak on, Oskar...

Król znowu przemówił. Wydawało się, że tym razem kieruje swoje słowa do młodego, aroganckiego Medykusa.

- Skoro tak ci pilno zobaczyć, co dla ciebie naszykowaliśmy, nie pozwolimy ci dłużej czekać.

Za nimi rozległ się zgrzyt łańcuchów, a potem odgłos gwałtownie otwierających się drzwi, co sprawiło, że obaj odwrócili się w tamtą stronę.

Oskar nie wierzył własnym oczom.

Pojawił się przed nim czarny potwór. Stał nieruchomo, ciężko dysząc. Chłopiec bez najmniejszego trudu rozpoznał bestię ze swojego sennego koszmaru. Z całą pewnością był to jeden z potworów, które otaczały go w czasie straszego snu, ten sam, którego widział później w jednostce PALOMA. Była to istota stojąca na dwóch łapach, pokryta czarnymi, nastroszonymi kudłami, świdrująca małymi oczkami, osadzonymi w trójkątnej mordzie. Z jej nozdrzy wyciekała jakaś obrzydliwa, lepka substancja. Stwór popatrzył w lewo i w prawo, zmierzył ogromną przestrzeń wzrokiem, a potem ryknął w stronę publiczności. Był to ryk strachu czy może przyjemności?

Chłopcy, tak niecierpliwie wyglądający swojego zadania, nie mieli nawet czasu, żeby tego pożałować. Na drugim krańcu areny otworzyły się z trzaskiem kolejne drzwi. Ich przerażonym oczom ukazała się dziwna, bezkształtna masa, otoczona chmurą pyłu. Nie było widać głowy, ramion ani nóg. Była to po prostu gładka bryła, połyskująca metalicznie, wyższa i potężniejsza niż Gael.

Król powstał z miejsca i wyjaśnił:

- Wirus i bakteria - powiedział. - Nasi codzienni wrogowie, a niebawem zapewne także i wasi. Patologusi przeciągnęli na swoją stronę wiele tych obrzydliwych istot, sprawili, że są mocniejsze niż zwykle i będą nas atakować. Zdarza nam się to codziennie.

Przez milczący tłum przebiegł dreszcz. Oskara ogarnął niepokój. Był to kolejny dowód na to, że ich zaprzysięgli wrogowie nie zamierzają kryć się w cieniu...

- Żeby dziś zdobyć wasze Trofeum, musicie stanąć do walki z tymi oto

nieprzyjaciółmi, pojmanymi niedawno przez nasze uzbrojone oddziały (Gael potwierdzająco kiwnął głową) i zwyciężyć ich. Lud Królestwa Oddechów i ich król życzą wam powodzenia!

Mówił mocnym głosem, jak gdyby zapowiadająca się walka przywróciła mu żywotność i energię.

Młodzi Medykusi odruchowo ustawili się do siebie plecami. Zdawali sobie dobrą sprawę, że niezależnie od braku sympatii muszą wspierać się w walce, jeśli chcą zwyciężyć.

Oskar poczuł, że wzdłuż kręgosłupa spływa mu lodowata strużka potu.

Moss wolno się odwrócił i tym samym ustawił Oskara na wprost zupełnie nieprzewidywalnego przeciwnika, jakim była pozbawiona formy bakteria.

Wokół nich publiczność ryczała, pragnąc zachęcić bestie do ataku. Chcieli, żeby nareszcie rozpoczęła się walka. Oskarowi serce waliło mocno, czuł jego bicie w skroniach, starał się jednak kontrolować strach. Nie spuszczał bakterii z oka i usiłował nie wykonywać gwałtownych ruchów. Powoli podniósł rękę w stronę medalionu, drugą sięgnął do torby z bronią. Moss odwrócił się w jego kierunku.

- Co robisz? - spytał zachrypniętym głosem.

Niepokój wzbudzał w nim agresję. Oskar rzucił mu szybkie spojrzenie. We wzroku Mossa lśnił zwierzęcy błysk, który sprawiał, że obydwie potworne stwory mogły go uznać za swojego. Mimo rosnącego napięcia perspektywa walki dawała mu zastrzyk siły, której musiał dać ujście, i budziła nieskrywaną przyjemność.

Pierwszy zareagował jego przeciwnik - czarny potwór przysiadł na tylnych łapach i skoczył. Moss, niemal równie szybki, usunął się z drogi i Oskar został wzięty w dwa

ognie. Przed nim bezkształtna masa zaczęła się formować i przyjęła postać wojownika w zbroi i w hełmie. Za plecami chłopca był nastroszony, czarny potwór.

Wśród krzyków widowni usłyszał głos Gaela:

- Czarna bestia to wirus. Prawdziwy pasożyt, gryzie i żywi się wszystkim, musi jednak przeniknąć do naszego wnętrza, żeby się rozmnożyć. Nie pozwólcie, żeby wirus was ugryzł!

Moss, nie tracąc ani chwili, także zaatakował. Wyjął z torby przezroczystą saszetkę, do której przyczepił swój medalion. Wycelował ten zestaw w stronę potwora, saszetka zaczęła puchnąć coraz to bardziej, powiększała swoją objętość, aż pękła z hukiem, na dźwięk którego tłum zawył. Bestia została zalana olbrzymią ilością żółtawej, kleistej substancji.

- Śluz! Produkujemy go tutaj, by zatapiać wirusy! - zawołała Kimi. - Świetnie zagrałeś, Moss!

Oskar rozpoznał broń o nazwie Surfaktor, miał ją także w swojej torbie. Nie mógł powstrzymać grymasu, ten śluz to była po prostu... flegma, plwocina! Dlatego przecież człowiek ma tyle tego w płucach, kiedy jest zaziębiony i kaszle. Śluz służył do okrywania i eliminacji wrogów.

Obrzydzenie szybko mu minęło. Wirus niestety otrząsnął się i znowu zaatakował Mossa. Oskar tymczasem kontrolował uważnie wojownika - bakterię, która na razie nie ruszyła się z miejsca.

Moss był zaskoczony reakcją wirusa i cofnął się kilka kroków. Pośliznął się na śluzie i przewrócił na plecy. Medalion potoczył się i zatrzymał daleko od niego. Podniósł wzrok i ujrzał potwora, który zamierzał się na niego rzucić. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie miał żadnej szansy, wiedział o tym, a Eolczycy, którzy wiedzieli

o tym jeszcze lepiej od niego, wydali z siebie jeden wielki krzyk przerażenia. Gael przeskoczył przez barierę i ruszył na arenę z bronią w ręku. Sekundę potem wybiegła też na arenę Kimi. Tłum krzyczał jak opętany, jak gdyby ludzie obawiali się, że nie zdążą na czas z pomocą. Być może w głębi duszy publiczność trochę też na to liczyła.

Oskar zadziałał szybciej niż kiedykolwiek. Zerwał z ramion pelerynę i rzucił ją przez arenę, recytując spokojnie zaklęcie:

Bądź jak skorupa

Mocna jak skała.

Tkanina rozwinęła się w powietrzu i wylądowała, okrywając Mossa w chwili, gdy bestia skoczyła już w jego kierunku, szczerząc zęby. Peleryna jednak stwardniała i kiedy straszliwa paszcza zderzyła się z nią, rozległ się głuchy odgłos: tkanina zmieniła się w twardą skorupę, której nic nie mogło zniszczyć. Potwór bezskutecznie ją szarpał. Nie zwlekając zatem, odwrócił się i ruszył w stronę Oskara.

Gael jednym skokiem znalazł się pomiędzy nimi i wyciągnął swoją broń - dziwną czarną tubę. Wirus znieruchomiał i cofnął się nawet, zaniepokojony groźbą użycia tuby.

Moss nie podziękował Oskarowi w żaden sposób, przeciwnie, był upokorzony faktem, że ktoś mu pomógł. Chciał czegoś więcej.

- Nie potrzebuję tu pana! - ryknął w stronę Gaela. - Sam chcę się nim zająć!

Wirus znowu się cofnął. Uspokoił się, wyglądało nawet na to, że nie miał już zamiaru

dalej walczyć. W głębi areny otworzyły się drzwi i wpadło dwóch żołnierzy, uzbrojonych w takie same tuby jak ta, którą miał Gael, i w sieci. Chcieli zapewne schwytać potwora i zamknąć go. Moss wyrwał im sieci z rąk. Zręcznie rzucił pierwszą w stronę potwora, potem drugą. Kilka chwil później wirus leżał unieruchomiony i niezdolny do walki.

Moss podszedł bliżej do bezbronnego stwora. Sięgnął do torby i wyjął z niego woreczek, który dostał od Fletchera Worma. Wyciągnął czarny pierścień, przymocował do niego swój medalion i wycelował go w stronę wirusa, trzymając za łańcuszek. Litera zaczęła rosnąć, a czarne kółko zmieniło barwę, stało się czerwone, jak gdyby ktoś rozgrzał je nad paleniskiem. Wydobył się z niej żar o straszliwej sile, który promieniował w stronę bestii. Gael i Kimi spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

Co to takiego? - pomyślał w duchu Oskar. - Paloma nie wspominała o takiej broni!

W ciągu kilku sekund temperatura wzrosła do tysiąca stopni Celsjusza, nikt już nie mógł podejść bliżej, ani Gael, ani Kimi, ani strażnicy. Wirus skurczył się z bólu i wydał z siebie przerażający ryk, który sparaliżował widownię. Jego skóra zaczęła pękać.

- Osłońcie twarze! - krzyknął Gael.

Oskar ledwie zdążył zgarnąć swoją pelerynę i okryć się nią, kiedy nastąpiła eksplozja i wirus rozpadł się na tysiące czarnych kryształków. Wyglądało na to, że w wysokiej temperaturze stwardniał jak kamień, a później wybuchł.

Gael wyprostował się i spiorunował Mossa wzrokiem.

- Dlaczego go zabiłeś? Tym razem wcale cię nie atakował!

Moss wzruszył ramionami.

- Teraz już nikogo nie zaatakuję.

- Nie był żadnym zagrożeniem, ty głupku! - ryknął Gael. - Zabiłeś go zupełnie niepotrzebnie, tymczasem był nam potrzebny, dzięki niemu mieliśmy informacje o naturze wirusów! W dodatku mogło nas to zranić!

Moss schował swoją broń, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co mówił do niego Gael. Oskar nie był ani trochę zdziwiony. Odkąd pamiętał, Moss zawsze najbardziej lubił atakować i nękać słabszych i tych, którzy nie mogli się bronić.

Musiał się jednak szybko odwrócić, dobiegł go bowiem zza pleców zgrzyt metalu, zgrzyt, który zagłuszył radosne okrzyki zadowolonej publiczności. Przed nim stał potwór w zbroi i wyciągał ramię w kierunku jego szyi. Rozcapierzył palce drugiej ręki i każdy z nich zamienił się w ostry sztylet. Ludzie na widowni ucichli i wstrzymali oddech.

Chłopiec odskoczył na bok i chwycił swój medalion. Gael i Kimi także się odsunęli. Po akcji Mossa chcieli zobaczyć, jak Oskar da sobie radę. Nie mógł opanować drżenia ręki i promień ze złotej Litery, który wycelował w stronę bakterii, niemal zgasł, zanim do niej dotarł. Przypomniawszy sobie wtedy, jaką siłę miał ów promień w chwili, kiedy chciał uratować Tillę tonącą w jeziorze. Muszę naprawdę tego pragnąć i wierzyć w to - powtarzał sobie w duchu. W tym samym momencie promień przybrał intensywnie zieloną barwę i wzmościł się dziesięciokrotnie. Przez widownię siedzącą na stopniach przebiegł szmer zachwyty. Sam król podniósł się z miejsca, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Ku zaskoczeniu chłopca wiązka tnących, laserowych promieni odbiła się jednak od zbroi i, co gorsza, rykoszetem wróciła w stronę Oskara. Młody Medykus uskoczył w ostatniej chwili.

Wojownik posuwał się bezlitośnie w jego kierunku.

Otworzył gorączkowo swój chlebak i zakiełkował mu pewien pomysł. Rozwiązał troczki małej torebki, sięgnął i wyjął z niej szczyptę proszku. „To antybiotyk, silniejszy od wszystkich tych, którymi dysponują dziś lekarze, kochanie - tłumaczyła mu Paloma. -

Możesz tym wykończyć każdą bakterię. Oczywiście dopóty, dopóki Patologusi nie wytworzą w nich odporności”.

Oskar posypał proszkiem swój medalion, który zaczął wirować jak wentylator. Antybiotyk poleciał w stronę bakterii. Zanim jednak dotarł do niej choćby jeden pyłek, zbroja podzieliła się i sklonowała, tworząc drugą, identyczną kopię. Oskar obserwował to w zupełnym osłupieniu. Kiedy proszek doleciał do pierwszej zbroi i ta rozpadła się jak domek z kart - nowa jej wersja, jeszcze bardziej żywotna, zdążyła sklonować się po raz kolejny, tworząc następną bliźniaczą zbroję, równie niebezpieczną.

Gael krzyknął, otaczając usta dłońmi, żeby było go lepiej słychać.

- To bakteria, Oskarze! Dzieli się i mnoży bardzo szybko! Będą cię chciały otoczyć. Zanim je wyeliminujesz, musisz za wszelką cenę udaremnić im podział!

Oskarowi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Rzucił swój medalion w górę, nad zbroje bakterii. Znieruchomiał tam i powiększył się. Oskar wyszeptał wówczas zaklęcie, którego nauczył się w trakcie jednej ze swoich Introdukcji w towarzystwie pani Withers.

Litero moja złota,

Jeżeli masz duszę,

Pod tobą zła istota,

Płomienie widzieć muszę!

W tej samej chwili z medalionu spłynęła ściana ognia i otoczyła płomiennym kręgiem złowrogie postaci wojowników. Metal nie stopił się jednak jak powłoka wirusa. Oskar sięgnął więc jeszcze raz do chlebaka i wziął szczyptę proszku, który rzucił w stronę bakterii, jednocześnie przywołując do siebie medalion. Nagle jednak, nie wiadomo skąd, pojawił się gwałtowny poryw wiatru, który zdmuchnął proszek, zanim zdążył dotrzeć do wrogów, a ci - wypuszczeni z obręczy ognia - gotowi byli znowu zaatakować. Oskar ujrzał, jak ruszają w jego kierunku, podnieceni ogniem i zagrożeniem.

Rozejrzał się dookoła, szukając schronienia. Nie rozumiał, co takiego mogło się stać i skąd wiał wiatr. Zauważył Mossa, który ze złośliwym uśmiechem chował właśnie pod bluzą swój medalion. Nie miał najmniejszych wątpliwości - Moss użył swojej Litery i rozwiął rzucony przez niego proszek, zanim zdążył opaść na bakterie! Nie miał już pomysłu, jak z nimi walczyć. Jedna z bakterii rzuciła się na niego. Bez wielkiej nadziei osłonił się peleryną i upadł na ziemię.

Ostre szpony przeszły powietrze o cal od Oskara. Bestia podniosła ramię i chciała znowu uderzyć, nie ruszyła się już jednak. Odpadła jej głowa, ramię, a następnie całe ciało rozpadło się prosto na Oskara, przyduszonego tym ciężarem.

Dwie silne dłonie podniosły resztki zbroi i uwolniły Oskara. Chłopiec wstał i uśmiechnął się z zażenowaniem do Gaela. Kapitan schował za pas swoją broń.

- Dziękuję - powiedział, patrząc na czarną dziurę, wypaloną w tylnej części martwej bakterii. - Podejrzewam, że sam nie mógłbym...

Nie dokończył zdania. Wiedział dobrze, że bez pomocy Gaela nie dałby sobie rady, co znaczyło, że przejście tej próby skończyło się dla niego klęską.

Klęska.

To słowo zakołatało mu w głowie jak jakaś straszna wiadomość. Nie przyniesie ze

sobą pierwszej części Trofeum. Jak się do tego przyznać Wielkiemu Mistrzowi Medykusów i pani Withers, która zawsze tak w niego wierzyła i bezwarunkowo go popierała? Nie śmiał nawet podnieść wzroku na króla Eola, który usiadł z powrotem w swoim fotelu, zapewne rozczarowany. Popatrzył jedynie z nienawiścią na Mossa, obiecując sobie w duchu, że zemści się jeszcze i odpowie mu pięknym za nadobne.

Krzyki wyrwały go z tych ponurych rozważań.

- Na pomoc! Na pomoc, pożar! Pali się!

Odwrócił się, Gael i Moss także. Podmuch wywołany przez Mossa porwał iskry z ognia, który wyczarował Oskar. Przefrunęły nad widownię. Stopnie schodów, na których siedzieli widzowie, zapalały się od nich jak suchy chrust i roztopiały się. Tłum starał się uciec na widownię, a na miejsce, gdzie wybuchł pożar, próbowali się przedostać żołnierze, żeby ugasić płomienie. Eolczycy mieli jednak zablokowaną drogę - jedna z bakterii, oszołomiona ogniem i chaosem, jaki wybuchł na widowni, umknęła żołnierzom i rzuciła się w kierunku trybuny. Wymachiwała ramionami, zakończonymi ostrzami. Ludzie mieli za plecami ogień, a u stóp schodów - przerażającą bestię. Gael, Kimi i część strażników rzuciła się naprzód, broniąc tłumu przed bakterią. Ta sklonowała się jednak natychmiast i teraz już dwie uzbrojone bakterie stawiały opór. Jedna z nich, bardziej agresywna, odłączyła się nawet i ruszyła w górę schodów, jej ostrza rozrywały wszystko, co im stanęło na drodze. Zraniła wielu Eolczyków.

Moss obserwował tę scenę z założonymi rękami, niemal zadowolony, że coś się dzieje. Oskar jednak nie wytrzymał, podbiegł bliżej. Zastanawiał się gorączkowo, jak ugasić ogień, by otworzyć ludziom drogę ucieczki do drzwi na górze widowni. Zajrzał do chlebaka, popatrzył na swój pozbawiony mocy medalion. Paloma przewidziała jedynie taką broń, jaka mogła się okazać skuteczna w walce ze zjawiskami występującymi w drugim Uniwersum, takimi jak astma czy drobnoustroje. Co do pani Withers - nigdy nie nauczyła go, jak zamienić medalion w wóz strażacki... Już miał się poddać, kiedy na dnie chlebaka dostrzegł przedmiot, który nasunął mu pewien pomysł. Ależ tak! Phagocytex!

„Ta broń działa podobnie jak ludzki organizm, kiedy namierzy jakąś infekcję - mówiła Paloma. - Trzeba otoczyć przeciwnika, rozumiesz, śliczny chłopcze? Należy uniemożliwić mu ucieczkę, a nawet więcej, jakikolwiek ruch. Trochę tak jak w miłości. I wierz mi, jestem w tych sprawach ekspertem!” - dodała z kokieterijnym uśmiechem.

Nadeszła chwila, gdy i on musiał okazać się ekspertem.

Otworzył małą paczuszkę i starał się przypomnieć sobie, w jaki sposób jeden z pracowników jednostki PALOMA prezentował mu działanie tej broni. Nabrał trochę zielonej masy do ręki i położył ją na swoim medalionie. Rzucił go w górę. Litera wydłużyła się, stała się elastyczna - zmieniła się w grubą, lśniącą linę, która rozwinęła swoje sploty w przestrzeni. Trzymając za łańcuch, Oskar zawirował nią nad głową niczym ogromnym lassem i rzucił ją w kierunku dwóch bakterii, które tymczasem usiłowali obezwładnić Gael, Kimi i strażnicy. Za ich plecami widać było jednak coraz bliżej podchodzący ogień.

Złote M opadło bardzo celnie na bakterie i oplotło je ciasno. Bestie szarpały się na próżno, jedna z nich próbowała zmienić postać, żeby się uwolnić. Lina zacisnęła się wtedy jednak tylko trochę mocniej. Druga z nich wydała ponury ryk, który potoczył się po całej arenie, i sklonowała się. Wszystkie trzy były teraz mocno skrzepowane więzami, a lina nie ustępowała ani o milimetr. Nie mogły się już ruszać. Stoczyły się ze stopni schodów i poturlały na arenę, do stóp Oskara.

Eolczycy uciekali, korzystając z wolnej drogi, żołnierze tymczasem gasili ogień. Tłum krzyczał z ulgi i radości. Młody Medykus wyjął trochę antybiotyku w proszku i chciał posypać nim bakterie. Zrezygnował jednak.

- Nie jesteście już groźne - powiedział.

- Masz doskonały refleks, młody człowieku! - powiedział ktoś za jego plecami.

Oskar odwrócił się. Za nim stał król Eol, a wokół niego Gael, Kimi, kilku dostojników i przyboczna straż królewska. Moss nadal trzymał się z boku i z satysfakcją obserwował wydarzenia. Król dał mu znak, by się zbliżył. Moss zawahał się, potem jednak posłusznie podszedł. Eol zaczekał, aż chłopak stanie naprzeciwko niego, a wtedy z kamienną twarzą podał mu szklane pudełko.

- Zwyciężyłeś swojego przeciwnika i zabiłeś go, chociaż nie zagrażał ci już w owej chwili i jego śmierć niczego ci nie dała. Może poza okrutną satysfakcją. Oto zatem twoje Trofeum - dodał z niechęcią w głosie.

Od strony widowni dobiegły szmery pełne dezaprobaty i pogardy. Król uciszył je jednak jednym gestem. Moss odebrał Trofeum z krzywym uśmiechem i popatrzył z wyższością na Oskara.

- Otwórz szklane wieczko, na którym wygrawerowany jest herb mojego królestwa - dodał jeszcze szacowny Eol. - I podnieś pudełko w górę.

Na arenie pojawił się wiatr. Zaczął wirować wokół nich. Widzowie tymczasem wstali w milczeniu ze swoich miejsc. Moss posłusznie podniósł szklane pudełeczko wysoko nad głowę: wiatr wśliznął się do pudełka, pojawił się w nim przez chwilę mały, złocisty wir, potem wieczko się zamknęło.

Moss otworzył drugą sakiewkę przy swoim pasie Trofeów i schował tam pudełko, niezwykle dumny z siebie.

Eol odwrócił się w stronę Oskara. Miał puste ręce.

Młody Medykus spuścił głowę i zbliżył się do niego.

- Nie dałeś sobie rady ze swoim przeciwnikiem i bez pomocy Gaela bakteria zapewne zraniłaby cię, a może nawet zabiła. Tymczasem żeby zdobyć Trofeum, musiałeś

zwyciężyć w tej walce, wiesz o tym, Oskarze Pillu.

Oskar unikał wzroku króla i otaczających go osób. Położył rękę na swojej pustej sakiewce w pasie Trofeów. Pozostanie pusta. Pomyślał, jak bardzo byłby rozczarowany ktoś, kogo tak bardzo kochał. Sięgnął pod pelerynę, do tylnej kieszeni i ukradkiem dotknął albumu ze zdjęciami, ale zaraz cofnął dłoń, jak gdyby się oparzył.

Odwrócił się i bez słowa zaczął iść w stronę lśniącej kolumny z windą. Pragnął tylko jednego: jak najszybciej wydostać się z tej krainy i zapomnieć o klęsce. Jako jedyny miał wrócić z pustymi rękami. Być może pan Brave i pani Withers pozwolą mu spróbować jeszcze raz zdobyć Trofeum.

- Nie zasłużyłeś zatem na swoje Trofeum w tej walce, Oskarze - ciągnął król, kiedy chłopiec odchodził zrozpaczony.

Nie chciał już słuchać tego, co miał do powiedzenia król. Każde słowo go raniło. Eol mówił jednak dalej:

- ... Mimo to dowiodłeś, że jesteś odważny i inteligentny, że gotów jesteś narazić swoje życie, by bronić życia innych ludzi. Umiesz także powstrzymać się od bezsensownego zadawania śmierci. To wspaniałe cechy, które pozwolą ci zostać prawdziwym Medykusem.

Oskar zatrzymał się i kiwnął głową w podziękowaniu za te słowa monarchy, nie odważył się jednak odwrócić. Nie chciał pokazywać wszystkim swojej smutnej i zawiedzionej twarzy. Usłyszał, że ktoś się do niego zbliża. Stanął przed nim Gael. Potężny kapitan podniósł palcem podbródek chłopca, by spojrzeć mu w oczy. Wyciągnął w jego kierunku dłoń.

Twarz Oskara rozjaśniła się: Gael trzymał bezcenne, szklane pudełeczko.

- Weź je. Zasłużyłeś na nie bardziej niż ktokolwiek z tu obecnych - dodał, patrząc surowo na drugiego Medykusa.

Moss zmienił się na twarzy, wściekły z powodu dziwnej zmiany biegu wydarzeń.

Oskar odwrócił się nieprzytomny z radości. Ludzie zgromadzeni na stopniach widowni także dali wyraz swojemu zadowoleniu i wiwatowali głośno. Ruszyli razem z Gaelem w stronę króla.

- Ty także otwórz pudełko, Oskarze! - poprosił chłopca Eol.

Oskar otworzył wieczko, na którym wygrawerowano dwie powiewające flagi. Podniósł wzrok, nie czuć było jednak najmniejszego powiewu wiatru. Oskar spojrzął na króla nieco speszony.

- Wydaje mi się, że jest już trochę za późno - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Mimo to dziękuję bardzo...

Eol nie słuchał go jednak. Nachylił się i dmuchnął prosto do pudełeczka. W środku zawirowały tysiące lśniących jak gwiazdy punkcików. Pudełeczko przypominało teraz świecący własnym blaskiem diament. Kimi, Gael i inni obserwowali to zjawisko zachwyceni i zaskoczeni zarazem.

Gael nachylił się do ucha chłopca.

- Pierwszy raz widzę, żeby nasz król honorował w ten sposób Medykusa. Możesz być z siebie dumny, naprawdę!

Król wyprostował się.

- Twoje Trofeum zawiera nie tylko podmuch miasta, kanionów czy równiny. To

oddech Eola, władcy tej krainy. Możliwe, że poznasz jeszcze w przyszłości moc tego Trofeum. Nie życzę ci tego zresztą - dodał tajemniczo król. - Niemniej, niechaj mój oddech pozwoli ci pójść własną drogą do celu, do którego zmierzasz! - ciągnął, patrząc już gdzieś w dal, jak gdyby zagłębiał się we własnych myślach. - Życzę ci szczęścia. Życzę ci szczęścia, Oskarze Pillu, synu dzielnego Vitalego Pilla.

Eol wydał im się nagle bardzo zmęczony. Poprowadzono go w głąb areny i zniknął w windzie, kryjącej się w kolumnie.

Widzowie powoli opuszczali salę, po jakimś czasie zostali tylko dwaj chłopcy, Gael i Kimi. Nieco dalej, żołnierze ściągali z areny bakterie. Inni zabierali resztki bakterii zabitej przez Gaela i szczątki wirusa, którego spalił Moss. Ten ostatni bardzo już się spieszył z powrotem, rozglądał się czujnie po całej arenie.

- Spójrzcie! - zawołał. - Tam, na ziemi!

Czarna krew bestii popłynęła na piasek i ułożyła się w kształt słynnego kielicha z wężem. Nadszedł czas powrotu.

Kimi podeszła do nich bliżej.

- Tutaj, w Królestwie Oddechów i w krainie Pompy, znamy wartość życia, nikt nie zna jej tak dobrze jak my. Płuca i serce są życiowym ośrodkiem Leonida. Dopóki będziemy trwać i póki będzie dosyć młodych Eolczyków, żeby miasto i kraina Pompy mogły istnieć - dopóty Leonid będzie żył. Ale jak długo damy radę?...

- Bakteria nie poddała się promieniom z mojego medalionu - zauważył Oskar. - Czy to z powodu...

- ... z powodu działania Patologusów, owszem - potwierdziła Kimi. - To Patologusi sprawiają, że bakterie są odporniejsze i silniejsze. Dlatego właśnie tak bardzo

potrzebujemy was, Medykusów. Nie zapominajcie o nas! - dodała z pełnym ufności uśmiechem.

- Poznajemy tutaj wartość życia każdego dnia, bo codziennie o nie walczymy - dodał poważnym tonem Gael. - Ważne jest dla nas życie Leonida, ale także życie jego przeciwników. Nie bądźcie podobni do nich, nie zabijajcie dla samej przyjemności zabijania albo tylko dlatego, że ktoś wam wskazuje wrogów. Potrzebujemy siebie nawzajem - ale żywych.

Oskar słuchał bardzo uważnie, kiwając głową. Moss wyjął medalion, gotów opuścić drugie Uniwersum.

- Szczęśliwego powrotu - powiedział Gael. - I pamiętajcie, jaka jest wartość życia. Zawsze o tym pamiętajcie.

- Będę pamiętał - szepnął Oskar.

PO TRZYKROĆ NAJWIĘKSZY

Oskar dotarł z powrotem do Cumides Circle późnym popołudniem. Wylądował w kuchni. Żołądek ścisnął mu się z głodu - dlatego po pełnej wrażeń Introdukcji do Królestwa Oddechów Leonida postanowił znaleźć się właśnie w tym pomieszczeniu.

Miał wielkie szczęście, Cherie nie krzątała się akurat przy rondlach. Mógł zatem poszperać i znaleźć sobie coś, co nie byłoby wątpliwej jakości dziełem jej rąk. Chciał umknąć później do swojego pokoju i schrupać coś po kryjomu. Wiedział, że porządny posiłek zje dopiero wieczorem, kiedy Jerry odwiezie go do domu w Babylon Heights.

Przeszedł przez kuchnię na czubkach palców i otworzył drzwi do spiżarni, osobnego

pomieszczenia, w którym pod ścianami stały regały pełne rozmaitych słoików. Na ogół Oskarowi wystarczał słoik konfitur i bułka, czasem parę herbatników. Cherie gromadziła mnóstwo zapasów; z pewnością nie zorientuje się, że coś zniknęło. Tak czy inaczej, w tym domu wszyscy - łącznie z panem Brave'em - doprowadzili do perfekcji metodę pozbywania się dań podawanych do stołu. Zjadali potem coś normalnego poza Cumides Circle lub - tak jak Oskar - szykowali sobie po cichu jakąś przekąskę.

Wśliznął się cichaczem do spizarni i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Po omacku szukał kontaktu. W końcu włączył kinkiet nad drzwiami i rozbłysło światło. Oskar odwrócił się i podskoczył z wrażenia.

Jerry siedział na małym stołeczku. Miał pełne usta, a w ręku olbrzymią kanapkę. Błagalnie dał Oskarowi znak, żeby był cicho.

- Miałeś dużo szczęścia, mój Oskarku! - powiedział, kiedy tylko już przełknął kęs jedzenia. - Moja żona przygotowała dzisiaj obiad w stanie wyjątkowego natchnienia. Szaszłyki z marynowanej ryby, z brokułami, rabarbarem, pistacjami, lukrecją i BARDZO DUŻĄ ilością octu winnego, aromatyzowanego dziką różą. I to wszystko, oczywiście na surowo. Wiele już próbowałem różności w moim życiu małżeńskim, ale dziś doprawdy, przeszła samą siebie! - dodał, a jego brodatą twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

Oskar uśmiechnął się także.

- Mam nadzieję, że nie przechowuje gdzieś tu dla mnie osobnej porcji tych pyszności!

- Nie jestem do końca przekonany, czy zdołasz się wymigać, jeśli już cię przyłapie. Sporo tego zostało. Pan Brave przeczekał obiad w swoim gabinecie. Bones był tak miły i uprzedził go...

Młody Medykus podszedł do Jerry'ego, patrząc pożądliwie na cudowny zestaw wędlin, serów, sałaty, pomidorków koktajlowych, korniszonów i musztardy, zamknięty

między dwiema kromkami świeżutkiego chleba. Jerry mrugnął do niego i bez słowa podzielił swoją przekąskę na pół.

- Proszę, weź - powiedział, podając chłopcu połowę kanapki. - To ci pozwoli przetrwać do wieczora.

- Dzięki! - odparł Oskar, pożerając chleb wielkimi kęsami. - Mniemam, pyffne, pan jefft mifftrzem kanapek, Fferry!

- Zaiste, można to tak określić, dziękuję - powiedział Jerry, dosyć z siebie zadowolony. - Nawet te maluchy z wewnętrznego świata dały się namówić na moje kanapki! Aaa, byłbym zapomniiał: czekają na ciebie w twoim pokoju. Na śmierć o tym zapomniiałem, jak widzisz...

- Proszę się tym nie przejmować! - powiedział Oskar, pospiesznie dojadając resztki. - Powiem im, że zatrzymała mnie nagła sprawa!

Jerry wybuchnął śmiechem, ale zaraz umilkł, pamiętając o zagrożeniu - Cherie mogła się pojawić w każdej chwili. Z pewnością potraktowałyby takie potajemne łasuchowanie jako straszliwą zdradę...

Jerry poprawił swój elegancki garnitur i zieloną, haftowaną złotem kamizelkę. Cherie mogła być koszmarną kucharką, pod wszystkimi innymi względami była jednak idealną gospodynią i bardzo dbała o garderobę swojego męża. Wyszedł ze spiżarni, jak gdyby nigdy nic, a za nim Oskar z miną absolutnego niewiniątka. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Przez co najmniej pół godziny Oskar opowiadał przyjaciołom o wyprawie do Miasta Mgieł. Chcieli wiedzieć o wszystkim, zwłaszcza Valentine, która z wielkim przejęciem

słuchała o przygodach Oskara, żałując, że nie mogła w nich uczestniczyć. Na jej prośbę musiał podać każdy najdrobniejszy szczegół. Opisał więc spotkanie z królem i próby, którym zostali poddani. Przyjaciele oburzyli się, kiedy opowiedział im o podłych sztuczkach Mossa.

- Nienawidzę go! - krzyknęła Valentine, grzmocąc swoimi małymi piąstkami w materac łóżka.

- Uspokój się - poradził jej Lawrence. - Zrobisz sobie jeszcze jakąś krzywdę, a Moss i tak niczego nie poczuje.

- Muszę się jakoś wyżyć! Wolisz, żebym się wyżywała na tobie? - spytała, szczypiąc chłopca. - A co do ciebie, Oskar, to dlaczego ratowałeś mu życie, co ci przyszło do głowy? Ten biedny wirus pożarłby go, z pewnością nie jest zbyt smaczny, ale pozbylibyśmy się raz na zawsze tego wstrętnego typu!

- Nie wiem - przyznał Oskar. - W każdym razie, kiedy człowiek wraca z drugiego Uniwersum, zaczyna rozumieć, że życie jest bardzo ważne, że nie można traktować go ot tak sobie. I staje się jasne, że nie można zabijać - nigdy i nikogo...

- Nawet Mossa? - zdziwiła się Valentine.

- Tak, nawet Mossa. Bo tam, w drugim Uniwersum, ludzie walczą także o to, żeby on żył. A poza tym na pewno są tacy, dla których on i jego życie to ważna sprawa.

Powtórzył im ostatnie słowa Gaela i Kimi.

- Nie da się ukryć, że życie jest takie kruche... - stwierdził Lawrence. - Wystarczy, że bakterie zaczną się mnożyć w Królestwie Oddechów i koniec z oddychaniem, koniec z nami!

- A jednak to pocieszające, że jest ten Gael i jego żołnierze! - powiedziała Valentine.
- I jest ich wielu, bronią drugiego Uniwersum.

Oskar przypomniał sobie słowa Gaela: „Pamiętajcie, jaka jest wartość życia”. Miał wrażenie, że od zawsze o tym wiedział i pamiętał. Zwłaszcza w chwili, kiedy kogoś zabraknie, człowiek rozumie aż za dobrze, jak wielka jest wartość życia. Tymczasem Oskarowi od urodzenia brakowało ojca. Odczuwał jego śmierć i nieobecność trochę jak wielką dziurę, pustkę w jego własnym życiu. Zawsze miał takie wrażenie, bardzo silne. A więc owszem, znał wartość życia i uważał, że trzeba o nie walczyć.

I trzeba zrobić wszystko, żeby przywrócić życie zmarłym, jeśli to możliwe. Miał wielką ochotę uwierzyć, że to prawda.

- Znaleźliście może czas, żeby popytać o Tablicę? - spytał przyjaciół, pełen nadziei.

- Tak, ale pewnie będziesz rozczarowany.

Valentine opowiedziała mu o swojej wyprawie niemal tak samo niebezpiecznej jak Introdukcja do pierwszego z Dwóch Królestw. Musiała przecież udać się do biblioteki w niedzielę rano, kiedy Bones wszędzie wtykał swój nos. Oskar śmiał się z numerów, jakie wykręcali przyjaciele, byle tylko przeprowadzić swój plan. Wysłuchał też uważnie sprawozdania z przeprowadzonego śledztwa. Zainteresował go ślad, na jaki naprowadziła ich Julia.

- Przeczytałem wszystko, co tylko można było przeczytać na temat boga Hermesa - dodał Lawrence. - Nie znalazłem niczego szczególnego. Dowiedziałem się jednak, że dla wielu ludów był bogiem zmartwychwstania. Ale także...

- Co także? Znalazłeś coś jeszcze? - zdziwiła się Valentine.

- To także, wyobraźcie sobie, bóg wyrachowany i sprytny, opiekun kupców i złodziei

- dodał niechętnie Lawrence. - Niespecjalnie solidny... Może Alistair ma rację? Może wymyślono tę całą historię z Tablicą, żeby wyrolować ludzi, którzy zechcą w nią uwierzyć?

- A może Alistair nie ma racji! - uciął Oskar, któremu nie podobało się to, co mówi przyjaciel.

Lawrence nie upierał się.

- Chyba potrzebujemy rady od kogoś z zewnątrz - powiedział Oskar.

- Czy dobrze mi się wydaje, że masz już pomysł? - spytała Valentine.

Młody Medykus uśmiechnął się.

- Legendy, mitologiczni bogowie... Jak wam się wydaje, kto się dobrze zna na historii i jest w stanie rozwiązać nasze problemy?

Zeszli po cichu ze schodów i przeszli przez hall Cumides Circle. Weszli na czubkach palców do biblioteki i Oskar, nie tracąc czasu, przywitał się z Tytusem. Fotel nie dał się długo prosić - przysunął się chętnie aż do półek z książkami. W swoim przywiązaniu do Oskara przypominał Berenice Withers, której był ulubionym siedziskiem.

Oskar rzucił buty z szybkością światła, wdrapał się na fotel i sięgnął do najwyższej półki, gdzie stały najgrubsze dzieła. Zdjął ostrożnie jedno z nich - piękny tom, pokryty skórą, ze złożonymi brzegami kartek, zszedł z Tytusa i położył księgę na stole.

- Naprawdę sądzisz, że nam pomoże? - spytała sceptycznie Valentine. - Już w zeszłym roku kiepsko bywało z jego pamięcią, naprawdę nie wiem, czy teraz...

Lawrence spiorunował ją wzrokiem.

- Jak w ogóle możesz tak mówić o markizie? To człowiek o błyskotliwym umyśle!
Trudno nawet zliczyć, ile posiada niezwykłych informacji...

- Jego wiek także trudno zliczyć! - szepnęła dziewczynka, obawiając się, że markiz ją usłyszy.

- Tak czy inaczej, nie mam żadnego lepszego pomysłu - wyznał Oskar. - Może będziemy mieli trochę szczęścia i zastaniemy markiza w świetnej formie?... - dodał bez przekonania.

Otworzył książkę na pustej, białej stronie. Starał się mówić głośno i wyraźnie.

- Uszanowanie, panie markizie! - powiedział wesołym tonem. - To ja, Oskar Pill.
Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam?

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Na kartce nie było widać ani śladu choćby jednej litery, ani jednej linijki, skreślonej gęsim piórem, którego używał markiz Alphonse, zapewne jako ostatni człowiek na świecie.

Zmartwiony Oskar popatrzył na przyjaciół.

- Może śpi?

Valentine z rezygnacją potrząsnęła głową.

- Nie śpi, tylko jest głuchy. To nie to samo.

- Skądże znowu, co ty pleciesz! - oburzył się Lawrence. - To po prostu pora sjeisty i tyle!

- Dobrze, ustalmy, że jego sjeść trwa dwadzieścia godzin na dobę, a przez pozostałe cztery godziny jest głuchy. Tracimy czas, mówię wam.

- Czekajcie! - krzyknął Oskar, wpatrując się w księgę. - Jest, odezwał się!

Na kartce pojawiły się pierwsze linijki, pisane nieco drżącą ręką, odznaczające się jednak jak zwykle elegancką kaligrafią.

- Co? Gdzie? Co się dzieje?! Do broni, chłopcy, i bijcie się dzielnie! „I naprzód marsz, Ojczyzny dzieci, bo nadszedł chwaly naszej dzieeeń”.

Słowa Marsylianki⁴ mieszały się na kartce z kreślonymi szybko nutami.

- No jak zwykle! - mruknęła Valentine, wznosząc oczy do nieba. - Znowu się zawiesił na rewolucji francuskiej. Mamy pół godziny z głowy.

Oskar jednak nie rezygnował.

- Nie, markizie, rewolucja już się skończyła, sprzątnięto gilotynę... To ja, Oskar, a to moi przyjaciele, Lawrence i Valentine, zna ich pan dobrze...

Trącił ich i pospiesznie się przywitali, każde na swój sposób.

- Ach, tak, tak, oczywiście! - Markiz oprzytomniał. - Wydaje mi się... chyba po prostu zamyśliłem się głęboko i nie słyszałem, kiedy weszliście.

- Zamyślił się! - Valentine była rozbawiona. - Jasne! Ja też zamyślam się bardzo głęboko każdej nocy. Będę naprawdę wybitnie inteligentna!

- Zacznijmy od tego, że będziesz trochę ciszej, spróbuj, może ci się uda? - fuknął Lawrence. - Obrazi się zaraz...

- Jak się miewasz, drogi chłopcze? - pisał dalej markiz swoim najpiękniejszym charakterem pisma, całkiem już rozbudzony.

- Świetnie, bardzo panu dziękuję! - odparł grzecznie Oskar. - Ja też rozmyślałem i przyszło mi do głowy pewne pytanie. Nie umiałem jednak znaleźć na nie odpowiedzi. Doszliśmy do wniosku, że pan z pewnością umiałby nam objaśnić tę sprawę.

- Ależ proszę, pytaj! - odpowiedział z entuzjazmem starszy pan. - Wiesz chyba dobrze, że moja skromna wiedza jest do twojej dyspozycji!

Młodemu Medykusowi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy.

- Czy zna pan boga Hermesa, markizie?

- Hermes! Syn Zeusa i brat Apollina? Ależ oczywiście!

- To akurat już wam powiedziałem! - podkreślił Lawrence, nieco urażony, że ktoś mógł zwątpić w jego wiedzę.

- Był miłym łobuziakiem, który bezustannie wyczyniał awantury! Dlaczego was zainteresował, dzieci?

- Chcielibyśmy wiedzieć, jaką odegrał rolę... - powiedział ostrożnie Oskar.

Dobrze zapamiętał lekcję, jakiej udzielono Valentine. Wszyscy reagowali niezwykle nerwowo, kiedy pytano ich wprost o Szmaragdową Tablicę. Najprawdopodobniej Alphonse był ostatnią kartą, którą mogli rozegrać w tej bibliotece, musieli to zatem zrobić bardzo zręcznie.

Markiz zaczął się zastanawiać. Oskar wykorzystał tę chwilę, żeby przycisnąć go

niedocmocniej.

- Czy to prawda, że miał moc... wskrzeszania zmarłych?

- Nie do końca - odparł markiz. - Co prawda, wierzono w to, istotnie, kiedy się jednak wczytało w starożytne teksty, okazuje się, że Hermes miał raczej odprowadzać zmarłych do krainy podziemnej...

Dzieci popatrzyły na siebie rozczarowane.

- Istotnie, nie jest to specjalnie zabawne - przyznał markiz. - Czy mogę jednak wiedzieć, dlaczego ów bóg tak bardzo was zajmuje? Zaintrygowało mnie to.

- No cóż, przeczytałem artykuł o odnawianiu komórek - odparł Oskar, któremu było przykro, że musi oszukiwać markiza. - I była tam mowa o jakimś Hermesie. Chciałem się o nim dowiedzieć czegoś więcej...

- Historia Medykusów wspomina o pewnym bardzo znanym Hermesie, nie ma on jednak nic wspólnego z mitologicznym bogiem...

- Ach, niech pan nam o nim opowie! - zawołała Valentine, która zapłonęła z ciekawości.

- Chodzi oczywiście o Hermesa Trismegistosa.

- Oczywiście - potwierdził Lawrence, który nigdy nie słyszał o tym akurat Hermesie.
- Może nam pan o nim powiedzieć coś więcej?

Markiz westchnął głęboko, aż uniosła się okładka książki.

- Pozwólcie, że zajrzę do mojego dzieła, pamięć niekiedy lekko mi szwankuje,

niestety...

- Ależ oczywiście proszę się nie spieszyć! - powiedział Oskar, ukrywając jak bardzo niecierpliwie czeka na wiadomości.

Piękna księga zamknęła się, przy czym uniósł się lekki obłoczek kurzu. Po chwili znowu się otworzyła. Kartki przewracały się to w jedną, to w drugą stronę, w końcu markiz zatrzymał się na jednej z nich. Zobaczyli młodo wyglądającego człowieka o siwiejących włosach, szeroko uśmiechniętego. Trzymał w ręku sztabę złota.

Wypowiedź markiza ukazała się teraz nad ilustracją, w górnej części kartki.

- A oto i on! Hermes Trismegistos. Nie znamy dokładnej daty jego urodzenia. Są tacy, którzy uznają, że żył on już w czasach starożytnych. Inni łączą go raczej z czasami średniowiecza, jeszcze inni przypisują go do piętnastego wieku. Niektórzy uważają wręcz, że żył pod koniec wieku osiemnastego. Osobiście sędzę, że żył raczej w czasie pierwszych wieków naszej ery, biorąc pod uwagę jego przydomek. Nie mam jednak co do tego pewności.

- Przydomek ten pochodzi chyba z greki - powiedział Lawrence. - Trismegistos to znaczy „po trzykroć największy”.

- Brawo, młody człowieku! - pochwalił go markiz. - Masz absolutną rację. Czy w Hepatolii dzieci uczą się starożytnej greki?

- Nie, ale zamówiłem płytkę DVD przez internet - odparł z dumą Lawrence. - Podałem nazwisko Bonesa, numer do zapłaty i udało się!

- Numer? - zdziwił się Oskar. - Jaki numer?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, co to za numer, ale słyszałem kiedyś jak Bones

zamawiał coś przez telefon i podał taki długi numer, dwanaście cyfr. Pomyślałem, że to całkiem przydatne, zapamiętałem więc sobie te cyfry - wyjaśnił pogodnie Lawrence.

- Genialna sprawa! - dorzuciła Valentine. - Wiele razy tak robiliśmy i działa bez pudła!

Oskar pomyślał o majordomusie i o jego koncie bankowym, którego zasoby zapewne nagle stały się dużo skromniejsze. Bał się jednak, że kiedy oddał się za bardzo od tematu, markiz zgubi wątek. Obiecał sobie, że potem wyjaśni przyjaciółom zasady działania karty bankowej.

- Ale czym zajmował się ten Hermes Trismegistos? - spytał.

- Był przede wszystkim alchemikiem. Przez długi czas uważano, że należał do Zakonu Medykówów, jednak najprawdopodobniej był po prostu szarlatanem, który twierdził, że umie odnawiać martwe komórki.

- I rzeczywiście umiał to robić? - spytał Lawrence, którego logiczny umysł odrzucał poniekąd taką możliwość.

- Nie, w rzeczywistości nigdy tego nie uczynił, ludzie jednak wierzyli, że jest w stanie tego dokonać, i podejrzewali go o czary. Chcąc ocalić skórę, usiłował odwrócić uwagę i utrzymywał, że udało mu się wytworzyć złoto z ołowiu i że można to zrobić z każdego innego metalu. Był bardzo bogaty i zastępował po prostu to, co mu przynoszono, złotem ze swojego skarbca...

- Czyli tak naprawdę kupował sobie święty spokój! - zawołała Valentine.

- Właśnie tak. Drogo go to kosztowało, ale tak to się kończy, jak ktoś jest szarlatanem i wygaduje banialuki.

- I... nie miał żadnych innych mocy? - zapytał zawiedziony Oskar. - Niczego, co wiązałoby się z... życiem i śmiercią?

Markiz wahał się przez krótką chwilę, a dzieci sądziły, że powodem jest powolność związana z wiekiem.

- Powiedziałem ci już: to była tylko plotka, zwykła plotka. Czy pomogłem wam choć trochę?

- Tak, dziękuję panu bardzo, markizie - powiedział Oskar cicho.

Zamknął z powrotem księgę i odłożył ją na miejsce.

Dzieci wyszły w milczeniu z biblioteki. Valentine i Lawrence popatrzyli na siebie i zbliżyli się do Oskara.

- To co teraz robimy? - spytał Lawrence, siląc się na energiczny ton.

Młody Medykus wzruszył ramionami. Czuł się zniechęcony. Valentine starała się podnieść go na duchu.

- Uważamy z Lawrence'em, że nie możemy dać za wygraną! Poszukamy gdzie indziej.

Oskar uśmiechnął się do nich.

- Dzięki. Ale wydaje mi się, że wiem, co teraz powinienem zrobić...

Lawrence i Valentine spojrzeli w tym samym kierunku, co Oskar. U stóp schodów ujrzeli Bonesa. Stał nieruchomo, lekko pochylony, ze zmrużonymi oczami. U jego stóp stała walizka Oskara.

- Jerry czeka na ciebie - powiedział swoim nosowym głosem. - Już czas, żebyś wrócił do Babylon Heights.

Oskarowi wydało się, że w głosie majordomusa słyszy pewną ulgę.

- Muszę już iść... - powiedział bez wielkiego entuzjazmu.

- Kiedy kolejna wyprawa do drugiego Uniwersum? - spytała Valentine.

- Alistair umówił się z nami na przyszły weekend. Oczywiście jeśli Leonid się zgodzi.

- I jeśli nie wypali w tym czasie zbyt wielu cygar - dorzucił Lawrence. - No cóż, wracaj do szkoły, szczęściarzu. A my pociągniemy dalej nasze śledztwo - dodał, by pocieszyć przyjaciela.

- Ale wpadniesz do nas w tym tygodniu, nie zapomnisz?

- Jutro, po szkole - obiecał Oskar.

W bibliotece oświetlonej ciepłym światłem lampy Alphonse de Saint-Larynx, hrabia de Breviaire, markiz de Carabin i autor najbardziej szczegółowego i najbogatszego traktatu na temat historii Zakonu Medykusów, odczuwał straszliwy niepokój.

Czasami warto było uchodzić za sklerotycznego starca. Ludzie nie zwracali na takiego uwagi, żywiąc przekonanie, że mają do czynienia z człowiekiem głuchym jak pień i głupim jak but. Dzięki temu mógł dowiedzieć się rozmaitych rzeczy, których w innej sytuacji nigdy by nie usłyszał. Między innymi domyślił się, że młody Pill zamierzał

zdożyć więcej informacji na temat, o którym on, markiz, wolał mu nie opowiadać zbyt wiele.

Chłopak wyraził się zupełnie jasno. „Czy Hermes Trismegistos miał jakąś moc nad życiem i śmiercią?” W przeciwieństwie do ludzi, którzy markiza traktowali z pewnym pobłażaniem, on zawsze starał się oceniać innych jak należy i wiedział doskonale, że Oskar jest chłopcem nieprzeciętnie inteligentnym. Miał z pewnością sekrety, markiz nie mógł jednak do końca odgadnąć, o co chłopcu chodzi.

Przeczytał własny tekst na stronie, na której widniał portret Medykusa chemika. Później zatrzymał się przy sąsiedniej czystej kartce. Pojawiły się na niej linijki, które zgrabnie wytarł wcześniej, zanim dzieci rzuciły na nią okiem. Spojrzał na tytuł.

Niezwykle odkrycie Hermesa Trismegistosa

Duch markiza westchnął ciężko wewnątrz oprawnego w skórę dzieła. Był przekonany, że to szalony pomysł, droga donikąd, na której zagubiło się wcześniej tylu innych Medykusów. To był tylko mit, bezpodstawna legenda.

To znaczy, tak twierdzili wszyscy, dopóki on nie pochylił się nad tym tematem.

On - i jeszcze ktoś.

Ale czyż nie ustalili razem, że zachowają odkrycie w tajemnicy, dla dobra i bezpieczeństwa całej ludzkości? Jedyne ślad zachował się w tej księdze, markiz złożył jednak przysięgę, że nie odkryje go przed nikim, chyba że w sytuacji wyższej konieczności, w razie niesłychanego zagrożenia.

Dziś, kiedy dzieci zadawały mu pytania, nie widział tej konieczności, wręcz przeciwnie. Ostrożniej było zachować dla siebie to, co wiedział. Tak było bezpieczniej dla dzieci, dla niego samego i dla Zakonu Medykusów.

Tak, z pewnością: dobrze zrobił, że ukrył przed nimi tekst o tajemniczej, groźnej Szmaragdowej Tablicy.

MISTER OUT

Barry pożerał ją wzrokiem.

Celia kręciła się po kuchni, szykując posiłek, owinięta kwiecistym fartuchem. Uśmiechnęła się. Zdawała sobie sprawę, jakie wrażenie robi na tym mężczyźnie, i od pewnego czasu już się tego nie wstydziła.

Na początku nie było to takie proste. Nie chodziło tylko o reakcję dzieci. Dobrze wiedziała, że one nie będą patrzeć łaskawym okiem na innego mężczyznę w życiu matki. Nie rozmawiała z nimi nawet o „innym mężczyźnie, który zastąpiłby waszego ojca w moim życiu”. Tę kwestię wytłumaczyła im od razu: nie można nikogo zastąpić, w żadnym wypadku. Poza wszystkim, kto w ogóle mógłby zastąpić Vitalego? Nie, to nie spojrzenia dzieci ciążyły jej najbardziej. Chodziło o nią samą, kiedy patrzyła na swoje odbicie w lustrze, kiedy zastanawiała się, czy miałyby ochotę być z innym mężczyzną niż ten, którego zabrano jej prawie czternaście lat wcześniej. Czuła się winna, kiedy tylko wyobrażała sobie, że mogłaby wprowadzić do swojego życia kogokolwiek innego.

Jednak coś się zmieniło - dzięki Barry'emu, który od tak dawna za nią chodził i któremu od tak dawna się opierała.

Odkąd wbił sobie do głowy, że ją zdobędzie, przyzwyczaiła się do tego, że bezustannie ktoś się o nią stara, że ktoś do niej dzwoni przynajmniej raz dziennie, że przynosi jej kwiaty. Nawet jeśli był przy tym nieznośnie uparty, nawet jeśli miał grubiański sposób bycia i nawet jeśli kwiaty były dobrane bez gustu. Sprawiało jej to

przyjemność, potrzebowała tego, dzięki temu zaczęła oswajać się z myślą, że ma prawo spotykać się z mężczyzną. Miała dopiero trzydzieści pięć lat i lubiła to, podobnie jak każda inna młoda kobieta. Doszła też do przekonania, że nie zdradza tym samym pamięci zmarłego męża.

Poczuła, jak jej talię obejmują dwie szerokie i silne dłonie, które wiedziały, czego chcą. Uśmiechnęła się, odłożyła drewnianą łyżkę i łagodnie odsunęła od siebie ręce Barry'ego.

- Naprawdę musimy jeść kolację tutaj, u ciebie? - spytał Barry. - Akurat dziś, kiedy wyjątkowo nie musiałem błagać cię na kolanach, żebyśmy się spotkali w niedzielę... Mogliśmy wyjść, zjeść coś na mieście. Zabrałbym cię do restauracji! I to nie byle jakiej, co nie? - naciskał Barry. - Poszlibyśmy do dobrej, bardzo dobrej restauracji!

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Na ogół było jej bardzo przykro, że Oskar tak kategorycznie odrzuca tego człowieka, musiała jednak przyznać, że jej syn pod kilkoma względami miał rację. Barry nie był szczególnie taktowny. Ale to nieważne. Taki był przejęty! Będzie jej teraz pewnie powtarzał dwadzieścia razy, że chciał ją zabrać do „bardzo dobrej” restauracji, cóż, trudno. Zajmował się nią jednak, a ona bardzo tego potrzebowała. No i poza wszystkim był bardzo przystojny, to pewne.

- Dzieci są w domu. Oskar właśnie wrócił i...

- A gdzie on właściwie był? - spytał Barry, który z reguły nie był specjalnie ciekawski. Interesowały go tylko samochody, sport albo „bardzo dobre” restauracje. - Wydaje mi się, że każdy weekend spędzasz, czekając na tego chłopaka. To trochę dziwne, co nie?

Celia nie chciała go oszukiwać, zamiast tego wolała zmienić temat.

- A może pójdziesz do niego na górę? - zaproponowała. - W końcu tak rzadko się

widujecie... Jestem pewna, że mielibyście o czym pogadać. Jest okazja. A ja tymczasem uporam się z gotowaniem.

Barry przestał się uśmiechać. Nie wydawał się ani trochę zachwycony na myśl o tym, że miałby iść i rozmawiać o czymś z tymi dziećmi, które, prawdę mówiąc, niespecjalnie go obchodziły. One też omijały go z daleka. Mimo wszystko nie był ślepy i zdawał sobie sprawę, że między nim a dziećmi nie ma szczególnie gorących uczuć. Trochę łatwiej rzecz się miała z dziewczynką. Wydawało się, że pochodzi z jakiejś innej planety i dosyć często tam wraca myślami, co miało tę zaletę, że nie trzeba z nią było rozmawiać. W przeciwnym razie gadała równie dużo jak stółek czy szafa. Gorsza sprawa z chłopakiem. Wydawał się trudnym orzechem do zgryzienia. No, ale jeśli Celi tak zależy... To w końcu tylko parę przykrych chwil i koniec.

Oskar zamknął za sobą drzwi swojego pokoju. Jeśli ten dzień nie kończył się fatalnie, to już chyba o żadnym nie można było tego powiedzieć.

Kiedy wysiadł z limuzyny pana Brave'a i zobaczył czerwony, sportowy wóz zaparkowany przed domem, wiedział już, czego może się spodziewać. Ten prymitywny wielkolud rozpiera się pewnie w ich kuchni albo w salonie. Popatrzył na Jerry'ego z rozpaczą, ale szofer posłał mu tylko spojrzenie pełne współczucia. Bentley ruszył i zniknął za rogiem ulicy.

Westchnął głęboko, wszedł do domu, ucałował matkę. Barry'emu zdawkowo kiwnął głową, a potem pobił rekord świata w kategorii „Błyskawiczne wbieganie po schodach na piętro”.

Zniechęcony, rzucił swoją walizkę na środek pokoju, po chwili zaryzykował i wysunął głowę na korytarz. Rozejrzał się, ale nic nie było słyhać. Wszedł i zajrzał do siostry, drzwi do jej pokoju były uchylone.

Violette siedziała na podłodze z rozpuszczonymi włosami, które sięgały jej do pasa; obok niej leżały nożyczki. Przełożyła wszystkie włosy na lewe ramię. Szczotkowała je, mówiąc coś bardzo cicho, podczas gdy z odtwarzacza płynęła hinduska muzyka, bardzo medytacyjna. Oskar nie zrozumiał ani słowa z tego, co mówiła. Wyszedł na czubkach palców i ruszył w stronę swojego pokoju, kiedy usłyszał kroki na schodach. Nie był to z pewnością lekki chód matki, nie, dźwięk przywodził raczej na myśl wołu, którego ktoś zmusił siłą do wdrapania się po schodach. Cóż, po prostu Barry wchodził na piętro.

Zamknął się w pokoju na klucz, czego nigdy nie robił, nie miał bowiem niczego specjalnego do ukrycia, a poza tym Celia stanowczo zabroniła im się zamykać. „Gdyby coś się wam stało, w jaki sposób miałabym się dostać do waszego pokoju?” Oskar przyłożył ucho do drzwi. Co temu idiocie kazało wejść aż tutaj, na górę? Miał nadzieję, że mama nie prosiła, by przyniósł jej coś z komody albo szafy. Oskar zatrzęsł się na samą myśl o tym, że Barry mógłby wejść do sypialni mamy.

- Jest tam kto? - wychrypiał Barry po drugiej stronie drzwi.

Oskar odskoczył gwałtownie do tyłu jak kot, którego ktoś polał wodą. Nie było mowy o tym, żeby się odezwał, ani tym bardziej - żeby otworzył drzwi.

Barry zaczął głośno węszyć.

- Niuch, niuch, czuć tutaj jakimś rudzielcem, co nieee?...

Oskar wzniosł oczy do nieba, tymczasem ten bęcwał ryknął śmiechem z własnego żartu - jeśli to można było nazwać żartem.

Ku swojej wielkiej uldze Oskar usłyszał, że Barry się oddala. Zaintrygowany zbliżył się znowu do drzwi, ale wokół panowała cisza. Gdzie ten facet mógł się podziewać?

Nagle usłyszał ruch w sąsiednim pokoju. Rozpoznał głos siostry, potem wybuch śmiechu. I krzyk.

Oskar poczuł lodowaty prąd spływający po kręgosłupie, od czubka głowy do stóp. Nigdy, ale to nigdy nie słyszał, żeby jego siostra krzyczała.

Wyleciał ze swojego pokoju jak kula z katapulty i wpadł do pokoju Violette. Barry trzymał w ręku nożyczki i kosmyk rudych włosów.

- Co jej zrobiłeś? - wrzasnął Oskar, zasłaniając siostrę. - Dlaczego krzyczała?

- Oj tam, żartowałem tylko. Wydawało mi się, że liczy sobie włosy, uciąłem jej taki kosmyk, dwa centymetry. Chyba nie ma o co robić takiej hysterii, co nie?

Przerażona Violette skuliła się za plecami Oskara. Chłopiec spojrzał wściekły na Barry'ego.

- Żartowałeś?! Żeby móc żartować, trzeba mieć choćby odrobinę poczucia humoru, ty głupku!

Barry przestał się uśmiechać.

- Ty smarkaczu, za kogo się masz? - krzyknął, rzucając nożyczki i kosmyk włosów. Złapał Oskara za ramię i zaczął potrząsać nim z całej siły. - Skąd się biorą takie durne bachory jak wy, co?... Ta tutaj przemawia do swoich włosów, a ty ośmielasz się tak ordynarnie do mnie odzywać?

Oskar nie był w stanie pohamować wściekłości. Ogarnęła go jakaś gorączka i zaczął okładać Barry'ego pięściami i kopać go wszędzie, gdzie popadło. Barry złapał go za włosy, poderwał do góry i rzucił chłopcem o ścianę.

- Przestań! PRZESTAŃ! Oszalałeś chyba!

Trzask policzka zabrzmiał w pokoju jak wystrzał. Celia masowała sobie dłoń. Była wściekła, nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co właściwie zrobiła. Barry trzymał się za twarz, zupełnie ogłupiały, jego wytrzeszczone oczy przypominały piłeczki pingpongowe.

- Twoja córka oszalała! - wybełkotał w końcu. - Mamrocze coś do swoich włosów. A ten tam - krzyknął, wskazując na Oskara - skoczył na mnie jak wariat!

Celia przygarnęła dzieci do siebie i popatrzyła Barry'emu prosto w oczy. Jej wzrok pałał, policzki także.

- Moja córka jest cudowną dziewczynką, a mój syn jest odważnym chłopcem, to wszystko. Pierwszy i ostatni raz podniosłeś rękę na moje dzieci, słyszysz mnie, Barry?

- Ale...

- A teraz zabieraj tę swoją czapkę zapóźnionego w rozwoju nastolatka, wsiadaj do tej grzmiącej, dużej bryki i spadaj. I żebyś mi tu nigdy więcej nie przychodził! Nigdy.

Całe jej ciało było napięte jak cięciwa. Gotowa była rozszarpać tego faceta. Może i miała do niego słabość, ale przede wszystkim była matką i potrafiła zamienić się w lwicę, kiedy ktoś chciał zrobić coś złego jej dzieciom.

Barry nadal trzymał się za policzek, spoglądał to na jedno, to na drugie błędnym, ale zarazem pełnym złości wzrokiem. Nie za bardzo wiedział, co ma robić.

- Powiedziałałam wyraźnie: spadaj stąd! - powtórzyła Celia.

Westchnął, pokręcił głową i zniknął na końcu korytarza.

Celia odczekała, aż trzasną drzwi wyjściowe. Zamknęła oczy i usiadła na łóżku Violette. Dzieci stały przy niej bez słowa. Przytuliła je na chwilę, a potem podniosła się.

- Mamo - odezwał się pierwszy Oskar. - My...

- Nie - powiedziała bardzo cicho, prawie niedosłyszalnie, nie odwracając się w jego stronę. - Chciałabym na chwilę zostać sama. Tylko na jedną chwilę.

Rozwiązała fartuch, pozwoliła, by osunął się na ziemię, i wyszła. Dzieci spuściły wzrok, zostały na środku pokoju, noszącego ślady zawieruchy.

- On... już nie wróci? - spytała Violette.

- Nie - odparł Oskar. - Nie sądzę.

Dziwne, jakoś nie sprawiało mu to wcale radości. Patrzył na pognieciony fartuch matki nadal leżący na ziemi.

Violette podniosła rudy lok i przyglądała mu się z bardzo smutną miną. Przeczesала palcami włosy, szukając miejsca, gdzie zostały ucięte. Próbowala przyłożyć tam brakujący kosmyk, ale zrezygnowała.

- Takie zerwanie musi być trudne - powiedziała, patrząc nadal smętnie na ucięte włosy.

Oskar popatrzył na drzwi do pokoju matki. Były zamknięte.

- Tak - powiedział. - To musi być bardzo trudne.

UPÓR ALISTAIRA

Trudno było ogarnąć się w poniedziałek rano i wrócić do szkoły. Oskarowi po głowie ciągle jeszcze krążyły kaniony, kule, pałac, arena i potwory. W szkole znalazł się - o dziwo! - przed czasem, trzymał się jednak nieco na uboczu.

Myślał nie tylko o Królestwie Oddechów, ale też o tym, co usłyszał od markiza. A raczej - o tym, czego nie usłyszał. Markiz w końcu nie znalazł niczego interesującego o tym Hermesie, a tym bardziej o Szmaragdowej Tablicy. Może powinien był rozmawiać jaśniej ze starszym panem, zadawać pytania bardziej wprost? Nie za bardzo wiedział, jakim ma iść tropem. Wolał jednak rozważyć tę sprawę później, uczniowie wchodzili już do szkolnego budynku.

Wszedł do klasy. W głębi dostrzegł Mossa. Siedział już wśród swoich kumpli, z kapturem bluzy naciągniętym na ogoloną głowę. Jego twarz wydawała się bardziej niż zwykle zasypana krostami. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na Oskara, zupełnie jakby każdy z nich spędził nudny weekend osobno.

Oskar usiadł na swoim miejscu obok Jeremy'ego, który był bardzo czymś podekscytowany.

- Dlaczego do nas nie wpadłeś wczoraj? Umieraliśmy z ciekawości, jak ci poszło! Opowiadaj!

Oskar już miał odpowiedzieć, kiedy zauważył, że ktoś namazał grubym flamastrem słowa na jego pulpicie.

Jeremy pochylił się, zaintrygowany i przeczytał głośno:

- „Następnym razem nikt nie da grzdyłowi Trofeum z litości... Będzie musiał na to

zasłużyć”. Co to ma znaczyć? O co chodzi?...

Oskar odwrócił się, wściekły. Moss przyglądał mu się z krzywym uśmiechem, zadowolony z efektu.

- Zapłaci mi za to! - warknął Oskar, rzucając zeszyt na blat, by zakryć napis. - Valentine miała rację, niepotrzebnie go uratowałem, kiedy ten wirus chciał go pożreć!

- Co? - zdziwił się Jeremy. - Ocaliłeś Mossa? Co ty, masz instynkty samobójcze? Daj spokój, nie można cię nawet na chwilę zostawić samego, zaraz się stajesz milutki i głupstwa robisz.

Tuż koło ucha chłopca rozległ się gwizdek. Na pulpicie tuż przed jego nosem trzasnęła długa pałka. Jeremy i Oskar natychmiast się odwrócili.

- No cóż, tak jest dużo lepiej! - powiedział damski głos, dosyć niski i lekko zachrypnięty.

W klasie pojawiła się pani Atwood - a przynajmniej można się było domyślić, że weszła, śledząc wierzchołek jej kapelusza, który w niewielkim stopniu przerastał głowy siedzących uczniów.

Niski wzrost nauczycielki biologii w żaden sposób nie odzwierciedlał jej temperamentu. Kiedy się zdenerwowała, lepiej było schodzić jej z drogi, a nawet być po prostu poza jej zasięgiem. Operowała z niewiarygodną zręcznością wielkim kijem - czymś w rodzaju długiej, bambusowej tyczki. Nigdy się z nią nie rozstawała. Tyczka ta pozwalała jej zarazem wskazywać coś na tablicy i dyscyplinować niesfornych uczniów. Oczywiście nigdy nikogo nie uderzyła, jej ciosy spadały zawsze dokładnie kilka milimetrów dalej, wystarczyło to jednak, by uspokoić najbardziej ruchliwych. Wszyscy umilkli, Oskar także.

- No dobrze - powiedziała nauczycielka, wdrapując się na podwyższenie. - Wyjmijcie podręczniki do biologii i otwórzcie je na stronie dwudziestej czwartej. Dzisiaj omówimy system oddechowy. Zobaczcie, to niezwykle fascynująca sprawa!

Jeremy zaczął cicho chichotać.

- Coś czuję, że dla niektórych spośród nas to może się okazać dużo mniej fascynujące... - szepnął. - Zastanawiam się, dlaczego w ogóle Medykusi muszą brać udział w lekcjach biologii!

Pani Atwood odwróciła się jak rażona piorunem, z pałką w dłoni, gotową do uderzenia.

- Kto rozmawia? Kto?!

Jeremy podniósł rękę.

- To Moss, proszę pani. Ale nic nie powiedział. Tylko burczy mu w żołądku, to nie jego wina. Zawsze miał kłopoty z trawieniem...

Cała klasa wybuchnęła śmiechem. Moss rzucił Jeremy'emu ciężkie spojrzenie, pełne wściekłości. Z pewnością nie pozwoli nikomu naśmiewać się z siebie, i to przed wszystkimi, a już na pewno nie temu kurdupłowi, mniejszemu z braci O'Maley.

Jeremy ciągnął samobójczo:

- Proszę pani, a może moglibyśmy zacząć się teraz uczyć o systemie trawiennym, a nie o oddechowym? Dowiedzielibyśmy się, na co cierpi Moss...

- O'Maley, spotkamy się jeszcze na przerwie! - wycedził Moss przez zaciśnięte zęby.

- A do którego O'Maleya mówisz? - spytał Barth, siedzący w rzędzie za bratem, i wyprostował się.

- Bo wiesz, u nas tak to już jest, że jak ktoś mówi do jednego z nas, odpowiadamy zawsze obydwaj! - dodał Jeremy, z uśmiechem od ucha do ucha.

- Dostyc tego! - krzyknęła pani Atwood, która i tak wyjątkowo długo znosiła rozmowy w klasie.

Rzadko się zdarzało, żeby nauczyciel bronił Mossa. Szczerze i powszechnie nie cierpiano jego ojca. I przeciwnie, Jeremy był ogólnie lubiany. Pani Atwood siłą powstrzymywała się od śmiechu, zadowolona, że chłopiec umiał się odgryźć Mossowi, młodemu tyranowi. Dla zasady świsnęła swoim kijem nad ich głowami - zniżając go nieco bardziej w pobliżu głowy Mossa, który schował się pod kapturem. Do końca lekcji nikt nie śmiał szepnąć ani słówka.

Kiedy zabrzmiał dzwonek na przerwę, Tilla wstała jako pierwsza. Ruszyła w stronę ławki Oskara, a za nią ciągnęły Shadow i Barbie.

- Ronan wspominał mi o jakimś trofeum - powiedziała z uśmiechem. - Zdobyłeś trofeum, Oskar?

Westchnął głęboko i zaczął zbierać swoje zeszyty, nie zwracając uwagi na słowa Tilli.

- Brałeś udział w jakichś zawodach? - spytała Shadow, która miała na sobie identyczną sukienkę jak Tilla i próbowała być tak samo ironiczna.

- Ależ tak, brał udział - powiedział Jeremy i odsunął lekko Shadow, naciskając palcem jej okrągły nos. - To były szczególne zawody, w których trzeba za wszelką cenę naśladować swojego przyjaciela, nawet jeśli to wychodzi nieudolnie, a przede wszystkim

nie wolno mieć cienia własnej osobowości! I całe szczęście, że ciebie tam nie było, Shadow, bo zdobyłabyś jak nic pierwsze miejsce!

Shadow, zła i upokorzona, cofnęła się za plecy Tilli.

- A ja uwielbiam zawody! - powiedziała Tilla, patrząc Oskarowi prosto w oczy. - Zabawne są... Zwłaszcza kiedy ktoś gotów jest na wszystko, żeby wygrać.

- Jeśli o mnie chodzi, nie muszę się bić albo oszukiwać, żeby wygrać - odparł Oskar, tym razem nie uciekając ze spojrzeniem. - W tej sprawie powinnaś raczej pogadać z Mossem.

- Jasne! - powiedziała, pochylając się nad stołem i czytając namazane słowa, które z pewnością i tak już wcześniej zdążyła przeczytać. - Jeśli ktoś zdobywa trofeum, nie zasługując na nie, być może rzeczywiście nie musi się bić.

Zignorował ją, przeszedł obok i ruszył w stronę drzwi. Odwróciła się za nim.

- Zaczekaj! Ronan nie chciał nam nawet powiedzieć, co to były za zawody! - zawołała pytająco Tilla. Jej dwie przyjaciółki chichotały bez powodu.

Jeremy i Barth wyszli razem z Oskarem, nie zwracając uwagi na dziewczyny.

- Trzeba było powiedzieć coś mocniejszego tej zarazie! - stwierdził młodszy z braci. - Chętnie bym to zrobił, ale mogłaby pomyśleć, że sam nie dałbyś rady...

- Nie chcę z nikim walczyć, ani z Mossem, ani z Tillą.

Nie do końca był uczciwy wobec siebie, wiedział o tym. Prawdą było to, że nie miał ochoty stawiać czoła Tilli, nie miałby jednak nic przeciwko temu, żeby odpowiednio odpłacić Mossowi za minione dwa dni.

- Dobra, w porządku, dajmy temu spokój - skapitulował Jeremy. - Zajmę się nimi przy najbliższej okazji. Nieznośne są, więc pewnie szybko znajdzie się powód... Idziesz z nami do stołówki?

Oskar pokręcił głową, a obydwaj chłopcy odpowiedzieli za niego:

- Mama znowu przygotowała ci jedną z tych najlepszych na świecie kanapek! - powiedzieli chórem, z zazdrością w głosie.

- Trudno! - skwitował Jeremy. - Pójdziemy bez ciebie i bez ciebie będziemy błagać Linę, żeby nałożyła nam prawdziwych pyszności zamiast warzyw...

Barth z właściwą sobie energią klepnął przyjaciela w plecy.

- Zaopiekuję się twoją porcją frytek, słowo!

- Dzięki! - powiedział Oskar, masując sobie ramię. - Od czego są prawdziwi przyjaciele...

Czekał kilka chwil, kiedy jego koledzy oddalali się w niemożliwym zgiełku w stronę stołówki, a potem wymknął się ukradkiem ze szkoły. Żadnemu uczniowi nie wolno było oczywiście opuszczać szkolnych murów, jednak prośenie o zgodę czy poddawanie się zakazom nie było najmocniejszą stroną Oskara. A szczególnie dziś musiał przez chwilę być sam, odetchnąć i ogarnąć trochę sytuację.

Kiedy tylko przekroczył bramę parku w Babylon Heights, bilans wydarzeń sam pojawił mu się w głowie. Jego sytuacja z pewnością nie należała do najlepszych. To wszystko wymagało dyskretnego i ustronnego miejsca, gdzie mógłby spokojnie

pomyśleć, poza ciekawskimi spojrzeniami. Miejsca, gdzie nie natknie się na natrętów, którzy chcieliby z nim pogadać, albo takich, którzy zwracaliby mu uwagę, iż powinien raczej siedzieć w szkolnej stołówce lub ławce.

Szedł przez trawiaste polany, starannie omijając bardziej uczęszczane alejki, gdzie mógł spotkać kogoś znajomego. Kierował się w stronę jeziora.

Oczarował kobietę, pilnującą łódek, która знаła go od dziecka. Uległa jego prośbom i dała mu do dyspozycji łódź za darmo, wymogła na nim jednak przyrzeczenie, że nie powie o tym kierownictwu.

- Mam nadzieję, że dobrze się zrozumieliśmy - powtarzała Mylene, machając mu przed nosem palcem. - Nie wolno ci zdejmować kamizelki ratunkowej i nie możesz chować się za wyspą. Muszę cię mieć cały czas na oku. Jeśli coś ci się stanie, wywalą mnie z pracy.

- Obiecuję - powiedział z uśmiechem Oskar, kładąc rękę na sercu. - Popłynę tylko kawałek, tam i z powrotem, to wszystko.

Westchnęła.

- Sam jeden w łódce... chyba oszalałam. Ale dobrze, wiem, że mogę mieć do ciebie zaufanie.

Wskoczył do łódki, nie czekając, aż Mylene zmieni zdanie, i wiosłował najszybciej jak tylko umiał, żeby nie pozostawać zbyt długo na widoku. Dopłynął do wysepki i wyskoczył na ląd. Odwrócił się i pomachał Mylene, która śledziła każdy jego ruch z budki na brzegu jeziora. Przywiązał łódkę do korzeni drzewa rosnącego na brzegu.

Przedarł się przez nadbrzeżne zarośla, prześlizgiwał się pod gałęziami, brodził wśród zielska, aż wreszcie dotarł do miejsca, którego szukał. Schylił się, przedostał się przez

ciasne przejście w skale i znalazł się w niewielkiej grocie porośniętej mchem. Odkryli to miejsce z siostrą dwa lata wcześniej. Spodobało mu się bardzo. Można się tu było świetnie ukryć. Mógł mieć pewność, że tutaj nikt nie zakłóci jego spokoju.

Usiadł na ziemi, oparł się o chłodną ścianę jaskini i zamknął oczy. W rzeczywistości bilans ostatnich dwóch tygodni był bardzo prosty. Wszystko zaczęło się od cudownej niespodzianki. Odkrył, że znowu jest w posiadaniu niezwykłych mocy, wrócił do Cumides Circle i pozwolono mu rozpocząć przygodę polegającą na zdobyciu drugiego Trofeum. A potem ruszyła lawina, kolejne fatalne okoliczności i rozczarowania... Ku jego wielkiemu zaskoczeniu Moss okazał się także członkiem Zakonu Medykusów, a co gorsza Fletcher Worm był kimś w rodzaju jego opiekuna. Introdukcje najeżone były różnymi trudnościami. Mało brakowało, a wróciłby bez pierwszej części Trofeum. Może Moss miał rację? Może dostał Trofeum tylko dzięki nadmiernej pobłażliwości króla? Chyba nie, król nappełnił szklane pudełeczko swoim oddechem i tym samym zaświadczył, że Oskar naprawdę na nie zasłużył...

Sprawa nie była jeszcze zakończona, to jasne. Znając skłonności Mossa, który uwielbiał rzucać kłody pod nogi kolegom, a zwłaszcza jemu, przewidywał, że zdobycie drugiej części Trofeum będzie ryzykownym i trudnym przedsięwzięciem...

Nie przejmował się tym jednak zanadto. Rzadko brakowało mu odwagi. Wiedział, że się nie cofnie, aż dojdzie do celu, tak zdecydował na samym początku. Chciał to zrobić dla siebie, ale też dla bliskich, a przede wszystkim - pragnął zwrócić ojcu utracony honor.

Ojciec: to właśnie martwiło go najbardziej. Nie był w stanie zapomnieć tego, co powiedział Alistair. Pamiętał każde słowo i był głęboko przekonany, że gdzieś istnieje coś, co mogło oddać mu ojca, przywrócić go do życia - choćby na bardzo krótko. Nieważne. Nawet minuta by mu wystarczyła. Zobaczyć ojca. Zobaczyć go, dotknąć. Usłyszeć jego głos.

Mogła to sprawić Szmaragdowa Tablica.

Dziwne, kiedy pytał o to, nikt nic nie wiedział, ewentualnie próbowano ominąć temat, a nawet zniechęcić go do dalszych poszukiwań... Nasuwał mu się wniosek, że musiał być na dobrej drodze. Alistair nie kłamał. Nawet jeśli twierdzi, że niczego takiego nie mówił, myli się i zapewne ma luki w pamięci. Oskar, przeciwnie, pamiętał świetnie wszystko. Wydawało mu się nawet, że znów słyszy głos młodego człowieka.

- Znowu o tym myślisz, prawda?

Oskar pokiwał głową. Marzyłoby mu się, żeby ten sam głos potwierdził informacje sprzed tygodnia zamiast im zaprzeczać. A jeszcze lepiej - żeby ten głos poprowadził go w dobrym kierunku.

- Masz rację - powiedział głos. - Tablica istnieje naprawdę. Nikt nie chce się do tego przyznać, bo daje ona wielką władzę, a przez to wzbudza lęk. A przecież tyle można by uczynić dobrego, gdyby ktoś zrobił z niej właściwy użytek...

- Przywracać ludziom życie... - szepnął Oskar. - To znaczy, że Hermes Trismegistos naprawdę stworzył taką Tablicę?

- Naprawdę.

Głos zmienił się, był teraz twardszy, lodowaty, przypominał owe chwile, kiedy Oskar pierwszy raz usłyszał od Alistaira o Szmaragdowej Tablicy. Oskar poczuł równie lodowaty dotyk, ktoś położył mu rękę na ramieniu. Zerwał się na równe nogi.

W półcieniu dostrzegł szczupłą sylwetkę. Nie miał żadnych trudności, żeby rozpoznać, kto to.

- Alistair! - wykrzyknął Oskar, zaskoczony. - Jak to?... Naprawdę pan tu jest?

Alistair siedział na kamieniu, wygładzonym z upływem czasu. Wstał teraz i podszedł bliżej światła. Znowu wydawał się bardzo blady, twarz miał napiętą, jak gdyby przeżył kolejny wypadek. Wyglądał, jakby nie miał ani odrobiny siły. Na jego twarzy nie widać było uśmiechu, ubrany był jeszcze bardziej nieporządnie niż zwykle.

- Tak, to naprawdę ja - powiedział. - Czyżbyś wierzył w duchy?

Oskar potraktował te słowa jak żart, chociaż Alistair wydawał się brzmieć bardzo serio.

- Myślałem właśnie o panu i... o tym, co mi pan powiedział, kilka dni temu. I nagle się pan pojawił.

- Rozczaruję cię. Jestem Medykusem tak jak ty, ale nie magikiem. Przychodziłem tutaj, kiedy byłem w twoim wieku, i teraz też czasem tu zaglądam. To po prostu przypadek... a może i nie.

- Nie, jestem pewien, że to nie jest żaden przypadek! - zawołał Oskar. - Myślałem o Szmaragdowej Tablicy - dodał, pełen nowej nadziei.

- I uważasz zapewne, że ta Tablica istnieje naprawdę?

- Nie wiem - przyznał Oskar. - Niczego nie mogłem znaleźć na ten temat. Tylko tyle, że alchemik Hermes Trismegistos miał opinię człowieka, który umie przywrócić zmarłych do życia. Ale to nie była prawda, tak samo jak zamiana metalu w złoto...

- No cóż, mogę cię zapewnić, że Hermes Trismegistos istotnie skonstruował taką Tablicę. Chcesz w to uwierzyć?

- Tak - odparł młody Medykus. - Mam do pana zaufanie, chociaż...

- Chociaż co?

Oskar zawahał się przez chwilę, a potem zaryzykował.

- Nawet jeśli od czasu do czasu nie pamięta pan o pewnych sprawach.

Alistair zaczął się cicho śmiać, potem jednak jego twarz znowu zeszywniała.

- Wydaje ci się, że jestem... chory? Myślisz, Oskarze, że zwariowałem?

- Ależ nie! - powiedział szybko Oskar.

- Wiesz, trudno określić, co znaczy szaleństwo. Wszystko zależy od tego, co uznamy za normalne.

- Pana ojciec... - powiedział Oskar, nie wiedząc jednak, jak skończyć to zdanie.

- Nie sądzę, żeby był szalony. Może robił tak samo jak ja: udawał, że nie pamięta czegoś, jeżeli nie chciał, by go o to pytano.

Oskar kiwnął głową bez słowa. Usiadł znowu na wilgotnej ziemi i czekał na to, co powie Alistair. Młody człowiek wydawał się czytać w jego myślach.

- W każdym razie nie zapomniałem tego, co ci powiedziałem na temat Tablicy.

Oskar najchętniej rzuciłby się Alistairowi na szyję, jednak zachowanie tego ostatniego nie zachęcało do takich gestów. Rzucił pytanie, które od dawna krążyło mu po głowie.

- Ale dlaczego tylko pan rozmawia ze mną o tym?

W półmroku panującym w jaskini Alistair popatrzył na chłopca płonącego wzrokiem.

- Przecież to bardzo proste. Jeśli ktoś odnajdzie tę Tablicę i wykorzysta jej cudowną moc przywracania umarłych do życia, do czego jeszcze miałby służyć Zakon Medykusów? Dlatego właśnie nikt nie chce uznać, że Tablica istnieje, Wielki Mistrz ma z tym jeszcze większy problem niż inni. Wszyscy starają się zniechęcić każdego, kto chciałby jej szukać. Ale ja dobrze wiem, że Tablica może mieć dobroczynny wpływ na tych, którzy nie spotkali pewnych osób, to wszystko...

Oskara zdziwiły słowa Alistaira, orientował się jednak, że ma on opinię buntownika i nie przestrzega zasad w takim samym stopniu, co pani Withers czy Maureen Joubert, które zapewne trzymałyby się zawsze co do joty wskazówek pana Brave'a. Pod tym względem Oskar nie mógł zresztą za bardzo pouczać Alistaira...

- A może mają rację? - zreflektował się Alistair. - Być może, gdyby ktoś nadużywał mocy Tablicy, Zakon Medykusów nie miałby już po co istnieć?

- Nie! - krzyknął Oskar. - Nie, to pan ma rację! Tablica mogłaby się okazać bardzo przydatna, a poza tym można by jej przecież użyć tylko raz, a potem już nigdy...

- Wierysz w to, że naprawdę mógłbyś się później powstrzymać? - spytał Alistair.

- Tak - odparł Oskar stanowczo. - Obiecuję to panu. A ja zawsze dotrzymuję danego słowa.

Alistair westchnął ciężko, jakby nagle poczuł się czymś straszliwie zmęczony.

- Cóż, dobrze. Wierzę ci - odparł w końcu. - Mówiłem ci już przedtem, my dwaj jesteśmy w podobnej sytuacji. Ale ty nigdy nie widziałeś swojego ojca, więc jeśli uda nam się znaleźć tę Tablicę i postanowimy użyć jej jeden, jedyny raz, to ty będziesz miał do tego prawo.

Oskar popatrzył na niego z wdzięcznością.

- Jest pan pewien?... To znaczy, naprawdę mógłbym?

- Powiedziałem: będziesz miał pierwszeństwo. Ja także zawsze dotrzymuję słowa.

Oskar z radości rzucił się Alistairowi na szyję, ten jednak uwolnił się z jego objęć, zażenowany. Chłopiec także cofnął się z lekką niechęcią - Alistair miał ciało zimne jak lód.

- Dobrze się pan czuje? - zaniepokoił się chłopiec. - Może jeszcze pan nie wrócił do pełnej formy po tym wypadku...

- Przeciwnie, czuję się świetnie! - odparł niecierpliwie Alistair.

Wstał, zachwiał się lekko i oparł się o ścianę.

- Zbyt gwałtownie się podniosłem - powiedział, uprzedzając jakikolwiek pomocny odruch Oskara.

Chłopiec obserwował go z niepokojem. Poza wszystkim nie chciał, aby Alistair odchodził, nie zdradzając mu żadnych dodatkowych informacji. Kto wie? Być może przy następnym spotkaniu młody człowiek znowu pojawi się w odmiennym nastroju i nie będzie pamiętał ani słowa z dzisiejszej rozmowy! Postanowił wyjaśnić pewne sprawy.

- Czy pan wie, gdzie się znajduje ta Szmaragdowa Tablica?

Alistair wahał się przez chwilę, później podjął decyzję. Zawrócił i wszedł nieco dalej w głąb jaskini. Oskar ruszył za nim. Nachylił się. Stali tak blisko, że młody Medykus czuł niemal oddech Alistaira nad głową. Nie widział go jednak dokładnie.

- Tak i nie - odparł Alistair. - Szmaragdowa Tablica została gdzieś ukryta... gdzieś, w drugim Uniwersum. Jest w jednym z Dwóch Królestw, ale gdzie dokładnie? Nikt nie wie na pewno, a ci, którzy wiedzą, nigdy, przenigdy nie zdradzą tej informacji.

- Wobec tego jak ją znajdziemy? - spytał Oskar, mocno rozczarowany.

- Niedługo znowu ruszysz do Drugiego Królestwa - przypomniał mu Alistair. - Jestem niemal pewien, że to tam właśnie kryje się Tablica. Jeśli to prawda, pomogę ci ją znaleźć.

- Ale... w jaki sposób? Będzie tam pan razem z nami?

- Nie - przyznał Alistair. - Znajdę jednak sposób, żeby ci pomóc, zaufaj mi. Teraz muszę już iść. Ach, i jeszcze jedna sprawa... - dodał, kiedy schylał się już, by wyjść z groty.

Oskar zamienił się w słuch.

- Wszystko to, co tu sobie powiedzieliśmy, musi pozostać między nami, rozumiemy się?

- Tak, oczywiście! - zgodził się pospiesznie chłopiec.

- Nie możesz o tym mówić ani panu Brave'owi, ani pani Withers. W przeciwnym razie możesz zapomnieć o Tablicy... być może nawet obaj będziemy musieli na zawsze zrezygnować z wypraw do wnętrza ludzkiego ciała.

DWA OBRAZY

No i co, naprawdę nie macie ochoty na mały jogurcik? - spytała Celia, potrząsając kubeczkami z jogurtem, który przewidziała na deser.

Oskar i Violette zgodnie pokręcili głowami.

Matka wstała, by zebrać ze stołu nakrycia. Oskar śledził ją wzrokiem. Wydawała się smutna, jej wspaniałe fiołkowe oczy - tej samej barwy, co oczy Violette - przygasły. Po raz pierwszy widział, żeby matka miała potargane włosy, zebrane byle jak pożyczoną od córki gumką, ozdobioną plastikowym melonem. Celia odwróciła głowę i zauważyła, że Oskar się jej przygląda. Przyglądziła ręką potargane włosy. Oskar bez trudu mógł się domyślić, co wprawiło matkę w taki stan. Wydawało się natomiast, że Violette nie zwróciła większej uwagi na awanturę z Barrym. Podśpiewywała i mówiła bez ładu i składu o wszystkim i o niczym, jak zwykle.

- Idźcie do swoich pokoi, odróbcie lekcje, a potem mycie i do łóżka z książką! - zarządziła Celia.

Oskar odczekał, aż Violette wyjdzie z kuchni.

- Mamo, chciałbym ci coś powiedzieć...

Celia odwróciła się i popatrzyła na niego uważnie. Jej syn starał się odnaleźć właściwe słowa i w końcu wydusił z siebie nieco koślawe zdanie.

- Wiesz, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór, tam, w pokoju Violette, z panem Co... to znaczy z Barrym...

Celia westchnęła i odwróciła wzrok.

- Posłuchaj, synku, to chyba nie jest najlepsza chwila, żeby o tym mówić.

- Nie powinienem był... nie powinienem był mówić mu tego, co powiedziałem - wyznał Oskar z trudem.

- Nie mówmy o tym teraz, Oskarze - powiedziała mama stanowczym tonem. - Nie chcę o tym teraz rozmawiać. Zrobimy to później. Jutro.

Oskar kiwnął głową bez słowa.

- Umiesz się przyznać, że zrobiłeś coś złego, doceniam to - powiedziała krótko Celia.
- A teraz idź już na górę, bardzo cię proszę.

Już miał wyjść, matka złapała go jednak za rękaw.

- Na wszelki wypadek, powtórzę raz jeszcze moją radę - połóż się do łóżka z jakąś książką, a nie z peleryną, medalionem i podręcznikiem historii Zakonu Medykusów albo geografii Uniwersów, albo czymś innym w tym rodzaju.

Oskar uśmiechnął się i lekko skrzywił zarazem.

- W najbliższą sobotę ruszamy do Drugiego Królestwa i...

- Nic mnie to nie obchodzi! - ucięła Celia. - To królestwo nie zniknie ani się nie zawali, jeśli przez przypadek nie będziesz o nim rozmyślał przez jeden wieczór w tygodniu. Weź raczej jakąś książkę, którą lubisz i przy której trochę odpoczniesz.

Oskar miał już na sobie piżamę i energicznie szczotkował zęby, myślami był jednak gdzie indziej - przy swojej matce. Miał ochotę porozmawiać o tym gwałtownym wydarzeniu, które przeżyli. Tymczasem Celia ucięła rozmowę. Mimo poczucia winy Oskar uważał, że głównym winowajcą był Barry. Miał do niego żal, to z jego powodu mama się teraz martwiła. Gdyby ten facet umiał zachować się nieco bardziej taktownie i

nie tak brutalnie, Celia nie musiałyby go wyrzucać z domu jak chuligana.

Odsunął od siebie wspomnienie tej przykrew sceny. Teraz najważniejszą rzeczą było przywrócić mamie uśmiech i radość życia. Czy w tym celu powinna poznać innego mężczyznę i zacząć życie od nowa? Gdyby tylko mogła poprzestać na ich małej, trzyosobowej rodzinie, w ich własnym domu, choć popadającym w ruinę... On i Violette nie potrzebowali nikogo innego! A już na pewno nie był im potrzebny żaden idiota, który chciałby zastąpić im ojca. Dlaczego wobec tego mama kogoś szukała? Nie mógł znieść myśli, że on i jego siostra nie wystarczali matce.

Poczuł się zmęczony, starał się zatem odepchnąć od siebie te męczące i trudne rozważania. Wrócił do rozmyślań nad sprawą, o której nie mógł na razie rozmawiać, chociaż od chwili powrotu ze szkoły miał na to wielką ochotę. Była to jego potajemna rozmowa z Alistairem i Szmaragdowa Tablica.

Nagle przed oczami pojawiło mu się rozwiązanie jak rozbłysk jasnego światła, które ktoś zapala w ciemności. Gdyby udało mu się odnaleźć Szmaragdową Tablicę, mógłby rozwiązać wszystkie problemy za jednym zamachem! On spotkałby się z tym, którego nigdy nie widział, a Celia cieszyłaby się powrotem do życia swego męża i mogłaby znowu zaznać miłości, którą utraciła... Nie byłoby już mowy o Barrym, żadnych zmartwień... Wszyscy z pewnością skorzystaliby na tym odkryciu.

Pytanie, jakie zadał Alistairowi na zakończenie rozmowy, pozostawało otwarte - jak znaleźć ową bezcenną Tablicę?

Spojrzał odruchowo na pelerynę Medykusa, rzuconą byle jak na oparciu krzesła. Rozprostował ją starannie i powiesił na wieszaku. Uśmiechnął się. Mama z pewnością zdziwiłaby się, widząc, że poświęca pelerynie tyle uwagi, podczas gdy zazwyczaj jego ubrania bywały porzucane po pokoju, jak gdyby bomba uderzyła w szafę.

Dotknął swojego medalionu, mając nadzieję, że przedmiot związany z Zakonem

Medykusów stanie się jakimś natchnieniem jak magiczny talizman. Jednakże pani Withers często mawiała: „Nie bawimy się w magię, Oskarze. Jesteśmy Medykusami i nasze nadzwyczajne moce powinny być wykorzystywane dla dobra innych ludzi”. Wypuścił z rąk złotą Literę i zajrzał w głąb szafy, sprawdzając, czy jego kuferek z Pasem Trofeów stoi na swoim miejscu i czy jest porządnie zamknięty. Schylił się pod peleryną i uderzył głową o twardy przedmiot ukryty w jej kieszeni. Pomasował się po głowie, złorzecząc, później jednak wyprostował się gwałtownie, jak gdyby ktoś poraził go prądem elektrycznym.

Ściągnął pelerynę z wieszaka i zaczął gorączkowo grzebać z tylnej kieszeni. W końcu triumfalnie wyciągnął książkę.

Jego Grimoire!

Jak mógł o nim zapomnieć? Nie korzystał z niego od ponad roku i zapomniał już o jego wspaniałych możliwościach. Grimoire mógł odpowiedzieć na każde pytanie właściciela, pod warunkiem że dotyczyło ono jego spraw osobistych. Było także ograniczenie ilościowe, właściciel mógł zadać tylko dwa pytania dziennie i nie więcej niż jedno podczas Introdukcji Cieleśnej. Oskar rzucił się na łóżko na antresoli. Zerknął na drzwi - były uchylone, nie miał jednak dosyć cierpliwości, by znowu zejść na dół i je zamknąć. Wcisnął się jak najgłębiej w kąt, kryjąc się przed niepowołanymi spojrzeniami. Położył Grimoire'a obok siebie na prześcieradle.

Dotknął okładki z zielonego aksamitu, przejechał palcami po haftowanej literze M, tymczasem w pamięci pojawiły się słowa odpowiedniego zaklęcia. Był to niezmienny rytuał. Zauważył z radością, że niczego nie zapomniał, chociaż przez wiele miesięcy Grimoire milczał jak głaz, zgodnie z wolą kalendarza Trofeów. Otworzył książkę, ukazała się jej jedyna, niepokalanie biała stronica. Bez cienia wahania Oskar wyrecytował uświęconą formułę:

Grimoirze,

Jeśli pamięć zasnę masz,

Odpowiedz mi, póki czas,

Pozwól wierzyć ci szczerze

I odpowiedź daj na papierze.

Kartka zadrżała i Oskar domyślił się, że może kontynuować. Ku jego największej radości Grimoire zgadzał się odpowiedzieć na jego pytanie. Położył lewą rękę na białej kartce. „To ręka wiedzy, Oskarze - powiedziała mu kiedyś pani Withers. - Prawa ręka jest ręką związaną z działaniem i władzą”. Następnie zadał pytanie:

- Grimoirze, muszę za wszelką cenę odnaleźć Szmaragdową Tablicę. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie się ona znajduje?

Ukazały się słowa pisane piórem o cienkiej stalówce, zielonym atramentem.

- Mogę odpowiadać tylko na takie pytania, które cię bezpośrednio dotyczą, Oskarze Pillu.

- Ale to mnie bezpośrednio dotyczy! Wyruszam na poszukiwania, musisz mi pomóc!

Słowa zniknęły i kartka znowu była śnieżnobiała. Oskar wstrzymał oddech. Po kilku długich chwilach pojawiło się na niej coś w rodzaju ramek, a wewnątrz obraz, początkowo dosyć mglisty, potem coraz ostrzejszy.

Oskar pochylił się nad nim z bijącym sercem i przyjrzał się uważnie.

Dostrzegł faliste kształty, jakby kręgi na wodzie, widziane z lotu ptaka. Słysząc było charakterystyczny odgłos wiejącego wiatru, gwałtownego wichru dmącego raz w jedną, raz w drugą stronę. Później kamera jakby się zniżyła i rozpoznał fale na powierzchni morza lub oceanu. Wszystkie rozchodziły się kolistnie od punktu, jak gdyby ktoś wrzucił kamień w sam środek olbrzymiego, gładkiego stawu. Kamera podniosła się nieco i Oskar przez chwilę widział gigantyczny most łączący brzeg z miastem króla Eola. W tym momencie poczuł, jakby zjeżdżał wraz z kamerą w dół, prosto w stronę wody, zanurzając się w czerwoną głębinę. Cała kartka była zachlapana.

Oskarowi wydawało się teraz, że nurkuje w niemal całkowitej ciszy. Wokół pływały Kapsuły, Prote & Ny i tysiące innych dziwacznych stworów, a między nimi widać było w oddali ciemniejszą plamę. Była zamazana, kamera to zbliżała się do niej, to znowu oddalała, toteż trudno było określić jej wielkość.

- Co to ma znaczyć? - mruknął zaniepokojony Oskar. - Będę musiał nurkować, żeby odnaleźć Tablicę?

Kiedy to powiedział, obraz zniknął. Chłopiec ścisnął kurczowo książkę obiema dłońmi.

- Nie, zaczekaj! Grimoirze, mój Grimoirze, wracaj! Nie zrozumiałem jeszcze, gdzie mam się właściwie udać! Ja...

Urwał. Pojawił się kolejny obraz. Tym razem Oskar bez trudu rozpoznał miejsce: biała przestrzeń, stoły, skrawek czarnej sukni i cichnący, dobrze znany głos. Potem szereg szklanych drzwi, za którymi mężczyźni i kobiety w ochronnych fartuchach manipulowali dziwnymi przedmiotami. To była jednostka PALOMA. Kamera posuwała się jakby w głąb pomieszczenia, w stronę ostatniego boksu eksperymentalnego. Drzwi

były uchylone i Oskar rozpoznał mężczyznę, który stał w środku. To był Hugo. Za nim widać było jakąś ciemnoczerwoną masę. Ta wizja trwała zaledwie chwilę - Hugo rzucił się, by zamknąć drzwi, i obraz zniknął z powierzchni kartki.

Oskar zamknął Grimoire'a i oparł się o ścianę z zamkniętymi oczami. A zatem taką dostał odpowiedź. Była jak zawsze bardzo zagadkowa i wymagała czasu oraz dystansu, aby zrozumieć jej ukryte znaczenie. Dzisiaj jednak wydawało mu się, że pojął więcej, przynajmniej częściowo. Wiedział, gdzie ma się udać, by szukać Szmaragdowej Tablicy. Obrazy z jednostki PALOMA były za to nieco zaskakujące. Trudno mu było powiązać je z Tablicą.

- Ja też chciałabym mieć taką książkę, z którą można rozmawiać! Gdzie ją znalazłeś?

Oskar podskoczył i wsunął Grimoire'a pod poduszkę. Na drabince przy jego łóżku stała Violette i niecierpliwie czekała na odpowiedź.

Celia zawsze prosiła syna, by możliwie jak najmniej opowiadał siostrze o sprawach związanych z Medykusami. Violette była wyjątkowo roztargniona i łatwo było nią manipulować. Zapewne bez protestu zdradziłaby ten tak pilnie strzeżony sekret każdemu, kto by tego chciał. Tymczasem nie wydawała się w najmniejszym stopniu zaskoczona tym, co zobaczyła. Była dziwną dziewczyną, najbardziej niesłychane przedmioty czy zdarzenia ani trochę jej nie dziwiły. I tak zwykle okazywały się dużo bardziej normalne niż to, co sama wymyślała.

- Mógłbyś załatwić dla mnie taką książkę?

- Nie, eee... to właściwie nie jest książka, tylko... tylko odtwarzacz DVD. Położyłem go na książce. No więc... tak, to mój odtwarzacz DVD.

Violette, nieco zdziwiona, oparła się łokciami na materacu.

- To dziwne, miałam wrażenie, że pytasz go o coś, a on ci odpowiada. A ten twój odtwarzacz DVD rozmawia z tobą? Widzisz, bardzo lubię takie przedmioty, które rozmawiają - ciągnęła z szerokim uśmiechem. - Takie, które mówią, odpowiadają na pytania, wiesz? Ja często mówię coś do różnych przedmiotów, ale one rzadko mi odpowiadają...

Miała prawdziwie nieszczęśliwą minę.

- Tak, wiem, o co ci chodzi - powiedział Oskar. - Jeśli tylko znajdę taką książkę, na pewno wezmę jedną dla ciebie, nie martw się. Ale nie warto, żebyś mówiła o tym mamie - trudno by jej było to zrozumieć.

- Wiem! - powiedziała Violette, zadowolona, że mogła z nim chwilę porozmawiać i podzielić się swoimi wrażeniami.

Zeszła już po drabince i miała wyjść z pokoju, zatrzymała się jednak.

- Mama nie śmieje się teraz zbyt często - powiedziała cicho. - Szkoda, prawda?

Zawahała się, a potem ciągnęła dalej.

- Może to dlatego, że teraz to nam jest trudno ją zrozumieć?

- Nie martw się - powiedział Oskar. - Sprawimy jej wielką przyjemność.

- W jaki sposób? I kiedy?

Pogłaskał zielony aksamit okładki Grimoire'a.

- Niedługo.

SPISEK WŚRÓD GAŁĘZI

Pomyśl tylko! - powiedziała Valentine z uwodzicielskim uśmiechem. - Jeśli zdołasz je dorobić, będziemy mieli otwarte drzwi do wolności! Potrzebujemy tego, Lawrence, nie możesz odmówić. Po prostu nie możesz!

- Chcesz zobaczyć, jak się odmawia? Mówi się: NIE.

Valentine tkwiła uparcie tuż przed nim. Wzniosła oczy do nieba. Lawrence stał wyprostowany na środku swojego pokoju, z założonymi rękami. W prawej dłoni ugniatał nerwowo jakąś dziwną masę własnej produkcji.

- Posłuchaj - spróbowała po raz kolejny Valentine. - Sam często mówisz, że czujesz się tutaj nieco stłamszony...

- Poprawka. Czuję się stłamszony, kiedy ty chcesz mnie koniecznie do czegoś zmusić. To nie to samo.

- Ja? Zmuszam cię do czegoś? Ależ ja jestem aniołem!

- Skoro tak, to nie mam ochoty iść do nieba...

- Ach, twoje imię świetnie do ciebie pasuje. Jesteś sztywny jak paragraf!5 No dobrze, niech ci będzie! Zdarza się, że się przy czymś upieram, ale zawsze dla naszego dobra! A poza tym to bardzo proste: mam klucz do drzwi kuchennych, które wychodzą na ogród. Masz tę genialną masę, która pozwala zrobić drugi, taki sam. I gdzie tu widzisz problem? Jeśli coś ci się nie podoba, jeżeli masz mieć nieczyste sumienie, to pragnę cię uspokoić - ty tylko dorobisz klucz, a ja będę go przechowywać! - zapewniła.

Nagle usłyszeli dziwny dźwięk, coś uderzyło w szybę, oboje aż podskoczyli. Lawrence zbladł, obrócił się dookoła własnej osi, ogarnęła go panika. Nie mając lepszego pomysłu, co zrobić z masą, wsadził ją do ust.

- Co ty wyprawiasz? - zawołała zszokowana Valentine. - Oszalałeś?

- Żjadam dowód przestępstwa! - oświadczył Lawrence, żując masę możliwie najbardziej energicznie. - W ten sposób nie będzie szladu po naszej zdradzie!

- Przecież nikogo nie zdradziliśmy! - krzyknęła Valentine, zmuszając Lawrence'a, by otworzył usta i wypuł cenną substancję. - Wyjmij to natychmiast, Lawrence! Zatrujesz się!

Uderzyła ze wszystkich sił w plecy chłopca, który o mało się nie przewrócił.

- Przestań! - wrzasnął i wypuł nieszczęsną masę, która okazała się nieznośnie gorzka. - Nie zjadłem jej przecież! Ma zresztą tak obrzydliwy smak, że nie da się jej połknąć - dodał, okropnie się wykrzywiając. - Trudno, wolę już raczej iść do więzienia.

Po drugiej stronie okna hałas nasilił się, ktoś zastukał mocniej w szybę.

- Tak, do więzienia, akurat! - powiedziała Valentine, nie zwracając uwagi na odgłosy za oknem. - Mówisz bzdury. W najgorszym wypadku pan Brave odeśle cię ciupasem z powrotem do Hepatolii - dodała, drażniąc się z nim nieco.

Lawrence otworzył szeroko oczy.

- Odeśle mnie do Hepatolii? - spytał załamany, odkładając pastę na biurko, pełnym obrzydzenia ruchem. - Ale dlaczego miałby mnie odsyłać? Przecież nie zrobiłem niczego złego! Ja...

Tym razem nie mógł nawet dokończyć swojej żałobnej przemowy. Ktoś walił w okno jak w pusty bęben. Odwrócili się oboje, przerywając rozmowę. Bez większego trudu rozpoznali rozplaszczoną na szybie twarz i oboje rzucili się, by otworzyć okno.

- Oskar! Ale... co ty robisz na czubku Zizou? - spytała Valentine, zdziwiona i zadowolona jednocześnie.

Młody Medykus, chwiejąc się na jednej z najwyższych gałęzi dębu, odpowiedział cicho:

- Nikt nie musi wiedzieć, że tu jestem. Poza tym chciałem uniknąć szpiegowania, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

- Bonesa nie ma! - powiedział szybko Lawrence, jak zwykle dobrze poinformowany o wszystkim. Znał rozkład zajęć każdego mieszkańca domu. - Jest siedemnasta, zawsze o tej porze wychodzi na te swoje tajemnicze zakupy. Może wejdiesz do środka? Kręci mi się w głowie, gdy na ciebie patrzę...

- Wolałbym, żebyście wyszli tu do mnie - powiedział Oskar, tymczasem Zizou wyciągnął w ich kierunku grubą gałąź, na której oboje mogli się wygodnie usadowić.

Nie wahali się nawet przez chwilę - Valentine skoczyła w ciemno, licząc na to, że gałęzie dębu okażą się zwinne i uważne jak zwykle. Lawrence wyszedł za nią, zachowując nieco większą ostrożność.

Dąb otoczył dzieci gęstym listowiem i oddalił się od pięknej posiadłości i od pobliskich okien drugiego piętra, gdzie znajdował się gabinet i prywatne pokoje pana Brave'a. Kiedy drzewo było już w stosownej odległości od domu i pewnie stało na ziemi, rozchyliło gałęzie i dzieci znowu ujrzały światło dzienne.

Młody Medykus opowiedział im wówczas o swoim spotkaniu z Alistairem, a potem o

tajemniczych odkryciach Grimoire'a.

- Rozpoznałem głębię oceaniczną w pobliżu Miasta Mgieł. Ale dlaczego Grimoire pokazał mi potem jednostkę PALOMA? Czyżby Tablica znajdowała się w jednym z tych dwóch miejsc?

- A spytałeś go jeszcze raz o to? - chciała wiedzieć Valentine. - Wiesz, co myślę o tych wszystkich książkach... Często mówią po prostu byle co.

Lawrence o mało nie spadł z gałęzi, porażony tym oczywistym bluźnierstwem. Jak ktoś mógł w ten sposób mówić o książkach, które on sam pożerał przecież łączywie, dzień w dzień, w przerwach między odkryciami technologicznymi?

- Sama mówisz byle co! - odpalił. - Możesz być pewna, że książki są równie dobrego zdania o tobie. Nie zostaliście stworzeni do bliskiej przyjaźni, nie da się ukryć.

- Zadałem mu znowu to samo pytanie wczoraj i dzisiaj - powiedział Oskar.

- I co?

- Cały czas daję tę samą odpowiedź. Wczoraj wieczorem spróbowałem ostatni raz i Grimoire trochę się nawet wkurzył. Odpisał mi wielkimi literami: „Już odpowiedziałem na to pytanie!”.

- Pomimo to - wtrącił się Lawrence - jego odpowiedź wydaje mi się dość jasna i zrozumiała.

Valentine wyciągnęła się na gałęzi i wlepiła wzrok w chmury.

- Może byś nam to nieco przybliżył, Einsteinie. Bo wiesz, my trochę wolniej myślimy...

- Ależ tak, wiem - odparł Lawrence z uśmiechem pełnym satysfakcji. - Wiem. Będę wam tłumaczył powoli co i jak.

- Jak się nie pośpieszysz, zmuszę cię do zjedzenia pysznej masy do robienia kluczy!

Lawrence zastanowił się przez chwilę, zanim przystąpił do rzeczy.

- Dlaczego zostałeś zawieszony do jednostki PALOMA, Oskarze?

- Już wam mówiłem. Paloma przekazała mi torbę z bronią, żeby móc się lepiej obronić w czasie wypraw do drugiego Uniwersum.

- W takim razie wydaje mi się, że moje przypuszczenia są niemal na pewno słuszne - powiedział Lawrence. - Podsumujmy. Chyba dobrze zrozumiałeś pierwsze obrazy: Grimoire chciał ci przekazać, że Tablicy należy szukać w jednym z Dwóch Królestw, w głębinach oceanu Pompey. Jeśli zaś chodzi o jednostkę PALOMA, nie w tym rzecz, że masz tam szukać Tablicy, tylko broni, która pozwoli ci ją znaleźć!

Oskar przywołał raz jeszcze wspomniane obrazy. Pokazywały głównie ostatni boks eksperymentalny. Czyżby chodziło o tę słynną broń, o której Paloma zabroniła mu myśleć?

- Podsumowując, Tablica jest na dnie morza, ale zanim spróbujesz do niej dotrzeć, musisz wpaść do wieży Eiffla.

- Jeśli masz rację, Lawrence, muszę się absolutnie postarać, żeby wyruszyć na wyprawę do Drugiego Królestwa przed innymi. Jeśli pójdę z całą grupą, nie będę miał okazji szukać Tablicy i nie znajdę jej.

- Zwłaszcza jeżeli Moss depte ci ciągle po piętach... - przyznała Valentine.

- Chcesz iść sam na wyprawę? - zapytał zaniepokojony Lawrence. - To niebezpieczne! Nie znasz nikogo w tym Drugim Królestwie, nie będziesz wiedział, jak się poruszać. Nie możesz tego zrobić...

- Ale kto powiedział, że Oskar pójdzie sam? Ja z nim pójdę! - zawołała Valentine, uszczęśliwiona, że ma okazję wyjść z domu. - Możesz zostać, jeśli chcesz!

Lawrence wzruszył ramionami.

- Nie gadaj głupot. Potrzebujecie mnie, nie mam sumienia puszczać was samopas.

- Jasne, ty nasza chodząca biblioteko! No już, przyznaj się, że umierasz z chęci, żeby się z nami wybrać!

Chłopiec uśmiechnął się.

- Owszem, nie da się ukryć. Poza tym przecież jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Oskarze, prawda? Nie takie rzeczy już przeżyliśmy razem rok temu!

- Doskonale, postanowione, idziemy z tobą - oznajmiła Valentine, bawiąc się jednym ze swoich kucyków. - Ale zaczekaj - dorzuciła niezbyt pewnym głosem. - Myślisz, że Paloma powierzy ci tę broń, mimo że odmówiła ci jej tydzień temu?

- Zdziwiłoby mnie to - przyznał Oskar. - Będzie trzeba zabrać ją bez jej pozwolenia...

- Co? Bez pozwolenia? Ależ...

- No nie, nie będziesz nam tu robił takich scen, za każdym razem, kiedy nie trzymamy się w stu procentach rozkładu zajęć czy łamiemy zakazy! - zdenerwowała się Valentine.

- Tak czy inaczej, muszę mieć tę broń. Jest mi potrzebna do zdobycia Tablicy, a Tablica jest mi niezbędna - powiedział stanowczo młody Medykus.

- A jak zamierzasz się do tego zabrać? - spytał Lawrence, który pomalu przyzwyczajał się do niezgodnych z prawem wyskoków swoich przyjaciół. Wiedział przede wszystkim, że nie warto im się przeciwstawiać.

- Jak? Nie mam żadnego pomysłu. Ale wiem, kto się nad tym zacznie od jutra zastanawiać... i kto to zaplanuje najlepiej na świecie - powiedział Oskar z lekkim uśmiechem.

W tej samej chwili liście Zizou gwałtownie go zasłoniły, a gałąź, na której siedzieli Lawrence i Valentine, zjechała w dół.

- Hej, Zizou, co robisz! - zawołała Valentine. - Jeszcze nie skończyliśmy!

- Robi to, o co się go poprosi. Przynajmniej od czasu do czasu - powiedział Bones, który czekał na nich u stóp dębu. - Czy mógłbym wiedzieć, co wy tu w najlepsze kombinujecie?

Dzieci spojrzały na siebie.

- No więc... - zaczął Lawrence. - Cóż, chcieliśmy zażyć świeżego powietrza, drogi panie Bones. Tak. Wieczorami jest strasznie duszno w tych pokojach na piętrze. Tymczasem nigdzie nie jest tak przyjemnie zażywać świeżego powietrza jak na gałęzi. Zupełnie, jak... jak ptaszki!

Valentine zerknęła na niego z boku.

- Co to za historia z ptaszkami? - mruknęła przez zęby, gdy tymczasem Bones stał z

półprzymkniętymi oczami i przeżuwał sielską opowiastkę chłopca.

- Nie mam pojęcia, coś musiałem powiedzieć! Miałaś coś lepszego? - szepnął Lawrence.

Bones westchnął i popchnął obydwójce w stronę Cumides Circle.

- No cóż, wracajcie zatem do gniazdk. A na przyszłość chciałbym wam zasugerować, iż istnieje dużo prostszy i bardziej praktyczny sposób wychodzenia na dwór. Ludzie nazywają to drzwiami.

Bones zatrzymał się na chwilę i zrobił olbrzymi wysiłek, otwierając szerzej oczy i patrząc na wierzchołek drzewa.

- I dotyczy to absolutnie wszystkich zainteresowanych! - powiedział niesłuchanie głośno, co wstrząsnęło Valentine i Lawrence'em.

Valentine zerknęła na mocno speszzonego Lawrence'a, potem wzruszyła ramionami i podeszła do majordomusa.

- Zawsze mnie pan zaskakuje, Bones. Wiedział pan o tym?

- Cóż, bardzo na to liczę! - odparł Bones, z lekkim uśmiechem na ustach, który wydawał się tym bardziej wstrząsający, że pojawiał się niezwykle rzadko.

CISZA, AKCJA!

Bentley sunął bezszelestnie, w końcu zwolnił. Wydawało się, że silnik w ogóle nie pracuje. Samochód ślizgał się po jezdni jak po powierzchni wody.

Zatrzymał się przed budką strażniczą. Przyciemniona szyba opuściła się o kilka centymetrów i dłoń w rękawiczce wysunęła się, trzymając przepustkę. Strażnik pochylił się i zagadnął życzliwie:

- No proszę, Jerry, chyba jeszcze nigdy dotąd tak często nie bywałeś w Monument District! Drugi raz w tym tygodniu! Jak leci?

- Pyszna kanapka w wykonaniu Jerry'ego to naprawdę coś! - odpowiedział szofer tubalnym głosem.

Strażnik zmarszczył brwi, nieco zdziwiony.

- Eee, cóż, nigdy ich nie próbowałem, ale wierzę ci na słowo! Wszystko w porządku?
- schylił się jeszcze bardziej, pragnąc dostrzec cokolwiek przez szparkę nad opuszczoną lekko szybą. - Jesteś głodny? Ty, mąż kucharki? Prawdziwy koniec świata!

Wybuchnął głośnym śmiechem. Szofer pomachał ręką zamiast odpowiedzi i zamknął okno. Strażnik lekko się zawahał, zaskoczony tą reakcją, później jednak podniósł szlaban i limuzyna wjechała na teren Monument District.

Siedzący na miejscu Jerry'ego, tonący w jego zbyt wielkim płaszczu Lawrence pocił się jak mysz, czapka spadała mu na oczy. Jego skóra, zwykle w kolorze bursztynu, przybrała odcień jasnożółty, a miejscami wręcz zielonkawy.

- Zwolnij - powiedział drżącym głosem. - Zwolnij!

- Trzymaj mocno kierownicę i mów mi tylko, co widzisz przed sobą, resztą się nie zajmuj. Znam ten samochód, jakbym go sama zrobiła! - szepnęła Valentine, skulona u jego stóp, przy siedzeniu, z rękami opartymi na pedałach gazu i sprzęgła. - I brawo, dałeś niezły numer z tą kanapką! Co ci przyszło do głowy?

- Co mi przyszło do głowy, dobre sobie... Zabawna jesteś! - odparł Lawrence, chowając nerwowo swoją małą empetrójkę i słuchawki do kieszeni. - Tylko to miałem tu nagrane! Myślisz może, że cały swój czas poświęcam na nagrywanie głosu Jerry'ego?

- Daj spokój, marudzisz, odkąd ruszyliśmy spod domu, trudno to znieść...

- Nie marudzę - poprawił ją Lawrence. - Ja tylko umieram ze strachu!

- Eee tam, nie przesadzaj! - powiedziała Valentine, klepiąc go po kolanie. - Wydaje ci się, że się boisz, ale jesteś po prostu tylko trochę nerwowy i tyle!

- Dlaczego właściwie miałbym się denerwować? W oczach ludzi ze świata zewnętrznego mamy około dwunastu, trzynastu lat, prowadzimy właśnie piękną limuzynę, którą pożyczaliśmy sobie bez wiedzy właściciela... Musieliśmy chyba oszaleć, żeby tu przyjechać! - powtórzył po raz dziesiąty Lawrence, rozglądając się na wszystkie strony, święcie przekonany, że policja już jest na ich tropie i pojawi się dosłownie za moment.

- Oszaleliśmy? Wcale nie - zaprotestowała Valentine. - Jesteśmy po prostu pomysłowi! No i co, nie przydał się ten pomysł, żeby dorobić dodatkowe klucze do drzwi kuchennych, które wychodzą na taras, i do tych od garażu? Ktoś mi może raczy podziękować?

- Jeśli nas złapią, wrócimy w te pędy do świata wewnętrznego i będziesz mogła podziękować twoim siostram i braciom! Dwa miliony trzystu trzydziestu jeden twoich kuzynów będzie ci szukało pracy, o ile oczywiście będą tak uprzejmi... A jeżeli Jerry będzie potrzebował samochodu? Pomyślałaś o tym chociaż przez moment?

- Pan Brave wyjechał do Nowego Jorku na cały dzień i Jerry ma wolne.

- Śnię chyba - powiedział Lawrence, ocierając sobie twarz rękawem płaszcza. - Z pewnością śnię, to nie może być prawda! A raczej to koszmar i za chwilę się obudzę.

- Cicho bądź i obserwuj drogę, bo jeszcze ściągniesz na nas nieszczęście! Co tam teraz widać?

- Mijamy Tadż Mahal... Zwolnij, muszę sprawdzić trasę na tym planie, który Oskar dał nam wczoraj! Dobrze, już mam, to tu! Jesteśmy już całkiem blisko.

Rzucił okiem we wsteczne lusterko.

- Trzymacie się tam z tyłu?

Ujrzał trzy w miarę spokojne twarze. Trzy głowy kiwnęły potakująco w milczeniu.

Popatrzył w dół na swoją współniczkę.

- No to ruszamy! - rzuciła Valentine, nieprzytomna z emocji.

Nacisnęła gaz i samochód ruszył szybciej, aż do skrzyżowania, przy którym stała CN Tower z Toronto, po przeciwnej zaś stronie - dokładna replika pałacu w Wersalu. Przejechali obok paryskiej katedry Notre Dame, minęli operę z Sydney i fragment chińskiego Wielkiego Muru. W końcu dostrzegli nieco w głębi koronkową, żelazną konstrukcję, w której mieściła się siedziba sióstr Withers.

Kiedy minęli budkę strażniczą, za kierownicą usiadła Valentine. Próbowwała teraz wykręcić, by zaparkować u stóp gigantycznej wieży. Wyłączyła silnik i odwróciła się do reszty towarzystwa.

- Jesteśmy na miejscu. Teraz kolej na was, przyjaciele!

Trzej pasażerowie wysiedli z samochodu, a ich zaimprovizowany szofer opuścił szybę.

- Jest siedemnasta trzydzieści - rzuciła Valentine poważnym tonem, niczym bohaterka filmu szpiegowskiego. - Macie pół godziny, bo później zaczną się korki, a musimy koniecznie być z powrotem przed dziewiętnastą.

- Będziemy z powrotem przed upływem pół godziny! - powiedział pewnym siebie głosem najmniejszy z trójki.

Ruszył w kierunku północnej podpory wieży, otoczony swoimi kompanami, odwrócił się jeszcze po kilku krokach.

- Do zobaczenia niebawem, maleńka! - rzucił z przesadnym, sycylijskim akcentem.

Valentine uśmiechnęła się.

- Jestem od ciebie wyższa... No, życzę wam powodzenia i do zobaczenia! Nie dajcie się złapać!

Fifties miała zaledwie czas, by zamotać swoją bluzkę tuż nad pępkiem i pobiec w kierunku windy - o ile można mówić o biegu w butach na piętnastocentymetrowych obcasach - kiedy dzwonek znowu zadzwonił, tym razem bardziej natarczywie. Otworzyła drzwi przy dźwiękach My Heart Belongs to Daddy Marilyn Monroe i jej oczom ukazał się przedziwny widok. Zobaczyła trzy uśmiechnięte, nieruchome osoby.

Pośrodku stał najniższy chłopiec, w kapeluszu borsalino, owinięty prochowcem, przewiązany w talii paskiem. Wyglądał jak policjant z Chicago, z lat trzydziestych. Chłopiec próbował coś powiedzieć, mimo że w zębach ścisnął olbrzymie cygaro. Po

jednej jego stronie stał dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony chłopak w trampkach; wydawał się zupełnie wyluzowany, trzymał ręce w kieszeniach dżinsów. Po drugiej - szczupła, wysoka dziewczynka, której rude włosy zwinięte były w coś w rodzaju koka. Miała na sobie powiewną suknię, o trzy numery za dużą, i buty na obcasach, w których z trudnością utrzymywała równowagę. Każde z nich wydawało się żywcem wzięte z komiksu.

Fifties także się do nich uśmiechnęła, chociaż nie rozumiała ani słowa z tego, co do niej mówił ten mały z cygarem w ustach. Często jej się zresztą zdarzało uśmiechać, mimo że niczego nie rozumiała, nie przyszło jej to zatem z trudnością. Zatrzepotała przy tym niesłychanie wdzięcznie sztucznymi rzęsami. Chłopiec w prochowcu wyjął na chwilę z ust cygaro i to, co mówił, nagle stało się mniej więcej zrozumiałe.

- Czy to miss Pinup? - spytał.

- Ależ tak, to ja! - zawołała dziewczyna, jak gdyby właśnie się dowiedziała, że wygrała w totolotka. - Czy my się znamy?

Chłopiec włożył z powrotem cygaro do ust.

- A właściwie miszsz Fiftieszsz Pinup?

- Przepraszam, co mówisz?

- On chciał powiedzieć „A właściwie miss Fifties Pinup” - przetłumaczyła rudowłosa dziewczynka. - Zabawne, wie nawet jak pani ma na imię!

Zwróciła się do chłopca.

- To ty naprawdę ją znasz?...

Chłopiec szturchnął ją dyskretnie łokciem, wyjął z ust cygaro i schował je do wewnętrznej kieszeni swojego prochowca.

- Doskonała jest! - stwierdził, oglądając Fifties od stóp do głów. - Absolutnie doskonała. Takiej nam trzeba!

Drągal w trampkach pokiwał tylko potakująco głową, a rudowłosa dziewczynka klasnęła w dłonie, zachwycona.

- Ależ tak, miss Pinup, pani jest doskonała! On właśnie takiej osoby potrzebuje!

Fifties coraz mniej rozumiała, o co właściwie chodzi i czego od niej chcą, coraz głośniej też chichotała.

- Ja? - spytała, zaskoczona i wniebowzięta. - Ależ to cudownie! Tylko... o co chodzi?

Chłopiec w środku, który wydawał się szefem tej dziwnej grupki, wziął sprawy w swoje ręce.

- Musimy porozmawiać, miss Pinup. Proszę, chodźmy - powiedział, odsuwając ją łagodnie i wchodząc do środka. - Usiądźmy gdzieś na chwilkę. Całkiem tu u was miło.

Wszyscy weszli do środka i Fifties natychmiast włączyła swoją tradycyjną płytę: „Jest mi niezwykle wprost miło powitać was we wspaniaaałej siedzibie pani Palomy Withers, bla, bla, bla... ”.

Szef grupy przerwał jej jednym ruchem dłoni i popchnął ją w stronę windy.

- Tak, tak, wiemy, oczywiście. Dziękujemy bardzo. Proszę posłuchać, Fifties, mam dla pani wspaniałą wiadomość. Oto stoją przed panią Jerrrrremio i Barrrtolomeo Corrrrmaleone, żywe legendy kina amerykańskiego.

- Sycylijskiego! - upomniała go szeptem rudowłosa, zaniepokojona zmianą w scenariuszu, który poznała w czasie, kiedy jechali na miejsce. - Ustaliliśmy przecież, że to miało być kino sycylijskie, prawda?

- Ma si, si! - poprawił się chłopiec. - Jesteśmy żyjącymi legendami kina sycylijskiego... Jednak odnieśliśmy też nieprawdopodobny sukces w Ameryce, rzecz jasna - dorzucił, posyłając znaczące spojrzenie rudowłosej. - No cóż, Fifties, ma pani ogromne, ogromne szczęście!

- O, bardzo mi miło, naprawdę! - powiedziała dziewczyna, szczerze zadowolona.

- A wie pani dlaczego? - zaryzykował młodzieniec w kapeluszu.

- Nie - przyznała. - Ale to i tak niezwykle miło z waszej strony.

- To coś więcej, oferujemy pani szansę jedną na milion!

Fifties aż się cofnęła z wrażenia.

- Na milion? Ach, nie może być!

- Może pani być zupełnie spokojna, za chwilę wszystko pani zrozumie! - powiedział „producent”, który ze swojej strony zaczynał już w to mocno wątpić. - Właśnie jesteśmy w trakcie produkcji filmu i proszę sobie wyobrazić, że brakuje nam aktorki, grającej główną rolę. No i niech pani zgadnie, o kim nam wspomniano?...

Mina Fifties świadczyła o tym, że dziewczyna za wszelką cenę próbuje się domyślić, bez skutku jednak. Człowiek z branży filmowej postanowił nieco jej pomóc.

- Wspomniano nam o pani, Fifties - oznajmił. - O pani! Niech pani sobie tylko

wyobrazili ten zbieg okoliczności! Szukamy aktorki i akurat ktoś mówi nam właśnie o pani!

Rudowłosa dziewczyna zaniepokoiła się i pochyliła się dyskretnie w stronę barczystego chłopaka.

- Naprawdę kogoś straciliśmy, Barth?

- Nie, Violette - uspokoił ją łagodnie. - Szukamy aktorki, ponieważ jeszcze jej nie znaleźliśmy, a nie dlatego, że ją straciliśmy. Wiesz, to cały czas ta sama historia, którą sobie wymyśliliśmy w samochodzie, razem z Valentine i Lawrence'em. To taka zabawa, ale nie wolno o tym teraz mówić, pamiętasz?

- O, to dobrze, bo już się wystraszyłam! - westchnęła improwizowana asystentka. I dodała głośno:

- W każdym razie wydaje mi się, że doskonale się pani nadaje do tej roli, miss Fifties!

- Ależ to wspaniale się składa! - powiedziała Fifties. - Naprawdę myślicie, że będę mogła zagrać w jakimś filmie?...

- Oczywiście! - odparła Violette, wzruszona faktem, że Fifties tak bardzo się przejęła.
- Przecież Jeremy... eee, to znaczy Jeremie obiecuje to pani!

Jeremy kiwnął głową. Na razie wszystko szło jak po maśle. Wbrew jego obawom, nawet Violette nie strzeliła żadnej gafy - albo prawie żadnej. A przecież wiadomo było, że w całej dzielnicy Babylon Heights nie było bardziej nieprzytomnej osoby niż ona. Jednak Barth bardzo naciskał na to, żeby pojechała z nimi, i jak na razie, radziła sobie całkiem nieźle. Zachowywał jednak czujność. Zbliżała się chwila, żeby wrzucić drugi bieg i ruszyć z kopyta, zanim Violette zdradzi ich podstęp, w jednej z tych swoich dziwacznych akcji.

- Jest pani stworzona do tej roli, żeby się jednak upewnić, musimy zrobić kilka próbnych ujęć. Barrrtolomeo, masz wszystko, co potrzeba?

Barth wyjął z torby, przerzuconej przez ramię, dosyć przestarzałą kamerę wideo - którą znaleźli na jakimś strychu i chcieli niebawem sprzedać w Bazarze Jeremy'ego - i pomachał nią przez chwilę nad głową.

- W studiu dysponujemy oczywiście ultranowoczesnym sprzętem, jednak na zdjęcia próbne zabieramy zwykle coś lżejszego - Jeremy wyjaśnił sytuację Fifties, która przyglądała się kamerze, jakby ta była jakimś egzotycznym stworem. - Potrzebne nam jest teraz miejsce jasne i puste, rozumie pani, o co mi chodzi. Macie tu może coś takiego?

- Oczywiście! - zawołała Fifties. - Możemy pójść do salonu, Palomy nie ma.

Obydwaj chłopcy wymienili spojrzenia pełne ulgi. Bali się spotkać z panią tego domu. Nie dałoby jej się tak łatwo zwieść, jak to zrobili z tą milutką Fifties... Tymczasem Violette była bardzo rozczarowana.

- Jaka szkoda! - powiedziała. - Brat mi mówił, że Paloma jest bardzo zabawna!...

- O, a kim jest pani brat? - zapytała zaintrygowana Fifties.

- To po prostu wielbiciel pani Palomy - pospiesznie wyjaśnił Jeremy, odsuwając Violette do tyłu. - Obejrzał wszystkie filmy z panią Withers...

- Tak? - zdziwiła się Violette. - Ale...

- To na czym stanęliśmy? - wrzasnął Jeremy, chcąc zagłuszyć głos Violette. - Ach tak, salon. Nie, to nie jest najlepszy pomysł, może być za dużo światła albo za wiele mebli jak na nasze potrzeby.

Zbliżył się do Fifties, która, na swoich zawrotnych obcasach, była od niego o dwie głowy wyższa.

- Jest pani bardzo piękna, Fifties, potrzebne nam jest bardzo czyste tło, żeby odpowiednio wydobyć pani urodę. Takie neutralne miejsce, z białymi kafelkami, rozumie pani, co mam na myśli?

- Hm, a może winda?... - spytała Fifties, rozpaczliwie szukając rozwiązania.

Jeremy przewrócił oczami.

- Nie, coś takiego, powiedzmy, co przypomina la... labo...

Fifties aż przymrużyła swoje śliczne oczy, ku rozpaczy Jeremy'ego niezdolna była jednak do ułożenia jakiegokolwiek słowa, które zaczynałoby się od tych dwóch sylab. Barth także westchnął, przepełniony współczuciem. Chętnie by pomógł biednej Fifties, która nie mogła niczego sensownego wymyślić.

- Laboratorium! - odpowiedziała jej Violette, radośnie się uśmiechając.

- To dopiero, doskonała myśl! - zawołał Jeremy. - Że też na to nie wpadłem! Ale podejrzewam, że nie ma tu żadnego laboratorium...

- Ależ jeeeeest! - pisnęła Fifties, przycisnęła obie dłonie do policzków i wydawało się, że nagle olśnił ją ten pomysł. - Jest tu laboratorium, na samym dole!

Zaraz jednak oprzytomniała.

- Ale nie mogę was tam zabrać, to zabronione, zabronione! Nikt nie może tam schodzić bez pozwolenia Palomy!

Jeremy zwrócił się do swoich towarzyszy.

- Trudno! - powiedział rozczarowany. - Jest mi naprawdę bardzo przykro, zwłaszcza jeśli chodzi o panią, Fifties. Kiedy pomyślę, jak pięknie by wyglądała pani cudna twarz na plakacie filmowym, który pojawiłby się na całym świecie...

Pokręcił głową z przygnębioną miną, którą tak świetnie umiał zagrać.

- Co za strata! Żeby nie można było zejść na dwie krótkie minuty do tego laboratorium. To była niesamowita szansa, nie uważacie? Wszystko tak świetnie szło, Fifties otworzyła nam drzwi, okazuje się, że jest tu laboratorium, i paf! Wszystko znika, bo nie możemy zrobić króciutkich zdjęć próbnych... No cóż, trudno - ciągnął, wzdychając ciężko. - Cudowna zapewne kariera, która rozwiewa się jak dym. Idziemy wobec tego. Bartolomeo, chowaj sprzęt...

Violette miała łzy w oczach.

- Ach, tylko nie to, jaka szkoda, kochana miss Fifties! - jęknęła z nieudawanym żalem. - Taka kariera, która rozwiewa się jak dym... Jesteś pewny, Jeremy?

Barth popychał ją w stronę drzwi wyjściowych.

- Jeremio! - szepnął Violette do ucha.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Ale jest mi tak strasznie przykro, nawet jeśli to wszystko nie jest prawdą! To była taka śliczna historia! Jak z jakiejś bajki o wróżkach. I paf! - jak powiedział Jeremy.

- Jeremio - poprawił ją znowu chłopiec.

- Tak, Jeremio.

Rzeczony Jeremio popychał ich w stronę wyjścia, zerkając cały czas na Fifties. Nieszczęsna dziewczyna rzuciła się w ich stronę, by ich zatrzymać.

- Zaczekajcie... Jesteście pewni, że to zajmie dwie minuty, nie więcej?

- Oczywiście że tak! - zapewnił ją Jeremio. - Czekają nas jeszcze zdjęcia, pani rozumie, nie możemy tutaj spędzić całego popołudnia.

- ... i będziemy zachowywać się bardzo dyskretnie? - ciągnęła Fifties.

- Jak gdyby nigdy nic! - zapewnił ją niecny Jeremio. - Nikt się o tym nie dowie, obiecuję!

- Dobrze, chodźcie wobec tego tędy! - zawołała Fifties, obrzucając ich rozjaśnionym wzrokiem.

Pobiegła w stronę windy. Jeremio puścił oko do pozostałych i ruszyli za nią bez wahania.

Drzwi otworzyły się i ujrzeli opustoszałą salę. Jakaś kobieta w fartuchu zajęta była czymś przy swoim stole. Wydawało się, że jest sama i że poza nią w jednostce PALOMA nie ma nikogo innego. Fifties wyszła z windy i rzuciła się w stronę kobiety.

- Witaj, Livio, czy możemy zrobić kilka ujęć? Wiesz, to potrzebne do filmu, zostanę aktorką, nie zajmie nam to wiele czasu i Paloma nie będzie zła, na pewno!

Laborantka odwróciła się i spojrzała zaskoczona na Fifties.

- Fifties, o czym ty mówisz? I co to za ludzie?

Popatrzyła podejrzliwie na troje młodych ludzi. Jeremy rozpiął swój prochowiec, zdjął kapelusz i ruszył naprzód, gdy tymczasem Barth i Violette odciągnęli Fifties w stronę oszklonych drzwi boks, leżącego nieco w głębi laboratorium.

- Witam panią! - powiedział Jeremy. - Jestem Jeremio Cormaleone. Ja... cóż, redaguję gazetkę w szkole z Babylon Heights. Robię reportaż o jednostce PALOMA. Za zgodą pani Palomy Withers, rzecz jasna.

Livia popatrzyła na niego sceptycznie. Odgarnęła na bok długie, ciemne włosy.

- Jesteś pewien, że masz pozwolenie Palomy? Przypomnij mi jak się nazywasz?...

- Oczywiście że mam pozwolenie! Robię to do gazetki...

- ... gazetki szkolnej, tak, wiem, mówiłeś.

- To szkoła specjalna - ciągnął Jeremy, patrząc na kobietę wzrokiem zbitego psa. - Chodzą tam dzieci samotne, maltretowane, czasami porzucone przez bliskich. A nawet nieco psychicznie zwichrowane - dorzucił, zerkając w stronę swoich towarzyszy.

Livia popatrzyła na wysokiego młodzieńca, który trochę chaotycznie manewrował kamerą, i na rudowłosą dziewczynę, kręcącą się wokół niego, z promiennym uśmiechem na ustach. Patrząc na zachowanie tych dwojga, Livia mogła wierzyć Jeremy'emu na słowo - akurat ci uczniowie wyglądali nieco dziwnie.

- A co takiego zamierzacie robić w laboratorium?

- Nic wielkiego, zrobimy kilka zdjęć panny Pinup, w ten sposób dodamy trochę

koloru...

- Jeśli chcecie dodać trochę koloru, wystarczy pokazać na zdjęciu usta Fifties - zasugerowała Livia. - Dobrze, zaczekaj tu chwilę! - powiedziała nieufnie, oddalając się.

Przeszła szybkim krokiem przez laboratorium i otworzyła drzwi do gabinetu. Weszła do środka i podniosła słuchawkę telefonu.

Jeremy od razu zrozumiał, że nie ma ani chwili do stracenia.

Pociągnął za ramię Fifties, która przyjmowała najbardziej nieprawdopodobne pozy, zachęcana jeszcze przez Violette. Ustawił ją przy oszklonych drzwiach. „Ostatni boks, w głębi, po prawej stronie od wyjścia z windy - tłumaczył mu wcześniej Oskar. - Nie możesz się pomylić”.

Jeremy odetchnął głęboko, obserwując drugi kraniec pomieszczenia.

- Na miejsce, Barth, kręcimy! Niech się pani uśmiechnie, Fifties, robimy zdjęcia!

Od chwili, kiedy Fifties otworzyła im drzwi, uśmiechała się właściwie bez przerwy. Trudno by jej było uśmiechnąć się jeszcze szerzej, ale bardzo się starała, rozciągając w uśmiechu świeżo umalowane wargi. Przybrała akurat pozę Marilyn Monroe, opierając ręce o kolana, i ułożyła usta w serduszko, kiedy drzwi do gabinetu zatrzasnęły się. Jeremy opuścił klamkę w dół, boks eksperymentalny był otwarty. Pomógł Fifties wyprostować się, po czym zachęcił ją, by weszła do środka. Za nimi ruszyli Barth, z kamerą przy oku, i Violette, specjalistka od oświetlenia, które dostarczała za pomocą kieszonkowej latarki. Jeremy zamknął bezszelestnie drzwi.

Zabrał Violette latarkę i omiół światłem pomieszczenie.

Zobaczył stół, a na nim kwadratowe pudełko zaokrąglone na wierzchu, z zieloną

pokrywką. Przypominało przedmiot, jaki opisywał Oskar.

Serce zaczęło mu bić z wrażenia i jednocześnie ze zdenerwowania. Byli zatem we właściwym boksie!

- Ale... tu jest trochę za ciemno, prawda? - powiedziała Fifties.

- Ależ skąd, puścimy na panią światło i będzie doskonale! Świetnie panią wyeksponujemy! - odparł Jeremy, świecąc dziewczynie prosto w oczy latarką.

- Ups, nic już nie widzę! - zawołała, oślepiąca.

- To tak specjalnie, żeby się pani przyzwyczaiła do flesza, kiedy już pani będzie w Hollywood!

Barth podszedł dyskretnie do stołu na znak dany przez brata i wyciągnął rękę po cenne pudełko. Odłożył kamerę, otworzył torbę i próbował włożyć tam ów przedmiot, na próżno jednak: pudełko było za duże i nie mieściło się w torbie. Tymczasem Fifties pokuśtykała w stronę stołu, chcąc się o coś oprzeć. Barth ukrył pudełko za plecami, starał się wcisnąć je pod koszulę. W tym celu musiał się prawie całkiem rozpiąć i obnażyć tors.

Jeremy podbiegł i wziął Fifties pod ramię.

- Ale dlaczego?... Przecież jeszcze nawet nie zaczęliśmy? - zapytała.

- Zmieniłem zdanie! - powiedział Jeremy, dając znaki Barthowi i Violette, żeby mu pomogli. - Lepiej jednak będzie, jeśli nakręcimy te zdjęcia na zewnątrz.

- A... mówił pan, że mnie pan wyeksponuje w tej ciemności?

- Och, w jasności też będzie pani bardzo do twarzy! - powiedział Jeremy, otwierając

nerwowo drzwi boks. - No już, już, wychodzimy!

- Mam broń - szepnął Barth. - Możemy już iść.

Jeremy wypchnął ich na zewnątrz, a sam wrócił do boks.

- Co ty kombinujesz? - spytał Barth szeptem. - Pospiesz się, złapią nas w końcu!

- Proszę mi NATYCHMIAST wytłumaczyć, po co ta cała komedia! - zawołał damski głos z drugiego końca laboratorium.

Wysoka, ciemnowłosa, świetnie uczesana kobieta stała przy windzie, z rękami opartymi na biodrach. Ubrana była we wspaniałą, wydekoltowaną suknię z czerwonego jedwabiu. Obok niej stała Livia, młoda kobieta, którą zastali wcześniej w laboratorium, i trzymała ich na muszce, celując w ich stronę medalionem, zaopatrzonym w kryształową soczewkę.

- Jeśli mogę wam dać jakąś radę, moi drodzy reporterzy z nie wiadomo jakiej gazетки, nie ruszajcie się. Ta broń może wypuścić promień, który tnie jak brzytwa.

Fifties, która odzyskała właśnie wzrok po oślepieniu latarką, rzuciła się w stronę Palomy.

- Mam wspaniałą wiadomość, pani Withers! Będę aktorką, zupełnie tak samo jak pani!

- Ja też mam dla ciebie wiadomość! - odparła Paloma wściekłym głosem. - Będziesz mogła od razu poświęcić się karierze aktorskiej, bo ja cię z miejsca zwalniam!... Wy dwoje! Kim jesteście i co tutaj robicie?

Fifties, załamana tym, co właśnie usłyszała, wybuchnęła płaczem i ukryła głowę na

ramieniu Bartha, który z kolei z trudem utrzymywał schowane za plecami pudełko. Violette podeszła bliżej, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźby Livii ani na wściekłe uwagi Palomy.

- Ach, proszę pani! - zawołała, składając dłonie w zachwycie. - Pani jest naprawdę bardzo piękna! Przypomina mi pani bohaterki tych filmów, które ogląda moja mama, zwłaszcza taką jedną contessę, która nie nosiła butów6...

Paloma spuściła wzrok i popatrzyła na swoje stopy. Kiedy Livia do niej zadzwoniła, Paloma przebierała się po raz enty przed wyjściem na miasto, w pośpiechu nie zdążyła założyć pantofli. Zarumieniła się i obciągnęła niżej suknię. Jeszcze nigdy, przenigdy do tej pory nie pokazała się publicznie bez butów na obcasach i nie bardzo jej się podobało, że ktoś zwrócił uwagę na jej bose stopy.

- Cóż, moja mała - odpaliła. - Jeśli masz na myśli Avę, trzeba ci wiedzieć, że była dużo mniej efektowna, niż wszyscy sądzili! Widziałam ją bez makijażu i nie dam sobie wmówić byle czego na jej temat, zapewniam cię! - dodała, tupiąc bosą stopą w płytki posadzki. - Natomiast ja jestem od stóp do głów naturalna!

Livia obserwowwała ją zaskoczona.

- Palomo, wydaje mi się, że Ava Gardner nie pojawiła się w naszym laboratorium, żeby kręcić tu film. Nie sądzisz, że powinniśmy się dowiedzieć, kim są ci młodzi ludzie?

Jeremy, który wstrzymał się z wyjściem z boksu w chwili, kiedy usłyszał rozkaz Livii, teraz nie wahał się już ani chwili dłużej.

- To pani! - zawołał, wpatrując się w Palomę z wielkim entuzjazmem.

- Tak, to ja. A ty, kim jesteś, młody człowieku? - odparła Paloma, nie dając się zwieść.

Jeremy zwrócił się z kolei do Violette i Bartha:

- No to co, jesteście zadowoleni? Zobaczyliście ją? Możemy już wracać do domu?

Wydał głębokie westchnienie ulgi i zaczął dyskretnie popychać Violette w stronę windy.

- Są pani fanami, pani Withers. Wszędzie w domu są rozsiane pani zdjęcia, a nie mówię już, co się dzieje w ich pokojach. Mogłoby się wydawać, że są po prostu wyklejone tapetą z pani twarzą! No i wymyśliłem taką historyjkę, żeby tutaj wejść i panią zobaczyć, inaczej przecież nikt by nas nie wpuścił...

Posłał Palomie swój najbardziej uwodzicielski uśmiech i odwrócił się w stronę dwojga przyjaciół, piorunując ich wzrokiem.

- Tak są zafascynowani pani widokiem, że zupełnie ich zamurowało!...

- O tak, uwielbiam panią! - powiedziała posłusznie Violette. - Nie znam pani wcale, ale uwielbiam panią od pierwszego wejrzenia!

Jeremy przymknął oczy, załamany.

- No dobrze - powiedział. - Wydaje mi się, że chyba nie będziemy dłużej zawracać głowy pani Withers.

Musiał się jednak odwrócić, kiedy usłyszał głos Fifties.

- Ale... to znaczy, że nie przyszlście tutaj dla mnie? I... nie zostanę gwiazdą filmową?

- Ależ oczywiście że tak! - zawołała Violette, której zrobiło się żal dziewczyny. - Przecież Jeremy obiecał to pani! A poza tym, to bardzo proste: jeśli naprawdę chce pani być aktorką, wystarczy, że zrobi pani tak jak ja. Może pani grać w filmie, który się rozgrywa w pani głowie i ogląda go pani sobie w myślach. To świetny sposób, można prawie uwierzyć, że to się dzieje naprawdę! - dodała entuzjastycznie.

Biedna Fifties nie miała jednak tak bujnej wyobraźni jak siostra Oskara. Obawiała się - zupełnie słusznie - że film, odgrywany i oglądany jedynie w jej myślach mógłby nie zyskać światowego rozgłosu. Nie pozostało jej nic innego jak tylko rozszołać się na dobre. Padła Barthowi w ramiona. Chłopiec miał jednak ręce zajęte cennym pudełkiem i nie mógł jej pomóc. Fifties poczuła się porzucona przez wszystkich. Przestała szlochać, złapała się koszuli Bartha, ta zsunęła mu się z ramion i dziewczyna przewróciła się jak długi na podłogę. Jeremy rzucił się bratu na pomoc. Wyjął mu z rąk pudełko i wsunął je szybko pod swój prochowiec jak gdyby nigdy nic. Tymczasem Barth stał na środku laboratorium z gołym torsem. Poczul się nieco zawstydzony, schował ręce do kieszeni i zagryzł wargę.

Paloma zapomniała o bożym świecie. Barth ze swoim wzrostem i muskułami wyglądał na osiemnaście lat. Na widok półnagiego chłopaka Paloma poczuła natychmiast, że musi pokazać się od najlepszej strony. Ruszyła w jego kierunku i przyjęła swoją ulubioną pozycję kobiety fatalnej. Przysiadła na brzegu stołu, odchyliła głowę do tyłu i posłała Barthowi płomienne spojrzenie. Biedny Barth nie wiedział, gdzie się ma podziąć.

- No proszę, czego to ja się dowiaduję! Podobno darzysz mnie podziwem, chłopcze? - powiedziała uwodzicielskim tonem.

- Darzy podziwem? - wtrącił się Jeremy, który przeskoczył nad leżącą Fifties, by skierować Violette i Bartha w stronę wyjścia. - Chyba pani kpi! To jest miłość, ba, wulkan namiętności! Co by pani powiedziała na wspólne zdjęcie?

Livia, która nie straciła zimnej krwi - ani też nie odłożyła swojej broni - stanęła pomiędzy spiskowcami a Palomą.

- Może przedtem rzucę okiem na boks eksperymentalny? - zasugerowała. - Stamtąd wyszli, widziałam - powiedziała w stronę Palomy.

- Ależ owszem, niech pani sprawdzi! - odparła Paloma, nie spuszczać Bartha z oka.
- Ja ich popilnuję.

Livia poklepała po ramieniu biedną Fifties, która nadal jeszcze nie mogła dojść do siebie, i ruszyła w stronę boksu. Otworzyła drzwi i zniknęła w półmroku pomieszczenia. Barth zbladł, Jeremy jednak, niczym niezrażony, nacisnął dyskretnie guzik, ściągający windę. Popchnął swojego brata w stronę Palomy, która złapała go za ramię i trzymała, wbijając paznokcie w skórę.

Tymczasem Livia nie traciła czasu. Weszła do salki, wyjęła długopis, który jednym ruchem zmieniła w kieszonkową latarkę. Omiotła nią całe pomieszczenie i skupiła się na stole. Promień światła nie był zbyt mocny, doskonale jednak widziała pudełko - tajną, zakazaną broń - leżące na tacy.

Wyszła na korytarz.

- Wszystko w porządku! - zawołała do Palomy.

- Ach, tak, doskonale, wobec tego możesz już zmykać, mój mały, widzisz przecież, że przeszkadzasz! - powiedziała niecierpliwie Paloma. - I zabierz ze sobą tę nieszczęsną, pomarszczy się cała, jeśli posiedzi jeszcze trochę na podłodze! Płacze i płacze... Patrzcie tylko, w niczym już nie przypomina rozkosznego kociaka, to raczej jedna wielka powódź tuszu do rzęs!

- Jeśli nie przestanie płakać, może całkiem wyschnąć! - powiedziała zaniepokojona

Violette.

Paloma popatrzyła na nią przez chwilę, a następnie skupiła się na wygodnym ułożeniu głowy na ramieniu Bartha.

W tym momencie nadjechała winda i otworzyły się drzwi. Jeremy wsiadł do środka, trzymając kamerę na ramieniu, pociągnął za sobą Violette. Nacisnął guzik z napisem „parter”.

Barth podskoczył jak gdyby kopnął go prąd.

- Hej, zaraz, poczekajcie na mnie!

- Ale... co robisz? - zawołała zawiedziona Paloma, której głowa zawisła nagle w próżni.

Zamiast odpowiedzi zobaczyła zamykające się drzwi do windy.

Dwadzieścia jeden pięter wyżej dzieci wypadły z windy jak z katapulty.

Jeremy otworzył drzwi wyjściowe i cała trójka wybiegła na zewnątrz.

Musimy już jechać, naprawdę - mówił Lawrence. - Nie możemy tu dłużej zostać, wrócimy po nich taksówką, jeśli będzie trzeba. Jerry wróci i ...

Zawiesił głos w połowie zdania.

- I co? - spytała Valentine, która bawiła się od niechcenia dźwignią automatycznej skrzyni biegów i nie była w najmniejszym stopniu zdenerwowana.

- Ruszaj! - powiedział tylko Lawrence, wpatrując się w coś wytrzeszczonymi oczami.

Valentine odwróciła się, chcąc sprawdzić, co przykuło uwagę chłopca. Ujrzała troje przyjaciół bijących wszelkie rekordy w biegu na przełaj. Wymachiwali przy tym dziko rękami, a Barth był półnagi i pędził, trzymając w ręku koszulę.

- RUSZAJ! - wrzasnął Lawrence.

Ledwie Valentine włączyła silnik, otworzyły się drzwi samochodu i do środka wpadło troje pomyleńców. Bentley skoczył do przodu i odjechał z piskiem opon.

OD DRZEWA DO DRZEWA

Limuzyna przejechała bezszelestnie obok strażnika Monument District, a jej pasażerowie nie uchylili nawet na centymetr przyciemnianych szyb.

Minęło dobrych parę minut, zanim troje uciekinierów złapało oddech i mogło zaspokoić ciekawość pary kierowców.

- Ależ tak, tak, wszystko poszło świetnie! - zapewniał ich Jeremy, tymczasem Barth zapinał koszulę pod samą szyję.

- Jak to? - zdziwił się. - Musieliśmy przecież zostawić broń tam na dole...

Jeremy uśmiechnął się, rozchylił swój prochowiec i wyciągnął triumfalnie dziwne pudełko z wypukłą pokrywką z ciemnozielonego aksamitu.

- Czy to właśnie masz na myśli? - spytał rozbawiony brata.

- No nie, jak to zrobiłeś? Przecież ta dziewczyna w fartuchu weszła do boksu i powiedziała, że wszystko jest na miejscu!

Violette, która szukała czegoś pod tylnym siedzeniem, wyłoniła się potargana i zarumieniona.

- Słuchajcie, czy ktoś z was widział moje pudło do przewożenia ślimaków? Takie z zieloną pokrywką. W środku też jest zielone, żeby myślały, że są na trawie. Zostałam je tutaj, zanim poszliśmy do laboratorium Palomy...

Valentine i Lawrence wybuchnęli śmiechem, Barth milczał, a Jeremy wyglądał przez okno z miną niewiniątka.

- Co się wam stało? O co chodzi? - dopytywała się Violette, zaskoczona. - Myślicie, że ślimakom nie podobało się w podróży?

- Wręcz przeciwnie! - powiedział Jeremy. - Postanowiły nawet zatrzymać się na kempingu.

W niecałe pół godziny później wszyscy zawinęli do portu, szczęśliwie, ale z duszą na ramieniu. Przejechali trzy razy na czerwonym świetle, a na kilku zakrętach bentley pana Brave'a wydawał się przechodniom bolidem Formuły 1.

Valentine zdjęła nogę z gazu i posuwali się teraz spokojnie Blue Park Avenue. W odległości pięćdziesięciu metrów od Cumides Circle zahamowała i Lawrence wysiadł z samochodu.

- Jeśli droga będzie wolna, machnij ręką! - zawołała Valentine. - Ale co ci się stało?...

Strasznie jesteś blady. No, bladożółty - poprawiła się, biorąc pod uwagę odcień skóry chłopca.

- To nic takiego - odparł Lawrence, uradowany, że wysiada żywy z samochodu. - Jestem po prostu trochę nerwowy, jak sama niedawno zauważyłaś. Zaraz mi przejdzie. To idę.

Ostrożnie podszedł do furtki. Brama była zamknięta, a aleja i podjazd puste. Oczywiście groziło im, że Bones ukrywa się za drzwiami i otworzy je akurat wtedy, kiedy Valentine wjedzie, by odstawić samochód do garażu. Lawrence wiedział jednak, że każda chwila z Bonesem obciążona była jakimś ryzykiem, co w pewnym sensie nawet podobało się Valentine. W każdym razie okolica domu wydawała się spokojna, a kiedy Lawrence podniósł wzrok, zobaczył, że w większości okien są zasunięte żaluzje. Był to ostatni moment, żeby odstawić limuzynę i wrócić do domu.

Pomachał ręką zgodnie z umową i samochód wolniutko podjechał pod bramę, która otworzyła się automatycznie, kiedy litera M wbudowana w osłonę chłodnicy znalazła się naprzeciwko takiej samej litery z kutego żelaza w bramie.

Koła zatrzeszczały na żwirze przez parę sekund, które Lawrence'owi wydały się godzinami, i bentley objechał dom, by wtoczyć się do garażu. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Lawrence odetchnął z ulgą. Kilka chwil potem przyjaciele znaleźli się koło niego.

- No i proszę! - cieszyła się Valentine, bawiąc się kluczykami do samochodu. - Nikt nas nie zauważył. Sam widzisz, że to całkiem bezpieczne - zwróciła się do Lawrence'a. - Będziemy mogli częściej go sobie pożyczać!

- Taak, jasne. Dobrze, pozostaje nam tylko zaczekać na Oskara. Co proponujesz? Może wejdziemy i poprosimy Bonesa, żeby podał nam soki owocowe do salonu, skoro jesteś taka odważna?

Valentine podrzuciła kluczyki i złapała je zręcznie, nie odzywając się ani słowem. Tymczasem Violette ta propozycja bardzo się spodobała.

- Soki owocowe? O, ja bardzo chętnie. Nie znam tego waszego Bonesa, ale to by było naprawdę bardzo miłe z jego strony... Barth, chciałbyś się czegoś napić?

Zdziwiła ją cisza zamiast odpowiedzi. Odwróciła się i jej piękne, fioletowe oczy zaokrągliły się ze zdumienia. Ujrzała chłopców przyklepionych do ściany garażu, z nogami zawieszonymi metr nad ziemią. Unosili się na groźnie wyglądającej gałęzi wielkiego dębu.

- Wydaje mi się... wydaje mi się, że mamy pewien problem z tym drzewem! - wyjąkał z trudnością Jeremy, który zazwyczaj rzadko okazywał jakikolwiek niepokój.

Valentine i Lawrence rzucili im się z pomocą.

- Zizou, to nasi przyjaciele! Proszę cię, pozwól im zejść! - zawołała Valentine.

Zizou zawahał się przez chwilę, a potem posłusznie postawił chłopców na ziemi.

Poprawili ubrania i cofnęli się lekko, nadal jeszcze mocno zaszokowani.

- Co... co to właściwie było? - spytał zdumiony Jeremy.

- Mów trochę ciszej, bo się obrazi. Potrafi mocno walnąć z byka, uważaj...

Natomiast Violette podeszła zupełnie spokojnie i uściśniła jedną z najniższych gałęzi Zizou.

- Witaj! - powiedziała, jak gdyby całe życie nie robiła nic innego, tylko rozmawiała z myślącym i poruszającym się świadomie drzewem. - Nazywam się Violette Pill, a ty?

Barth podszedł do niej ostrożnie i położył jej rękę na ramieniu, nie spuszczać wzroku z gałęzi drzewa.

- Violette?... - powiedział cicho.

- Mhm?

- Mówisz... mówisz do drzewa - wyszeptał, starając się, by inni go nie słyszeli.

Podobnie jak wszyscy znajomi w Babylon Heights, on także zdawał sobie sprawę z dziwactw dziewczynki, bardzo się jednak zawsze pilnował, by tego nie okazywać, nie chcąc jej zranić lub postawić w niezręcznej sytuacji. Popatrzyła na niego zaskoczona.

- No tak, wiem, że to jest drzewo. I co z tego? Drzewo nie może mówić?

- Oczywiście może. Masz rację - powiedział Barth.

Violette spojrzała znowu na Zizou, który wyglądał już nieco przyjaźniej.

- Mam wrażenie, że już cię gdzieś widziałam - uprzejmie podjęła rozmowę. - Nie masz przypadkiem krewnych w naszym ogrodzie? Na Kildare Street, w Babylon Heights...

Zizou potrząsnął lekko liśćmi.

- Aaa, rozumiem. Wobec tego masz sobowtóra. Ale dlaczego Oskar nigdy mi o tobie nie wspominał?

Na dźwięk imienia Oskara, dąb pochylił się cały, aż jego najniższe gałęzie pogładziły Violette po twarzy. Odpowiedziała promiennym uśmiechem, ukazując przy okazji swój

aparatu korekcyjnego w całej okazałości.

- Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy - dodała.

- Co wy tu robicie? Od dziesięciu minut szukam was po całym ogrodzie!

Odwrócili się: za nimi stał zdyszany Oskar.

- Denerwowałem się...

- Wyobraź sobie, że przechodziliśmy tędy zupełnie przypadkowo... - rzucił Jeremy, który tego dnia musiał mieć wahania nastroju.

- Stoicie za blisko domu! - zaniepokoił się Oskar, opierając swój rower o ścianę. - Okna pana Brave'a wychodzą na tę stronę!

Valentine pokręciła głową.

- Naprawdę sądzisz, że specjalnie czekaliśmy na ciebie, żeby sprawdzić, kto jest w domu, a kogo nie ma?

- Tu bywa nie tylko pan Brave! - zauważył Oskar.

Popatrzył na dąb, pod którym nadal stała zauroczona Violette.

- Chyba potrzebujemy wsparcia Zizou. Widzę, że zawarliście już znajomość...

Podszedł do drzewa.

- Zizou, mógłbyś mi pomóc? Lepiej by było, gdybyśmy porozmawiali w Blue Parku.

Zizou zniżył jedną ze swoich gałęzi, grubą i solidną.

- Dobra, wsiadamy! - zarządził Oskar. - Chodźcie tu wszyscy!

Cała piątka rozsiadła się na gałęzi.

- Gotowe! - powiedział Oskar w stronę drzewa.

- Ha! Czego to ja dzisiaj nie dokonałem - dorobiłem klucze, prowadziłem samochód, namierzyłem garaż, a teraz jeszcze huśta... AAAAAAA!

Reszta zdania zniknęła w oddali. Zamiast powoli się podnieść, Zizou posłużył się gałęzią jak katapultą. Dzieci przefrunęły nad ogrodzeniem domostwa, minęły aleję jak gromada rozkrzyczanych armatnich kul i wylądowały cudem wśród miękkich liści drzewa.

Oskar wstał.

- Wszyscy wylądowali? Cało i zdrowo?

- Ten dąb ma źle w głowie! - jęknął Lawrence, który wyłonił się gdzieś z dołu, z koroną uschłych liści na głowie. - Zresztą wszyscy chyba zwariowaliśmy, czy ten dzień nigdy się nie skończy?

Pozostali wygrzebali się z liści, nikt nie wydawał się połamany. Oskar wychylił się, by sprawdzić, gdzie się właściwie znaleźli, ale szybko się cofnął.

- Ehm, ostrożnie ze wstawaniem - powiedział. - Chyba że się nie boicie dużej wysokości.

Popatrzył w dół: dwadzieścia metrów niżej ludzie spacerowali alejkami parkowymi.

- Dokonałem pewnego odkrycia - powiedział Jeremy.

Barth, który nie bał się wysokości, wychylił się także - on też jednak nie czuł się zbyt pewnie.

- Jakiego odkrycia? - zaciekawiał się.

- Kręci mi się w głowie, jeśli tylko znajdę się przypadkiem na większej wysokości niż mój wzrost - odparł Jeremy i zamknął oczy.

Violette głaskała otaczające ją liście.

- A mi się tutaj całkiem podoba... Odrywa nas to trochę od ziemi, prawda?

Lawrence uśmiechnął się.

- Ha, ja znam taką dziewczynę, która głównie buja w obłokach...

- Tak? - zainteresowała się Violette. - A kto to taki? Ma szczęście, swoją drogą. Marzę o tym, żeby móc fruwać...

- No i jak stąd zejdziemy na dół? - spytał Oskar, nieco pewniej stojący na ziemi niż jego siostra.

Gałęzie drzewa rozsunęły się jak zaczarowane i dzieci rozpoznały świetlisty symbol widniejący na jego pniu.

- To M Medykusów! - zawołał Lawrence. - To znaczy w takim razie, że...

- ... że to Drzewo Przejścia! - ciągnęła Valentine, jego przyjaciółka ze świata

wewnętrznego. - Myślałam, że zniknęło!

Drzewo otoczyło swymi gałęziami grupkę dzieci, a potem opuściło je aż do ziemi, pozwalając im zejść na dół. Gałęzie rozsunęły się i wszyscy zeskoczyli na ziemię.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział Lawrence, masując swój brzuch, równie krągły, jak okrągła była jego twarz. - Nie przypominam przecież kuli. Dlaczego zatem Zizou używa mnie do gry w piłkę nożną?

- Czy naprawdę nie ma normalnego drzewa w tej okolicy? - spytał Barth, zsuwając się z góry.

- Nic nie rozumiesz! - powiedziała Valentine. - W pniu tego drzewa była winda, którą można było kiedyś dotrzeć do sekretnego tunelu!

- „Można było kiedyś”? Dlaczego już nie można? - spytał młodszy z braci O'Maley, bardzo zaintrygowany.

Dziewczynka już nabierała tchu, by mu odpowiedzieć, Oskar rzucił jej jednak ostrzegawcze spojrzenie i zamilkła. Jeremy to najbliższy przyjaciel, był jednak bardzo ciekawski i jeszcze bardziej gadatliwy. Przede wszystkim bracia nie byli Medykusami. Należało zachować pewną ostrożność. Violette także nie należała do Zakonu, jej ojciec i brat byli jednak Medykusami, a poza tym była tak dziwaczna i roztargniona... Wydawało się bardzo prawdopodobne, że szybko zapomni o wszystkim, co tego dnia widziała, albo wręcz nie dostrzeże w tym niczego zaskakującego. Oskar zmienił temat.

- No i jak wam poszło u Palomy?

Dzieci tak się plątały w relacji, że w końcu Oskar poczuł wielką ulgę, kiedy dojrzał cenne pudełko, które Jeremy trzymał w wyciągniętych rękach.

- Oto prezent w promocji od Bazaru Jeremy'ego! - zawołał triumfalnie Jeremy.

- Brawo! Jesteście genialni! - krzyknął Oskar, biorąc pudełko do rąk.

- Twoja siostra świetnie się spisała! - powiedział Barth i zarumienił się.

Jeremy popatrzył na niego zdziwiony.

- No tak, przecież to ona odwróciła uwagę Palomy, pamiętasz? - ciągnął Barth.

Jego brat wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę Oskara, który z niezwykłą ostrożnością oglądał pudełko.

- Pokażesz nam, jak to działa? - spytał.

Oskar nie miał jednak zamiaru otwierać pudełka.

- To niemożliwe. Grimoire poradził mi tylko, że mogę tego potrzebować, żeby... żeby zdobyć to, na czym mi zależy.

- No właśnie, nie wyjaśniłeś nam do tej pory, czego tak naprawdę szukasz? - spytał Jeremy, którego paliła ciekawość.

Tym razem Oskar nie potrzebował Lawrence'a, żeby zachować ostrożność.

- To moje Trofeum - powiedział, nie wdając się w dalsze szczegóły. - Muszę to mieć. Straciłem cały rok, muszę nadrobić to spóźnienie - dodał, chowając pudełko do szkolnego plecaka.

Rzucił okiem na zegarek.

- Violette, za dwadzieścia minut mama wezwie nie tylko policję, ale i całą armię!
Musimy wracać. Dziękuję wam jeszcze raz, przyjacie...

Hałas w pobliskich krzakach sprawił, że odwrócił nagle głowę, Jeremy równocześnie zrobił to samo. Dał znak przyjaciółom, żeby się uciszyli, wyjął medalion i ruszył ostrożnie w stronę zarośli. Zeszłoroczne przygody w parku sprawiły, że nie lekceważył już żadnego zagrożenia.

Podniósł rękę z literą M i wycelował w stronę masywnego krzaka. Zielony promień spopielił suche liście. Po kilku sekundach promień zagłębił się nieco bardziej, pojawił się dym.

- Uważaj, Oskarze, możesz wywołać pożar! - uprzedził go szeptem Lawrence.

Rozległ się ostry pisk, młody Medykus opuścił rękę z medalionem. W krzakach ktoś się szamotał, a w końcu wyszła z nich niewysoka dziewczynka trzymająca się za pośladki. Promień wypływający z medalionu musiał trafić w dziesiątkę...

- Carrie! - krzyknął Jeremy. - Co ty tutaj robisz? Szpiegujesz nas?

- A kto to taki? - zdziwiła się Valentine.

- To młodsza siostra Mossa - wyjaśnił Barth, któremu pięści same się zaciskały, kiedy wymawiał to imię.

- Cześć, Carrie! - zawołała wesoło Violette. - Ty też się przemieszczasz z drzewa na drzewo?

Oskar podszedł do małego szpiega, nie wypuszczając z ręki medalionu. Dziewczynka nie cofnęła się ani o krok, patrzyła mu śmiało prosto w oczy.

- Śledziłam cię - powiedziała.

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Tylko ty umiesz się postawić mojemu bratu. Ty i jeszcze ten tam, ten duży chłopak, trochę przygłupi.

Barth ruszył w jej kierunku z groźną miną.

- Ty mikrobie jeden, o kim mówisz?

Wydawał się przy niej olbrzymem, zniknęła niemal w jego cieniu. Jednakże trzeba było czegoś więcej, żeby się wystraszyła.

- O tobie! - odparła Carrie, nie tracąc zimnej krwi. - Wcale się ciebie nie boję, nie bardziej niż Ronana! Nikogo się nie boję! - niemal krzyczała. Wydawało się, że coś się w niej gotowało i kipiało, kiedy wspominała starszego brata.

- Dlaczego mnie śledziłaś? - naciskał Oskar, który zamierzał wyjaśnić rzecz do końca. - I co słyszałaś z tego, o czym rozmawialiśmy?

- Wszystko! - skłamała dziewczynka. - Wszystko słyszałam! I chcę z wami zostać, pomogę wam! Mogę wam opowiedzieć masę rzeczy o Ronanie, a poza tym jestem bardzo silna!

I rzeczywiście była drobna, ale sprężysta.

- Myślisz, że potrzebujemy takiej dzidzi jak ty? - zachichotał Barth, nadal urażony jej uwagami na swój temat.

- To oczywiste! Ty dajesz mięśnie, trzeba wam jeszcze głowy!

Barth najchętniej wysłałby ją na szczyt Drzewa Przejścia, żeby oduczyć ją żartowania z czternastoletniego człowieka, któremu w dodatku wszyscy dają cztery lata więcej. Jeremego jednak powstrzymał.

- I tu się zgadzamy, Carrie! Ale rozwiązaliśmy już ten problem, bo ja jestem tą głową!

- Posłuchaj, to bardzo miło z twojej strony, że chcesz nam pomóc - powiedział Oskar.
- Ale wydaje mi się, że dam sobie sam radę z twoim bratem, a poza tym jesteś trochę za mała, żeby...

- Nie jestem za mała! - wrzasnęła Carrie. - Przestańcie do mnie mówić, jak gdybym była jakimś dzidziusiem!

- Nie jesteś nam potrzebna! - zawyrokował Jeremego. - Wracaj do domu i zostaw nas w spokoju, Carrie. Jeśli chcesz, możesz wpaść do Bazaru, dostaniesz cukierki.

- Nie chcę tych twoich cukierków!

Violette chciała ją uspokoić, Carrie zrzuciła jednak jej rękę.

- Jesteście tacy sami jak mój brat! - rozzaliła się Carrie na dobre. - On chce tylko, żebym go słuchała i żebym była cicho, myśli, że może traktować mnie i moją siostrę tak samo jak tata mamę. Lorna na to pozwala, ale ja nigdy nie pozwolę! Nigdy!

Uciekła biegiem.

- Zaczekaj, Carrie! - zawołała Violette. - Poza tym to naprawdę świetnie jest być

małą!

- Co za charakterek! - powiedziała Valentine. - Ile ona ma lat?

- Dziesięć! - powiedział Oskar.

- Niezłe ziółko - zauważył Lawrence. - Całe szczęście, że nie pozwoliłeś jej zostać...

Oskar milczał. Patrzył na drobną figurkę przemykającą między drzewami. Odwróciła się na koniec i ujrzał jej twarz zalaną łzami. Zrobiło mu się jej żal. Szybko jednak wrócił myślami do najważniejszego planu. Miał już teraz broń i Tablica była w jego zasięgu. Za trzy dni wybierze się potajemnie do wewnętrznego świata Leonida, pójdzie tam samodzielnie, wcześniej niż wszyscy inni. Później może nadejdzie pora, żeby zająć się nieszczęśliwymi dziesięciolatkami.

KIEDY TILLA SIĘ WTRĄCA

Ostatnie dwa dni tygodnia upłynęły Oskarowi bardzo intensywnie; nie miał nawet kiedy pomyśleć o Carrie ani o jej bracie.

W miarę upływu czasu coraz bardziej obsesyjnie rozmyślał o bliskich już planach. Mogły się okazać bardzo niebezpieczne. Zdecydował się przekroczyć zakaz, o którym dowiedział się na samym początku nauki: żaden Medykus nie powinien dokonywać Introdukcji do czyjegokolwiek organizmu bez wiedzy Zakonu. Nie miał jednak wyboru. Musi tam pójść i odnaleźć Tablicę. Poza tym Lawrence i Valentine nalegali, by mu towarzyszyć, i ta perspektywa podtrzymywała go na duchu.

Wpadł dwukrotnie do Cumides Circle, na krótko jak po ogień. Ustalili plan. Jedno było pewne: nie mogli tym razem pożyczyć samochodu pana Brave'a, ponieważ cztery

godziny później pozostałych czworo Medykusów miało się spotkać w siedzibie Wielkiego Mistrza z Alistairem, a Jerry miał ich zawieźć do Leonida.

- Schowałeś tajną broń w bezpiecznej kryjówce? - zaniepokoił się Lawrence. - Mam przeczucie, że nam się przyda. Obawiam się trochę tego Drugiego Królestwa po tym, co opowiadałeś nam o pierwszym i o potworach, jakie można tam spotkać. Zwłaszcza jeśli są na usługach Patologusów...

- Nie martw się - odparł Oskar. - Broń Palomy jest supernowoczesna. - Nikt się jej nie oprze, ani Patologusi, ani ich armia bakterii czy zmutowanych wirusów. Trzymam tajną broń w kuferku, razem z Pasem Trofeów.

- No dobrze, wobec tego ja zajmę się stroną logistyczną - oznajmił Lawrence. - Rozkład jazdy autobusów, plan miasta, wybadam też, co Bones i pan Brave zamierzają robić w sobotę.

- A ja „pożyczę” sobie z kuchni wszystko, co będzie nam potrzebne na przekąskę... i monety z metalowych pudełek Cherie.

- Co takiego?! - jęknął Oskar. - Ależ... w ten sposób okradłabyś Cherie!

- Och, daj spokój, to tylko kawałeczki metalu! Ona ma wszędzie pełno żelastwa, rozsianego po całej kuchni: konserwy, krzesła...

- To nie to samo! Pieniądze służą im do płacenia za różne inne rzeczy - przypomniał jej Lawrence. - Jeśli u nas coś znajdziemy, możemy to sobie zabrać, ale tutaj jest inaczej!

Już rok wcześniej Oskar wytłumaczył dzieciom, na czym polega wartość pieniądza. Od tej pory jednak żadne z nich nie używało pieniędzy, spędzali bowiem większość czasu w Cumides Circle i nie wystawiali nosa poza ogród posiadłości.

- Ja zabiorę coś z jej skarbonki - powiedziała Valentine - a ona z kolei weźmie sobie coś od Bonesa albo pana Brave'a, nie?

- Nie, to raczej niemożliwe - powiedział Oskar. - Powinnaś zrozumieć raz na zawsze, w jaki sposób zarabia się pieniądze, Valentine. Poproszę o drobne na autobus moją mamę, nie musisz zabierać ich Cherie.

- Dlaczego ty możesz wziąć pieniądze mamy, a ja nie mogę wziąć pieniędzy Cherie?
- zdziwiła się Valentine, której te wszystkie dziwne zasady pieniężne nie mieściły się w głowie.

- Bo... bo Cherie ciężko pracuje, żeby zarobić te pieniądze! - powiedział młody Medykus.

- A twoja mama nie pracuje ciężko?

- Owszem, ale jestem jej synem, zarabia je też dla mnie.

- Świetnie, wobec tego nie ma problemu. Cherie często mówi, że jestem dla niej jak córka.

- Lepiej o tym zapomnij.

Ustalili, że spotkają się w sobotę wczesnym rankiem i pojedą autobusem do starszego pana. Dzień wcześniej Oskar musiał udać przeziębienie albo ciężki katar, co pozwoliłoby mu usprawiedliwić nieobecność na grupowej wyprawie...

W piątek Oskar nie mógł usiedzieć na miejscu. Za radą Lawrence'a nie pisał swoim irlandzkim przyjaciółom ani słowa na temat sobotnich planów.

- Co się z tobą dzieje? - szepnął Jeremy do Oskara, który bezustannie wiercił się na swoim krześle w czasie lekcji. - Za chwilę rozkręcisz całą klasę i jeszcze ktoś znowu powie, że to moja wina!

Pan Pingwin, tłumaczący im właśnie problem matematyczny przy tablicy, odwrócił się nagle.

- O'Maley, mam nadzieję, że nie mówię za głośno? Mogę zaczekać z wykładem, aż skończysz...

- Ależ nie, nie, proszę, niech pan mówi dalej, panie profesorze! Tak czy owak, Oskar mnie nie słucha, mogę więc równie dobrze milczeć... Ups! Przepraszam! - Jeremy pojął, że się zapędził.

Cała klasa wybuchnęła śmiechem. Pan Pingwin podszedł do Jeremy'ego, założył ręce z tyłu i pochylił się nad chłopcem:

- To naprawdę bardzo miło z twojej strony. Mam jednak sobie trochę za złe, że przeszkodziłem ci w konwersacji, dlatego zostaniesz po lekcjach. Będziesz mógł mówić do woli, a ja będę cię uważnie słuchał. Z pewnością masz mi mnóstwo interesujących rzeczy do powiedzenia.

- O nie, błagam pana! - zawołał Jeremy. - Mam dzisiaj popołudnie promocji w Bazarze, zaraz po szkole! Ogłosiłem wyprzedaż! Może pan wpaść, jeśli ma pan ochotę, będzie mnóstwo produktów po okazyjnych cenach!

- Twoje interesy będą musiały poczekać: czeka cię godzina odsiadki. Jeśli będziesz się wyklócał, przedłużę karę do dwóch godzin. A teraz już ani mru-mru!

Oskar bardzo się pilnował, żeby nie wyrwać się z jakimś nieopatrzonym słowem.

Gdyby pan Pingwin wpadł na straszny pomysł, żeby go ukarać, wszystkie plany spaliłyby na panewce. Kiedy nareszcie zadzwonił dzwonek na koniec lekcji, starał się pocieszyć Jeremy'ego, który siedział z miną, jakby właśnie wrócił z własnego pogrzebu. Podszedł do nich Barth i Jeremy udzielał mu wskazówek, co ma robić, kiedy będzie samodzielnie pracował w Bazarze.

- Pomyśleć tylko, że przez cały tydzień roznosiłem ulotki po dzielnicy i po szkole! - jęczał Jeremy. - Na pewno przyjdzie mnóstwo ludzi, a ja muszę tutaj siedzieć! Myślisz, że dasz sobie radę?

Barth pokiwał spokojnie głową. Jeremy zwrócił się do Oskara:

- Słuchaj, a może pomógłbyś mi przez godzinę, co? Tylko do mojego powrotu!

Oskar miał nadzieję ominąć dzień przecen w Bazarze, gdzie rzeczywiście mogło przyjść sporo mieszkańców Babylon Heights, od małych dzieci po dorosłych. Nie cierpiał takich imprez.

- O ile się nie mylę, mama chciała, żebym był w domu - próbował się wykręcić.

- Niemożliwe! - uciął Jeremy. - Mówiła, że sama wpadnie do Bazaru!

Oskar nie wiedział już, jak ma się wymigać od tej tłumnej imprezy.

- No dobrze - powiedział. - Poproszę Violette, żeby pomogła Barthowi, a ja do nich później dołączę, pasuje ci?

- Mi bardzo pasuje! - ucieszył się Barth.

Jeremy skrzywił się, potem wzruszył z rezygnacją ramionami i zaczął ustalać szczegóły wyprzedaży z bratem. Zasypał go gradem rad i wskazówek, a Oskar skorzystał

z okazji, żeby się wymknąć. Kilka metrów dalej stał Moss, wokół którego tłoczyło się kilka osób, między innymi Tilla. Spojrzała na niego i posłała mu uśmiech zza kosmyka włosów, sprawdzając przy tym skrzętnie, czy Moss to dostrzegł. Oskar nie poświęcił uwagi ani Tilli, ani Mossowi, chociaż nie lubił widzieć ich razem. Wsiadł na rower. Musiał jeszcze kupić bilety autobusowe na następny dzień i przygotować się do wyprawy.

Kiedy wszedł do domu, upewnił się, że jest sam. Mama nie wróciła jeszcze z pracy, a Violette prosto ze szkoły poszła do Bazaru w towarzystwie Bartha.

Wbiegł pędem na schody i wpadł do swojego pokoju. Otworzył szafę, złożył w kostkę pelerynę, wyjął Grimoire'a i schowany w głębi kuferek, w którym ukrywał Pas i Trofea - Fiolkę Hepatolii i szklane pudełeczko zawierające tchnienie króla Eola. Wszystko to wpakował do większej torby. Już miał wyjść, kiedy o czymś sobie przypomniał - wdrapał się na łóżko i znalazł swój mały album ze zdjęciami. Schował go do kieszeni szortów, zbiegł szybko ze schodów i wyszedł z domu.

Okrzyżył dom, otworzył komórkę, w której zwykle przechowywał rower, i ukrył torbę z rzeczami za wielkim, nadmuchiwanym basenem, który teraz wydawał się nadmuchany już tylko połowicznie. Wypełniony był wiaderkami, łopatkami, kółkami ratunkowymi i innymi relikwiami zabaw dziecięcych z czasów, gdy Celia wyjeżdżała z dziećmi na wakacje nad morze. W ten sposób, kiedy następnego dnia ruszy wczesnym rankiem na spotkanie Valentine i Lawrence'a, nie obudzi rodziny żadnymi hałasami. Gotowa torba będzie na niego czekała w składziku. Celia wiedziała, że Oskar wybiera się w sobotę do Cumides Circle, byłoby jednak dużo lepiej, gdyby nie pytała, dlaczego jedzie tam tak wcześnie, a zwłaszcza dlaczego wybiera się na rowerze zamiast poczekać na limuzynę z Jerryem...

Upewnił się, że droga jest wolna, zamknął drzwi do komórki, przemknął do furtki i pobiegł w dół Kildare Street, do Bazaru, gdzie czekali na niego Barth i Violette.

Wyprzedaż wyglądała tak, jakby wokół domu O'Maleyów wystąpiły uliczne zamieszki. A może nieprzytomny z podniecenia tłum czekał na pojawienie się gwiazdy rockowej? Violette i Barth z trudem torowali sobie drogę wśród osób, które tłocząc się tutaj, chciały skorzystać jako pierwsze z wyprzedaży w Bazarze.

Kiedy tylko Barth otworzył drzwi do garażu, fala nastolatków runęła do środka jak trąba powietrzna. Całe szczęście, że rodziców nie było w domu. Poprosił ich o to młodszy syn biznesmen.

- O nie, błagam was! Nie możecie tu zostać! Pomyślą, że szpiegujecie na rzecz innych rodziców!

Jeremy się nie mylił. Młodzi ludzie upewniali się, czy aby na pewno żadna dorosła osoba nie będzie mogła wejść do Bazaru. Wiadomość ta rozeszła się szerokim echem: nikt, kto choć trochę kojarzył się z kontrolą rodzinną, nie miał wstępu na tę imprezę, dotyczyło to także starszych braci, sióstr czy innych potencjalnych kontrolerów.

Barth nie wiedział, w co ręce włożyć, był wszędzie i pracował za dziesięć. Wskazywał, gdzie leżą rozmaite towary, rozpakowywał paczki, pakował zakupy, wybiegał po coś na zaplecze i w końcu przyjmował pieniądze od klientów. Na szczęście zaraz na początku imprezy spotkał Sally Bunker, którą obaj bracia poznali wcześniej za sprawą Oskara. Barth natychmiast umieścił ją przy wyjściu z Bazaru - pilnowała, czy nikt nie wynosił czegoś po kryjomu. Doskonale wywiązywała się ze swojej roli. Zainstalowała się na swoim miejscu ze skrzyżowanymi rękami jak ochroniarz. Przywoływała ludzi lekkim ruchem ręki, nakazując im, by otworzyli torby, aby mogła sprawdzić ich zawartość. Nikt nie śmiał się jej sprzeciwić.

Violette natomiast czuła się raczej obco w zamieszaniu, które zaczynało przypominać wiejski jarmark. Wokół niej rozbrzmiewały krzyki, kłótnie o rozmaite towary i śmiechy,

ktoś się przepychał - ona zaś marzyła o tym, żeby unieść się całkiem po prostu ponad cały ten tłum, pofrunąć na jakąś chmurę i pozostać na niej do czasu, aż ten galimatias się skończy. Szybko odsunęła się na bok i obserwowała tłoczących się, rozgorączkowanych ludzi. Uśmiechała się tylko wdzięcznie do wszystkich tych, którzy próbowali do niej zagadać, podobnie zresztą jak do pozostałych.

Siedziała sobie grzecznie na stosie kartonów, w kącie garażu, równie nieruchoma jak towary wystawione na sprzedaż. Nagle usłyszała czyjś głos.

- Nudzisz się, Violette?

Dziewczynka podniosła wzrok i ujrzała przed sobą Tillę. Stała przed nią z dziwnym uśmiechem, może przyjaznym, a może ironicznym. Na szczęście Violette chroniła się za swoją tarczą marzeń, podróżując po własnym, osobnym świecie, dlatego też nie zdawała sobie nawet sprawy, że niektórzy ludzie mogą się z niej naśmiewać. Nie było ich szczególnie wielu, w gruncie rzeczy była powszechnie lubiana i nawet jeśli ktoś śmiał się z jej dziwactw, to dlatego, że wydawały się zabawne, nie żałosne.

Violette uśmiechnęła się serdecznie do Tilli.

- Nie, nie nudzę się wcale. Wróciłam do siebie.

Tilla popatrzyła na nią pytającym wzrokiem, niepewna, czy dobrze zrozumiała. Z tyłu podeszły do niej Shadow i Barbie.

- Co powiedziała? - spytała Barbie, która nie była w stanie wybrać pomiędzy dwiema bardzo wymyślnymi spinkami do włosów, które znalazła na półce z chińszczyzną.

- Wydaje mi się, że nadal jesteś tu z nami w Bazarze, prawda?

- Nie widzisz, że jesteś z nami w Bazarze? - powtórzyła Shadow.

- Owszem, tak - odparła Violette. - Ale wróciłam do siebie tam, w środku - wyjaśniła, jakby to było zupełnie oczywiste, wskazując palcem głowę.

Shadow roześmiała się, ale szybko zamilkła. Wolą z tym zaczekać na reakcję Tilli. Barbie wzruszyła ramionami i powróciła do swojego pierwotnego zajęcia, jakim był namysł, którą spinkę do włosów wybrać. Tilla zawahała się przez moment, a potem kiwnęła głową, jak gdyby doskonale rozumiała, co Violette chciała powiedzieć.

- Jasne. A mogłabyś na chwilę wyjść stamtąd i wrócić tu, do Bazaru? - spytała Tilla, patrząc na głowę Violette. - Chciałabym cię o coś zapytać.

- Dobrze - odparła Violette.

Zawsze chętnie brała udział w rozmowie i lubiła sprawiać innym przyjemność, mimo że jej odmienny sposób bycia nie ułatwiał kontaktu z ludźmi. Tilla postanowiła jednak wykorzystać tę dobrą wolę. Popatrzyła na Shadow, która porównywała akurat kolor trampek, sprawdzając, czy jej buty są w tym samym różowym odcieniu, co buty Tilli. Shadow wiedziała, co oznacza to spojrzenie, i oddaliła się. Kiedy zostały we dwie, Tilla spytała z niewinną miną:

- Wiesz, bardzo lubię twojego brata, ale on jest taki skryty, nigdy nie chce ze mną porozmawiać...

- Tak? A mnie wszystko opowiada! - powiedziała z zadowoleniem Violette.

- A może jest nieśmiały? - zastanawiała się Tilla, owijając kosmyk włosów wokół palca. - Może uważa, że jestem ładna i nie ma odwagi się do mnie odezwać?

Violette energicznie pokręciła głową.

- Nie, nie sędzę. On po prostu nie do końca wie, po czyjej jesteś stronie! - wyznała Violette. - Uważa, że należysz do paczki Mossa...

- Co, ja? Ależ nigdy w życiu! - zawołała boleśnie Tilla, jakby ktoś właśnie zranił jej urocze serduszko. - Zresztą ja w ogóle nie należę do żadnej paczki, od tego musimy zacząć - dodała z pewną dumą w głosie.

- Poza tym Oskar uważa, że korzystasz ze swojego wyglądu, bo wszyscy uważają, że jesteś śliczna. A on twierdzi, że na przykład Naomi, ta wysoka dziewczyna z ciemnymi włosami, wiesz, która? Mówi, że jest równie ładna, jak ty.

Tilla spochmurniała. Bardzo łatwo było ciągnąć za język tę dziwną dziewczynę, nie podobały jej się jednak jej odpowiedzi.

- Ona? Równie ładna jak ja? No to możesz powiedzieć swojemu bratu, że...

Zamilkła w połowie zdania. Nie chciała się kłócić z Violette, wołała raczej wykorzystać ją zgodnie ze swoimi planami. Za wcześnie było dawać do zrozumienia Oskarowi, że ona, Tilla, przejmując się jego zdaniem w kwestii ładnych dziewczyn.

- No cóż, tak, jest dosyć ładna - przyznała w końcu. - Zgadzam się z jego opinią.

Te słowa kosztowały ją tyle wysiłku, że z trudem przełknęła ślinę. Rozejrzała się dyskretnie dookoła, sprawdzając, czy aby nikt nie usłyszał, że mówi takie herezje, i ciągnęła dalej:

- Jestem pewna, że gdybyśmy mogli spędzać trochę więcej czasu razem, patrzyłby na mnie innym okiem. Na przykład... na przykład strasznie bym chciała wybrać się razem z nim, kiedy będzie zdobywał te swoje Trofea.

Wstrzymała oddech i czekała z napięciem na odpowiedź Violette, która nie

zauważyła pułapki.

- Ach, opowiadał ci o tym? Wraca tam chyba w sobotę, ale bardzo wcześnie, o siódmej rano. Umówił się potajemnie z Valentine i Lawrence'em!

- Valentine? - powtórzyła Tilla, czując ukłucie ciekawości, a może nawet zazdrości.

- Lepiej o tym nie rozmawiać - szepnęła Violette. - Mama o niczym nie wie. Ale i tak nie możemy mu towarzyszyć.

- Nie? A dlaczego?

- Dlatego, że to nie twoja sprawa! - zabrzmiał blisko czyjś głos, młodzieńczy i zarazem bardzo stanowczy. - Dlaczego zadajesz jej te wszystkie pytania?

Tilla podskoczyła. Między nią a Violette stanęła niewysoka, ale wyprostowana jak kogucik dziewczynka. Patrzyła na Tillę bez mrugnięcia okiem. Kiedy minęło zaskoczenie, że dała się przyłapać na gorącym uczynku, Tilla oprzytomniała.

- No proszę, Carrie, odkąd to podsłuchujesz rozmowy starszych? Porozmawiam z twoim bratem na ten temat, już on się tobą zajmie! - zagroziła z okrucieństwem.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, jak okropnie się przeraziłam! - odparła dziesięciolatka, udając, że się cała trzęsie. - No cóż, w każdym razie powiem Oskarowi, że się nim bardzo interesujesz!

Tilla wzruszyła ramionami, odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa. Carrie podbiegła do niej jeszcze.

- Nie zapomnę zwłaszcza powiedzieć Naomi, że uważasz ją za równie ładną, co ty!

- Zostaw mnie, idiotko! - nie wytrzymała Tilla.

Carrie wybuchnęła śmiechem, a Tilla odpędziła ją nerwowym ruchem i oddaliła się na drugi kraniec Bazaru.

Siostra Ronana Mossa odwróciła się w stronę Violette, zmartwiona.

- Violette, nie zauważyłaś, że ona wzięła cię na spytki?

- Oczywiście że zauważyłam! - odparła Violette z uśmiechem. - Przecież zadawała mi pytania, to jasne...

Carrie przewróciła oczami.

- Zrozum, chciała, żebyś powiedziała jej o czymś, o czym nie należy mówić! Słyszałam prawie całą waszą rozmowę, wspominała o Trofeach i chciała od ciebie usłyszeć coś więcej na ten temat... Wyjaśniłaś jej, co to jest?

- Nie, wydawało mi się, że już wiedziała o tym wcześniej.

Carrie nachyliła się jeszcze bardziej w stronę Violette, mówiła teraz całkiem cicho.

- Chciała z pewnością dowiedzieć się czegoś więcej o Medykusach, rozumiesz? A o tym nie wolno mówić! To absolutnie tajne!

- Ale... dlaczego właściwie? Rozmawiała ze mną tak miło...

- My o tym wiemy, bo nasi bracia albo nasi rodzice są Medykusami - tłumaczyła jej cierpliwie Carrie. - Ale inni nie powinni o tym wiedzieć, inaczej Medykusom może grozić niebezpieczeństwo!

- Niebezpieczeństwo? Jakie niebezpieczeństwo? Przecież mogą się schować w czyimś organizmie! - mówiła Violette, która poczuła nagły niepokój.

- Carrie, idziesz? Musimy już wracać, czekają na nas w domu!

Stała przy nich nieco starsza dziewczynka, podobna do Carrie. Lorna Moss miała dwanaście lat, w przeciwieństwie jednak do swojej siostry wydawała się bezustannie przestraszona i zmartwiona zarazem. Starła się unikać cudzych spojrzeń, z zasady nikomu się nie sprzeciwiała. Zwykle wbijała wzrok w ziemię, jak gdyby wszystko w niej się poddało i nie zostało nic poza rezygnacją.

- Czekają na nas? Jak to „czekają”? Przecież rodziców nie ma w domu!

- Dobrze wiesz, o kim mówię... - powiedziała Lorna. - No chodź już, nie rób problemów albo...

- Albo co? Co takiego nam zrobi? To tylko nasz brat, nic więcej! Idź sobie sama, skoro się go boisz, ja mam to w nosie, zostaję!

Lorna westchnęła i rozejrzała się dookoła. Było jej nieswojo, że ktoś może to usłyszeć.

Carrie zacisnęła zęby, potem skapitulowała ze złością. Nie mogła pozwolić na to, by Lorna sama stawiała czoło Ronanowi. Odwróciła się w stronę Violette i próbowała przestrzec ją po raz ostatni:

- Posłuchaj, Violette, nie powinnaś mówić o Medykusach z kimkolwiek obcym, rozumiesz? Nawet jeśli ten ktoś będzie z tobą miło rozmawiał.

W tej samej chwili zobaczyła, że tuż przy nich stoi Oskar, który pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przemykał przez tłum, szukając siostry lub Bartha, i

natknął się na trzy dziewczynki.

- Czego ty znowu chcesz, Carrie? - spytał wściekły.

- Niczego nie chcę! Przeciwnie...

- Chyba mnie masz za idiotę!...

Zawahał się przez chwilę, upewnił się, że nikt ich nie słucha, i powiedział nieco ciszej:

- Mówiłaś o Medykusach, świetnie słyszałem! Musisz z tym skończyć, nie mieszaj się do tego więcej, słyszysz? - powiedział takim tonem, jakby zwracał uwagę małemu dziecku. - Już ci mówiłem, to nie są sprawy dla ciebie! Jeśli nie przestaniesz, wszyscy będziemy mieli przez ciebie kłopoty.

Carrie ogarnęła wściekłość. Wpadła w furję.

- Właśnie to samo jej tłumaczyłam! Nic na to nie poradzę, że twoja siostra daje się nabrać i opowiada wszystko byle komu! Poza tym mam tego dosyć! - wrzasnęła i tupnęła nogą. - Powinieneś mi podziękować, a tymczasem masz do mnie pretensje! Nigdy już się do mnie nie odzywaj! Nigdy!...

Odbiegła w mgnieniu oka, zanim Oskar zdążył cokolwiek powiedzieć, a jej siostra ruszyła za nią. Potrząsnął głową: ta dziewczyna miała charakterek, bez dwóch zdań, i była uparta jak osioł. Ale przestanie w końcu pytać o sprawy Zakonu, już on się o to postara.

Popatrzył na Violette, nie pytał jej jednak o to, co Carrie próbowała mu powiedzieć chwilę wcześniej. Jego siostra miała na twarzy uśmiech, który mówił: „Przykro mi, jestem nieobecna, proszę spróbować skontaktować się ze mną nieco później!”.

Zrezygowany, zostawił ją sam na sam z jej marzeniami. Ruszył w stronę Bartha, który wzywał go na pomoc. Poczeka, aż siostra będzie w stanie odpowiedzieć na jego pytania. I nieważne, jeśli nie przypomni sobie swojej rozmowy z Carrie. Najważniejsze, żeby nikomu innemu nie mówiła o Medykusach ani o tajemnych planach Oskara...

SZPIEDZY WSTAJĄ WCZEŚNIE RANO

Pierwszy krok w dół po schodach sprawił, że podłoga zaskrzypiała głośniejsz niż kiedykolwiek. Oskarowi wydało się, że musiała go usłyszeć cała dzielnica. Znieruchomiał z bijącym mocno sercem. szmer w pokoju matki świadczył o tym, że się poruszyła, potem jednak zapanowała cisza. Celia miała bardzo lekki sen, należało zatem schodzić naprawdę bardzo powoli i ostrożnie, tak by nie wyrwać mamy i siostry ze snu. W końcu znalazł się na ostatnim schodku, przeszedł na palcach przez hall i otworzył drzwi. Już miał je za sobą zamknąć, kiedy stanął na półkolistym przedmiocie, który zatrzeszczał głośno pod podeszwą jego buta. Zapomniał o przeciętych na pół piłeczkach pingpongowych, rozsypanych przez Violette, „na wypadek, gdyby ptaki nie znalazły skorupki dla swoich jajek”. Z pokoju jego siostry, na piętrze, dokładnie nad jego głową, dobiegło przez otwarte okno długie „bzdźwugbomgotrawgdotubmlzka”, potem usłyszał głębokie westchnienie Violette, a później znowu zrobiło się cicho. Odetchnął z ulgą. Violette dalej śniła o czymś, prawdopodobnie rozmawiała właśnie z kwiatkiem, ławką i ważką.

Okrzyżował dom i wszedł do składziku. Torba leżała nietknięta tam, gdzie ją ukrył dzień wcześniej. Wsadził rękę do kieszeni, poczuł, że bilety autobusowe są na miejscu, podobnie jak albumik ze zdjęciami, z którym się nie rozstawał. Wyprowadził rower, dotarł do furtki i ostatni raz rzucił okiem na okna domu. Wyglądało na to, że nikogo nie obudził. Spojrzał na zegarek: było dziesięć po siódmej, ulice będą puste jak to w sobotę. Miał wystarczająco dużo czasu, by dotrzeć do Cumides Circle.

Nacisnął pedały i szybko ruszył.

Skoncentrował się bardzo na dyskretnym wyjściu z domu i chciał jak najszybciej ruszyć w drogę, nie zauważył zatem, że za nim wystartował inny rower, a jadąca na nim osoba nie zamierzała ani na chwilę spuszczać Oskara z oka.

O siódmej trzydzieści zatrzymał się nieopodal Cumides Circle. Oparł rower o latarnię, przeszedł się ostrożnie wzdłuż żywopłotu, otaczającego sąsiednią posesję, w końcu podszedł do furtki domu pana Brave'a. Rozejrzał się po ogrodzie. Nikogo nie było widać, panowała absolutna cisza, nie było czuć najlżejszego powiewu wiatru, który mógłby zaszeleścić liśćmi. Nigdzie nie mógł dostrzec Zizou, zdziwiło go to nieco. Wyjął w końcu medalion i przyłożył do zagłębienia wytłoczonego przy zamku. Furtka uchylila się bezszelestnie. Oskar wszedł i ruszył powoli w głąb ogrodu, pod osłoną gęstych rododendronów.

Nadstawił ucha i niebawem usłyszał pospieszne kroki na wysypanej żwirem ścieżce. Przed oczami mignął mu czerwony koński ogon. Wyciągnął rękę, żeby zatrzymać chłopca, który biegł z tyłu. Lawrence pisnął ze strachu.

- Cicho - szepnął Oskar. - Obudzisz Bonesa! A to naprawdę nie najlepszy pomysł.

Valentine cofnęła się i także ukryła w krzakach. Lawrence przyłożył rękę do serca i przymknął oczy.

- Jeśli jeszcze raz mnie tak przestraszysz, nikogo już na pewno nie obudzę, umrę na gwałtowny atak serca!

- Ale dlaczego nie czekaliście na zewnątrz, tak jak się umawialiśmy? - spytał Oskar.

- Bo musieliśmy zejść na dół i wyjść przez drzwi kuchenne - wyjaśniła Valentine

szeptem, potrząsając bezcennymi, dorobionymi kluczami.

- Mogliście przecież poprosić Zizou, żeby was zabrał przez okno!

- Widzieliśmy go, stał akurat w głębi ogrodu, w pobliżu stawu, gdzie nie wolno nam chodzić...

- ... i gdzie ona ma straszną chęć się wybrać, jak się łatwo możesz domyślić, w związku z tym, że nam zabroniono - dodał Lawrence z uśmiechem.

- Nie próbowaliście go zawołać? - zdziwił się Oskar.

- Owszem, wołaliśmy go, ale nas nie słuchał - odparł jego przyjaciel. - Może pan Brave powierzył mu jakąś misję, żeby nas kontrolował, kto wie...

- No dobrze - uciął Oskar, zerkając na zegarek. - Jesteście gotowi? Sprawdziłem rozkład jazdy autobusu, który ma przystanek na Bartleby Avenue, niedaleko stąd. Dojedziemy nim na Snow Bay, do Leonida. Będzie akurat za pięć minut, musimy się pospieszyć. Cała grupa przyjedzie tam o jedenastej, będziemy więc trzy godziny do przodu.

- Mam nadzieję, że to wystarczy, żebyś odnalazł tę swoją słynną Tablicę - powiedział Lawrence bez przekonania.

- Dobra, lecimy wobec tego! - ponagliła ich Valentine. - Liczy się każda minuta!

Wyszli z posesji Cumides Circle, zatrzasnęła się za nimi furtka i ruszyli biegiem. Nie podejrzewali nawet, że szpiedzy czuwają także bladym świtem...

Na szczęście autobus 312 zatrzymywał się dokładnie naprzeciwko ładnego domu Leonida Smitha. Cicho otworzyli furtkę i weszli, omijając rabaty kwiatów. Schronili się

pod gałęziami wierzby płaczącej, rosnącej pośrodku trawnika. Musieli opracować plan. Lawrence wyciągnął z kieszeni plik gęsto zapisanych kartek.

- Grzebałem w wielu książkach, między innymi w pasjonującym traktacie przedstawiającym strategię oblężenia miasta, pochodzącą z najdawniejszej epoki Medykusów - powiedział, skupiony na swoich notatkach. - Wypisałem dwadzieścia osiem sposobów, żeby ominąć umocnione mury i przedrzeć się do miasta, które pozornie wydaje się nie do zdobycia. Zacznijmy od pierwszej metody...

- Jeśli o mnie chodzi - przerwała mu Valentine, która wyciągnęła z zanadru piłę i spinę do włosów - mam tu dwudziesty dziewiąty sposób, z pewnością najskuteczniejszy. Nie mamy na to dziesięciu lat, musimy działać bardzo szybko! Dajcie mi tylko zamek i będzie po sprawie!

- ŻEBYM WAS TU NIE WIDZIAŁ ZA DZIESIĘĆ SEKUND, BANDO ŁOBUZÓW!!

Lawrence podskoczył i przewrócił się jak długi. Przy okazji pociągnął za sobą przyjaciół i wszyscy znaleźli się na ziemi. Nad nimi górował olbrzymi cień starszego pana. Miał na sobie szelki i muszkę zawiązaną przy kołnierzyku. Jego twarz była okrągła, brwi - krzaczaste. Nachylał się nad nimi groźnie, podpierając się rękami pod boki. Z dołu Leonid wyglądał jeszcze bardziej złowieszczo - ze swoim haczykowatym nosem i głęboko osadzonymi, świdrującymi oczkami - i nawet Valentine zapomniała języka w gębie.

Oskar oprzytomniał i odezwał się pierwszy:

- Dzień dobry, panie Smith, jestem Oskar Pill, pamięta mnie pan? Ja już...

- Oskar Pill czy nie Oskar Pill, podnieś się natychmiast! Gnieciesz mi trawnik! - wrzasnął Leonid.

Wszyscy troje poderwali się jednym susem i czym prędzej ruszyli w kierunku idealnie wygracowanej alejki. Leonid podążył za nimi, zajmując prawie całą jej szerokość. Lawrence spojrział na swój okrągły brzuch: przy Leonidzie wydawał się sobie niemal chuderlawy.

Oskar nie chciał doprowadzać Leonida do kolejnego ataku złości, tłumaczył więc dalej:

- Wie pan, jestem Medykusem i...

- Świetnie wiem, kim jesteś. Masz mnie chyba za starego idiotę, za jakiego mnie uważa ten młody McCooley?... A kim są ci dwoje?

Oskar wypchnął Valentine i Lawrence'a naprzód, chcąc ich przedstawić.

- To jest Valentine... eee...

- Z WMUS-u - powiedziała Valentine.

- Tak, właśnie - ciągnął Oskar. - Valentine Zwmsu. Takie ma nazwisko. Prawda, Valentine?...

Valentine popatrzyła na Oskara okrągłymi oczami i kiwnęła głową bez słowa.

- Nigdy nie słyszałem takiego nazwiska! - mruknął podejrzliwie Leonid.

- Witam pana, szanowny panie! - Lawrence wykonał ukłon, żywcem wyjęty z innej epoki. - Nazywam się Lawrence de la Mine⁷, wicehrabia...

Valentine zapomniała o swoim zdenerwowaniu i parsknęła śmiechem.

- No tak, panu Smithowi wystarczy samo „Lawrence” - przerwał mu szybko Oskar.

Valentine pochyliła się i szepnęła do ucha swojego hepatolijskiego przyjaciela:

- To ja jestem chyba arcyksiężną... Skąd wzięłeś te ukłony i całą tę gadkę?

- Pochodzę przecież z kopalni w górze Hepatolii, zgadza się? - przypomniał jej chłopiec. - A kiedy zobaczyłem, że to starszy pan, w dodatku w muszce, pomyślałem, że wicehrabia pasuje. Podobało ci się?

- Ależ tak, bardzo, naprawdę! - zapewniła Valentine, poklepując go po ramieniu. - To było doskonałe, bardzo dystyngowane!

Lawrence uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Są Medykusami? - zapytał nieufnie Leonid. - Nigdy takich nie widziałem... W każdym razie nie w tych kolorach.

- Nosi się to teraz na dworze, drogi panie Smith - odparł Lawrence, bardzo pewny siebie, odkąd przestudiował Epopeję Medykusów markiza Alphonse'a, a zwłaszcza jej rozdziały na temat życia dworskiego w czasach Ludwika XIV.

- Ale... jaki znowu dwór masz na myśli? - zapytał Leonid, który powoli tracił cierpliwość.

- Ach, wie pan, po prostu na dworze, kiedy jesteśmy na szkolnym boisku! - ratował sytuację Oskar. - Zresztą jeśli już mowa o szkole - nie mamy dzisiaj lekcji i dlatego pomyśleliśmy, że przyjedziemy do pana wcześniej, niż byliśmy umówieni!

- Co takiego?! - zdenerwował się znowu Leonid. - Introdukcja, o ósmej rano?... Ależ

to szaleństwo! Ledwo wypilem kawę!

- Ale...

- Nie jestem jeszcze gotowy, koniec, kropka. Wracajcie do domu. Oczekuję was o dziesiątej, nie wcześniej.

Leonid odwrócił się na pięcie, Oskar zabiegł mu jednak drogę.

- Panie Smith, jeśli wszyscy wejdziemy o dziesiątej, będziemy się obijać o siebie i znowu będzie pan cierpiał na te ataki kaszlu! Tymczasem jeżeli podzielimy się na dwie grupy, niczego pan nie poczuje.

- Nie ma o tym mowy, powiedziałem już chyba! - krzyknął Leonid na tyle głośno, że mógłby obudzić całą okolicę.

Już miał zamknąć furtkę, kiedy Oskar odezwał się prawie równie głośno.

- Alistair miał rację! - wykrzykiwał ze złością. - Jest pan staruszką z paskudnym charakterem, a do tego uważam, że jest pan po prostu złośliwy!

Leonid znieruchomiał. Wściekłość zaczęła w nim buzować jak para w szybkowarze, ale - co dziwne - nie odezwał się ani słowem. Zmrużył tylko oczy i stał nieruchomo, nie odwracając się w stronę dzieci.

Lawrence i Valentine poczuli, że nadciąga burza z piorunami i przezornie cofnęli się kilka kroków. Lawrence próbował pociągnąć za sobą Oskara, chcąc także jego uchronić przed skutkami huraganu „Leonid”, ale chłopiec nawet nie drgnął.

- Naśmiewał się pan z ojca Alistaira, że zwariował, ale ja bym wolał raczej zwariować niż żyć z takim charakterem jak pański. Będzie pan żył wiele lat w

samotności, bo wszyscy uważają, że zachowuje się pan paskudnie!

Tym razem Leonid odwrócił się w ich stronę i stał z rękami skrzyżowanymi na plecach. Namyslał się przez krótką chwilę i zaczął się wpatrywać w Oskara z dziwnym uśmiechem. Ten wzrok palił jak ogień, ale Oskar dzielnie stawił mu czoła. Nie miał już nic do stracenia.

- A więc McCooley uważa, że zachowuję się paskudnie...

Oskar pokręcił głową.

- Tak naprawdę... to raczej ja tak uważam - wyznał młody Medykus.

- Jesteś lojalny wobec twojego opiekuna, to dobrze... Ale nie próbuj nawet bronić tego ćwoka McCooleya, który jeszcze o mnie niebawem usłyszy! - uniósł się znowu pan Smith i poczerwieniał jak pomidor.

Zaskakująco szybko - jak na jego wiek i tuszę - złapał całą trójkę i wprowadził dzieci do środka domu, po czym zamknął z trzaskiem drzwi.

- Zdejmijcie natychmiast wasze zabłocone buty, brudasy!

Zrobili, co im kazał, rozglądając się wokół niepewnie. Oskar miał poczucie, że po raz kolejny w życiu stracił nad sobą panowanie i prawdopodobnie posunął się za daleko. Nie martwił się o siebie, niepokoił go jednak fakt, że naraził na nieprzyjemności swoich przyjaciół. Jeśli Leonid poskarży się panu Brave'owi, ten być może zechce odesłać ich z powrotem do wnętrza organizmu. Valentine i Lawrence, stojący w skarpetkach pośrodku hallu popatrzyli na niego niespokojnie. Leonid pochylił się nad ich stopami i obrzucił je bacznym spojrzeniem.

- Nareszcie coś pozytywnego. Wasze skarpetki są czyste i nie ma w nich dziur.

Obydwoje podziękowali w myślach Cherie, która może i była fatalną kucharką i niepoprawną gadułą, miała jednak słabość do skrupulatnej czystości. Przynajmniej raz okazało się to całkiem przydatne!

- Chodźcie za mną - powiedział starszy pan, nadal jeszcze obłany potem z powodu niedawnych silnych przeżyć. - I nie ważcie się czegokolwiek dotykać!

Posłusznie ruszyli za nim. Weszli do pedantycznie wysprzątanego salonu Leonida. Oskar znał już ten pokój. Podobnie jak poprzednim razem, na meblach nie widać było choćby jednego pyłka kurzu. Nawet trofea łowieckie wydawały się raczej żywymi zwierzętami, tak lśniąca miały sierść.

- Nie sądzicie, że to jest ojciec Cherie? - szepnęła Valentine.

Obydwaj chłopcy wytrzeszczyli na nią oczy, nie ciągnęła zatem tematu.

Leonid usiadł ciężko na fotelu, sięgnął po karafkę i nalał sobie solidną porcję whisky do szklanki.

- Emocje wywołują pragnienie - powiedział. - Podobnie jak niegrzeczne i gwałtowne uwagi.

Młody Medykus powstrzymał się od odpowiedzi. Uznał, że dosyć już nagadał.

- Jesteś źle wychowanym chłopcem, Oskarze - ciągnął dalej Leonid. - I wszystko to, co miałeś czelność mi powiedzieć, jest absolutnie nie do przyjęcia.

Oskar spuścił wzrok i wymamrotał przeprosiny. Nie cierpiał, kiedy ktoś zarzucał mu, że jest źle wychowany: automatycznie dopatrywał się w tym zarzutu pod adresem jego matki.

- Ale muszę przyznać, że lubię ludzi odważnych i zdeterminowanych. A ponieważ nie jestem wcale tak złośliwy, jak twierdzą niektórzy... no więc pozwolę wam wejść do mojego Drugiego Królestwa.

Twarze dzieci rozjaśniły się szerokimi uśmiechami.

- I pospieszcie się, zanim zmienię zdanie, wy wielobarwne łobuzy! - wykrztusił Leonid pomiędzy atakami kaszlu.

Oskar położył swoją torbę na kanapie, żeby wyjąć potrzebne rzeczy.

- A co to ma być? - zdenerwował się starszy pan. - Pobrudzisz obicie! Kto wie, gdzie szargałeś tę torbę!

Oskar podniósł torbę i szukał w niej rzeczy, podczas gdy Lawrence trzymał ją w powietrzu. Oskar wyjął pelerynę, którą szybko zarzucił na ramiona, potem Pas Trofeów, którym się owinał. Upewnił się, że Grimoire jest na pewno schowany w wewnętrznej kieszeni, pod jedwabną podszewką, i że Trofea tkwią solidnie w swoich sakiewkach. Opuścił połę peleryny na szóstą sakiewkę, na której widniało logo jednostki PALOMA. Nie zapomniał o sakwie z bronią. Z niezwykłą ostrożnością ukrył w niej wcześniej zakazaną broń, porwaną z laboratorium Palomy Withers.

Wyjął medalion i odgarnął na boki połę peleryny, tak by osłonić nią także dwoje przyjaciół. Wpatrywał się intensywnie w serce Leonida.

- Oskarze Pillu!

Zaskoczony chłopiec opuścił rękę z medalionem, a Valentine i Lawrence wyłonili się spod zielonej, aksamitnej peleryny, haftowanej złotą nicią.

- Słucham, proszę pana?

- Nie miałeś absolutnie racji, nie mam wcale paskudnego charakteru.

- Nie, proszę pana.

Leonid pochylił się w stronę dzieci ze złośliwą miną.

- Tak naprawdę mam BARDZO, ale to bardzo paskudny charakter - sprecyzował. -
Więc uważajcie, jeśli narobicie tam bałaganu, strzeżcie się!

Oskar uśmiechnął się i znowu wyciągnął rękę z medalionem. Kątem oka zauważył, że na surowej twarzy Leonida także pojawił się uśmiech, a nawet lekkie mrugnięcie.

- Do zobaczenia, panie Smith! - powiedział Oskar, a potem ruszył w jego kierunku.

Kilka sekund później, kiedy w powietrzu rozplynął się już oślepiający błysk wywołany Introdukcją i opadł na ziemię jak złocisty pył, Leonid przymknął oczy i rozsiadł się w swoim fotelu.

Złociste oczy dziewczyny stojącej po drugiej stronie okna, ukrytej za gęstym, kwitnącym krzewem, zrobiły się nagle wielkie jak kule bilardowe. Wyglądała, jakby chwilę wcześniej zobaczyła lądujący statek kosmiczny z pozaziemskimi istotami. To było zupełnie nieprawdopodobne! Kto by jej uwierzył, gdyby wyznała, że widziała jak tamci zwyczajnie i po prostu zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, biegnąc w kierunku tego starego, gruboskórnego piernika? Nikt.

A przecież śliczna, choć złośliwa Tilla nie miała omamów: jej kolega z klasy wyciągnął dziwny klejnot, pobiegł w kierunku staruszka i nagle zniknął.

I to było z całą pewnością najpiękniejsze odkrycie jej życia.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że udało jej się wyciągnąć z tej zwariowanej Violette cenną informację na temat umówionej godziny spotkania...

Przemknęła wzdłuż domu, wyprostowała się i zniknęła niemal równie szybko jak Oskar i jego przyjaciele.

TARCZA MITRY

Podmuch wiatru sprawił, że Lawrence upadł na jakąś twardą powierzchnię. Wstał z trudem i rozejrzył się dookoła. Kiedy tylko to zrobił, przypadł znowu do ziemi.

- Wstawaj! - zawołał dobrze mu znany głos. - Co ty wyprawiasz?

- Odpoczywam, nie widzisz? - odparł Lawrence niepewnie. - Też sobie wymyśliłaś pytanie...

Poczuł czyjąś zyczliwą dłoń na ramieniu. Podniósł wzrok i ujrzał pochylonego nad sobą Oskara.

- Przepraszam, mieliśmy wylądować na plaży.

- A gdzie jesteśmy? - spytał Lawrence.

- Na moście, który prowadzi do miasta Eola. Trochę źle wycelowałem.

Lawrence cierpiał na lęk wysokości. Podniósł się ostrożnie, czepiając się kurczowo stalowych linek, łączących poszczególne pylony mostu. Silny wiatr wiał to w jedną, to w drugą stronę, most się chwiało i chłopiec poczuł, że ma mdłości. Rozejrzeli się dookoła.

Aż po horyzont otaczało ich morze. Pośród wzburzonych fal, na krańcu mostu wznosiło się wspaniałe Miasto Mgieł, z pałacem króla Eola na szczycie. Po przeciwnej stronie rozciągał się brzeg i wieże ZEFIR. W oddali widać było kaniony, które Oskar i jego towarzysze przebyli z takim trudem.

- No dobrze, skoro już tu dotarliśmy, jaki mamy teraz plan?

Oskar rozejrzał się w obie strony. Gdyby chcieli dojść do brzegu lub do miasta, trwałoby to z pewnością tak długo, że reszta grupy dotarłaby na miejsce i dokonała Introdukcji. Straciliby w ten sposób cały zapas czasu. Ale co wobec tego mają robić? W tym momencie zabrzmiał głuchy dźwięk, podobny do syreny alarmowej. Troje przyjaciół rzuciło się na skraj mostu, nawet Lawrence wychylił się niebezpiecznie. Ich oczom ukazał się ogromny okręt wojenny, płynący w dole po falach oceanu.

Oskar błyskawicznie podjął decyzję. Ścisnął mocno w dłoniach poły peleryny i zapytał przyjaciół:

- Gotowi?

- Gotowa! - zawołała Valentine.

- O nie, Oskarze, nie mów mi, że...

- Pospiesz się, Lawrence! - krzyknął Oskar, który przekładał już nogę przez balustradę mostu. - Nie ma czasu do namysłu!

Lawrence westchnął, przewrócił oczami, wzniosł błagalne modły do najwyższych mocy i zrobił to samo, co Valentine. Obydwoje schronili się pod peleryną Oskara i objęli go mocno.

- Lecimy! - wrzasnął Oskar.

Wszyscy troje skoczyli w tym samym momencie, krzyząc głośno - jedni z ekscytacji, inni z przerażenia.

Peleryna wydeła się na wietrze i dzielna trójka wyglądała teraz jak winne grono, uczepione parolotni, która unosiła się w powietrzu ponad sto metrów nad okrętem, popychana przez porywy wichru to w jedną, to w drugą stronę. Oskar pochylił głowę i zapikowali prosto w stronę powierzchni oceanu.

Już byli blisko okrętu, kiedy silniejszy od innych podmuch wichru sprawił, że znowu unieśli się do góry, a potem wpadli w korkociąg, krzyząc przy tym rozpaczliwie. Oskar uchwycił pelerynę ze wszystkich sił i udało mu się znowu wyprostować lot tego dziwnego szybowca z tkaniny.

- Oskarze, opuść pelerynę na prawo! - zawołał Lawrence. - Oddalamy się od okrętu i tracimy wysokość!

Lawrence był świetnym matematykiem, a przy tym nie miał żadnych problemów ze zrozumieniem spraw technicznych czy fizycznych. Nie czuł w sobie może awanturniczego ducha, ale można mu było ufać, jako pilotowi i Oskar posłuchał jego rady bez wahania. Zmienili kurs i przez chwilę kołysali się nad dziobem statku.

- Pikuj w ich kierunku, szybko! - zawołał Lawrence. - Kiedy będziemy już kilka metrów nad pokładem, musimy się nieco wznieść, żeby wylądować łagodnie na mostku!

Wszyscy troje opuścili głowy i zanurkowali w stronę okrętu jak kula armatnia. Kiedy jednak byli już bardzo blisko pokładu, wiatr znowu zmienił kierunek i przeniósł pelerynę na bok. Przechylili się za bardzo i spadli w letnią, czerwoną wodę oceanu, wnosząc olbrzymią falę. Pośród piany jako pierwsza wyłoniła się głowa Valentine, za nią wypłynęli także Oskar i Lawrence.

- Człowiek za burtą! - krzyczano tymczasem na pokładzie okrętu. Rzucono koła ratunkowe i spuszczone na linach szalupę. Oskar dopłynął do jednego koła, Valentine - do drugiego, Lawrence jednak rzucał się rozpaczliwie na wszystkie strony, żeby utrzymać się na powierzchni.

- Spokojnie, nie szarp się tak, stracisz siły! - krzyknął w ich kierunku silny, męski głos. - Połóż się na plecach! Będziesz się unosił na powierzchni!

Ale Lawrence tego nie słyszał, wpadł w panikę.

- Ja... nie umiem pływać!

Valentine i Oskar popatrzyli na siebie z przerażeniem. Młody Medykus pokonał wysokie fale i dotarł do przyjaciela ze swoim kołem ratunkowym. Lawrence złapał się koła, odkrztuszając ciecze, która zdążyła już zalać mu nos i usta. W tym momencie z okrętu zrzuciono trzecie koło. Uderzyło mocno w głowę Oskara, który przestał się ruszać i pogrzył się w wodzie. Valentine krzyknęła, zrozpaczona.

- Oskar! - zawołał bezsilnie Lawrence.

Zapominając o swoim przerażeniu i o tym, że nie umie pływać, Lawrence puścił koło ratunkowe i rzucił się w stronę miejsca, gdzie chwilę wcześniej widział Oskara, by złapać go za ramię, schwycić pelerynę lub choćby włosy chłopca. Na próżno jednak: sam zniknął pod wodą. Valentine udało się do niego dopłynąć, jednak ciało młodego Medykusa zniknęło im z oczu. Byli zdruzgotani.

Oskar walczył uparcie, żeby nie stracić przytomności. Jego własne ciało wydało mu się ciężkie jak ołów, nie był w stanie poruszać rękami i nogami. Słyszał oddalające się i gasnące głosy przyjaciół. Jego głowa zanurzyła się w falach oceanu.

Zapadła cisza. Wszystkie odgłosy, szum fal rozmyły się w głębi oceanu. Czuł, jak

otacza go ze wszystkich stron woda, czuł także unoszącą się wokół niego pelerynę. Zrozumiał, że zapomniał zaczerpnąć tchu, ale kiedy otworzył usta, do jego gardła i płuc wlała się woda. Poczuł, coś jakby wyładowanie elektryczne i otworzył oczy. Zrozumiał, co się dzieje, i starał się za wszelką cenę zachować spokój, chociaż kaszel pozbawiał go odrobiny powietrza, która mu jeszcze została. Wyciągnął medalion spod koszulki. Litera zalaśniła i wiązka promieni poszybowała ku powierzchni wody. Drugą ręką chłopiec owinał się peleryną. To była jego jedyna szansa ratunku. Powtarzał w myślach tych kilka słów, podobnie jak rok wcześniej: „Podnieś się w górę, peleryno, unieś się, wiem, że możesz. Ocal mnie”. Peleryna otuliła go i nie pozwoliła wymknąć się ostatnim pęcherzykom powietrza, które wypływały z jego ust. Oskar wdychał je łapczywie, peleryna zaczęła się tymczasem wznosić do góry. Zostało jeszcze kilka metrów; Oskar poczuł, że płuca go palą, jak gdyby zapłonął w nich nagle ogień. Zapadła noc, zrobiło się ciemno i cicho. Przed oczami przesunęło mu się w przyspieszonym tempie wiele różnych obrazów. Umieram. Spotkam się z ojcem - to były jego ostatnie myśli.

W tym właśnie momencie wypłynął na powierzchnię jak piłka wynurzająca się z wody. Wiele par rąk wyciągnęło go z morza i położyło na dnie łodzi. Otworzył oczy i ujrzał twarze przyjaciół. Malował się na nich jednocześnie niepokój i ulga. Valentine uściskała go bez słowa, co było do niej zupełnie niepodobne. A Lawrence powiedział zdławionym przez szloch głosem:

- Przepraszam cię, Oskarze, starałem się, tylko...

Oskar uniósł się, ale zanim zdołał odpowiedzieć, musiał odkrztusić wodę, jaka zebrała mu się w płucach.

- Nie powinieneś być, to mogło się okazać bardzo niebezpieczne! -- rzekł w końcu, nie śmiał jednak skomentować w żaden sposób tego, co Lawrence wykrzyczał parę chwil przedtem.

Nigdy wcześniej Lawrence nie przyznał się im, że nie umie pływać. A przecież bez

wahania rzucił się w stronę morza na pelerynie, później zaś puścił koło, próbując ratować przyjaciela. Valentine i Oskar popatrzyli na siebie bez słowa. Często najodważniejszymi nie są wcale ci, którzy głośno o tym mówią.

- W każdym razie, masz świetny refleks, chłopcze!

Oskar odwrócił się i zobaczył Gaela, kapitana straży króla Eola.

- Jak to... co pan tutaj robi? - spytał zdumiony.

Gael uśmiechnął się.

- Chyba raczej ja powinienem zadać ci to pytanie. Co robiłeś o ósmej trzydzieści w powietrzu nad okrętem straży wojskowej Miasta Mgieł? Cóż, możesz mi odpowiedzieć, kiedy już będziemy na pokładzie. Wszyscy troje zasłużyliście na odpoczynek.

- Odpoczynek? - zaniepokoił się Oskar. - Ależ nie mamy na to czasu!

- Ani słowa więcej! - stwierdził stanowczo Gael.

Posłuchali go, zbyt zmęczeni, by z kimkolwiek dyskutować.

Kiedy szalupa ratunkowa podpłynęła w pobliże burty okrętu, z góry zrzucano im drabinki. Valentine wdrapała się jako pierwsza, za nią ruszył Lawrence. Gael i dwóch marynarzy zostało jeszcze w łodzi, z Oskarem.

- Będziesz miał dosyć siły, by wejść na górę po drabince, czy chciałbyś, żebym ci pomógł? - spytał Gael.

Młody Medykus spojrział na wzburzone morze. Szalupa tańczyła na falach, które objęły się o burtę okrętu. Nie wolno mu było okazać słabości, inaczej Gael nigdy nie

pozwole mu ruszyć w dalszą drogę.

- Nie, w porządku, mogę wejść sam.

Z wielkim wysiłkiem podniósł się i położył dłoń na medalionie. Ożywił go ciepły prąd, który przepłynął przez całe jego ciało. Oskar popatrzył w dół: ujrzał nadzwyczaj silne, zielone światło, prześwitujące przez koszulkę. Było tak samo mocne jak tego dnia, kiedy Wielki Mistrz Medykusów związał ze sobą ich dwa medaliony. Uśmiechnął się i podniósł głowę do góry.

- No, dalej, rusz się, Oskarze! - zawołał Lawrence, który zerkał nadal niespokojnie w jego kierunku.

Młody Medykus postawił stopę na najniższym szczeblu drabinki, która chybotwała się na wszystkie strony, mimo że kapitan starał się ją trzymać mocną ręką. Oskar wspiął się jeszcze bez przeszkód na dwa szczeble, z kolejnego ześliznęła mu się noga. Przechylił się do tyłu i w ostatniej chwili złapał się drabinki, a Gael podtrzymał go w pasie. Wiatr uniósł połę peleryny Oskara i oczom kapitana ukazała się sakwa z napisem PALOMA. Jej zapięcie nieco się poluzowało, torba się rozchyliła i można było dostrzec w środku czerwoną poświatę.

- Co to jest? - zapytał Gael, zaintrygowany. - Widziałem rozmaite rodzaje broni Medykusów, ale żadna nie świeciła na czerwono...

Oskar zaczął się szybciej wspinać, jednocześnie zgarnął ręką sakwę z bronią. Rzucił okiem - podczas upadku odsunęła się pokrywka pudełka kryjącego zakazaną broń. Szybko ją poprawił i zamknął torbę.

- To nic takiego - powiedział. - Akcesoria od pani Withers.

Czując przypływ sił, wszedł szybko na górę i zeskoczył na pokład z bijącym mocno

sercem i nadzieją, że Gael zapomni szybko o tym, co przed chwilą zauważył. Przyjaciele ucieszyli się, widząc, że tak pewnie stoi na nogach i że wróciła mu energia. Nie domyślali się jednak, co było tego przyczyną.

Gael dołączył do nich, podobnie jak i dwaj strażnicy, którzy chwilę potem wciągnęli szalupę z powrotem na górę. Kapitan poprowadził ich na górny pokład, a tam weszli do obszernej kabiny. Była tam Kimi należąca do oddziału Gaela. Musiała być z nim blisko związana.

- Witaj, Oskarze! - powiedziała z uśmiechem. - Bardzo mi miło widzieć cię znowu. Stęskniłeś się za nami?

- A teraz wyjaśnijcie, co tutaj robicie - powiedział Gael, proponując im soki owocowe.

Valentine i Lawrence grzecznie odmówili.

- No tak, należycie przecież do świata wewnętrznego! - zdał sobie sprawę Eolczyk. - Nie pijecie tego typu napojów... Mamy tu zawsze coś takiego dla naszych gości z zewnątrz.

Oskar także nie czuł wielkiego pragnienia. Marzył o jednym - żeby jak najszybciej podjąć dalsze poszukiwania. Wydawało się, że Gael czyta mu w myślach.

- Nie wpadliście do nas z przyjacielską wizytą, prawda?

- Nie, to prawda - przyznał Oskar. - Chcielibyśmy się dostać do Drugiego Królestwa.

- Ale wydawało mi się, że miał wam towarzyszyć Alistair - zdziwiła się Kimi. - Poza tym kogoś brakuje. Czterech z pięciu osób - to sporo...

Obydwoje z Gaelem wpatrywali się w twarz młodego Medykusa, szukając wyjaśnienia.

Oskar starał się ze wszystkich sił ukryć swoje zmieszanie. Nie mógł wyjawić im celu tej wyprawy. Nie mógł też z niej zrezygnować.

- Cóż, podzielił naszą grupę na dwie części - powiedział pewnym głosem. - Nie za bardzo się mogliśmy dogadać.

- I wyruszyłeś tylko ty sam? - zdziwiła się Kimi. - To dziwny podział, ty jeden i cztery osoby w drugiej grupie...

- Pozwoli pani, że zwrócę pani uwagę na fakt, iż Oskar nie jest sam - powiedział Lawrence, czyszcząc starannie okulary.

- Valentine i Lawrence towarzyszą mi za zgodą pana Brave'a - dodał Oskar.

Teoretycznie nie mijał się z prawdą. Gael i Kimi popatrzyli na siebie, potem Gael wstał.

- No cóż, jeśli chcecie tam dotrzeć, możemy wam w tym pomóc.

Oskarowi zabłyśły oczy. Nareszcie sprawy szły w dobrym kierunku.

- Możecie nam pomóc? W jaki sposób?

Kimi podeszła do Valentine.

- Jeśli się nie mylę, ta panienska jest Erytrocytem z Wielkiego Systemu?

- To prawda, ale jestem tylko z wizytą w ludzkim organizmie - podkreśliła Valentine,

obawiając się, że zechcą ją odstawić pod eskortą w rodzinne strony. - Mieszkam teraz w świecie zewnętrznym, za zgodą pana Brave'a.

- Pan Brave chyba podejmuje sporo decyzji w waszym przypadku.

- O tak! - odparła Valentine z entuzjazmem. - Proszę mi wierzyć, że bardzo się polubiliśmy!

Gael uśmiechnął się, widząc tupet dziewczynki.

- Wierzę ci, nie martw się. No więc, skoro jesteś Erytrocytem, na pewno umiesz prowadzić Kapsułę...

- Chyba pan sobie ze mnie żartuje! - zawołała Valentine. - Nikt nie prowadzi Kapsuły lepiej ode mnie, może pan ich zapytać!

- Proszę jej uwierzyć na słowo! - zapewnił Lawrence pospiesznie. - Wolałbym, żebyśmy nie musieli tego państwu pokazywać, zwłaszcza jeśli mamy jej towarzyszyć.

Kimi pokręciła głową.

- Obawiam się, że nie macie innego wyjścia.

Pewnie, że rozumiałam! - niecierpliwiła się Valentine, zapinając pasy. - Umiem prowadzić Kapsułę i nie widzę powodu, żebym nie dała sobie rady z tym pojazdem! - ciągnęła, manipulując całym mnóstwem pokręteł i podświetlanych przycisków na tablicy rozdzielczej.

Najpierw przez dziesięć minut kluczyli po korytarzach okrętowych, a na koniec

dotarli w pobliże wyjścia awaryjnego. Gael musiał w tym miejscu zbliżyć do ekranu swoje oko.

- Dlaczego tak robi? - spytał Lawrence, którego niezwykle interesowały wszelkie nowinki techniczne.

- To urządzenie sprawdza, czy ma do czynienia ze źrenicą kapitana - wyjaśniła Kimi.

Weszli do dużego pomieszczenia, w którym znajdowały się liczne monitory i otwór, w którym bulgotała woda.

- Tam pod spodem jest już tylko morze - powiedział Gael.

- Dlaczego nas pan tutaj przyprowadził? - spytał Oskar, który cały czas liczył stracone minuty.

- Ponieważ jeśli chcesz się dostać do Królestwa Pompey, musisz tam dotrzeć przez morską głębię. Drugie Królestwo mieści się pod wodą, zapomniałeś?

W tym samym momencie członek załogi siedzący przed pobliskimi monitorami dał znak Gaelowi. Z wody wynurzył się peryskop, a następnie ciemna skorupa łodzi podwodnej.

- Oto Eol Sea III, zminiaturyzowana łódź podwodna, mieszcząca pięciu pasażerów. Służy nam podczas różnych kontrolnych misji nadgranicznych. Król Eol i jego siostra Mitra nie są ze sobą w najlepszych relacjach, między naszymi państwami istnieją jednak relacje dyplomatyczne i nie powinniście mieć żadnych kłopotów.

Kiedy tylko otworzyła się kłapa górnego wjazdu, Valentine natychmiast wskoczyła do środka, słuchając jednym uchem technicznych instrukcji Gaela.

- No dobrze, wsiadajcie, chłopcy! - powiedział Gael.

Oskar i Lawrence posłusznie weszli do łodzi.

- Znacie drogę?

- Jak to? - zawołała rozczarowana Valentine. - Nie ma GPS-u na pokładzie?

- Jest coś lepszego niż GPS. Nasze dwa królestwa wypracowały umowę, zgodnie z którą identyfikujemy wzajemnie swoje pojazdy. Jeśli więc oddalicie się od Miasta Mgieł w stronę Królestwa Pompy, to gdy tylko pojawicie się w zasięgu ich radarów, wasza łódź zostanie zidentyfikowana, zlokalizowana i pokierowana. Pozostanie ci tylko pozwolić, by ktoś doprowadził was na miejsce.

- Doskonale! Jesteście gotowi, chłopcy?

Nie czekała na odpowiedź. Za ledwie Gael zdążył się wyprostować i odszedł nieco od łodzi, kłapa włazu zatrzasnęła się, a łódź zniknęła w morskiej głębi.

W miarę jak łódź podwodna zanurzała się w wody morza Pompy, Oskar odkrywał wokół niej bajkowy i niezwykle świat, o którym do tej pory nie miał pojęcia, mimo tego, co słyszał o Drugim Królestwie z ust pani Withers czy innych Medykusów z Rady Najwyższej. Mijali niezwykle skomplikowane urządzenia, które wydawały się poruszać na fali prądów, bez załogi na pokładzie. Widzieli także konstrukcje spoczywające na dnie morskim, spotykali inne łodzie podwodne.

- O proszę, okręt wojenny Leukocytów! - zauważyła Valentine. - Pewnie pojawiła się jakaś nagła infekcja, pędzą ze sporą szybkością!

Nagle ich własny silnik zaczął się krztusić i Oskar musiał usiąść na swoim miejscu, żeby nie upaść.

- Co się stało? - zastanawiała się głośno Valentine, sprawdzając urządzenia kontrolne.
- Na monitorach nie widzę żadnej awarii...

- Nie, ale ta strzałka pokazuje, że dano nam łódź bez paliwa w baku! - zauważył Lawrence.

- No nie, to koszmar! - jęknęła dziewczynka. - My nigdy nie odstawiamy Kapsuły, zanim jej nie zatankujemy! Ci Eolczycy są zupełnie bezmyślni!

- Jest, tam! - zawołał Lawrence, pokazując coś palcem po prawej stronie kokpitu.

Valentine westchnęła z ulgą.

- Świetnie! Dajcie mi dwie minuty - powiedziała.

- Ale... o czym wy mówicie? - zapytał Oskar, który zupełnie nie rozumiał zachowania przyjaciół.

- Nie widzisz? Punkt zasilania!

Oskar zmrużył oczy i dostrzegł w końcu platformę, która przypominała mu... ależ tak, stację benzynową! Valentine zahamowała i łódź zatrzymała się przy pierwszej pompie. Z kabiny wyszedł pracownik w skafandrze; usłyszeli jego głos dzięki mikrofonowi, który miał wbudowany w kask.

- Lejemy do pełna?

- Tak, poproszę! - odpowiedziała Valentine przez swój mikrofon. - Zwykła napędowa

glukoza, dzięki.

Oskar ze zdumieniem obserwował tę scenę.

- A czym zapłacisz? - zapytał.

- No nie, to jakaś wasza obsesja z tym płaceniem! Tutaj wszystko jest wspólne. Dopóki coś jest dostępne, wszyscy mają do tego prawo, a jak czegoś brakuje, nikt tego nie dostaje, koniec, kropka! Czy to nie prostsze?

Podziękowała pracownikowi stacji radosnym uśmiechem i ruszyła z miejsca. Oskar rzucił okiem na zegarek - była dziewiąta. Mieli jeszcze godzinę do chwili, kiedy Alistair przyjedzie z resztą grupy do Leonida i dowie się, że Oskar już dokonał Introdukcji. Ogarnęła go panika.

- W drogę, Valentine! Jeszcze nawet nie zaleźliśmy granicy Królestwa Pompey...

Valentine przyspieszyła bez wahania. Wszystkich troje wbiło w fotele, a ich łódź zamieniła się w prawdziwą torpedę lawirującą między głębinowymi zakamarkami. Na szczęście Valentine nie wprowadziła ich w błąd, chwając się swoimi umiejętnościami pilotowania łodzi - z niesłychaną zręcznością omijała rozmaite przeszkody i niezliczone morskie stworzenia. Ich łódź podwodna ocierała się o setki Kapsułów, które poruszały się w tym samym kierunku.

- Co one tutaj robią? - zapytał Lawrence z zaciekawieniem.

- Nabrały do pełna tlenu w królestwie Eola i płyną tędy, żeby rozwieźć go po całym organizmie, tak mi się przynajmniej wydaje - odpowiedział Oskar.

- Żeby tylko nie natknęła się na kogoś z dalszej rodziny! - jęknęła Valentine i osunęła się niżej w fotelu.

Pogrzebała w schowku na rękawiczki i znalazła okulary przeciwsłoneczne, które czym prędzej założyła.

- Jesteś przekonana, że to konieczne? - spytał Oskar.

- Ostrożności nigdy za wiele! - stwierdziła dziewczynka.

Kilka minut potem, zanim jeszcze Oskar i Lawrence zdążyli cokolwiek zauważyć, powiedziała:

- Witajcie w Królestwie Pompey, przyjaciele!

Chłopcy wyglądali przez bulaje szeroko otwartymi oczami.

Przed nimi widniał gigantyczny, ciemnoczerwony, pręgowany mur, który ciągnął się tak daleko, że zdawał się nie mieć końca. Pośrodku widać było dwie bramy, które na zmianę otwierały się i zamykały.

- To Zastawki królestwa - oznajmił Oskar, przypominając sobie odpowiedni fragment lekcji. - Taką nazwę noszą te bramy. Kiedy jedna się otwiera, druga w tym samym czasie się zamyka, w zależności od kierunku prądu, który co chwila się zmienia, podobnie jak wiatry w Królestwie Oddechów.

Oskar miał rację. Wszyscy ci, którzy zmierzali do Królestwa Pompey, kierowali się w stronę bramy po prawej stronie, kiedy ta się otwierała. A kiedy była zamknięta, otwierała się z kolei brama po lewej, wypuszczając tych, którzy opuszczali królestwo, korzystając z przeciwnego prądu.

Kiedy zbliżyli się do prawej Zastawki, dobiegły ich dziwne dźwięki.

- Co to może być? - zastanawiał się Lawrence, sprawdzając jednocześnie monitory na panelu rozdzielczym.

- Ten dźwięk dochodzi gdzieś z zewnątrz. Nasila się, im bardziej zbliżamy się do zastawki. Uwaga!

Valentine nie miała czasu powiedzieć nic więcej - przyhamowała ze wszystkich sił, łódź zapikowała w dół i osiadła na dnie.

- Co się dzieje, zwariowałaś? - jęknął Lawrence, masując sobie głowę.

- Sam zobacz! - powiedziała, wskazując na mur.

Wszyscy troje przyglądali się w milczeniu dziwnemu widokowi. Zastawka była ogromną bramą, która bezustannie otwierała się i zamykała. Przy każdym takim ruchu straszliwie skrzypiała - zastawki Leonida były zardzewiałe i pokryte jakimś nalotem. Na deskach i zawiasach widniały wielkie, białawe plamy, łańcuchy naprężały się ze wszystkich sił, na próżno jednak: brama zaledwie się uchylała. Wiele podwodnych pojazdów próbowało mimo to przemknąć się przez to przejście, niektóre do Królestwa Pompy musiały przedzierać się siłą.

Oskar popatrzył na przyjaciół.

- Myślicie, że uda nam się przepłynąć przez tę Zastawkę?

Lawrence skrzywił się z powątpiewaniem.

- Zdziwiłoby mnie to. Nasza łódź podwodna jest większa od Kapsuła, a zobacz, z jakim trudem się przedostają...

- Tak czy inaczej, nie mamy innego wyjścia - stwierdził Oskar. - Valentine, możesz

spróbować to zrobić?

- Ależ oczywiście! - powiedziała entuzjastycznie, chcąc ich uspokoić. - Nie tylko spróbuję, ale też z pewnością mi się uda!

Lawrence opadł na swój fotel.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, ale... wolę zapiąć pasy. Będziesz musiała nieźle przyspieszyć!

- Ruszamy! Na siodła, kowboje! - zawołała, jakby brali udział w rodeo.

Łódź podwodna podniosła się z dna, silnik zawył na najwyższych obrotach. Ruszyli prosto w stronę Zastawki. Akurat prąd zmienił kierunek i Valentine nie musiała już z nim walczyć. Niósł ich teraz z ogromną siłą napierającej ściany wody w kierunku olbrzymich, uchylających się właśnie skrzydeł bramy.

- Teraz albo nigdy! - krzyknęła Valentine. - Trzymajcie się, idę na całość!

W chwili kiedy wpłynęli w ciasne przejście, Valentine zwiększyła szybkość do maksimum i łódź skoczyła naprzód.

Wszystko się zatrzęsło, zderzyli się z czymś. Zadygotali i usłyszeli przeraźliwy zgrzyt metalu. Łódź znieruchomiała pomimo intensywnej pracy silnika, który starał się za wszelką cenę przepchnąć ją naprzód. Rozejrzeli się po kabinie - jej ściany otarły się o skrzydła Zastawki i zdeformowały się. Pierwszy zareagował Lawrence.

- Spójrzcie! - zawołał. - Mamy przeciek. Do kabiny dostaje się woda!

Popatrzył na przyjaciół.

- Macie pomysł? Bo jeśli o mnie chodzi, wydaje mi się, że ciągle jeszcze nie umiem pływać...

Valentine spróbowała raz jeszcze. Skutek był taki, że do ich kabiny z części silnikowej napłynęła woń spalenizny.

- To nie ma sensu - powiedziała. - Ugrzęźliśmy.

Spojrzała na Oskara, który szperał po wszystkich zakamarkach.

- Może byś tak pomyślał, co mamy robić, zamiast sprzątać kabinę?

Wyszedł z kabiny bez słowa. Valentine i Lawrence popatrzyli na siebie w osłupieniu.

Kiedy kilka chwil potem Oskar wrócił, trzymając coś w rękach, w jego oczach błyszczała nadzieja.

- Zdaje się, że damy radę wydostać się stąd... i nie będziemy musieli pływać.

Młody Medykus mocno trzymał drążki skutera podwodnego. Odwrócił się i zerknął na przyjaciół. Dostrzegł przez szkło maski, że są tuż za nim. Wszyscy mieli na sobie czarne kombinezony osłaniające całe ciało. Byli też wyekwipowani w butle z tlenem. Najcenniejszą jednak zdobyczą były owe skutery wodne, na których posuwali się naprzód. Oskar był szczęśliwy, że udało mu się znaleźć ten sprzęt w łodzi. Popatrzył pytająco na Lawrence'a, jego przyjaciel jednak - zadziwiająco spokojny - świetnie sobie radził i dał mu znak, że wszystko w porządku. Spojrzeli do tyłu - została tam ich łódź, zaklinowana i porzucona w bramie Zastawki.

Przedostali się nareszcie do największej głębi morza, do krainy królowej Mitry: było

to serce Leonida.

Oskar posuwał się naprzód na czele ekspedycji. Zachowywał czujność i starał się unikać zderzenia z niezliczonymi tworam, poruszającymi się w tym podwodnym świecie. Były to oczywiście Prote & Ny, owe znane mu już, samodzielne i niezwykle skomplikowane maszyny, które przyczepiały się do innych części, aby je modyfikować, naprawiać lub rozdrabniać... Znajdowały się tu jednak także niezliczone żywe istoty, które przypominały nieco wirusy i bakterie z Pierwszego Królestwa. W przeciwieństwie do tamtych, nie przejawiały jednak żadnej agresji. Nie było tu tylko widać najmniejszej nawet ryby ani skrawka wodorostów...

Oskar poruszał się nieco po omacku, szukając miejsca, gdzie mógłby zatrzymać się na chwilę i pomyśleć, jak dalej szukać Szmaragdowej Tablicy. Chwilowo nie było jakichkolwiek śladów. Nikt nie udzielił mu żadnej wskazówki przed wyruszeniem na tę wyprawę, nie znalazł jej też po przybyciu na miejsce. Wolał nie rozmyślać nad tym zbyt długo i przyspieszył. Przez krótką chwilę słońce zaświeciło tak mocno, że jego promienie zdołały przedrzeć się na samo dno morskich głębin podwodnego królestwa. Oskar i jego przyjaciele poczuli wtedy, że pada na nich cień. Zatrzymali się i ujrzeli zdumieni, że przed nimi wznosi się olbrzymia owalna forma, przypominająca nieco dwa ogromne, sklejone ze sobą, ciemnoczerwone ziemniaki. Na ich szczycie, w świetle słońca świeciły jasno dwa serca - jedno purpurowe, drugie jasnoczerwone. Oskar dał znak przyjaciołom, żeby ruszyli za nim. Zbliżył się do niezwyklej struktury i dostrzegł, że jest usiana otworami. Jeden z nich, usytuowany pośrodku i większy od innych, przypominał wejście. Podchodząc bliżej, młodzi podróżnicy dostrzegli, że wokół wejścia widniały rozmaite ornamenty, jak gdyby wiły się wokół niego niezliczone, splątane korzenie.

Kiedy stanęli przed bramą, Oskar poczuł ciepło na wysokości piersi. Rozpiął kombinezon i wyciągnął jasno świecący medalion. Zauważył, że wokół wejścia także pojawiła się świetlista linia, z której światło popłynęło w stronę zdobień, zmieniając je w

iskrzącą girlandę. Brama rozsunęła się cicho i cała trójka weszła do Pałacu Wieńcowego.

Obejrzelili pustą, owalną przestrzeń, która się przed nimi rozciągała. Brama wejściowa zasunęła się tymczasem za ich plecami. Ruszyli wzdłuż ścian, aż w końcu Valentine przywołała ich do siebie, znalazła bowiem wąski otwór, przez jaki mogli ruszyć dalej. Prześliznęli się, musieli jednak zostawić skutery podwodne. Lawrence rzucił okiem na wskaźnik poziomemu tlenu. Oddychał dosyć szybko i zużył już osiemdziesiąt procent zawartości butli. Była najwyższa pora, żeby wydostać się znowu ponad powierzchnię wody, ale jak i gdzie?

Znaleźli się w okrągłym, kominowym pomieszczeniu. Stąd także nie było widać żadnego wyjścia. Lawrence oddychał z coraz większą trudnością. Odwrócił się do wąskiego przesmyku, którym tu dotarli, ale ten już zniknął! Byli w pułapce.

Zaczęli obmacywać każdy kawałek ściany, chcąc znaleźć najmniejszą choćby szczelinę, jakikolwiek otwór, na próżno jednak. Valentine także oddychała już z dużą trudnością. Jej butla była niemal pusta. Oskar podszedł do nich zrozpaczony. Dlaczego zaciągnął ze sobą przyjaciół aż tutaj, gdzie zapewne wszyscy za chwilę utoną? Wyciągnął w ich stronę zapasową rurkę, by mogli zaczerpnąć tlenu z jego butli, odmówili jednak. Oskar zachęcał ich jeszcze, kiedy dziwne pluski i chlupot nad głowami odwróciły ich uwagę. Wszyscy podnieśli wzrok i zauważyli, że dzieje się coś, czego się zupełnie nie spodziewali - poziom wody w cudowny sposób zaczął się obniżać.

Bez namysłu podpłynęli do góry, machając gwałtownie rękami, by szybciej znaleźć się na powierzchni. Kiedy tylko zdołali wynurzyć się z wody, zrzucili maski i przewody, dostarczające im tlen, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

- Tym razem myślałam, że już naprawdę po nas! - przyznała zdyszana Valentine. - Ale gdzie my utknęliśmy? - spytała, gdy tymczasem poziom wody nadal opadał.

Żaden z chłopców nie był jednak w stanie udzielić jej odpowiedzi.

Oskar pierwszy dotknął stopami ziemi. W końcu usiedli wszyscy na mokrym i lepkim podłożu. Znajdowali się w czymś, co przypominało szczelnie zamknięty przewód kominowy. Jedyne otwory znajdowały się na dole: była tam kratka, przez którą odpłynęła woda. Zdjęli z siebie skafandry do nurkowania i resztę sprzętu.

- Niespecjalnie martwi mnie fakt, że znowu stoimy obiema nogami na ziemi - przyznał Lawrence.

- Nie potrwa to pewnie zbyt długo - uprzedziła go Valentine. - Musimy się w końcu stąd wydostać. Ja w każdym razie nie zamierzam tu zostać w formie szkieletu.

- Zostałaś wysłuchana, Valentine! - powiedział Oskar, patrząc na ścianę. - Spójrz!

W ścianie ukazała się szczelina. Odsunął się panel, odsłaniając przejście wielkości drzwi. Oskar i jego przyjaciele przeszli ostrożnie na drugą stronę.

Obracali się, rozglądając się dookoła w niemym podziw. Znaleźli się w olbrzymiej sali, której strop znajdował się gdzieś bardzo wysoko nad ich głowami. Jej przejrzyste, purpurowe ściany wydawały się podświetlone od zewnątrz. Widać było na nich rozległą siatkę rozgałęziających się naczyń, wyglądających podobnie jak żyłki w suszonym, spreparowanym liściu.

- To wygląda zupełnie tak, jakbyśmy się znaleźli w środku olbrzymiej pajęczyny! - zachwycała się Valentine. - Cudnie tu jest!

Jeszcze większe wrażenie robiła na nich cisza, która panowała w tym miejscu, cisza, przerywana jedynie biciem serca Leonida. W głębi tej niesamowitej sali wznosiły się schody pokryte czerwonym dywanem; wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Pod ścianami, na których wisiały abstrakcyjne obrazy przedstawiające nieregularne układy linii, stały kanapy pokryte bordowym aksamitem. Nie mieli zbyt wiele czasu, by

podziwiać ten wspinały hall. Po przeciwnej stronie otworzyły się z hukiem dwuskrzydłowe drzwi i grupa uzbrojonych strażników rzuciła się w ich kierunku.

- To Makrofagi! - zawołał poblady z przerażenia Lawrence. - Biorą nas za ciała obce!

- No to co, wyjaśnimy im, że owszem, jesteśmy obcy, ale... - zaczęła mówić Valentine.

- Nie ma żadnego „ale”! - odpalił Lawrence. - Dla nich ciało obce to zagrożenie: trzeba je wyeliminować, koniec, kropka!

Oskar nie wahał się ani chwili dłużej.

- BIEGIEM!

Ruszyli błyskawicznie w stronę schodów, na które zaczęli się szybko wspinać, z groźnymi Makrofagami królowej tuż za plecami.

- Te schody... nigdy... się nie skończą! - sapał Lawrence, któremu przeszkadzała nadwaga i brak zaprawy.

Oskar zerknął do tyłu. Zbrojni strażnicy byli coraz bliżej. Nie zwalniając, sięgnął do torby z jednostki PALOMA i wyjął kryształ w formie śnieżynki, dzieło Livii.

- Biegnijcie, zaraz do was dołączę! - zawołał do Valentine i Lawrence'a, starając się przymocować kryształ do swojego medalionu.

- Nie ma mowy, nie zostawimy cię samego! - powiedziała Valentine.

- Nie możemy cię zostawić! - zgodził się z nią odważnie Lawrence.

- Biegnijcie dalej! - rzucił Oskar wyjątkowo stanowczo. - Za chwilę będę z wami. No już!

Obydwoje posłusznie uciekali, zerkając co jakiś czas na przyjaciela; Oskar tymczasem odwrócił się w stronę ścigających strażników. Rzucił okiem na swoją broń i przypomniały mu się słowa Palomy: „To niezwykle skuteczne urządzenie, żeby zneutralizować wrogów, Patologusów i innych, ale można stosować je w każdej sytuacji. Przede wszystkim staraj się myśleć, kochanie, staraj się myśleć, to najlepsza możliwa broń!”.

Miał nadzieję, że zastosuje się do rady Palomy co do joty. Oby tylko była to słuszna decyzja! Poczul dreszcze, ale stanowczym ruchem podniósł rękę z medalionem. Jego energia skupiła się na literze M, a przenikając przez kryształ, zmieniła się w błękitnawe promienie, którymi uderzył w stopnie schodów w dół. Na schodach pojawiła się warstwa lodu.

Żołnierze byli już zaledwie trzydzieści metrów od niego. Wyciągali długie ramiona najeżone żelastwem, chcąc go dorwać. Czuł, jak w skroniach wali mu tętno, nie zrezygnował jednak i dalej wodził promieniem z medalionu wzdłuż stopnia, a potem także po balustradzie, z obu stron. Kamień pokrył się kryształkami lodu, które zappełniły każdą najmniejszą szczelinę i przybrały białą barwę.

Nareszcie pojawiło się pierwsze pęknięcie.

Strażnicy zbliżali się błyskawicznie i ten, który wydawał się ich przywódcą - największy, najpotężniejszy, najbardziej przerażający - postawił już nogę na zamarzniętym stopniu. Przepadło! - pomyślał Oskar. - To nie działa... Cofnął się i zamknął oczy.

Usłyszał wybuch. Otworzył oczy w samą porę, by ujrzeć jak stopień schodów

rozbryzguje się w drobne kawałki pod wpływem mrozu i spęczniałego w szparach lodu. Chwilę potem cała dolna partia schodów zaczęła się chwiać. Strażnik przez moment łapał równowagę, później jednak runął na dół, razem z całym swoim oddziałem. Oskar wbiegł na górę, przeskakując po kilka stopni naraz, i dołączył do czekających na niego przyjaciół.

- Brawo, Oskarze! - zawołał Lawrence, z którego pot lał się strumieniami. - Bałem się, że to się naprawdę źle skończy...

- Czegoś tu nie rozumiem - zdziwiła się Valentine. - Weszliśmy dzięki twojemu medalionowi, to chyba najlepiej świadczy o tym, że Medykusi uznawani są tutaj za przyjaciół. Dlaczego Makrofagi nas zaatakowały?

- Może dlatego, że wy dwoje nie jesteście Medykusami? - powiedział Oskar.

Rozejrzał się na prawo i na lewo - w obu kierunkach ciągnęły niekończące się korytarze.

- Co dalej? - zapytał Lawrence. - Za chwilę pojawią się kolejni strażnicy, to więcej niż pewne.

- Masz rację, bez wątpienia! - zawołała Valentine, wskazując korytarz po lewej stronie. Bez namysłu pobiegli w drugą stronę, umykając przed kolejnym oddziałem, który deptał im po piętach. Ledwo zdążyli trochę odsapnąć po poprzednich przeżyciach i emocjach, strażnicy znów szybko się do nich zbliżali.

- Trzeba coś wymyślić i to szyyyybko! - pisnęła Valentine. - Zaraz nas dogonią i złapią, są szybsi!

Oskar już miał coś powiedzieć, żaden jednak dźwięk nie wydobył się z jego ust: nagle otworzyły się drzwi przed nimi, ktoś wysunął ręce, złapał młodego Medykusa i

wciągnął go do pomieszczenia. Kiedy Valentine i Lawrence zatrzymali się jak wryci, nie wierząc własnym oczom - te same ręce pojawiły się znowu, tym razem po nich.

Ktoś obdarzony niezwykłą siłą trzymał ich przy ścianie, niedaleko drzwi.

- Ani słowa! - usłyszeli szept. - Bądźcie cicho!

Drzwi zamknięto równie błyskawicznie, jak przedtem je uchylono. Usłyszeli, jak korytarzem przebiega kawalkada strażników i jak stopniowo ich tupot się oddala. Wszyscy troje wyprostowali się powoli, ledwo dysząc. Przed nimi stał szczupły mężczyzna o wyjątkowo potarganych włosach.

- Alistair! - wykrzyknął Oskar, jak gdyby ujrzał samego Pana Boga. - Jak to się stało?... Nie został pan z resztą grupy?

Alistair położył palec na ustach Oskara, nakazując, by chłopiec umilkł. W pomieszczeniu było ciemno i wyglądał jak duch. Mimo ciemności Oskar przyjrzał się młodzieńcowi - wydawał się bardziej mizerny i bledszy niż zwykle. Tylko w głębi jego źrenic nadal lśniło owo lodowate światełko.

Zdjął palec z ust chłopca i powiedział cicho:

- Już miałem jechać do Cumides Circle, kiedy dowiedziałem się, że wyruszyłeś samodzielnie - wyjaśnił. - Ale spokojnie, mam czas, spotykamy się dopiero po południu.

- Mieliliśmy być o dziesiątej rano u Leonida, Alistairze! - zwrócił mu uwagę zdziwiony Oskar. - I chyba nawet już jest pan spóźniony, jest za kwadrans dziesiąta...

Alistair skrzywił się.

- Nieważne. Może i powinienem być gdzie indziej, ale obiecałem, że ci pomogę,

muszę więc dotrzymać danego słowa - powiedział. - Jesteś już blisko... twojego celu - dodał oględnie, zerkając na towarzyszy Oskara.

Słuchając Alistaira, Oskar poczuł, że w parę sekund zniknęło gdzieś całe jego zmęczenie. Rozejrzał się, usiłując dojrzeć, gdzie się właściwie znaleźli.

- Gdzie się dokładnie znajdujemy? - zapytał gorączkowo.

Alistair wyciągnął rękę i nagle - jakby cudem - znalazła się w niej płonąca pochodnia. Dzieci rozejrzały się dookoła: znajdowali się w pomieszczeniu nie tak rozległym jak hall, jego strop znajdował się jednak bardzo wysoko. Było tu także dużo więcej mebli. Ściany pokryte były gobelinami, utrzymanymi w barwach ciemnej i jasnej czerwieni, szafiru i złota. Jedna z tkanin ukazywała królestwo w całej jego postaci z otaczającym go, olbrzymim i owalnym murem, w którego środku znajdował się pałac. Na innym arrasie widniała kobieta o długich, siwych włosach, w koronie z rubinów w formie serc. Na kolejnym kilimie przeważały kolory biały i błękitny, co wydawało się nieco dziwne w tym świecie czerwieni. Przedstawiał królestwo Eola.

W głębi Sali, na podwyższeniu przykrytym fioletowym aksamitem, stał bogato zdobiony, drewniany tron. Jego nogi, oparcie i podłokietniki przywodziły na myśl raczej koronkę niż drewno.

- Jesteśmy w sali tronowej Królestwa Pompey - powiedział Alistair monotonnym głosem. - Tu właśnie sprawuje swoją władzę Mitra, siostra króla Eola; tutaj gromadzą się też jej doradcy.

Oskar popatrzył na niego zdziwiony. Mówił jak automat, w jego głosie brak było jakiegokolwiek intonacji. Co też mu się znowu stało?... Po raz kolejny miał luki w pamięci i dziwnie się zachowywał. Chłopiec mocno się zaniepokoił. Bardzo lubił Alistaira, mimo że jego zmienne nastroje bywały nieco męczące. Raz zachowywał się niezwykle przyjaźnie, jak gdyby był jego starszym bratem, to znów wydawał się lodowaty i

nieprzystępny. Oskar głowił się, czy nie należałoby o tym powiedzieć panu Brave'owi albo chociaż pani Withers, która bardzo sobie ceniła Alistaira. Z pewnością wiedziałyby, co w takiej sytuacji zrobić.

U stóp podwyższenia Oskar zauważył postument, wysokości mniej więcej jego wzrostu. Popatrzył nań z zaciekawieniem. Wirowała nad nim chmura purpurowej mgły, skrywająca przedmiot, którego Oskar nie mógł dokładnie rozpoznać. Valentine, równie zainteresowana zjawiskiem, przeszła przez salę i zatrzymała się przed kolumną.

- Bardzo piękne! - powiedziała. - Co to takiego jest?

Głos Alistaira zabrzmiał z końca sali, tym razem był nieco bardziej ożywiony.

- To berło królowej.

Valentine cofnęła się o krok. Wolała patrzeć z pewnego dystansu na ten podłużny przedmiot wysadzany klejnotami. Wszystkie drogie kamienie uformowane były w ten sam sposób, co rubiny zdobiące koronę królowej na gobelinie: miały kształt serca i każdy mienił się tysiącem oszlifowanych fasetek.

Alistair podszedł bliżej, a za nim chłopcy.

- To berło jest nie tylko piękne - powiedział Alistair do Oskara - lecz także może się okazać niezwykle użyteczne. Właściwie będzie ci niezbędne, by dostać się do miejsca, którego szukasz.

- Berło pomoże nam znaleźć Tablicę? - spytał Lawrence sceptycznie. - W jaki sposób?

Alistaira zaskoczyło to pytanie z ust Hepatolijczyka.

- To moi przyjaciele, powiedziałem im o wszystkim - zaznaczył Oskar.

Alistair wydawał się zbity z tropu.

- Powinieneś być bardziej dyskretny - i ostrożniejszy!

- Jesteśmy przyjaciółmi - powiedziała Valentine. - A to znaczy, że nikomu o tym nie powiemy i nigdy nie zdradzimy Oskara. Czy pan wie, co to znaczy przyjaciel?

Oskar i Lawrence popatrzyli na Valentine, zdumieni jej śmiałością. Alistair nie zwrócił jednak większej uwagi na to bezczelne pytanie.

- Tak czy inaczej już i tak za późno, co się miało stać, to się stało - westchnął. - Poza tym przynajmniej nie będziesz sam, nie mogę ci przecież towarzyszyć.

- No dobrze - przerwała mu Valentine, wyciągając rękę w kierunku chmury mgły. - Skoro to berło jest nam niezbędne, musimy je po prostu zabrać, koniec, kropka! Odniesiemy je grzecznie na miejsce, kiedy już znajdziemy to, czego szukamy.

Alistair powstrzymał ją.

- Nie rób tego! - uprzedził.

- Dlaczego? Mówił pan, że musimy je mieć!

- Tylko królowa może je wziąć.

- Co się stanie, jeśli ktoś dotknie tej mgły? - zapytał Oskar.

- Wewnątrz jest specjalny gaz, który w połączeniu z powietrzem natychmiast wybuchnie - odparł młodzieniec.

- Wobec tego jak możemy je zabrać?

- Tylko królowa może to zrobić. Albo... Medykus.

- To znaczy, że pan także może je wziąć do ręki - powiedział Lawrence, patrząc na Alistaira nieufnym wzrokiem.

Alistair ledwo dostrzegalnie się cofnął.

- Nie, to musi być ta sama osoba, która później będzie trzymała berło przez co najmniej kwadrans.

Oskar odsunął Valentine i stanął przed postumentem.

- Zaczekaj! - powiedział Alistair. - Jeśli włożysz rękę w tę mgłę, nastąpi wybuch!

- Przecież powiedział pan przed chwilą, że Medykus może tego dokonać!

- Medykus wywoła wybuch, podobnie jak każda inna istota. Istnieje jednak pewien sposób, żeby to zrobić bezpiecznie.

Oskar zastanawiał się przez chwilę. Przyszła mu na myśl tylko jedna rzecz związana z Zakonem, która mogła go osłonić przed niebezpieczeństwem.

- Moja peleryna?... - zapytał.

- Dokładnie tak. Zawieś ją na tej kopule z mgły, zanim zrobisz cokolwiek innego.

- Nie ma pan peleryny? - zapytał Lawrence.

- Spieszyło mi się, nie wziąłem jej ze sobą...

Nie dało się usłyszeć końca zdania z powodu zgiełku, jaki zapanował na korytarzu. Hałas przypominał pościg, wyglądało jednak na to, że jest dosyć daleko od sali tronowej. Mimo to nie należało tracić czasu. Alistair uchylił drzwi, wyjrzał na korytarz, a potem zamknął je z powrotem.

- Za chwilę się tu pojawia! - mruknął, spięty. - Szybko, rób, co ci powiedziałem!

Oskar odwiązał swoją pelerynę i zarzucił ją na purpurową mgłę. O dziwo, peleryna trzymała się na niej, jak gdyby była szklaną kulą.

- Teraz możesz ją podnieść! - polecił Alistair.

Valentine i Lawrence cofnęli się, za późno jednak: nastąpił wybuch, peleryna pofrunęła w górę, a troje przyjaciół odrzuciło na drugi koniec sali. Nawet Alistair musiał przytrzymać się fotela, by nie stracić równowagi.

Oskar natychmiast wstał i podbiegł do postumentu. Zniknęła purpurowa mgielka i peleryna zawisała teraz bezpośrednio na berle. Spojrzał pytająco na Alistaira. Ten zachęcająco machnął ręką. Oskar ostrożnie uniósł swoją pelerynę.

Na ziemię opadły jak śnieg setki kryształków, które przyczepiły się do włókien materiału. Oskar strzepnął pelerynę i delikatnie ściągnął ją na dół. Ich oczom ukazało się berło Mitry, nietknięte, iskrzące się złocistymi i czerwonymi ognikami.

Oskar zawahał się, brak mu było tchu. Po plecach spłynęła mu strużka lodowatego potu. Popatrzył na przyjaciół i podjął decyzję: wyciągnął rękę i chwycił berło. Nic się jednak nie wydarzyło, nie było błyskawic, wybuchów, a on sam pozostał cały i zdrowy. Przymknął oczy z ulgą.

W tym samym momencie Lawrence i Valentine odetchnęli głęboko.

- Bałem się, że berło królowej jest zaczarowane, i że spadnie na nas jakaś straszna klątwa - wyznał Lawrence.

Valentine poklepała go życzliwie po ramieniu.

- Mówiłam ci już, czytasz za dużo powieści. A tutaj jest prawdziwe życie, magia i klątwy nie istnieją...

Obydwaj chłopcy popatrzyli na nią i uśmiechnęli się lekko. Zerknęła na postument i zmieniła nieco zdanie.

- No dobrze, powiedzmy, że... prawie nie istnieją.

Krzyki na korytarzu przywołały ich do rzeczywistości i przypomniały o zagrożeniu. Słychać było szcęk zbroi i broni, odgłosy pospiesznych kroków.

- Będą przeszukiwać wszystkie kąty w pałacu! - ostrzegł ich Alistair. - Trzeba się szybko ukryć. Chodźcie za mną!

- Ale gdzie mamy iść? - spytał Oskar. - Wszędzie są żołnierze, nie możemy uciekać tą drogą, którą tu dotarliśmy...

Młody człowiek popatrzył na niego tajemniczo.

- A kto mówi, że opuścimy tę salę? Podejdź szybko do tronu!

Oskar posłusznie się zbliżył.

- Popatrz, tam na szczycie oparcia są dwa rubiny w kształcie serca, jeden

jasnoczerwony, a drugi ciemniejszy.

- Tak, to symbol królestwa, widzę je! - potwierdził Oskar.

- Przyłóż berło między tymi dwoma rubinami, pospiesz się!

Oskar wspiął się na palce i włożył trzonek berła w zagłębienie między rubinami.

Nogi fotela rozjarzyły się jasnym blaskiem, który rozprzestrzenił się jak płomień, obejmując podłokietniki i oparcie, a w końcu także obydwa drogocenne kamienie.

Podwyższenie zaczęło drżeć, a potem mocno się zatrzęsło.

W tym samym momencie ktoś zaczął dobijać się do drzwi, które Alistair na szczęście zdążył wcześniej zamknąć.

- OTWIERAĆ! - wołał zza drzwi czyjś rozkazujący głos. - OTWÓRZCIE DRZWI!

- Wskakujcie szybko na podwyższenie, spieszcie się! - krzyknął Alistair. Pobiegnął w stronę drzwi i zabarykadował je ławami.

Valentine i Lawrence nie kazali sobie tego powtarzać dwa razy, wskoczyli na podwyższenie, dołączając do Oskara, skulonego pod peleryną. W tym momencie cała konstrukcja zaczęła zagłębiać się w posadzkę. Podłoga niejako zapadała się pod ich stopami. Alistair popatrzył na nich - widać ich już było tylko od pasa w górę.

- A pan? - zawołał Oskar.

- Nie martw się o mnie, zaraz wracam po resztę twojej grupy!

Na korytarzu ktoś postanowił wyważyć drzwi, waląc w nie coraz mocniej.

- Życzę ci szczęścia, Oskarze Pillu! - powiedział Alistair, nie spuszczać go z oczu. Mówił dziwnym głosem, który nagle wydał się chłopcu zupełnie obcy.

Platforma zjeżdżała coraz niżej. Oskar widział jeszcze, jak drzwi zaczynają się rozpadać pod ciosami z zewnątrz. Później nad ich głowami zasunęły się dwie płyty i pograżyli się w całkowitej ciemności.

Drzwi rozpadły się w końcu na tysiąc kawałków i do sali tronowej wpadła grupa uzbrojonych po zęby żołnierzy. Szybko rozsunęli się na dwie strony i stanęli na baczność w dwóch szeregach.

Zapadła cisza. W drzwiach ukazała się kobieta nader wysokiego wzrostu. Miała na sobie prosto skrojoną, purpurową suknię, usta tej samej barwy, co suknia, i kontrastujące z nimi nieprawdopodobnie długie, siwe włosy, które spływały za nią falą jak tren panny młodej. Przez chwilę stała zupełnie nieruchomo, tylko jej ciemne oczy przesuwaly się po całej sali tronowej, jak gdyby chciała się zorientować, co się w niej właściwie wydarzyło.

Weszła do środka i zatrzymała wzrok na postumencie, dostrzegła skryzalizowaną mgłę rozsypaną na ziemi, a za nią z tyłu - pustą przestrzeń, w miejscu, gdzie przedtem było podwyższenie i tron. Odruchowo podniosła dłoń i ujęła wiszący na szyi medalion, składający się z dwóch połączonych serc. Popatrzyła na nie. Zupełnie straciły swój blask.

Podeszła do postumentu i wściekłym ruchem ręki starła ostatnie, purpurowe okruszyny. Odwróciła się. Jej pomarszczona twarz pobladła, jednak oczy płonęły jak pochodnie.

- Romano! - zawołała.

Podszedł do niej młody człowiek o delikatnych rysach twarzy. Nie nosił brody ani

wąsów, miał też wygolone brwi i włosy.

- Berło zniknęło, wasza wysokość. Tymczasem nikt poza królową nie może wziąć go do ręki. Nikt... chyba że Medykus.

Popatrzyła na огоłocony postument. Mężczyzna przesunął nerwowo dłonią po swojej gładkiej czaszce, zawahał się, po czym pochylił się w stronę królowej i powiedział cichym głosem:

- Zniknął tron, co znaczy, że człowiek, który zabrał berło, kieruje się w stronę groty i sali...

- Wiem! - przerwała mu Mitra. - Wiem o tym równie dobrze jak ty.

Doradca królowej skłonił się i cofnął.

I w tym momencie w głębi sali, w cieniu ciężkiej tkaniny kotar dostrzegła coś, czego wcześniej nie zauważyła - szczupłą, wysoką postać znanego sobie mężczyzny. Chwilę później w tym samym miejscu błysnął już tylko iskrzący dym, człowiek zniknął. Nie było nikogo poza nią i żołnierzami.

Jej doradca odwrócił się i dostrzegł to samo zjawisko. Popatrzył niedowierzająco w stronę królowej.

- On? - wyszeptał. - Czy... czy to możliwe?

Mitra uniosła głowę i przemówiła lodowatym tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Szukajcie go. Znajdźcie Alistaira McCooleya. Szybko! I chcę go tu mieć żywego.

Ruszyła szybkim krokiem w kierunku wyjścia, za nią Romano i żołnierze, gdy nagle

ziemia zatrzęsała się ze straszliwą mocą. Światła w korytarzu zamigotały i zgasły.

- Królowa! - krzyknął Romano. - Chrońcie królową!

Żołnierze sformowali wokół swojej władczyni prawdziwą, żywą tarczę, najeżoną bronią. Romano wyjął z pochwy, przymocowanej do pasa, dziwny sztylet, roztaczający czerwoną poświatę. Mitra wydostała się spoza rzędu żołnierzy.

- To nie był atak - powiedziała stanowczo.

- A zatem co to mogło być? - zapytał Romano, przyglądając się uważnie otoczeniu, obserwując każdy najmniejszy ruch. - Czy możemy być tego pewni?

- Jestem pewna - stwierdziła królowa. - Po prostu dobrze znam tego starego gamonia, Leonida Smitha! - ciągnęła, idąc szybko korytarzem, w otoczeniu straży. - Trzeba ogłosić alarm w całym królestwie!

TRAGICZNY DYLEMAT LEONIDA

To prawda, że Mitra dobrze знаła Leonida.

Kiedy tylko troje dzieci zniknęło w jego organizmie, starszy pan usiadł w swoim fotelu, przy butelce whisky, trwając w stanie głębokiego namysłu, czy aby wypada napić się alkoholu o ósmej rano. Trzeba przyznać, że wiele argumentów przemawiało za tym, że owszem, tak. Po pierwsze, Leonid kochał whisky, a kiedy człowiek kocha - nie liczy ani pieniędzy, ani czasu. Dlatego też sprawdzenie godziny na zegarku wydawało mu się zupełnie bez sensu. Po drugie, alkohol uspokajał go, a przynajmniej tak mu się wydawało... Tymczasem ta nieoczekiwana wizyta bardzo go zdenerwowała. A zwłaszcza zdenerwowało go to, co powiedział ten młody arogant, Oskar Pill.

Swoją drogą ta arogancja wcale go nie zaskoczyła. Po ostatniej wizycie McCooleya z grupą tych smarkaczy, tydzień temu, zasięgnął informacji. Pomiędzy kolejnymi szklaneczkami whisky zdołał wypytać swojego syna Leonarda, który był Medykusem - podobnie jak jego matka, świętej pamięci pani Smith, żona Leonida, świeć Panie nad jej duszą! Leonard opowiedział mu o rodzinie Pillów same dobre rzeczy - zwłaszcza o ojcu Oskara, który był wspaniałym facetem i dokonał wielkich czynów. Potem zdarzyła mu się jednak jakaś ciemna i ponura historia, nie wyszedł z niej żywy. W każdym razie był to człowiek z charakterem i nie brakowało mu odwagi. Widać było, że syn poszedł w jego ślady.

W porządku, ale czy to wystarczający powód, żeby był tak źle wychowany i żeby śmiał tak bezczelnie odnosić się do godnego szacunku starszego pana? Leonid w sumie pożałował, że okazał się taki wyrozumiały.

- Powinienem być bardziej surowy i ukarać go jakoś! - mruczał do siebie. - Powinienem był zabronić mu tej przeklętej Introdukcji czy czegoś w tym rodzaju... Poza tym jeśli ktoś liczy na to, że ten McCooley wleje mu trochę oleju do głowy, będzie miał się z pyszna, nie ma co!

Mruczał tak jeszcze naburmuszony przez czas, potem przymknął oczy i zasnął głęboko. Zajęło go mnóstwo spraw, którymi jego sny wypełnione były po brzegi.

Kwadrans później obudził się, dygocząc: kolejny sen zamienił się w koszmar. Rudowłosy chłopak wyczyniał w jego organizmie szatańskie awantury, śmiejąc się przy tym złośliwie i wykrzykując: „Ma pan paskudny charakter, panie Smith! Paskudny charakter!”. Serce waliło mu tak jak gdyby miało zaraz wyskoczyć z piersi.

Wyprostował się, rozejrzał i, nieco uspokojony, wyciągnął rękę w kierunku pudełka z lekarstwem. Nadeszła pora, żeby łyknąć tabletki na serce.

Znowu zaczął mamrotać coś ze złością - co zresztą robił przez większość dnia - i przypomniał sobie, co powinien zażyć. Jedna pigułka z tych, które regulują tętno, druga - na ciśnienie, trzecia - żeby nie zatykały się tętnice. Nie cierpiał łykać takiego koktajlu, co gorsza jednak, nie wolno mu było popić tego wszystkiego whisky, żeby sobie poprawić smak, no i żeby czas szybciej mijał. Jego lekarz - prawdziwy lekarz, nie ci wszyscy diabła warci Medykusi! - był pod tym względem bardzo stanowczy. Nie wolno mu było pić alkoholu w czasie, kiedy brał leki. Nigdy, przenigdy.

Na wspomnienie tego zakazu wpadł w złość jak dziecko, któremu się czegoś zabrania. Nie cierpiał, kiedy doktor Fitch prawił mu takie kazania i uniemożliwiał korzystanie z drobnych radości życia. W gruncie rzeczy lekarze konwencjonalni byli niewiele więcej warci niż ci Medykusi, był o tym głęboko przekonany. Z łatwością obyliby się bez jednych i drugich, gdyby nie to, że z jednej strony żona i syn należeli do tego przeklętego Zakonu, a z drugiej - jego przeklęte serce potrzebowało leczenia.

Zacisnął zęby, zerknął pieszczotliwie swoimi błyszczącymi oczkami na złocisty płyn w kryształowej karafce.

Uśmiechnął się lekko jak zawsze, kiedy patrzył na swój ulubiony napój.

Przez chwilę z wahaniem bawił się pigułkami leżącymi w zagłębieniu dłoni. Musnął palcem pustą szklankę, stojącą koło niego. Potem jak gdyby nigdy nic wziął karafkę i nalał sobie trochę whisky, patrząc przy tym w inną stronę. Wstrzymał się, nalał jeszcze trochę - i jeszcze troszeczkę. Kiedy szklanka była prawie pełna, odstawił karafkę i starannie odłożył leki do właściwego pudełka, cały czas podśpiewując pod nosem jakąś wesołą melodyjkę.

Wzniósł toast za swoje zdrowie - bo przecież z pewnością nie za tego ponuraka, doktora Fitcha - i wychylił porządny łyk dobrej, starej whisky. Zamknął oczy i westchnął z lubością. Rzucił jeszcze raz okiem na pudełko z lekarstwami i odsunął je nieco dalej.

- Dostyc tego, co to ma znaczyć?! Powiedziałem przecież: później! - uniósł się, jak gdyby pigułki czyniły mu wyrzuty, a on podjął z nimi dyskusję. - Nie ma o czym mówić!

Łyknął raz jeszcze, uśmiechnął się, upił mały łyczek, delektując się, aż w końcu - do diabła z oszczędzaniem! - opróżnił szklaneczkę jednym haustem.

Odstawił ją na stolik, odetchnął głęboko z zadowoleniem i położył głowę na oparciu fotela.

Dobre, naprawdę doskonale.

Jedyny kłopot w tym, że smak tak szybko się ulatniał. Kiedy tylko kończył szklaneczkę, nie pamiętał już właściwie smaku whisky. Wobec tego pozostawało tylko jedno rozwiązanie - trzeba było zacząć całą operację od początku, a później jeszcze raz.

Kiedy wypił trzecią szklanekę, ledwie miał siłę ją odstawić i opadł na fotel.

Niemal natychmiast zapadł w sen.

Na stoliku zostały pigułki. Nie brakowało ani jednej - niestety.

Kiedy posadzka sali tronowej zasunęła się nad ich głowami, Oskar, Valentine i Lawrence trwali nieruchomo na podeście, który zjeżdżał wiele metrów w dół.

Gdy się zatrzymał i mogli z niego zejść, stanęli na platformie, z której odchodził przedziwny tunel. Zbudowano go na dnie morza, w piasku, miał szklany strop, dokładnie obmyty przez prądy morskie. Gdy podnieśli głowy, mogli obserwować mieszkańców Morza Pompy.

- Niesamowite! - powiedział Lawrence. - Wydaje się, jak gdyby nad naszymi głowami było gigantyczne akwarium, jak w książkach!

Valentine nie poświęciła widokom zbyt wiele czasu. Zaczęła biec naprzód razem z Oskarem.

- Szybciej, Lawrence! - zawołała. - Żołnierze królowej nie są wcale jak z książki, są całkiem prawdziwi!

- Musimy dobiec do końca tego tunelu, pospieszcie się! - krzyknął Oskar, który nieco już ich wyprzedził.

Lawrence także ruszył biegiem.

- Wiem, że to szczegół, ale masz może pojęcie, dokąd właściwie prowadzi ten tunel?
- mówił, nie zatrzymując się w biegu.

- Nie, ale niedługo się dowiemy.

Wtedy nastąpił pierwszy wstrząs. Musieli oprzeć się o ściany tunelu, żeby nie upaść. Lawrence podniósł wzrok na czerwoną kipieli nad ich głowami.

- Co się dzieje? Wydaje się, jakby całe królestwo pociemniało!

- Spójrzcie, tam! - zawołał Oskar. - Widzicie te Prote & Ny? Zatrzymały się! To tak, jakby... jakby zabrakło prądu!

- Nie wiem jak wy, ale ja mam wrażenie, że zaczyna mi brakować powietrza! - jęknęła Valentine, szarpiąc kołnierzyk koszulki.

Światło po raz kolejny przygasło, ale chwilę potem zaświeciło mocnym blaskiem. W głębinie Morza Pompey pojawił się znowu prąd i powrócił ruch.

- Dobrze, że krótko to trwało, ale było niezbyt przyjemne! - zaniepokoił się Lawrence, wstając. - Wydawało się, jakby całe królestwo zostało sparaliżowane...

Oskar pomógł im się podnieść.

- Nie było słycać bicia serca, zauważyliście? A potem zaczęło bić znowu. Leonid ma chyba problemy ze zdrowiem...

- To dlatego nie było prądu na dnie morza? - spytał Lawrence.

- Być może - odparł Oskar. - W każdym razie, jeśli kapsuły nie mogą się przemieszczać...

- ... nie dostarczają tlenu! - dokończyła za niego Valentine. - Jasne, to logiczne. A ponieważ nie ma tu wielkich zapasów powietrza, od razu gorzej się oddycha.

Oskar był gotowy iść dalej.

- Wydaje się, że wszystko wróciło do normy - powiedział młody Medykus. - Nie ma co zwlekać. Możecie iść dalej?

- Oczywiście! - powiedziała dzielnie Valentine. - To był drobiazg, idziemy!

Ruszyli w dalszą drogę. Kolejny wstrząs rzucił ich na ziemię i tym razem zapadły kompletne ciemności.

- Życie? - spytał Oskar.

- Tak jakby... - usłyszał w odpowiedzi.

- Wszystko w porządku. Mam tylko wielkiego guza - stwierdził Lawrence.

- I znowu ciężko się oddycha - dodała Valentine.

Zbliżyli się do siebie po omacku. Wydawało się, że gdzieś daleko słychać krzyki, roznoszące się w wodzie. Docierały do nich przez szklany dach. Wzdrygnęli się.

- Wydaje mi się... wydaje mi się, że serce Leonida przestało bić - powiedział niepewnie Oskar.

Leonid otworzył oczy. Klatkę piersiową rozsadzał mu okropny ból. Pot spływał z niego ciurkiem, a całe ciało wydawało się pozbawione kości i straszliwie zmęczone. Nie był to pierwszy taki wypadek - to samo zdarzyło mu się rok wcześniej, kiedy ocknął się w karetce pogotowia ratunkowego. Wyjaśniono mu, że miał arytmie. Arytmia? Co to niby miało znaczyć? Doktor Fitch powiedział mu, że jego serce bije nieregularnie i jest mniej wydajne. „Kiedy pompa szwankuje, krew gorzej krąży w całym pańskim organizmie”.

Od tamtej pory miał zażywać leki. „Musi pan zachować dużą ostrożność, panie Smith. Ryzykuje pan wiele, wystarczy, że raz pan zapomni o lekach” - groził Fitch.

Jego leki! Drgnął. Zapomniał zażyć leki! To dlatego pojawiły się znowu te objawy. Popatrzył na stolik, który stał przecież tuż obok - wydawał mu się jednak nieskończenie daleko. Był strasznie słaby, a ręka drżała mu tak silnie, że nie był w stanie wyciągnąć jej po pudełko z pigułkami. Gdyby tylko mógł je połknąć, byłby uratowany.

Oparł głowę na fotelu, wściekły i zarazem przerażony. Spojrzał jeszcze na szklaneczkę leżącą na kolanach. Potem poczuł znowu kołatanie serca i klatkę piersiową przeszył ostry ból, jakby ktoś pchnął go dobrze zaostrzonym sztyletem.

Potem była już tylko ciemność.

Podobnie jak w każdy sobotni poranek dzieci z Babylon Heights wybrały się gromadnie do dzielnicowego parku, szczęśliwe, że mogą jeszcze korzystać z pięknej pogody. Już niebawem, jesienią i zimą, miały spędzać więcej czasu w domu.

Była dziewiąta rano, a już było tłoczno.

- Tilla! - zawołała Shadow, szczęśliwa, że spotyka swoją idolkę.

Radość jednak zniknęła z jej twarzy jak dym rozwiany wiatrem.

- No jak to?... Nie założyłaś swoich haftowanych dżinsów? - jęknęła, bardzo rozczarowana, sama bowiem miała na sobie takie właśnie spodnie, które wyprosiła u matki. Tymczasem Tilla była ubrana w spódniczkę i połyskującą cekinami koszulkę, w której było jej zresztą bardzo do twarzy.

- Nie - uśmiechnęła się lekko Tilla. - Zmieniłam zdanie.

- Gdzie byłaś? - spytała Reese, której głowę pokrywała skomplikowana konstrukcja z kucyków i warkoczyków. - Czekamy na ciebie od godziny!

- Musiałam się z kimś spotkać w Snow Bay - powiedziała od niechcienia Tilla, która uwielbiała zachowywać się tajemniczo również wobec swoich przyjaciółek. - Nie mogę o tym mówić...

- Snow Bay? - zdziwiła się Reese. - Ależ to niezły kawałek od Babylon Heights! Co tam robiłaś?

Shadow nadal jeszcze głowiła się, czy zdążyłaby wrócić do domu i przebrać się - niejasno pamiętała, że ma w szafie spódnicę dosyć podobną do tej, którą miała na sobie Tilla. Nagle nadstawiła ucha i bardzo zainteresowała się tym, co powiedziała przyjaciółka. A raczej tym, co ukrywała... Uwielbiała wszelkie ploteczki, pogłoski, wrywkowe informacje, a najbardziej te, które dotyczyły spraw sercowych.

- Nie bądź taka! Opowiadaj! - nalegała. - Pojechałaś tam... z powodu chłopaka? - zachichotała.

Tilla była mistrzynią manipulacji i suspensu, więc kazała im jeszcze trochę zaczekać, zanim się odezwała.

- W pewnym sensie, ale... - powiedziała w końcu.

- Ale? - dopytywały się obydwie dziewczyny.

- ... ale to nie to, o czym myślicie.

Odetchnęła głęboko, zanim zaczęła mówić dalej.

- Jaka szkoda, że nie mogę nic wam powiedzieć, naprawdę... O-sza-la-ły-byście!

- Ja też chciałbym wiedzieć to i owo - odezwał się chłopięcy głos za jej plecami.

Tilla poznała ten głos i odwróciła się, potrząsając przy tym zamasyście włosami i odgarniając je przy okazji na jedną stronę. W słońcu jej oczy wydawały się pełne złocistych iskerek, co robiło jeszcze większe wrażenie niż zwykle, i wiedziała o tym.

- No, proszę, cześć, Ronan! - powiedziała. - Rzeczywiście to, co widziałam dzisiaj rano, bardzo by cię zainteresowało...

Ronan zerknął na grupę swoich kompanów. Doherty tkwił nieruchomo na grubych nogach, z tym swoim głupawym uśmiechem, który zawsze się pojawiał, kiedy w pobliżu była Reese. Ta z kolei nie zwracała na niego jednak większej uwagi niż na ławkę. Norton bez przerwy urywał gałęzie drzew i łamał je na drobne kawałki, a Jimmy Bates - najbardziej skryty i najsprytniejszy z nich trzech - obserwował dziewczyny ze złośliwym uśmieszkiem. Trudno było dostrzec jego oczy, przysłonięte długimi włosami. Wydawał się nieczuły na znaczące spojrzenia Reese, która, wbrew radom przyjaciółek, stawiała na głowie, by przyciągnąć jego uwagę. Nie spuszczał za to swojego chłodnego, jasnego wzroku z Tilli. Był przystojny i niepokojący, a Tilla najwyraźniej nie traktowała go całkiem obojętnie. Zresztą nigdy nie traktowała obojętnie dowodów czyjegoś zachwyty...

- Spadajcie stąd! - rzucił Moss, rozglądając się dookoła z groźbą w oku.

Dziewczyny czym prędzej odeszły, podobnie jak Norton i Doherty. Jimmy Bates podniósł się bez pośpiechu. Odwrócił się jeszcze, ale w końcu on także się oddalił.

- No więc co takiego by mnie zainteresowało? - spytał Moss Tillę. - Na pewno ciekawiej spędzilibyśmy czas razem, jeśli tylko masz ochotę...

Tilla cierpliwie odczekała, aż przetestuje swoją władzę wobec innych - zapewne chciał na niej zrobić wrażenie. Znała na pamięć te sztuczki Mossa, który kręcił się wokół niej i grał twardziela. Wzruszyła ramionami.

- Nie, wolałam spędzić chwilę... z Oskarem.

Twarz mu się zmieniła.

- Pill? Chcesz powiedzieć, że spotkałaś się rano z Pillem?

Kiwnęła głową z uśmieszkiem i udawała, że wpatruje się w coś niezwykle interesującego, jak gdyby przestała już na niego zwracać uwagę. Moss stanął przed nią,

prężąc tors.

- I... co takiego robiliście?

Zachichotał z przymusem, po czym dodał:

- Dziwne, jest taki beznadziejny, że po pięciu minutach człowiek umiera przy nim z nudów, ale jeśli cię to bawi...

Udał, że odchodzi, ale Tilla znała się na manipulacji lepiej od niego. Nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby go zatrzymać, i spokojnie zaczekała, aż wróci. Nie musiała długo czekać.

- No więc może jednak mi opowiesz, jak było? - powiedział. - Ty akurat nie jesteś nudna - dodał, chcąc jej pochwalić. - Pill to straszny nudziarz, ale jeśli ty mi opowiesz, co robiliście, może być całkiem przyjemnie.

- Ach, nic takiego, tylko...

- Tylko co? - podchwycił zdenerwowany.

- Wcale nie jest taki beznadziejny, jak twierdzisz.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo robi różne rzeczy... których na pewno nie byłbyś w stanie zrobić.

- Na przykład co robi? - zapytał Moss, zaciskając pięści.

- Och, nie wiem sama... Zapomnijmy już o tym, dobrze?

Rozejrzała się, szukając wzrokiem przyjaciółek. Moss złapał ją za ramię i ścisnął.

- Au, to boli! - krzyknęła Tilla.

- Co takiego zrobił? - spytał Moss, nie zwracając uwagi na jej protest.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Tym razem nie starała się go oczarować, a Moss nie próbował odgrywać uwodzicielskiego amanta. Niczego już nie udawali, pokazali swoje prawdziwe twarze - twarde i zdecydowane na wszystko.

Tilla zrozumiała, że nie wygra tym razem i poddała się.

- Jest dużo lepszy od ciebie! - rzuciła z wielką satysfakcją. - Wyobraź sobie, że widziałam, jak zniknął, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki!

Moss puścił jej ramię, był zdumiony.

- Jak to „zniknął”? Co to ma niby znaczyć?... Bzdury opowiadasz! - warknął pogardliwie.

- Wyciągnął przed siebie medalion, który miał na szyi, i zniknął - powiedziała stanowczo i z dużą pewnością siebie Tilla. - To, że ty nie jesteś w stanie tego zrobić, nie znaczy, że ktoś inny nie umie...

Moss zmrużył oczy. Tilla nieświadomie opisała mu Introdokcję Cieleśną. Jakim cudem mogła się przy tym znaleźć? Co wiedziała na temat Medykusów? Czy Pill coś jej powiedział? Nawet on, nieznoszący czyichkolwiek nakazów - poza decyzjami ojca - musiał się pogodzić z jedną zasadą: należało szanować tajemnicę Zakonu, nigdy z nikim nie rozmawiać o mocach Medykusów. Nie był zaskoczony. Vitali Pill był zdrajcą i jego syn widocznie był podobny do ojca.

- Gdzie to było?

Tilli popłynęły łzy z bólu i złości.

- Powiedziałam ci, to boli! - zawołała.

- Gdzie widziałas, jak... to robił? I kiedy to było? - ciągnął bezlitośnie Moss.

- W Snow Bay! Dziś rano, mówiłam przecież! Puść, puść mnie natychmiast albo zacznę krzyczeć!

Rozchylił nieco palce swojej masywnej dłoni. Tilla wyrwała się jednym ruchem i odbiegła.

Kiedy oddaliła się już na dostateczną odległość, odwróciła się z płonącym wzrokiem.

- To ty jesteś najbardziej beznadziejny ze wszystkich! Wolę już chyba Jimmy'ego Batesa!

Zadowolona, że posłała mu taką zatrutą strzałę, odeszła, śmiejąc się.

Moss już jej prawie nie słuchał. Całą uwagę skupił na Pillu. Byli przecież wszyscy umówieni w Cumides Circle, żeby pójść o dziesiątej do tego starego wariata. Tymczasem ten oszust Pill pojechał tam wcześniej niż reszta grupy. Pewnie chce ich wyprzedzić i mieć więcej czasu na zdobycie drugiej części Trofeum. To niewykluczone, on sam zrobiłby wszystko, żeby wyprzedzić innych. Miał ich w nosie, myślał tylko o sobie. Mógłby ich zniszczyć, gdyby tylko chcieli mu stanąć na drodze. Widział w Oskarze jedynie przeszkodę na drodze do celu.

Popatrzył na zegarek, był kwadrans po dziewiątej. Jeśli się pospieszy, może jeszcze nadrobi spóźnienie.

Nieważne, że miał się spotkać z resztą Medykusów w Cumides Circle. W głowie dzwonił mu sygnał alarmowy - nie było ani chwili do stracenia. Pill pożałuje tego numeru.

Nie patrząc już w stronę swojej bandy, czekającej na niego nieopodal, ruszył biegiem w kierunku ojcowskiej limuzyny, parkującej od dobrej godziny przy alei otaczającej park.

Nieco spóźniony Alistair wbiegł szybko do Cumides Circle. Mossa i Pilla nie było. Cherie przekazała Alistairowi, że Pill dzwonił poprzedniego wieczoru, uprzedzając, że jest chory i nie będzie mógł przyjść.

- A Moss?

- Nie dawał znaku życia! - odparła kucharka, z pewną satysfakcją w głosie, jak gdyby nieobecność Mossa sprawiała jej przyjemność.

Iris podeszła bliżej, wyprostowana jak świeca, z założonymi rękami.

- Ich strata. W każdym razie nie ma mowy o przekładaniu naszej Introdukcji na później. Nie mam zamiaru rezygnować!

Alistair pomachał przyjaźnie do Aydena Spencera i do Sally Bunker, a potem popchnął troje młodych ludzi w kierunku drzwi wyjściowych. Jerry był już od dawna gotowy, czekał na nich przy limuzynie.

Młody człowiek ruszył z dziećmi w kierunku samochodu. Usiadł już na miejscu obok kierowcy, kiedy usłyszał niski i głęboki głos Wielkiego Mistrza.

Winston Brave stał na podjeździe.

- Jesteście w komplecie, Alistairze? Wydaje mi się, że widziałem tylko troje Medykusów zamiast pięciorga?

- Nie ma Pilla i Mossa.

Pan Brave zmarszczył brwi. Nieobecność wrogo do siebie nastawionych chłopców źle wróżyła.

- Nie ma ich? Dlaczego?

- Pill jest podobno chory. Nie wiem natomiast, co się dzieje z Mossem, nikogo nie uprzedził o swojej nieobecności.

Cherie, która nadstawiała ucha z hallu, wyglądziła swój fartuch i podeszła do Wielkiego Mistrza.

- Biedny mały, zadzwonił wczoraj, zamartwiam się o niego bezustannie, niech pan tylko pomyśli, on jest taki...

Tu kucharka zagłębiła się w tysiące rozważań na temat Oskara, jego apetytu, słabego zdrowia, sposobu życia, jednak nikt już na to nie zwracał uwagi. Pan Brave przyzwyczał się puszczać jej przemowy mimo uszu.

- Mogę już jechać? - spytał Alistair z niecierpliwością. - Zna pan dobrze starego Leonida. Jeśli się spóźnimy, będzie afera na poziomie parlamentarnym!

Winston Brave uśmiechnął się przyzwalająco. Cherie nie miała zamiaru zamilknąć.

- ... wobec tego, widzi pan, zawsze się zastanawiam, czy ten mały odżywia się odpowiednio, przecież gdyby jadł dostatecznie dużo, z pewnością by się nie rozchorował...

Przerwał jej, kładąc swoją wielką dłoń na ramieniu kucharki.

- Widziałaś się z nim? Był tutaj?

- Nie, dzwonił tylko. Ale...

- Dziękuję ci za te informacje, Cherie - uciał Winston Brave. Te wiadomości go zaintrygowały. - Będę panią informował na temat jego stanu zdrowia, niech pani się o to nie martwi!

Popatrzył za oddalającym się samochodem, a potem ruszył szybkim krokiem w kierunku swojego gabinetu.

Jerry pobił rekord prędkości w jeździe po mieście. Kwadrans później zatrzymali się przed domem Leonida. Alistair dosłownie wypchnął dzieci z samochodu. Iris stanęła przed opuszczoną szybą obok Jerry'ego i pozwoliła sobie na surowy komentarz, machając mu przed nosem palcem wskazującym.

- Jechał pan bardzo nieostrożnie! Dwa razy przejechaliśmy na czerwonym świetle!

Szofer w milczeniu zamknął okno.

- Tym razem akurat Iris miała rację... - stwierdził Ayden, który źle znosił jazdę samochodem.

Wszyscy troje poszli za Alistairem i stanęli na progu domu Leonida.

Alistair zadzwonił - raz, potem znowu. Po trzeciej próbie postanowił przejść przez ogród - ryzykując, że zgniecie jedno czy dwa źdźbła trawy i zostanie za to skarcony przez właściciela. Podeszedł do okien salonu, nachylił się i otoczył oczy dłońmi, chcąc zobaczyć, co się dzieje wewnątrz domu. Zauważył sylwetkę Leonida, rozpartego w fotelu. Zastukał delikatnie w szybę. Powtórzył, pukając nieco głośniejszym. W końcu zaczął po prostu walić pięściami. Ujrzał wówczas, że starszy pan podnosi z trudem rękę i upuszcza coś na ziemię. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Alistair przestał się przejmować pogniecionym trawnikiem. Pobiegł do drzwi i wpadł pędem do salonu. Za nim weszły dzieci, zaintrygowane i zaniepokojone zarazem.

Biedny Leonid leżał w fotelu, spływając potem; trzymał się za serce. Twarz miał wykrzywioną z bólu. Usta mu zsiniały, oddychał z największym trudem. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł z siebie wydobyć głosu. Alistair pomógł mu się nieco wyprostować - wydawało się, że było mu wygodniej w tej pozycji.

- Wasze... bu... uwa... wan...

- Co pan chce powiedzieć, Leonidzie? Niech pan się nie spieszy. Proszę oddychać głęboko! Niech pan powie, co też się z panem stało?

- Wasze... wa...

- Nasze co? - zniecierpliwiał się Alistair, który tymczasem rzucił się w kierunku telefonu, żeby wezwać pogotowie.

- Wasze buty... na... moim... dywanie! - jęknął wreszcie Leonid.

Alistair wznosił oczy do nieba.

- Przed wyjściem odkurzymy wszystko, obiecuję! Co się stało? Może pan mówić?

- Moje... le... lekarstwa...

Alistair spojrział w kierunku, w którym Leonid wskazywał słabym ruchem dłoni, i zobaczył pudełko z pigułkami na stoliku. Podniósł je i sprawdził zawartość. Poranna dawka była nietknięta.

- Leonidzie! Nie wziął pan dzisiaj swoich leków!

Leonid kiwnął głową.

- To dzieci - mówił urywanym i zdyszonym głosem. - Pojawiły się... tutaj... bardzo wcześnie rano... i... musiałem się jakoś odprężyć...

- Dzieci? Jakie dzieci? Kiedy?!

- Dziś... rano. Pill i... ta mała, z rudymi włosami... i ten chłopiec... przy kości... z żółtą skórą...

Przez kilka chwil oddychał głośno, potem mówił dalej:

- Kolorowi... Medykusi... Co za... pomysł! Sami... już nie wiecie... co wymyślić!

- Dziś rano? - spytał Alistair, zaskoczony. - Oskar przyjechał tu z Valentine i Lawrence'em? Proszę się uspokoić, Leonidzie, nie powinien pan się denerwować. Zaraz zadzwonimy do doktora Fitcha. Niech pan oddycha głęboko! Proszę mi powiedzieć, czego chciał Pill i jego przyjaciele?

- Do diaska! - zawołał słabym głosem Leonid, który nie umiał mówić spokojnie. -

Chciał... tego samego, co... pan!

Sally wróciła z kuchni i podała Alistairowi szklankę wody. Ten włożył Leonidowi do ręki pigułki i zmusił go, by je połknął. Czekali chwilę, aż starszy pan będzie w stanie coś powiedzieć.

- Co pan przez to rozumie? - nalegał Alistair.

- A jak pan... myśli? - odparł starszy pan, odstawiając szklankę i krzywiąc się, jakby dali mu do wypicia domestos albo dużą ilość tranu. - Chcieli... wejść!

- Wejść do pana organizmu? - zapytała Sally.

- Przede mną? - dodała zdumiona Iris. - To niemożliwe, nie odważyliby się!

- Cicho bądźcie! - zwrócił się do nich stanowczo Alistair. - A gdzie potem się udali? - zapytał Leonida.

- Gdzie niby mieli pójść? - odparł starszy pan słabym głosem. - Powiedzieli, że... przyjechali nieco wcześniej od pana... to wszystko! W związku z tym...

Kolejny atak bólu sprawił, że stracił głos.

Alistair zbladł. Wstał i powiedział do dzieci:

- Nie ruszajcie się stąd, rozumiano? Zadzwońcie zaraz po doktora Fitcha, a ja pójdę po waszych kolegów.

- Zostaniemy z panem, panie Smith - powiedział uspokajająco Ayden. - Zaczekamy, aż przyjedzie lekarz.

- Mój lekarz? To kompletny matoł! Wcale go nie potrzebuję... Czuję się już dużo lepiej.

Ayden i Sally popatrzyli na Leonida. Jego stan nie pogorszył się znacznie, nie dało się jednak powiedzieć, żeby się bardzo poprawił. Oskar, Valentine i Lawrence musieli mieć poważne kłopoty, z całą pewnością.

- Tym razem bardzo proszę, panie Leonidzie, niech pan się powstrzyma od dyskusji!
- powiedział Alistair. - Lekarz za chwilę przyjedzie, a tymczasem spróbuję coś z tym zrobić. Szybko poczuje się pan dużo lepiej.

Wyciągnął swój medalion i raz jeszcze polecił dzieciom, co mają robić.

- Nie ruszajcie się stąd, niedługo wracam.

Nie czekał, aż potwierdzą, rzucił się w kierunku Drugiego Królestwa.

ANI MINUTY DŁUŻEJ

Alistair opuścił poły peleryny. Był w hallu Pałacu Wieńcowego.

Tu i ówdzie rozbrzmiewały dalekie krzyki, w całym pałacu słyhać było tupot stóp, jak gdyby całe oddziały przemieszczały się w różnych kierunkach. Zbliżył się do jednego z otworów. Na zewnątrz, w Morzu Pompy, panowała niewyobrażalna panika. Tysiące Kapsuł sterowało bezładnie w stronę wyjścia, Prote & Ny błąkały się zagubione w różnych kierunkach. Woda nabrała niebezpiecznie ciemnej barwy, gromadząc wszystko to, co odrzucały inne Uniwersa. Kraina serca, Drugie Królestwo Leonida, zaczęła źle funkcjonować, a w związku z tym wszystkim ludom w innych Uniwersach zaczęło brakować tlenu. Drugie Królestwo dwukrotnie pogrążyło się w najgłębszej ciemności,

rytm serca Leonida był zaburzony, wszystko źle działało. Wokół wyły syreny alarmowe, zagłuszając krzyki mieszkańców.

Alistair rzucił się w kierunku schodów, zaczął wbiegać na górę, przeskakując co drugi stopień. Szybko jednak musiał się zatrzymać. Na szczycie schodów stała dumnie wyprostowana, królowa Mitra.

Uklonił się nisko.

- Wasza wysokość, wybacz, że nadużywam twojej gościnności, którą zwykle okazujesz wszystkim Medykusom, i że przychodzę tu bez uprzedzenia...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, jednak to, co ujrzał, sprawiło, że zamilkł. Po schodach zbiegała masa czerwonych żołnierzy. Hałas z tyłu kazał mu się odwrócić. Do hallu wpadły tłumy innych zbrojnych, wszyscy kierowali się dokładnie w jego stronę!

Podniósł zdumiony wzrok na królową. Twarz Mitry wydawała się wykuta z marmuru, widząc jednak, jak drżą jej napięte mięśnie i jak kurczowo zaciska pięści, zrozumiał, że powstrzymuje trudną do opanowania wściekłość.

Żołnierze wyciągnęli w jego kierunku broń, a dwa Makrofagi rozłożyły swoje niekończące się ramiona, objęły nimi Alistaira i unieruchomiły go.

- Wasza wysokość, co się...

- MILCZ, ALISTAIRZE! - rzuciła rozkazująco królowa, mocnym i zarazem pełnym złości głosem. - Jak pan śmie pojawiać się tutaj po raz kolejny?

- Ale...

- Nie, nie chcę pana słuchać. Nie ma pan prawa głosu. Od dawna moje drzwi stały dla

pana otworem, a pan mnie zdradził!

Alistair z trudem zbierał myśli. Nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiła królowa. Nie pojmował jej zarzutów. On - zdrajcą? Co takiego mógł zrobić, by zasłużyć na to straszliwe i zarazem niesprawiedliwe oskarżenie? Próbował się tłumaczyć, mimo że dławili go już macki Makrofagów.

- Pani, to jakaś pomyłka, nigdy nie zdradziłem! Nie wiem, o co jestem oskarżony...

Mitra podniosła dłoń władczym ruchem.

- Niech mi pan nie każe wierzyć w to, co wiele osób już podejrzewa - że odziedziczył pan szaleństwo w genach po ojcu! Doskonale pan wie, co mam na myśli. Popęłnił pan zbrodnię kilka chwil temu, moje berło dopiero co było w pana ręku! Nie mógł pan o tym zapomnieć!

Alistair pobladł. Był przerażony.

- Berło waszej wysokości? Ja niby miałem je zabrać?

- Przeszukajcie go! - rozkazała królowa.

Zza jej pleców wysunął się młody, dziwaczny doradca, Romano, zszedł niżej i przeszukał starannie Alistaira, na próżno jednak.

- Nic z tego, wasza wysokość. Nie ma przy sobie berła.

- Powtarzam, niczego nie ukradłem! - uniósł się Alistair, który łatwo tracił cierpliwość. - To śmieszne podejrzenie!

Królowa zaczęła schodzić w dół, nie spuszczać płonącego wzroku z Alistaira.

Kiedy dzieliło ich już tylko kilka stopni, zatrzymała się, znacznie nad nim górując. Zaczęła mówić spokojniejszym głosem:

- Śmieszne podejrzenie, mówi pan? Niech będzie. Zaprzecza pan oczywistym faktom, przyłapaliśmy pana bowiem na gorącym uczynku, zobaczymy zatem, kto z nas dwojga okaże się śmieszniejszy. Brać go!

Kiedy żołnierze w końcu go puścili, Alistair upadł na ziemię bez tchu. Myślał, że straci życie w czasie tej niekończącej się przeprawy przez tajemniczy pałac królowej Mitry.

Rozejrzał się dookoła. Stał pośrodku platformy umieszczonej wewnątrz olbrzymiej kuli z czerwonego szkła. Wokół niego widać było morze, a dużo wyżej - słońce w zenicie, płonące ponad czerwonymi falami. Był zapewne w najwyższej położonej części pałacu, nigdy tu wcześniej nie zaglądał.

Otoczający go strażnicy zerwali mu z ramion pelerynę, a potem rozsunęli się. Zbliżyła się do niego królowa i Romano.

Mitra podniosła rękę i zmaterializował się przed nią przezroczysty ekran migoczący w powietrzu. Dotknęła ekranu dłonią i platforma, na której znajdował się Alistair, uniosła się nagle w górę na wysuwającym się z podłoża słupie. Medykus podniósł wzrok, zanim jednak zdążył się zorientować, co się właściwie z nim dzieje, został uwięziony wewnątrz szklanej kolumny, przytwierdzonej do stropu kulistej konstrukcji, dziesięć metrów nad posadzką. Zaczął walić w jej ścianę, usłyszał jednak głos Romana, dobiegający z zainstalowanego wewnątrz kolumny głośnika:

- Niepotrzebnie pan się trzyma, panie McCooly. Szkło tej kolumny oprze się wszelkim ciosom, nie rozbije go pan nawet za pomocą swojego medalionu.

Zaufany doradca Mitry podszedł bliżej. W czerwonej poświacie jego wygolona, gładka czaszka połyskiwała dziwnie ciemną barwą.

- Niech pan popatrzy - ciągnął ledwo słyszalnym głosem, wskazując palcem na morską głębię. - Oto słynna Grota Pompy, znajduje się na tyłach pałacu. To ona zasysa krew z naszego królestwa na dnie morza, by wypchnąć ją następnie na zewnątrz, poza nasze Uniwersum. Bez niej nie byłoby prądu w Wielkim Systemie między Uniwersami - ani nigdzie indziej. Wie pan, co by się stało: w organizmie Leonida wszystko by zamarło - rzeki, strumienie, prądy morskie.

- Dostyc tego, Romano! Proszę obserwować grotę, panie McCooley! - nakazała stara królowa.

Alistair popatrzył posłusznie we wskazanym kierunku. Grota Pompy przypominała gigantyczny krater w skalnym, podwodnym rumowisku. Pod wpływem nieustannego bicia serca, rozchodzącego się po całym królestwie, kurczyła się i rozkurczała. Czasem jednak drgała dziwnie, jak gdyby ulegała jakiejś awarii. Nie było dosyć czasu, by się rozkurczyła, tymczasem nadciągał już kolejny skurcz. Grota wypychała wówczas bardzo mało wody...

- Źle działa - powiedziała królowa. - Serce Leonida bije nieregularnie i z upływem czasu grota zaczęła słabiej funkcjonować. Robotnicy, którzy pracują tam dniem i nocą, ledwo żyją. Podejrzewam, że Leonid regularnie zapomina wziąć lekarstwa.

Rozległo się wycie kolejnej syreny alarmowej. Romano odezwał się do królowej:

- To alarm na poziomie południowych naczyń wieńcowych, wasza wysokość. Są zablokowane. Nie można dostarczyć glukozy i tlenu do groty. Robotnicy są wyczerpani. Niektórzy są w stanie krytycznym.

- Leonid znowu nie zażył leków?

- Owszem, zrobił to, zbyt późno jednak. Wysłannicy z Hepatolii poinformowali nas, że odpowiednie substancje przewożone są co prawda do nas drogami Wielkiego Systemu, niestety dotrą dopiero za godzinę czy dwie. Tymczasem musimy znaleźć sposób na udrożnienie naczyń.

Mitra zastanawiała się przez kilka chwil. Jej zmartwiona twarz wydawała się mocniej porwana zmarszczkami.

- Trzeba zmniejszyć aktywność życiową Leonida do minimum. Wyślijcie kogoś do Cerebry, muszą wywołać zmęczenie i ból. Trzeba też zlecić robotnikom w grocie, żeby zwolnili tempo pracy.

Romano zgiął się w ukłonie, a następnie odwrócił się w stronę dwóch mężczyzn, którzy bez słowa zniknęli. Królowa podniosła wzrok i popatrzyła znowu na Alistaira, skulonego w swoim podwieszonym więzieniu.

- Wasz Wielki Mistrz wielokrotnie tu bywał. - rzekła. - Ze wsparciem Leonarda, syna Leonida, ratował życie starszego pana dzięki różnym rodzajom cennej broni Medykusów. Ocalił tym samym życie moje i moich poddanych, za co jestem mu winna wdzięczność. Dlatego właśnie upoważniłam członków Zakonu, by swobodnie odwiedzali Królestwo Pompy, panie McCooley - ciągnęła, z wyrzutem w głosie.

Okrażyła szklaną kolumnę.

- Pozwoliłam nawet na to, by Medykusi mogli posługiwać się moim berłem, by wejść do groty, i na wiele więcej... Tymczasem pan mnie zdradził!

Ostatnie słowa wykrzyczała. Machała długimi, pajęczymi ramionami, jej oczy miały pioruny, a długie włosy fruwały na wszystkie strony i kłębiły się wokół jej głowy

jak groźna chmura.

Alistair uderzył bezradnie obiema pięściami w szkło, wściekły i zrozpaczony.

- Mówiłem tysiące razy, że nie zrobiłem niczego, co mogłoby wam zaszkodzić!

- Dosyć tego! - krzyknęła królowa. - Chcę odzyskać moje berło! Musi się odnaleźć, to bardzo pilne, a ponieważ opiera się pan i nie chce pan współpracować...

Po obu stronach kolumny wznosiły się ślimakowato skręcone schody prowadzące na samą górę. Na znak dany przez władczynię Romano wspiął się na szczyt schodów po prawej stronie.

- Ta kolumna jest niezwykle cenna - oznajmiła królowa. - Czy wie pan, w jaki sposób działa?

Alistair najchętniej odpowiedziałby na to, że nie ma zielonego pojęcia i nic go to nie obchodzi. Jego sytuacja była jednak na tyle rozpaczliwa, że nie mógł pozwolić sobie na prowokowanie Mitry. Ograniczył się do pokręcenia głową.

- Pozwala mi kontrolować z zewnątrz pracę groty. Kiedy podniesie pan głowę, ujrzy pan dwa serca na szczycie kolumny, przy sklepieniu kuli.

- Widzę je - potwierdził Alistair, coraz bardziej niepewny tego, co się z nim stanie.

- Jedno z nich pozwala, by woda przedostała się do kolumny, w której pan został zamknięty. Drugie natomiast, przeciwnie, służy do odpompowania tej wody. I tak, jeśli grota źle działa, słabo zasysa wodę i nie wysyła jej poza nasze królestwo. Wtedy w kolumnie poziom wody jest coraz wyższy.

Odwróciła się w stronę Romana.

- Może pokażemy panu McCooleyowi jak to działa?

Romano nacisnął serce po prawej stronie: woda wytrysnęła ze stropu nad kolumną jak prysznic. Alistair uskokczył na bok i przykleił się do ściany.

Romano zszedł na dół i wspiał się teraz na schody po lewej stronie. Kiedy dotarł na ostatni stopień, nacisnął serce i woda, która już bulgotała wokół stóp Alistaira, została częściowo zassana. Przy każdym uderzeniu serca Leonida, woda tryskała z góry, a następnie pewna jej ilość była wypychana na zewnątrz.

Mitra miała jednak rację. Grota nie działała poprawnie. Więcej wody wpadało do środka kolumny, niż ubywało, i jej poziom powoli, lecz bezustannie się podnosił.

W głośniku ponownie zabrzmiał głos królowej. W przeciwieństwie do ciepłej wody, która spływała po Alistairze, głos ten był lodowaty.

- Nie wiem, jak długo utrzyma pan głowę nad wodą, Alistairze. Miejmy nadzieję, że grota zacznie lepiej funkcjonować i że dostanę z powrotem skradzione berło - zanim będzie dla pana za późno.

Zbliżyła się do kolumny, a jej głos wypełnił całe pomieszczenie.

- Godzina!... Wróć za godzinę! - oznajmiła groźnie. - Jeżeli jakimś cudem okaże się, że jeszcze pan żyje, a moje berło nie odnajdzie się do tego czasu, Romano zamknie serce po lewej stronie. Woda przestanie być odsysana i zaleje pana w ciągu kilku minut.

- Nie brałem w żaden sposób udziału w kradzieży tego berła, wasza wysokość, niech mi pani uwierzy! - jęknął Alistair.

- Wobec tego możliwe, że ma pan współnika - ucięła królowa Mitra. - Niech pan się

modli, żeby okazał on dobrą wolę i zwrócił mi to, co zabrał. I to szybko.

Mitra odwróciła się i po chwili jej wysoka, purpurowa sylwetka oddaliła się, otoczona przyboczną strażą.

Kilka sekund później Alistair został sam.

Jak się miał uwolnić? Uwięziono go w szklanej kolumnie zawieszanej pod stropem tej przeklętej, szklanej kuli. Wewnątrz kolumny podnosił się ciągle poziom wody, sięgała mu już do kostek. O tym, że wyruszył do wnętrza organizmu starszego pana, wiedziały tylko dzieci, które zostawił u Leonida. Zakazał im ruszać się z miejsca, miały czekać na jego powrót. Nikt zapewne nie odnajdzie go w tym miejscu, na samym wierzchołku pałacu, prawdopodobnie ukrytym też przed obcymi. Nie miał tu żadnej przyjaznej duszy, wszyscy - łącznie z królową - byli przekonani, że ukradł berło Mitry. Kto mógł być prawdziwym sprawcą? Przez krótką chwilę pojawiła mu się w myślach twarz młodego Pilla. Nie, to niemożliwe, to nie on. Dlaczego miałby ukraść berło? Cóż on wiedział o tym przedmiocie i o jego... mocy? A z kolei któż inny mógł się tutaj dostać? Przypomniał sobie, co powiedziała królowa, w chwili, kiedy go pojmano: „Niech mi pan nie każe wierzyć, że odziedziczył pan szaleństwo w genach, po ojcu!”.

A jeśli to inni mają rację? Może stracił pamięć i rzeczywiście zrobił to, o co go oskarżają? Pokręcił głową, zapominając niemal o swoim położeniu. Nie, nie, to nie może być prawda! - krzyczał w duchu.

Z tych ponurych rozważań wyrwało go bulgotanie wody. Czerwona ciecz była już na wysokości jego łydek. Alistair postanowił odłożyć na bok ponure rozważania i skupić się na najważniejszym: jak przeżyć. A jeszcze lepiej - jak uciec z tego miejsca? Wyjął medalion i skierował go w stronę ściany. Promień wystrzelił w kierunku szklanej płyty... i odbił się od niej błyskawicznym rykoszetem. Alistair pochylił się gwałtownie, w samą porę, żeby przed nim umknąć. Dotknął szklanej ściany - nie była nawet zarysowana. Romano miał rację. Tnący promień złotej Litery nie mógł strzaskać szklanej ściany.

Było zatem bardzo prawdopodobne, że nie wydostanie się już z tego miejsca.

Poszedł ponad pół godziny temu... - powiedział Ayden, patrząc na zegar, wiszący na ścianie salonu.

- Mam wrażenie, że minęło już wiele godzin - westchnęła Sally, która krążyła to w jedną, to w drugą stronę, jak tygrys w klatce.

Iris obserwowała ich ze skrzyżowanymi ramionami.

- Jak sobie pomyślę, że już od dawna powinniśmy tam być! Może nawet już byśmy znaleźli drugą część Trofeum! Jestem bardzo zła!

Sally, mocno zdenerwowana, stanęła przed nią i spojrzała dziewczynie prosto w oczy.

- Naprawdę, bardzo nam przykro, że jesteś bardzo zła!

Iris wzruszyła tylko ramionami i stała dalej nieruchomo na środku salonu.

Ayden podszedł do Leonida.

- Myślisz, że on... śpi?

Sally zawahała się, a potem potrząsnęła niezbyt delikatnie ramieniem Leonida. Ten zajęczał i otworzył jedno oko.

- No tak, śpi - potwierdziła Sally. - To znaczy - spał.

Leonid rozejrzał się dookoła, jakby wylądował na jakiejś obcej planecie.

- Co jest? Co się dzieje? Kim wy jesteście?... Majtek, biegnijcie no na pokład!

- Niech pan się uspokoi, panie Smith! To my, nie poznaje nas pan? Jesteśmy Medykusami z grupy Alistaira McCooleya.

- McCooley! - wrzasnął Leonid, który pomału wracał do przytomności. - Gdzie on się podziewa? Znajdźcie go, musicie go znaleźć! Musi wrócić, dosyć tego, nie chcę, żeby ktokolwiek kręcił się po moim organizmie, słyszycie? Nie chcę już! Zabraniam wam! Ja...

Zamilkł, uciszył go nawrót bólu w klatce piersiowej.

- Kręci mi się w głowie! - dodał, opierając głowę na oparciu fotela.

- A co pan sobie wyobraża? - odparła Iris. - Gdybyśmy wiedzieli, gdzie się chowa, już dawno kazalibyśmy mu wracać! A w każdym razie ja bym to zrobiła!

Sally popchnęła ją w głąb salonu.

- Rozkazuj sobie fortepianowi i pozwól nam po prostu działać, dobrze?

Wróciła do Aydena, który starał się uspokoić Leonida.

- Proszę, niech się pan nie rusza, nie będzie tak bolało...

Sally westchnęła i pochyliła się nad starszym panem.

- Proszę pana, jeśli będzie się pan tak rzucał, zadzwonimy po doktora Fitcha, który przyjedzie i zrobi panu solidny zastrzyk na uspokojenie. Sam pan zobaczy, to będzie

bardzo skuteczne!

- Nie! Nie chcę tutaj tego nieudacznika! Co to, to nie!

- Dobrze, wobec tego prosimy, żeby siedział pan spokojnie w fotelu! - negocjowała Sally.

Wyciągnęła rękę w jego stronę. Leonid popatrzył na nią spod oka, zawahał się, po czym z wielkim trudem uniósł dłoń i przybił piątkę.

- Nieźle sobie radzisz! - powiedział Ayden. - Mówisz, żeby się nie męczył za dużo! A przecież Alistair kazał nam wezwać tego lekarza! - ciągnął szeptem. - I powiedziałaś, że już to zrobiłaś! Oszukałaś mnie!

- Niewiele ryzykujemy, wziął już te swoje leki! A poza tym, kto wie, co lekarz każe mu połknąć... I kto wie, jakie procesy wywoła to wewnątrz organizmu, w czasie kiedy są tam Oskar i Alistair...

Ayden westchnął, a potem skapitulował.

- No, dobrze, wobec tego, niech już śpi, ale...

- Ale co?

- Ale my tam pójdziemy! - zawołał Ayden. - Nie możemy czekać przez cały dzień na ich powrót, prawda? Nie wiemy, co się z nimi dzieje, może potrzebują naszej pomocy!

- No, w końcu! - ucieszyła się Sally. - Już myślałam, że zapuszczę tutaj korzenie! W drogę! - dodała, wyciągając swój medalion. - Ale jak ich tam odnajdziemy?

Ayden odwrócił się i zaczął szukać czegoś wokół siebie. Chwilę później znalazł to na

klapie marynarki uśpionego Leonida - był to włos.

- Długi, kręcony, nieokiełznany - to z pewnością włos Alistaira. Wystarczy go przyczepić do medalionu i wylądujemy dokładnie w miejscu, gdzie teraz się znajduje!

- Skąd ty to wiesz?

- Sam siebie zaskakuję! - wyznał Ayden. - Ojciec mi kiedyś o tym powiedział.

- Hej! - zawołała Sally, klepiąc go przyjacielsko po plecach, tak że o mało nie odbiło mu płuc. - Jesteś dużo bardziej kumaty, niż się wydaje! No, dobrze, jesteśmy gotowi, ruszamy!

- Nie ma mowy! - powiedział ktoś stanowczo za ich plecami.

Odwrócili się. Iris podeszła do nich bliżej. Wszystko słyszała.

- Mieliliśmy zostać tutaj i nigdzie się nie ruszać, pamiętacie, co powiedział pan McCooley? Zresztą pod jego nieobecność postanowiłam go zastępować. I ZABRANIAM wam tej Introdukcji!

Sytuacja rysowała się niezbyt zabawnie, Sally nie mogła się jednak powstrzymać od śmiechu.

- Umiesz liczyć do dziesięciu? - zapytała, kiedy już była w stanie coś powiedzieć.

- Phi!... - powiedziała tylko Iris, przewracając oczami.

- No, dobra, wobec tego policz do dziesięciu! - zaproponowała Sally. - Jak już skończysz, nas tutaj nie będzie. Jeśli chcesz iść z nami - możesz iść, a jeśli nie - zaczekaj tutaj grzecznie, a my ci przyślemy Alistaira, żebyś mogła mu wyjaśnić, że postanowiłaś

go zastąpić. Zgoda?

Ayden rozłożył już poły swojej peleryny i wyjął medalion. Sally uczyniła to samo.

- Będziecie mieli kłopoty, uprzedzam was! - groziła Iris. - Musicie...

Sally i Ayden zmienili zdanie. Nie odczekali nawet dziesięciu sekund - a tym bardziej nie wysłuchali do końca tego, co mówiła Iris. Rzucili się w kierunku serca Leonida.

SALA UDERZEŃ

Oskar, Valentine i Lawrence od kwadransa posuwali się niezmordowanie wzdłuż tunelu. Nie spuszczały się z oka, mimo że często spoglądali także w górę, w stronę przezroczystego stropu tunelu, sprawdzając, czy nadal jeszcze znajdują się pod morskim dnem. Zastanawiało ich, że w miarę jak posuwali się naprzód, wzmagaly się uderzenia serca, których dźwięk rozbrzmiewał w całym królestwie. Cały tunel wypełnił się tymi odgłosami: bum-bum, bum-bum, bum-bum. W końcu tunel zaczął się nieco unosić, aż wynurzył się ponad warstwę piasku. Byli teraz na dnie Morza Pompy.

Zatrzymali się zaskoczeni. Dotarli do ślepego zaułka. Było to prostokątne pomieszczenie z trzema szklanymi, przejrzystymi ścianami. Ujście tunelu znajdowało się na czwartej z nich, kamiennej. Przed nimi roztaczał się niezwykle widok na Morze Pompy. Nieopodal widać było gigantyczny klif, strome, skaliste zbocze. Obeszli dookoła całą salkę, sprawdzali podłogę, kamienny mur - nic z tego, nie było widać żadnego innego wyjścia niż to, przez które przyszli chwilę wcześniej.

Lawrence - zwykle tak opanowany - przeklął i kopnął jedną ze szklanych ścian.

- No i co? To by było na tyle? Nie przyszliśmy tu przecież, żeby podziwiać

akwarium!

Spojrzał wściekły na Oskara.

- Dlaczego właściwie Alistair zachęcał cię, żebyś tu przyszedł? Dziwaczny typek, naprawdę...

- Chodź tu, popatrz! - powiedział Oskar, z nosem przyklejonym do szyby.

Valentine także zbliżyła twarz do szklanej ściany. Ona, tak zazwyczaj gadatliwa, nie powiedziała ani słowa, co było równie uderzające jak złość Lawrence'a. Wszyscy troje wpatrywali się bez słowa w niesamowity widok, jakim było zbocze i ciemna wnęka w jego ścianie, która otwierała się i zamykała, zgodnie z biciem serca.

- Grota Pompy... A więc to tutaj!... - zdołał wreszcie wymamrotać Lawrence.

Valentine otrząsnęła się nareszcie ze stanu kontemplacji.

- Wygląda to rzeczywiście niesamowicie, ale nie daje nam żadnej wskazówki o położeniu Szmaragdowej Tablicy. A przypominam wam, że po to tutaj przyszliśmy.

Oskar także starał się skupić na ich głównym celu. Zastanawiał się nad zachowaniem Alistaira. Tym razem znowu był chłodny i zdystansowany, nalegał jednak, żeby zabrać berło. Chciał też, żeby on, Valentine i Lawrence weszli do tego tunelu. Musiała być jakaś przyczyna... Czyżby przeoczyli coś, co było w ścianie tunelu, kiedy szli ze wzrokiem wbitym w górę? Oskar oparł się o ścianę w pobliżu wejścia i bawił się berłem, które trzymał w ręku. Nie miał pomysłu, co ma dalej zrobić - i podobnie rzecz się miała z jego przyjaciółmi.

Lawrence popatrzył na niego i rozłożył bezradnie ręce.

- Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia, co właściwie możemy tutaj zrobić poza machaniem do przepływających Kapsuł...

Oskar nie chciał się jeszcze poddawać. Zaczął stukać w ścianę końcem berła, w rytm uderzeń serca, które rozbrzmiewały w pomieszczeniu jak werbel.

- Oskar! - zawołała Valentine, która stanęła jak wryta tuż przed nim.

- Co takiego? - spytał, prostując się.

- Nie! Nie przerywaj! - zawołała.

- Ale... czego mam nie przerywać? Nie robię przecież nic takiego... Nie rozumiem, co...

- Berło o ścianę - powiedział krótko Lawrence, z błyszczącym wzrokiem, promiennie uśmiechnięty. - Uderzaj cały czas berłem o ścianę!

Oskar nie ruszał się z miejsca, stał oparty plecami o kamienny mur. Podjął swoje machinalne dotąd uderzenia końcem berła o ścianę.

- Popatrz! - powiedziała Valentine, wskazując palcem na ścianę wokół postaci młodego Medykusa.

Oskar spojrział we wskazanym kierunku. Przy każdym uderzeniu na ścianie pojawiał się świetlisty punkt, który rysował czerwoną linię, rosnącą z każdym uderzeniem nieco bardziej w górę. Oskar chciał przyspieszyć ruchy ręki.

- Nie, uderzaj zgodnie z biciem serca Leonida! Nie spiesz się zanadto! - radził Lawrence, który sam umierał z niecierpliwości.

Czerwona linia zaczęła się wić i skręcać, rysując ornamenty, które do złudzenia przypominały motywy z rzeźbionego drewna na tronie królowej Mitry. Niebawem na kamiennym murze pojawił się kontur drzwi. Kiedy już był gotowy, uderzenia berła wzmagaly tylko blask linii.

Lawrence przyjrzał się uważnie zarysowi drzwi, szukając miejsca, w którym dałoby się je otworzyć. Na próżno jednak.

- Nie ma tu niczego takiego - powiedział rozczarowany.

- Nie mógłbyś walnąć trochę mocniej? Może pojawi się klamka - powiedziała Valentine.

Oskar także był już zniecierpliwiony.

- Dobra, na pewno da się coś zrobić z berłem, żeby otworzyć te przeklęte drzwi - powiedział, nie śmiał jednak odsunąć się od kamiennej ściany w obawie, że drzwi znikną.
- Spójrzcie, widać nawet cień berła wewnątrz konturu! - dodał, wskazując podłużny kształt, narysowany czerwoną linią.

Lawrence przetarł okulary peleryną Oskara i nachylił się.

- Lawrence! Ile razy mam ci mówić?! To peleryna Medykusa, a nie szmatka do okularów!

- O, przepraszam... Trzeba przyznać, że tą peleryną czyści się okulary lepiej niż czymkolwiek innym... No, dobrze, gdzie widziałeś ten kształt berła? Ach, tak, ten symbol tutaj! Ja bym raczej powiedział, że to waż...

- Nie, nie sędę - upierał się Oskar. - Zobacz, ta linia zaznaczyła nawet miejsca, gdzie na berle są drogie kamienie - mówił, przykładając berło do jego formy, która pojawiła się

w konturze drzwi, aby ułatwić sobie porównanie. - To na pewno z tym...

Oskar nie dokończył swojej kwestii. Dokładnie w tej samej chwili, kiedy przyłożył berło do jego konturów na ścianie, jej fragment, obramowany czerwoną linią, obrócił się wokół własnej osi i Oskar w jednej sekundzie znalazł się po drugiej stronie. Valentine i Lawrence osłupieli, potem jednak rzucili się na kamienny mur, tłukąc w niego pięściami.

- Oskar! Oskar, słyszysz nas?...

Odpowiadało im tylko echo ich uderzeń i nic więcej, ściana pozostała niewzruszona. Dzieci popatrzyły na siebie z przerażeniem. Ze ściany zniknął już zarys drzwi, a ich przyjaciel nie dawał znaku życia.

Po prostu zniknął bez śladu.

Oskar, przyklejony do ściany, wstrzymał oddech. Wokół niego panowały ciemności, tylko w oddali widać było słabą poświatę. Końcem berła próbował wymacać ściany wokół niego. Znajdował się w czymś w rodzaju długiego korytarza, który był mniej więcej tej samej wysokości i szerokości, co drzwi na murze. Gdy jego oczy oswoiły się nieco z ciemnością, postanowił iść w kierunku światła majaczącego na końcu wykutego w skale korytarza. Wyraźnie widział już ten jaśniejący w oddali blask. Rytm bijącego serca rozlegał się teraz z siłą armatnich wystrzałów, rozchodził się wzdłuż ścian korytarza niczym wstrząsy przy trzęsieniu ziemi.

Przejście wiło się nieco, wydawało mu się, że idzie bez końca. Dotarł jednak do podziemnej sali bez żadnego okna.

Podniósł wzrok - z trudnością mieściło mu się w głowie, że można było wykuć takie pomieszczenie pod morskim dnem i pod warstwą piasku. Na środku płonął olbrzymi

ogień, fale gorąca docierały aż do kamiennych ścian, na których tańczyły odbicia wysokich, czerwonych płomieni. Oskar zauważył, że sala miała ten sam owalny kształt, co pałac Mitry, z dwoma garbami z jednej strony. Kształt ten przywodził na myśl leżące serce.

Oskar starał się nie zwracać uwagi na ogłuszające odgłosy uderzeń, rozdzierające co sekundę absolutną ciszę tego miejsca; próbował dostrzec coś pomiędzy językami płomieni. Wydawało mu się, że dostrzega ruch. Sprawdził, czy ciągle jeszcze ma przy pasie sakwę z bronią, i dalej okrążał płonący ogień. Był cały spocony, nie tylko jednak z powodu żaru...

Dotarł do połowy pomieszczenia i zatrzymał się osłupiały na widok zdumiewającej sceny.

W skale wykuto schody, prowadzące na płaską platformę, tuż pod stropem. Był tam mężczyzna - w dosyć podeszłym wieku, z gołym torsem i w czerwonych, aksamitnych spodenkach, które były na niego za ciasne. Wydawało się wręcz, że pochodzą z epoki, kiedy był dzieckiem. Szeroki, nabijany gwoździami pas ledwo trzymał się na wydatnym brzuchu. Jego twarz wydała się młodemu Medykusowi znajoma: podobny był jak dwie krople wody do Leonida.

Człowiek ten stał pochylony, trzymając w rękach wielką pałkę, zakończoną obitą wełną kulą. Po obu jego stronach wisiały dwie olbrzymie płyty z brązu, on zaś uderzał pałką na przemian - to w jedną, to w drugą.

To w jedną, to w drugą. Co sekundę, bez końca.

Bum-bum, bum-bum, bum-bum.

Oskar obserwował go, nie kryjąc się wcale. Nie pomyślał o tym, że tajemniczy gospodarz tego miejsca mógłby uznać jego obecność za niepożądaną lub wręcz

niebezpieczną.

A więc to tutaj znajdowała się słynna Sala Uderzeń.

To o tej sali mówili pani Withers i Alistair w czasie jego nauki. Książki wspominały o niej także, ale rzadko i zagadkowo. Wydawało się niemal, że chodzi o tabu, święte miejsce. Teraz, kiedy Oskar nareszcie tu dotarł, zrozumiał, na czym to polega. To tutaj koncentrowało się życie każdego człowieka. W głębi tej sali, na samym dnie podwodnego świata, przy wiecznym ogniu życia. Póki ono trwało, stał tu ten człowiek i uderzał w płyty z brązu. Oskar zrozumiał, że jeśli Szmaragdowa Tablica, która miała przywoływać zmarłych do życia, jest gdzieś ukryta, to tylko tutaj.

Głos mężczyzny sprawił, że podskoczył w miejscu.

- Kim jesteś, młody człowieku?

- Dzień dobry, nazywam się Oskar Pill... A pan, kim pan jest?

Nie przerywając uderzeń pałką w płyty, mężczyzna zdenerwował się.

- Zakradasz się do Sali Uderzeń i pytasz mnie, kim jestem? Jak gdybym był tu obcy? Jak śmiesz!

Oskar miał ochotę parsknąć śmiechem. Z całą pewnością był to sobowtór Leonida...

- Nazywam się Thorel, bezczelny młody człowieku. Jestem pierwszym z uderzających w życiowe gongi. A tam są moi bracia: Flack, Ashoff i Tawara.

Ruchem brody wskazał odległy zakątek sali, ciemnawy i oddalony od żaru ognia. Oskar poszedł w tamtym kierunku i ujrzał trzech mężczyzn pogrążonych we śnie. Leżeli na polowych łózkach, głośno przy tym chrapiąc. Wszyscy byli identyczni, tacy sami jak

Thorel.

- Zmieniamy się co dwie godziny - wyjaśnił Thorel. - Inaczej byśmy nie wytrzymali, z wiekiem brak już siły w ramionach... Zwłaszcza kiedy Leonid nie łyka swoich lekarstw o odpowiedniej porze. Ale dlaczego właściwie opowiadam to takiemu smarkaczowi jak ty? Oto pytanie! - zdenerwował się znowu Thorel, odkładając pałkę i podpierając się pod boki.

Ogień znacznie przygasł i płomienie nie strzelały już tak wysoko.

- Eee... panie Thorel... Gongi! Trzeba w nie uderzać! - zaniepokoił się Oskar.

Mężczyzna wzdrygnął się i zaczął znowu uderzać równomiernie, to w jeden, to w drugi gong, odnajdując właściwy rytm.

- A teraz zmykaj już stąd! - zawołał. - Sam widzisz, rozpraszasz mnie i Leonid będzie miał kołatanie...

- Co to takiego?

- Kołatanie serca, to, co właśnie się przed chwilą wydarzyło! No już, zmykaj!

Oskar nie mógł się zmusić do tego, żeby odejść. Przebył całą tę drogę i zmierzył się z niebezpieczeństwami czyhającymi nań w Drugim Królestwie dla jednej, jedynej sprawy. Czuł, że jest już bardzo blisko, Szmaragdowa Tablica musiała być w zasięgu ręki i postanowił, że nie odejdzie bez niej.

- Mam tylko jedno pyta...

- POWIEDZIAŁEM: ZMYKAJ STĄD!!

Oskar odwrócił głowę i spojrzał na śpiących braci Thorela. Dwaj z nich przekreślił się przez sen na drugi bok. Jeśli Thorel będzie dalej tak głośno krzyczał, obudzą się. Mają wolne ręce i mogą wyrzucić go z sali. Wtedy mógłby się zapewne pożegnać ze Szmaragdową Tablicą... Udał przez chwilę, że odchodzi, i okrążył wielkie ognisko. Tymczasem Thorel z zamkniętymi oczami wypełniał swój życiowy obowiązek - uderzał w gongi i nadawał rytm, bez którego pracownicy w Grocie Pompy przestaliby pracować.

Chłopiec obszedł dookoła palenisko i ukrył się za jednym z łóżek, by móc przez chwilę spokojnie popatrzeć na salę. Poza trzema łóżkami (brak było czwartego, żeby nie stało się pokusą dla tego, który akurat uderzał w gongi), przestrzeń była raczej pusta. Widać było ogień, skalistą platformę i dwa gongi. Nie było niczego, co przypominałoby tablicę.

Oskar westchnął rozczarowany. Po raz pierwszy opadły mu ręce. Alistair z pewnością udzielił mu złych wskazówek. Może należało w końcu uwierzyć w to, co o nim mówiono?... Że ma trochę nierówno pod sufitem?... Popatrzył z boku na Thorela, na jego brzuchatą postać, rysującą się na tle gongu.

Gubiąc się w swoich rozważaniach, śledził wzrokiem ruchy Thorela, uderzającego w dysk z brązu pałką zakończoną wełnistą, szarą kulą.

I nagle, przez ułamek sekundy, ujrzał oślepiający, zielony błysk.

Oskar potrząsnął głową i przetarł oczy, jak gdyby padł ofiarą halucynacji.

Czy to mu się przyśniło? Czy to z powodu zawiedzionych nadziei, napięcia, gorąca? Po chwili skoncentrował się tak bardzo, jak chyba nigdy wcześniej. Wiedział, że to, co wydawało mu się, że dostrzegł, pojawi się jedynie na krótką chwilę, w momencie, kiedy pałka uderzy w metal. Wpatrywał się znowu w Thorela. Kiedy ten uderzył w gong, Oskar zrozumiał, że to nie było przywidzenie: wewnętrzna strona dysku rozjarzyła się elektrycznym blaskiem i na mgnienie oka pojawiły się na niej symbole i litery. Oskar

wstrzymał oddech i zaczekał, aż zjawisko się powtórzy - i znowu, po raz kolejny, i jeszcze raz.

Wielka, okrągła płyta, na której pojawiały się inskrypcje, z każdym uderzeniem serca - z każdą chwilą życia. Inskrypcje te były w kolorze klejnotu. W barwie szmaragdu.

Tablica była tutaj, tuż przed nim, pojawiała się i znikła w samym środku Sali Uderzeń.

Oskar utkwiał wzrok w powtarzającym się zjawisku, zafascynowany swoim odkryciem. Zielony błysk powtarzał się bezustannie i Oskar coraz wyraźniej widział słowa pojawiające się na gongu, mimo że nie rozumiał ich znaczenia. Wyprostował się i pojął złożoność sytuacji. W jaki sposób miał zabrać Tablicę?

„Pomyśl, Oskarze, pomyśl. To więcej warte niż pośpiech”. Wtedy wypłynęły zapamiętane obrazy z Grimoire’a. Odgarnął pelerynę, dotknął torby z bronią z jednostki PALOMA i zakiełkował mu pewien pomysł. Szalony, być może niemożliwy do zrealizowania pomysł, który jednak warto było spróbować wprowadzić w życie.

Przede wszystkim nie mógł dopuścić do tego, żeby Thorel zauważył go i uniemożliwił mu dalsze działanie zgodne z planem. Było tylko jedno rozwiązanie.

Otworzył chlebak z bronią i wyjął słynne, czerwone pudełko. Położył je obok i drżącą dłonią je otworzył.

Zakazana broń.

Co powiedziałyby pani Withers i pan Brave, gdyby dowiedzieli się, że przywłaszczył ją sobie dzień wcześniej i co gorsza zamierza z niej zrobić użytek? Wolał sobie tego nie wyobrażać. Wokół pudełka pojawiło się światło równie oślepiające jak blask płonącego ognia.

Możesz to zrobić, nie bój się! - powtarzał w myślach, chcąc sobie dodać odwagi.

Wziął do ręki medalion i zanurzył go na chwilę w pudełku. Złota Litera zaśniła własnym blaskiem, rzucając purpurowe błyski - mocniejsze lub słabsze, zależnie od rytmu uderzeń. Oskar przypomniał sobie słowa laboranta z jednostki PALOMA, tego, który pracował w ostatnim boksie - zupełnie jakby dopiero co je usłyszał. Powtórzył je głośno, nie bojąc się o to, że Thorel je usłyszy - dźwięk gongu i tak zagłuszał wszystko dookoła.

Bijące serce

Posłuchaj Litero,

Zatrzymaj się na trzy cztery.

Pod wpływem tych słów i na skutek działania Litero, Thorel znieruchomiał jak posąg. Oskar spojrzał zaskoczony na medalion, potem na Thorela - a więc to jednak działało! Ogień z tyłu dogorywał, podobnie jak to się działo kilka minut wcześniej, kiedy starzec zaprzestał na chwilę swojej pracy. W sali zapadła głęboka, niesamowita cisza. Światło zaczęło niebezpiecznie gasnąć. Serce przestało bić i całe królestwo musiało przeżywać w związku z tym trudne chwile. Trzeba było działać bardzo szybko. Oskar zerwał z szyi pelerynę i podrzucił ją w górę. „Wznoś się, peleryno, wznoś i leć tam, gdzie ci każe!” - prosił ją chłopiec, skupiając wszystkie myśli na dysku z brązu. Peleryna usztywniła się i uniosła do poziomu, na którym byli Thorel i Szmaragdowa Tablica.

W tym samym momencie za plecami Oskara rozległo się przeraźliwe ziewnięcie,

godne lwa lub tygrysa: to budził się Flack, brat Thorela. Prawdopodobnie zbliżała się chwila, w której mieli się zmienić i Flack miał przejąć obowiązki bicia w gong.

Chłopiec zrozumiał, że nie ma już więcej czasu do namysłu. Skoncentrował się jeszcze mocniej na pelerynie, czuł jak mocno bije mu serce. Brakowało mu jeszcze doświadczenia i nie wiedział, w jaki sposób przyspieszyć jej ruchy. Tkanina przywarła w końcu delikatnie do dysku z brązu.

Oskar znowu zanurzył medalion w tajemniczym pudełku i wypowiedział słowa kolejnej formuły:

Bijące serce

Posłuchaj Litery,

Wracaj do życia,

Bij na trzy cztery.

Twarz, a potem ciało Thorela ożyły, podobnie jak to się dzieje z filmem zatrzymanym na jakimś kadrze. Westchnął i zakołysał na boki ramionami. Koniec pałki uderzył z dużą siłą w gong, zanim Thorel zdał sobie sprawę, że jego płyta okryta jest peleryną. Oskar dostrzegł, że okrągła tarcza rozbłysła zielonym światłem.

Thorel wytrzeszczył oczy.

- Ale jak to... jeszcze tutaj jesteś? - wrzasnął rozwścieczony. - A co to jest tutaj, to...

Oskar nic nie odpowiedział i przymknął oczy. Peleryna znowu stała się lekka i miękka, spadła z gongu na ziemię. Młody Medykus rzucił się, by ją podnieść.

- Hej ty tam, młody człowieku, to nie miejsce dla ciebie!

Oskar szybko się odwrócił. Za nim stał sobowtór Thorela, z tą jednak różnicą, że ten miał wolne ręce i był wypoczęty. Trzymał się prosto i zaciskał pięści.

- Złap go, Flack! - zawołał Thorel, nie przerywając uderzeń.

Chłopiec nie czekał dłużej, rzucił się biegiem w kierunku wyjścia. Odszukał berło i wyjął je z kieszeni, modląc się w duchu, by zadziałało podobnie jak poprzednio, otwierając drzwi. Przykleił się do ściany i szybko przyłożył berło do zarysowanego na murze konturu.

Kiedy zasapany Flack dobiegł wreszcie do drzwi - a z powodu tuszy biegł nieco wolniej - zastał już tylko ślady po trampkach na piasku, przed ślepym murem.

Oskar! Co się z tobą działo? - zawołała Valentine, rzucając się w stronę przyjaciela.

Chłopiec oparł się o ścianę; był cały spocony i mocno biło mu serce.

- Ha, spotkałem parę osób i to były... gorące spotkania, nie ma co! - odparł, ciężko dysząc.

Lawrence rzucił szybko okiem na jego ręce, Oskar trzymał jednak tylko pelerynę i berło. Niepewnie zadał więc trudne pytanie:

- Nie znalazłeś tam... Tablicy, prawda?

- Owszem, znalazłem! - odpowiedział Oskar.

Jego przyjaciele podskoczyli z radości.

- Zabrałeś ją ze sobą? Pokaż!

- Nie - odparł młody Medykus. - Zostawiłem ją tam, gdzie była.

- Co takiego? - zawołała Valentine niedowierzająco. - Znalazłeś Tablicę i nie wziąłeś jej ze sobą? Ale dlaczego?

- Bo Leonid jej potrzebuje... A poza tym wymyśliłem coś lepszego! - dodał, rozwijając pelerynę. - Skopiowałem ją!

Jego przyjaciele popatrzyli w osłupieniu na pelerynę. Na jej wewnętrznej stronie odbiła się dokładna kopia Szmaragdowej Tablicy.

- To dopiero! - wykrzyknął Lawrence. - Czekaj, pokaż! - dodał, poprawiając okulary.
- Przystudiowałem tyle książek w bibliotece pana Brave'a, że chyba dam radę to odszyfrować!

Oskar obejrzał się. A jeśli braciom uda się wydostać z sali i rzucą się za nimi w pościg? Lepiej było nie narażać się na to, zwłaszcza teraz, kiedy zdobył to, na czym zależało mu najbardziej i czego tak długo szukał.

- Może zajmiemy się tym raczej po powrocie do Cumides Circle? - zaproponował.

- Świetna myśl! - przyklasnęła Valentine. - Wracajmy do domu. Mam już powyżej uszu tej całej wody dookoła. Zjadam tyle żelaza, że w końcu tu zardzewieję...

Wszyscy troje ruszyli z powrotem tunelem do tronu Mitry. Weszli na ruchomą platformę i Oskar pospiesznie przyłożył czubek berła do wgłębienia między dwoma sercami. Otworzyło się przejście w stropie i zaczęli się wznosić w górę. Znaleźli się znowu w Sali Tronowej.

Usłyszeli wówczas czyjś donośny, agresywny głos.

- Sądziłeś może, że uda ci się wymknąć, Pill?

DRUGA SKÓRA

Oskar odwrócił się gwałtownie, jak gdyby tuż obok wybuchła bomba.

- Co tutaj robisz, Moss?

- Chyba cię trzeba by o to spytać... Ty wredny, mały oszuście, hipokryto! Chciałeś mnie przechytrzyć, zapłacisz mi teraz za to!

Oskar spojrział na swojego przeciwnika. Moss trzymał w jednej ręce swój medalion, drugą dotykał niewielkiego woreczka. Zaniepokojony Oskar rozpoznał sakiewkę kryjącą groźną broń. Moss posłużył się nią już wcześniej na arenie, w pałacu Eola - był to ów czarny pierścień, rażący falą straszliwego gorąca o temperaturze tysiąca stopni. Można nim było unieszkodliwić każdego wroga. Oskar z pewnością nie przetrwałby takiego ataku.

Cofnął się i pociągnął za sobą przyjaciół.

- Czego chcesz, Moss?

- Interesuje mnie to, co pewnie schowałeś w kieszeni peleryny - powiedział Moss, a w jego spojrzeniu była pazerność i nienawiść jednocześnie.

Oskar strzepnął pelerynę.

- Niczego w niej nie mam, tylko Grimoire'a...

- Chyba mnie masz za idiotę! - warknął Moss. - Znalazłeś drugą część Trofeum, dobrze o tym wiem, to dlatego wybrałeś się tutaj wcześniej niż inni. No więc masz mi to oddać, i to teraz, zaraz!

Pomachał groźnie czarnym pierścieniem, który zdążył już zamocować na medalionie. Oskar nie miał wątpliwości, że Moss bez wahania użyje tej broni, jeśli się spotka z odmową. Ale co niby miał mu oddać? Moss widocznie nie chciał uwierzyć w to, że Oskar nie ma nawet śladu drugiej części Trofeum.

- Powiedziałem ci już przecież...

Nie miał okazji dokończyć.

- Ach, tutaj jesteście, nareszcie! - usłyszeli znajomy głos.

Oskar był jeszcze nadal nieco oślepiiony światłem w Sali Tronowej, zmrużył jednak oczy i dostrzegł stojącą przed nimi wysoką, szczupłą postać.

- Alistair! - zawołał z radością. - A więc jest pan cały i zdrowy! Bałem się, że pana schwytali...

- Wszystko w porządku, bez obaw. Nie zauważyli mnie.

Odwrócił się i popatrzył w stronę Mossa, który czym prędzej ukrył swoją broń.

- A gdzie są inni? - spytał Lawrence, zdziwiony obecnością Alistaira w Sali Tronowej. - Miał pan przecież wrócić po nich do Cumides Circle, prawda?

- Są na dole - powiedział nieuważnie Alistair. - Nie martw się o nich.

Zbliżył się do Oskara.

- Znalazłeś to, czego szukałeś? - spytał lodowato.

Oskar nie zwrócił uwagi na ten ton głosu. Uśmiechnął się i odchylił połę peleryny.

- Tak - powiedział, upewniając się, że Moss stoi dostatecznie daleko, żeby niczego nie widzieć. - Wszystkie inskrypcje są tutaj, na materiale!

- Doskonale. Zdejmij pelerynę i rozłóż ją tutaj, na posadzce! - polecił mu Medykus, rzucając szybkie spojrzenie w kierunku drzwi.

Oskar zawahał się przez chwilę. Potem stwierdził, że nie powinien przywiązywać wagi do ciągłych zmian nastroju Alistaira. Byli przyjaciółmi, kiedyś sam Alistair powiedział w ogrodzie Cumides Circle, że są prawie jak bracia. A bracia wszystkim się dzielą.

Lawrence podszedł do Oskara i powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Mówiliśmy przecież przed chwilą, że zbadamy pelerynę w Cumides Circle, Oskarze! - powiedział, nie spuszczając wzroku z Alistaira.

Alistair popatrzył na niego przeciągle. To spojrzenie zmieszało chłopca, odwrócił się.

- Dlaczego mielibyśmy z tym czekać? - spytał Alistair. - Rzućmy na to od razu okiem. W Cumides Circle nigdy nie znajdziemy spokojnej chwili. Nie musimy przecież mówić wszem i wobec, że znaleźliśmy słynną Szmaragdową Tablicę, prawda?

Oskar kiwnął głową i rozłożył pelerynę na ziemi. Tym razem Valentine stanęła pomiędzy rozłożoną tkaniną a Alistairem. Zmarszczyła brwi, wpatrując się z uwagą w twarz Medykusa.

- Co się panu stało, panie McCooley?

- Nic mi się nie stało, o co chodzi? - powiedział Alistair niecierpliwie. - Odsuń się! - rzucił rozkazująco, próbując odsunąć dziewczynkę z drogi.

- Ale... o, tutaj! - Valentine wskazywała palcem rękę Alistaira. - Pana skóra... Eee, odkleja się jakby...

Odwróciła się gwałtownie w stronę chłopców. Oskar jednym ruchem schwycił swoją pelerynę, zarzucił ją na ramiona i mocno zawiązał.

Alistair dotknął swego przegubu - płat skóry przykleił mu się do palców. Dzieci się cofnęły. Zjawisko to rozszerzało się i objęło całe ciało młodego człowieka, doszło aż do szyi. Pod spodem skóra była przeraźliwie blada i pocięta ciemniejszymi żyłami.

I wtedy ich oczom ukazało się coś, co sprawiło, że wszyscy troje zadrżeli: czerwony kołnierz, a niżej czarny strój.

Ten, który podawał się za Alistaira McCooleya, ściągnął z siebie tę dziwną powłokę, zupełnie jakby zdejmował z ramion płaszcz. Na piersi zalśniła litera, która wystarczyła za jakikolwiek komentarz: duże czerwone P, równie czerwone jak kołnierz.

To był Patologus. Przez wszystkie te tygodnie Oskar spotykał się z Patologusem,

zwierzał mu się, darzył go pełnym zaufaniem.

Kiedy z jego twarzy także zaczęła schodzić łuszcząca się skóra, wyjrzała spod niej martwa, czerwona maska. Mężczyzna podniósł rękę i dotknął czaszki, ponad maską. Jego palce skurczyły się nerwowo, rozprostowały i znowu zacisnęły, jakby w jakimś tiku próbował wyrwać sobie z głowy nękające go źródło bólu. Wszyscy troje przyglądali się temu przerażeni. Moss, nagle dużo bardziej pokorny niż wcześniej, sięgnął ręką do kieszeni peleryny.

- Nie ruszaj się! - rozkazał Patologus.

Moss znieruchomiał i obrzucił pozostałych przestraszonym wzrokiem.

- Kim pan jest? - zapytał Oskar, który obawiał się, że zna odpowiedź.

Mężczyzna położył tylko dłoń na literze P, widocznej na jego ubraniu.

- Co pan zrobił z Alistairem? Z prawdziwym Alistairem?

- Byłem wobec niego bardzo uprzejmy - odpowiedział Patologus. - Ukradłem mu tylko jego wygląd, to wszystko.

Jego głos także uległ zmianie: mówił teraz powoli, przeciągając głoski, pozornie łagodnym tonem, który budził w nich dreszcz strachu. Ten głos wydawał się docierać z lochów. Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- To było takie proste: niegroźny wypadek samochodowy i hopsa, szybka wizyta w owej klinice! I to urządzenie, które do złudzenia przypominało tomograf...

Oskar w ułamku sekundy przypomniał sobie tamto zdarzenie. Samochód potracił Alistaira, kierowca zaproponował, że zawiezie go do znanej sobie kliniki, przypadkowo

znajdującej się tuż obok...

- Później po prostu pilnowałem się, żeby nie przebywać w tym samym miejscu i czasie, co on.

- To dlatego Alistair ciągle zmieniał zdanie w sprawie tej Szmaragdowej Tablicy! - zrozumiał młody Medykus.

- Prawdziwy Alistair chciał cię zniechęcić do poszukiwań, a ja wręcz przeciwnie. A teraz daj mi pelerynę - powiedział mężczyzna i wyciągnął rękę.

Oskar i jego towarzysze znowu się cofnęli.

- Peleryna! - powtórzył Patologus. - Daj mi ją, potem pozwolę wam odejść.

- Kłamie pan - wtrącił się Lawrence. - Potem nas pan zabije! Nie zgadzaj się, Oskarze, nie rób tego!

Mężczyzna skrzyżował ramiona i wybuchnął śmiechem pod maską.

- Gdybym chciał was zabić, zrobiłbym to już dawno temu...

- Ale potrzebował mnie pan! - odgadł Oskar. - Chciał pan, żebym znalazł Tablicę, bo tylko Medykus ma do niej dostęp! Chce pan teraz, żeby zmartwychwstali pana zwolennicy, i będzie pan szerzył zło!

Patologus zaśmiał się jeszcze głośniejsze.

- Żeby zmartwychwstali moi zwolennicy?... O, jaki ty jesteś naiwny!

Ruszył do przodu z zaciśniętymi pięściami.

- Dostyc tego. Daj mi teraz tę pelerynę.

Oskar nic na to nie powiedział. Otulił się ciasniej peleryną i wyciągnął swój medalion. Serce waliło mu mocno, miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu czaszka.

- Niech pan się nie zbliża! - powiedział, starając się panować nad swoim głosem. - Jeśli pan zrobi jeszcze jeden krok, zniszczę... zniszczę pelerynę!

Valentine i Lawrence schowali się za nim, rozglądając się nerwowo po całej sali i szukając jakiegokolwiek sposobu, żeby się obronić lub uciec. Moss stał w pobliżu drzwi. Obserwował całą scenę, nie za bardzo jednak rozumiał, o czym Oskar mówi. Wydawało się, że Patologus wzbudza w nim pewien podziw.

Mężczyzna westchnął głęboko.

- A zatem będę musiał was zabić.

Oskar nie czekał, aż Patologus wprowadzi swoją groźbę w życie. Wyciągnął medalion i wycelował go w stronę mężczyzny. Z litery M wystrzelił złocisty promień, który przemknął przez całą salę w kierunku ich przeciwnika. Mężczyzna jednak tylko wyciągnął rękę. Na jego rękawicy pojawiła się lśniąca litera P i popłynęła z niej wiązka oślepiających promieni, która odbiła i unieszkodliwiła promieniowanie medalionu. Rozgrzał się tak bardzo, że Medykus musiał wypuścić go gwałtownie z rąk, krzycząc z bólu.

Oskar owinał połami peleryny siebie, Valentine i Lawrence'a, chroniąc się przed snopem ognistych płomieni, przyciągnął też do siebie medalion, łapiąc go za łańcuszek.

- DAJ MI TĘ PELERYNĘ! - wrzasnął Patologus.

Siła rażenia płomieni była tak wielka, że żar przenikał przez tkaninę peleryny. Dzieci czuły się, jakby ktoś je przypiekał na grillu. Lawrence ociekał potem. Z każdego pora jego skóry sączył się żółtawy płyn - Nektar Hepatolii. Popatrzyli na siebie z rozpaczą.

Młody Medykus chwycił medalion. Starał się przypomnieć sobie przydatne zaklęcia. Wypowiedział silnym, pewnym głosem:

Litero ze złota, z ołowiu Litero,

Daj nam siłę, osłoń nas teraz!

Wokół litery M uniósł się zielonkawy obłok, który rozchylił się nad nimi jak parasol. Ogień wysyłany przez Patologusa był jednak tak silny, że stopił tę tarczę ochronną, jakby była z lodu.

- To nie jest zwykły Patologus! - jęknął Oskar.

- Dlaczego tak uważasz? - zdziwiła się Valentine, której twarz stała się równie czerwona, co jej włosy.

- Przewyższa swoją mocą mój medalion... A przecież moja Litera jest powiązana z Literą pana Brave'a!

- Chyba nie myślisz...

Spojrzeli po sobie, żadne z nich jednak nie miało odwagi dokończyć zdania. Mimo otaczającego ich ognia i żaru przeszył ich lodowaty dreszcz pod osłoną peleryny.

Zdesperowany Oskar otworzył swój chlebak z bronią od Palomy i wyjął czerwone pudełko. Zakazana broń - to była ich ostatnia szansa. Nikt nie był w stanie się jej oprzeć.

Nawet obdarzony największą mocą Patologus, jaki żył na tym świecie.

Nerwowo zagłębił medalion w pudełku i wypowiedział formułę zaklęcia, po czym wyciągnął Literę.

Nic się nie stało. Nie wydarzyło się absolutnie nic, zupełnie jak gdyby miał prawo posłużyć się owym urządzeniem tylko raz.

- Dobrze! - krzyknął, śmiertelnie przerażony. - Dam ją panu!

Ogień, którym raził ich Patologus, zgasł. Oskar podniósł poły peleryny i wyprostowali się wszyscy troje, drżąc ze strachu. Ujrzeni zrujnowaną Salę Tronową. Niektóre sprzęty były doszczętnie zniszczone, inne właśnie płonęły, cenne gobeliny zwisały zwęglone i poczerniałe od dymu, w gardłach drapał nieznośny smród spalenizny i trujące opary.

Młody Medykus rozwiązał pelerynę, wahał się jednak. Czarny Książę wyciągnął rękę.

- Pospiesz się.

Oskar rzucił mu w końcu pelerynę. Jednak - zadziwiające! - wydawało się, że tkanina stawia opór. Zwinęła się i opadła u stóp Oskara.

- Nie kpij sobie ze mnie, Oskarze Pillu! - powiedział Patologus dużo poważniejszym głosem. - Nie kpij sobie, dobrze ci radzę...

- To nie moja wina - odparł Oskar bezradnie. - Ona nie chce trafić w pana ręce, bo pan... bo jest pan Patologusem.

Mężczyzna westchnął ciężko.

- Wobec tego rozłóż ją na ziemi i odsuń się.

Oskar wbrew sobie poddał się temu rozkazowi i starannie rozłożył poły peleryny na posadzce. Wydawała się unosić kilka centymetrów nad ziemią.

Przerwał na kilka sekund, by po raz pierwszy przyjrzeć się symbolom i słowom skopiowanym z gongu, które tworzyły słynną Szmaragdową Tablicę. Rozłożone były podobnie jak cyfry na tarczy zegarowej wokół złotego okręgu.

Zamaskowany Patologus zbliżył się do peleryny. Oskar zauważył przez otwory w masce jego błyszczące żądzą oczy.

- Nareszcie! - powiedział z satysfakcją. - Oto one, nareszcie!

Oskar i jego przyjaciele obserwowali go, zarazem wściekli i przerażeni. Patologus nie zwracał na nich uwagi, zafascynowany widokiem. Tablica przedstawiała koło i wiele różnych symboli wokół niego, po jednym w każdą stronę świata. Na samej górze widniał symbol w kształcie lśniącej, sześcienniej bryły.

- Tak długo czekałem na tę chwilę! - powiedział cichym głosem, czytając podpis, widniejący pod symbolem. - Sanktuarium...

Jego dłoń przesunęła się po tarczy ruchem zgodnym ze wskazówkami zegara i zatrzymała się nad drugim symbolem. Była to niezwykle ozdobna litera M, przypominająca nieco bardzo starą wersję litery, jaka widniała na medalionie Oskara.

Valentine i Lawrence zapomnieli o strachu. Podeszli nieco bliżej, by przyjrzeć się Tablicy.

- Cofnijcie się! - powiedział Patologus rozkazująco.

Odeszli posłusznie. Oskar natomiast nie ruszył się z miejsca. Skoncentrował się na trzecim z kolei symbolu, który stał się ciemniejszy, kiedy Patologus przeciągnął po nim palcem. Zaledwie miał czas zauważyć, że był to opleciony przez węża kielich, nad którym górowała duża litera M.

Nie mógł się w tym połapać. Staroświecka litera M, kielich, połyskujący sześcian, który Patologus nazwał „Sanktuarium”... Wydawało się, że są to po prostu typowe atrybuty Zakonu Medykusów. Jaki mógł być związek między Zakonem a Szmaragdową Tablicą? Dlaczego żadna z ksiązek, które czytał, nie mówiła niczego na ten temat?

Patologus wydawał się nie przejmować teraz ich obecnością. Oskar popatrzył w tę samą stronę co on i dostrzegł, że mężczyzna przygląda się czemuś na samym dole tarczy. W tym miejscu część tkaniny zmarszczyła się w momencie, kiedy Oskar rozkładał pelerynę na posadzce, i fragment inskrypcji był niewidoczny. Patologus wyciągnął rękę, by rozprostować pelerynę, ale ta odsunęła się od niego. Popatrzył na chłopca.

- Rozprostuj to! - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Oskar zawahał się. Oddychał szybko, czuł, że spływają z niego krople potu, starał się jednak myśleć. Peleryna zwykle dobrze wiedziała, co i jak ma chronić, jeśli zatem chciała coś ukryć, musiało zapewne chodzić o inskrypcję, która za wszelką cenę powinna była pozostać tajemnicą, przynajmniej dla Patologusa. Chłopiec wyrzucał sobie, że nie umiał mu się sprzeciwić i że od samego początku był marionetką w rękach tego człowieka, który sterował nim, jak chciał. I w końcu złożył mu do stóp Szmaragdową Tablicę... Może to teraz właśnie nadeszła chwila, żeby się zrehabilitować, nie poddając się do końca.

Oskar porwał pelerynę ruchem szybkim jak błyskawica i pociągając za sobą przyjaciół, pobiegł się schować za tronem.

- Wracaj natychmiast, razem z peleryną! - warknął Patologus. - Inaczej już nigdy nie będziesz miał okazji, żeby się nią posłużyć!

Wyciągnął rękę i rozprostował dłoń, wypuszczając purpurowy, wijący się spiralnie promień, który niszczył wszystko na swojej drodze. Nic już niemal nie oddzielało go od Oskara. Tym razem byli zgubieni. Ale w tym momencie inny promień trafił mężczyznę w przegub. Patologus krzyknął z bólu i opuścił dłoń. Jego czerwona spirala natychmiast rozplynęła się w powietrzu. Odwrócił się wściekły w stronę drzwi - ktoś celował w jego kierunku medalionem.

- Moss! - krzyknęła Valentine, nie wierząc własnym oczom.

Patologus zareagował w ułamku sekundy. Wyciągnął w stronę Mossa dłoń i wypuścił w jego kierunku dwa ogniste potwory. Zdziwiająco wręcz przypominały wirusy, z którymi Oskar i Moss walczyli w pałacu Eola.

- Pill! - ryknął Moss, próbując schronić się pod peleryną.

Nie był w stanie zwalczyć bestii laserowym promieniem ze swego medalionu. Rozjuszone potwory szarpały stwardniałą pelerynę. Oskar wyrzucił na ziemię wszystko z chlebaka z bronią, złapał kryształ w formie śnieżnego płątka i przymocował go pospiesznie do medalionu. Wyciągnął rękę i strzelił.

- Bardziej na prawo, Oskarze, na prawo! - krzyczała Valentine.

Oskar jednak uparcie strzelał dalej w tym samym kierunku i peleryna Mossa pokryła się szybko grubą warstwą lodu. Kiedy ogniste potwory atakowały, drapiąc pazurami lub

gryząc, natykały się na lód, gasły i wycofywały się. Lawrence był pełen podziwu.

- Lód kontra ogień! Brawo, Oskarze!

Kiedy tylko jednak lód stopniał, potwory wróciły i zaatakowały ze zdwojoną energią.

Oskar znalazł zieloną kulkę, dzieło Hugona Denlamera z jednostki PALOMA. Podrzucił ją i rozpałił za pomocą medalionu. Przybrała krwistoczerwoną barwę. Pierwszy wirus odwrócił się, węszył przez moment i łakomie ją połknął. Oskar modlił się, żeby nowa formuła Viradormiksu okazała się skuteczna. Chwilę później potwór zmienił się w szczekającego pluszaka, a potem w niewinnego szczeniaczka. Drugi wirus także rzucił się na kolejną kulkę, którą Oskar posłał w jego stronę.

Patologus uśmiechnął się tylko lekko. Westchnął głęboko i złożył dłonie, jak gdyby się modlił.

- Nie mam już zbyt wiele czasu na zabawę z wami, moje dzieci! - powiedział dziwnie łagodnym tonem. - A zatem... żegnajcie!

Między jego dłońmi pojawiła się jakaś ciemna masa, która pęczniała, bezustannie deformując się i przetwarzając w powietrzu. W ciągu jednej chwili przybrała kształt gigantycznej litery P w formie kosa. Świsnęła przez salę i wbiła się w ścianę. Boazerie, stiuki, cenne tkaniny, obrazy - wszystko to wystrzeliło i rozbiło się w drobny mak, z przerażającym łoskotem. Oskar, Valentine i Lawrence ruszyli biegiem w kierunku Mossa i drzwi, chcąc umknąć na korytarz, czarna kosa jednak zastąpiła im drogę. Stanęli, schwytni w pułapkę, między śmiertelnie groźną kosą a Patologusem. Nie było już żadnego ratunku.

- Bardzo słusznie, Skarsdale. To nie jest właściwy czas na zabawę.

Niski, chrapliwy głos dobiegł ich z jednego końca sali. Z drugiego krańca usłyszeli

jak echo inny głos, spokojny i delikatny.

- Jakże mi miło, panie Skarsdale! Jestem pewna, że to samo powiedzą na syberyjskiej Czarnej Skale...

Oskar odwrócił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, czując niewiarygodną ulgę, podobnie jak jego towarzysze.

- Pan Brave! Pani Withers! - krzyknął.

Wielki Mistrz Medykusów wydawał się potężniejszy i groźniejszy niż kiedykolwiek. Natomiast pani Withers, drobna i niepozorna, siedziała na wyściełanym fotelu, z dłońmi spokojnie opartymi na kolanach. Miała na sobie bladozieloną suknię, ozdobioną koronką przy okrągłym kołnierzyku i mankietach, a na nogach pantofelki na płaskim obcasie. Odrzuciła swoją zieloną pelerynę na plecy. Tylko jej oczy, tej samej barwy, co suknia, błyszczały bardziej niż zwykle za zabawnymi, czerwonymi oprawkami okularów.

- Może mógłby się pan już pożegnać z tymi młodymi ludźmi? Odstawimy pana z powrotem do celi... - zasugerowała starsza pani z uroczym uśmiechem.

Patologus także się do niej uśmiechnął, jego uśmiech jednak w ułamku sekundy zamienił się w grymas złości. Jednym ruchem dłoni posłał olbrzymią kosę w stronę Wielkiego Mistrza. Pani Withers poderwała się szybciej niż ktokolwiek inny, upuściła swoją koronkową chusteczkę i wycelowała swój medalion. Winston Brave zrobił to samo. Złoty promień pani Withers i szmaragdowozielony Wielkiego Mistrza spotkały się pod stropem Sali Tronowej i runęły na lecącą kosę ognistą chmurą, blokując ją. Chmura kręciła się przez chwilę wokół własnej osi, a stojący nieruchomo członkowie Rady Nawyższej Medykusów obracali lekko dłońmi, trzymającymi medaliony. Patologus wypuścił z rąk kolejną ciemną strugę, nie mogła się jednak przebić przez coraz jaśniejszy, świecący, złoto-zielony obłok.

Uwięziona wewnątrz niego wielka, czarna kosa rozsypała się w proch i rozplynęła się w powietrzu.

Kiedy pani Withers i pan Brave opuścili ręce i rozejrzeli się, Czarnego Księcia nie było już widać.

- Tam jest, tam! - zawołał Oskar.

Mężczyzna wchodził na pierwsze stopnie schodów. Wielki Mistrz powstrzymał Berenice Withers.

- Nie, nie warto go ścigać - powiedział.

- Winstonie! To nie tam Patologus, to przecież Laszlo Skarsdale! Musimy go zatrzymać!

- Jeśli będziemy z nim tutaj walczyć, straty będą straszliwe - odparł Winston Brave. - Leonid już teraz jest w marnej formie, nie przetrzymałby tego. A pałac jest olbrzymi i wiemy, że nasz wróg ma tutaj współników. I tak zapewne by nam umknął.

Podniósł wzrok. Skarsdale stanął przez chwilę nieruchomo na szczycie schodów, za nim widniały zamknięte drzwi. Patrzył na nich czujnie.

- Cieszcie się tą chwilą, nędzni Medykusi! - zawołał głośno. - Odnieśliście drobne zwycięstwo, ale mam już to, czego chciałem. A kiedy wydam wam wojnę - prawdziwą, krwawą wojnę - rzucę was na kolana! I wtedy was zniszczę!

Trzasnęły drzwi, a za nimi, w korytarzach pałacu Mitry, długo jeszcze rozbrzmiewał straszliwy śmiech. Oskar popatrzył na swoją pelerynę. „Mam już to, czego chciałem” - słowa Czarnego Księcia dźwięczały mu jeszcze w uszach. Nie miał jednak czasu na długie rozmyślenia. Czyjaś wielka i silna dłoń wyjęła mu pelerynę z rąk.

Winston Brave popatrzył na tajemnicze symbole i inskrypcje. Przeniósł pełen niepokoju wzrok na Berenice Withers.

Valentine rzuciła się w jego kierunku, z błyszczącymi z zachwytu oczami.

- Pan... pan uratował nam życie! - zawołała, jak gdyby była bohaterką melodramatu.

Lawrence przewrócił oczami, a Winston Brave lekko się uśmiechnął.

- To nie mnie powinniście dziękować, ale tej młodej osobie, która tam stoi.

Wszyscy się odwrócili i spojrzeli w stronę drzwi. Na progu stała wyprostowana sztywno Iris, ze skrzyżowanymi ramionami, w swojej zapiętej pod szyję białej bluzce, z włosami jak zwykle związanymi w ciasny koczek. Patrzyła na nich surowym wzrokiem.

- Nigdy mnie nie chcecie słuchać, więc zrobiłam to. Poskarżyłam się panu Brave'owi!

Wielki Mistrz zerknął na nią rozbawiony.

- Dlaczego nie powiesz im tego samego, co mnie - że się po prostu o nich martwiłaś?

Iris, zmieszana, wzruszyła ramionami.

- No... po prostu... nie znoszę, kiedy się mnie w ogóle nie słuchają!

Dzieci popatrzyły na siebie nawzajem i parsknęły śmiechem. Ruszyli w stronę drzwi, a Valentine ucałowała wylewnie zdumioną Iris.

- Dzięki, Iris! Tym razem twój paskudny charakter naprawdę nam się przydał!

Iris wyrwała się im, potargana i zarumieniona.

- Dosyć tego! - zawołała, zaskoczona nieoczekiwaną reakcją dzieci. - Ja... cóż, uprzedzałam was i tyle!

- Co się zaś ciebie tyczy, Oskarze - powiedział pan Brave poważniejszym tonem. - Uprzedzałem cię kiedyś, że twoja ciekawość i twój upór wpędzą cię w poważne kłopoty...

Ciągle trzymał w ręku pelerynę Oskara. Patrzył na chłopca z powagą w oczach.

- Zostawcie nas na chwilę, muszę porozmawiać z Oskarem.

Pani Withers oddaliła się z Mossem, Iris, Valentine i Lawrence'em. Oskar stał przed Wielkim Mistrzem ze spuszczoną głową.

- Więc to tak, Oskarze. Nigdy chyba nie będę mógł ci w pełni zaufać! - powiedział Winston Brave twardym głosem.

Dla Oskara te słowa były jak cios nożem. Był przecież zawsze lojalny! Nie mógł znieść myśli, że ktoś uważa go za człowieka nieuczciwego, na którego nie można liczyć.

- Przeciwnie - powiedział cicho. - Zawsze może mi pan ufać.

- Słucham cię zatem. Powiedz, jak to było naprawdę.

Oskar opowiedział mu całą historię: o wypadku Alistaira, o tym jak Czarny Książę ukradł mu wygląd, żeby się pod niego podszywać, kiedy młodego człowieka nie było w pobliżu. Opowiedział o Szmaragdowej Tablicy, o tym, jaki był rozczarowany faktem, że Hermes Trismegistos okazał się zwyczajnym szarlatanem, i jak fałszywy Alistair

rozbudził w nim znowu nadzieję, kiedy wmówił mu, że Tablica znajduje się w sercu Drugiego Królestwa. Mówił o mocy przywracania zmarłych do życia i o swoim odwiecznym, rozpaczliwym pragnieniu.

- Chciałem... tak bardzo chciałem go zobaczyć. Żywego.

Wielki Mistrz nie czekał, aż Oskar wyjaśni, kogo chciał przywrócić do życia. Wiedział, o kim mowa. Westchnął i rozejrzał się dookoła, jak gdyby chciał znaleźć właściwe słowa, zanim zacznie mówić.

- Oskarze, Hermes Trismegistos nie był szarlatanem. W rzeczywistości był po prostu Medykusem jak ty i ja. I to Medykusem o niezwyklej mocy.

- Ale... myślałem, że nie miał żadnej mocy i tylko udawał, że zamienia metale w złoto!

- Masz rację: nie umiał zamieniać metalu w złoto. Twierdził tak tylko w tym celu, żeby odwrócić uwagę ludzi.

- Od czego chciał odwrócić ich uwagę?

- Hermes był nieostrożny. Ktoś go zaskoczył w trakcie Introdukcji i oskarżono go o czary. Chciał uniknąć tych oskarżeń, dał wobec tego do zrozumienia, że umie zamienić metal w złoto.

- Ale to także było kłamstwo!

- Tak, ale wymyślił sobie w ten sposób zasłonę dymną. Przybrał też wówczas przydomek - Alchemik. Przez całe długie wieki alchemicy działali podobnie jak on. Budowali swoją legendę, żeby ukryć pewien fakt: w rzeczywistości wszyscy byli Medykusami, ni mniej, ni więcej. To było właśnie ich złoto...

- To znaczy, że alchemia tak naprawdę nie istniała? - zdziwił się Oskar. - Wszyscy oszukiwali?

- W pewnym sensie nie oszukiwali. Twierdzili na przykład, że są w stanie wytworzyć uniwersalne Panaceum, słynne lekarstwo na każdą chorobę. I to nie miało się z prawdą, skoro mieli tajemną moc przenikania do ludzkiego organizmu, gdzie robili to, co i ty umiesz robić - leczyli choroby.

- Czyli to jednak Hermes Trismegistos odkrył Szmaragdową Tablicę? - spytał Oskar.

- Tak. Rychło jednak zrozumiał, że musi ukryć jej istnienie, a zwłaszcza zachować w tajemnicy wszystkie jej odkrycia.

Oskar popatrzył na Winstona Brave'a pełen nadziei.

- A czy dzięki Tablicy naprawdę można...

- ... przywracać zmarłych do życia? Nie, Oskarze, niestety, przykro mi pozbawiać cię złudzeń. Ale w pewnym sensie Tablica wyjawia sekret życia, to prawda.

Zawahał się przez moment, a potem odwinął część peleryny młodego Medykusa.

- Spójrz, Oskarze, zobacz, jakie odkryłeś tajemnice.

Oskar raz jeszcze przyjrzał się symbolom na pelerynie: sześcienna bryła, litera M, kielich owinięty wężem. Nad każdym z nich widniał napis: We mnie wiedza, We mnie siła, We mnie decyzja.

- Oto święta tablica Medykusów, zwana Szmaragdową Tablicą, ponieważ jest to oczywiście barwa naszego Zakonu. Widzisz tu trzy podstawowe symbole, trzy Filary, na

których spoczywa nasz Zakon, z naszymi dewizami. Sanktuarium Wiedzy symbolizuje wiedzę, litera M daje nam siłę do działania i wreszcie złoty Kaduceusz oznacza wyważony osąd.

- A więc to dlatego można powiedzieć, że Szmaragdowa Tablica skrywa sekret życia!
- powiedział Oskar. - Ukazuje Filary Zakonu.

- To one zapewniają nam moc, bez nich Zakon przestałby istnieć, a my utracilibyśmy wszystkie nasze zdolności. Dlatego właśnie nigdy nie zdradzono tajemnicy Szmaragdowej Tablicy będącej właściwie Tablicą Medyków. I nigdy nie wspomiano o Filarach.

Winston Brave popatrzył na chłopca ciężkim, ponurym wzrokiem.

- Nosisz teraz wbrew własnej woli ową tajemnicę i musisz utrzymać ją w najgłębszych zakamarkach pamięci, Oskarze. Nigdy nie możesz o niej mówić, z nikim. Nigdy, przenigdy. Czy mogę mieć na to twoje słowo?

Nie trzeba było nawet zadawać tego pytania. Oskar pokiwał głową, pobladł jednak.

- Proszę pana... zanim się tu pojawiliście, pan i pani Withers... On to widział.

Wielki Mistrz westchnął głęboko.

- Wiem - powiedział krótko. - Tak, wiem o tym. Jesteśmy teraz osłabieni i musimy zachować większą czujność niż zwykle.

Oskar nie powiedział ani słowa, był zrozpaczony. Z jego winy Księżę Patologusów poznał sekret Szmaragdowej Tablicy. Wiedział już teraz o Filarach i z pewnością będzie się starał je zdobyć.

Wielki Mistrz chciał go pocieszyć.

- Czarny Książę i tak wiedział o istnieniu Tablicy, o jej tajemnicach. Wiedział także, gdzie jej szukać. Zdawał sobie jednak sprawę, że może do niej dotrzeć tylko Medykus. Dziś posłużył się tobą, ale w przyszłości zrobiłby to samo z jakimś innym Medykusem.

- A co się stanie, jeżeli Skarsdale je znajdzie? - zapytał zaniepokojony Oskar. - Jeśli położy łapę na Filarach Zakonu?

- Niełatwo mu będzie je znaleźć. Będzie też musiał zmierzyć się z nami, zanim do nich dotrze. No a teraz czas już wracać - dodał, odwracając się do małej grupki, stojącej w pewnym oddaleniu.

Pani Withers zrobiła kilka kroków i pochyliła się nad dziwnymi strzępami skóry leżącymi na ziemi.

- To obraz Alistaira - wyjaśnił Lawrence. - Prawdziwego Alistaira, proszę pani. Czarny Książę ukradł mu go...

- Nie dotykaj tego! - nakazała pani Withers, zbliżając do resztek skóry swój medalion.

Strzępki zbiegły się jak gdyby przyciągnięte magnesem, a pani Withers zamknęła je w chmurze, jaką wypuściła ze swego medalionu. Chwyliła stworzoną w ten sposób złotą kulę i schowała ją starannie w kieszeni peleryny.

- Nasuwa się pytanie, gdzie jest prawdziwy Alistair? - spytała w końcu. - Mamy bowiem tylko dwadzieścia cztery godziny na to, żeby zwrócić mu jego obraz. Potem niestety straci swoją postać zewnętrzną. A ja nie chciałabym mieć do czynienia z przezroczystym Alistairem...

- Wyszedł stąd prawdopodobnie, żeby zgarnąć resztę grupy i wrócić z nimi do organizmu Leonida. Wracajmy jak najprędzej!

W tym momencie otwarto wielkie drzwi prowadzące do sali tronowej i rozległ się donośny głos.

- Nie ma mowy! Zdrajcy nie opuszczą tego pałacu!

Winston Brave i Berenice Withers natychmiast się odwrócili. Przed nimi stała dumnie wyprostowana królowa Mitra. Mimo że znajdowała się w pewnej odległości, wydawała się wyższa niż kiedykolwiek, a na jej twarzy malowały się gniew i rozczarowanie.

Winston Brave ruszył w jej stronę. Skłonił się nisko.

- Mitro, miłościwie panująca królowo, czemu zawdzięczamy takie powitanie?

- Niech mnie pan raczej zapyta, dlaczego zawsze byłem tak naiwna i pozwalałam, by bramy mojego królestwa stały dla was otworem! I w zamian za to Medykusi zdradzają mnie, okradają i pragną mojej zguby - mojej i mojego ludu!

Zanim jeszcze pan Brave i pani Withers zdążyli odpowiedzieć, na znak dany przez królową do sali wpadła chmara żołnierzy i otoczyła grupę Medykusów. Oskar zbliżył się odruchowo do swoich towarzyszy i poczuł twardy, chłodny przedmiot w kieszeni peleryny.

- O jakiej zdradzie pani mówi, królowo? Jaka kradzież? O co chodzi? - pytał zdumiony Winston Brave.

- Chyba o tym, proszę pana.

Oskar wyminął Winstona Brave'a i panią Withers. Zrobił jeszcze jeden krok w stronę

królowej Mitry. Wyciągnął rękę z berłem, a królowa je zabrała.

- Oskarże, co ty najlepszego zrobiłeś? - spytała pani Withers. - Musisz nam to wyjaśnić!

- Nie ma takiej potrzeby! - powiedziała królowa. - Nie wiem, w jaki sposób to berło znalazło się w jego rękach, złapaliśmy już jednak winnego i właśnie płaci za swoje czyny. A teraz już jest prawdopodobnie martwy - powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Czarny Książę namówił mnie, żebym zabrał berło... bym mógł się dostać do Sali Uderzeń - przyznał się Oskar. - Chciałem je odnieść po powrocie.

Królowa podniosła czujnie głowę.

- Czarny Książę? Ależ... w jaki sposób Skarsdale mógł się tutaj dostać? Przecież to niemożliwe!

- Był tu jeszcze kilka minut temu - zapewniła ją pani Withers. - Niestety przybrał wygląd jednego z członków Rady. Dlatego mógł dostać się do królestwa...

Wyjęła na dowód złocistą kulę zawierającą strzępy obrazu Alistaira.

- Przybrał wygląd... członka Rady? - zapytała królowa.

- Alistaira McCooleya, wasza wysokość - wyjaśniła starsza pani, zaniepokojona reakcją królowej.

Mitra zbladła i odwróciła się. W pobliżu nie było już Romana.

- Obawiam się, że popełniłam błąd. Błąd nie do naprawienia, niestety...

POWIETRZA!

Alistair uniósł głowę i wyciągnął z wysiłkiem szyję, żeby dosięgnąć tej odrobiny powietrza, jaka jeszcze została w kolumnie.

W czasie ostatnich minut serce Leonida pracowało mało wydajnie, grotą pompowała na najniższych obrotach. W związku z tym poziom wody w kolumnie nieuchronnie się podnosił. Już od paru minut trudno mu było ustać na nogach. Tymczasem kolumna była bardzo ciasna i nie za bardzo mógł pływać, by utrzymać się na powierzchni.

Nie machaj rękami, Alistairze. Twoje ciało uniesie się na powierzchnię, jeśli nie będziesz się tak kręcił!

Łatwiej było tak pomyśleć niż zrobić. Próbował podnieść się nieco, opierając się dłońmi i podeszwami o ścianki, były one jednak zbyt śliskie. Podniósł wzrok - przestrzeń między powierzchnią wody a stropem kolumny była już bardzo niewielka...

Nie wolno mu było wpadać w panikę - a zatem bez paniki! Był młody, ale w czasie trzydziestu trzech lat życia dosyć się napatrzył. Jego odwaga i zimna krew niejedną raz ocaliły mu życie, dzięki nim stał się wielkim Medykusem i został członkiem Rady Najwyższej. Musiał o tym teraz pamiętać. Rzucił okiem przez szklaną ścianę na salę w dole. Była pusta, wszyscy poszli, zostawiając go własnemu losowi, tak jak zarządziła królowa. Na ziemi leżała tylko jego peleryna, niedbale porzucona. Drzwi pozostawały zamknięte. Mitra nie zmieniła widać zdania. Zdążył trochę poznać jej charakter; była niezłomna. Wody ciągle przybywało. Zginie zatem w środku szklanej tuby, w podwodnym królestwie. Nie bał się, był jednak nieszczęśliwy, wiedząc, że nic po nim nie zostanie, jeśli umrze wewnątrz cudzego organizmu. I nie zostanie też nic po jego ojcu, był bowiem jedynakiem. Wziął do ręki medalion i przyglądał mu się przez chwilę, gdy

tymczasem dotknął już czubkiem głowy stropu, a woda sięgała mu do brody. Ile razy ten medalion ocalił mu już życie? I jak wiele istnień Alistair uratował, przenikając z jego pomocą do organizmów chorych ludzi? Tu i teraz nie mógł się w żaden sposób nim posłużyć. I nikt nie mógł mu w żaden sposób pomóc.

Chyba że...

Woda sięgała mu już niemal do nosa.

Spojrzał po raz ostatni na swój medalion i zamknął oczy.

Sally i Ayden rozglądali się dookoła. Wszędzie - w podłożu, ścianach, w powietrzu - rozbrzmiewał rytm uderzeń serca. Znaleźli się w Drugim Królestwie, a dzięki temu, że posłużyli się włosiem Alistaira, dostali się od razu do owej sali na szczycie pałacu. To dziwne okrągłe pomieszczenie ze szkła było jednak puste. Nikogo nie było widać.

- No cóż, teraz już wiemy, że ten numer z włosiem trzeba by jeszcze poprawić - zawyrokowała rozczarowana Sally. - Co teraz robimy?

- Musimy stąd wyjść i szukać dalej - powiedział Ayden, zaintrygowany. - Chodź!

Podbiegli do drzwi i Ayden ostrożnie je otworzył. W korytarzu także było pusto. Słyszał tylko uderzenia serca.

- Serce starego Leonida bije jednak niezbyt regularnie! - zauważyła Sally, która nadal jeszcze była w okrągłej sali.

- Dlaczego?

- Nie słyszysz tego dodatkowego uderzenia pomiędzy dwoma głównymi?

- Nie... - zdziwił się Ayden, nasłuchując dźwięków dobiegających z korytarza. - Rytm wydaje się regularny: bum-bum, bum-bum.

- No widzisz, a ja tutaj mam: bum-bum-stuk, bum-bum, bum-bum-stuk.

Chłopiec cofnął się i zamknęli z powrotem drzwi.

- Skąd pochodzi ten dźwięk?

Stuk.

Podnieśli głowy i osłupieli.

Ciało Alistaira było uwięzione w sporej, szklanej kolumnie wypełnionej czerwonym płynem, zawieszona pod stropem sali. Obydwoje popatrzyli na siebie przerażeni.

- Myślisz, że on... myślisz, że nie żyje? - spytał Ayden. Jego twarz zbladła.

Sally wpatrywała się w Alistaira, niezdolna powiedzieć ani jednego słowa. W tym momencie znowu rozległ się ten dźwięk: stuk. I jednocześnie dostrzegła, że Alistair poruszył nogą w szklanej kolumnie.

- Żyje! Żyje! - zawołała.

Ayden pobiegł na drugi koniec sali, by lepiej się przyjrzeć górnej części kolumny. Zobaczył twarz Alistaira, który przywarł ustami do jakiejś świetlistej bańki.

- To bańka z powietrzem! Udało mu się zamknąć tam trochę powietrza, dzięki medalionowi! Szybko, musimy go uwolnić!

Dzieci wyciągnęły bez chwili wahania swoje medaliony i wycelowały nimi w stronę szklanej tuby. Ich promienie odbiły się jednak od powierzchni szkła, nie zostawiając nawet jednej rysy. Ayden ściągnął więc pelerynę i zaczął nią wywijać.

Kręć się, kręć jak śmigło,

Jak stal stań się rychło!

Peleryna zeszywniała, jak gdyby zamieniła się w metal i wzniosła się do góry, wirując wokół własnej osi. Ayden i Sally odskoczyli szybko, chcąc uniknąć odprysków szkła. Kiedy jednak peleryna - przypominająca żelazny wentylator - uniosła się na wysokość kolumny i dotknęła szklanej ściany, snop iskier rozbłysnął w powietrzu, a tkanina opadła na ziemię. Dzieci podeszły bliżej, osłupiałe. Na szkłe i tym razem nie było najmniejszego śladu zniszczenia.

- Z czego jest zrobiona ta przeklęta tuba? - zdenerwowała się Sally. - Alistair się tam dusi, a my tu możemy tylko stać i się przyglądać!

Ayden bezradnie potrząsnął głową i podniósł pelerynę. Przyszedł mu nagle do głowy pewien pomysł, chociaż nie był pewien, czy okaże się skuteczny. Być może Alistair wyczerpał już cały zapas powietrza, jaki zawierała świetlista bańka, i teraz był już martwy. Nie było jednak nic do stracenia, trzeba było wypróbować każdy sposób.

- Być może damy radę go uwolnić... - powiedział z wahaniem.

- Dalej, pospiesz się, mów! - Sally potrząsała nim, jak gdyby był drzewkiem

owocowym.

- Musimy... połączyć nasze medaliony.

- Co musimy?...

- Połączyć je - powtórzył Ayden. - I to jest... to jest coś na całe życie.

- Eee, i co się z tym wiąże? - spytała nieufnie Sally.

- Będziemy musieli się wspierać, pomagać sobie nawzajem, zostać przyjaciółmi - powiedział Ayden, mocno zarumieniony.

Sally wahała się przez kilka sekund. Ayden nie był typem chłopaka, z którym miałyby ochotę nawiązać trwałą przyjaźń. Był nieśmiały, często dosyć niepewny siebie, mimo że ostatnio coraz częściej ją zadziwiał. Porzuciła jednak te myśli - to nie była właściwa chwila. Złapała pospiesznie swój medalion.

- No dobrze, później pomyślimy o konsekwencjach - powiedziała. - Najwyżej pan Brave rozłączy te nasze medaliony...

Ayden wyciągnął swoją Literę w kierunku Sally, a ona uczyniła to samo ze swoim medalionem.

- Powtarzaj za mną! - powiedział Ayden.

Złączeni naszymi Literami,

Lojalni do końca naszych dni,

Będę walczył z twoimi wrogami,

Będziesz przy mnie, gdy będzie źle.

Sally popatrzyła na niego speszona.

- To... to znaczy, że będziemy musieli to wszystko robić?

- Powtarzaj! - popędzał ją Ayden, patrząc niespokojnie na szklaną tubę.

Sally pospiesznie zrobiła to, o co ją prosił, i Litery wypuściły promienie. Wokół nich pojawiła się poświata i obydwaj medaliony otoczyła kulista chmura światła.

- Trzymaj cały czas! - powiedział Ayden, osłaniając twarz.

Blask nieco przygasł i dzieci popatrzyły na swoje medaliony.

- Nic się nie zmieniło! - powiedziała Sally, zaintrygowana.

- Najważniejsze, żeby przez to połączenie zyskały moc...

- Jaką moc? - spytała Sally.

Ayden wyciągnął ramię i rozchylił dłoń.

Wnieś się, wnieś, Litero, i przyłgnij do kolumny!

Sally nie zadawała już żadnych pytań. Na znak dany Aydena powtórzyła jego ruch i słowa zaklęcia.

Obydwa medaliony uniosły się i przykleiły się po dwóch stronach szklanej tuby naprzeciwko siebie. Ayden rzucił się ku pelerynie Alistaira, podniósł ją i rozłożył pod kolumną. Nie było już w niej widać żadnego ruchu - Alistair tkwił w czerwonej zawieszynie jak posąg. Dzieci spojrzwały na siebie.

- A teraz módlmy się, żeby to zadziałało! - powiedział Ayden z niepokojem i nadzieją zarazem.

Podniósł wzrok i wydał głośno rozkaz:

Połączone Litery, złączcie się znowu!

Złączcie się, nie zważając na przeszkody!

Oba medaliony przywarły gwałtownie do ścian tuby, a pomiędzy nimi pojawił się promień jaskrawego światła, które przecinało na wskroś kolumnę. Sally zrozumiała nareszcie plan Aydena. Zacisnęła kurczowo pięści, jak gdyby chciała wspomóc to działanie.

- No dalej, medaliony, postarajcie się! - zawołała. - Możecie się połączyć, możecie zniszczyć tę przeszkodę!

Światło między medalionami stawało się coraz mocniejsze, przypominało teraz pręt, przenikający przez wodę. Sally i Ayden wstrzymali oddech i wtedy na powierzchni szkła pojawiło się pierwsze pęknięcie. Sally zaczęła głośno krzyczeć, jakby zagrzewała konie startujące w wyścigu, nawet Ayden przyłączył się do tego dopingu.

- Jeszcze, medaliony! Mocniej! Ściskajcie to!

Ścianę kolumny przecięła kolejna, większa rysa, z której jak pajęczyna wyrastały inne. Rozległ się ogłuszający trzask i tuba rozpadła się na kawałki. Dwoje młodych Medykusów zaledwie zdążyło skryć się pod pelerynami, przypadając do ziemi - sekundę później spadł na nich deszcz szklanych odłamków i wody. Kiedy stanęli znowu na nogi, pokryci byli drobinami szkła i spływały z nich strumienie czerwonej cieczy. Przed nimi, na środku sali, leżał wśród resztek tuby Alistair. Ayden rzucił się w jego kierunku.

- Alistairze! Panie McCooley!

Usłyszeli jak coś bulgocze, potem rozległ się jęk. Krzyknęli oboje z radości, pomieszanej z ulgą. Młody człowiek odkrztuszał właśnie płyn, którego się nałykał. Pomogli mu usiąść. Powoli dochodził do siebie.

- Wy...wydaje mi się, że pojawiliście się w samą porę jak bohaterowie filmu! - wymamrotał wyczerpany. - Jeszcze kilka sekund i byłoby po mnie...

- Teraz wracamy! - zarządziła Sally. - Da pan radę wstać i iść?

Alistair masował sobie plecy i prawe kolano. Upadł z dużej wysokości i odczuwał tego skutki, mimo że peleryna nieco zamortyzowała zderzenie z ziemią.

- Mam nadzieję, że niczego sobie nie złamałem... To byłby prawdziwy cud!

- Nie będzie żadnego cudu.

Ten głos zabrzmiał za ich plecami. Odwrócili się - w otwartych drzwiach stał Romano, zausznik królowej, i obserwował ich ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Na jego znak do sali wmaszerował oddział groźnie wyglądających, uzbrojonych po zęby żołnierzy w czerwonych mundurach. Otoczyli małą grupkę.

Romano zbliżył się i oglądał resztki strzaskanej kolumny. Alistair popatrzył na Sally i Aydena, zrozumieli się bez słów. Rzucili się, by podnieść medalion Alistaira, Romano był jednak szybszy i podniósł go pierwszy.

- Nie będziecie go potrzebować.

Po kilku chwilach powtórzył wyjątkowo łagodnym głosem:

- Nie będziecie go potrzebować. Już nigdy więcej!

Zwrócił się do żołnierzy.

- Zabijcie ich - rzucił krótko. - Zabijcie.

Troje Medykusów przywarło do siebie plecami. Aydenowi trzęsły się ręce, oboje z Sally wyciągnęli jednak swoje medaliony i wycelowali w żołnierzy, broniąc własnej skóry, a także osłabionego, bezbronnego Alistaira. Napływało coraz więcej żołnierzy. Dzieci nie miały złudzeń, wiedziały, że nie zdołają się uratować.

Krąg wokół nich wciąż się zacieśniał.

- Proszę zaczekać! - krzyknął Alistair. - Tych dwoje jest bez winy, to tylko dzieci! To przecież mnie pan oskarża, niech pan zatem weźmie mnie, a ich puści wolno!

Romano podszedł do niego, patrząc na nich obojętnie. Jego blada, gładka twarz nie wyrażała żadnej reakcji. Alistair postawił wszystko na jedną szalę.

- Jeśli ci młodzi ludzie zginą, Romano, zrobi pan sobie wrogów ze wszystkich Medykusów. Winston Brave, nasz Wielki Mistrz, nigdy wam tego nie zapomni, słyszy pan? Nigdy! Ani on, ani członkowie Rady Najwyższej. Niech mi pan wierzy, nadchodzą ciężkie czasy, lepiej mieć sojuszników niż wrogów...

- To pan naruszył nasz sojusz - odparł zimno Romano. - Byliśmy przyjaciółmi, otworzyliśmy przed panem drzwi naszego królestwa, mieliśmy do pana pełne zaufanie, a tymczasem zdradził nas pan.

Alistair się zdenerwował.

- Myli się pan, Romano, nikt was nie zdradził! Jest pan niemądry i uparty!

Lecz jego głos zniknął w gwarze, jaki wznosił się wokół nich. Specjalny oddział Makrofagów Mitry ustawił się w pierwszym rzędzie. Ich ramiona wyciągnęły się po Medykusów. Żołnierze przez cały czas trzymali broń w pogotowiu. Romano podniósł dłonie. Kiedy ją opuści, nastąpi śmierć nieszczęsnych ofiar. Ayden zamknął oczy, Sally krzyknęła ze złości i niemocy, Alistair stanął przed nimi, chcąc ich osłonić przed pierwszymi ciosami.

Romano zacisnął dłoń w pięść.

- ZATRZYMAJCIE SIĘ!

Ten głos był silniejszy niż panujący wokół nich hałas i krzyki. Romano zastygł w pół ruchu. Świetnie znał ten głos, podobnie jak wszyscy pozostali. Pojawiła się wysoka postać. Żołnierze rozstąpili się na boki, zbrojni pochyłili się w głębokim ukłonie.

Ukazała się przed nimi królowa Mitra. Dała znak Romanowi. Za nią pojawiła się potężna sylwetka Wielkiego Mistrza Medykusów i dużo drobniejsza - Berenice Withers.

- Zdaje się, że dotarliśmy we właściwej chwili - powiedziała do swoich gości. - Cofnijcie się! - rzuciła w stronę nieustraszonych Makrofagów. - Pomyliliśmy się, są niewinni.

- Wasza wysokość... - Romano chciał zaprotestować.

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- To nie był McCooley. Zostaliśmy oszukani, podobnie jak ten chłopiec.

Oskar wyszedł zza pleców Winstona Brave'a i starszej pani. Ayden i Sally rzucili się w jego stronę.

- Skradziono panu wygląd, Alistairze! - powiedział Oskar. - Pamięta pan, tego dnia, kiedy miał pan wypadek... Robiono panu później zdjęcia w tym dziwnym urządzeniu, przypominającym tomograf...

Alistair pojął w końcu, co się stało. Popatrzył na posadzkę wokół swoich stóp.

- Zniknął mój cień! I niedługo stanę się całkiem przezroczysty! Ależ oczywiście, jak to się stało, że niczego nie zauważyłem? Dlaczego nie wpadłem na to już wtedy?...

- Proszę się nie obawiać! - powiedziała pani Withers, patrząc na niego przebiegłym wzrokiem. - Mamy tutaj wszystko, czego panu trzeba! - wyjęła złocistą kulę, w której zamknęła wcześniej obraz Alistaira. - Jest tu nawet pana garnitur, co prawda lekko zniszczony. Może to dobra okazja, żeby sobie kupić nowy?

- Nie ma mowy! - uśmiechnął się Alistair. - Jestem, jaki jestem... i tak jest dobrze,

prawda? - dodał, robiąc oko do Oskara.

Młody Medykus podszedł do niego bliżej.

- Proszę mi wybaczyć... Pod koniec myślałem już, że pan... że...

- ... że straciłem rozum?

Alistair nachylił się w jego stronę i ciągnął poufnym tonem:

- W gruncie rzeczy to może być prawda! I może nawet nie ma to nic wspólnego z moim ojcem. A jeśli nawet, trudno, trzeba być dumnym z tego, co dziedziczymy po rodzicach, prawda?

Oskar kiwnął głową z uśmiechem.

- Tak, ja też jestem dumny z tego, że przypominam mojego ojca. Mam nawet jego wady!

- Ale dobrze by było, żebyś poza tym miał też zaufanie do starszego brata...

- Mam do pana zaufanie, zawsze miałem! - odparł Oskar pewnym głosem, bez cienia wahania. - A pan, czy pan...

Alistair położył mu ręce na ramionach.

- Ja też mam do ciebie zaufanie. Pełne zaufanie.

Nagle tuż obok odezwał się czyjś ostry głos:

- No dobrze, kiedy już skończycie, chciałabym wreszcie wrócić do domu -

oświadczyła Iris, która przepchnęła się właśnie do przodu, sprawdzając, co się właściwie dzieje i dlaczego jeszcze nie wracają. - Czekają tam na mnie, a ja...

- ... nie znoszę się spóźniać! - wykrzyknęły chórem pozostałe dzieci, wybuchając śmiechem. - Wiemy, Iris, wiemy...

Iris nie mogła się zdecydować, czy się obrazić, czy też raczej roześmiać.

- W takim razie musimy chyba pożegnać się z naszymi przyjaciółmi z Drugiego Królestwa - powiedział Wielki Mistrz z lekkim uśmiechem.

- Zdaje się, że zapomniał pan o czymś.

Królowa Mitra podeszła do nich. Poruszała się z wdziękiem mimo podeszłego wieku. Jej majestatyczna, pełna godności postać robiła duże wrażenie. Alistair skłonił się przed nią, a ona odezwała się do niego z uśmiechem.

- Przede wszystkim jesteśmy panu winni przeprosiny, panie McCooley.

- Nie ma o czym mówić! - odparł Alistair wesoło, mimo że stał nieco przygarbiony i obolały, nadal też spływały z niego strumyki czerwonej wody z Morza Pompey.

- Bramy naszego królestwa zawsze będą przed panem stały otworem. Przed panem i przed każdym Medykusem, który zechce nas zaszczyścić swoją obecnością! - ciągnęła królowa i dodała: - Ci młodzi ludzie nie mogą przecież odejść stąd z pustymi rękami. Jak mogłabym znowu ich gościć w przyszłości?

Pani Withers uśmiechnęła się i bez słowa ustawiła pięcioro dzieci w rzędzie.

Oskar także domyślił się, w czym rzecz. Otworzył drugą sakiewkę na swoim Pasię Trofeów i wyjął małe, szklane pudełeczko, które dostał od króla Eola. W środku lśniące

drobinki wirowały pod wpływem zamkniętego w pojemniczku oddechu. Inni pospiesznie poszli w jego ślady. Zarówno Oskar, jak i Ayden oraz Sally promienieli z radości. Lawrence i Valentine patrzyli na nich z podziwem. Iris także wyjęła pudełeczko, nawet Moss wydawał się zadowolony.

Valentine drżała z radości i zawołała do stojącego tuż obok Winstona Brave'a:

- Ależ to genialna sprawa, prawda, panie Brave? Naprawdę, świetnie się stało! Mogłabym za chwilę wrócić tu znowu i szukać kolejnej Szmaragdowej Tablicy!

- Nie ma mowy! - powiedział cicho Wielki Mistrz. - Zostaniesz i nigdzie się nie będziesz włóczyć, młoda damo!

Mitra ujęła swoje berło i zawirowała wokół własnej osi. Jej suknia rozchyliła się jak płatki kwiatu, włosy załśniły jak biała chmura na tle purpurowych ścian sali, w której bezustannie słychać było rytm bijącego serca.

Odwieczne serca uderzenie,

Symbol życia i miłości,

Którego wszędzie słyszemy brzmienie,

Przyjdź i trwaj w wieczności.

W miarę jak czubek berła wirował w przestrzeni, rubiny, którymi było wysadzane, zapalały się, jeden po drugim. Kiedy zaświecił piąty kamień, Mitra podeszła do Mossa.

Chłopiec otworzył wieczko pudełka i królowa zbliżyła do niego wierzchołek berła. Białe złoto dotknęło szkła, zabrzmiało uderzenie serca, Trofeum zadrżało i pudełko się zamknęło. Mieściło teraz w sobie odwieczny puls Królestwa Pompey.

Mitra powtórzyła ten proces z Trofeami pozostałych trojga Medykusów, aż w końcu podeszła do Oskara.

W owej chwili największy rubin, ten, który zdobił rękojeść berła, zaczął świecić wyjątkowo silnym blaskiem. Królowa musnęła królewskim berłem Trofeum Oskara, który poczuł między dłońmi podwójne uderzenie.

- To berło cię poznaje - powiedziała królowa, wpatrując się badawczo w chłopca. - A właściwie rozpoznało cię.

- Ale przecież... nie miałem go w rękę aż od dzisiejszego poranka! - zdziwił się Oskar.

Królowa popatrzyła na panią Withers, a potem na Wielkiego Mistrza. I zwracając się ponownie do Oskara, powiedziała cicho, tak by tylko on ją usłyszał:

- Można rozpoznać kogoś, kogo się nigdy wcześniej nie widziało, młodzieńcze. A to dlatego, że się na tego kogoś od dawna czekało w sercu i w myśli.

Oskar już chciał coś na to odpowiedzieć, ale starsza pani w czerwonych okularach przerwała rozmowę.

- Musimy już iść! - powiedziała. - Nie wolno nam zajmować tyle czasu królowej.

Zarówno ona, jak i pan Brave pożegnali władczynię z wszelkimi honorami.

- Byłoby wspaniale, gdyby się okazało, że wszyscy się pomyliliśmy, a wy

moglibyście pojawić się tutaj znowu, także z okazji szczęśliwych wydarzeń! - powiedziała Mitra, a przez jej twarz przebiegł cień. - Niestety, zamiary złowrogiemu Czarnemu Księciu każą nam sądzić inaczej...

- Módlmy się, aby przyszłość przyniosła nam mądre rozwiązania, wasza wysokość - powiedział z powagą Winston Brave.

Grupa młodych Medykusów poszła w ślady Alistaira, który pokłonił się w pas królowej, a następnie popatrzył na resztki szkła rozsypane na posadzce. Pośród tysięcy lśniących okruchów kształt zabłyszczał jeszcze mocniej. Był to obraz węża oplatającego kielich, zwieńczony dużą literą M.

Alistair poszukał wzrokiem Iris.

- Kaduceusz jaśnie panienki właśnie zajechał. Gdyby jaśnie panienka zechciała skorzystać...

CZWARTY FILAR

Wydaje mi się, że o czymś pan zapomniał.

Fletcher Worm, który właśnie wychodził z Cumides Circle, znieruchomiał na podeście przed drzwiami. Razem z nim siedzibę Wielkiego Mistrza Medykusów opuszczał Moss. Twarz Worma była jak zwykle nieprzenikniona. Wszyscy jednak domyślali się, że jest rozczarowany. Liczył na to, że jego protegowani przyniosą z wyprawy Trofeum, a małemu Pillowi to się nie uda. Z tego powodu Berenice Withers odczuwała podwójną satysfakcję. Stała wyprostowana pośrodku hallu, w swojej skromnej sukni z zielonego jedwabiu i w żakiecie z krótkim rękawem. Uśmiechała się. Cierpliwie czekała, aż Worm odwróci się w jej stronę. Alistair stał z grupką młodzieży

nieco dalej. Hałaśliwie dyskutowali, śmiali się i mówili jeden przez drugiego, wspominając rozmaite przerażające momenty, które razem przeżyli. Nawet Iris rozpogodziła się i nie chciała odjeżdżać z Fletcherem Wormem. „Nie chcę wracać z panem. Mama przyjedzie po mnie, kiedy zadzwonię i ją o to poproszę!” - oświadczyła hardo.

Worm odwrócił tylko głowę.

- Co pani ma na myśli, Berenice?

- To! - powiedziała pani Withers, bawiąc się od niechcienia rzemykami czarnego woreczka. - Ten chłopiec powierzył mi to przed chwilą, kiedy tu dotarliśmy z powrotem - ciągnęła, patrząc na Mossa. - Proszę się na niego nie gniewać. Zapewniam pana, że nie zrobił tego dobrowolnie, musiałam go do tego nakłonić... Powiedzmy, z dużym naciskiem.

Worm rozpoznał swoją własność i na jedną krótką sekundę jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Mossa.

- To nie należy do mnie! - powiedział lodowatym tonem. - Musiała się pani pomylić.

- Doprawdy? - spytała pani Withers, delektując się każdą chwilą tej rozmowy. - To naprawdę zadziwiające! Eolczycy zapewniali mnie, że widzieli na własne oczy, jak tu obecny młody Moss posługiwał się nieznaną, straszliwie niebezpieczną bronią. Sądziłam, że to pan mu ją przekazał.

Zbliżyła się o parę kroków i patrzyła na Worma przez swoje czerwone okulary.

- Zapewne ma pan jednak rację - dodała. - Jest bardzo możliwe, że to ja się pomyliłam. Nigdy, przenigdy nie mógłby pan powierzyć takiej broni temu chłopcu, tym bardziej bez wiedzy Rady.

Wyszła z domu i zeszła po kilku schodkach, była już teraz blisko Worma. Ani na chwilę nie spuściła z niego wzroku.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, domagał się pan, aby pana podopieczni mieli broń z jednostki PALOMA, by obie grupy miały równe szanse. Wobec tego, Worm, domyślam się, że nie miał pan najmniejszego zamiaru przekazywać temu chłopcu jakiejś broni, nie oferując jej jednocześnie pozostałym, prawda?

Worm zacisnął szczęki i zmrużył jeszcze bardziej oczy.

- Dobrze mnie pani zna! - powiedział przez zęby. - Nigdy w życiu coś takiego nie przyszłoby mi do głowy i doceniam fakt, iż nie wzięła pani tego nawet pod uwagę.

Pani Withers zawiązała rzemyki woreczka i schowała go do kieszeni żakietu.

- Bardzo mnie to cieszy! - stwierdziła. - Powiemy, że Moss znalazł ten woreczek w miejscu, którego nie chce nam zdradzić. Pozostawiam panu obowiązek ukarania go za ten brzydki postępek. Wydaje mi się, że rozsądnie będzie skonfiskować mu tę broń. Przekażę ją mojej siostrze. Będzie zachwycona, mogąc poddać ją dokładniejszym badaniom...

Fletcher Worm popchnął tylko Mossa w kierunku oczekującej ich limuzyny i odszedł bez słowa.

Oskar jako ostatni wychodził z Cumides Circle. Winston Brave miał zamiar udać się do swojego gabinetu, ale wcześniej wziął od chłopca pelerynę.

- Oddam ci ją, gdy tylko usuniemy z niej te inskrypcje - powiedział, wchodząc już na schody. - A, byłbym zapomniiał, może przy okazji oddasz mi także to czerwone pudełko,

które powinno jak najszybciej wrócić do jednostki PALOMA?

Wielki Mistrz wyciągnął rękę, a Oskar bez słowa oddał mu zakazaną broń Palomy. Nie śmiał jednak przy tym podnieść wzroku na Wielkiego Mistrza, który patrzył na niego z surowością i rozbawieniem zarazem.

Oskar podszedł do pani Withers. Zostali sami w wielkim hallu posiadłości. Obiecał Valentine i Lawrence'owi, że przyjdzie do nich chwilę później. Starsza pani uśmiechała się do niego, jak gdyby spodziewała się już, o co Oskar będzie chciał ją zapytać. Spędziła z tym niesamowitym chłopcem wiele czasu w minionym roku i doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, iż jego ciekawość nie zna granic. To także składało się na jego wdzięk, było elementem jego niespokojnej natury. Jakże przypominał pod tym względem swojego ojca, Vitalego! Vitali Pill trwał niezmiennie we wspomnieniach Berenice Withers.

- Słucham cię, mój drogi chłopcze.

Uśmiechnął się. Pani Withers jak zawsze domyślała się wszystkiego zawczasu.

- Czy mógłbym z panią porozmawiać... sam na sam? - zapytał, rozglądając się dookoła.

Kiwnęła głową. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Bones, jak przystało na wszechobecnego majordomusa, wszędzie nadstawiał ucha.

- Chodźmy do biblioteki! - zaproponowała.

Oskar zawahał się. Na książki także trzeba było uważać, a zależało mu tym razem, by zachować tę rzecz w tajemnicy, jak o to prosił pan Brave.

- Wolałbym raczej iść do salonu...

Pani Withers weszła za nim do salonu i zamknęła drzwi. Zbliżyła do nich swój medalion i zamek się zatrzasnął. Usiedli na kanapie naprzeciwko kominka, w którym płonął zawsze ogień o dziwnych, zielonkawych płomieniach.

- O co chodzi? - spytała pani Withers, patrząc na chłopca uważnie.

- Chciałem... chciałem zapytać panią o Szmaragdową Tablicę. To znaczy, o Tablicę Medykusów.

- Prawdę mówiąc, spodziewałam się tego. Słucham.

- Pan Brave mówił mi o trzech głównych Filarach Zakonu, które przedstawiono na tej Tablicy.

- Owszem, widzę, że bardzo dokładnie zapamiętałeś jego słowa.

Czuła, jak ściska jej się lekko serce. Dobrze знаła sposób myślenia Oskara i świetnie się domyślała, do czego zmierza. Pozwoliła mu mówić, a Oskar nie kazał jej długo czekać.

- Kiedy Czarny Książę pochylił się nad Tablicą, peleryna zawinęła część poły i nie pozwoliła mu tam zajrzeć.

- To był zapewne przypadek, ale dobrze, że tak się stało - odparła starsza pani ostrożnie.

Oskar nie zamierzał na tym poprzestać.

- Nie sędzę, żeby to był przypadek, proszę pani. Wydawało mi się, że peleryna coś przed nim zasłoniła. A on tymczasem za wszelką cenę chciał zobaczyć, co jest na dole

Tablicy... Co to było?

Tym razem to Oskar wpatrywał się intensywnie w twarz starszej pani, jak gdyby starał się odcyfrować jej myśli.

- Nie znam szczegółowo Tablicy, ale wydaje mi się, że chodzi o inskrypcje wokół imion Medykusów - odpowiedziała w końcu. - Nic poza tym. Tylko że Skarsdale o tym nie wiedział, nigdy wcześniej nie widział Tablicy, ujrzał ją dopiero w tej kopii na twojej pelerynie. Tym sobie tłumaczę jego zainteresowanie.

Oskar zapatrzył się w przestrzeń, zagłębiając się w swoich myślach. Starsza pani zdecydowała się mu przerwać.

- Co się stało, to się nie odstanie, Oskarze. Nie myśl już tyle o tym, ani o tej Tablicy, która sprawiła ci tyle kłopotów.

Chłopiec pokiwał głową.

- Może zajmiemy się teraz naprawdę istotnymi sprawami? - zaproponowała pani Withers. - Jerry mógłby pojechać po hamburgery, butelkę oliwy i porządną garść gwoździ, a potem zrobilibyśmy sobie piknik w ogrodzie razem z twoimi przyjaciółmi, zanim wrócisz do Babylon Heights, co ty na to?

Oskar zgodził się ochoczo.

- Chyba się pani domyśla, że w tej kwestii zawsze można na mnie liczyć!

- No, to leć już, zaraz przyjdę!

Kiedy tylko Oskar wyszedł z salonu, stojąca w głębi pokoju zbroja odsunęła się po szynie wtopionej w podłogę. Otworzyły się ukryte drzwi i stanął w nich Winston Brave.

- Dobrze pani zrobiła - powiedział do Berenice Withers.

- Nie ma sensu mówić mu o czwartym Filarze. Na to jest za wcześnie, o wiele za wcześnie.

Odwróciła się w stronę Wielkiego Mistrza i ciągnęła:

- Skarsdale wie, że czwarty Filar istnieje, można się tego domyślać z sytuacji opisanej przez małego Pilla.

- Nie jestem o tym przekonany. Wydaje się raczej, że nie zdołał obejrzeć całej peleryny - podkreślił Brave. - To nasz jedyny atut, ostatnia przewaga, jaką nad nim mamy. Bądźmy optymistami...

- Czy jest pan pewien, że wszystko jest bezpieczne? Długo myślałam i...

Winston Brave ujął starszą panią pod ramię, usiedli na kanapie.

- Berenice, proszę mieć do mnie zaufanie. Wszystkie Filary znajdują się w bezpiecznym miejscu. Upłynie jeszcze wiele czasu, zanim Czarny Książę je znajdzie.

Pani Withers zamilkła. Znała sposób wyrażania się Wielkiego Mistrza. A zatem on także podejrzewał, że ich odwieczny wróg będzie niedługo w stanie zdobyć Filary, że już je namierzył. Przynajmniej pierwsze trzy. Co się stanie, kiedy już znajdą się w jego rękach?

- Winstonie, zrobimy coś, co robiliśmy kilka lat temu, kiedy wszystkie te straszne zagrożenia były jeszcze daleko przed nami - powiedziała.

- Co takiego?

- Herbatę. Napijmy się herbaty.

Winston Brave uśmiechnął się i wstał, by wezwać majordomusa lub Cherie.

- Winstonie?

- Słucham?

- Jeśli to ma być nasza ostatnia herbatka, którą wypijemy w czasie pokoju, idźmy na całość. Niech pan poprosi Bonesa o ciasteczka. Byleby tylko nie były to wypieki Cherie, którą wszyscy bardzo lubimy, nie jednak jako kucharkę.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście - zapewnił ją. - Nie pozwolimy sobie na to przy tej ostatniej herbacie przed walką.

ZE WSZYSTKICH SIĘ

Następnego dnia rano Oskar gwałtownie się obudził. Minęło kilka chwil, zanim dotarło do niego, że jest niedziela i nie spędził całego weekendu w Cumides Circle. Rzucił okiem na budzik - była dziesiąta rano. Przeszedł nad niewielkim pagórkim, który przypominał niedużego Hepatolijczyka śpiącego pod kocem na dmuchanym materacu, i podszedł do szafy. Uchylił jej drzwi - jego dwa Trofea połyskiwały lekko w półmroku.

Wyszedł z pokoju na palcach i ruszył w stronę łazienki. Wskoczył spod prysznica

cały mokry, jak zwykle zostawiając na podłodze obszerną kałużę. Zszedł na dół. Celia siedziała w kuchni przy kawie, czytając gazetę.

- No proszę, ktoś tu wrócił z krainy snu... Czy w twoim pokoju pada deszcz, synku?

Pocałował ją i rzucił się bez słowa na słoik nutelli. Odezwał się dopiero po czwartej łyżeczce.

- Obudziłem się pierwszy. Lawrence jeszcze śpi.

- Poprawka: jesteś trzeci. Dziewczynki są już w parku. Bracia O'Maley sterczeli pod ich oknem chyba od samego świtu. Przekonali je w końcu, żeby poszły z nimi popływać łódką. Nie wiem, co tam Violette wyczyniała ostatnim razem, bo Barth jakoś niespokojnie się zachowywał...

Oskar uśmiechnął się. Doskonale pamiętał swoją siostrę, ociekającą wodą i pobladłego Bartha, który tłumaczył, że Violette chciała tylko sprawdzić, czy na dnie jeziora jest tak samo mokro jak na powierzchni.

- Obudzę Lawrence'a i pójdziemy do nich.

- Daj biednemu chłopcu zjeść kawałek masła... Czy ten biedak aby nie schudł trochę?

Oskar popatrzył na nią, wytrzeszczając oczy.

- Nie za bardzo - odparł, nie do końca pewny, co właściwie ma odpowiedzieć.

- To dobrze, bo już się martwiłam. Poczekaj, zanim pójdziesz do pokoju, mogę cię o coś zapytać?

Chłopiec odwrócił się w drzwiach i spojrzał na nią podejrzliwie. Mama często

zadawała pytania takim tonem, jakby rozmawiała o pogodzie, tymczasem okazywało się, że w gruncie rzeczy miała na myśli poważne sprawy.

- No wal! - powiedział.

- Cała ta historia o Tablicy, zmarłych, których przywołuje się do życia...

Wolała nie kończyć tego zdania, zamiast tego się uśmiechnęła. Oskar westchnął i oparł się o framugę drzwi.

- Chciałem... to miało być dla Violette. Chciałem jej sprawić przyjemność, żeby... żeby mogła zobaczyć jeszcze raz tatę. Żeby potem była trochę bliżej nas.

Celia przywołała go do siebie, kiwając palcem. Oskar zbliżył się z pewnymi oporami. Przytuliła go.

- Zrobiłeś to tylko dla Violette? Naprawdę?

Wzruszył ramionami. Schował ręce do kieszeni i próbował delikatnie uwolnić się z jej uścisku.

- Synek mi rośnie i nie chce się już przytulać... Jesteś już młodym mężczyzną, to prawda - powiedziała z dumą. - A mężczyzna, kiedy czegoś bardzo pragnie, umie o to walczyć do końca. I tak właśnie postąpiłeś. Moje gratulacje, drogi panie!

Odezwał się w końcu.

- Ja też chciałem go zobaczyć - przyznał się. - To prawda, chciałem chociaż raz spotkać go w rzeczywistości. Nie tylko na zdjęciu.

Namyślała się przez chwilę, a potem przysunęła słoik nutelli, zanurzyła w nim palec,

po czym pomazała policzki Oskara i zrobiła mu czekoladowe wąsy.

- Hej, co jest? Co ty wyprawiasz?! - zawołał, zaskoczony i jednocześnie rozbawiony.

Celia poszła po swoją torebkę. Wyjęła z niej lusterko i podsunęła je chłopcu pod nos.

- Proszę bardzo! - powiedziała. - Chciałeś go zobaczyć, to popatrz tutaj.

Oskar obserwował swoje odbicie.

- Jesteś do niego taki podobny, kochany... No, miał trochę krótsze włosy i nie był taki wąsaty, ale poza tym jesteś identyczny. Tutaj także - dodała, dotykając serca i głowy syna.

Uśmiechnął się, odłożył lusterko i popatrzył w fiołkowe oczy matki.

- Jak mogłem uwierzyć w tę historię o Tablicy - powiedział. - Miałem zaćmienie. Przywracać życie zmarłym...

- Jak to zaćmienie? Hej, ty tam, mężczyzno, zabraniam ci tak mówić o moim synu! Wiesz chyba, co robię z takimi, co mi dzieci maltretują, prawda? - ciągnęła, żartobliwie grożąc Oskarowi ręką, jakby chciała wymierzyć mu policzek. - Plask i plask! Z liścia, w twarz, raz i drugi! Zresztą chyba zapomniałam przyłożyć drugi raz wtedy...

- Raz całkowicie wystarczył - powiedział Oskar. - W zasadzie... może on tak do końca na to nie zasłużył.

Posłała mu pytające spojrzenie.

- Nie da się ukryć, nie byliśmy bardzo mili wobec Pana Co...eee... wobec Barry'ego - wyznał Oskar. - To nie była do końca tylko jego wina. No, może jednak trochę! - dodał

po namyśle.

Celia pogłaskała go po policzku. Miała rację: jej syn bardzo wyrósł.

- A może obudzimy już Lawrence'a?

- Dobrze - powiedział. - Ale wcześniej chciałbym cię o coś poprosić...

Już dobrze, dobrze!... - powiedział Lawrence. Szedł obok Oskara, przyciskając rękę do serca. - Czuję się lepiej. Przeżyłem po prostu szok, kiedy zobaczyłem cię tuż po obudzeniu. Myślałem, że ktoś cię oskalpował!

Oskar roześmiał się. Widzieli już z daleka przyjaciół czekających na brzegu jeziora. Byli tam bracia O'Maley, Violette i Valentine, przyłączyły się do nich Lorna i Carrie Moss, a także Sally Bunker i dwóch chłopaków, równie mocno zbudowanych jak ona. Nieopodal kręciła się nawet Iris. Kontrolowała uważnie każdą łódź z rękami założonymi do tyłu. Wyglądała, jakby pracowała w urzędzie celnym. Sally i Barth zepchnęli cztery łódki na wodę tak lekko, jakby to były źdźbła słomy.

- Mógłbyś jednak wziąć pod uwagę moje nerwy! - ciągnął z wyrzutem Lawrence, zanim doszli do jeziora. - Słyszałem o ludziach, którzy umarli na zawał, budząc się w takich warunkach!

Kiedy zbliżyli się już do grupy, przyjaciele zastygli w osłupieniu.

- Oskar! Chyba zdrzemnąłeś się na trawniku pani Wing! - zawołał Jeremy.

Zdumiona Sally obeszła Oskara dookoła.

- No, czesanie nie będzie ci już zajmowało tyle czasu, nie da się ukryć! Ale i tak masz chyba trochę dłuższe włosy niż ja, co?

Violette rzuciła się w jego kierunku i dotknęła świeżo obciętych włosów brata. Zniknęły jego loki, mama obcięła je zgodnie ze wskazówkami Oskara, całkiem nieźle jej to wyszło. Violette chciała go pocieszyć.

- Nie martw się, z twoimi włosami wszystko w porządku! - zapewniła brata, ściskając go mocno za ręce.

- Tak myślisz?

- Tak! - potwierdziła z całą mocą. - Po prostu od dziś postanowiły... eee... rosnać do środka, ot co. To się zdarza. Dlatego obudziłeś się z krótkimi włosami. Ale tak czasem bywa.

- Dzięki, Violette! Od razu mi lepiej - powiedział.

Podeszła do nich Carrie Moss.

- Domyślam się, że pewnie masz w nosie, co o tobie sędzę, ale... całkiem ci do twarzy w tych krótkich włosach.

Oskar uśmiechnął się do niej.

- Violette opowiedziała mi, jak to było wtedy z Tillą...

- Nie ma o czym mówić, wybaczam ci! - przerwała mu Carrie, zadowolona. - Masz farta. Mnie co prawda działasz na nerwy, ale moja siostra bardzo cię lubi.

Nieśmiała z natury Lorna Moss spąsowiała po czubki uszu.

- Carrie! Co ty wygadujesz? No nie, ona... plecie trzy po trzy!

Młodsza siostra stanęła przed nią z założonymi rękami.

- No co? Ciebie też on wkurza? Myślałam, że go lubisz. Jak cię wkurza, powiedz mi to, a jak go lubisz, to też mi to powiedz!

- Cicho bądź! - powiedziała Lorna, która miała ochotę schować się do mysiej dziury.

Miała dwanaście lat, nie umiała jednak poradzić sobie z gadatliwą Carrie. Zresztą mało kto umiał sobie z nią poradzić...

- No dobra, wszystko jasne! - powiedział rozbawiony Jeremy. - Lorna, w Bazarze mamy wszystko, co potrzebne na walentynki, ale radzę ci, żebyś się pospieszyła, bo te rzeczy idą jak świeże bułeczki!

Oskar odszedł nieco na bok, żeby nie pogryzać ostatecznie biednej Lorny. Rzucił okiem w kierunku budki z lodami i zauważył kilka znajomych osób siedzących wokół stolika. Tilla w swoim żywiole, otoczona nieodłącznymi przyjaciółkami, siedziała w samym środku i opowiadała coś, co przykuwało uwagę pozostałych. Zauważyła Oskara, uśmiechnęła się pod nosem, wstała i ruszyła w jego kierunku. Jimmy Bates patrzył za nią pochmurnym wzrokiem. Nie było jednak Ronana Mossa.

Kiedy zbliżyła się już, zawahała się nieco, jakby szukała właściwych słów.

- Jesteś naprawdę... niezwykły, Oskarze! - powiedziała w końcu, nadal lekko się uśmiechając.

Oskar przypomniał sobie słowa Mossa, który poprzedniego dnia po powrocie do Cumides Circle powiedział: „Nie rób sobie złudzeń, Pill. Pomogłem ci, bo wiedziałem,

że we dwóch mamy większe szanse, niż gdybym został sam na sam z Czarnym Księciem. Ale to nie znaczy, że jesteśmy kumplami, rozumiesz? Nigdy nie będziemy kumplami. Powiedzmy, że jesteśmy teraz kwita. Ty mi pomogłeś, ja ci pomogłem”. Pochylił się potem i dodał, patrząc na Oskara zaczepnie: „Musimy zdobyć jeszcze trzy Trofea i od tej pory każdy działa na własną rękę!”. Oskar nic mu na to nie odpowiedział. Nawet przez sekundę nie wyobrażał sobie, że wojna między nimi się skończyła. „I postaraj się być trochę bardziej dyskretny! Nie musisz robić Introdukcji na oczach koleżanek z klasy! Możesz być pewien, że Tilla nie zwraca na ciebie żadnej uwagi” - dodał już dużo głośniejszym głosem, upewniając się, czy wszyscy dookoła go słyszą, zwłaszcza pan Brave i pani Withers.

Oskar połączył to, co usłyszał od Violette, z uwagami Mossa; wystarczyło. Tilla nie musiała mu już jaśniej dawać do zrozumienia, o co jej chodzi. Widziała jego Introdukcję u Leonida, w sobotę. Czy o tym właśnie rozmawiała z przyjaciółmi kilka chwil wcześniej? Czy uwierzyła w to, że Oskar jest w stanie zniknąć?

- Nie wiem, w jaki sposób tego dokonałeś, ale... w każdym razie ja w to wierzę - powiedziała. - Chciałabym opowiedzieć o tym innym, ale i tak by nie uwierzyli, szkoda...

Słuchał tego z dużą ulgą. Jak zawsze w przypadku Tilli, nie do końca było wiadomo, co właściwie miała na myśli. Czy sugerowała mu tylko, że zachowa całą sprawę w tajemnicy, czy też sama w to wszystko nie wierzyła? Wolał tego nie zgłębiać.

- Chcesz zjeść ze mną lody? - spytała, patrząc na niego zalotnie.

Odwrócił się i zerknął na swoich przyjaciół. Wolał nie wpatrywać się za długo w złociste oczy Tilli.

- Czekaają na mnie... - odpowiedział.

Westchnęła głęboko.

- Dobry jesteś w znikaniu, nie da się ukryć... Może pewnego dnia usiedzisz w miejscu dłużej niż dwie minuty!

Wydawało mu się, że wyjątkowo wcale nie kpi. Odeszła i wróciła do swojego stolika.

Przesunął dłonią po włosach. Podobnie krótkie włosy miał pewien mężczyzna na zdjęciu schowanym w małym albumie. To była po prostu męska fryzura. „No, teraz nie jest ci już potrzebna żadna broda z czekolady - powiedziała Celia. - Jesteście z tatą jak dwie krople wody”.

Kiedy wyszedł z domu, odwrócił się i zobaczył przez okno, jak matka podnosi słuchawkę telefonu i po krótkim wahaniu wybiera numer. Potem zauważył jeszcze, że się uśmiecha i odgarnia do tyłu wspaniałe ciemne włosy. Robiła to zwykle, kiedy ktoś prawił jej komplementy lub kiedy dostawała kwiaty.

Westchnął głęboko i ruszył z Lawrence'em do parku.

- No i co, Oskar, kiedy wsiądziemy na łódki, dzisiaj czy może jutro? - zawołała Sally. Niecierpliwiła się, bo już chciała wiosłować. Iris wymieniała tymczasem zasady, które właśnie chwilę wcześniej ustaliła.

- To bardzo proste! - mówiła. - Nie wolno przyskać na mnie wodą, zanurzając wiosło w jeziorze, nie wolno płynąć szybciej ode mnie, nie wolno mnie wyprzedzać, nie wolno zderzać się z moją łódką...

Rozbawiony Oskar pokręcił głową i podbiegł w stronę brzegu. Wsiadając do łódki, w której czekały już na niego siostry Mossa, myślał o mamie, która powinna zacząć żyć własnym życiem, czekających na niego Trofeach i odkrytych trzech Filarach. Myślał, że teraz, kiedy Księżę Patologusów wydał im otwartą wojnę, nadciągną ponure dni dla nich wszystkich. I myślał też o tym, co chciałby zrobić dla siebie i dla tych, których kochał. W

przelocie zauważył swoje odbicie w wodzie. Dziwne, ledwo rozpoznał własną twarz. Teraz, z krótkimi włosami, wyglądał raczej jak ojciec.

To była z pewnością odpowiednia chwila, żeby dorosnąć. Wobec tego zaczął wiosłować ze wszystkich sił.

1 Shadow - ang. „cień” (przyp. tłum.).

2 Gdzieś tam, gdzieś tam, za tęczą / Błękit łśni. / To jest kraj, gdzie spełniają się twe dziecięce sny (przyp. tłum.).

3 Gdzieś tam, gdzieś tam za tęczą / Frunie piękny ptak / Ptak frunie gdzieś, ponad tęczą / Dlaczego nie mogę i ja?

4 Marsylianka - hymn Francji (przyp. tłum.).

5 W języku angielskim, z którego pochodzi imię bohatera, law oznacza prawo (przyp. tłum.).

6 Bosonoga Contessa - film Josepha L. Mankiewicza z 1954 roku, z Avą Gardner w roli głównej (przyp. tłum.).

7 De la mine (fr.) - z kopalni (przyp. tłum.).

